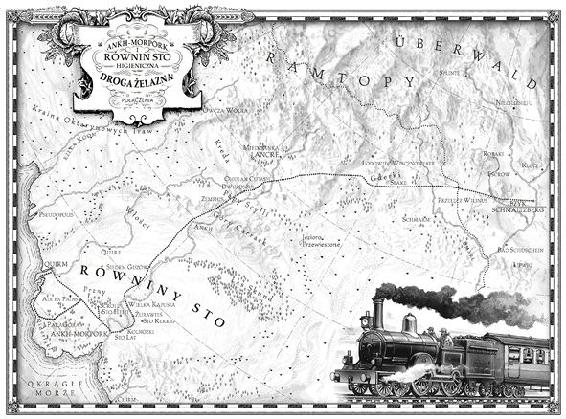
**Para w ruch**

Terry Pratchett

Przełożył Piotr W. Cholewa

*Davidowi Pratchettowi i Jimowi Wilkinsowi,*

*świetnym mechanikom, którzy nauczyli swych synów ciekawości.*



1

Trudno zrozumieć nic, ale multiwersum jest go pełne. Nic wędruje wszędzie, zawsze wyprzedzając coś, a w wielkim obłoku nieświadomości pragnie stać się czymś, wyrwać się, poruszyć, poczuć, zmienić się, zatańczyć, doświadczać — krótko mówiąc, być.

A teraz, dryfując przez eter, dostrzegło swoją szansę. Nic oczywiście wiedziało o czymś, ale to coś było inne, o tak, więc wśliznęło się bezgłośnie do czegoś i spłynęło w dół, myśląc o wszystkim, aż szczęśliwie wylądowało na grzbiecie żółwia, bardzo wielkiego żółwia, i pomknęło, by stać się czymś jeszcze szybciej. Było żywiołem, a nie ma nic lepszego... aż nagle ten żywioł został schwytany! Pułapka się zatrzasnęła.

\* \* \*

Ktokolwiek widział rzekę Ankh, spływającą korytem rozmaitych obrzydliwości, łatwo pojmował, czemu większość ryb dla mieszkańców Ankh-Morpork dostarczały rybackie flotylle Quirmu. Aby zapobiec przerażającym zatruciom pokarmowym obywateli, handlarze dbali o to, by dostawcy łowili ryby daleko, bardzo daleko od miasta.

Dla Bowdena Jeffriesa, sprzedawcy najlepszych owoców morza, dwieście mil — albo i więcej — pomiędzy rybackimi nabrzeżami w Quirmie a jego klientami w Ankh-Morpork stanowiło trasę nieszczęśliwie długą przez całą zimę, wiosnę i jesień, prawdziwą mękę zaś latem. To dlatego, że trakt zmieniał się latem w liniowe palenisko na całym szlaku do Wielkiego Miasta. A człowiek, choćby tylko raz w życiu miał do czynienia z toną przegrzanych ośmiornic, nigdy tego doświadczenia nie zapominał; zapach unosił się jeszcze przez kilka dni i podążał za nim wszędzie, praktycznie nawet do sypialni. Nie dało się go usunąć z ubrania.

Ludzie byli tacy wymagający... Elita Ankh-Morpork — i właściwie wszyscy pozostali — chciała dostawać ryby nawet w najgorętszych okresach lata. Mimo chłodni, którą zbudował własnymi rękami, i drugiej zbudowanej na spółkę w połowie drogi, często płakać mu się chciało, naprawdę.

Tak właśnie zwierzał się swojemu kuzynowi, Reliefowi Jeffriesowi, hodowcy warzyw, który spoglądał smętnie na swoje piwo.

— Zawsze to samo — stwierdził ponuro. — Nikt nie chce pomóc drobnemu przedsiębiorcy. Wyobrażasz sobie, jak szybko w upale truskawki zmieniają się w małe kłębuszki pleśni? Momentalnie. Wystarczy mrugnąć i po wszystkim, i to właśnie wtedy, kiedy wszyscy chcą jeść truskawki. Albo spytaj tych od rukwi, jak trudno jest dostarczyć towar do miasta, zanim zwiędnie jak morał z wczorajszego kazania. Powinniśmy napisać petycję do rządu!

— Nie! — odrzekł jego kuzyn. — Mam już tego dosyć. Napiszemy do azet! Tak się załatwia sprawy. Wszyscy się skarżą na owoce, jarzyny i dania z morza. Trzeba zmusić Vetinariego, żeby się wczuł w sytuację drobnych przedsiębiorców. W końcu na co niby płacimy czasem podatki?

\* \* \*

Dick Simnel miał dziesięć lat, kiedy — w rodzinnej kuźni w Owczej Wólce — jego ojciec zwyczajnie zniknął w chmurze elementów paleniska i odłamków metalu przesłoniętych różową parą. Nigdy go nie odnaleziono w przerażającym oparze palącej wilgoci, ale tego właśnie dnia młody Dick Simnel przysiągł temu, co we wrzącej parze zostało z jego ojca, że uczyni tę parę swym sługą.

Jego matka miała inne plany. Elsie Simnel była akuszerką, a więc — jak wyjaśniła sąsiadom — „Dzieciaki wszędzie się rodzą, to i klientów mi nie zabraknie”. Zatem, wbrew życzeniom syna, postanowiła zabrać go z miejsca, które teraz uważała za przeklęte. Zapakowała swoje rzeczy i razem wyjechali do jej domu rodzinnego niedaleko Sto Lat, gdzie ludzie nie znikają nie wiadomo czemu w obłoku gorącej różowej pary.

Kiedy tam zamieszkali, jej chłopaka spotkało coś dziwnego. Pewnego dnia, kiedy czekał, aż matka wróci z trudnego porodu, Dick wszedł do budynku, który wydał mu się interesujący i który okazał się biblioteką. Z początku myślał, że pełno tam różnych aliganckich rzeczy, różnych królów, poetów, kochanków i bitew. Ale w jednej kluczowej książce znalazł coś zwanego matematyką i odkrył świat liczb.

I właśnie dlatego któregoś dnia dziesięć lat później napiął każde włókno swej istoty i powiedział:

— Mamo, pamiętasz, jak w zeszłym roku mówiłem, że jadę z kumplami pochodzić po górach w Überwaldzie, to wiesz, tak jakby... właściwie... no, skłamałem, ale tylko trochę, naprawdę. — Dick się zaczerwienił. — Bo widzisz, znalazłem klucze do starej szopy taty i tego... no, wróciłem do Owczej Wólki, zrobiłem parę doświadczeń i... — Spojrzał nerwowo na matkę. — Chyba wiem, co zrobił nie tak jak trzeba.

Był gotów na ostre protesty, ale nie przewidział łez — tak wielu łez. Spróbował ją pocieszyć.

— Wiesz, mamo, ty i wujek Flawiusz zadbaliście o moją edukację, daliście mi się poznać na liczbach i różnych innych rzeczach, co sobie je wymyślili filozofowie w Efebie, gdzie nawet wielbłądy umieją liczyć logarytmy na racicach. Tato nic z tego nie wiedział. Miał dobre pomysły, ale nie załapał dobrze tej... tech-no-logii.

W tym momencie Dick pozwolił matce odpowiedzieć.

— Wiem, że cię nie zatrzymam — oświadczyła. — Jesteś tak samo uparty jak twój ojciec, całkiem jak osioł. To właśnie robiłeś w szopie? Tę tek-noloję? — Spojrzała na niego z wyrzutem i westchnęła. — Rozumiem, że nie mogę ci rozkazywać. Ale może mi powiesz, jak niby te twoje loger-rytmy mogą sprawić, żebyś nie zginął tak jak twój biedny ojciec?

Znowu zaczęła szlochać.

Dick z kieszeni kurtki wyjął coś, co wyglądało jak mała różdżka, zrobiona może dla miniaturowego maga.

— To mi da bezpieczeństwo, mamo — zapewnił. — Bo poznałem pracę suwaka logarytmicznego! Wiem, jak kazać sinusowi, co ma robić, i cosinusowi też, i wyliczyć tangens w prostokątnym. Uspokój się, mamo, przestań chlipać i chodź ze mną do szopy. Musisz ją zobaczyć.

Pani Simnel niechętnie dała się zaciągnąć do otwartej szopy, którą urządził całkiem jak dawny warsztat w Owczej Wólce. Wbrew rozsądkowi miała cień nadziei, że może jej syn przypadkiem znalazł sobie dziewczynę. Wewnątrz bezradnie spojrzała na wielki metalowy okrąg zajmujący większą część podłogi. Coś metalowego śmigało po nim w kółko niczym wiewiórka w klatce i wydzielało zapach podobny do kamfory.

— To ona, mamo! Czy nie wspaniała? Nazywam ją Żelazną Belką.

— Ale co to takiego, synu?

Uśmiechnął się szeroko.

— To jest coś, co nazywam pro-to-typem, mamo. Jak człowiek chce być mechanikiem, musi mieć pro-to-typa.

Matka uśmiechnęła się blado, ale Dicka to nie powstrzymało. Słowa wylały się niczym fala.

— Chodzi o to, mamo, że zanim coś spróbujesz zrobić, musisz dobrze wiedzieć, co właściwie robisz. Jedna książka, co ją znalazłem w bibliotece, była o tym, jak zostać architektem. I w tej książce gość, co ją napisał, tłumaczył, że zanim zbudował następny wielki dom, zawsze robił takie małe modele, żeby zobaczyć, jak to wyjdzie. I że to może nudne i w ogóle, ale trzeba pracować powoli i dokładnie, jeśli się chce coś osiągnąć. No więc ja teraz sprawdzam ją powoli, bo chcę zobaczyć, co działa, a co nie. I prawdę mówiąc, to żem jest całkiem z siebie dumny. Na początku zrobiłem tory z drewna, ale pomyślałem, że ta machina, co ją chcę zbudować, będzie bardzo ciężka, no to porąbałem te drewniane tory na opał i wróciłem do kuźni.

Pani Simnel przyjrzała się małemu mechanizmowi jeżdżącemu w kółko po klepisku i spytała tonem osoby, która naprawdę stara się zrozumieć:

— Eee... chłopcze... Ale co to robi?

— Bo wiesz, sobie przypomniałem, co tato mówił kiedyś, jak patrzył na gotującą wodę w kociołku i zauważył, że pokrywka podskakuje od ciśnienia. I mi powiedział, że ktoś kiedyś zbuduje większy kocioł, co podniesie więcej niż samą pokrywkę. Uważam, że teraz już umiem zbudować odpowiedni kocioł, mamo.

— Co dobrego z tego będzie, mój chłopcze? — zapytała surowo matka. I patrzyła na błysk w jego oczach, kiedy mówił:

— Wszystko, mamo. Wszystko.

Wciąż w oparach lekkiego niezrozumienia przyglądała się, jak rozwija duży i trochę przybrudzony arkusz papieru.

— To się nazywa schimat, mamo. Trzeba mieć taki schimat. Pokazuje, jak wszystko do siebie pasuje.

— To część tego pro-to-typa?

Chłopak przyjrzał się troskliwej rodzicielce i zrozumiał, że powinien udzielić nieco dokładniejszych wyjaśnień. Wziął ją za rękę.

— Wiem, mamo, że dla ciebie to tylko linie i kółka, ale gdybyś już się znała na liniach i kółkach, od razu byś zobaczyła, że to jest obrazek machiny.

Pani Simnel ścisnęła jego dłoń.

— I myślisz, że co możesz tym zrobić, Dick?

Młody Simnel odpowiedział jej szczęśliwym uśmiechem.

— Zmienić to, co trzeba zmienić, mamo.

Pani Simnel przyglądała mu się przez chwilę czy dwie, a potem najwyraźniej podjęła trudną decyzję.

— Chodź teraz ze mną, chłopcze.

Zaprowadziła go do domu, gdzie oboje wspięli się po drabinie na strych. Tam wskazała solidną marynarską skrzynię pokrytą warstwą kurzu.

— Twój dziadek dał mi to, żeby ci przekazać, kiedy uznam, że tego potrzebujesz. Tu jest klucz.

Z satysfakcją przyjęła fakt, że nie wyrwał jej klucza, a nawet obejrzał uważnie skrzynię, nim ją otworzył. Kiedy podniósł wieko, powietrze rozjaśniło się od blasku złota.

— Twój dziadek był takim odrobinkę piratem, a potem dostał religii i trochę się obawiał, a jego ostatnie słowa do mnie, już na łożu śmierci, brzmiały: „Ten chłopak coś zrobi pewnego dnia, zapamiętaj moje słowa, Elsie, ale niech mnie demony, jeśli wiem, co to będzie”.

\* \* \*

Mieszkańcy miasteczka zdążyli się już przyzwyczaić do różnych stuków i brzęków dobiegających codziennie z rozmaitych kuźni, z jakich słynęła ta okolica. Wydawało się, że chociaż młody Simnel założył własną, postanowił nie podejmować fachu kowala, prawdopodobnie z powodu strasznej historii ze starszym panem Simnelem, który tak nagle opuścił ten świat. Inni tutejsi kowale także szybko przywykli do wykonywania dla Simnela jakichś tajemniczych elementów, które starannie im rysował. Nigdy nie zdradzał, co konstruuje, ale że zarabiali niezłe pieniądze, specjalnie im to nie przeszkadzało.

Wieści o jego spadku rozniosły się, oczywiście — złoto zawsze się jakoś wydostanie — i wśród miejscowej populacji nastąpiło ogólne skrobanie się po głowach. Jego egzemplifikacją był najstarszy z mieszkańców, który powiedział, siedząc na ławie przed tawerną:

— Niech mnie demony! Chłopaka los pobłogosławił odziedziczoną fortuną w złocie, a on ją zamienił na stosy starego żelastwa!

Roześmiał się, tak samo jak wszyscy inni, ale i tak pilnie obserwowali, jak Dick Simnel wychodzi i wraca przez niewielkie drzwiczki w skrzydle wrót starej i niemal zrujnowanej stodoły, zawsze zamkniętych na podwójną kłódkę.

Simnel znalazł paru miejscowych, którzy pomagali mu wykonywać różne rzeczy albo przesuwać rzeczy. Z czasem przy stodole wyrosły liczne dodatkowe szopy. Przyjęto do pracy kolejnych chłopaków i przez cały dzień — codziennie — wokół dało się słyszeć stuk młotów. Powoli, kropla po kropli, informacje przesączały się do tego, co można by nazwać miejscową świadomością.

Podobno młody Simnel zbudował pompę — interesującą pompę, która pompuje wodę bardzo wysoko. A potem rzucił wszystko i powiedział coś w rodzaju „Potrzebujemy więcej stali niż żelaza”.

Krążyły plotki o rozkładanych na blatach wielkich stosach papierów, kiedy młody Simnel pracował nad swoim cudownym „przedsięwzięciem”, jak je nazywał. Owszem, niekiedy zdarzały się wybuchy, a wtedy ludzie usłyszeli o czymś nazywanym „Bunkier”, do którego można było wskoczyć przy tych okazjach, kiedy zdarzał się jakiś drobny... incydent. Był też nieznany, ale jakby zwyczajny i rytmiczny odgłos sapania. Naprawdę, całkiem przyjemny dźwięk, niemal hipnotyczny, co wydawało się dziwne, ponieważ to mechaniczne stworzenie, które go wydawało, brzmiało całkiem jak żywe — bardziej niż można by się spodziewać.

W sąsiedztwie zauważono, że dwaj główni współpracownicy pana Simnela, czy też Żelaznego Wariata Simnela, jak niektórzy go ostatnio nazywali, wydawali się trochę odmienieni, bardziej dojrzali i pewni siebie — młodzi akolici tajemniczej konstrukcji za drzwiami. I żadne łapówki — czy to w formie piwa, czy kobiecego zainteresowania w pubie — nie zdołały ich skłonić do wyjawienia cennych sekretów stodoły[[[1]](#footnote-1)](#1_2). Zachowywali się tak, jak wypadało mistrzom ognistych palenisk.

Bywały też, naturalnie, słoneczne dni, kiedy na polu obok stodoły młody Simnel ze swymi kohortami kopał wąskie rowy i napełniał je metalem, a palenisko jarzyło się dniem i nocą. Wszyscy kręcili tylko głowami i powtarzali: „Szaleństwo”. I tak to trwało i trwało, zdawało się, że przez wieczność, ale nawet wieczność dobiegła końca, a stukanie, walenie i wytapianie się urwały.

Potem młodzi porucznicy pana Simnela rozwarli szeroko podwójne wrota i napełnili świat dymem.

W tych stronach zwykle działo się bardzo niewiele, więc to wystarczyło, by ludzie szybko się zbiegli. Większość zdążyła zobaczyć, że coś wysuwa się i zmierza ku nim, dyszy i paruje, że szybko się obracające koła i oscylujące pręty niewytłumaczalnie pojawiają się i znikają w dymie i oparach. A nad tym wszystkim widzieli Dicka Simnela niczym władcę dymu i ognia. Dick miał twarz wykrzywioną grymasem koncentracji. Nieco uspokajał fakt, że to coś jest najwyraźniej kontrolowane przez człowieka — choć ci bardziej skłonni do namysłu mogliby dodać: „I co z tego? Łyżka też taka jest”, po czym przygotować się do ucieczki. Dymiąca, wirująca, tańcząca, posuwisto-zwrotna machina wyjechała ze stodoły i ruszyła po ułożonych na polu torach. A liczni gapie, zamienieni teraz w równie licznych uciekinierów, często spanikowanych, biegli i narzekali. Oczywiście z wyjątkiem małych chłopców w dowolnym wieku, którzy podążali za machiną z szeroko otwartymi oczami i przysięgali sobie, że pewnego dnia zostaną kapitanami tej straszliwej cuchnącej konstrukcji, koniecznie. Książętami pary! Władcami iskier! Woźnicami pioruna!

Na zewnątrz uwolniony wreszcie dym dryfował wytrwale dalej od stodoły, w kierunku największego miasta na świecie. Płynął z początku wolno, ale stopniowo nabierał prędkości.

Później, tego samego dnia, po kilku tryumfalnych okrążeniach krótkich torów na polu Simnel usiadł ze swymi pomocnikami.

— Wally, Dave, kończy mi się mosiądz — powiedział. — Weźcie no, niech matki was zapakują, zrobią jakąś wałówę. Przyprowadźcie konie. Zabieramy Żelazną Belkę do Ankh-Morpork. Słyszałem, że tam właśnie wszystko się dzieje.

\* \* \*

Oczywiście, lord Vetinari, tyran Ankh-Morpork, spotykał się niekiedy z lady Margolottą, gubernatorką Überwaldu. Czemuż by nie? W końcu spotykał się niekiedy także z diamentowym królem trolli w pobliżu Doliny Koom, jak też z dolnym królem krasnoludów Rhysem Rhyssonem w jego jaskiniach pod Überwaldem. Wszyscy wiedzieli, że to polityka.

Tak, polityka. Sekretny klej niepozwalający, by świat rozpadł się w wojnach. W przeszłości było tych wojen bardzo dużo, o wiele za dużo. Ale jak wiedział każdy uczeń — a przynajmniej wiedział w tych czasach, kiedy uczniowie czytali czasem coś bardziej skomplikowanego niż etykiety na opakowaniach chrupek — całkiem niedawno niemal się wydarzyła naprawdę straszliwa wojna, ostatnia wojna o Dolinę Koom. Krasnoludom i trollom udało się zmienić ją nie tak całkiem w pokój, ale w zrozumienie, z którego pokój mógł się zrodzić. Nastąpiły uściski dłoni — bardzo ważnych dłoni — i energiczne nimi potrząsanie, a zatem istniała nadzieja; nadzieja tak delikatna jak myśl.

Co więcej, myślał lord Vetinari, gdy jego powóz turkotał na drodze do Überwaldu, w tym różanym ciepłym lśnieniu, jakie zapanowało po słynnym traktacie z Doliny Koom, nawet gobliny w końcu uznano za istoty świadome, które można traktować — metaforycznie — jak braci, choć raczej nie mężów sióstr. Przyszło mu do głowy, że z pewnej odległości świat wygląda, całkiem jakby panował tu pokój — stan rzeczy nieuchronnie prowadzący w końcu do wojny.

Skrzywił się, kiedy powóz trafił na kolejny skandaliczny garb na drodze. Kazał wyłożyć siedzenia dodatkową grubą tapicerką, ale chyba nic nie mogłoby zmienić podróży do Überwaldu w coś innego niż cierpienie na każdej dziurze, prowadzące w efekcie do fundamentalnej niewygody. Tempo było niezwykle powolne, choć przystanki przy wieżach sekarowych na trasie pozwalały sekretarzowi Drumknottowi odbierać codzienną krzyżówkę, bez której Vetinari nie uznawał dnia za spełniony.

Na zewnątrz coś huknęło głośno.

— Wielkie nieba! Czy musimy trafiać w każdą dziurę, Drumknott?

— Przykro mi, sir, jej wysokość nawet obecnie nie jest w stanie kontrolować działań bandytów w regionie przełęczy Wilinus. Od czasu do czasu przeprowadza obławy, ale niestety, to jest najmniej niebezpieczna trasa.

Na zewnątrz rozległ się krzyk i kolejne łomoty. Vetinari zdmuchnął lampkę do czytania na moment przed tym, gdy jakiś groźnie wyglądający osobnik przez szybkę w drzwiczkach wepchnął grot bełtu na kuszy do pogrążonego w ciemności powozu.

— Wyłazić mi tu razem ze wszystkimi kosztownościami, bo będzie gorzej, jasne? — powiedział. — Tylko żadnych sztuczek. Jesteśmy skrytobójcami!

Vetinari spokojnie odłożył książkę i westchnął.

— Wydaje się, Drumknott — powiedział — że zostaliśmy napadnięci przez skrytobójców. Jakież to... miłe.

Teraz i Drumknott lekko się uśmiechnął.

— O tak, sir, bardzo miłe. Zawsze lubisz, panie, spotkania ze skrytobójcami. Postaram się nie przeszkadzać.

Vetinari otulił się płaszczem i wysiadł z powozu.

— Nie ma powodu, by stosować przemoc, panowie — rzekł. — Dam wam wszystko, co mam...

Nie minęły dwie minuty, a jego lordowska mość wrócił do powozu i dał woźnicy sygnał, by jechał dalej, jakby nic się nie stało.

Po dłuższej chwili i z czystej ciekawości odezwał się Drumknott.

— Co się zdarzyło tym razem, panie? Nic nie słyszałem.

— Oni też nie, Drumknott — odparł siedzący obok Vetinari. — To taka strata... Człowiek się zastanawia, czemu nie nauczą się czytać. Wtedy rozpoznaliby herb na mojej karecie, a to by ich oświeciło.

Gdy powóz osiągnął to, co można określić jako mocno zmienną prędkość, Drumknott po namyśle odezwał się znowu.

— Ale twój herb, panie, jest czarny na czarnej tarczy, a mamy bardzo ciemną noc.

— A tak, Drumknott — przyznał Vetinari z czymś, co u niego uchodziło za uśmiech. — Wiesz, nie pomyślałem o tym.

\* \* \*

Było w zamku lady Margolotty coś nieodwołalnego. Kiedy wielkie drewniane wrota otworzyły się z wolna, każdy zawias zaskrzypiał — w końcu istniało przecież coś takiego jak społecznie akceptowalna atmosfera. Prawdę mówiąc, jaki wampir zamieszkałby w zamku, który nie skrzypi i nie zgrzyta, kiedy wypada? Igory nigdy by do tego nie dopuściły i teraz właśnie miejscowy Igor wprowadził lorda Vetinariego i jego sekretarza do ogromnego holu z pajęczynami kołyszącymi się pod sklepieniem. Panowało wrażenie — ale tylko wrażenie — że gdzieś w głębi, w podziemiach, coś krzyczy.

Ale oczywiście, pomyślał Vetinari, mieszka tu wspaniała dama, która skłoniła wampiry do zrozumienia, iż wracanie z grobu tak często, że aż człowiekowi w głowie się kręci, jest tak naprawdę dość głupawe. Przekonała je również, by przynajmniej ograniczyły swoje nocne działania. Poza tym sprowadziła do Überwaldu kawę, najwyraźniej zastępując jedno straszliwe łaknienie innym.

Lady Margolotta zawsze wyrażała się zwięźle i rzeczowo. Tak też przebiegała konwersacja podczas wystawnego bankietu kilka dni później.

— To gragovie. To znovu gragovie, Havelocku, pravda? Po takim czasie... Słovo daję, jest navet gorzej. Dokładnie jak to przepoviedziałeś, mój drogi. Jak zdołałeś to przevidzieć?

— Przyznaję, pani, że o to samo pytał mnie diamentowy król trolli. Mogę tylko powiedzieć, że leży to w niezmordowanej naturze istot myślących. Najkrócej mówiąc, nie mogą być wszystkie zadowolone równocześnie. Myślałaś, że chorągiewki, sztuczne ognie, uściski dłoni i przyrzeczenia, kiedy już podpisano traktat z Doliny Koom, to koniec sprawy, prawda? Osobiście zawsze uważałem to za rodzaj antraktu. Krótko mówiąc, Margolotto, pokój to coś, co mamy w czasie, kiedy dojrzewa kolejna wojna. Niemożliwe jest, by wszystkich usatysfakcjonować, a podwójnie niemożliwe jest zadowolenie wszystkich krasnoludów. Widzisz, kiedy rozmawiam z diamentowym królem trolli, jest on ustami wszystkich trolli, mówi w imieniu trolli. Są rozsądne i jemu pozostawiają sprawy polityczne. Z drugiej strony mamy ciebie, pani: przemawiasz w imieniu całego swojego... ludu w Bzyku[[2]](#footnote-2), a przyjęte z tobą uzgodnienia są na ogół, hm... do przyjęcia. Ale krasnoludy to prawdziwa klęska. Już człowiek myśli, że rozmawia z ich przywódcą, kiedy nie wiadomo skąd na horyzoncie wyskakuje jakiś grag z obłąkanymi oczami i nagle wszystkie umowy są odwołane, wszystkie traktaty stają się nieważne i martwe, nie istnieje zaufanie. A wiesz, że mają osobnego króla... dezka-knik[[3]](#footnote-3), jak go nazywają... w każdej kopalni na Dysku? Jak można z kimś takim załatwiać jakieś sprawy? Każdy krasnolud jest własnym wewnętrznym tyranem.

— No cóż — odparła lady Margolotta. — Rhys Rhysson całkiem dobrze sobie radzi w tych okolicznościach, my zaś v górnym Überwaldzie... — Margolotta zniżyła głos niemal do szeptu — ...stoimy po stronie postępu. Ale rzeczyviście, jakże można zvyciężyć raz na zavsze, to chciałabym viedzieć...

Jego lordowska mość delikatnie odstawił kieliszek.

— Niestety, to nigdy nie jest w pełni możliwe. Gwiazdy się zmieniają i ludzie się zmieniają. Wszystko, co możemy zrobić, to działać na rzecz przyszłości ostrożnie i z przemyślaną determinacją, by widzieć świat w stanie pokoju, nawet jeśli oznacza to przedwczesne złożenie do grobu najgorszych zagrożeń. Muszę jednak przyznać, że subtelna, choć staranna analiza zjawisk, jakie świat nam prezentuje, sugeruje mi, że dolny król... do którego zwróciłem się, zanim przyjechałem tutaj na spotkanie z tobą, zgodnie z wymogami protokołu... formułuje obecnie pewien plan. I gdy przystąpi do gry, rzucimy wszystkie siły, by mu pomóc. Wiele ryzykuje dla przyszłości. Wierzy, że nadeszła właściwa chwila, zwłaszcza odkąd Ankh-Morpork stało się powszechnie znane jako siedziba największej populacji krasnoludów na Dysku.

— Tyle że jego lud nie lubi przesadnej novoczesności. I muszę przyznać, że chyba viem czemu. Postęp to sprava kłopotliva, zvłaszcza kiedy próbuje się utrzymać pokój na śviecie. Sprava... nieprzevidyvalna. Przypomnę ci, Havelocku, że viele lat temu pevien efebiański filozof zbudovał bardzo potężną machinę. Przerażająco potężną. I gdyby tamci ludzie vytrvali przy tej machinie napędzanej parą, sama natura życia obecnie zmieniłaby się całkovicie. Nie sądzisz, że to niepokojące? Jak możemy kierovać przyszłością, kiedy jakiś idiota może zbudovać mechanizm, który vszystko zmieni?

Lord Vetinari wysączył ostatnią kroplę brandy do kieliszka.

— Madame — rzekł pogodnie. — Jedynie głupiec mógłby się starać, by zatrzymać postęp mas. Vox populi, vox deorum, delikatnie prowadzonego przez przemyślnego księcia. Dlatego też przyjmuję raczej opinię, że kiedy nadejdzie czas machiny parowej, machina parowa się pojawi.

\* \* \*

— Niby co ty wyprawiasz, krasnoludzie?

Młody Magnus Magnusson z początku nie zwrócił szczególnej uwagi na starszego krasnoluda, którego oblicze — tyle, ile można było zobaczyć — wskazywało na stanowczo zrzędliwy charakter. Dlatego wzruszył tylko ramionami.

— Bez urazy, szacowny — powiedział. — Ale wyprawiam tyle, że idę sobie i pilnuję swoich spraw z nadzieją, że inni będą pilnować swoich. Chyba cię to nie wszczurza[[4]](#footnote-4)?

Mówi się czasem, że grzeczna odpowiedź odpędza gniew, ale teza ta bierze się chyba z nadziei i w tej chwili właśnie okazywała się absolutnie błędna. Albowiem nawet uprzejmie wyrażona i grzeczna odpowiedź może niewłaściwą osobę doprowadzić do stanu furii, jeśli o gniew chodziło jej od początku. I takim stanem właśnie cieszył się obecnie starszy krasnolud.

— Dlaczego nosisz swój hełm tyłem do przodu, młody krasnoludzie?

Magnus był krasnoludem spokojnym, lecz popełnił błąd, to znaczy spróbował zastosować logikę.

— Otóż, szacowny, jest na nim moja odznaka skauta. Skauting? Na świeżym powietrzu? Nie rozrabiać i dobrze służyć społeczeństwu?

Ta litania dobrych intencji nie zyskała Magnusowi przychylności, natomiast poczucie zagrożenia wprawdzie z opóźnieniem, lecz wyraźnie przyspieszyło pracę. Starszy krasnolud był naprawdę, ale to naprawdę zirytowany na niego, a podczas tej krótkiej wymiany zdań kilku innych podeszło wolno i teraz mierzyło Magnusa wzrokiem, jakby oceniali go przed walką.

Magnus po raz pierwszy znalazł się sam w bliźniaczych miastach Bzyk i Schmaltzberg i nie spodziewał się takiego powitania. Te krasnoludy nie przypominały tamtych, z którymi dorastał na ulicy Kopalni Melasy.

Zaczął się cofać.

— Przyjechałem spotkać się z babcią — zapewnił pospiesznie. — Nie czuje się dobrze, a ja przyjechałem aż z Ankh-Morpork. Łapałem transport na wozach, noce przesypiałem w stogach siana albo w stodołach. To bardzo daleko...

I wtedy wszystko się stało.

Magnus był dobrym biegaczem, jak wypada komuś z ankhmorporskiego Szczurzego Stada[[5]](#footnote-5), a biegnąc, usiłował zrozumieć, co zrobił źle. W końcu całe wieki zajęła mu podróż do Überwaldu, różnymi środkami transportu, był przecież krasnoludem i oni byli krasnoludami, i...

Przypomniał sobie, że jeszcze w domu czytał coś w azetach. Pisały, że wciąż istnieją krasnoludzie społeczności, które nie chcą mieć nic wspólnego z żadną organizacją, w skład której wchodzą trolle, ich tradycyjny i instynktowny wróg. No ale mieli przecież w drużynie trolle — dobrzy kumple, co do jednego, trochę wolno myślący, to fakt, ale zdarzało się, że chodził z niektórymi na herbatę albo odwrotnie. Chociaż pamiętał, że niektóre stare trolle i starsze krasnoludy złościły się bez żadnego powodu poza tym, że po setkach lat prób pozabijania się nawzajem teraz nagle, po jednym uścisku rąk, mieli się stać przyjaciółmi.

Magnus zawsze rozumiał, że dolne miasto dolnego króla jest miejscem ciemnym. Krasnoludom to nie przeszkadza, bo krasnoludy i ciemność zawsze współistniały w zgodzie. Tu jednak wyczuwał głębszą ciemność. W tej trudnej chwili ogarnęło go wrażenie, że nie ma żadnych przyjaciół poza swoją babcią, a wyglądało na to, że wiele kłopotów czeka między nim a drugą stroną miasta, gdzie mieszkała.

Zasapał się już, ale wciąż słyszał za sobą odgłosy pościgu, chociaż opuszczał już głębokie korytarze i tunele, zmierzając do wyjścia z podziemnego miasta Schmaltzbergu. Zaczynał pojmować, że musi tu wrócić w innym czasie... albo inną drogą.

Kiedy zwolnił na chwilę, by uspokoić oddech, na drodze stanął mu strażnik przy miejskiej bramie. Na twarzy miał wyraz zachłanności.

— A niby dokąd się tak spieszysz, panie Ankh-Morpork? Znowu na światło, do swoich trollowych przyjaciół, co?

Szponton strażnika podciął Magnusowi nogi, a potem kopniaki zaczęły się na poważnie. Magnus odtoczył się na bok i odruchowo krzyknął:

— Tak nie chce, żebyśmy myśleli o nim, ale chce, żebyśmy myśleli!

Jęknął i wypluł ząb. I zobaczył zbliżającego się innego krasnoluda. Ku jego przerażeniu nowo przybyły wyglądał na osobnika w średnim wieku i zamożnego, co niewątpliwie oznaczało, że nie można liczyć na jego przyjaźń. Jednak zamiast wymierzyć mu kopniaka, starszy krasnolud wykrzyknął głosem dźwięcznym jak uderzenie młota:

— Posłuchaj mnie, młody krasnoludzie! Zawsze musisz się mieć na straży, bo inaczej...

Nowo przybyły powalił napastnika na ziemię z godną podziwu gwałtownością i cudownie zbędną demonstracją przemocy. A kiedy strażnik leżał już i jęczał, przybysz postawił Magnusa na nogi.

— Trzeba przyznać, mały, że biegasz lepiej niż większość znanych mi krasnoludów. Taki chłopak jak ty powinien wiedzieć, że krasnoludy z Ankh-Morpork w tej chwili nie są w tych okolicach mile widziane. Prawdę powiedziawszy, sam nie bardzo je lubię, ale kiedy dochodzi do walki, powinna być uczciwa.

Przy tych słowach bardzo mocno kopnął strażnika.

— Jestem Nieśmial Nieśmialsson, chłopcze. A ty lepiej zorganizuj sobie mikrokolczugę, jeśli planujesz odwiedzać swoją babcię z takim ankhmorporskim wyglądem. Chociaż wstyd mi, że moi rodacy traktują innego krasnoluda tak fatalnie tylko z powodu tego, co na sobie nosi.

Za końcową kropkę w tym wywodzie posłużyło następne solidne kopnięcie leżącego strażnika.

— Słowo daję, chłopcze, naprawdę nie widziałem jeszcze krasnoluda, który biega tak szybko jak ty. Ale choć biegać potrafisz, co muszę przyznać, przyszła chyba pora, żebyś nauczył się chować.

Magnus otrzepał się i popatrzył na swego wybawcę.

— Nieśmial Nieśmialsson! Przecież pan jest legendą! — Zrobił krok w tył. — Czytałem o panu. Został pan gragiem, bo nie lubi pan Ankh-Morpork!

— Może i nie, młody krasnoludzie, ale nie zgadzam się na zabójstwa w ciemności, jakich się dopuszczają ci łajdaccy głębinowcy i kopacze. Osobiście wolę otwartą walkę.

Mówiąc to, Nieśmial Nieśmialsson swym wielkim i okutym butem kopnął powalonego strażnika raz jeszcze.

Po czym jeden z najbardziej znanych i szanowanych krasnoludów na świecie podał młodemu Magnusowi rękę.

— Niech teraz twój talent doprowadzi cię w bezpieczne miejsce. Jak powiedziałeś, Tak nie wymaga od nas, żebyśmy myśleli o nim, ale wymaga, żebyśmy myśleli. Poświęć zatem myśl czy dwie tematowi zmian swego stroju, kiedy wrócisz odwiedzić babcię. Poza tym może nie docenić ankhmorporskiej mody. Miło było cię poznać, panie Szybki, a teraz zabieraj stąd swój smętny tyłek... Następnym razem może mnie nie być w pobliżu.

\* \* \*

Daleko po obrotowej stronie od Überwaldu sir Harry Król myślał o sprawach minionego dnia. Znany był powszechnie jako Król Złotej Rzeki, a to z powodu majątku, jaki zarobił na sprawach innych osób.

Normalnie Harry był człowiekiem pogodnym, bez kłopotów z trawieniem — ale nie dzisiaj. Był też kochającym mężem, troskliwym i czułym dla Eufemii, od wielu lat swej małżonki, ale niestety, także nie dzisiaj. Harry był też dobrym pracodawcą, ale również nie dzisiaj, ponieważ dzisiaj bolał go żołądek, a to z powodu halibuta, do którego stwierdzenie o tęsknocie po długim niewidzeniu z pewnością nie pasowało. Nie spodobał mu się już na talerzu, jako że halibuty należą do tych ryb, które mają skłonność do spoglądania z wyrzutem na jedzącego; przez ostatnie kilka godzin Harry wyobrażał sobie tę kreaturę spoglądającą z wyrzutem na wnętrze jego żołądka.

Problem polegał na tym, że Eufemia wciąż pamiętała dobre stare czasy, kiedy byli biedni jak myszy kościelne, a więc z konieczności bardzo oszczędni, a takie przyzwyczajenia wgryzają się głęboko w kości, całkiem jak ta nieodpowiedzialnie przetrawiona ryba pływająca gdzieś w okolicach jelit Harry’ego i grożąca, że popłynie o wiele dalej.

Na nieszczęście Harry’ego wychowano tak, by zjadał wszystko, co mu podadzą, a to oznaczało, że wszystko zostaje zjedzone. I kiedy w końcu wyszedł z wygódki, gdzie miał uczucie, że ta przeklęta ryba gapi się na niego z muszli, szarpnął za łańcuch z taką wściekłością, że go zerwał. To z kolei sprawiło, że kobieta, którą niekiedy nazywał Księżną, powiedziała mu kilka słów. A że słowa prowadzą zwykle do kolejnych słów, te gniewne, wstrętne i zjadliwe słowa padły z obu stron. Słowa, które — gdyby Harry mógł decydować — zostałyby rzucone na nieszczęsną rybę, od której wszystko się zaczęło. Zamiast tego z żoną stoczyli coś, co przez całe życie określali jako mocną kanonadę. Oczywiście Effie, urodzona w sąsiednim do Harry’ego rynsztoku, potrafiła sprawdzić się w takiej sytuacji, zwłaszcza uzbrojona w raczej cenny i ozdobny dzban. Effie miała głos, od którego nawet straganiarze się czerwienili. Nazwała Harry’ego Królem Gówna, co sprawiło, że zrobił to, czego nigdy, nigdy nie chciał, to znaczy podniósł rękę w gniewie — zwłaszcza że ten dzban, w który żona się uzbroiła, był też całkiem ciężki[[6]](#footnote-6).

Oczywiście sprawa się wypali, jak zawsze, i prawdziwa małżeńska harmonia znowu spłynie na swe tradycyjne miejsce w domostwie. Mimo to jednak przez całe popołudnie sir Harry krążył po swoim biurze niczym stary lew. Król Gówna... No, niby tak, i dzięki niemu ulice były czyste, a w każdym razie znacznie czyściejsze niż przed nastaniem tego, co można określić jako dynastię Harry’ego Króla. Dumał sobie, krążąc po gabinecie, że jego praca dotyczy tego, co ludzie chcą pozostawić za sobą. A więc nie mógł sobie znaleźć miejsca na górnych poziomach społeczeństwa. O tak, był sir Harrym, ale wiedział, że Effie chciała, by zostawił za sobą cały ten cuchnący interes.

— Jesteś w końcu bogaty jak Kreozot — stwierdziła. — Nie możesz sobie znaleźć czegoś innego do roboty? Czego ludzie naprawdę chcą, a nie tylko potrzebują?

Ogólnie biorąc, Harry nie znał się specjalnie na filozofii. Był dumny z tego, co osiągnął, ale jakaś maleńka cząstka umysłu zgadzała się z Effie, że z pewnością zasługuje na coś lepszego niż poszukiwanie czystego[[7]](#footnote-7) i pilnowanie, by niezbyt pewne zbiorniki odpadów w mieście się nie przepełniły. Oczywiście, ktoś musiał to robić — choć przecież nie Harry osobiście, już od wielu lat nie; płacił szambonurkom i czyścicielom, a teraz miał również całą armię goblinów zajmujących się brudną robotą. Jednak w tej chwili potrzebował zajęcia, które byłoby męskie, nie będąc obrzydliwe.

Z roztargnieniem wyrzucił najnowszego prawnika, krasnoluda przyłapanego z brudnymi paluchami w kasie; udało mu się to bez zrzucania kurdupla ze schodów.

Nietypowo przygnębiony krążył po swoim kompleksie i próbował jakoś uspokoić nerwy. Na samej granicy terenu wciągnął nosem powietrze — tyle, ile się ośmielił. Wiatr dmuchał od strony Osi, Harry skierował twarz w tamtą stronę i pochwycił kuszący zapach: zapach przygody, zapach stanowczy, zapach, który chciał zabrać go w świat — i który składał obietnicę.

\* \* \*

Związek Moista von Lipwiga i Adory Belle Dearheart był stabilny i szczęśliwy, być może dlatego, że przez długie okresy prawie się nie widywali, gdyż ją zajmowało prowadzenie Wielkiego Pnia, a jego sprawy Banku, Poczty i Mennicy. Wbrew temu, co sądził lord Vetinari, Moist wykonywał w tych instytucjach uczciwą pracę, polegającą — w jego opinii — na utrzymywaniu wszystkiego w ruchu. Wszystko działało, działało wręcz świetnie, ale według Moista działało jedynie dlatego, że zawsze widziano go w Banku, na Poczcie Głównej i w Mennicy jako pana Bank, pana Pocztę i pana Mennicę.

Gawędził z ludźmi, rozmawiał o ich pracy, pytał, jak się czują ich żony i mężowie, gdyż wcześniej nauczył się na pamięć imion wszystkich członków rodziny osoby, z którą prowadził pogawędkę. To był dar, cudowny talent, i sprawdzał się wspaniale. Moist interesował się ludźmi, więc oni interesowali się pracą. Było istotne, żeby zawsze znajdował się w pobliżu, żeby płynęła magia...

Co do Adory Belle, sekary miała we krwi, takie było jej dziedzictwo. I biada każdemu, kto chciałby stanąć między nimi a nią[[8]](#footnote-8), nawet jeśli tym każdym byłby jej mąż.

System działał równie efektywnie jak oni, mogli więc sobie pozwolić na zatrudnienie Crossly’ego, kamerdynera, a także pani Crossly[[[9]](#footnote-9)](#9_1). W ich domu przy alei Scoone’a mieszkał także ogrodnik, przynależny chyba do terenu. Chrup[[[10]](#footnote-10)](#10_1) był też całkiem niezłym człowiekiem do wszystkiego i złotą rączką, całkiem gadatliwym, choć Moist nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił. Pochodził gdzieś z Włości i używał słownictwa będącego teoretycznie morporskim, choć w rzeczywistości było w nim sporo słomy, a zgłoska „ach” ciężko pracowała przy każdej konwersacji. W swojej szopie na końcu ogrodu Chrup robił cydr, wykorzystując do tego jabłonie, o które starannie dbał poprzedni właściciel. Dodatkowo, ma się rozumieć, mył okna. Za pomocą wielgachnej skrzyni pełnej wszelkiego typu młotków, pił, wierteł, śrubokrętów i dłut, worków gwoździ i innych elementów — jakich Moist nie potrafił rozpoznać, a co więcej, wcale nie chciał — Chrup znacząco ułatwiał mu życie, jednocześnie stając się zapewne najbogatszym fachowcem w sąsiedztwie.

Moist von Lipwig kiedyś zajmował się ciężką pracą, ale nie widział dla niej przyszłości. Potrafił jednak patrzeć na nią godzinami, oczywiście pod warunkiem że wykonywał ją ktoś inny. Dlatego wzruszał tylko ramionami i był zadowolony, że Chrup jest zadowolony z bycia złotą rączką, podczas gdy Moist jest zadowolony, jeśli nie musi podnosić niczego cięższego niż kieliszek. W końcu jego praca była niewidzialna i zależała od słów, szczęśliwie niezbyt ciężkich i niewymagających smarowania. Dobrze mu służyły w karierze oszusta i teraz czuł pewną satysfakcję, używając ich dla dobra społeczeństwa.

Istnieje różnica między oszustem i bankierem, naprawdę istnieje, a choć jest bardzo, bardzo niewielka, Moist czuł, że powinien przypominać o jej istnieniu. A poza tym lord Vetinari zawsze miał go na oku.

Tak więc wszyscy byli zadowoleni, a Moist chodził do pracy w bardzo czystym ubraniu i z bardzo czystym sumieniem.

Kiedy już umył się w osobnej łazience[[[11]](#footnote-11)](#11_1) i włożył wspomniane wyżej ubranie, Moist szedł na spotkanie żony, po drodze ćwicząc uśmiech i starając się zachować pogodny wyraz twarzy. Z Adorą Belle[[[12]](#footnote-12)](#12_1) nie było nic pewnego. Bywała całkiem cierpka — w końcu kierowała ostatnio całym systemem sekarów.

Lubiła też gobliny, dlatego ich grupka mieszkała teraz za panelami ściennymi, a inne pod dachem. Trochę cuchnęły, lecz ten zapach — kiedy już minął pierwszy szok — nie był aż taki zły. Za to gobliny wzięły sobie sekary mocno do serc w wychudłych piersiach — wszystkie, co do jednego. Bloczki i dźwignie je fascynowały. Moist wiedział, że gobliny zwykle kryją się w jaskiniach i innych niezdrowych miejscach, których człowiek woli unikać, ale teraz, kiedy nagle były traktowane jak ludzie, odkryły swój żywioł, którym okazało się niebo. Potrafiły wspinać się na sekarowe wieże szybciej, niż biegnie człowiek, a grzechotanie, stuki przesuwających się dźwigni i nieprzerwanie ruchliwa maszyneria sekarów przyciągały je z nieodpartą siłą.

Już teraz, ledwie kilka miesięcy od przybycia do miasta, gobliny zdołały trzykrotnie zwiększyć efektywność sekarów na liniach Równin Sto. Były istotami ciemności, jednak posiadały zadziwiającą percepcję światła. Cała ich zjadliwość[[[13]](#footnote-13)](#13_1) mieszkała na dachu, ale jeśli ktoś chciał, żeby sekary działały naprawdę szybko, starał się nie używać tego terminu. Złe potwory z książek dla dzieci znalazły wreszcie swoje miejsce w społeczeństwie. Potrzebna była tylko technika.

\* \* \*

Kiedy Dick Simnel wkroczył do kompleksu sir Harry’ego Króla, nie miał pojęcia, jak się rozmawia z wielkim państwem. Mimo to zdołał jakoś przegadać ludzi pracujących od frontu, którzy wyglądali na zgorzkniałych i za swój obowiązek uważali dopilnowanie, by nikt nigdy nie mógł się spotkać z sir Harrym Królem. Zwłaszcza tacy trochę brudni młodzi ludzie z szaleństwem w oczach, starający się wyglądać elegancko mimo bardzo starego ubrania, któremu — zdaniem tych odźwiernych — czegoś jednak brakowało, pewnie ogniska. Jednakże Dick okazał się uparty jak osa i ostry jak brzytwa, w końcu stanął w pozie petenta przed biurkiem głównego szefa.

Harry był czerwony na twarzy i wyglądał na zniecierpliwionego.

— Czas to pieniądz, mój chłopcze, a ja jestem człowiekiem zapracowanym — oświadczył. — Mówiłeś Nancy na recepcji, że masz coś, co może mnie zaciekawić. No więc przestań się wiercić i popatrz mi w oczy, prosto znaczy. Bo jeśli jesteś kolejnym cwaniakiem, który chce mnie wykiwać, to zanim się obejrzysz, polecisz po tych prznych schodach[[[14]](#footnote-14)](#14_1).

Przez chwilę Dick patrzył na Harry’ego bez słowa.

— Szanowny panie sir Królu — zaczął. — Zrobiłem taką machinę, co może wozić ludzi i towary właściwie to wszędzie, i ona nie używa koni, tylko jeździ na wodzie i węglu. To moja machina, ja ją zbudowałem i mogę ją jeszcze poprawić, gdyby zechciał szanowny pan uznać za celowe dopomożenie mi jakąś inwestycją.

Harry Król wyjął z kieszeni ciężki złoty zegarek. Dick nie mógł nie zauważyć słynnych złotych pierścieni, które — jak słyszał — sir Harry zawsze nosił, być może jako towarzysko akceptowalny i niezwykle kosztowny kastet.

— Czy dobrze zrozumiałem? Pan Simnel, zgadza się? Dam panu pięć minut, żeby mnie zaciekawić. Ale jeśli jesteś pan jeszcze jednym kanciarzem, wylecisz pan stąd o wiele szybciej, niż pan wszedłeś.

— Moja stara matka zawsze mi powtarzała, że zobaczyć to uwierzyć, panie Król, więc się żem przygotował. I jak mi pan da trochę czasu, żeby ściągnąć chłopaków z końmi... — Dick odchrząknął i mówił dalej: — Muszę przyznać, panie sir Harry, żem sobie pozwolił je zaparkować zaraz koło pana firmy, bo pogadałem z ludźmi i mówili, że jak Harry Król chce, coby się coś zaczęło dziać, to chce, coby się działo szybko.

Zawahał się. Czyżby dostrzegł błysk w oku Harry’ego?

— No tak... — zaburczał nieco teatralnie magnat. — Młody człowieku, co prawda czas to pieniądz, ale słowa są tanie. Wyjdę za pięć minut i lepiej, żebyś miał wtedy coś do pokazania.

— Dziękuję, sir Królu, to bardzo łaskawie, ale musim najpierw zagrzać kocioł, więc się zakręci za niecałe dwie godziny, sir.

Harry Król wyjął z ust cygaro.

— Co? Co się zakręci?

Dick uśmiechnął się nerwowo.

— Sam pan zobaczy, sir, sam pan zobaczy.

Niedługo potem, w sam czas, dym i para spowiły cały kompleks, a Harry Król zobaczył i rzeczywiście się zdumiał.

\* \* \*

Zdumiał się bardzo. W tej metalowej konstrukcji było coś owadziego, jakieś kawałki wirowały bezustannie, a całą machinę spowijały kłęby pary i dymu, jakie sama wytwarzała. Harry King zobaczył przed sobą ucieleśnienie efektywności. W dodatku efektywności, która nie weźmie wolnego dnia na pogrzeb babci.

— Mówiłeś, że jak to się nazywa, mój chłopcze?! — zawołał, przekrzykując hałas.

— Żelazna Belka, proszę pana. Maszyna, która wykorzystuje rozszerzanie i szybkie skraplanie pary do wytwarzania energii. Energii dla lokomocji... to znaczy ruchu, proszę pana. A jeśli nam pan pozwoli ułożyć tory, wtedy pokażemy, do czego jest zdolna.

— Tory?

— Tak, proszę pana. Bo ona jeździ po żelaznej drodze. Zobaczy pan.

Nagle, gdy Wally pociągnął za dźwignię, rozległo się wycie banshee w rui.

— Przepraszam szanownego pana, ale musielim upuścić pary. Tu chodzi o to, żeby ją okiełznać. Słyszał szanowny pan, jak śpiewa. Bo ona chce ruchu. Energia się marnuje, kiedy ona tak sobie tu stoi. Szanowny pan da mi trochę czasu, to położymy próbny tor dookoła. Obiecuję, że puścimy ją szybko.

Harry umilkł, co było u niego niezwykłe. Dudnienie maszyny działało niczym zaklęcie. Znowu nad okolicą zabrzmiało metaliczne wołanie pary — jakby duszy zagubionej — i Harry odkrył, że nie może odejść. Nie był człowiekiem skłonnym do zadumy i innych głupot, ale tutaj pomyślał, że temu, no... warto się bliżej przyjrzeć. Zauważył twarze zbierających się za ogrodzeniem gapiów, gobliny przeciskające się, by popatrzyć na tego nowego wściekłego demona, który jednak znajdował się pod pełną kontrolą dwóch chłopaków w kaszkietach i z zębami, o których nie warto nawet wspominać.

Uporządkował myśli jak należy i rzekł do Dicka Simnela:

— Panie Simnel, dam panu dwa dni, nie więcej. Ma pan swoją szansę i niech jej pan nie zmarnuje. Jak mówiłem, jestem człowiekiem zapracowanym. Dwa dni, żeby pokazać mi coś, co mnie zadziwi. Proszę działać.

\* \* \*

Krasnoludy i ludzie słuchali w skupieniu starzyka siedzącego w kącie pod Melasowym Górnikiem[[[15]](#footnote-15)](#15_1), prawdopodobnie człowieka, ale z brodą, z jakiej każdy szanujący się krasnolud byłby dumny. Starzec wyraźnie dzielił się z innymi swą wiedzą o świecie kopania melasy.

— Siądźcie tu bliżej, chłopaki, napełnijcie mi dzban, a ja opowiem wam historię o tym, co mroczne i lepkie.

Spojrzał wymownie na pusty kufel, rozległy się śmiechy, a jakaś dobra dusza zamieniła naczynie na pełne. Starzyk pociągnął piwa i zaczął opowiadać.

Przed laty nieoczekiwanie odkryto głębokie złoża melasy — wiele sążni pod Ankh-Morpork, a jak wie każdy melasowy górnik, im niżej spoczywa melasa, tym lepszą ma teksturę, a zatem smak. W tym czasie niewielkie były tarcia między klanami krasnoludów, przynajmniej w Ankh-Morpork, więc problem, kto dostanie zgodę na wydobycie, został rozwiązany w przyjaźni przez ludzkich i krasnoludzich starzyków.

Wszyscy przyznawali, że jeśli chodzi o prace pod ziemią, nie ma nikogo lepszego niż krasnoludy, jednak — ku rozpaczy starszych górników — bardzo niewielu młodszych krasnoludów w Ankh-Morpork interesowało się górnictwem w dowolnych okolicznościach. Dlatego siwi starzykowie zachęcali do pracy pod szacownymi ulicami Ankh-Morpork wszystkich miejscowych górników dowolnego gatunku. Chcieli po prostu znowu widzieć odpowiednio produkowaną melasę. Zatem górnicy, kimkolwiek byli, zajęli się lepkimi sprawami poszukiwania głębokiej migotliwej melasy.

Coś się jednak wydarzyło w okolicach Włości, gdzie krasnoludy pracowały nad porządną żyłą, której część znajdowała się pod terenem należącym wówczas do dolnego króla krasnoludów. W tych niezbyt odległych czasach polityczne relacje ludzi i krasnoludów były nieco napięte.

W dniu, kiedy sytuacja osiągnęła punkt zapalny, nastąpił nagły zawał ciemnego toffee, niezwykle cennego i bardzo rzadkiego, jednak budzącego strach każdego melasowego górnika, a to z powodu tendencji spontanicznego kolapsu i zalewania tuneli. Według naocznych świadków pod ziemią pracowali i ludzie, i krasnoludy, podczas gdy na powierzchni politycy kłócili się po obu stronach politycznego rozdziału. Zawał nastąpił w większej części po stronie ludzkiej i wielu ludzi zostało uwięzionych w potopie niepowstrzymanej lepkości.

Tu opowiadający zawahał się na moment.

— A może to było po stronie krasnoludów, kiedy się nad tym zastanawiam... — dodał. Zrobił zakłopotaną minę. — Zresztą to bez znaczenia, kim byli ci górnicy, to wszystko działo się dawno temu — podjął. — Eksploatujący tę żyłę z drugiej strony zawału słyszeli, że jest tam wielu górników uwięzionych i tonących w pochodnych oczyszczonego cukru, więc powiedzieli: „Chodźcie, chłopaki, bierzmy sprzęt i spróbujmy ich stamtąd wyciągnąć”.

Starzyk zamilkł na chwilę, możliwe, że dla lepszego efektu, nim podjął:

— Ale to oczywiście znaczyło, że muszą wkroczyć na obcy teren, a więc przejść przez dwie bariery strzeżone przez uzbrojonych gwardzistów. Gwardzistów, którzy w dodatku nie przejmowali się zbytnio górnikami, ale na pewno nie zamierzali wpuszczać nieprzyjaciela na swoje suwerenne terytorium.

Kolejna znacząca pauza i opowieść ruszyła dalej. Wszyscy górnicy stłoczyli się przy barierach. „Nie damy im rady — stwierdził któryś. — Oni mają broń”. Potem spojrzeli po sobie, jakby coś im nagle przyszło do głowy. I ktoś inny wrzasnął: „My też mamy, jak się tak nad tym zastanowić, a nasza jest większa!”. Po czym mówiący zamachał w powietrzu ciężką pięścią i dodał: „W dodatku my tu codziennie kopiemy, a nie tylko stoimy i dobrze wyglądamy”.

I jak jeden krasnolud — a może jak jeden mąż — ruszyli na zaporę. Widząc, że nie wychodzi im budzenie strachu, gwardziści rzucili się do ucieczki przed falą atakujących z łopatami i kilofami. Sześćdziesięciu górników uratowano tego dnia z bardzo lepkiej sytuacji po obu stronach złoża.

Potem oficjalnie nie wydarzyło się nic więcej, ponieważ czynniki oficjalne nie chciały brać na siebie nawet najdrobniejszej cząstki wstydu.

Starzyk rozejrzał się z dumą, jakby sam był jednym z tych górników, co zresztą wydawało się całkiem możliwe. Ktoś znowu napełnił mu kufel.

— Jasne, to było za dawnych czasów — oświadczył z westchnieniem. — Szkoda, że już minęły.

\* \* \*

Zbliżał się koniec drugiego dnia, kiedy Simnel i jego ludzie puścili sapiącą wolno Żelazną Belkę po krótkim kolistym torze na terenie kompleksu Harry’ego Króla.

A Harry nie mógł nie zauważyć, że machina się zmieniła i teraz wygląda na bardziej wygładzoną niż poprzednio. Prawdę mówiąc, pomyślał, skłonny byłby nazwać ją „smukłą”, choć trudno myśleć, że jakieś pięćdziesiąt ton żelaza jest smukłe, ale owszem, dlaczego by nie? Machina zresztą nie powinna być piękna — a była. Dudniąca, cuchnąca, warcząca i dymiąca, ale bardzo, bardzo piękna.

— Rozpędzamy ją powolutku, panie Harry — oświadczył z uśmiechem Dick. — Musimy dołożyć porządny balast, zanim damy jej przeć naprzód, ale kusząco wygląda, zgodzi się pan? A kiedy już ją rozbudujemy, jak już dołożymy wagony i takie tam, nie da się jej zatrzymać.

I znowu to samo... Tak naprawdę ten parowy powóz powinien być „nim”, pomyślał Harry. Ale „ona” przylgnęła jakoś i trzymała.

Po chwili krzaczaste brwi Harry’ego zjeżyły się jeszcze bardziej. Chłopak wyraźnie zna się na rzeczy, a mówił, że ta machina może przewozić ludzi i towary... Ale kto chciałby jeździć na takim wielkim i dudniącym potworze?

Z drugiej strony cały teren pachniał parą, węglem i gorącym smarem — męskie, zdrowe zapachy... Tak, da mu jeszcze trochę czasu. Może z tydzień. W końcu węgiel nie jest drogi, a tym chłopakom nic przecież nie płaci.

Harry Król uświadomił sobie, że jest niezwykle szczęśliwy. Tak, mogą dostać jeszcze trochę czasu. I zapach jest dobry, całkiem inny od tych, które Effie musiała znosić od lat. O tak, stanowczo mogą jeszcze popracować, choć trzeba trzymać młodziaków na baczność.

Uniósł wzrok. Wieże sekarowe mrugały nieprzerwanie i Harry Król zobaczył przyszłość.

\* \* \*

Wiatr ponad wieżami sekarów dmuchał od strony Osi, chłodny i równy, i Adora Belle Dearheart wyobrażała sobie, że widzi stąd krawędź świata. Ceniła takie chwile. Przypominały jej czasy, kiedy była młoda, naprawdę młoda, kiedy mama wywieszała jej kołyskę ze szczytu wieży, a sama kodowała, pozwalając córce wydawać radosne dziecięce odgłosy kilkaset stóp nad ziemią. Podobno pierwsze słowa, jakie wypowiedziała Adora, brzmiały „suma kontlolna”.

A teraz widziała sterczącą ponad mgłami iglicę Cori Celesti migoczącą niczym ogromny zielony sopel lodu. Podśpiewywała sobie, dociskając wrzeciona na górnej galerii. Wyrwała się z biura tak daleko, jak tylko mogła, i czuła się z tym świetnie. Właściwie to z góry widziała nawet to swoje biuro. Prawdopodobnie widziała z góry wszystkie biura, ale w tej chwili regulowała niewielkie mechanizmy i rozkoszowała się światem, gdzie mogła wyciągnąć rękę i dotknąć słońca, przynajmniej metaforycznie.

Z tej zadumy wyrwało ją przybycie jednego z goblinów z wieży.

— Przynoszę dwadzieścia wrzecion i manierkę kawy, bardzo higieniczna, sam umyłem kubek własnoręcznie. Ja. Ze Zmierzchu Ciemność — oznajmił z dumą.

Adora Belle spojrzała na twarz, do której pokochania niezbędny byłby batalion emocjonalnych matek, ale uśmiechnęła się.

— Dziękuję panu. Muszę przyznać, że naprawdę dobrze się aklimatyzujecie jak na kogoś, kto prawie całe życie spędził w jaskiniach. Trudno uwierzyć, że nie przeszkadza panu wysokość. To naprawdę zadziwiające. I bardzo dziękuję, to dobra kawa i jeszcze ciepła.

Ze Zmierzchu Ciemność wzruszył ramionami, jak tylko gobliny potrafią. Efekt był taki, jakby węże tańczyły w worku.

— Pani szefie, gobliny łatwo się aklimatyzują. Nie ma aklimatyzacji, nie ma życia. A poza tym wszystko na dole dobrze idzie, żaden problem. Gobliny mają szacunek. A co u pana Nieco Wilgotnego?

— U Moista wszystko dobrze, przyjacielu, dziękuję. I na pewno wie pan, że nie lubi imienia, które gobliny mu nadały. Uważa, że robicie mu na złość.

— Chce pani, żeby przestać?

— Och, nie. To dla niego lekcja pokory. A w tej dziedzinie powinien chyba iść na uniwersytet.

Goblin uśmiechnął się konspiracyjnie. Widział, że Adora stara się powstrzymać śmiech, a w górze sekary wysyłały swe wiadomości do świata.

Adora Belle potrafiłaby niemal odczytywać te wiadomości, tylko patrząc, ale do tego trzeba być bardzo, bardzo szybkim — a gobliny były jeszcze szybsze. I kto by w ogóle pomyślał, że mają tak czuły wzrok? Przy użyciu nowych, udoskonalonych zestawów przesłon, w warunkach nocnych najlepsi ludzcy obserwatorzy potrafili rozróżnić cztery do pięciu, najwyżej sześć kolorów w bardzo jasne noce. Ale choć trudno w to uwierzyć, gobliny, które dopiero co wyszły z jaskiń, w jakiś nadprzyrodzony sposób umiały nawet zidentyfikować purpurowobrązowy jako przeciwieństwo różowego, a większość ludzi nie miałaby pojęcia, że to purpurowobrązowy, choćby go zobaczyli z bliska.

Adora Belle zerknęła na Ze Zmierzchu Ciemność i raz jeszcze musiała w duchu przyznać, że dzięki goblinom sekarowe połączenia były teraz szybsze, dokładniejsze i doskonalsze. Jak mogła im się odwdzięczyć za ten wzrost efektywności? Gobliny nie zawsze nawet pamiętały, żeby odebrać wypłatę. Lubiły szczury, których nigdy nie brakowało, ale ponieważ była szefem[[[16]](#footnote-16)](#16_1), uważała za swój obowiązek przekonanie ich, że można robić wiele różnych rzeczy poza kodowaniem i dekodowaniem sekarowych przekazów. Dreszcz ją przeszedł. Gobliny aktywnie i obsesyjnie lubiły pracować, przez cały dzień i w miarę możliwości także całą noc.

Wiedziała, że skoro ma na drzwiach tabliczkę SZEF, to w teorii powinna się troszczyć o ich dobrobyt. Tylko że one same nie dbały o własny dobrobyt. Chciały kodować i dekodować, przerywając jedynie na czas, kiedy zjawiała się pani trollowa z wózkiem ze szczurami. Poważnie! Lubiły swoją pracę. Więcej niż lubiły — żyły nią. Ilu szefów musi chodzić po firmie i tłumaczyć pracownikom, że naprawdę powinni już skończyć i iść do domów? One nie chodziły do domów, one chciały przez całą noc tkwić na stanowiskach i w szarych godzinach przedświtu gawędzić sekarowo z goblinami w innych wieżach. Zdawało się, że wolą te pogaduszki od jedzenia; nawet spały w wieżach, wyciągając wąskie sienniki, kiedy natura zmuszała je do drzemki.

Adora Belle przekonała radę nadzorczą, że należy powołać fundację na czas, kiedy gobliny i ich dzieci pomyślą o możliwym awansie społecznym. I tak, w krótkim czasie od chwili, gdy niezwykły talent muzyczny Łez Grzybów został zaprezentowany wyższym sferom towarzyskim Ankh-Morpork, gobliny stały się ludźmi. Dziwnymi ludźmi, owszem, ale jednak. Oczywiście pozostał jeszcze zapach, ale nie można mieć wszystkiego.

\* \* \*

Wieści o takich ciekawostkach ogarniają Ankh-Morpork niczym epidemia wstydliwej choroby, myślał sir Harry Król następnego popołudnia, patrząc na ludzi tłoczących się przy bramach i parkanie wśród powszechnego szmeru domysłów. Harry znał swych współobywateli od dołu do góry, można powiedzieć — chętnych niewolników wszystkich nowości i rzeczy niezwykłych, gapiów z powołania. Wszyscy w tłumie jak jeden obracali głowy niczym stado szpaków, by śledzić Żelazną Belkę — a Żelazna Belka przez cały czas sunęła z głośnym sapaniem, Dick Simnel machał z platformy, a w powietrzu było pełno sadzy i dymu.

Jednak wszystkim się to podoba, myślał Harry. Nikt się nie skrzywił, nie wystraszył. Pojawiła się wśród nich bestia znikąd, ognisty smok, cały w dymie i iskrach, a oni podnoszą dzieci, żeby mogły go obejrzeć, i machają rękami, gdy ich mija.

Co za dziwna magia... nie, poprawił się, co za dziwna mechanika potrafiła to osiągnąć? Oto przybyła bestia, a oni ją kochają...

Muszę sobie zapamiętać te nowe słowa, myślał Harry, wychodząc z gabinetu: „platforma”, „kocioł”, „zwrotny”, „dwusiarczek molibdenu”[[17]](#footnote-17) i cały trudny, ale fascynujący język pary.

Zauważywszy, że Harry go obserwuje, Dick Simnel pozwolił Żelaznej Belce, by stopniowo zwalniała, aż zatrzymała się z ledwie dostrzegalnym szarpnięciem. Dick zeskoczył z platformy i ruszył w jego stronę, a Harry dostrzegł tryumfalny błysk w jego oku.

— Dobra robota, mój chłopcze — pochwalił. — Ale bądź ostrożny, bardzo ostrożny. Przyglądałem się twarzom ludzi przyciskających nosy do mojego parkanu, ich policzkom i czołom tłoczonym we wzorek, można powiedzieć. Są zafascynowani, a zafascynowani ludzie wydają pieniądze. W interesach najważniejsze jest ustalenie, do kogo ta gotówka trafia. Tak to wygląda, mój chłopcze, to prawdziwa dżungla, a ja jestem więcej niż multimilionerem, o wiele więcej. W tej dżungli jestem gorylem. Wiem, że serdeczne uściski dłoni są bardzo miłe i przyjazne, ale kiedy chodzi o interesy, nic nie zrobisz bez przeklętego prawnika. Więc podaj mi nazwisko swojego, a mój prawnik się z nim skontaktuje, żeby mogli się po prawniczemu dogadać, dodając swoje dolary. Nie chcę, żeby ktoś potem opowiadał, jak to Harry Król obrobił chłopaka, który ujarzmił parę.

Odetchnął.

— Do pewnego momentu będę cię finansował, jasna sprawa, bo uważam, że ta twoja machina ma wielkie, ogromne możliwości. Zdobyłeś moje zainteresowanie, a kiedy azety się o tobie dowiedzą, zdobędziesz zainteresowanie wszystkich.

Dick wzruszył ramionami.

— No więc, panie sir Harry, to świetnie, że mi pan daje szansę. Wszystko, co pan zasugeruje, mnie odpowiada.

— Nie! Nie! Nie! — Harry niemal krzyczał. — Lubię cię, chłopcze, naprawdę, ale biznes to ten, no... biznes to biznes, znaczy. — Twarz Harry’ego z gniewu nabrała barwy purpurowobrązowej. — Nie możesz tak chodzić i każdemu tłumaczyć, że weźmiesz, co zechce ci dać! Targuj się, chłopcze! Nie rób maślanych oczu, tylko twardo się targuj!

Dick milczał przez chwilę.

— Panie Królu — rzekł wreszcie. — Zanim wyruszyłem do Ankh-Morpork, rozmawiałem o różnych sprawach z moją mamą, bardzo sprytną damą. Musi taka być, skoro mój ojciec jest gdzieś tam w eterze, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. I powiedziała mi: Jeśli ktoś zechce robić interesy w wielkim mieście, Dick, udawaj prostego i zobacz, jak cię potraktuje. Jeśli cię potraktuje uczciwie, takiego prostaczka, to pewnie możesz mu ufać. Potem możesz takiemu pokazać, jaki jesteś mądry. No więc, sir Królu, tak mi się wydaje, że jesteś uczciwy jak solidny obiad. Znajdę sobie jakiegoś prawnika. — Zawahał się. — Ehm... Gdzie znajdę prawnika, któremu można wierzyć? Bo może nie jestem taki mądry, jak mi się wydaje...

Sir Harry roześmiał się serdecznie.

— Ciężkie zadanie, chłopcze, i tak się składa, że całkiem niedawno sam musiałem sobie zadać to pytanie. Nie dalej jak wczoraj mój przyjaciel Mustrum Ridcully z Niewidocznego Uniwersytetu opowiadał mi o jednym; tak bardzo nie kręci, że można go używać zamiast linijki. Może twoje chłopaki będą dalej pokazywać ludziom Żelazną Belkę, a ty pojedziesz ze mną moim powozem, choć nie dorównuje temu, który tu przywiozłeś, co? No, idziemy, chłopcze, nie ma na co czekać.

\* \* \*

W gabinecie w siedzibie Gildii Prawników Harry Król i Dick Simnel spotkali się z panem Gromem, zaskakująco potężnym i — zaskakująco — trollem. Trollem o głosie jak płynąca wolno lawa.

— Z pewnością zechcą panowie poznać moje referencje. Jestem członkiem Ankhmorporskiej Gildii Prawników i odbyłem aplikację u pana Slanta — mówił pan Grom. — Oprócz prowadzenia praktyki w Ankh-Morpork jako jedyny troll mam dodatkowo akredytację prawnika w dziedzinie dolnego króla. Nawiasem mówiąc, sir Harry, jestem też bratankiem diamentowego króla trolli, choć muszę przy tym dodać, że natura trollowych rodzin powoduje, iż określenie „bratanek” nie oddaje sytuacji w pełni.

Mówił głosem profesora, ale takiego, który postanowił wykładać w pełnej ech jaskini. Rysy twarzy miał mniej więcej takie jak wszystkie trolle, chyba że ktoś specjalnie szukał pewnych znaków i rozpoznawał staranną murarkę, bogactwo roślinności w widocznych zagłębieniach ciała oraz — nie najmniej ważne — ulotne lśnienie, może połyskiwanie, chwytające światło delikatnie i dyskretnie, a jednak nieodparcie obecne.

— I tak, jestem diamentem do głębi i na wylot, a zatem nie mogę kłamać z obawy, że się rozkruszę. Co więcej, nie mam zamiaru podejmować takich prób. Odnoszę wrażenie, panowie, na podstawie tego, co mi powiedzieliście, że obaj prezentujecie zgodny pogląd, żaden z was nie chce grać nieuczciwie i obaj zamierzacie zachowywać się wobec siebie przyzwoicie. Zatem, przy tej okazji, choć moi koledzy z gildii mogą tego nie aprobować, proponuję, że będę działał jako mediator i prawnik obu panów. Sprawiedliwość trolli jest zadziwiająco prostolinijna i pragnąłbym jedynie, by było to prawdą także u innych. Jednakże, gdybyście panowie rozwiązali porozumienie, w konsekwencji nie będę mógł reprezentować żadnego z was.

Grom się uśmiechnął i niewielkie rozbłyski zajaśniały w pokoju niczym pokaz fajerwerków.

— Przygotuję krótki dokument, który w innym miejscu mógłby zostać nazwany zgodą na ugodę. I będę stawał nie po stronie któregoś z was indywidualnie, ale po stronie was obu. Jestem diamentem i nie mogę pozwolić, by stała się niesprawiedliwość. Sugeruję, panowie, byście kontynuowali wasz projekt, który wydaje mi się zadziwiający, a mnie zostawili sprawy formalne. Z przyjemnością spotkam się z wami jutro przy kompleksie.

W powozie Harry i Dick milczeli. Dopiero po chwili odezwał się Dick:

— Miły był, nie? Jak na prawnika.

\* \* \*

Zanim dotarli do kompleksu, goblin Billy Ślizg, który od wielu lat pracował dla Harry’ego, znalazł się w stanie drżączki, choć o tym nie wiedział, gdyż nie znał takiego słowa. Czekał przy bramie, kiedy powóz się zatrzymał.

— Zamknąłem bramę, sir Harry — oświadczył rozgorączkowany. — Ale wygląda na to, że zaczną się wspinać na wszystko co można, żeby tylko zobaczyć to... to coś. Powtarzam im, że to nie wesołe miasteczko.

Dzień już gasł, lecz gapie wciąż śledzili krążącą po torach Żelazną Belkę kierowaną przez zespół Dicka Simnela; od czasu do czasu strzelała w mrok snopami iskier, jakby dawała wszechświatowi sygnał, że para zostanie tu już na stałe. A kiedy większość ludzi niechętnie wróciła do domów na kolację, grupka goblinów Harry’ego wśliznęła się do kompleksu, by zobaczyć cud tego stulecia. Rzeczywiście się wślizgiwały, pomyślał Harry, nie całkiem jak włamywacze, ale po prostu dlatego, że ciało przeciętnego goblina rodziło się do wślizgiwania. Tyle że w tej chwili raczej tańczyły dookoła Żelaznej Belki, a chłopcy Simnela musieli przerwać pracę, żeby nie dopuszczać cienkich goblinich palców do niebezpiecznych miejsc.

Żelazna Belka stała w miejscu, z rzadka wypuszczając kłąb pary lub dymu. W zapadającym zmierzchu Harry słyszał cienkie głosy, bezustannie wypytujące mechaników:

— A co robi ten tutaj, pszepana?

— Co się stanie, jeśli to popchnę, pszepana?

— Widzę, pszepana, że ona się łączy z armaturą dmuchorury...

Dick i Harry podeszli do Dave’a i Wally’ego, którzy stali obok Żelaznej Belki i odpowiadali na kanonadę pytań. Harry spodziewał się narzekań, a przekonał się, że chłopcy są szeroko uśmiechnięci.

— Chyba łapią, o co tu chodzi, proszę pana! — stwierdził Wally. — Ano! Wszystkiego są ciekawi! Musim mieć na nich oko, ale wychodzi na to, że rozumieją bez gadania. Nie do wiary!

Harry był zadziwiony. Dość lubił te małe łobuzy, jak każdy pracodawca dosyć lubi każdego, kto ciężko pracuje, ale w jaki sposób zyskały pojęcie o machinach parowych? Muszą to mieć w naturze. Ich brudne twarzyczki rozjaśniały się uśmiechami na widok czegokolwiek metalowego i skomplikowanego. To chyba znak czasów, uznał, i wydaje się, że to czasy dobre dla goblinów.

Simnel milczał przez chwilę, jakby czekał, aż wewnętrzne ciśnienie pary przepchnie następną myśl.

— Można pomyśleć — rzekł ostrożnie — że rodzą się do tego.

— Przyznam, że nie jestem zaskoczony, Dick — odparł Harry. — Sekarowcy powtarzają to samo. To niesamowite, ale one jakoś instynktownie rozumieją mechanizmy. Musicie uważać, bo lubią rozłożyć wszystko na części, żeby sprawdzić, co do czego służy. No ale kiedy już zrozumieją, jak wszystko działa, składają z powrotem. Nie są złośliwe, po prostu lubią majstrować przy tym, co najlepsze, i wiesz, czasem nawet coś udoskonalą. Możesz to wytłumaczyć? Ale na twoim miejscu dopilnowałbym, żeby jeden z was spał w nocy pod Żelazną Belką, na wypadek gdyby akurat wpadły na jakiś świetny pomysł.

\* \* \*

Następnego dnia Moista von Lipwiga delikatnie zbudził Crossly, który jak dotąd nie zdołał pojąć stosunku swego pracodawcy do snu. Stosunek ten został więc wyrażony przez odwrócenie się Moista na drugi bok i uwagę:

— Błebłe błebłe wrm błebłe wrm błebłe zostaw!

Procedura została powtórzona trzy minuty później, wywołując tę samą reakcję, tym razem z akcentem na ostatnim słowie, wypowiedzianym po trzykroć, coraz głośniej.

Następnie — a ściślej mówiąc, piętnaście minut później — Moista von Lipwiga wyrwało z objęć snu niezbyt łagodne ukłucie miecza należącego do przedstawiciela ankhmorporskiej gwardii pałacowej. Moist nie lubił ludzi tego gatunku, ponieważ byli flegmatyczni i tępi. Podobnie jak znacząca większość Straży Miejskiej, w opinii Moista, ale strażnicy byli przynajmniej głupi kreatywnie i na ogół zabawnie, więc o wiele bardziej interesująco. Można było z nimi rozmawiać, czyli budzić w nich zakłopotanie, podczas gdy gwardziści z pałacu... No cóż, potrafili tylko kłuć mieczami i dobrze im to wychodziło. Lepiej było im się nie sprzeciwiać, więc Moist — obeznany z takimi sytuacjami — ubrał się i ponury ruszył za gwardzistami do pałacu, z pewnością na audiencję u lorda Vetinariego.

Patrycjusz, co niezwykłe, nie siedział przy biurku. Stał przy wielkim błyszczącym stole zajmującym połowę Podłużnego Gabinetu. Właściwie to się bawił. Wydawało się to wręcz śmieszne, ale trudno byłoby zaprzeczyć: w skupieniu obserwował dziecięcą zabawkę, jakiś wózek czy rodzaj powoziku na metalowym torze; wózek sunął nieprzerwanie w kółko, nie dając szans na zrozumienie powodów.

Moist chrząknął głośno i Patrycjusz się wyprostował.

— Ach, pan Lipwig. Jak miło, że zechciał pan się zjawić... w końcu. Niech pan powie, co pan o tym myśli.

— To dziecięca zabawka, sir — odparł zaskoczony Moist.

— W rzeczywistości to bardzo dobrze wykonany model czegoś o wiele większego i daleko bardziej niebezpiecznego.

Vetinari podniósł głos, jakby zwracał się nie tylko do Moista, ale do świata jako całości.

— Niektórzy mogliby powiedzieć, że łatwo byłoby mi zapobiec czemuś takiemu. Sztylet wsuwający się gdzieś bezgłośnie, kilka kropli strąconych do kielicha wina gdzie indziej... Wiele problemów zostałoby rozwiązanych jednym pociągnięciem. Dyplomacja, można powiedzieć, w ostrzejszej wersji, godna pożałowania, ale niepodlegająca dyskusji. Ludzie mogą mi zarzucać, że nie poświęcałem należnej uwagi i poprzez własną niedbałość pozwoliłem, by trucizna wsączyła się do wyobraźni świata i zmieniła ją nieodwracalnie. Być może mogłem podjąć jakieś działanie, kiedy pierwszy raz zobaczyłem, jak Leonard z Quirmu rysuje coś bardzo podobnego do tej małej zabawki na marginesie swego obrazu Hrabina Quatro Fromaggio przy toalecie. Ale oczywiście prędzej bym strzaskał najcenniejszą antyczną wazę, niż pozwolił, by krzywdy doznał choć jeden włos na tej niezwykle użytecznej i szacownej głowie. Myślałem, że tę zabawkę czeka los jego machin latających: pozostanie zabawką. A teraz doszło do tego... Człowiek zwyczajnie nie może zaufać mechanikom. Konstruują straszne rzeczy z czystego zamiłowania, bez mądrości, bez zdolności przewidywania, bez odpowiedzialności. I prawdę mówiąc, chętnie zobaczyłbym ich zakutych gdzieś, gdzie nie mogą narobić szkód.

Lord Vetinari zamilkł na moment, po czym dodał:

— I w jednej chwili mógłbym sprawić, że tak się stanie, gdyby nie przykry fakt, panie Lipwig, że ci nędznicy są tak piekielnie przydatni...

Westchnął, budząc niepokój Moista. Moist nigdy nie widział jego lordowskiej mości tak zagubionego jak teraz, gdy patrzył uważnie na mały powozik krążący po torach i wypełniający pokój zapachem denaturatu. Było w tej zabawce coś hipnotycznego, przynajmniej dla Patrycjusza.

Moist poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się szybko i zobaczył za sobą łagodnie uśmiechniętego Drumknotta.

— Sugeruję udawać, że niczego pan nie słyszał, panie Lipwig — szepnął sekretarz. — To najlepsze wyjście, zwłaszcza kiedy jego lordowska mość znajdzie się w chwilowo posępnym nastroju... Jednym z istotnych powodów tego faktu jest oczywiście krzyżówka — mówił dalej, wciąż szeptem. — Wie pan, jak do nich podchodzi. Zamierzam osobiście napisać do wydawcy. Jego lordowska mość uznaje eleganckie jej zakończenie za test swojej integralności. Krzyżówka powinna być interesującą i kształcącą łamigłówką.

Jego normalnie różowa twarz poczerwieniała nagle.

— Na pewno nie została wymyślona jako forma tortur. I jestem przekonany, że nie ma takiego słowa jak lagniappa. Na szczęście jego lordowska mość potrafi szybko odzyskiwać spokój. I jeśli zechce pan zaczekać, aż zaparzę kawę, mogę się założyć, że znowu będzie sobą, zanim człowiek zdąży wymówić „wyrok śmierci”.

Tymczasem Vetinari jeszcze przez osiem minut wpatrywał się w ścianę, zanim wreszcie się otrząsnął. Spojrzał pogodnie na Drumknotta i nieco mniej ciepło przyjął do wiadomości obecność Moista. Moist tymczasem dyskretnie zerkał na niedokończoną krzyżówkę leżącą demonstracyjnie na stole.

— Panie — odezwał się z uśmiechem, ale i w najlepszych intencjach. — Dobrze wiesz, jestem pewien, że „lagniappa” pisze się inaczej, niż wymawia. To tylko luźna uwaga, sir. Staram się pomóc.

— Tak, wiem — odparł mrocznym tonem Vetinari.

— Mogę być pomocny w czymś jeszcze? — spytał Moist. Podejrzewał, że nie wyciągnięto go z łóżka do niedokończonej krzyżówki ani do podziwiania jakiejś zabawki.

Vetinari spojrzał na niego z góry i oświadczył lodowato:

— Ponieważ wreszcie zdecydował się pan do nas dołączyć w tym trudnym czasie, panie Lipwig, powiem panu, że żył sobie kiedyś niejaki Ned Simnel. Zbudował urządzenie mechaniczne napędzane w jakiś tajemniczy sposób, a przeznaczone do zbierania plonu. Obecne problemy zapewne wtedy miały swój początek, choć jego urządzenie szczęśliwie nie działało należycie i przejawiało tendencję do wybuchania i stawania w ogniu. Tym samym równowaga świata została utrzymana. Ale oczywiście ludzie, których pociąga majstrowanie, nadal majstrują w swoich szopach. Nie tylko to! Oni znajdują damy, dobre i rozsądne kobiety, które z niewyjaśnionych powodów zgadzają się ich poślubić, pomnażając małych majsterkowiczów. Jeden z nich, następca wspomnianego wyżej Simnela, najwyraźniej grzebał w szopie ojca i z pewnością się zastanawiał, czy w swej nieskończonej ciekawości zdoła osiągnąć to, czego jego ojciec niestety nie zdołał. W rezultacie ów młody człowiek stworzył machinę, która pochłania drewno i węgiel, a wypluwa płomienie i zanieczyszcza niebo, bez wątpienia przerażając także wszystkie żywe stworzenia na całe mile dookoła i wydając z siebie nieboskie hałasy. Tak mi przynajmniej przekazano. I wreszcie młody pan Simnel zdołał się przedostać do naszego dobrego przyjaciela sir Harry’ego Króla. I obaj najwyraźniej planują przedsięwzięcie, które, o ile mi wiadomo, nazywane jest... drogą żelazną.

Przerwał na krótką chwilę, nim podjął:

— Panie Lipwig, czuję nacisk przyszłości i na tym wirującym świecie można albo ją zniszczyć, albo nad nią zapanować. Mam nosa do takich spraw, podobnie jak miałem wobec pana. Dlatego zamierzam być jak ci mieszkańcy Czteriksów i surfować po fali przyszłości. Lekkie pchnięcie jej tu czy tam zawsze dawało pożądane skutki. A instynkt mi podpowiada, że ta nieszczęsna żelazna droga, która wydaje się problemem, może się jeszcze okazać zadziwiającym rozwiązaniem.

Moist przyglądał się posępnej twarzy Patrycjusza. Vetinari wymawiał słowa „droga żelazna” tonem podstarzałej księżnej, która znalazła w zupie coś niewymownego. Była w jego głosie całkowita wzgarda unosząca się wokół jak chmura. Kto jednak uważnie obserwował patrycjuszowską pogodę — a Moist był ekspertem meteorologii Vetinariego — mógł zauważyć, że czasami metaforyczne oberwanie chmury w krótkiej chwili zmienia się w piękny dzień w parku. Wyczuwał, że jego lordowska mość zaczyna się godzić z rzeczywistością, jaką widział przed sobą: niewielkie grymasy twarzy, zmiany postury... i cała litania myślenia Havelocka Vetinariego nagle błysnęła jednym z tych uśmiechów, o których Moist wiedział, że sygnalizują rozpoczęcie gry. Umysł lorda Vetinariego znowu pracował gładko i szybko.

— Mój powóz czeka na dole — oświadczył Patrycjusz, z każdym słowem odzyskując humor. — Chodźmy, panie Lipwig.

Moist wiedział, że wszelkie sprzeciwy nie zdadzą się na nic; wiedział też, że Vetinari z pewnością także jest tego świadom. Istnieje jednak coś takiego jak duma.

— Panie — powiedział więc — muszę zaprotestować. Czeka mnie wiele pracy. Z pewnością wiesz o tym dobrze.

Vetinari, w szacie powiewającej za nim jak chorągiew, znalazł się już w połowie drogi do drzwi. Był wysoki i miał długie nogi, na korytarzu Moist musiał biec, by dotrzymać mu kroku. Niekiedy przeskakiwał po dwa stopnie naraz; Drumknott pędził za nim.

— Panie Lipwig, w rzeczywistości wcale nie czeka pana wiele pracy — rzucił przez ramię jego lordowska mość. — Oczywiście jako główny poczmistrz, zastępca prezesa Królewskiego Banku Ankh-Morpork[[[18]](#footnote-18)](#18_1) i dyrektor Królewskiej Mennicy zatrudnia pan wielu bardzo inteligentnych ludzi, którzy pracują w pańskim imieniu. To prawda. Pańskie niezwykłe zżycie z nimi, pański talent skłaniania ich, by pana lubili wbrew wszelkim argumentom, i co dziwne, potem lubili pana nadal, muszę przyznać, czynią z pana doskonałego szefa i personel jest wobec pana wysoce lojalny. Ale w ostatecznym rozrachunku cała realna praca, jaką musi pan wykonywać, to niewielka kontrola od czasu do czasu.

Vetinari przyspieszył kroku i mówił dalej:

— A co możemy z tego wszystkiego wyciągnąć, jak nie usłyszałem, że pan pyta? No więc wyjaśnię panu. Mądry człowiek wyciąga z tego wniosek, że każdą przysługę warto oddać dobremu szefowi, a ja, panie Lipwig, jestem wręcz przykładowym i niezwykle cierpliwym pracodawcą. To oczywiste stwierdzenie wynika z faktu, że pańska głowa nadal wyraźnie spoczywa na pańskich ramionach, mimo że mogłaby się znajdować, powiedzmy, w och, jakże wielu innych miejscach.

\* \* \*

Kraina Llamedos szczyciła się byciem rozsądnie krasnoludzią. W rzeczywistości domem nazywało ją prawie tyle samo ludzi co krasnoludów. Ale że większość mieszkańców pracowała jako górnicy i byli generalnie albo niscy, albo zdradzali objawy niemal permanentnego wstrząsu mózgu, trzeba by naprawdę pilnie się przyglądać, żeby odróżnić jeden gatunek od drugiego. Zatem, jako że praktycznie nikt nie był wyższy niż pozostali, panowała tu powszechna przyjaźń, zwłaszcza że — choć na ogół się o tym nie rozmawiało — bogini miłości dopilnowała, by jej czar obejmował wszystkich po równo. A ponieważ się o tym nie rozmawiało, to... no cóż... to się o tym nie rozmawiało. I życie płynęło sobie dalej, skupione na wydobyciu złota — tych niewielkich ilości, które jeszcze zostały, rudy żelaza, tyle cynku i arsenu, ile dało się wyrwać z groźnej skały, no i oczywiście węgla. Gospodarkę wspomagały połowy przybrzeżne. Świat zewnętrzny pojawiał się w tym układzie jedynie wtedy, kiedy zdarzyło się coś naprawdę ważnego.

To było wczoraj. Bo dzisiaj coś się zdarzyło.

Statek przybił do nabrzeża w Pantygirdl, największym mieście Llamedos, zaraz po obiedzie. Obecność na pokładzie gragów, którzy przybyli tu głosić mieszkańcom miasta prawdy czystego krasnoludztwa, byłaby powitana bardziej radośnie, gdyby nie towarzyszyli im kopacze, grupa szturmowa gragów, których nigdy jeszcze nie widziano nad ziemią. Do tej pory Llamedosjanie byli całkiem zadowoleni, że gragowie robią to, co robią w dziedzinie ducha i przestrzegania jego zasad, przez co wszystko było wykonywane jak należy. Dzięki temu inni mogli dopilnować spraw nieistotnych, takich jak górnictwo, rybactwo i wydobywanie kamienia ze wzgórz.

Dziś jednak wszystko poszło przerażająco źle, ponieważ Blodwen Stopotrzask brała ślub z Davym Counterem, znakomitym górnikiem i rybakiem oraz — co ważne — człowiekiem, chociaż waga tego faktu nie wydawała się innym specjalnie, no... ważka. Praktycznie wszyscy w Pantygirdl znali ich i uważali, że to bardzo sensowny związek, tym bardziej że oboje bawili się razem jeszcze jako maluchy. A kiedy dorastali, ludzie zaczęli się zastanawiać — co ludzie zwykle czynią — nad szansami, by krasnolud i człowiek poczęli dziecko; uważali to za mało prawdopodobne, delikatnie mówiąc. Stwierdzili jednak między sobą, że w końcu miłości w tym związku nie brakuje, a co do dzieci, nikogo nie powinno to obchodzić. On i ona pasowali do siebie, kochali się, a że kopalnie i kutry zbierały swe żniwo górników i rybaków, nie brakowało sierot czekających na nowy dom we własnym kraju. W efekcie mieszkańcy Pantygirdl zgodzili się, że sytuacja jest jednak satysfakcjonująca dla tych, co pilnują własnych interesów. I życzyli szczęśliwej parze — a trzeba zaznaczyć, że oboje byli praktycznie tego samego wzrostu — wszystkiego najlepszego.

Niestety, gragowie i kopacze chyba mieli inne poglądy. Wyłamali drzwi kaplicy, a że mieszkańcy Llamedos nie należeli do osób, które zabierają ciężką broń na wesela, gragowie dysponowali wszystkimi atutami. I być może skończyłoby się to straszliwą masakrą, gdyby nie stary Fflergant, do tej pory siedzący spokojnie w kącie i nierzucający się nikomu w oczy. Gdy jednak wszyscy szukali kryjówek, on zrzucił płaszcz i pokazał, że należy do takich właśnie krasnoludów, którzy zabierają ciężką broń na wesele.

Zakręcił mieczem i toporem równocześnie, w przepięknym destrukcyjnym balecie, w bojowym wirze, aż w końcu okazało się, że wśród gości weselnych były tylko dwie ofiary. Niestety, jedną z nich była Blodwen, zabita przez graga, kiedy tuliła się do ramienia męża.

Zachlapany krwią Fflergant popatrzył na zaszokowanych gości.

— Znacie mnie — powiedział. — Wiecie, że nie lubię mieszanych małżeństw. Ale tak jak wy nie cierpię tych przeklętych gragów, drani jednych. Oby ich Szczelina pochłonęła.

\* \* \*

Karoca lorda Vetinariego pędziła po ulicach Ankh-Morpork, a Moist patrzył, jak rozstępują się przed nimi inne pojazdy i przechodnie. W końcu dotarli do Bramy Rzecznej i wyjechali z centrum. Teraz powóz toczył się po drodze biegnącej wzdłuż Ankh, w stronę Terenów Przemysłowych Harry’ego Króla, do świata dymów, oparów, a przede wszystkim niepożądanych odorów.

Ankh-Morpork starało się poprawić. A było co poprawiać w jego ciekawej historii pełnej romansów, powodzi, chorób i innych rozrywek. Mimo to obecnie kurs ankhmorporskiego dolara rósł coraz wyżej, a wraz z nim ceny nieruchomości. Zdumiewające, jak wielu ludzi chciało żyć w Ankh-Morpork, w przeciwieństwie do życia gdzie indziej (a może w przeciwieństwie do bycia martwym w Ankh-Morpork, co zawsze pozostawało otwartą opcją). Jednak, jak wszyscy wiedzieli, miasto dusiło się w uścisku starożytnego kamiennego gorsetu i nikt nie chciał tam być, kiedy — metaforycznie — pękną fiszbiny.

Miasto przelewało się na zewnątrz — jakże się przelewało! Pola uprawne dookoła, zawsze w cenie, teraz stały się terenem spekulacyjnego budownictwa[[[19]](#footnote-19)](#19_1). Była to cudowna gra i Moist w swym przeszłym życiu z pewnością włączyłby się do niej i zarobił fortunę, a raczej kilka fortun. Nawet teraz, kiedy lord Vetinari wyglądał przez okno, Moist słuchał zwodniczych syrenich pieśni o pieniądzach do zarobienia przez właściwego człowieka na właściwym miejscu. Ta czarowna wizja zawisła w powietrzu przez nader kuszącą chwilę.

Ankh-Morpork otaczała łatwa do wydobycia glina — więc gdyby skończył się krowi nawóz, nie brakowało leżącego tuż pod nosem materiału na cegły. Drewno łatwo było kupić od krasnoludów, dostarczane rzeką wprost na budowę. Po krótkim czasie człowiek dysponował już szeregiem nowych domów, dostępnych dla ambitnej i rosnącej populacji, koniecznie chcącej je nabyć. Wtedy potrzebna była już tylko elegancka tablica reklamowa i strategia ucieczki.

Powóz mijał wiele tego rodzaju budynków, będących pewnie małymi pałacykami dla mieszkańców, którzy wyrwali się z Kogudziobnej albo ze Świńskiej Górki czy podobnych okolic. Ludzie tam wciąż marzyli, że mogą „poprawić swój stan”, który to sukces osiągną, kiedy — o szczęsny dniu! — będą wreszcie mieli „coś własnego”. Było to inspirujące marzenie, o ile człowiek nie badał zbyt dokładnie znaczenia takich słów jak pożyczka hipoteczna, spłaty, przejęcie i bankructwo. A więc dolne klasy średnie Ankh-Morpork, które uważały się za uciskane przez warstwy wyższe i bezprawnie okradane przez niższe, ustawiały się w kolejkach, by za pożyczone pieniądze kupić na raty swój własny mały Oi Dong[[[20]](#footnote-20)](#20_1). Karoca turkotała obok takich osiedli, określanych wspólnie jako Nowe Ankh, a Moist zastanawiał się, czy tym razem Vetinari — pozwalając, by w taki sposób skolonizowano nowe tereny — był bardzo głupi, czy raczej bardzo, ale to bardzo sprytny. Obstawiał raczej to drugie. Tak mówił rozsądek.

Wreszcie dotarli do pierwszych przyczółków rozległego, cuchnącego, ale przede wszystkim bardzo dochodowego i otoczonego drucianą siatką kompleksu sir Harry’ego Króla, kiedyś śmieciarza i gałganiarza, obecnie uważanego za najbogatszego człowieka w mieście.

Moist lubił sir Harry’ego, nawet bardzo. Od czasu do czasu porozumiewawczo puszczali do siebie oko jak ludzie, którzy doszli do wszystkiego ciężką pracą. Sir Harry rzeczywiście ciężko walczył o swój awans społeczny, a tych, którzy stawali mu na drodze, czekał równie ciężki upadek.

Większą część terenu tutaj pokrywały produkty wstydliwej profesji Harry’ego Króla, ładowane, rozładowywane i sortowane przez gobliny i wolne golemy na taśmociągach biegnących nie wiadomo skąd i dokąd. Wozy konne przejeżdżały obok, pełne surowca przeznaczonego dla jakiejś konkretnej przetwórni. Na drugim końcu kompleksu wyrastał zbiór dużych szop, a przed nimi pas zaskakująco otwartego terenu. Moist dostrzegł tłum przy ogrodzeniu kompleksu, cisnący się do każdego wolnego cala siatki; wyczuł nastrój niecierpliwego oczekiwania.

Gdy powóz się zatrzymał, wyczuł przebijający się przez wszechobecny fetor ostry zapach węglowego dymu i usłyszał coś, co brzmiało jak niespokojnie śpiący smok: rodzaj sapania, głośnego i bardzo regularnego. Potem rozległ się pisk, jak gdyby największy czajnik na świecie nagle się zirytował.

Lord Vetinari stuknął go w ramię.

— Sir Harry zapewnia, że twór jest całkiem posłuszny, jeśli zachować należną ostrożność. Pójdziemy obejrzeć? Pan oczywiście pierwszy, panie Lipwig.

Wskazał szopy. Kiedy się zbliżyli, zapach węglowego dymu stał się mocniejszy, a niemal płynne sapanie brzmiało coraz głośniej. Przecież to tylko mechanizm, pomyślał Moist, nic więcej, prawda? Zwykła konstrukcja, jak zegar, tak, mechanizm po prostu... Wyprostował się więc i ruszył bez lęku — a przynajmniej go nie okazując — w stronę wrót, gdzie machał do nich jakiś młody człowiek w brudnym kaszkiecie i jeszcze brudniejszym kombinezonie, a na brudnej twarzy miał uśmiech przywodzący na myśl lisa obserwującego łakomie stadko kur. Zdawało się, że byli tu oczekiwani.

Zaaferowany Harry wyszedł im na spotkanie.

— Witam waszą lordowską mość... panie Lipwig... Wejdźcie, proszę. Poznajcie mojego nowego wspólnika, pana Dicka Simnela.

W szopie stał dygocący mechaniczny potwór — i był żywy! Naprawdę żywy! Ta myśl natychmiast wklinowała się w umysł Moista. Wyczuwał jego oddech, słyszał jego głos... Tak, życie; niezwykłe, ale jednak życie swego rodzaju. Każda część potwora delikatnie drżała i poruszała się, niemal tańcząc — żywa machina, wyczekująca.

Za bestią w szopie dostrzegł jakby wozy, zapewne gotowe, by je holować, i pomyślał: Tak, to żelazny koń. Wokół krzątali się akolici bestii, ludzie pracujący przy tokarkach, wykuwający elementy z metalu, biegający tam i z powrotem z wiadrami smaru, pojemnikami z olejem, a czasem z kawałkami drewna, które w tej chwili wydawało się czymś nie na miejscu wśród żelaza. Moist wyczuwał celowość i sens tych działań, pewność, że ci ludzie chcą tu coś zrobić i chcą to zrobić szybko.

Dick Simnel uśmiechnął się szeroko pod maską brudu.

— Jak się macie, panowie — powiedział. — Oto ona. Nie ma się czego bać. Formalnie nazywa się Numer Jeden, ale ja na nią mówię Żelazna Belka. To moja maszyna! Sam ją zrobiłem, każdy kawałeczek: nakrętki, sworznie, kryzy, że nie wspomnę o wszystkich nitach, co do sztuki. Tysiące ich były! No i szkło. Szkło jest bardzo ważne, na wskaźniki i mierniki. Wszystko to sam musiałem projektować, bo nikt jeszcze czegoś takiego nie robił.

— No a kiedy damy jej tory, przewiezie więcej towaru niż batalion trolli, a do tego o wiele szybciej — wtrącił sir Harry, stając za plecami Moista. I dodał: — To prawda. Słowo daję, że młody Simnel przez cały czas coś majstruje przy Żelaznej Belce, majstruje i majstruje. I codziennie ją przerabia. — Zaśmiał się. — Nie zdziwiłbym się, gdyby w końcu nauczył ją latać.

Pan Simnel wytarł ręce w brudną szmatę, przez co stały się jeszcze brudniejsze, po czym wyciągnął dłoń do lorda Vetinariego, który tylko skinął mu głową.

— Wolałbym, panie Simnel, by kontaktował się pan z panem Lipwigiem. Jeśli postanowię dopuścić do pańskiego fascynującego... eksperymentu, to głównie przed nim będzie pan odpowiadał. Osobiście cenię sobie swoją ignorancję co do zasad działania maszynerii, choć jestem świadom, że niektórych ludzi bardzo to interesuje.

Jego ton sugerował, że chodzi o ludzi dziwnych i tajemniczych... zapracowanych, pobudliwych, skłonnych do grzebania i majstrowania, ludzi niestabilnych. O, ten rodzaj, niestety, który często wypowiada zdania tak niewinne jak: może spróbujemy, przecież nikomu to nie zrobi krzywdy, zawsze możemy się schować pod stołem.

— Moje zainteresowania — mówił dalej Patrycjusz — dotyczą sposobów i środków, możliwości, zagrożeń i konsekwencji. Rozumie pan? Jak mnie poinformowano, pańska niezwykła maszyna napędzana jest parą podgrzewaną do momentu, kiedy kocioł prawie, ale nie całkiem wybuchnie. Czy tak jest w istocie?

Pan Simnel uśmiechnął się radośnie.

— Mniej więcej na to wychodzi, kierowniku. I jeden, drugi czy trzeci rozwaliłem na próbach, nie wstyd się przyznać. Ale teraz, drogi panie, mamy wszystko jak należy! Zawory bezpieczeństwa! To jest rozwiązanie! Zawory bezpieczeństwa zrobione z ołowiu, takie szpunty, co się roztapiają, jak palenisko się robi za gorące, a wtedy woda spływa i gasi ogień, zanim para rozerwie kocioł.

Simnel spojrzał z dumą, nim zaczął mówić dalej.

— Taka ostra para jest bardzo niebezpieczna, to jasne, dla takich, co się na niej nijak nie znają, ale dla mnie, kierowniku, jest przymilna jak szczeniak. Sir Harry pozwolił mi zbudować tor pokazowy... — Wskazał linię szyn prowadzących przez wrota szopy i obiegających cały obwód kompleksu. — Wolno spytać, czy zechcą panowie odbyć małą przejażdżkę?

Moist z kamienną twarzą zwrócił się do Vetinariego.

— No właśnie. Może spróbujemy, kierowniku?

Odpowiedzią było spojrzenie niczym sztylet. I mina mówiąca: Później zamienimy kilka słów na ten temat.

Potem Vetinari odwrócił się do Simnela.

— Bardzo dziękuję, panie Simnel. Myślę, że przy dzisiejszej okazji odstąpię ten zaszczyt panu Lipwigowi. I domyślam się, że Drumknott z radością będzie mu towarzyszył.

Słowa brzmiały pogodnie, ale Drumknott z pewnością nie wyglądał na radosnego. Prawdę mówiąc, Moist też nie, zbyt późno sobie przypomniawszy, że włożył kosztowny nowy surdut.

— Panie Simnel — zapytał — dlaczego to urządzenie musi jeździć po torach?

Dick Simnel obdarzył go szczęśliwym uśmiechem człowieka, który naprawdę, ale to naprawdę chce opowiadać o swoim ukochanym projekcie, a teraz nie może się doczekać, by oświecić każdego słuchacza, tłumacząc wszystko aż do granic zanudzenia, a w najgorszych wypadkach do samobójstwa. Moist znał ten typ; tacy ludzie byli nieodmiennie użyteczni i sami w sobie przyjaźni, całkiem pozbawieni wszelkiej złośliwości, a jednak bezwzględnie niebezpieczni.

W tej chwili pan Simnel, radosny jak małż i wysmarowany jak kebab, oświadczył z zapałem:

— No więc, panie szanowny, para lubi, żeby było gładko, a takie wiejskie okolice są pełne garbów i dołków. W dodatku para i żelazo mają swój ciężar. Jak się nad tym zastanowilim w Kolnóżkach, uznalim, że lepiej będzie położyć coś, co nazywamy duktem permanentnym. To taka jakby droga z szynami czy torami, żeby machina miała po czym jechać.

— „Droga żelazna” będzie lepsza dla słuchających, albo nawet same „tory” — wtrącił Harry. — Cały czas chłopakowi powtarzam: nazwa powinna być krótka i wpadająca w ucho, żeby ludzie ją zapamiętali. Trudno się spodziewać, że pojadą czymś, czego nazwy nie umieją przeliterować.

Simnel rozpromienił się jak słońce.

— No więc, panowie, Żelazna Belka jest nasmarowana, pod parą i rozgrzana dla was. Kto jest gotów na małą przejażdżkę?

Drumknott nie wymówił jeszcze ani słowa; wpatrywał się w ociekającą machinę jak człowiek, który zobaczył własną zgubę. Moist ulitował się nad nim i na wpół wciągnął, na wpół pomógł wejść do niedużej otwartej kabiny metalowej bestii. Simnel tymczasem krzątał się dookoła, stukając w jakieś tajemnicze mosiężne i szklane elementy. Ogień w brzuchu bestii płonął gorący i wypełniał szopę coraz gęściejszym dymem.

Nagle w dłoni Moista znalazła się łopata, wsunięta tam przez Simnela tak prędko, że nie zdołał jej uniknąć.

— Może pan być palaczem, panie Lipwig. Jak trzeba będzie dorzucić, musi pan otworzyć palenisko. Powiem kiedy. Będziem mieli niezłą zabawę.

Simnel spojrzał na oszołomionego Drumknotta.

— Eee... Co do pana, panie szanowny, to powiem tak... Może pan szanowny dmuchać w gwizdek za pomocą tego tutaj łańcuszka. Jak widzicie, panowie, to jest taki raczej działający prototyp, bez specjalnych domowych wygód, ale trzymajcie się, a wszystko będzie dobrze, byleście nie wystawiali głów za daleko. Dzisiaj ciągniemy dobre parę ton. Sir Harry chciałby sprawdzić, jacy jesteśmy mocni... No więc, panie Drumknott, niech pan zagwiżdże, jeśli można.

Drumknott niemal bez tchu szarpnął łańcuch i zadrżał, gdy z maszyny wydobyło się wycie banshee. A potem, no cóż, pomyślał Moist, niewiele się działo: było sapnięcie, szarpnięcie, znów parę sapnięć, kolejne szarpnięcie, kolejne sapnięcie i nagle ruszyli, więcej, nie tylko ruszyli, ale przyspieszali, jakby koniec Żelaznej Belki usiłował znaleźć się z przodu.

Przez kłęby pary Moist obejrzał się na ładunki, jakie ciągnęli w trzeszczących wagonach. Wyczuwał ich ciężar, ale mimo niego maszyna z kolejką wozów wciąż nabierała szybkości i rozpędu. Simnel spokojnie postukiwał w różne wskaźniki i przesuwał dźwignie, potem był zakręt, machina zasapała i kolejne wagony pojechały za nią po łuku niczym kaczuszki płynące za kochaną mamusią. Turkotały trochę, zgrzytały oczywiście, ale mimo to pozostawały jednym wielkim ruchomym stworem.

Moist już podróżował szybko. Co więcej, golemowy koń — ten rzadko spotykany twór — z łatwością potrafiłby ich teraz wyprzedzić. Ale to... to była przecież maszyneria wykonana rękami ludzi: koła, sworznie, mosiężne pokrętła, tarcze, wskaźniki, para i huczące, skwierczące palenisko, obok którego jak zahipnotyzowany stał Drumknott i pociągał za łańcuch, puszczając parę w gwizdek, jakby wykonywał święte zadanie. Wszystko się trzęsło, dygotało bez przerwy jak rozgrzany do czerwoności dom wariatów.

Lord Vetinari i Harry pojawili się w polu widzenia, kiedy szereg wagonów pomknął w ich stronę na pierwszym okrążeniu. I zaraz zniknęli za plecami Moista, przesłonięci zawieszoną w powietrzu chmurą dymu i pary. Potem, kiedy Żelazna Belka pędziła dalej, do jego świadomości przebił się fakt, że to wcale nie magia ani prymitywna siła — to pomysłowość, to węgiel, metal, woda, para i dym połączone w jednej wspaniałej harmonii. Stał teraz w rozgrzanej kabinie z łopatą w rękach i myślał o przyszłości, a kolejne wagony zgrzytały, wchodząc w następny zakręt. A potem, wśród odgłosów udręczonego metalu, zatrzymali się kilka stóp od grupy ludzi czekających przed szopą Żelaznej Belki.

Pan Simnel rzucił się do pracy; zamykał różne rzeczy, a zakręcał inne, a cudowna maszyna umierała powoli. Nie umierała, poprawił się Moist — zasypiała, ale wciąż ociekała wodą, wypuszczała parę i w jakiś niewytłumaczalny sposób wydawała się pełna życia.

Simnel zeskoczył z kabiny na prowizoryczną drewnianą platformę i spojrzał na swój ogromny chronometr.

— Nieźle — stwierdził, przyglądając się tarczy. — Ale tak naprawdę nie mogłem jej tu dobrze wypuścić. Na torze próbnym w Kolnóżkach pociągła prawie siedemnaście mil na godzinę, a bym przysiągł, że może o wiele szybciej, gdyby tylko się dało położyć dłuższy tor. Jechała cudownie, prawda, panowie? Z ładunkiem, z tonami ładunku...

Ostatnie zdania przeznaczone były dla jego kolegów mechaników.

— Tak? O co chodzi?

To pytanie skierował do małego urwisa z szeroko otwartymi oczami, który jakby magicznie pojawił się obok toru. Simnel przyglądał się z powagą, jak chłopak wyciąga z kieszeni mały notesik i skrupulatnie wpisuje cyfrę 1, jakby dostał takie polecenie.

Z jakiegoś powodu Moist nie mógł się powstrzymać.

— Dobrze to zaobserwowałeś, mój chłopcze, ale wiesz co? Mam przeczucie, że wkrótce będziesz potrzebował o wiele większego zeszytu.

Poczuł nagłą pewność, że choć oblicze Vetinariego jest nieruchome jak zawsze, jednak twarze Harry’ego Króla i niektórych patrzących lśnią w przydymionym blasku przyszłości, która nadejdzie. Biorąc pod uwagę, ilu gapiów za parkanem wyciągało szyje, by patrzeć na kolejne okrążenia Żelaznej Belki z wagonami, wieści o tym już się rozeszły. I rozchodziły się dalej.

— No więc, panowie, czy ten żelazny koń nie jest zadziwiający? — zapytał Harry Król. — Da radę pociągnąć wszystko, zapewniam. A teraz zapraszam na lunch do mojej sali konferencyjnej. Pójdziemy? Czeka tam wściekle dobra wołowina.

Lord Vetinari przerwał milczenie.

— Oczywiście, sir Harry. A może tymczasem ktoś by zlokalizował mojego sekretarza?

Wszyscy obejrzeli się na machinę, która znieruchomiała całkiem po ludzku — nie od razu, ale powoli, jak starsza pani sadowiąca się w ulubionym fotelu. Tyle że w tym właśnie momencie Żelazna Belka z sykiem wypuściła strugę lśniącej pary wodnej, co na ogół nie zdarza się starszym paniom, w każdym razie nie w towarzystwie.

Drumknott w kabinie cały czas desperacko szarpał łańcuch, by uzyskać kolejny gwizd; kiedy dźwięki przycichły, zdawało się, że szlocha jak dziecko pozbawione ukochanej zabawki. Dostrzegł ich spojrzenia, ostrożnie wypuścił łańcuch, zszedł z platformy i niemal na palcach przesunął się przez obłoki pary, w których od czasu do czasu rozbrzmiewał mechaniczny zgrzyt, kiedy metal zaczynał stygnąć. Bardzo delikatnie zbliżył się do Dicka Simnela.

— Czy moglibyśmy to powtórzyć? — zapytał. — Proszę.

Moist obserwował twarz Patrycjusza. Vetinari wydawał się głęboko zamyślony.

— Gratuluję, panie Simnel, znakomita demonstracja — rzekł w końcu z werwą. — Czy mam wierzyć, że tą... rzeczą da się przewozić wielu pasażerów i wiele ton ładunku?

— No więc tak, sir, nie ma powodu, żeby nie, sir. Choć oczywiście trzeba włożyć trochę dodatkowej roboty, porządne zawieszenie, siedzenia z tapicerką... Na pewno damy radę wyprzedzić dyliżanse, bo to prawdziwy ból tyłka, sir, nie ma co... Jeśli wybaczy pan mój klatchiański.

— Rzeczywiście wybaczę, panie Simnel. Stan naszych dróg, a zatem i powozów zaprzężonych w konie pozostawia wiele do życzenia. Wyprawa do Überwaldu to prawdziwa pokuta, choć bez żadnej winy. I żadne poduszki jakoś nie pomagają.

— Tak, wasza lordowska mość. A podróż po równych stalowych torach w dobrze resorowanym wagonie będzie szczytem wygody! Gładka jazda! — zawołał Moist. — Ludzie mogliby nawet spać w odpowiednich wagonach, o ile takie się pojawią.

Ze zdziwieniem odkrył, że powiedział to głośno, ale w końcu był człowiekiem, który dostrzega nowe możliwości — a teraz widział je wyraźnie. Zauważył, że twarz Vetinariego się rozjaśnia. Żelazna Belka po swoich szynach jechała o wiele równiej niż konie pocztowe po garbach i dziurach na górskich drogach. Żadnych koni, myślał Moist; nic się nie zmęczy, niczego nie trzeba karmić, wystarczy woda i węgiel — a Żelazna Belka bez żadnego stękania pociągnęła wiele ton ładunku.

I kiedy Harry poprowadził Patrycjusza w stronę swojego biura, Moist przesunął dłonią po ciepłym, żywym metalu Żelaznej Belki. To będzie cud naszego stulecia, pomyślał. Czuję to! Ziemia, powietrze, ogień i woda — wszystkie żywioły złączone. Magia bez magów! Musiałem spełnić jakiś dobry uczynek, że znalazłem się w tym miejscu, dzisiaj, w tym czasie.

Żelazna Belka syknęła po raz ostatni i Moist pospieszył za pozostałymi na poczęstunek i ku przyszłości pary.

\* \* \*

W aksamitnym komforcie sali konferencyjnej Harry’ego Króla, wśród mahoniu, mosiądzu i nadzwyczaj czujnych kelnerów, odezwał się lord Vetinari.

— Proszę powiedzieć, panie Simnel, czy pańska machina może dojechać aż do... powiedzmy... do Überwaldu?

Przez moment Simnel zdawał się analizować tę kwestię.

— Nie widzę, czemu by nie, wasza czcigodność. Koło Skundu może być trochę ciężko, no i oczywiście dalej robi się bardziej stromo, ale wiadomo, że krasnoludy, jeżeli zechcą, umieją wybijać takie wielkie dziury w krajobrazie. No więc tak, sir, jestem pewien, że to będzie możliwe. Z czasem, dla odpowiednio dużej machiny. — Uśmiechnął się promiennie. — Jak już ma się węgiel, wodę i tory, machina lokomocyjna może was zabrać, gdzie zechcecie.

— A czy każdy mógłby sobie taką zbudować? — upewnił się podejrzliwie Vetinari.

Simnel wyraźnie się ucieszył.

— Ano mogą, sir. Próbować mogą. Ale nie znają żadnych moich sekretów, a my, Simnelowie, pracowalim nad parą od lat. Uczylim się na naszych błędach. Oni mogą się uczyć na swoich.

Patrycjusz uśmiechnął się lekko.

— Widzę w panu pokrewną duszę. Chociaż muszę przyznać, że rozsmarowanie na suficie to lekcja raczej ostateczna...

— Tak, wiem. Ale jeśli mogę sobie pozwolić na śmiałość — ciągnął Simnel — to chciałbym zaproponować swoją pracę Urzędowi Pocztowemu, tutaj i teraz. Trzeba uderzać w żelazo, póki gorące, taka zawsze była dewiza Simnelów. Wiem, że sekary mogą przekazać wiadomość szybko jak błyskawica, ale nie przewiozą paczek ani nie przewiozą ludzi.

Twarz lorda Vetinariego nie zdradzała niczego.

— Doprawdy? Osobiście uderzam, kiedy uznam to za stosowne, ale mniejsza z tym, panie Simnel. Nie będę panu przeszkadzał w badaniu rozmaitych możliwości i szans u pana Lipwiga. Sugeruję jednak, że w tych czasach wielkich zmian musimy też uwzględnić pozycję woźniców i kowali.

Tak, przyznał w myślach Moist, nadejdą zmiany. W miastach wciąż będzie się spotykać konie, a Żelazna Belka nie pociągnie pługa, choć z całą pewnością pan Simnel potrafiłby ją zmusić.

— Niektórzy ludzie stracą, ale inni zyskają — powiedział głośno. — Ale to przecież dzieje się stale, od zarania czasu. W końcu na samym początku żył człowiek, który robił kamienne narzędzia, a potem przyszedł człowiek, który robił narzędzia z brązu. Więc ten pierwszy musiał się nauczyć obróbki brązu albo znaleźć sobie inną pracę. A człowiekowi, który umiał robić w brązie, odebrał zajęcie człowiek obrabiający żelazo. I akurat kiedy już sobie gratulował, że jest taki sprytny, pojawił się człowiek, który umiał wytwarzać stal. To jakby taniec, w którym nikt nie śmie się zatrzymać, bo jeśli stanie w miejscu, zostanie w tyle. Ale czy nie taki właśnie jest świat, w największym skrócie?

Vetinari zwrócił się do Simnela.

— Muszę zapytać, młody człowieku, co zamierzasz teraz robić.

— Tam jest kupa ludzi, którzy by chcieli zobaczyć Żelazną Belkę z bliska, tak jakby. To pomyślałem, że zaczepię parę wagonów i wstawię jakieś małe siedzenia. I pozwolę im się przejechać z tyłu. Znaczy, jak sir Harry się zgodzi.

— Jest oczywiście kwestia bezpieczeństwa publicznego — przypomniał Vetinari. — Dobrze słyszałem, jak pan mówił, że wcześniej hm... rozwalił pan na próbach kocioł... jeden, drugi czy trzeci, takiej frazy pan chyba użył...

— Doprowadziłem je do wybuchu specjalnie, żeby dokładnie sprawdzić, co się stanie. Widzi pan, tylko tak można zdobyć wiedzę, sir.

— Bardzo poważnie traktuje pan swoją pracę, panie Simnel. A czy inni oceniali jakoś wartość pańskich odkryć? Pytam teraz, panie Simnel, o opinie godnych ekspertów.

Simnel się ucieszył.

— Ano tak, sir, chodzi pewnie o lorda Runcible, to właściciel ziemski i nasz gospodarz ze Sto Lat. Ale kiedy go spytałem, śmiał się tylko i powiedział, że to zadziwiające, co ludziom przychodzi do głowy, i jeszcze żebym nie jeździł Żelazną Belką w sezonie, kiedy bażanty się parzą.

— No tak... — mruknął Vetinari. — Jeśli wolno mi inaczej sformułować pytanie: jaką opinię wydali inni mechanicy, którzy oglądali pracę pańskiej cudownej machiny?

— Och, nie sądzę, żeby ktokolwiek nazywający się mechanikiem w ogóle widział Żelazną Belkę, oprócz mnie i moich chłopców. Chociaż słyszałem, że w Nictofiordzie paru chłopaków zbudowało wściekle dobrą pompę parową, żeby wyciągać wodę z kopalni i różne takie. Wszystko to bardzo ciekawe, lecz nie takie ciekawe jak sama Żelazna Belka. Chciałbym ich kiedy odwiedzić, wypić kufelek i pogadać, ale jak jaśnie pan widzi, strasznie jestem zajęty, cały czas mam robotę.

— Wasza lordowska mość — odezwał się Harry. — Szanuję pana Simnela, bo jak się przekonałem, jest jednym z tych, którzy zawsze wciskają koszulę do spodni, a dla mnie oznacza to, że można na nim polegać. Na dworze czeka kolejka ludzi, co naprawdę by chcieli przewieźć się za tą... no, za lokomotywą. I moim zdaniem zapłacą niezłe pieniądze za przejażdżkę, pierwszą z tego rodzaju. Mieszkańcy Ankh-Morpork są tak złaknieni nowości, że całe miasto, można powiedzieć, ponagla przyszłość dla czystej radości obserwowania, jak następuje. Dlatego przypuszczam, że każdy mężczyzna i chłopiec, a może nawet ich damy, zechcą wsiąść i pojechać tą niezwykłą machiną.

— Jak mamy oceniać ryzyko, skoro samo życie w Ankh-Morpork oznacza, że człowiek codziennie ściska ryzyku rękę? — mruknął jego lordowska mość. — Panie Simnel, ma pan moje poparcie, ile by było warte. Dostrzegam też błysk w oku sir Harry’ego, człowieka, jeśli mogę to stwierdzić, który wygląda, jakby chciał zostać inwestorem, choć oczywiście to wyłącznie decyzja jego i pana. Nie jestem tyranem...

Przy stole zapadła cisza.

— To znaczy — podjął lord Vetinari — nie jestem tyranem tak głupim, by stawać przeciwko duchowi czasów; jak wiecie, jestem człowiekiem, który starannie i rozważnie potrafi nim sterować. Dlatego zamierzam jeszcze tego wieczoru porozmawiać z wydawcą „Pulsu”, by włączyć go, jak sam by to określił, w obieg. Zawsze lubi być konsultowanym; dzięki temu czuje się ważny.

Vetinari uśmiechnął się lekko.

— To niepojęte, że wymyślamy takie rzeczy. Zastanawiam się wręcz, co będzie następne.

\* \* \*

Brutalny atak na wieżę sekarową w Sto Kerrig, która jeszcze niedawno była arterią łączącą mieszkańców miasteczka ze światem, wstrząsnął wszystkimi. Kiedy w zapadającym zmroku Adora Belle Dearheart przyglądała się szczątkom, nie zdziwiła się, widząc zbliżającego się szybko wielkiego i pięknego wilka, który — w przeciwieństwie do innych wilków — niósł w zębach jakiś pakiet. Wilk zniknął za stogiem siana, a wkrótce potem zza stogu wyszła piękna kobieta, odrobinę tylko rozczochrana i ubrana w mundur Straży Miejskiej Ankh-Morpork.

— Fatalnie. Rzeczywiście narobili bałaganu — stwierdziła kapitan Angua, najbardziej znany wilkołak w straży. — Jest pani pewna, że tylko jeden z pani ludzi ucierpiał?

— Dwa gobliny, kapitanie, ale one dobrze umieją skakać i są bystre. Nie uwierzy pani, zanim stąd uciekły, zdołały jeszcze nadać ostatnią wiadomość, że ich wieża jest atakowana przez krasnoludy! Bardzo odpowiedzialne są te gobliny, jeśli chodzi o mechanizmy. I zawsze lepiej się sprawdzają na nocnych zmianach. Chciałabym zaznaczyć, kapitanie, że kiedy wykryje pani sprawców, wniosę oskarżenie i wniosę je z taką siłą, że oficer policji, taki jak pani, będzie wolał patrzeć w inną stronę z obawy, by nie zobaczyć czegoś, czego by nie chciał.

— O to bym się nie martwiła, pani Dearheart. Jego lordowska mość uznaje, że zakłócanie pracy sekarów to naruszanie prawidłowego działania świata. Zdrada stanu nie tylko wobec własnego kraju, ale wszystkich.

— W tej chwili mój przyjaciel, Odprysk Sopla Lodu, goblin kierujący tą wieżą, ma trochę obolałe ramię, ale chętnie pomoże łapać krasnoludy, które to zrobiły. Nie wiem jednak, gdzie się podział Lśnienie Księżyca.

— Powęszę w okolicy, dopóki nie zjawi się moje wsparcie. Spodziewam się wozu i Igoriny z laboratorium. Jeśli usłyszy pani jakieś wrzaski, to mogę być ja, ale proszę się nie martwić. Kapitan Vimes nie ma czasu na nieprzytomnych sabotażystów.

Po krótkiej chwili Adora Belle odezwała się znowu.

— Myślę, że powinna pani coś zobaczyć — oświadczyła ponuro. — Proszę zajrzeć tam, pod stos drewna. Ten krasnolud wygląda na bardzo martwego i straszliwie okaleczonego. Zakładam, że potknął się i spadł, kiedy podpalał wieżę. Co pani sądzi, kapitanie?

Angua starannie obejrzała zwłoki.

— Stracił ucho — zauważyła.

— Tak mi przyszło do głowy, bez związku... — rzekła Adora Belle. — Słyszałam, że kiedy gobliny naprawdę się rozgniewają, zaczynają trochę szaleć i szukają pamiątek.

— Oczywiście jestem przekonana, że żaden z sekarowych goblinów nie próbowałby nawet czegoś takiego, prawda? — rzuciła Angua.

— Naturalnie — zgodziła się w zadumie Adora Belle. — Niemal spalenie żywcem przez krasnoludzich ekstremistów na ogół traktowane jest ze wzruszeniem ramion, jako zwykły kolejny dzień w biurze. Nie coś, czym należałoby się przejmować. — Spojrzała wymownie na kapitan.

— W samej rzeczy — zgodziła się Angua. — Te obrażenia wynikają niewątpliwie z niekompetencji samych terrorystów.

— Tak, naturalnie. Tak.

— Zadziwiające, że jednemu z nich udało się samemu sobie odgryźć ucho...

— Czyli Lśnienie Księżyca może już wyjść z kryjówki?

— Przepraszam — odparła ostrożnie Angua. — Przez to trzeszczenie wieży nie słyszałam, co pani mówiła.

\* \* \*

W gabinecie Vetinariego panowała absolutna cisza, mimo to kroki wchodzącego Drumknotta zdołały uczynić ją jeszcze głębszą. Sekretarz wręczył Patrycjuszowi kartkę papieru i poinformował, że druga wieża sekarowa została spalona przez osobników określających się — w przekładzie — jako Jedynie Słuszne Krasnoludy.

Drumknott odczekał, aż na twarzy Vetinariego nie drgnie żaden mięsień.

— Trzeba wyraźnie zaznaczyć — rzekł jego lordowska mość — że wrogie działanie wobec systemu sekarów będzie skutkowało śmiercią nie tylko wykonawców, ale też zleceniodawców, kimkolwiek by byli. Proszę to przesłać do wszystkich ambasad, konsulatów i głów państw. I proszę wykonać to jeszcze dzisiejszej nocy.

Po krótkiej chwili Vetinari podjął, nadal bardzo spokojnie.

— Czas także, jak sądzę, by mroczni referenci zajęli się pewnymi nietypowymi podejrzanymi. Jestem pewien, że uzyskałeś sugestie w tej sprawie, Drumknott. Ze swej strony udzielimy oczywiście wszelkiej niezbędnej pomocy. Dolny król jest pewnie... niezadowolony z tego wydarzenia. Choć obalona wieża należała do nas, wiemy, że skutki tego zajścia spadną też na samego króla. Prześlij mu zatem czarnym sekarem wiadomość, że i ja, i bez wątpienia również lady Margolotta wesprzemy każdy nowy plan, jaki zechce realizować. Gragowie po raz kolejny złamali uroczysty traktat, a to, Drumknott, uderza w same filary świata, i to znacząco. W końcu jeśli nie można zaufać rządom, to komu?

Rozległo się dyskretne chrząknięcie Drumknotta, którego uśmiech w tej chwili bardziej przypominał grymas. Vetinari jeszcze nie odesłał sekretarza do jego prywatnego gabinetu i innych intryg, kontynuował połowy we własnym strumieniu świadomości.

— Rzadko wpadam w gniew, Drumknott, jak doskonale wiesz, ale teraz jestem rozgniewany. Będę wdzięczny, jeśli poślesz po komendanta Vimesa w jego inkarnacji dyżurnego klasowego Vimesa. Potrzebuję jego pomocy i nie sądzę, by był z tego powodu szczęśliwy, co z mojego punktu widzenia ma w tych okolicznościach same zalety. Przekaż panu Trooperowi wiadomość, że chwila nie jest odpowiednia, by być miłym człowiekiem. To nie jest wojna — dodał na koniec. — To jest zbrodnia. A zatem nastąpi kara.

\* \* \*

Rhys Rhysson, dolny król krasnoludów, był obdarzony bystrą inteligencją. Czasami zastanawiał się jednak, czemu ktoś z taką inteligencją miałby się zajmować krasnoludzią polityką, a co dopiero zostawać królem krasnoludów. Lordowi Vetinariemu wszystko przychodziło tak łatwo, że pewnie nawet nie zauważył, jak się urodził! Król sądził, że ludzie są... no, mniej więcej rozsądni, podczas gdy stare przysłowie jego narodu mówiło, w tłumaczeniu, że kiedy tylko trzy krasnoludy prowadzą rozsądną konwersację, kończą ją, mając cztery różne punkty widzenia.

Nie było aż tak źle, ale prawie, zwłaszcza ostatnio, myślał, spoglądając na zebranych członków rady, w której — zgodnie z regułami — był pierwszym pośród równych. Czytał gdzieś w dawnych zwojach, że są jego lennikami, cokolwiek to oznaczało. Brzmiało tak, jakby nie chciało im się pracować.

Kiedy jego sekretarz Aeron wrócił z ostatniej wizyty w Ankh-Morpork, opisał mecz piłki kopanej, który oglądał, a który w samym centrum miał sędziego. I teraz Rhys czuł się jak taki sędzia, gdy wszystkie piłki kopane są prosto w niego. Jak można być dolnym królem w krainie, gdzie nawet frakcje mają podfrakcje, a te podfrakcje mają kolejne, mikroskopijne frakcyjki? Zazdrościł, och, jakże zazdrościł diamentowemu królowi trolli, który kiedy udzielał rad i instrukcji swoim jakże licznym poddanym, oni odpowiadali „dziękuję”, co dolny król słyszał nieczęsto. Diamentowy król przemawiał w imieniu wszystkich trolli, wszędzie. Natomiast rodzaj krasnoludzi rozpadł się obecnie niemal do stanu zamętu, a wszystko to doprowadziło do problemu, z którym dolny król musiał sobie poradzić.

Dzisiaj mieli oczywiście program obrad, a raczej nieszczęśliwie wielką liczbę programów, po jednym dla każdej frakcji. Rhys zastanawiał się ponuro, czy istnieje jakieś słowo określające taką sytuację, i uznał, że powinna to być żywa śmierć od programobraditis.

O koszmary przyprawiali go głębinowi gragowie, ponieważ, szczerze mówiąc, było coś obraźliwego w tych ubraniach z grubej skóry i stożkowatych czapkach. W końcu, myślał, wszyscy jesteśmy krasnoludami, prawda? Tak nigdzie nie wspomina, że krasnoludy powinny zakrywać twarze w towarzystwie przyjaciół. Rhys uznał, że taka praktyka jest świadomie prowokacyjna i ewidentnie pogardliwa.

Wiecznym elementem programu takich spotkań były narzekania krasnoludów z różnych kopalni na exodus młodych do wielkich miast. Oczywiście wszyscy znali przyczyny, a wszystkie były błędne. Każdy, kto nie był krasnoludem lubiącym żyć w ciemności — w każdym sensie tego słowa — dobrze wiedział, że powodem, dla którego młode pokolenie zalewa obecnie na przykład Ankh-Morpork, są właśnie ci narzekający i ich działania. Z drugiej strony ci, których uważał za krasnoludy postępowe, czyli typy, które bez oporów zaprzyjaźnią się z trollem, mieli do króla pretensje o skłonność ich całego gatunku, by zamykać się w swego rodzaju purdah.

W hali dolnego króla unosiła się wielka chmura niezrozumienia, która z każdej strony wydawała się niemal świadomie powodować, by każda dysputa, jakkolwiek nieznacząca, została wykłócona aż do gorzkiego zakończenia. To tkwi chyba w psychice krasnoludów, myślał Rhys: za dużo czasu spędzamy w zamkniętych pomieszczeniach. I westchnął, kiedy uświadomił sobie, że przemawia Twardziec, którego głos stał się już nie do wytrzymania donośny.

Twardziec był takim krasnoludem, jakiego król chciałby widzieć na miejscu katastrofy górniczej, najchętniej pod nią. Jednakże miał swoich zwolenników, głupich zwolenników, a także potężnych przyjaciół. I tyle. Polityka. Polityka przypominała te małe drewniane gry z przesuwanymi fragmentami obrazków; trzeba przesunąć wszystkie kawałki w nadziei, że znajdą się w miejscach, gdzie cały obraz się ułoży.

W tej chwili Twardziec insynuował, że wydobywanie tłuszczu w kopalniach Schmaltzbergu nie jest naprawdę krasnoludzie. Komentarz ten skłonił starszego krasnoluda — którego król rozpoznał jako Suliena Heddwyna — by poderwać się na równe nogi.

Heddwyn oparł się gniewnie na toporze.

— Mój ojciec był górnikiem tłuszczu. Mój dziadek był górnikiem tłuszczu. Tak samo jak moja babka, która była też bardzo tłustym górnikiem. A ja też byłem górnikiem, kiedy jeszcze gór nie widziałem. Moja matka dała mi malutki kilof, jak tylko byłem dość duży, żeby go utrzymać w rękach. Wszyscy moi krewni, wszyscy przodkowie od czasu upadku Piątego Elefanta kopali tłuszcz i powiem ci, że eksport naszych najczyściejszych tłuszczów na Równiny utrzymuje przy życiu to miasto. Więc nie mam zamiaru słuchać, jak obraża mnie b’zugda hiara[[[21]](#footnote-21)](#21_1), który boi się spojrzeć na słońce.

Brzęk metalu o metal rozległ się echem w całej hali, a po nim zapadła cisza. Wszyscy czekali, co się wydarzy teraz. A to oznaczało, że Rhys Rhysson musi przerwać tę ciszę. Był w końcu — był, prawda? — dolnym królem, królem wszystkich krasnoludów.

Uśmiechnął się, w pełni świadomy, że źle dobrane słowo wywoła falę uderzeniową w całej jaskini i rezultat, jakikolwiek by był, będzie jego winą. Taki jest los tych, którzy starają się jedynie o tryumf pokoju nad wojną, a droga świadomego zwolennika postępu usiana jest cierniami.

Spojrzał na rozgniewanych doradców ściskających broń. Całkiem jakby bycie krasnoludem oznaczało życie w permanentnym stanie, jakiego słowo „gderliwość” zwyczajnie nie opisuje w pełni. Zebranie krasnoludów jest, w ich języku, zamieszaniem krasnoludów.

Rhys przemówił, nie podnosząc głosu:

— W jakim celu jestem królem? Powiem wam. Żyjemy w świecie, gdzie formalnie uznajemy trolle, ludzi, a ostatnio rozmaite inne gatunki, nawet gobliny. W tym świecie wsteczne elementy krasnoludztwa nie przerywają kampanii mającej zachować prawo gragów do oceny wszystkiego co krasnoludzie.

Spojrzał surowo na Twardźca.

— Krasnoludy ze wszystkich miejsc, gdzie żyją w wystarczającej liczbie, starały się modernizować, jednakże bez skutku, z wyjątkiem tych w Ankh-Morpork. A wstydliwą przyczyną jest to, że często ci, którzy próbują utrzymać krasnoludzkość w ciemności, zdołali jakoś zaszczepić w swoich trzódkach przekonanie, iż dowolnego rodzaju zmiana jest bluźnierstwem. Nie bluźnierstwem przeciwko czemuś konkretnemu, ale bluźnierstwem samym w sobie, płynącym przez kosmos i cierpkim jak ocean octu. Tak być nie może!

Podniósł głos, walnął pięścią o stół.

— Jestem tu, by was przekonać, drodzy przyjaciele, ale również moi uśmiechnięci wrogowie, że jeśli nie połączymy sił przeciwko tym, którzy chcieliby trzymać nas w ciemności, krasnoludzkość zostanie umniejszona. Musimy wspólnie pracować, rozmawiać z sobą, traktować się należycie, a nie bez przerwy gderać, że świat niecały do nas należy, bo w efekcie zrujnujemy go dla wszystkich. Kto bowiem będzie się nami przejmował w świecie nowych wyborów? Powinniśmy działać tak, jak powinny działać istoty myślące! Jeśli nie ruszymy ku przyszłości, przyszłość skręci się i przetoczy po nas.

Rhys przerwał, by przeczekać nieuniknioną falę okrzyków „Hańba!” i „Wcale nie!” oraz innych odprysków nieczystej debaty, po czym odezwał się znowu:

— Teraz udzielam głosu Albrechtowi Albrechtsonowi! Proszę mówić.

Starszy wiekiem krasnolud, który był kiedyś faworytem w ostatnich wyborach dolnego króla, wstał.

— Wasza wysokość — zaczął uprzejmie. — Wiesz, że nie żywię szczególnej sympatii dla kierunku, w którym podąża świat, ani dla niektórych twoich nowoczesnych pomysłów. Jednak doznałem szoku, gdy odkryłem, że niektórzy z co bardziej nieprzejednanych gragów nadal organizują ataki na system sekarowy.

— Oszaleli? — zdumiał się król. — Kiedy tylko z Ankh-Morpork dotarła do nas wiadomość o ataku na ich sekary, jasno przekazaliśmy tej radzie i wszystkim krasnoludom, że ten obłęd musi się skończyć natychmiast. To nawet gorsze od nugganitów[[[22]](#footnote-22)](#22_1), którzy, jeśli się rozsądnie zastanowić, byli przecież całkowicie i absolutnie obłąkani.

Albrecht odchrząknął.

— W tym przypadku, wasza wysokość, staję przy tobie ramię w ramię. Jestem przerażony, że sprawy zaszły tak daleko. Czym bowiem jesteśmy, jeśli nie stworzeniami komunikacji, a komunikacja precyzyjnie komunikowana jest dobrodziejstwem, jakim powinny się cieszyć wszystkie gatunki. Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale ostatnie wieści, które jakoby powinny mnie radować, sprawiają raczej, że wstydzę się nazywać siebie krasnoludem. Wiele razy mieliśmy różne opinie, lecz takie różnice są słuszne i naturalne, gdyż dyskusja i kompromis to kamienie węgielne świata polityki. Natomiast tutaj i teraz wasza wysokość ma moje pełne i bezwarunkowe poparcie. A tych, którzy staną nam na drodze, niech zaraza pochłonie! Zaraza, powiadam!

Istnieje wrzawa i wrzawa, a ta wrzawa trwała przez bardzo długi czas.

W końcu Albrecht Albrechtson uderzył toporem o blat, rozszczepiając drewno od góry do dołu, aż wśród zgromadzonych krasnoludów zaległo trwożne milczenie.

— Wspieram mojego króla — rzekł z mocą. — Po to właśnie jest król. Zaraza, powiedziałem. Zaraza. I Ginnungagap dla tych, co mówią inaczej.

Rhys Rhysson skłonił się w stronę wiekowego krasnoluda.

— Dzięki ci, stary przyjacielu, za to poparcie. Jestem ci nieskończenie wdzięczny i zawsze pozostanę twym dłużnikiem.

W owej chwili niektórym spośród obecnych dolny król mógł się wydawać wyższy niż zwykle. On sam pośród gwaru — a nie ma gwaru tak warkliwego jak gwar krasnoludzi — czuł się dziwnie radosny, uniesiony, jak te niezwykłe gazy znajdowane wokół krateru Piątego Elefanta. Miał wrażenie, że niektórzy z jego doradców nagle zaczęli myśleć, naprawdę myśleć, i że słuchali, naprawdę słuchali. A teraz próbowali nawet myśleć kreatywnie.

— Nie bez powodu Ankh-Morpork jest miejscem zamieszkania większej jeszcze liczby krasnoludów, niż żyje tutaj, w Überwaldzie — mówił dalej. — Wiemy też, że sporo ich emigruje na ziemie diamentowego króla trolli. Czyli stało się tak, że nasz tradycyjny wróg jest teraz przyjacielem wielu uciekających przed agentami gragów.

Jak się spodziewał, gwar warczał jeszcze głośniej — świadoma warkliwa nienawiść, warkliwe niezrozumienie, warkliwa pogarda.

— Powiem wam teraz, że historia popędzi wprost na nas, swarliwe krasnoludy, a ja nie stanę z boku i nie pozwolę, byśmy wszyscy upadli do poziomu kłótliwych b’zugda hiara! Jestem prawowitym królem, należycie wybranym z zachowaniem odpowiednich procedur. Zostałem namaszczony na Kamiennej Kajzerce, zgodnie z tradycją sięgającą czasów B’hriana Krwawego Topora. I użyję wszelkich koniecznych środków, by wypełnić swe święte obowiązki. Oświadczam, że ci gragowie i ich marionetki są d’harak i nie ścierpię dłużej ich szkodliwych doktryn. Jestem królem i będę królem!

Gwar powrócił, jak zawsze powraca, ale Rhys miał wrażenie, że dostrzega pewną ulgę na twarzach siedzących przy ogromnym stole. Potem jego spojrzenie powędrowało ku Twardźcowi i poczucie tryumfu nieco osłabło. Prędzej czy później, panie Twardziec, pomyślał, będę musiał jakoś sobie z panem poradzić.

\* \* \*

Lord Vetinari przeczytał wielki tytuł w „Pulsie Ankh-Morpork”: PROJEKT LOKOMOTYWY JEST GROŹNY DLA ZDROWIA, a niżej, o wiele mniejszą czcionką: JAK TWIERDZĄ NIEKTÓRZY. Twarz mu nawet nie drgnęła. I miała pozostawać nieruchoma do chwili, kiedy zamieni kilka słów z redaktorem naczelnym. Oczywiście Patrycjusz wiedział, że dowolna zmiana zawsze dla kogoś stanowi afront, i najwyraźniej nowe przedsięwzięcie lokomotywne nie mogło liczyć, że pewna grupa je potraktuje jak coś innego niż cel.

— Rozumiem — odezwał się Vetinari do Drumknotta — że dudniący rytm jadących po torach wagonów doprowadzi do niemoralności. Tak uważa pan Reginald Stibbings z Sióstr Dolly. — Skinął na jednego z mrocznych referentów. — Geoffrey, co wiemy o tym panu Stibbingsie? Ma jakąś szczególną wiedzę o niemoralności?

— To ten z Wiórków, wasza lordowska mość? Zostałem poinformowany, że ma bardzo młodą metresę, sir. Młodą damę, wcześniej zatrudnioną w Klubie Różowego Kociaka i bardzo tam cenioną, o ile mi wiadomo.

— Naprawdę? A więc to prawdziwy ekspert. — Vetinari westchnął. — Choć oczywiście nie wyobrażam sobie, by monitorowanie prywatnych działań poddanych należało do moich uprawnień.

— Ależ panie! — zaprotestował Drumknott. — Jako tyran to właśnie robisz!

Vetinari rzucił mu spojrzenie, które właściwie nie wykorzystywało uniesionej brwi, ale sugerowało, że brew może się unieść, gdyby odbiorca tego spojrzenia nie przestał się narażać. Potem wrócił do leżącej przed nim azety.

— Niejaka pani Baskerville z ulicy Zapiekanki Brzoskwiniowej uważa, że podróżujące w wagonach młode damy mogą spotkać siedzących obok wszelkiego rodzaju dżentelmenów. — Zastanowił się. — W tym mieście oczekiwanie na spotkanie dżentelmena jakiegokolwiek rodzaju wydaje się przesadnie optymistyczne. Ale niewykluczone, że ta pani ma trochę racji. Może roztropniej byłoby zaplanować przedziały wyłącznie dla dam? Podejrzewam, że Effie Król ten pomysł się spodoba.

— Znakomity pomysł, sir. Jak zawsze.

— A co tu mamy? Jakiś kapitan Slope bardzo się martwi o szkodliwe gazy wokół linii tej drogi żelaznej. — Vetinari rzucił azetę na biurko. — Ludzie w Ankh-Morpork są przyzwyczajeni do szkodliwych gazów! To ich dziedzictwo! Nie tylko są przyzwyczajeni, ale uparcie i bezustannie produkują ich więcej. Wydaje się, że kapitan Slope to jeden z ludzi, którzy na drogę żelazną nie zgodzą się za żadną cenę. Sugeruje, że owce będą ronić, a konie zaczną uciekać i nie przestaną, dopóki nie padną z wyczerpania... Doprawdy, kapitan Slope wyobraża sobie chyba, że droga żelazna to koniec świata. No cóż, Drumknott, znasz moją dewizę: vox populi, vox deorum.

To ciekawe, myślał Patrycjusz, gdy Drumknott odszedł pospiesznie, by wysłać sekara do wydawcy „Pulsu”; mieszkańcy Ankh-Morpork twierdzą, że nie lubią zmian, a równocześnie wlepiają wzrok w każdą nową rozrywkę czy atrakcję, jakie się trafią. Tłum niczego nie kocha bardziej niż nowości.

Vetinari westchnął znowu. Czy oni w ogóle myślą? Przecież obecnie każdy używa sekarów, nawet staruszki, które wysyłają do niego sekarowe skargi na wszystkie te nowomodne wymysły — i zupełnie nie dostrzegają ironii. W smętnym nastroju spróbował zrozumieć, czy w ogóle wspominają czasy, kiedy wszystko było staromodne albo zwyczajnie niewymyślone, i czy porównują je do czasów obecnych, kiedy nowomodność osiągnęła apogeum, zagościła na stałe... A potem zastanowił się, czy ktokolwiek uważa siebie za kreatora nowomody...

Jednak z drugiej strony jego lordowska mość dobrze rozumiał punkt widzenia woźniców dyliżansów i innych, którzy już teraz — według „Pulsu” — widzieli, jak padną ich firmy, jeśli zacznie działać droga żelazna. Zadumał się nad kwestią, co w takiej sytuacji powinien uczynić sprawny książę.

Jak wiele istnień ocaliły sekary, zresztą nie tylko istnień; także małżeństw, reputacji, możliwe, że i tronów? Wieże sekarowe obejmowały swym zasięgiem cały kontynent po tej stronie Osi, a Adora Belle Dearheart dostarczyła dowodów, że sekarowcy kilka razy zauważyli rodzące się pożary, a w jednym przypadku tonący niedaleko Quirmu statek — przesłali wiadomość do najbliższego portu i dzięki temu ocalili marynarzy.

Można było tylko płynąć z falą. Nowe pomysły, nowe idee pojawiały się, pokazywały, do czego są zdolne, niektórzy krytykowali je ostro, aż nagle, kto by pomyślał: ten, kto wydawał się potworem, nagle stawał się kimś niezwykle ważnym dla świata. Przez cały czas wynalazcy i konstruktorzy tworzyli coraz bardziej użyteczne produkty, których nikt nie przewidział, a które stawały się niezastąpione. Mimo to filary świata wciąż trwały niewzruszenie.

Jako odpowiedzialny tyran, lord Vetinari często analizował swoje działania, surowo i bez żadnych ulg. O trollach w Ankh-Morpork ostatnio mało kto mówił, ponieważ — co zadziwiające — ludzie praktycznie nie myśleli o nich jak o trollach, lecz jak o, no... dużych ludziach. Właściwie takich samych, chociaż innych. Ważna też była pozycja krasnoludów, tych żyjących w Ankh-Morpork. Czy były dostatecznie krasnoludzie? Owszem, ale na własnych warunkach. Dolny król z pewnością zdawał sobie sprawę, że w Ankh-Morpork mieszka liczna populacja krasnoludów, które spojrzały w przyszłość i postanowiły wyrwać z niej kawałek dla siebie. Tradycja? Jeśli będzie nam to pasować, uznały, możemy raz na jakiś czas urządzić paradę wszystkiego co krasnoludzie. Jesteśmy synami i córkami naszych rodziców, ale, można powiedzieć... ulepszonymi. Widzieliśmy miasto. Miasto, w którym wszystko jest wyobrażalne, jeśli nawet nie od razu możliwe, włącznie z lepszą klasą bielizny dla dam.

\* \* \*

Bardzo daleko, w niewielkiej kopalni pod Miedzianką, Maelog Cudosson, szewc, odłożył młotek i gwoździe.

— Posłuchaj, mój chłopcze — rzekł do pochylonego nad warsztatem syna. — Słyszałem, co mówiłeś o gragach będących zbawieniem dla krasnoludów, a dziś rano znalazłem ikonogram mnie w Dolinie Koom. Ostatni raz, kiedy tam byłem. Pewnie, byłem, praktycznie wszyscy tam byli. Gragowie powtarzali nam, że trolle to nasi wrogowie, a ja sam uważałem ich za paskudne bryły skał, co to chcą nas zgnieść. No i staliśmy tak naprzeciwko tych drani, kiedy nagle ktoś krzyknął: „Trolle, opuśćcie broń! Krasnoludy, opuśćcie broń! Ludzie, opuśćcie broń!”. Słyszeliśmy też inne głosy w różnych językach, a tuż przede mną stał taki wściekle wielki troll, niech mnie... I trzymał taki wściekle wielki młot, żeby mnie rozbić na miazgę. Choć to nie jest tak, że mój topór nie miał właśnie w tej samej chwili przerąbać mu tych jego piekielnych kolan. Ale głosy rozbrzmiewały potężnie, aż wszyscy zatrzymali się i rozejrzeli. On, ten troll, popatrzył na mnie, a ja na niego. Zapytał: „Co się tu dzieje, szanowny panie?”, a ja odpowiedziałem, „Niech mnie licho, jeśli mam pojęcie”.

Przymknął oczy, wspominając.

— Widziałem stamtąd drugą stronę doliny i działa się tam jakaś porządna zawierucha wśród dowództwa, i wszyscy krzyczeli, żeby opuścić broń. No to jeszcze raz popatrzyłem na trolla, a on na mnie, i pyta: „Będziemy tu wojnę toczyć czy jak?”, a ja mu na to: „Och, miło mi pana poznać, nazywam się Maelog Cudosson”. On się tak jakby uśmiechnął i powiada: „Mówią na mnie Trzask i cieszę się, że pana poznałem”. Wszędzie dookoła ludzie kręcili się tu i tam, i pytali się nawzajem, czy mamy tu walczyć, czy nie mamy, bo gdyby tak, to właściwie o co? No to niektórzy chłopcy usiedli sobie i rozpalili ogniska, żeby coś podgrzać, a po drugiej stronie doliny łopotały flagi i wszyscy tam łazili w kółko, jakby jakie święto było albo co. No a potem podszedł jeden krasnolud i mówi: „Macie szczęście, chłopcy, bo zaraz zobaczycie coś, czego nikt inny od milionów lat nie widział”, no i zobaczyliśmy, myślę. Byliśmy spory kawałek od przodu kolejki, a trolle, ludzie i krasnoludy wychodziły z jaskini i każdy jeden, co nas mijał, wyglądał jak zahipnotyzowany.

Mealog westchnął.

— Już ci opowiadałem o cudzie z Doliny Koom, mój chłopcze, ale nie oglądałeś tego ikonogramu mnie z Trzaskiem. Zrobili go nam zaraz potem, kiedy zrozumieliśmy, że tego dnia walczyć nie będziemy, no więc pojedynczo albo dwójkami poszliśmy do tej jaskini i zobaczyliśmy dwóch królów, króla krasnoludów i króla trolli, zastygłych w błyszczącej skale i grających w łupsa. Widzieliśmy to. Taka jest prawda: byli przyjaciółmi w śmierci. To dało nam znak, że nie musimy być wrogami w życiu. I to właściwie tyle, ale potem Trzask i ja próbowaliśmy znaleźć coś, czego obaj byśmy mogli się napić. Dużo ludzi robiło to samo, a ten drink, który mi dał, prawie głowę mi rozerwał na kawałki. A na pewno przypalił mi buty. Trzask ma teraz dwójkę dzieciaków, rozumiesz, i nieźle sobie radzi. Pracuje w Ankh-Morpork. Trolle nie radzą sobie dobrze z pisaniem, ale myślę o nim. I myślę o Dolinie Koom. Codziennie.

Stary szewc zerknął z ukosa na twarz syna.

— Mądry z ciebie chłopak... — powiedział. — Mądrzejszy od swojego brata. I domyślam się, że chciałbyś o coś zapytać.

Chłopiec odchrząknął.

— Jeśli widziałeś, że grają w łupsa, tato, to który z nich wygrywał?

Stary krasnolud zaśmiał się głośno.

— O to samo zapytałem, kiedy spotkałem komendanta Vimesa, ale nie chciał powiedzieć. Tak się domyślaliśmy, że odłupał kilka figur, żeby nikt nie wiedział, kto byłby zwycięzcą. I żeby jakiś ciekawski młodziak, jak ty, nie próbował zaczynać tej przeklętej wojny od nowa.

— Komendant Vimes? Dyżurny klasowy? Ten, który ścierał słowa z tablicy?

— Tak, on we własnej osobie. Obu nam uścisnął rękę.

— Naprawdę podał ci rękę prawdziwy komendant Vimes? — W głosie chłopca zabrzmiał nabożny szacunek.

— O tak — odparł jego ojciec nonszalancko, jakby co dzień spotykał się z legendarnym dyżurnym klasowym. — Podejrzewam, chłopcze, że masz jeszcze inne pytanie.

Jego syn zmarszczył czoło.

— Tato, co się stanie z moim bratem?

— Przykro mi, ale tego nie wiem. Wysłałem prośbę do lorda Vetinariego. Napisałem, że Llevelys to dobry chłopak, tylko wpadł w złe towarzystwo. Dostałem odpowiedź. Jego lordowska mość napisał, że młody krasnolud podłożył ogień pod wieżę sekarową, na której pracowali ludzie. I że zostanie mu wymierzona kara, jaką jego lordowska mość wybierze. No więc posłałem mu następny list i napisałem, że walczyłem w Dolinie Koom. I dostałem następną odpowiedź. Jego lordowska mość pisał, że rozumie, iż nie walczyłem w Dolinie Koom, ponieważ szczęśliwie nikt nie walczył, ale rozumie też, że muszę robić wszystko dla swojego najstarszego syna. I jego lordowska mość obiecał, że rozważy sprawę.

Westchnął.

— Nadal czekam, ale jak powiada twoja matka, dopóki o niczym nie słyszymy, chłopak ciągle żyje. I nie mów mi, synu, że gragowi ekstremiści stoją po naszej stronie, bo tak nie jest. Są tacy, co będą ci tłumaczyć, że tych martwych królów zrobili w Ankh-Morpork, że to kukły, tak jak i my, jeśli sądzimy, że są prawdziwi. I durnie im wierzą, mój chłopcze. Ale ja tam byłem. Widziałem to na własne oczy, tak samo jak wszyscy inni owego dnia, i dlatego złość mnie bierze, kiedy gragowie zaczynają opowiadać o okropnych ludziach i strasznych trollach. Oni chcą, żebyśmy bali się siebie nawzajem, byśmy myśleli, że mamy wrogów. Tylko że jedyni wrogowie dzisiaj to gragowie i tacy nieszczęśni durnie jak twój brat, który podpalił wieżę sekarową i paskudnie się poparzył na dodatek. Tacy są ofiarami tych oślizłych drani z ciemności.

\* \* \*

W dalekim Podłużnym Gabinecie Drumknott położył przed Vetinarim popołudniowe wydanie „Pulsu” i spojrzał na ostatnią rozpaczliwą prośbę pana Cudossona.

— Podpalili kolejne dwie wieże, panie — oznajmił. — Jak dotąd nikt nie zginął. Oprócz tych po ich stronie, ma się rozumieć. Młode krasnoludy wyprowadzone na manowce. Powinny być rozsądniejsze.

Milczenie okryło Patrycjusza.

— Rzeczywiście — zgodził się po chwili. — Łatwo jednak być idiotą, kiedy ma się siedemnaście lat. A jestem przekonany, że gragowie, którzy ich namówili, są o wiele starsi. Nie warto łamać strzały, jeśli poprzez rozsądne działania można schwytać łucznika. Zostawię chłopaka Cudossonów, żeby przez jakiś czas w Tantach podumał nad swoim losem, i zanotuję, żeby za miesiąc czy dwa przyprowadzili go do mnie na rozmowę. Jeśli będzie rozsądny, oszczędzi rodzinie żalu, a ja zyskam kilka nazwisk oraz, co ważne, wdzięczność jego rodziców. Zawsze warto o to zadbać. Nie sądzisz, Drumknott?

— Uszkodzenie cudzej własności — rzucił Drumknott w zadumie.

— Tak — zgodził się Vetinari. — Właśnie.

\* \* \*

Kilka dni później Crossly wszedł cichutko do głównej sypialni domu przy alei Scoone’a, kilka razy lekko szturchnął Moista, a kiedy to nie pomagało, w końcu uszczypnął go w ucho.

— Bardzo przepraszam, sir — szepnął. — Jego lordowska mość wymaga pańskiej obecności w pałacu. Natychmiast. I jestem przekonany, że żaden z nas nie chciałby o tej porze zakłócić pani odpoczynku, prawda?

W domu i chociaż raz w łóżku w tym samym czasie co Moist, Adora Belle Dearheart chrapała delikatnie, choć była pewna, że wcale nie.

Moist jęknął. Była prawie siódma, a on miał alergię na koncepcję dwóch godzin siódmych tego samego dnia. Mimo to ubrał się cicho i szybko, z wprawą zyskaną z doświadczenia, bezgłośnie zbiegł na dół, wyszedł z domu i złapał omnibus do pałacu. Wbiegł po schodach do Podłużnego Gabinetu, przypominając sobie po drodze, że we dnie czy w nocy nigdy nie widział go pustego. Tym razem lord Vetinari siedział przy biurku i wyglądał — jeśli można zastosować do niego to określenie — na pełnego werwy.

— Dzień dobry, panie Lipwig, dzień dobry. Szybciej niż ostatnim razem, prawda? Domyślam się, że nie miał pan czasu, by zajrzeć do dzisiejszych azet. Zdarzyło się coś zabawnego.

— Czy ma to jakiś ciekawy związek z drogą żelazną, panie?

Przez moment Patrycjusz wyglądał na zaskoczonego.

— No więc rzeczywiście — przyznał. — Jest coś takiego, skoro już pan pyta.

Prychnął lekko, jakby to, o czym mówi, nie należało do wielkiego planu spraw najważniejszych.

— Doniesiono mi, że wszyscy chodzą do kompleksu zakładów sir Harry’ego Króla, by zobaczyć cud parującego pociągu, który najwyraźniej zyskał popularność. Jak rozumiem, sir Harry, ze zwykłym wyczuciem interesu, buduje na tej podstawie przedsięwzięcie komercyjne. Oczywiście, to ważna informacja. Ale jeśli pan zajrzy do „Pulsu”, zauważy pan niewielkie przeprosiny wydawcy; tłumaczy, że krzyżówka została usunięta, jako że jej twórca rezygnuje na pewien czas, ze względu na presję, by utrzymać standard akceptowalnych łamigłówek, które jednak pozostaną odpowiednio wymagające. Z zasady nie napawam się tryumfem, ale tym razem sądzę, że spotkała godnego przeciwnika. Poproszę Drumknotta, by kazał jej posłać pudełko czekoladek od cichego wielbiciela. Będę wielkoduszny w zwycięstwie.

Vetinari odchrząknął.

— Niestety — rzekł z powagą. — Drumknott wziął sobie wolny ranek, by raz jeszcze popatrzeć na machinę. Wolny ranek. Czy kto kiedy słyszał o czymś takim? Muszę przyznać, że jestem nieco zaskoczony, jako że tylko raz dotąd prosił o czas wolny od służby; uczestniczył wtedy w sympozjum na temat spinaczy, zszywaczy i innych pomocy biurowych, trzy lata temu. Też był wtedy bardzo podniecony. Można się tylko zastanawiać, czemu machina parowa stała się dla niego taką atrakcją. Czy nie wydaje się to panu dziwne?

Moist stał się nieco nerwowy, słysząc słowa „dziwne” i „Drumknott” w jednym zdaniu. Zaproponował więc, że odwiedzi siedzibę pociągu i przyprowadzi Drumknotta z powrotem do pałacu.

— Skoro pan już tam będzie, panie Lipwig, z przyjemnością wysłucham pańskich... impresji na temat ekonomicznych możliwości takiego przedsięwzięcia dla mojego miasta.

Aha, pomyślał Moist. Więc po to wyciągnął mnie z łóżka... znowu. Żadne tam krzyżówki, żaden Drumknott, ale oczywiście jego miasto mające udziały w drodze żelaznej.

Jego lordowska mość skinął energicznie głową i machnął azetą, sugerując Moistowi, że powinien już ruszać.

\* \* \*

Sporo czasu zajęło Moistowi przeciskanie się przez tłum pragnący obejrzeć nowoczesny cud stulecia. Kompleks przetwórczy Harry’ego Króla leżał na samym końcu długiej kolejki, sięgającej chyba połowy drogi do miasta. Nie zauważył nigdzie Drumknotta, ale się tym nie zdziwił; sekretarz był tak dyskretny, że nawet kiedy stał przed kimś, to jakby go tam nie było.

Przy bramach wokół kompleksu stali strażnicy — z prywatnej ochrony Harry’ego Króla oraz ze Straży Miejskiej. Stali i patrzyli niczym jastrzębie, jak obywatele czekają cierpliwie, by pożegnać się z całym dolarem za jednorazową przejażdżkę za lokomotywą. Dolar to przecież dolar, wart może nawet całodzienne wyżywienie dla rodziny, a jednak — jak Moist mógł zaobserwować — jazda nad torami cudownym pociągiem warta była zaciśnięcia pasa. To lepsze niż cyrk, lepsze niż wszystko: pędzić tak z wiatrem wiejącym w twarz i brudzący ją plamami sadzy, od której łzawiły oczy, ale która stanowiła, no... odznakę jeźdźca pociągu. Zresztą ludzie nie zwracali chyba na to uwagi, skoro tak wiele rzeczy mogło plasnąć, walnąć, plunąć albo spaść człowiekowi na twarz, kiedy tylko wyszedł na ulicę, a nawet kiedy wchodził do własnego domu, o ile mieszkał w okolicy Mroków.

Moist dobrze znał zamiłowanie mieszkańców Ankh-Morpork do nowinek, a Żelazna Belka, niczym królowa ciągnąca za sobą sznur wagonów, była nowinką niezrównaną. Nadjechała zza zakrętu. Pasażerowie w wagonach wrzeszczeli i machali do znajomych, wciąż jeszcze czekających w kolejce. Jako koneser szaleństwa tłumów przyglądał się z uwagą i zauważył, że niektórzy z pasażerów, kiedy wysiedli, biegli do człowieka, który za kolejnego dolara wydawał im jakieś żetony, a potem pędzili aż na koniec bardzo, bardzo długiej kolejki, by czekać na następną jazdę.

Coś w pobliżu pstryknęło i błysnęło. Moist obejrzał się i zobaczył niezmiennie pogodne oblicze Otto Chrieka, głównego ikonografika „Pulsu Ankh-Morpork”, który pomachał do niego przyjaźnie.

— Co pan povie, panie Lipvig? Na pevno to pan za tym stoi, sprytny jak zvykle?

Moist się roześmiał.

— Nie, nie ja, Otto. Ale jest bardzo popularna, przyznasz.

Dlatego chcę się znaleźć w samym środku wydarzeń, dodał w myślach.

Zauważył, że co pewien czas człowiek zbierający pieniądze odchodzi pospiesznie, dźwigając wielkie skórzane worki, a z przodu i za nim idą wtedy trollowi ochroniarze; natychmiast zastępował go kolejny, gotów do odbierania pieniędzy tłumu. Dlatego też Moist, sprytny jak zwykle, podążył za pieniędzmi. Śledził je pomiędzy wielkimi cuchnącymi stosami i śmierdzącymi lagunami imperium Harry’ego, aż człowiek z workami monet wszedł do dużej szopy. Wsunął się za nim i zamarł, otoczony przez ten rodzaj mężczyzn, jacy mają nosy rozpłaszczone z jednej strony twarzy, skromne umiejętności konwersacyjne oraz — co właśnie poczuł — bardzo nieświeże oddechy.

Na szczęście szopa mieściła w swym wnętrzu także sir Harry’ego, który wykazał się odpowiednią przytomnością umysłu i machnął uspokajająco ręką.

— W porządku, chłopcy, nie napinajcie tak pośladów. To tylko pan Lipwig, mój stary kumpel i dyrektor banku. Praktycznie jest jednym z nas. Prawda, Moist?

Moist uśmiechnął się, wdzięczny, że poślady przynajmniej chwilowo nie były napięte.

— Rozumiesz, Harry — powiedział — moim oczywistym obowiązkiem, jako dyrektora twojego banku, jest pilnowanie twoich interesów. Jak rozumiem, dbasz również o interesy pana Simnela?

Pytanie zawisło w powietrzu niczym sierp, i to ostry. Moist obserwował twarz Harry’ego, na której nie drgnął nawet jeden mięsień.

A po chwili Harry wybuchnął śmiechem.

— No, no, panie Lipwig, zawsze powtarzałem, że jesteś pan mocną kartą, a i karciarzem ostrym. — Machnął na swoich ochroniarzy. — Zróbcie sobie krótką przerwę, chłopcy. Ja i mój stary przyjaciel mamy trochę do pogadania, jak to starzy przyjaciele. No już, wynoście się stąd!

Rzeczywiście się wynieśli, wszyscy oprócz jednego, największego — trolla, który połyskiwał dziwnie i przyglądał się Moistowi z uwagą, choć nie tak skupioną jak ta, z którą Moist przyglądał się jemu. I odnosił wrażenie, że ów troll jest... dżentelmenem. Nie potrafił inaczej go określić. I był elegancko ubrany, co samo w sobie budziło zdziwienie, gdyż większość trolli uznawała odzież za opcjonalną.

Moist poczuł się na tyle bezczelny, by swe zdziwienie wyrazić głośno:

— Harry, jeden ochroniarz jeszcze tu został. Nie ufasz mi?

Harry parsknął śmiechem.

— To, panie Lipwig, jest mój prawnik. Nazywa się pan Grom, ma literki przed nazwiskiem i wszystko co trzeba. Zgadza się, panie Grom?

Prawnik? No jasne!

Harry śmiał się teraz, aż brzuch mu się trząsł.

— Panie Lipwig, ta pańska mina... Nie ma powodu do niepokoju. Pan Grom wszystkim się tak przygląda. Nie chcę powiedzieć, że się nie ucieszyłem na pański widok, ale naprawdę może mi się pan przydać. Mnie i mojemu przyjacielowi mechanikowi. Może przejdziemy w jakieś spokojniejsze miejsce? Kawy?

Harry machnął na jakiegoś urzędnika, który wyszedł w pośpiechu, a potem poprowadził Moista i Groma do swojego gabinetu z oknami wychodzącymi na kompleks. Usiadł i wskazał gościom miejsca.

— No więc zna mnie pan, panie Lipwig, jak ja znam pana. Niezła z nas para, co? Właściwie to nie oszuści, przynajmniej nie teraz, bo już dorośliśmy i wiemy, jak się porządnie załatwia interesy, zgadza się? — Mrugnął znacząco. — I obaj umiemy rozpoznać życiową okazję, kiedy się trafi. Jestem tego pewien. Ale mówcie, gdybym się mylił.

W pomieszczeniu znajdował się osobnik będący prawnikiem, w dodatku takim, który może człowieka zabić jednym ciosem. Zawsze warto dobrze rozważyć, co się mówi w obecności prawnika. Moist skinął Gromowi głową i zaczął mówić, starannie pilnując dykcji.

— Sir Harry, lord Vetinari zlecił mi zadanie oszacowania tego wspaniałego nowego wynalazku z punktu widzenia interesów miasta.

Harry Król otworzył pudełko wielkich cygar, powąchał i wybrał jedno, po czym podsunął pudełko Moistowi i Gromowi. Troll odmówił, oczywiście, ale Moist nigdy nie rezygnował z najlepszych cygar Harry’ego. Pochodziły z dalekich krain i były naprawdę doskonałe.

Sir Harry wypuścił z ust chmurę dymu, co sprawiło, że przez chwilę przypominał Żelazną Belkę. Moistowi przyszło do głowy, że on rozumie znaczenie symboli i z pewnością planuje zostać pierwszym kolejowym baronem.

— Panie Lipwig, Żelazna Belka transportuje, z braku lepszego słowa, chętnych obywateli w koło po torze, regularnie jak w zegarku. Raz dokoła, dwa dokoła, jeżdżą sobie szczęśliwi i weseli, musi pan przyznać. Pan Simnel twierdzi, że skonstruował ją jako dowód poprawności koncepcji i potrzebuje dużo pieniędzy, by zbudować wersję pełnowymiarową. Ta wersja pociągnie jeszcze więcej ludzi i przede wszystkim towarów, gdyż pan Simnel uważa, że na tym głównie można zrobić pieniądze. Chociaż kiedy widzę przez okno te uśmiechnięte twarze, nie jestem tego taki pewny.

Sir Harry wypuścił kolejny kłąb dymu. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie, zapewne — jak uznał Moist — słusznie.

— Ponieważ znam pana, panie Lipwig, i wiem, że potrafi pan mnie rozszyfrować, to przyznaję, owszem, ma pan rację, jestem skłonny finansować chłopaka w zamian za udział w zyskach; duży i uczciwy udział. Jak rozumiem, jest teraz prawie goły, zupełnie spłukany, tyłek prześwituje mu przez spodnie. Jeśli chce zaspokoić swoją ambicję, żeby puścić większe pociągi tutaj, tam i wszędzie, potrzebny mu partner z doświadczeniem w świecie. A ja zdobyłem to doświadczenie do spodu, jak to mówią. Wiecie jednak, panowie, jak to jest... Kiedy człowiek się starzeje, a zarobił już swój majątek, zaczyna bardziej się przejmować, co myślą o nim inni. No więc nie jestem krasnoludem, nie wykorzystam swojej przewagi nad tym młodym człowiekiem z widokami na przyszłość. Dlatego z przyjemnością informuję, że z pomocą tego oto pana Groma zawarłem z chłopakiem uczciwą umowę. Dobrze mówię, panie Grom?

Powietrze zamigotało, kiedy troll wstał. Połyskiwał, mówiąc. Jego głos zdawał się dobiegać z okrytych mrokiem kanionów daleko stąd. Nie był to tylko dźwięk — miał własną osobowość.

— Tak jest istotnie, sir Harry. Sugeruję, że choć uściskiem dłoni przypieczętowaliście układ z panem Simnelem, w tym przedsięwzięciu powinny uczestniczyć trzy podmioty, co pozwoli uniknąć impasu. Trzeci, bardzo niewielki udział powinien się znaleźć w rękach miasta, to znaczy lorda Vetinariego. W takim systemie, gdyby pan Simnel i pan, sir Harry, nie potrafili się zgodzić w jakiejś kwestii związanej z tym, co wszyscy nazywamy drogą żelazną, lord Vetinari będzie miał głos decydujący, co pozwoli przerwać wspomniany impas. Miasto jednak nie będzie pobierać żadnych dywidend; jego dochody mają, jak zawsze, pochodzić ze zwykłego opodatkowania. Jestem przekonany, że lord Vetinari uważa je za ważny element tego przedsięwzięcia.

Zastanowił się przez moment.

— Dodatkowe uwagi są nieco bardziej skomplikowane — podjął. — Oczywiście, jeżeli lokomotywy pana Simnela okażą się sukcesem, istnieje możliwość, by w przyszłości sprzedawać dodatkowe udziały. Jeśli obaj się zgadzacie, panowie, zajmę się tym aspektem i możecie być pewni, że zgodnie z instrukcjami sir Harry’ego pan Simnel i jego rodzina zachowają znaczące udziały w tym przedsięwzięciu.

Równie powoli, jak wcześniej wstawał, pan Grom usiadł. Moist von Lipwig i Harry Król spojrzeli po sobie.

— W takim razie lepiej poproszę tu chłopaka — rzekł rozpromieniony Harry i skinął Gromowi, by otworzył drzwi.

Kilka minut później Dick Simnel siedział sztywno w fotelu i starał się niczego nie ubrudzić — bez większych nadziei i z jeszcze mniejszymi sukcesami.

Harry zdawał się tego nie zauważać.

— Mój chłopcze, sprawa wygląda tak — zaczął pogodnym tonem. — Jak twierdzisz, jeśli dostaniesz dość pieniędzy, potrafisz budować swoje machiny większe i potężniejsze od Żelaznej Belki, zgadza się? A z dostatecznie długimi, ehm... torami możesz nimi dojechać do wszystkich innych miast? Cóż, będę finansował te plany, dopóki nie zdołasz wykazać, że to możliwe.

Przez chwilę wpatrywał się w sufit.

— Powiedz zatem — rzekł — kiedy to będzie możliwe twoim zdaniem.

Nieco zaskoczony mechanik się zamyślił.

— Trudno dokładnie ocenić, sir. Ale im więcej zabrzęczy pieniędzy, tym szybciej zakręcą się koła. Znaczy, mógłbym wynająć najlepszych i najsprawniejszych robotników. W każdym razie, sir, zrobiłem parę obliczeń i parę testów, i wyszło mi, że nową machinę mógłbym mieć gotową za...

Moist wstrzymał oddech.

— ...tysiąc dolarów.

Moist zerknął na Harry’ego Króla, który z absolutnym spokojem strzepnął popiół z cygara.

— Tysiąc dolarów? A jak prędko mógłbyś ją postawić na tory?

Simnel wyjął z kieszeni mały przesuwny aparacik i bawił się nim przez jakąś minutę.

— Może za dwa miesiące? — zaproponował. Znowu przesunął coś w aparacie i dodał: — Mniej więcej w porze herbaty.

Moist zaczął wiercić się niespokojnie.

— Bardzo przepraszam — wtrącił. — Wiem, mówił pan, że Simnelowie pracowali nad parą od lat i że inni też mogli. Ale czy ktoś inny zbudował coś podobnego? Mogą pana wyprzedzić, nawet jeśli nie znają wszystkich pańskich sekretów?

Ku jego zdumieniu Simnel uśmiechnął się pogodnie.

— O tak, drogi panie. Jest takich czterech czy pięciu. Ale żaden nie stworzył nawet działającego modelu, takiego jak Żelazna Belka. Popełniają wszystkie błędy, co je zrobił mój tato, a z tego, co słyszałem, dodają jeszcze parę własnych. Rozgrzana para nie daje człowiekowi szansy. Wystarczy coś pomylić, a zedrze ciało z kości. Otóż ja, drogi panie, bardzo się trzymam pomiarów. Takich ciutkich pomiarów. Mało to podniecające, ale w tym tkwi dusza i serce rzemiosła mechanicznego. Tato i dziadek trochę byli niedbali w tym względzie, bo jakby nie bardzo się na nich znali, ale pomiary to prawdziwa łaska zbawienia, gdy człowiek chce puścić parę w ruch. Mama zapłaciła, żebym się lepiej wykształcił, no bo jej strona rodziny miała pieniądze z... — zawahał się — ...z rybołówstwa, a jeden z wujów robił teodolity i inne delikatne instrumenty, to żem sobie pomyślał, że to wszystko się przyda. Zwłaszcza jak mnie nauczył dmuchania szkła, a do czego to szkło potrzebne, to moja mała tajemnica...

W tym miejscu Simnel wyraźnie się zatroskał.

— Będzie mi potrzebna masa żelaza, zwłaszcza na same tory. I oczywiście jest sprawa układania tych torów przez czyjeś ziemie... Ktoś będzie musiał pogadać z właścicielami. Jestem mechanikiem i nie mam pojęcia, jak się targować z wielkim państwem.

— Tak się składa, że mamy akurat wśród nas urodzonego specjalistę od targów — zauważył Harry. — Co pan na to, panie Lipwig? Chce pan wejść w ten interes?

Moist otworzył usta.

— No to załatwione, młody Dicku. Do wszelkich negocjacji wykorzystamy pana Lipwiga. To taki człowiek, który wejdzie za tobą w drzwi obrotowe, a i tak wyjdzie pierwszy. A kiedy trzeba, potrafi mówić elegancko. Oczywiście, trochę z niego łobuz, ale przecież wszyscy tacy jesteśmy w tym biznesie.

— Nie wydaje mi się, żebym był łobuzem, sir — stwierdził ostrożnie Simnel — ale chyba wiem, o co panu chodzi. Uważam, że mój pierwszy tor powinien biec z powrotem do Sto Lat. No, może nie do samego Sto Lat, jest takie miejsce na obrzeżach, nazywają je Kolnóżki, bo kowale tam konie kują. Tam zostawiłem resztę moich narzędzi i maszynerii.

Simnel zerknął nerwowo na sir Harry’ego, który przygryzł wargę.

— To daleka droga, chłopcze, ze dwadzieścia pięć mil albo i więcej. No i trafisz do zupełnej wiochy.

Moist nie potrafił się powstrzymać.

— Tak, ale niedługo zostanie taką wiochą, prawda? Proszę spróbować kupić w mieście świeże mleko... zanim tu dotrze, to już nieświeży ser. A są też truskawki, rukiew, sałata, wszystko, co szybko się psuje albo więdnie! Regiony, gdzie dotrze droga żelazna, staną się o wiele bogatsze od tych, gdzie nie sięgnie. Tak samo było na początku z sekarami. Wszyscy powtarzali, że nie chcą żadnych wież, a teraz każdy, kto jest kimś, chciałby mieć wieżę w swoim ogródku. Urząd Pocztowy też pana poprze, panie Simnel, bo poczta będzie przesyłana o wiele szybciej. Mogę też zapewnić, że Bank Królewski stanie za panem murem. Co więcej, panie Simnel, chciałbym możliwie szybko spotkać się z panem w swoim biurze, żeby przedyskutować nasze specjalne usługi bankowe...

Harry Król klepnął się po udzie.

— Nie mówiłem, panie Lipwig? Umie pan poznać okazję, kiedy się przed panem pojawi.

— Wydaje mi się, Harry — odparł Moist — że pojawiła się przed nami wszystkimi.

Prawdę mówiąc, oczyma duszy Moist widział całe mnóstwo okazji oraz bardzo wiele miejsca na kłopoty, a w samym środku tego wszystkiego stał on, Moist von Lipwig. Nie mógł lepiej trafić... Uśmiechnął się szerzej, na zewnątrz i wewnętrznie.

Tu nie chodziło o pieniądze. Nigdy nie chodziło o pieniądze. Nawet kiedy chodziło o pieniądze, to jednak nie wyłącznie o nie. No, może trochę, ale przede wszystkim chodziło o coś, co krasnoludy nazywają craic — czystą rozkosz z tego, co człowiek robi i gdzie.

Czuł już, jak porywa go przyszłość. Widział, jak go przyzywa. Oczywiście, wcześniej czy później ktoś spróbuje go zabić. Tak się zwykle działo, ale ryzyko podjąć trzeba. Wydawało się, że to niezbędny element przedsięwzięcia. Zawsze trzeba ryzykować. Ryzyko jest ważne.

Harry spojrzał na Moista z ukosa.

— Panie Simnel — rzucił przez ramię. — Skoro zostawił pan wiele cennego sprzętu w tych Kłujących Nóżkach czy jak im tam, chciałbym posłać na miejsce kilku moich... — Przerwał na moment, szukając eleganckiego określenia. — Moich użytecznych dżentelmenów, żeby mieli oko na tę wioskę.

— Jest naprawdę spokojna, sir — odparł zdziwiony Simnel.

Harry wszedł w rolę, którą można by nazwać ojcowską.

— Może tak być, synu, ale myślę sobie, że ty i ja ruszamy tam, gdzie leżą wielkie pieniądze. A gdzie są wielkie pieniądze, tam jest i wielu takich, którzy chcieliby ci je odebrać. Wolałbym wiedzieć, że ktokolwiek włamie się do twojej szopy, żeby tam pomyszkować i poszukać ciekawych urządzeń albo wskazówek, jak budujesz swoje machiny, będzie tłumaczył się z tego wścibstwa Łapaczowi, Sztyletowemu Dave’owi i Bobowi Młynkowi. To dobre chłopaki, opiekują się matkami i muchy by nie skrzywdzili. Nazwij to... bo ja wiem, nazwij... zabezpieczeniem. Gdybyś zechciał przekazać im klucz, poślę ich natychmiast. Ale gdybyś akurat nie znalazł tego klucza, na pewno sami potrafią wejść. Bardzo są pomysłowi w tym względzie.

Młody Simnel uśmiechnął się lekko.

— To bardzo rozsądne z pana strony, sir Harry. Może dam im też wiadomość do przekazania mojej mamie. Pokaże im, gdzie co jest. Tato mówił, żeby zawsze zakładać parę solidnych pułapek, zanim się zamknie wrota. Jeśli ktoś chciałby coś ukraść, proszę uprzejmie, o ile ciągle będzie miał ręce, żeby to wynieść.

Harry zaśmiał się głośno.

— Wygląda na to, że twój ojciec kombinował całkiem jak ja. Co moje, to moje, a co moje, to lepiej nie ruszaj.

\* \* \*

Kiedy Moist z panem Gromem wyszli z budynku, ludzie wciąż jeszcze stali w kolejce, czekając na przejażdżkę za lokomotywą, która stała jak królowa, gdy chłopcy pana Simnela ładowali jej węgiel do bunkra i na nowo oliwili i smarowali wszystko, w tym siebie. Stukali w jej koła i polerowali to, co nadawało się do polerowania, w tym ponownie siebie. Tymczasem prawie wszyscy chłopcy z miasta oraz — co ciekawe — większość dziewcząt patrzeli na Żelazną Belkę z zachwytem, niczym zgromadzeni przed kaplicą wierni. I wtedy sobie uświadomił: ziemia, powietrze, ogień i woda, suma wszystkiego! Bogini znalazła swoich wyznawców.

Rozległ się jakby głos gromu, ale to tylko pan Grom odchrząknął.

— Zadziwiające, przyzna pan, panie Lipwig. Wydaje się, że jest tu coś, co można nazwać „obecnością” swego rodzaju, sugestia, można powiedzieć, że życie rozkwita w wielu rozmaitych formach, prawda? To jedynie taka przelotna myśl...

Moist nigdy nie słyszał, by troll mówił z tak wyraźną dykcją, i musiał się jakoś zdradzić, gdyż Grom się roześmiał.

— Odrobina diamentu to załatwia, panie Lipwig. Proszę się nie martwić, postaram się przygotować kontrakty, które zadowolą wszystkie strony.

Wtedy właśnie Moist zauważył Drumknotta, brudnego, radosnego i poplamionego sadzą. Wysiadł z machiny i z wyraźnym żalem przekazał jednemu z ludzi Simnela czapkę i bardzo brudną kurtkę.

Moist chwycił sekretarza za ramię.

— Gdzie się pan podziewał, panie Drumknott? Wszędzie pana szukałem — skłamał. — Jego lordowska mość czeka na pana powrót.

Nie był pewien, czy lubi Drumknotta, ale wolał nie mieć w nim wroga, skoro sekretarz stał tak blisko napędzającego Ankh-Morpork źródła energii. Dlatego oczyścił go, na ile zdołał, i wezwał powóz. Po drodze do miasta zauważył, że ruch na ścieżce wciąż kierował się głównie w przeciwną stronę.

Wiedział, jak działa duch czasów, wyczuwał go w podmuchach wiatru i to niekiedy pozwalało mu go wykorzystać. Rozumiał go — i teraz wiatr smakował szybkością, ucieczką, czymś cudownie nowym, jakby same kości ziemi budziły się znowu do życia. Kraina pragnęła ruchu, nowych horyzontów, dalekich miejsc, wszystkiego, co nie jest „tutaj”! Nie miał wątpliwości, droga żelazna wkrótce zacznie zamieniać węgiel w złoto.

\* \* \*

— Przepraszam, młody człowieku...

Sierżant Colon i kapral Nobby Nobbs, którzy wzięli na siebie zadanie patrolowania linii niecierpliwych gapiów czekających na przejażdżkę pociągiem, rozejrzeli się niepewnie. Wiele lat już minęło od czasów, kiedy Colon był młodym człowiekiem, a co do Nobby’ego Nobbsa — choć zgadzano się powszechnie, że jest młodszym z tej dwójki — były pewne wątpliwości, czy termin „człowiek” ma wobec niego zastosowanie; osąd Ankh-Morpork nie był jednoznaczny.

Colon i Nobbs powinni patrolować Mroki, jednak Colon zrzucił ten obowiązek na kilku nowych rekrutów.

— Zyskają trochę doświadczenia, Nobby. A ta sprawa z parującą machiną może być niebezpieczna. Ktoś musi wszystkiego przypilnować. Powiedzmy... dwóch doświadczonych gliniarzy skłonnych się narażać dla publicznego dobra.

— Młody człowieku... Jeśli można... — odezwał się ten sam głos.

Mówiącą była znękana kobieta z dwoma chłopcami trzymającymi się jej spódnicy, którzy jednak w tej chwili wcale nie trzymali się jej spódnicy, lecz wyrażali zniecierpliwienie oczekiwaniem na obiecaną jazdę pociągiem na wiele niezwykle irytujących sposobów, jakie tylko małe dzieci zdolne są wymyślić. W rozpaczliwej próbie przerwania ich współzawodnictwa o rozgniewanie największej liczby czekających przed nimi, matka zaczepiła pierwsze w miarę oficjalnie wyglądające osoby, które mogłyby zająć jej potomków jakimiś interesującymi faktami.

— Pomyśleliśmy, że może opowie nam pan, jak działa ta lokomotywa — poprosiła.

Fred Colon nabrał tchu.

— No więc, droga pani, ona ma taki kocioł. Rozumie pani, taki jakby czajnik.

To nie wystarczyło mniejszemu z chłopców.

— Nasza mama ma czajnik, ale on nigdzie nie jeździ.

Matka spróbowała ponownie.

— A jak działa taki kocioł?

— No, widzi pani, on wysyła gorącą wodę do machiny — wyjaśnił pospiesznie Nobby.

— No tak — zgodziła się kobieta. — I co potem?

— Potem gorąca woda przepływa do kół.

Starszy chłopiec był wyraźnie sceptyczny.

— Naprawdę? A jak to się dzieje?

Nobby znalazł wyjście z tej trudnej sytuacji.

— Myślę, że sierżant lepiej to wytłumaczy.

Colon zaczął się pocić. Zdawał sobie sprawę, że obaj chłopcy wpatrują się w niego, jakby był jakimś eksponatem.

— Ehm... woda jest magnetyczna, prawda, z powodu całego tego kręcenia — powiedział.

— Nie sądzę, żeby to się działo w taki sposób — stwierdził starszy chłopak.

Ale Colon nabrał już rozpędu i zignorował tę uwagę.

— To kręcenie powoduje magnetyzm, a dzięki niemu cała ta woda się tam trzyma. W kołach pociągu jest mnóstwo żelaza, to oczywiste. I to właśnie trzyma pociąg na żelaznych torach, logiczne.

Młodszy chłopiec zmienił temat.

— A dlaczego machina robi „ciuff”?

— Bo jest uciuszona, to znaczy ucieszona — wyjaśnił Colon w nagłym przypływie natchnienia. — To przecież oczywiste. I stąd to „ciuff”.

Nobby spojrzał na przyjaciela z podziwem.

— Naprawdę, sierżancie? Nigdy mi to nie wpadło do głowy.

— A kiedy już się uciuszy dostatecznie, powstaje dość magnetyzmu, żeby ją utrzymać na żelaznej drodze. Jasne?

Ostatnie zdanie padło pospiesznie, w nadziei że nie pojawią się kolejne pytania. Ale z dziećmi to tak nie działa. Starszy chłopiec miał już dość i postanowił pochwalić się wiedzą zdobytą wcześniej od kolegów.

— Czy to ma coś wspólnego z ruchem posuwisto-zwrotnym? — zapytał z błyskiem w oku.

— A, no właśnie — brnął bezradnie Colon. — Tam musi się wszystko ruszać, posuwać i zwracać, żeby uzyskać odpowiedni rodzaj ciuffa. A kiedy już wszystko ciuffuje i zwrotuje jak należy, to ruszamy.

Mniejszy dzieciak wciąż był zdziwiony, co jest raczej oczywiste.

— Chyba ciągle nie rozumiem, proszę pana.

— Może jesteś jeszcze za młody, żeby to wiedzieć. — Colon uciekł się do wymówki, od tysiącleci wykorzystywanej przez zirytowanych rodziców. — To bardzo techniczna kwestia, to ciuffanie. Może w ogóle nie powinienem jej tłumaczyć dzieciom.

— Ale ja też chyba nie rozumiem — wtrąciła matka.

— Zna pani jakieś nakręcane mechanizmy? — Nobby znów pospieszył koledze na ratunek. — To coś podobnego, tylko większe i szybsze.

— A jak się nakręca taką lokomotywę? — spytał chłopiec.

— No wiesz, to właśnie ten ciuffiący odgłos. Od nakręcania — tłumaczył Colon. — A kiedy już jest nakręcona, to ciuszy się i jedzie.

Mniejszy chłopiec pokazał matce nakręcaną zabawkę.

— Pan ma rację, mamo — stwierdził z powagą. — Jak się ją nakręci, to jedzie.

— Rzeczywiście — przyznała nieco speszona kobieta. — Bardzo panom dziękuję za ten pouczający wykład. Chłopcy byli zafascynowani.

Wręczyła Colonowi kilka monet.

Po chwili Colon i Nobby patrzyli, jak szczęśliwa rodzina wspina się do wagonu za Żelazną Belką.

— Miłe uczucie, sierżancie, prawda? — odezwał się Nobby. — Tak pomagać ludziom...

2

Powóz zatrzymał się przy pałacu i Moist pomógł wyczerpanemu Drumknottowi wspiąć się na schody. Co dziwne, zaczynało mu się robić żal niskiego, chudego człowieka, który wyglądał jak lotofag pobawiony lotosów.

Bardzo ostrożnie zastukał do drzwi gabinetu Patrycjusza. Otworzył mu jeden z mrocznych referentów. Spojrzał zdumiony na Drumknotta i zerknął na Moista podejrzliwie. Sam lord Vetinari podniósł się zdumiony, przez co Moist został uwięziony między dwoma podejrzliwościami.

Zasalutował sprężyście.

— Chcę zameldować, sir, że pan Drumknott bardzo odważnie, nieustraszenie i ponosząc koszty, pomagał mi uformować opinię co do praktycznych aspektów tego nowego pociągu, wielokrotnie ryzykując przy tym życie. Ja ze swej strony postarałem się, by pański rząd zachował odpowiedni zakres kontroli nad drogami żelaznymi. Sir Harry Król finansuje dalsze badania i próby, ale osobiście uważam, sir, że te drogi żelazne to pewna sprawa. Jestem przekonany, że już ten prototyp może pociągnąć większy ciężar niż dziesiątki koni. Pan Simnel wydaje się człowiekiem bardzo dokładnym, wyjątkowo skrupulatnym, a przede wszystkim ludzie najwyraźniej pokochali te pociągi całym sercem.

Moist czekał. Lord Vetinari potrafiłby wygrać wzrokowy pojedynek z posągiem, bo nawet posąg by się zdenerwował i przyznał do wszystkiego. Moist kontrował ujmującym uśmiechem, o którym wiedział, że niepomiernie Vetinariego irytuje. Absolutna cisza zaległa w Podłużnym Gabinecie, gdy nieruchome spojrzenie i pogodny uśmiech walczyły o uzyskanie przewagi w jakimś innym wymiarze. Przerwał ją głos Vetinariego, który — wciąż patrząc na Moista — rzucił najbliższemu mrocznemu referentowi:

— Panie Ward, proszę odprowadzić pana Drumknotta do jego pokojów i trochę go oczyścić, jeśli będzie pan tak uprzejmy...

Kiedy wyszli, Vetinari usiadł i zaczął bębnić palcami o blat biurka.

— No więc, panie Lipwig, wierzy pan w ten pociąg, tak? Niewątpliwie mój sekretarz także był pod wrażeniem. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak pobudzonego przez coś, co nie jest napisane na papierze. A popołudniowe wydanie „Pulsu” chyba się z nim zgadza.

Vetinari podszedł do okna i przez chwilę w milczeniu spoglądał na miasto.

— Co zwykły, ciężko pracujący tyran może osiągnąć wobec jeszcze większego, wielogłowego tyrana opinii publicznej oraz nieszczęśliwie wolnej prasy?

— Przepraszam, sir, ale mógłbyś przecież zamknąć azety, prawda? Zakazać pociągów i wsadzić do więzienia, kogo chcesz, tak?

— Drogi panie Lipwig... — Patrycjusz wciąż patrzył w okno. — Jest pan inteligentny i na pewno sprytny, jednak nie odkrył pan jeszcze cnoty mądrości. A mądrość mówi potężnemu księciu, że nie powinien zamykać w więzieniu, kogo chce, ponieważ służy ono do zamykania ludzi, których nie chce mieć w swojej domenie. Po drugie, zwykła bezmyślna niechęć wobec czegoś, kogoś albo sytuacji nie upoważnia jeszcze do akcji drastycznych. Zatem, choć udzieliłem panu zgody na dalsze działania, pociąg nie zyskał jeszcze mojej całkowitej aprobaty. Nie zyskał też mojej klątwy. — Patrycjusz zastanowił się i dokończył: — Na razie.

Zaczął spacerować tam i z powrotem, a potem stanął, jakby nagła myśl przyszła mu do głowy.

— Panie Lipwig, czy uważa pan za możliwe, by taki pociąg rzeczywiście dotarł aż do... powiedzmy, do Überwaldu? Jazda tam powozem jest nie tylko wyjątkowo powolna, nużąca i niewygodna, ale też najeżona licznymi... hm... zagrożeniami... i pułapkami czekającymi na nieostrożnego wędrowca. — A po chwili dodał: — Jak również na pechowego bandytę.

— A tak, tam mieszka lady Margolotta, sir, prawda? — spytał Moist. — Ale to oznacza, że trzeba pokonać przełęcz Wilinus. To bardzo niebezpieczne miejsce. Podobno bandyci strącają niekiedy powozy, zrzucając na nie głazy z urwisk.

— Tylko że nie ma innej drogi, jeśli chcemy uniknąć bardzo długiego objazdu, panie Lipwig, o czym zapewne pan wie.

— W takim przypadku, panie... byłaby chyba możliwa budowa czegoś takiego jak pociąg pancerny... — uznał Moist, błyskawicznie tworząc nową koncepcję. Z satysfakcją zauważył, że lord Vetinari wyraźnie się ożywił, gdy to usłyszał. Raz czy dwa powtórzył cicho: „Pociąg pancerny”.

— Czy to rzeczywiście możliwe? — zapytał.

A w klatce swego umysłu Moist pomyślał: Rzeczywiście? Czy naprawdę możliwe? To przecież ponad tysiąc dwieście mil! Podróż powozem zajmuje ponad dwa tygodnie, i to o ile człowieka nie porwą. No ale kto próbowałby porwać pancerny pociąg? Machina musiałaby często dobierać wody. Czy możliwe, by wiozła dość węgla na całą podróż? Liczby przesuwały mu się przez głowę. Stacje postojowe, zbiorniki wody, góry, wąwozy, mosty, mokradła... Tak wiele przeszkód, z których każda może zatopić projekt...

Jednak szlak do Überwaldu będzie prowadził przez wiele innych miejsc, a każde z nich to okazja do zarobienia pieniędzy. Demony analizy ścieżek krytycznych roiły się w jego mózgu. Zawsze było coś, co trzeba zrobić, zanim człowiek może zrobić to, co chce zrobić, i nawet wtedy może to zrobić źle.

Ale odpowiedział wesoło:

— No cóż, panie, nie wiem, czemu by nie. Oczywiście, przy tak długiej trasie powinniśmy zadbać o możliwość spania w pociągu. A głowy państw powinny zajmować w całości zestaw wagonów, może nawet cały pociąg. Z pewnością można to zorganizować...

Wstrzymał oddech.

Jego lordowska mość odezwał się po kilku sekundach.

— Byłoby to odpowiednie, panie Lipwig. Jednakże nie jestem jeszcze całkiem przekupiony. Pociąg musi się wykazać zarówno finansowo, jak i mechanicznie. W każdym razie niecierpliwie oczekuję jego sukcesów. Wydaje mi się, panie Lipwig, że używa pan szczególnie pogodnego tonu. A więc ponownie trafił pan w wybrane przez siebie miejsce, to znaczy w samo centrum wszystkiego. Co będzie celem pierwszego komercyjnego pociągu? Quirm?

— Szczerze mówiąc, sir, dyskutowaliśmy o tym i wydaje się, że pociąg pojedzie do Sto Lat, bo tam właśnie pan Simnel trzyma swoje mechaniczne narzędzia i duży zapas materiałów, które chce przetransportować do Ankh-Morpork. Poza tym ta miejscowość tworzy węzeł dróg do całych Równin Sto, a węzeł oznacza...

Vetinari uniósł dłoń.

— Dziękuję, panie Lipwig. Wiem, co to jest węzeł.

Moist z uśmiechem ruszył do drzwi, okazując panikę jedynie wewnętrznie. Kiedy sięgał ręką do klamki, usłyszał:

— Panie Lipwig, z pewnością pan rozumie, że przemyślny książę, książę, który pragnie jeszcze przez jakiś czas zachować swój tron i jest obeznany z działaniami ludzi, nie będzie podróżował wspaniałym opancerzonym pociągiem. Raczej wsadzi tam kogoś innego, kogoś nieistotnego, podczas gdy sam pokona tę drogę dzień wcześniej w odpowiednim przebraniu. Albowiem istnieją bardzo wielkie głazy i bez wątpienia istnieje wielu szpiegów. Ale rozważę pański pomysł. Brzmi kusząco.

\* \* \*

Przez następne tygodnie wieści o Żelaznej Belce docierały do kolejnych mieszkańców i coraz większe tłumy przechodziły przez Ankh-Morpork, by obejrzeć ten cud. Wśród nich byli też delegaci, ambasadorowie i reprezentanci większości miast z Równin Sto. Zjawiali się też inni rzemieślnicy i niezależni majsterkowicze; badali wszystko, co mogli zobaczyć, i próbowali odkryć wszystko co możliwe na temat tego, czego im nie pokazywano.

Co wieczór Żelazna Belka wjeżdżała po torach do zamykanej szopy w obrębie kompleksu, gdzie powinna być bezpieczna od intruzów. Zagwarantować to miała obecność najstraszniejszych psów bojowych Harry’ego, a także dwóch golemów, których — w przeciwieństwie do psów — nie dało się usunąć wsuniętą pod drzwi miską naszpikowanego trucizną jedzenia. Oba patrolowały ogromną szopę, czasami w towarzystwie funkcjonariuszy Straży Miejskiej, żeby zrobić lepsze wrażenie.

Moist wiele czasu spędzał w kompleksie i w biurach, w swej niezbyt oficjalnej, ale zrozumiałej roli smaru w kierownictwie przedsięwzięcia, równie istotnego jak całe wiadra prawdziwego smaru, najwyraźniej niezbędne do wszystkiego, co miało związek z drogą żelazną. Zależało mu na powodzeniu przedsięwzięcia — także jako szefowi Królewskiego Banku Ankh-Morpork, gdzie pieniądze zaczynały wpływać i wypływać w szybkim tempie, jakby fruwały przez drzwi obrotowe. Harry wypisywał czeki, by płacić za transporty żelaza, drewno i dodatkowych kowali, z których wielu pochodziło z Towarzystwa Wolnych Golemów: każdy był człowiekiem wolnym i niezależnym, choć zrobionym z gliny.

A taki ludzki smar był zdecydowanie potrzebny. Droga żelazna wygenerowała już całą górę dokumentów, a Moist umiejętnie przekazywał je Drumknottowi — pasja do papierkowej roboty nie całkiem jeszcze została u niego przyćmiona przez nową pasję do pociągów. Sekretarz czuł się jak w raju.

Wezwano mierniczych, by opracowali trasę — wszędzie się kręcili ze swoimi małymi teodolitami. Traktowali Dicka Simnela jak jednego ze swoich, tyle że trochę innego. Moist był zadowolony — Dick miał teraz przyjaciół, a jeśli nawet nie w pełni rozumieli jego słowa, umieli rozpoznać szczerą mowę, trochę podobną do swojej. Okazywali więc Dickowi szacunek. W końcu robili w pewnym sensie to samo co on, tyle że pracowali z odmiennymi kształtami, napięciami, krzywymi, obciążeniami, tolerancjami i substancjami, a zatem wewnętrznie czuli się braćmi. Podobnie jak Dick pracowali na liczbach i znali absolutną konieczność precyzji. W całym kompleksie rozlegał się stuk metalu o metal, a na wszystkich płaskich powierzchniach w biurach Harry’ego Króla leżały mapy. I były to dobre mapy.

— Chłopaki — powiedział Dick Simnel do ludzi z teodolitami — Harry Król to porządny gość i dobrze płaci za dobrą robotę. Ryzykuje wszystko, żeby tylko ruszyły lokomotywy, więc chciałbym mu to ułatwić. Żelazna Belka może pokonać jakieś zbocza, a słowo daję, kiedy już skończę, potrafi jeszcze więcej. Na razie chcę wam powiedzieć, żebyście dukt permanentny utrzymywali możliwie poziomo. Wiem, że jest coś takiego jak tunele i mosty, ale zajmują mnóstwo czasu i są wściekle drogie! Od czasu do czasu niewielki objazd może nam zaoszczędzić sporo pieniędzy, a więc i waszych pensji. Ale myślcie... Wiem, że to oczywiste, lecz nawet się nie zbliżajcie do mokradeł i niepewnego gruntu. Taka machina z węglem, wagonami i załogą jest demonicznie, demonicznie ciężka i na pewno nie chcielibyśmy się uczyć, jak wyciągać zagrzebaną lokomotywę z grzęzawiska.

Ci ludzie od suwaków logarytmicznych codziennie wkładali białe koszule. Moist lubił ich, ponieważ byli tak odmienni od niego. Chociaż może powinien ich nauczyć, jak być draniem. Och, nie żeby odbierali pieniądze wdowom i sierotom, ale żeby sobie uświadomili, że istnieje wielu ludzi nie tak prawdomównych jak teodolity.

Mierniczy zgodzili się oczywiście, że rejon wokół Sto Lat jest bramą do Równin Sto. Teraz musieli tylko przekonać do tego ludzi posiadających, można powiedzieć, klucze do tej bramy. To zadanie wszyscy ze szczerą radością zrzucili na pana Moista von Lipwiga.

Jak się okazało, tereny między Ankh-Morpork a Sto Lat należały do bardzo licznych właścicieli ziemskich i jeszcze większej liczby dzierżawców. Nikomu nie przeszkadzało sąsiedztwo wież sekarowych. Więcej, ostatnio ludzie często wręcz żądali takiej wieży, ale sapiący mechaniczny stwór sunący przez pola uprawne i zagony kapusty, plujący dymem i iskrami, to jednak całkiem inna sprawa. Taką sprawę można było rozwiązać jedynie dzięki zastosowaniu cudownego smaru, znanego każdemu negocjatorowi jako brzęcząca moneta[[[23]](#footnote-23)](#23_1).

Arystokraci, jeśli można ich tak nazwać, nienawidzili samej koncepcji pociągów, ponieważ mogłaby zachęcić klasy niższe do podróży, wskutek czego nie zawsze będą pod ręką. Z drugiej strony niektórzy należeli do typu, który Moist łatwo rozpoznawał: sprytni staruszkowie, którzy budzą w człowieku przekonanie, że są całkiem nieszkodliwi, a nawet trochę tracą rozum. I nagle BACH! — wycisną z niego więcej pieniędzy niż boa dusiciel, cały czas błyskając oczami.

Lord Underdale, jeden z takich właśnie dżentelmenów, przedstawiając swoje warunki, wlewał w Moista nieprzyzwoite ilości ginu i brandy.

— Posłuchaj mnie, młody człowieku (błysk, błysk), możesz pociągnąć te swoje tory przez moją ziemię, jeśli tylko dogadamy się co do trasy, i nie będzie cię to kosztowało ani pensa. Nie będzie, jeśli tylko, po pierwsze, będziecie wozić mój towar za darmo, a po drugie, postawicie stację załadunkową tam, gdzie zechcę, żebym też mógł podróżować, gdzie zechcę, zatrzymując jedną z waszych lokomotyw. Rozumiesz (błysk, błysk), młodzieńcze? Ja jadę za darmo i mój towar jedzie za darmo. Dogadaliśmy się?

Przez piękne dzielone okna Moist spojrzał na dym unoszący się za prastarymi drzewami.

— A jaki właściwie jest pański towar, sir?

Starszy pan z pięknymi siwymi włosami i takąż brodą odpowiedział:

— No, skoro pan pyta, chodzi o rudę żelaza i pewne ilości ołowiu oraz cynku. Ojej, znowu ma pan pustą szklaneczkę. Muszę nalegać, by wypił pan jeszcze brandy. Dzień jest chłodny, nieprawdaż? (Błysk, błysk).

— Wasza lordowska mość twardo się targuje — odparł z uśmiechem Moist. — Nie ma co (błysk, błysk, BŁYSK). Ponieważ nasz projekt jest mocno uzależniony od metali, może zrobimy interes? O ile nasi mierniczy nie natrafią na żadne problemy, jakieś podmokłe grunty czy coś podobnego.

— Panie Moist, ponieważ wypił pan do kropelki całą brandy, jaką panu wlałem, i nie wydaje się pan nawet odrobinkę zamroczony, muszę pana uznać za pokrewnego ducha (błysk, błysk).

Za to Moist wykrył w końcu wyraźne, choć niewielkie oznaki zamroczenia, gdy staruszek powiedział:

— Muszę wyznać, że wczoraj odwiedził mnie człowiek, który twierdził, że reprezentuje rozwijające się szybko Towarzystwo Kolejowe Wielkiej Kapusty.

Moist wiedział o nich. Rzeczywiście byli towarzystwem, ale nie mieli dotąd ani jednej machiny ani też nikogo tak uzdolnionego jak Simnel, kto potrafiłby okiełznać dziką parę. Podejrzewał, że dużo pieniędzy popłynie w ich stronę od naiwnych, a potem, kiedy suma będzie już dość wysoka, eleganckie biuro okaże się puste, a zaangażowani dżentelmeni z innymi wąsami będą przemieszczać się w inne miejsce, by założyć następne towarzystwo kolejowe. Jakaś jego cząstka pragnęła być jednym z nich. Ale zaraz pomyślał: Przecież jestem jednym z nich, tyle że moje towarzystwo musi odnieść sukces.

— Jak zrozumiałem — tłumaczył lord Underdale — planują zbudować machinę dalece przewyższającą tę demonstrowaną w Ankh-Morpork. — Staruszek zaśmiał się, widząc niemal całkowity brak wyrazu na twarzy Moista. — Mówił pan, że reprezentuje towarzystwo kolejowe, panie Lipwig. A teraz pańskie towarzystwo... ma towarzystwo!

Moist czknął dyskretnie, bardzo staranie dobierając właściwy moment.

— Tak być może, sir, ale my mamy... hep!... działającą machinę, będącą chlubą Ankh-Morpork!

W tym miejscu Moist pozwolił, by w jego głosie pojawiła się niejaka bełkotliwość.

— Może teraz, bo czemu by nie, jak dżentelmeni, zawrzemy umowę i uściśniemy sobie ręce jak dżentelmeni, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy?

Wstał, lekko się zatoczył, dostrzegł kolejny błysk w oku starca i to go ucieszyło.

Później, w stajniach, kiedy siodłał konia, przemyślał dokonania tego dnia. Aż za dobrze znał tę grę. Zauważył pułapkę i był przygotowany, a więc umowa na dostawy rudy i dostęp do drogi żelaznej była rozsądna, choć nieco bardziej korzystna dla kolei. Wynikało to z faktu, że starsi dżentelmeni nie powinni próbować upijać łatwowiernych młodych ludzi, zwłaszcza kiedy posiadają więcej ziemi, niż rozsądna osoba może potrzebować.

Tak, pomyślał Moist. Gdzie ich kompas moralny?

Uśmiechnął się.

Zanim wskoczył na siodło, ostrożnie wyjął spod surduta dwa termofory i gumową rurkę. Cały czas uśmiechnięty, bardzo starannie zapakował je do dużej, wyścielanej torby. Staruszek naprawdę nie powinien go upijać. To takie... nieetyczne.

\* \* \*

Kiedy Moist wrócił w końcu do miasta, udał się prosto do kompleksu Harry’ego Króla, wbiegł po schodach do wielkiego gabinetu Harry’ego i rzucił na blat następną teczkę przygotowaną przez pana Drumknotta: wszystkie osoby, z jakimi się kontaktował, czynsze, uzgodnione trasy...

— To dla twoich chłopaków, Harry. A to dla ciebie.

Ostrożnie postawił sporą skrzynkę zawierającą kilka butelek.

Harry wytrzeszczył oczy.

— A to po co, do demona?

Moist wzruszył ramionami i postukał się w bok nosa.

— Widzisz, Harry, to jest tak. Wielu spośród ludzi, z którymi rozmawiam, to tacy staruszkowie, którzy uważają się za chytrych. Próbują we mnie wlewać kosztowne alkohole, bo sądzą, że w ten sposób załatwią lepsze warunki, jasna sprawa. Oczywiście wypijam wszystko, co przede mną postawią. Nie, nie patrz tak! Naprawdę potrafię się obchodzić z alkoholem. Prawdę mówiąc, potrafię się obchodzić z bardzo dużą ilością alkoholu i z przyjemnością informuję, że guma nie pogarsza smaku whisky, dobrej brandy ani najlepszego ginu Jima Bearhuggera.

— Brawo, panie Lipwig. Zawsze wiedziałem, że trzeba pana obserwować nadzwyczaj czujnie. I to robię, bo lubię obserwować mistrza... przy pracy. A teraz proszę za mną, panie Lipwig, i niech pan spróbuje nie chlupotać, dobrze?

\* \* \*

Po kilku tygodniach kompleks zmienił się nie do poznania. Wielkie młoty, które zwykle dudniły za aleją Kamieniołomów, zostały tu w całości przeniesione z centrum miasta i bardzo zwiększyły tempo uderzeń — teraz zgodne z rytmem pracy fabryki lokomotyw.

Harry wydawał się bardzo z tego dumny. Uważał, że gdyby mierzwa była miedzią, to łomot młota byłby pensami z nieba. Kiedy szli razem wśród tej kakofonii, krzyknął Moistowi do ucha:

— Świetni chłopcy z tych golemów! Zawsze są punktualni, nigdy nie chorują. A większość zwyczajnie lubi pracę. Ja zaś lubię każdego, kto lubi pracować; gobliny czy golemy, nie obchodzi mnie, kim jesteś, bylebyś uczciwie pracował. O ile tylko nie ślinisz się za mocno — dodał po chwili namysłu. — Popatrz pan tylko, jak kują różne rzeczy pięściami... Chciałbym zatrudnić ich więcej, ale wie pan, jak to jest...

Moist rozejrzał się po ognistym piekle, czyli kuźni. W satanicznym blasku potrafił tylko odróżnić golemy od ludzkich robotników, ponieważ golemy chodziły dookoła, trzymając gołymi rękami kawałki rozgrzanego do czerwoności metalu. Paleniska rozświetlały szare niebo i trwał nieustający brzęk. Stos nowych torów rósł coraz większy.

Moist skinął głową, gdyż normalna rozmowa nie była możliwa wśród tych łomotań i brzęków. Rzeczywiście, wiedział, jak to jest. Najkrócej mówiąc, obywatele Ankh-Morpork, po których spodziewano się, że będą wykonywać ciężkie prace fizyczne, tacy jak trolle czy golemy, coraz częściej zdawali sobie sprawę, że choć są wielcy i silni, nie muszą tych prac wykonywać, jeśli nie mają ochoty. Żyją przecież w Ankh-Morpork, gdzie każdy człowiek jest wolny, nawet jeśli w ścisłym sensie nie jest człowiekiem.

Problem, jeśli tak można nazwać tę kwestię, narastał już od pewnego czasu. Moist zauważył, co się dzieje, kiedy Adora Belle oznajmiła, że jej włosami zajmuje się teraz troll, pan Kokiet-Kobiet Fornacyt[[[24]](#footnote-24)](#24_1), całkiem dobry fryzjer zdaniem Adory Belle i jej przyjaciółek. Taka właśnie była nowa rzeczywistość. Skoro wszystkie myślące gatunki mają być równe, takich rzeczy można się właściwie spodziewać: golemowe gosposie, goblinie pokojówki, no i — pomyślał — trollowi prawnicy.

Harry King narzekał dalej, kiedy wyszli już na zewnątrz.

— To prawdziwa męka. Teraz, kiedy zyskały wolność, nie można nająć golema do prawdziwej pracy. Zapytaj pan żony. Wszystkie robią w ogrodnictwie, kształtowaniu krajobrazów i różnych takich frymuśnych zabawach. Ja płacę podwójną stawkę każdemu metalowcowi w tym nieszczęsnym mieście, a mam tylko dwudziestu jeden ciężkich chłopaków. Skandal, prawdziwy skandal.

— No nie wiem, Harry. Wydaje mi się, że działasz fenomenalnie szybko.

Harry szturchnął go żartobliwie i szepnął konspiracyjnym tonem:

— Każę pana wrzucić do rzeki, jeśli komuś pan to powiesz, ale jestem zachwycony! Rozumiesz pan, całe moje życie było... nie precyzując przesadnie... gówniane, naprawdę szczerze gówniane, że już nie wspomnę o sikach. Siki też były mi przyjacielem, ale widzisz pan, wszystko to polega na przemieszczaniu towaru. Niczego nowego nie tworzyłem. Na dodatek o czymś takim Księżna i ja możemy rozmawiać w lepszym towarzystwie. Och, oczywiście, nadal utrzymam biznes nieczystości i całej reszty... W końcu to dla mnie chleb z masłem, że tak powiem, choć prawdę mówiąc, ostatnio to raczej stek ze wszystkimi dodatkami, lecz teraz moje serce jest przy żelazie. I kto powie, że nie jest to piękne, panie Lipwig? Znaczy owszem, takie żonkile, całkiem je lubię, ale spójrz pan na połysk stali, na spoconych ludzi, na przyszłość wykuwaną z każdym uderzeniem młota... Nawet żużel jest piękny na swój sposób.

Żelazna Belka minęła ich w swej niekończącej się podróży wokół kompleksu.

— Potrzebujemy odpowiedniego typu poety — stwierdził Harry. Szerokim gestem ukazał wielbicieli z ich notesami i wszystkich innych, trzymających się poręczy. — Spójrz pan na nich! Szukają cudów! A co najlepsze, dostaną je.

Zaczęło padać, ale patrzący, a zwłaszcza pociągowi hobbyści i obserwatorzy w swych praktycznych ubraniach, nadal stali i patrzyli, jak Żelazna Belka wyrzuca w powietrze wodny pył.

Przez chwilę Moist miał wrażenie, że Harry jest jakiś inny, bardziej nawet ożywiony niż zwykle, a Harry — trzeba zaznaczyć — zawsze był pełen energii. Ale w tej chwili Harry Król, człowiek od szamba, zmieniał się w Skarb Narodowy.

\* \* \*

Bedwyr Beddsson usiłował ściągnąć buty. Aż dziw, jakie rzeczy można znaleźć we własnych butach po nocy w kopalni, niektóre z nich żywe. Kiedy mu się udało, choć nie bez walki, zdjął uprząż ze Stokrotki, kopalnianego kucyka. Przyglądał się, jak Stokrotka wciąga czyste powietrze w nozdrza i odbiega na niedużą łąkę przy wejściu do kopalni. Przyjemnie było na nią patrzeć. Zdarzały się chwile, gdy Bedwyr miał ochotę zrobić to samo. Matka powtarzała mu zawsze, że nie odmieni swoich gwiazd, co prawdopodobnie znaczyło, że takie ma życie i musi je przeżyć. Teraz, kiedy wchodził do mieszkania, zastanawiał się, czy Tak pozwoli mu spróbować jeszcze raz.

Kochał Bleddyn, od bardzo wielu lat swoją żonę, a dzieci świetnie sobie radziły w szkole w Lancre, dziś jednak był zatroskany. Gragowie znów się zjawili i tym razem byli całkiem grzeczni, choć po prawdzie ani on, ani Bleddyn nie interesowali się polityką. Co mógłby zmienić, skoro przez całe życie harował w kopalni? Jego kucyk był teraz wolny, ale Bedwyr dotarł już do końca swej smyczy. Zawsze chciał tylko jak najlepiej zadbać o rodzinę. Jakie inne wyjście ma krasnolud?

Bedwyr marzył, by dzieci miały lepsze życie od niego, i wydawało się to możliwe. Jego ojciec złościł się z tego powodu. Bedwyr żałował, że staruszek umarł, ale świat kręcił się dalej i Żółw płynął naprzód. Nowe sprawy rozwiązywano w nowy sposób. Nawet nie o to chodziło, że gragowie kurczowo trzymają się dnia wczorajszego — oni nie wyszli nawet z zeszłego stulecia.

Bleddyn ugotowała na kolację dobrego szczura, ale zirytowała się, kiedy zobaczyła minę męża.

— Znów ci przeklęci gragowie! Czemu im nie powiesz, żeby te swoje bzdury wsadzili tam, gdzie słońce świeci za często[[[25]](#footnote-25)](#25_1)?

Bleddyn zwykle nie przeklinała, więc nieco się zdziwił.

— Raz mieli trochę racji — mówiła dalej. — Powiedzieli, że zalewają nas trolle i ludzie. Wiesz, że to prawda, ale niewłaściwa prawda. Dzieciaki mają ludzkich kolegów, przyjaźnią się z jednym czy dwoma trollami i nikt nie zwraca na to uwagi, nikt się nie zastanawia. Wszyscy są po prostu ludźmi.

Spojrzał jej w oczy.

— Ale jednak jesteśmy umniejszeni, mniej ważni...

— Głupi stary krasnoludzie! — odparła z irytacją. — Nie rozumiesz, że trolle też uważają, że są umniejszane? Wszyscy mieszają się z sobą i tak jest dobrze! Jesteś krasnoludem, masz podkute krasnoludzie buty i wszystko inne, co tworzy krasnoluda. Pamiętaj, że nie tak dawno temu krasnoludy rzadko się spotykało poza Überwaldem. Na pewno znasz naszą historię. Nikt ci tego nie odbierze. A kto wie, może w tej chwili jakieś trolle mówią: „Och jej, nasze kamyki ulegają wpływom krasnoludów!”. Żółw płynie dla wszystkich, bez przerwy, a ci gragowie tak często urządzają schizmy, że ich zdaniem każdy jest teraz schizmą samą w sobie. Pomyśl o tym. Zrobiłam ci pysznego szczura, soczystego i delikatnego. No to zjedz go i wyjdź trochę na słońce. Wiem, że to nie po krasnoludziemu, ale ubranie łatwiej wysuszyć.

Roześmiał się, a ona się uśmiechnęła.

— Złe w tym świecie jest to, że wszystko nas zalewa, jakbyśmy byli kamieniami w strumieniu. Ale z czasem odpłynie. Pamiętasz, twój dziad mówił, że trzeba walczyć z trollami w Dolinie Koom. A potem ty opowiadałeś synowi, jak sam byłeś w Dolinie Koom i odkryłeś, że cała ta sprawa była nieporozumieniem. I dzięki temu nasz Brynmor nie będzie w ogóle musiał walczyć, chyba że ktoś okaże się wybitnie głupi. Powiedz tym gragom: nie. Oni tylko straszą, naprawdę. Rozmawiałam z kobietami w okolicy i wszystkie myślą tak samo. Jesteś krasnoludem. Nie przestaniesz nim być aż do śmierci. Ale możesz być krasnoludem mądrym albo głupim, głupim jak ci, którzy napadają na wieże sekarowe.

Bedwyrowi smakował szczur, bardzo dobrze doprawiony, a jako mądry mąż dobrze sobie przemyślał rady żony.

Dwa dni później, gdy wracał z Czarnego Szkła, gdzie wybrał się po świece, zauważył dwóch ciemnych krasnoludów podkładających ogień u podstawy sekarowej wieży. Miał z sobą tylko swoje narzędzia, ale to zadziwiające, jak użyteczne mogą być zwykłe narzędzia górnika. Grupa sekarowców i goblinów szybko mu pomogła w gaszeniu ognia. Musieli też powstrzymać Bedwyra przed użyciem ciężkich butów do zademonstrowania pogardy wobec takich, co podpalają.

— Córka mojego brata, nasza Berwyn, pracuje przy sekarach w Quirmie — powiedział im. — Są takie sprawy, co się ich nie zauważa, dopóki nie znajdą się już na naszym progu, ale teraz myślę, że się obudziłem.

Nie pozabijał kopaczy, jedynie ich, można powiedzieć, unieszkodliwił. Ale kiedy odwrócił się pospiesznie, by wracać do domu, zauważył, że gobliny... są zajęte. Z punktu widzenia ludzi pracujących na niebronionej wieży sekarowej na pustkowiu świat postrzegany jest jako czarno-biały; dla tych kopaczy stał się czarny.

\* \* \*

Gorączka kolejowa, i tak już wysoka, rozpalała się coraz bardziej, przynajmniej na Równinach Sto. Potencjalni inwestorzy pchali się, by zyskać udziały w Higienicznej Drodze Żelaznej Ankh-Morpork i Równin Sto[[[26]](#footnote-26)](#26_1). Były przecież mokradła do osuszenia i mosty do wzmocnienia, a teodolity migotały w słońcu.

Ale nawet ze wsparciem Vetinariego i milionami Harry’ego Króla prace szły wolno. Każdy fragment torów należało starannie ułożyć i przetestować, zanim przejedzie po nich cokolwiek, a co dopiero pociąg. Moist się spodziewał, że Harry zechce przyspieszać budowę za wszelką cenę, nie dbając specjalnie o bezpieczeństwo. Rzeczywiście, pokrzykiwał trochę, kiedy pomiary trwały zbyt długo, lecz gderanie pozostawało tylko gderaniem. W myślach Moista cały czas pojawiał się ten sam obraz: Harry miał już pieniądze, mnóstwo pieniędzy, ale kolej miała być jego dziedzictwem. Nie będzie już Królem Śmieci. Władca Dymu brzmiał z każdym dniem lepiej, więc chociaż krzyczał, że chcą go posłać do przytułku, bez protestów podpisywał dokumenty.

Effie, teraz już bez wątpienia lady[[[27]](#footnote-27)](#27_1), wreszcie uznała, że jej mąż, magnat kolejowy, ma pracę, którą żona może się pochwalić. Effie zresztą nie tylko się chwaliła, ale też coraz bardziej angażowała i coraz częściej można było ją spotkać w gabinecie Harry’ego. To ona wpadła na pomysł ruchomych brygad roboczych. I tak kolejne pociągi sunęły przez puste tereny, a robotnicy i mierniczy mogli spać i jeść wszędzie, gdzie miała dotrzeć żelazna droga, zamiast tracić czas na codzienne powroty do domu.

Ekipy układające tory następowały na pięty Moistowi, kiedy prowadził rozmowy z właścicielami terenów wzdłuż szlaku. Ta praca też była rozpaczliwie powolna, gdyż każdy z nich starał się rozstrzygnąć zawsze tę samą wewnętrzną łamigłówkę: jeśli zażąda zbyt wiele, może się trafić ktoś mający ziemię rozsądnie blisko, kto przyjmie do siebie pociągi za psie pieniądze, o ile tylko będzie dostatecznie głupi. Ale może też być mądry, więc swoje łatwo się psujące produkty dostarczy na rynek przed sąsiadem, który wtedy dostanie cały brud, cały hałas i cały dym, a żadnego zysku.

\* \* \*

Aby działania postępowały możliwie szybko, Patrycjusz zezwolił Moistowi na korzystanie z jednego z nielicznych golemowych koni. Gliniane konie znane były z niestrudzonego galopu, który zmieniał miednicę jeźdźca w galaretę, o ile nie zadbał o wyjątkowo miękkie siodło. Jednak mimo licznych warstw pod siedzeniem, kości Moista niemal klekotały, kiedy po długich tygodniach negocjacji wrócił do miasta.

Zmęczony, wbrew obyczajom i praktyce, narażając zdrowie i bezpieczeństwo — choć z drugiej strony opromieniony łaską bóstw stylu — ale też ku konsternacji pałacowej gwardii, wjechał golemowym koniem na schody i dalej, pod drzwi Podłużnego Gabinetu. Z satysfakcją zobaczył, że Drumknott otwiera je i odsuwa się szybko, dzięki czemu Moist, schylając głowę, podjechał truchtem do biurka Vetinariego.

Patrycjusz spokojnie odstawił kubek z kawą.

— Panie Lipwig — powiedział. — Zwyczaj każe pukać przed wejściem do mojego gabinetu. Nawet, czy wręcz zwłaszcza, jeśli wjeżdża się konno. Może pan podziękować bogom, że Drumknott zdążył wyłączyć nasz... skromny system alarmowy. Ile razy mam to panu powtarzać?

— Za każdym razem, sir — odparł Moist. — Przykro mi to mówić, ale jeśli mam być użyteczny dla jego lordowskiej mości, muszę pozostać Moistem von Lipwigiem. Oznacza to, niestety, że muszę przekraczać granice, znaleźć sam brzeg metaforycznej koperty i umieścić na nim swój stempel. Inaczej życie nie byłoby warte, by za nie ginąć.

Zauważył, że Drumknott skrzywił się nerwowo na samą myśl o stemplowaniu dowolnej papeterii.

— Mam to we krwi, sir — mówił dalej. — I wyznam szczerze, że wyczerpały mnie te rozmowy ze starymi kutwami, którzy wierzą, że zdołają wygrać z Moistem von Lipwigiem, z typami chytrymi, niemiłymi, głupimi, spryciarzami i chciwcami... często wszystko to zamknięte w jednym człowieku. Odnoszę wrażenie, że teraz moja dusza wymaga mycia i szorowania.

— Ach, dusza — mruknął Vetinari. — Nie sądziłem, że ją pan ma, ale człowiek uczy się przez całe życie. — Złożył dłonie w piramidkę. — Panie Lipwig, działania pana Simnela ściągnęły na siebie uwagę świata. Oczywiście nie można było się spodziewać, by dowolny kraj, większe miasteczko czy wielka metropolia nie zaczęły myśleć o drodze żelaznej. Kolej to broń, panie Lipwig, broń handlowa. Może pan nie zdawać sobie z tego sprawy, ponieważ nie żyje pan w moim świecie. Młody pan Simnel przybył do Ankh-Morpork, ponieważ to brudne i zadymione miasto mimo swoich wad jest właśnie miejscem, wokół którego świat się kręci, gdzie zmienia się historia, gdzie dzięki oświeconemu i troskliwemu rządowi... to znaczy dzięki mnie każdy człowiek, dziecko, krasnolud, troll, wilkołak, wampir, a nawet zombi i oczywiście goblin mogą się uważać za wolnych. Wolnych od wszelkiego pana prócz prawa, które stosuje się do wszystkich jednakowo, niezależnie od gatunku i pozycji. Civis Ankhmorporkianus sum!

Stuknęło głośno, gdy Patrycjusz uderzył pięścią w blat.

— Ankh-Morpork, panie Lipwig, nie może dać się wyprzedzić. Wiem oczywiście, że poświęca pan ostatnio wiele czasu na dopilnowanie, by pierwszy w pełni komercyjny i pełnowymiarowy pociąg miał tory, po których pojedzie, a kiedy to nastąpi, stanie się prawdziwym cudem tego świata. Ale wszystko się rozwija i musimy zadbać, by nasze miasto znalazło się na czele tych zmian. Nie wątpię, panie Lipwig, że wraz z sir Harrym i panem Simnelem już teraz snujecie plany na przyszłość. Chciałbym zasugerować, że codzienne połączenie kolejowe do Quirmu i z powrotem może ostatecznie potwierdzić użyteczność drogi żelaznej. Wprawdzie efektywna komunikacja z Überwaldem jest rzeczą pożądaną, lecz musi zaczekać. Oczywiście, wszystkie inne rządy naciskają, żeby poprowadzić tory właśnie do nich, ale Quirm jest naszym sąsiadem i ważnym partnerem handlowym. Ponadto... — Zniżył głos. — Może wreszcie świeże ryby i owoce morza trafią do nas, zanim dojdą do Ankh-Morpork samodzielnie? Zgoda?

Vetinari wyprostował się.

— Ostatnie szczegóły negocjacji w sprawie linii do Sto Lat może pan zostawić Drumknottowi. Ma moją zgodę, by skorzystać z usług jednego z mrocznych referentów. Talenty pana Smitha znakomicie się nadają, by zakończyć sprawy z... krnąbrnymi właścicielami ziemskimi. Tak sądzę.

Moist zauważył niezwykłe lśnienie oczu Drumknotta, jednak sekretarz milczał.

— Może pan odejść, panie Lipwig. Muszę jednak uprzedzić, że ponowny wjazd tutaj na golemowym koniu będzie misją bardzo ryzykowną, w rezultacie której może pan mieć kocięta[[[28]](#footnote-28)](#28_1). — Jego lordowska mość uśmiechnął się złośliwie. — Cedryk zawsze jest gotów (błysk, błysk).

Wyprowadzając z gabinetu golemowego konia, Moist pomyślał: Na bogów, to zaraźliwe! (błysk, błysk).

\* \* \*

Mustrum Ridcully, nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu, spacerem przemierzał Główny Hol uczelni, kiedy stanął przed nim jeden z pedlów, niejaki Barnstable — dotknął ronda melonika w tradycyjnym salucie i chrząknął uprzejmie.

— Panie nadrektorze, sir, jakiś... osobnik chce się z panem widzieć i bardzo się upiera. Żałośnie wygląda, jakby w życiu nie jadł przyzwoitego obiadu. Osobiście sądzę, sir, że liczy na jałmużnę. Dość niepożądany typ, sir, i nosi jakby suknię. Mam mu pokazać drzwi, sir?

Nadrektor zastanawiał się przez chwilę.

— Ten człowiek... pachnie jak borsuk?

— O tak, sir, trafił pan za pierwszym razem.

Ridcully uśmiechnął się lekko.

— Panie Barnstable, staruszek, o którym pan mówi, to mistrz wszystkich sztuk walki, jakie wymyślono. Prawdę mówiąc, większość z nich wymyślił osobiście i jest też jedynym znanym mistrzem déjà fu[[[29]](#footnote-29)](#29_1). Potrafi wyprowadzić w powietrze taki cios, że pójdzie za panem do domu i trafi pana w szczękę, kiedy pan otworzy drzwi. Nazywa się Lu-Tze, a imię to wzbudza strach w sercach wszystkich, którzy nie wiedzą, jak się je wymawia, a co dopiero zapisuje. Radzę z wielką ostrożnością odprowadzić do mojego gabinetu.

\* \* \*

Lu-Tze uważnie obejrzał szereg butelek z brandy na krzywym i skrzypiącym barku nadrektora, po czym usiadł.

— Miło cię widzieć, drogi przyjacielu — odezwał się Ridcully, którego fajka dymiła niczym komin Żelaznej Belki. — Chodzi o tę lokomocję, zgadza się?

— Oczywiście, Mustrumie. Czy w ogóle są teraz jakieś inne tematy? Prokrastynatory zgrzytają i wszyscy w Oi Dong lękają się Ginnungagap, ciemności na końcu świata, zanim nowy świat zajmie jego miejsce, hmm? Chociaż osobiście uważam, że to całkiem dobry pomysł, bo ten aktualny jest mocno poobijany i zaniedbany. Pozostał mi do rozwiązania jeden tylko problem — jak się przedostać z ginącego świata do nowego. To faktycznie zagadka. Ale nawet opat jest zaniepokojony pojawieniem się machin parowych, skoro nie nastał jeszcze czas machin parowych.

Ridcully podłubał w fajce szczoteczką.

— Tak, to rzeczywiście łamigłówka. Z pewnością machina parowa nie może się pojawić przed czasem machin parowych. Gdybyś zobaczył świnię, powiedziałbyś sobie pewnie: Cóż, oto świnia, zatem musi to być czas na świnie. Nie kwestionowałbyś jej prawa do istnienia, prawda?

— Oczywiście. Zresztą po wieprzowinie mam okropne wzdęcia. Wiemy w każdym razie, że wszechświat jest niekończącą się historią, która szczęśliwie sama się bezustannie pisze. Problem z moimi braćmi z Oi Dong polega na ich obsesyjnym przekonaniu, że wszechświat da się totalnie zrozumieć, do ostatniej odrobiny.

Ridcully wybuchnął śmiechem.

— Niech mnie licho! A wiesz, mój znakomity współpracownik, Myślak Stibbons, padł chyba ofiarą tego samego nieporozumienia. Wydaje się, że nawet mędrcy zapominają czasem uwzględnić wpływ dość istotnej bogini Pippiny, damy z Jabłkiem Niezgody. Ona wie, że wszechświat, choć potrzebuje reguł i stabilności, wymaga także domieszki chaosu, czegoś nieoczekiwanego i zaskakującego. Inaczej byłby mechanizmem; cudownym mechanizmem, regularnie odmierzającym stulecia, ale nic innego by się w nim nie działo. Możemy więc założyć, że tym razem utrata równowagi zostanie dopuszczona i że owa dobroczynna dama zdecyduje, iż taki mechanizm może doprowadzić do cudownych wydarzeń, jeśli dostanie szansę.

— Ze swojej strony chętnie dałbym mu szansę — odparł Lu-Tze. — Niespodziewane odkrycia nie są dla mnie obce. Wiem, że mnisi są dla świata opiekuńczymi pasterzami, jednak nie zdają sobie sprawy, że owce mają czasem lepsze pomysły. Nieoznaczoność zawsze jest niepewna, ale problem z ludźmi, którzy opierają się na systemach, polega na tym, że zaczynają wierzyć, iż prawie wszystko jest w jakimś sensie systemem. A zatem, prędzej czy później, stają się biurokratami. Dlatego też, przyjacielu, powinniśmy chyba podziękować Pippinie za okazjonalny chaos. Jestem pewien, że reszta kręgu zgodzi się ze mną, sądząc po ich działaniach. W końcu jest oczywiste jak nos na twojej twarzy: oto mamy machinę parową. A zatem nastał czas machin parowych.

— Hurra! — wykrzyknął Ridcully. — Chętnie za to wypiję.

— Ja dziękuję. Ale jeśli ci to nie przeszkadza, chętnie się napiję herbaty z domieszką brandy, żeby się trochę rozgrzać — oświadczył Lu-Tze.

\* \* \*

Moist siedział przy biurku, a jego umysł męczył się z problemem, jak najlepiej przedstawić sir Harry’emu sprawę Quirmu. Z roztargnieniem zarejestrował przed sobą obecność... pokaźnego... dżentelmena.

— Pan Lipwig? — upewnił się przybysz. — Mam propozycję, która...

Moist zaśmiał się tylko.

— Drogi panie, w tych dniach każdy, kto zgłasza się do mnie z propozycją, dostaje najwyżej pięć minut, z których jedna już minęła. O co chodzi?

— Nie jestem każdym, panie Lipwig — oznajmił mężczyzna i wyprostował się na pełną wysokość, nieco mniejszą od jego obwodu. — Jestem kucharzem. Może pan o mnie słyszał: Cał Jolson. Dowiedziałem się z pewnych źródeł[[[30]](#footnote-30)](#30_1), że lada dzień pańskie cudowne lokomotywy będą podróżować do Sto Lat i z powrotem. Zastanawiam się, czy pomyślał pan, co będą jedli ludzie w wagonach. Chcę złożyć ofertę na sprzedaż posiłków w pociągach, możliwe, że również w poczekalniach. Drobne przekąski, ale też solidniejsze porcje dla pasażerów długodystansowych. Nic tak dobrze jak mój opadek nie podnosi znużonego wędrowca na duchu. Albo zupa pierwotna, bardzo rozgrzewająca. Robiłem eksperymenty z podawaniem jej w kubkach z małymi przykrywkami, bo szczerze mówiąc, są w tej zupie rzeczy, którymi człowiek nie chciałby się oblać.

Moist wyłapywał kluczowe słowa niczym pstrąg chwytający młode jętki. Jedzenie w pociągu! Poczekalnie, jasne! Tam ludzie chcą wydawać pieniądze! Raz jeszcze przypomniał sobie, że w kolei nie chodzi tylko o tory i parę.

Kiedy Cał Jolson wręczył mu trochę poplamioną smalcem wizytówkę, Moist pozwolił, by umysł sam uzupełnił listę dodatkowych możliwości. Owszem, stanowczo potrzebne są poczekalnie, gdzie ludzie mogliby czekać na swój pociąg, poczekalnie suche i ciepłe, gdzie znajdzie się coś do picia, a nawet, niech niebiosa chronią, kiełbaska w bułce, ale taka, która przynajmniej widziała świnię. I tak, ponieważ Dick mówił, że lokomotywie wcale nie przeszkadza jazda nocą, u celu mogłyby czekać kolejowe hotele, tak szykowne i szybkie jak wagony kolejowe, bo ludzie będą przyjeżdżać i wyjeżdżać o każdej porze dnia i nocy.

Miał wrażenie, że cały świat rusza naprzód.

Nie mógł usiedzieć w miejscu. Wyszedł i skierował się do wielkiej szopy. Sądził, że Dick Simnel jest stale szczęśliwy, realizując każde marzenie, jakie miał w życiu, więc zdumiał się, widząc, że siedzi obok pulsującej Żelaznej Belki samotny i — tak to trzeba określić — smętny.

Odruchowo wszedł w swoją rolę oleju, który smaruje osie kół postępu.

— Coś się stało, Dick? — zapytał.

— To jest tak, panie Lipwig — odpowiedział Simnel posępnie, jakby nękały go niewidoczne demony. — W zeszłym tygodniu zaprosili mnie do Gildii Chytrych Rzemieślników na spotkanie z panem Pony i wie pan co? Powiedział, że powinienem zostać czyimś uczniem. Ja! Chłopcy dobrze sobie radzą i mogliby zostać moimi uczniami, ale okazuje się, że nie jestem majstrem, więc powinienem cztery lata terminować u prawdziwego majstra, a potem mógłbym zostać czeladnikiem. Powiedziałem im, że nigdy nie terminowałem, nie miałem swojego majstra, ale wie pan czemu? Nie byłem uczniem, bo nie znam nikogo, kto mógłby mnie nauczyć tego, co wiem. Sam się wszystkiego musiałem nauczyć!

Ochłonął trochę.

— Poczytałem sobie o tych starych gościach w Efebie, co kiedyś zbudowali małą machinę parową i ona działała... a potem wybuchła na nich, chociaż nikomu nic się nie stało i w ogóle, bo ta machina to była taka jakby łódź, więc wszyscy skończyli w wodzie, w przemoczonych togach. Pomyślałżem sobie wtedy: Ci goście musieli znać jedną czy drugą sztuczkę, no więc w bibliotece w Sto Lat znalazłem jeszcze jedną książkę o nich i wie pan co, panie Lipwig? Oni wszyscy, w tych togach i sandałach, wymyślili też sinusa i cosinusa, że o tangensie nie wspomnę. Całą tę matematykę, którą kocham. I jeszcze potem równania kwadratowe. Nie zajdzie się daleko bez takich. No a oni wyglądali jak banda staruszków, którzy nic innego nie robią, tylko leżą tak sobie i się kłócą o filozofię, ale się potem okazuje, że przez calutki czas wiedzieli właściwie o wszystkim i tylko to zapisali. Uwierzy pan? Mieli to w rękach. Mogli zbudować porządną machinę parową i łodzie parowe, co nie wybuchają. Tacy są ci akademicy. Mieli całą wiedzę, ale wracali do dyskusji o pięknie i prawdzie liczb; przeoczyli, że odkryli coś naprawdę ważnego. A ja? Jak chcę mieć piękno i prawdę, to sobie patrzę na Żelazną Belkę.

Klepnął dłonią metalową skorupę.

— To jest piękno. To jest prawda. A oni schowali całą tę swoją wiedzę! Niech pan popatrzy! To moja maszyna! Ja ją zbudowałem! Ja! I nawet nie jestem dość dobry, żeby zostać uczniem!

Przerwał, by nabrać tchu.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Moiście. Wiem, że to tylko słowa, ale widzi pan, dotarło do mnie, że skoro nigdy nie byłem u terminu, to nie mogę być majstrem, no bo nie ma nikogo, kto więcej wie o tym, co robię, niż... no, niż ja. Sprawdziłem wszystkie podręczniki, przeczytałem wszystkie książki i nie można być majstrem, dopóki wszyscy inni majstrowie nie powiedzą, że się jest majstrem.

Simnel wydawał się naprawdę cierpieć. Moist tymczasem stał z metaforycznie rozdziawionymi ustami i słuchał, jak skrupulatny mechanik wini sam siebie o to, że jest geniuszem.

— Chłopcy, jak ich nazywam, też nie mają szans, żeby być majstrami, bo nie majster ich uczył mechaniki! To piekielnie zabawne!

Moist wybuchnął śmiechem. Położył dłonie na brudnym czole Dicka i ostrożnie przekręcił mu głowę, by spojrzał wzdłuż kompleksu na ogromny tłum ludzi cierpliwie czekających w kolejce na przejażdżkę pociągiem.

— Oni wszyscy wiedzą, że jesteś majstrem, a Żelazna Belka to twój majstersztyk — powiedział cicho. — Każdy z chłopców chciałby być tobą, Simnel, człowiekiem, który sam jest majstersztykiem, rozumiesz?

Dick nie wydawał się przekonany. Może nadal tęsknił za literami przed nazwiskiem i za dyplomem, który mama mogłaby powiesić na ścianie.

— No tak, lecz z całym szacunkiem, ludzie to żaden autorytet w kwestii poskramiania pary. Bez urazy, ale co oni wiedzą?

Moist się zirytował.

— W pewnym sensie gdzieś tam wśród nich jest dusza tego świata i oni wiedzą wszystko. Słyszałeś pewnie o Leonardzie z Quirmu. Są tacy majstrowie, którzy sami siebie mianują, a ty... ty zrobiłeś z siebie mechanika i każdy o tym wie.

Simnel trochę się ożywił.

— Nie zamierzam zakładać własnej gildii, jeśli o tym pan myśli. Ale gdyby jakiś chłopak przyszedł do mnie i powiedział, że chce poznać drogę suwaka logarytmicznego, nie zawiodę go. Przyjmę go do terminu na stary sposób i jego ręce już nigdy nie będą czyste. I dam mu dyplom, kiedy termin upłynie, cały spisany na welium, jak tylko jakie znajdę. Tak to powinno się odbywać; będzie dla mnie pracował, aż uznam, że zrobił już dosyć, by być czeladnikiem. Tak się to załatwia. Tak się dba o swój fach. Kiedy pierwszy raz pana zobaczyłem, panie Lipwig, pomyślałem, że ma pan gadane, ale nic w spodniach. Ale patrzyłem, jak pan biega tu i tam, jak pan jest smarem dla machiny kolei. Nie jest pan taki zły, panie Lipwig, wcale nie, ale lepiej by pan wyglądał w kaszkiecie.

Żelazna Belka z sykiem wypuściła smugę pary i obaj spojrzeli na nią ze śmiechem. Wydawała się jakaś inna... Chwileczkę, pomyślał Moist; zmieniła się. Teraz jest jakby... większa. Wiem, że to prototyp, że Simnel cały czas ją poprawia, ale jakoś mi się nie wydaje, żebym widział tę samą machinę dwa razy. Zawsze jest większa, lepsza, szybsza...

Zastanawiał się nad tym, gdy zauważył, że Simnel obok przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

— Panie Lipwig — odezwał się w końcu z wahaniem. — Zna pan tę dziewczynę z długimi jasnymi włosami i ślicznym uśmiechem, która czasami tędy przechodzi? Kim jest? Zachowuje się, jakby była właścicielką.

— To Emily, ukochana siostrzenica Harry’ego Króla. Nie jest jeszcze zamężna.

— Och... Wczoraj przyniosła mi herbatę... i bułeczkę.

Moist przyjrzał się niespokojnej twarzy Dicka Simnela, który najwyraźniej znalazł się nagle w miejscu, gdzie suwak logarytmiczny nie pomoże. Nie, tu potrzebne były całkiem inne działania.

— Chciałbyś pójść z nią na spacer, Dick? — zapytał.

Simnel zaczerwienił się, co mimo warstwy brudu dało się zauważyć.

— Ano, pewno, że bym chciał, tylko że ona jest taka elegancka i ładna jak stokrotka, a ja...

— Przestań natychmiast! — przerwał mu Moist. — Jeśli chcesz powiedzieć, że jesteś tylko prostym gościem w brudnym kombinezonie, chciałbym ci zwrócić uwagę, że jesteś również właścicielem sporej części wszystkich dochodów drogi żelaznej. Więc nie powtarzaj sobie „Ojej, jestem zbyt biedny, żeby czynić awanse pięknej młodej damie”, bo jesteś najlepszą partią, na jaką może liczyć dowolna młoda dama w Ankh-Morpork. Podejrzewam, że w tych okolicznościach nawet Harry by cię nie zrzucił ze schodów, jak to zrobił z prostakami, którzy byli adoratorami jego córek. I jeśli masz ochotę przejść się z Emily, to ruszaj. Jej wuj i rodzice na pewno będą zachwyceni.

W myślach dodał, że Harry ucieszy się bardzo, bo pieniądze zostaną w rodzinie. Dobrze znam Harry’ego Króla, bardzo dobrze...

— Co więcej — dodał — ona jest przyszłym prawnikiem; rozumie wszystkie prawne kruczki prowadzenia firmy. Powinniście się dogadać jak ogień ze słomą.

Dick odpowiedział mu głosem człowieka, który odkrywa nowe terytorium.

— Dziękuję za informacje i radę, panie Lipwig. Może pewnego dnia, kiedy porządnie się umyję, zbiorę dość odwagi, żeby zapukać do jej drzwi.

— Nie czekaj za długo, Dick. Życie to coś więcej niż tylko suwak logarytmiczny.

\* \* \*

Wielka Inauguracja Higienicznej Drogi Żelaznej Ankh-Morpork i Równin Sto ściągnęła całe gromady dziennikarzy z międzynarodowej prasy. Dick Simnel od początku planował, że pierwsza publiczna podróż kolejowa wyruszy ze Sto Lat, w pewnym sensie na nowo wpisując miasto w mapę świata. Sir Harry był tym nieco zaniepokojony[[[31]](#footnote-31)](#31_1): jako prawdziwy mieszkaniec Ankh-Morpork poza metropolią czuł się mocno zdezorientowany. Jednak, jak podkreślił Moist, po podróży normalnym traktem tym większe wrażenie zrobi na gościach jazda powrotna, po torach i z poczęstunkiem.

Kiedy ich powozy dotarły wreszcie do miejsca, które złocone zaproszenia opisywały jako „terminus Sto Lat”, dziennikarze i inni zaproszeni goście odkryli, że „terminus” oznacza prawdopodobnie „w trakcie budowy”; inaczej mówiąc, większej części jeszcze nie było, kręcili się za to robotnicy — ludzie, trolle i gobliny — realizując sprzeczne zadania, jak na każdej wielkiej budowie. Jednak optymistyczny obserwator mógł dojść do wniosku, że wznoszone jest tu coś dobrego.

Gości wprowadzono na podwyższoną długą platformę przy znikających w oddali lśniących stalowych torach, wzdłuż których tłoczyli się gapie. W przeciwnym kierunku tory znikały w wielkiej szopie; wyszorowani na tę okazję uczniowie Dicka Simnela stali po obu stronach zamkniętych wrót razem z orkiestrą dętą, ledwie słyszalną wśród hałasu, jaki robili robotnicy.

Mistrzem ceremonii był naturalnie Moist von Lipwig, który witał wszystkich, mając u boku Harry’ego Króla i Effie. Był też lord Vetinari, jako dysponent udziału rozstrzygającego, jaki w tym przedsięwzięciu przypadł miastu; towarzyszył mu Drumknott, który za nic na Dysku nie zrezygnowałby z takiej okazji. Królowa Keli ze Sto Lat[[[32]](#footnote-32)](#32_1) nadawała całej imprezie odpowiednią oprawę, a burmistrz u jej boku wydawał się nieco oszołomiony tym cyrkiem, który najwyraźniej opanował jego miasto.

Jak zwykle w takich sytuacjach wszystko musiało czekać, aż będzie gotowe wszystko inne. Chyba zostało to przewidziane, o czym świadczyły drzwi z eleganckim napisem POCZEKALNIA, zaraz obok wejścia na platformę[[[33]](#footnote-33)](#33_1).

Wreszcie czas oczekiwania dobiegł końca. Na zaproszenie Moista królowa Keli wystąpiła, by wbić złoty gwóźdź, ostatni w linii — znak, że tory są gotowe do jazdy. Sapanie, będące dźwiękowym znakiem rozpoznawczym kolei, stało się głośniejsze i bardziej przenikliwe, tłumy gapiów przy torach zamachały kolorowymi chorągiewkami, pokrzykując z rosnącym entuzjazmem, a dwóch terminatorów otworzyło wrota szopy. Przy metaforycznym stukocie werbli Moist von Lipwig zawołał:

— Panie i panowie! Oto pan Dick Simnel i jego Żelazna Belka!

Prowadzący parowy cud techniki Dick Simnel promieniał. Wyraz jego twarzy stwierdzał wyraźnie: A nie mówiłem? Za lokomotywą stukało po torach dziesięć wagonów i — nie do wiary — niektóre miały nawet dachy. Lampy ikonografów błysnęły, a Żelazna Belka powoli podjechała po torach i zatrzymała się przy platformie.

Moist odczekał, aż ucichną oklaski.

— Panie i panowie, możecie bezpiecznie wsiadać. Zostanie podany poczęstunek, ale najpierw zapraszam do zwiedzania wagonów.

Od tej chwili Moist próbował znaleźć się wszędzie równocześnie. Wszystko, co miało związek z parą i lokomotywami, było sensacją, a sensacyjne wiadomości mogą być dobrymi albo złymi wiadomościami; zdarza się też, że są szkodliwe. Dick uwielbiał opowiadać o Żelaznej Belce i o wszystkim, co ma związek z lokomocją, ale był człowiekiem prostodusznym, a prasa z Równin Sto mogła zjeść prostodusznego człowieka na śniadanie, jeśli nie zachowywał ostrożności. Moist za to w pobliżu dziennikarzy był tak prosty i szczery jak walizka pełna kalejdoskopów. Gdy więc toczyły się rozmowy, starał się kręcić w pobliżu Dicka niczym niańka.

„Puls Ankh-Morpork” nie był taki groźny, a „Tantańska Fanfara” interesowała się głównie przerażającymi morderstwami i co bardziej lubieżnymi aspektami ludzkiego żywota. Jednak serce w Moiście zamarło, kiedy zobaczył, że Dick — chwilowo puszczony na swobodę — rozmawia z Hardwickiem z „Prasy Codziennej Pseudopolis”. Hardwick był ekspertem, jeśli chodzi o celowo opaczne rozumienie wypowiedzi rozmówców; potem atakował ich cytatami. W dodatku Pseudopolis nie znosiło Ankh-Morpork z posępną i zazdrosną zaciętością.

Moist wykonał zatem najszybszy na świecie nonszalancki spacer. I usłyszał pytanie Hardwicka:

— Co pan powie, panie Simnel, tym ludziom, którzy niepokoją się, gdyż hałas i dym będzie płoszył im konie i wywoływał poronienia u krów i owiec?

— Tak po prawdzie to nie wiem — odparł Simnel. — Na Równinach nie mieliśmy z tym kłopotów. Kiedy robiłem próby, konie na sąsiednim polu starały się wyprzedzić Żelazną Belkę. Ścigały się, można powiedzieć, i moim zdaniem miały niezłą zabawę.

Hardwick nie ustępował łatwo.

— Musi pan jednak przyznać, panie Simnel, że pociągi są z samej swej istoty niebezpieczne. Niektórzy twierdzą, że ludzka twarz się rozpłynie, jeśli osiągnie się prędkość powyżej trzydziestu mil na godzinę.

Moist miał wrażenie, że wszyscy inni, którzy gawędzili dotąd swobodnie, zamilkli nagle jak jeden mąż czy żona. Wiedział, że jeśli w tej chwili spróbuje interweniować, tylko pogorszy sprawę. Mógł tylko wstrzymać oddech jak wszyscy i czekać, co powie ten poważny wiejski chłopak.

— Widzi pan, panie Hardwick... — Dick Simnel wsunął kciuki za pas jak zawsze, kiedy wypowiadał dłuższe zdania. — Wydaje mi się, że mamy na co dzień do czynienia z wieloma niebezpieczeństwami. Na przykład z magami. Albo drzewami. Bardzo groźne są takie drzewa, mogą się przewrócić i spaść panu na głowę, kiedy nijak się pan nie spodziewa. Łodzie są niebezpieczne, inni ludzie też mogą być. A pan, panie Hardwick, gada ze mną od pięciu minut w nadziei, że taki wiejski chłopak jak ja może się skusi i powie coś, czego nie powinien. No więc powiem panu tyle: Żelazna Belka to moja machina i ja ją zbudowałem, każdą jej część. Testowałem ją i za każdym razem, kiedy wpadam na pomysł, jak zrobić, żeby była lepsza i bezpieczniejsza, tak robię. Za to pan, panie Hardwick, o tak, pan może być niebezpieczny! Moc jest niebezpieczna, każda, w tym pańska. Różnica polega na tym, że moc Żelaznej Belki jest pod kontrolą, za to pan może napisać wszystko, na co panu przyjdzie ochota. Myśli pan, że nie umiem czytać? Czytałem te śmieci, co je pan wypisuje w swojej azecie, i duża część tego to absolutne bzdury, panie Hardwick, zupełne, pieprzone bzdury, wymyślone, żeby nastraszyć ludzi, którzy nic nie wiedzą o parze i energii, nie mają zielonego pojęcia o sinusach, równaniach kwadratowych i tangensach, ani nawet o suwaku. Mimo to mam nadzieję, że podróż upłynie panu przyjemnie, panie Hardwick. Teraz, pozwoli pan, muszę wracać do kabiny. Aha, zdarzało mi się rozpędzić Żelazną Belkę powyżej trzydziestu mil na godzinę i tylko mnie słońce opaliło. Miłego dnia, panie Hardwick. I przyjemnej podróży.

Zaczerwienił się, kiedy sobie uświadomił, że wszyscy słuchają go w milczeniu.

— Przepraszam panie za mój prosty język — dodał. — Proszę o wybaczenie.

— Nie ma pan za co przepraszać, panie Simnel! — zawołała Sacharissa Cripslock, reporterka „Pulsu”. — Sądzę, że wyrażę opinię wszystkich obecnych pań, kiedy powiem, że podziwiamy pańską szczerość.

A że Sacharissa nie tylko była osobą szanowaną w taki sam sposób, w jaki inni ludzie są religijni, ale też zawsze pojawiała się uzbrojona w mocno zaostrzone ołówki, wszyscy wokół nagle uznali, że istotnie żywią wielki podziw dla pana Simnela i jego szczerych wypowiedzi.

W wagonach wiele było wspaniałości, w tym także luksusowe toalety — najwyraźniej kolejna idea Effie, która zaskoczyła nawet Moista. Zastanawiał się, jak prasa przyjmie ten dar Effie dla pociągów. Czasami redaktorzy „Pulsu Ankh-Morpork” bywali bardzo kreatywni[[[34]](#footnote-34)](#34_1).

— Są eleganckie jak w najlepszych hotelach — powiedział na stronie Harry’emu Królowi, który dumnie wyprostowany wyszedł z kabiny.

— Powinieneś pan zobaczyć damskie, panie Lipwig. Zapachy, poduszki, cięte kwiaty... Prawdziwe buduary, nie ma co!

— Przypuszczam, że ehm... nieczystości można usuwać bezpośrednio na tory. Prawda, Harry?

Sugestia okazała się szokująca.

— Och, pewnie niektórzy by tak postąpili, ale nie Harry Król. Gdzie jest mierzwa, tam są pieniądze, mój chłopcze, tylko nic nie mów Księżnej. Pod jednym z wagonów jest wielka cysterna. Nie wolno marnować dobra...

Pytania padały gęsto ze wszystkich stron. Dla tych, którzy nie zdążyli się jeszcze przejechać za Żelazną Belką w kompleksie Harry’ego Króla, ważne były kwestie pociągowej etykiety. Czy można się wychylać przez okno? Czy można zabrać w podróż pokojowego bagiennego smoka, jeśli będzie siedział na kolanach? Czy można porozmawiać z maszynistą? W tym przypadku Moist z satysfakcją mógł odpowiedzieć twierdząco; przywilej ten przypadł wydawcy „Pulsu Ankh-Morpork”. Gdy pan de Worde przechodził z platformy do kabiny lokomotywy, szeroki uśmiech zagwarantował tej chwili miejsce na pierwszej stronie — chociaż trzeba pamiętać, że wydawca i maszynista trafiliby na pierwszą stronę także wtedy, gdyby machina wybuchła. Dziennikarstwo to jednak dziennikarstwo.

Pociąg ruszył z gwizdem w chmurze dymu. Wszystko rozwijało się jak należy, zwłaszcza kiedy przez wagony przejechał wózek z przekąskami. Harry i Cał Jolson zgadzali się w kwestii tego, co gwarantuje dobry posiłek: kalorie. W opadku było dość masła, by przesmarować całą Żelazną Belkę, od kół po komin. Pejzaże przesuwały się za oknami, wzbudzając naoliwione westchnienia podziwu.

Zbliżyli się do pierwszego mostu. Moist wstrzymał oddech, a pociąg zwolnił prawie do zera. Na torach stanął troll, pomachał czerwoną flagą i uprzejmie oznajmił[[[35]](#footnote-35)](#35_1), że on i jego zespół pracowali przy tym moście i bardzo się cieszą, że będzie używany, dziękuję paniom i panom za przybycie. Zabrzmiały śmiechy, niewątpliwie wspomagane alkoholem, jednak szczere. Moist odetchnął. Podejrzewał, że niewielu pasażerów pamiętało czasy, kiedy troll na moście budził strach (albo, jeśli ktoś był krasnoludem, chęć, by skopać go po kostkach). Teraz trolle budujące mosty kolejowe wydawały się całkiem na miejscu.

Moist spojrzał wzdłuż wagonu pierwszej klasy do fotela, gdzie siedział lord Vetinari i komplementował Effie, chwaląc jej udział w planowaniu; udzielał też zwykłych dwornych i przemyślanych odpowiedzi dziennikarzom szukającym zgrabnych cytatów. Moist jednak nie mógł nie zauważyć, że Patrycjusz się uśmiecha — jak dziadek przy nowo narodzonym wnuku. Pochwycił jego wzrok i miał wrażenie, że jego lordowska mość mrugnął do niego z szybkością cyklonu. Moist skinął głową i na tym sprawa się skończyła, choć miał nadzieję, że przynajmniej jeden grzech został mu darowany. Trzy śmierci w jednym życiu byłyby stanowczą przesadą.

Dzień był piękny, świeciło słońce. Żelazna Belka pędziła po torach, kilka koni na polu obok próbowało ją dogonić. To tyle, jeśli chodzi o pana Hardwicka i niech go licho porwie, uznał Moist. Sapiąc rytmicznie, pociąg zjechał po łagodnym zboczu do miasteczka Górnydół. Tu zatrzymali się, by zapoznać pasażerów ze szczerą kapuścianą gościnnością.

Potem już tylko krótki odcinek dzielił ich od Ankh-Morpork przyzywającego ich długimi palcami z dymu. Przejechali po nowym żelaznym moście nad Ankh i dotarli do kompleksu Harry’ego Króla, gdzie wśród oklasków czekającego tłumu orkiestra dęta zagrała hymn Zawładniemy tobą hurtowo.

Na wieczornym bankiecie do podróżnych dołączyli inni dygnitarze z Ankh-Morpork i Równin Sto. Wygłaszając mowę, sir Harry obwieścił, że następnym miastem, do którego dotrze wspaniała żelazna droga, będzie Quirm, zapewne już wkrótce. Wśród burzy braw wzniósł toast za zdrowie quirmskiego ambasadora, monsieur Cravata, po czym nastąpiły kolejne toasty, w tym jeden za samą Żelazną Belkę. Lord Vetinari stwierdził, że był to bardzo udany dzień, wskutek czego pewna liczba spiętych pośladów znowu się rozluźniła.

Po bankiecie niektórzy goście próbowali chodzić bokiem albo wcale. W szczęśliwy świat kolorowych świateł Dicka Simnela wpłynęła znajoma twarz.

— To było... eee... świetne, panie Lipwig — powiedział. — Małe miejscowości wzdłuż trasy... Myślałem sobie, że droga żelazna może być jak drzewo, wie pan, jeden główny pień, a potem gałęzie. Będą małe i budowane tanio, ale ludziom się spodobają. Łatwiej będzie się żyło, jeśli wszędzie da się złapać pociąg...

Moist wolał mu przerwać, rozsądnie ignorując kuszące możliwości.

— Nie rozpędzaj się, Dick. Najpierw musimy dotrzeć do Quirmu.

A potem przeciągnąć ekspresowe tory do Überwaldu, dodał w myślach. Jego lordowska mość bardzo dba o stosunki międzynarodowe.

\* \* \*

Później, tej samej nocy, Fred Colon i Nobby Nobbs maszerowali równym policyjnym krokiem wokół kompleksu kolejowego. Reprezentowali przecież autorytet policji, a zatem mieli prawo być wszędzie, gdzie chcieli, i patrzeć na wszystko, na co mieli ochotę. Ich buty poruszały się w równym rytmie.

— Słyszałem, że przeciągną tory pociągowe aż do Quirmu — odezwał się Colon. — Moja staruszka zawsze mnie męczyła, żeby pojechać tam na wakacje. Przekonasz się, jak to jest, Nobby; jesteś teraz praktycznie żonaty i masz obowiązki. Ale znasz mnie, mam alergię na te wszystkie avec, a słyszałem też, że za skarby świata nie dostanie się tam porządnego kufelka...

— Właściwie to nie jest tak źle — stwierdził Nobby. — W zeszłym tygodniu miałem służbę na placu przeładunkowym i okazało się, że transport serów się rozsypał, całkiem przypadkiem. Oczywiście nie można już było ich wysłać, a nie do wiary, co Lśnienie Tęczy potrafi zrobić z serem. Same pyszności, zwłaszcza ze ślimakami. — Nobby uświadomił sobie, że stawia bardzo niebezpieczne tezy. — Ale ich piwo to siki — dodał szybko.

Fred pokiwał głową. Wszystko było tak, jak być powinno. Zerknął na przyjaciela.

— Jeśli ta żelazna droga będzie działała należycie, sprawy ułożą się całkiem inaczej. Słyszałem, że taki pociąg może jechać bardzo szybko. To znaczy, że jeśli gość zrobi włamanie i złapie pociąg, znajdzie się daleko, zanim zdążymy go złapać. Ale może kolej też będzie potrzebowała policjantów. Nigdy nie wiadomo! Kamienna Gęba mówi przecież: Gdzie są ludzie, tam są przestępstwa, a wtedy trzeba policjantów.

Nobby Nobbs rozważał tę wypowiedź jak kozioł przeżuwający zielsko.

— Wiesz co? Idź i powiedz Vimesowi, że chcesz zostać pierwszym pociągowym policjantem — zaproponował. — Chciałbym wtedy widzieć jego gębę.

\* \* \*

Billy Ślizg przyjrzał się potężnemu osobnikowi z przodu kolejki i westchnął.

— Słuchaj — rzekł. — Nie możecie wszyscy być maszynistami. W tej chwili mamy za dużo maszynistów, zresztą trzeba czasu, żeby dojść do pozycji maszynisty. Umiesz robić coś jeszcze?

— No... — Chłopak wydawał się załamany. — Mama twierdzi, że będę kiedyś bardzo dobrym kucharzem.

Billy uśmiechnął się szeroko.

— W takim razie może coś się znajdzie. Szukamy kucharzy. — Wskazał drugi stolik rekrutacyjny, kawałek dalej. — Zgłoś się do Mabel. Potrzebuje personelu do kateringu i takich tam...

Teraz młody człowiek aż tryskał radością. Oddalił się szybko ku przyszłości, która z pewnością obejmowała ciężką pracę w nieprzyzwoitych godzinach i ciasnych pomieszczeniach, ale — to było najważniejsze — nieograniczone wolne przejazdy cudem obecnej ery.

— Jestem malarzem — poinformował Billy’ego następny chętny z kolejki.

— Znakomicie! Na pewno nie masz ochoty zostać maszynistą?

— Nie, tak po prawdzie to nie. Zawsze byłem niezłym malarzem i tak sobie myślę, że te lokomotywy trzeba czasem malować.

— Świetnie — ucieszył się Billy. — Jesteś przyjęty. Następny.

Kiedy Billy uniósł głowę znad notatnika, zobaczył nad sobą kanciastą postać młodego trolla.

— Człowiek mówił, że jest robota z łopatom i tonami wungla. To se dam rade — oświadczył troll i dodał z nadzieją: — Proszę?

— Palacz... — domyślił się Billy. — Do licha, trochę jesteś za wielki, żeby się zmieścić w kabinie, ale tu się przydasz. Zaznacz się tutaj.

Stolik zadygotał, kiedy kciuk trolla trafił w formularz. Blat zatrzeszczał.

— Zuch chłopak... znaczy troll — rzekł Billy.

— Ni ma problema, cały czas ktosik sie myli.

Troll dudniącym krokiem odszedł w stronę składu węgla, a jego miejsce przed Billym zajęła elegancko ubrana młoda kobieta z władczą miną.

— Myślę, drogi panie, że droga żelazna potrzebuje tłumacza. Znam wszystkie języki i dialekty na Dysku.

Głos miała dźwięczny, ale Billy dostrzegł błysk podniecenia w jej oczach, kiedy zerkała na Żelazną Belkę i inne machiny. Wiedział, że złapała haczyk. Wiedział też, że „tłumacz” nie znalazł się na liście pożądanych specjalności, więc odesłał ją do biura sir Harry’ego, a sam wrócił do wyszukiwania manewrowych, rewidentów i innych robotników.

Kolejka ruszyła dalej. Zdawało się, że wszyscy koniecznie chcą mieć coś wspólnego z koleją.

\* \* \*

Moist podskakiwał w siodle golemowego konia niosącego go z powrotem do Ankh-Morpork. Miał wrażenie, że już przez całe lata dyskutuje z chciwymi właścicielami ziemskimi żądającymi gigantycznych opłat dzierżawnych, nawet gdy jest boleśnie oczywiste, że kolej przyniesie korzyści całej okolicy — a tym razem, by dotrzeć do Quirmu, należało położyć tory ponad osiem razy dłuższe.

Kiedy nie rozmawiał z właścicielami gruntów, dyskutował z mierniczymi, którzy nie byli chciwi, za to przerażająco dokładni. Odrzucali proponowane trasy jako zbyt strome, zbyt podmokłe, na niepewnym gruncie, od czasu do czasu zalewane wodą, a w jednym przypadku pełne zombi. Akceptowalne szlaki równie dobrze mógłby wytyczać wąż wijący się po okolicy między odpowiednim terenem a następnym odpowiednim terenem. No i wszyscy chcieli, żeby droga żelazna przebiegała blisko, o tak, bardzo proszę, ale nie tak blisko, żeby mogli ją słyszeć albo czuć dym.

Takie były w największym skrócie Równiny Sto. Wszyscy i wszędzie pragnęli skorzystać z dobrodziejstw kolei, lecz absolutnie sobie nie życzyli jej wad. Dodatkowo żadne miasto na Równinach nie chciało, by Wielkie Wahoonie dostało więcej, niż mu się należy.

Aby to wszystko wyprostować, niezbędny był dyplomatyczny geniusz Patrycjusza. Uświadomił im, że wprawdzie kolej jest początkowo budowana w Ankh-Morpork, ale jeśli inne miasta i wsie chcą także z niej korzystać, to owszem, w pewnym sensie będzie to także ich kolej — co zjeżdża linią z góry, musi też wjechać linią z dołu.

Polityka? Vetinari ją uwielbiał. Była oceanem, w którym pływał. Oczywiście nigdy się nie puszył, jedynie ukazywał światu znużoną twarz urzędnika, który stara się rozwiązywać problemy tanio i możliwie bez zamieszania. Już bardzo dawno temu udoskonalił sztukę ustępowania z uśmiechem podczas trudnych negocjacji. Tyle że uśmiech lorda Vetinariego był uśmiechem człowieka, który wie, iż jego przeciwnicy jeszcze nie odkryli, metaforycznie mówiąc, że gatki opadły im do kostek i całemu światu demonstrują odkryte tyły.

Ludzie regularnie podróżowali z Ankh-Morpork do Sto Lat i z powrotem, więc linia pracowała pełną parą. Moist wymyślił slogan: „Nie musisz mieszkać w Ankh-Morpork, żeby pracować w Ankh-Morpork”, a nieruchomości w Sto Lat stały się bardzo poszukiwane. Koncepcja domku na wsi, daleko od miasta, ale z przyzwoitym dojazdem do Ankh-Morpork, nagle okazała się bardzo kusząca.

Godziny jazdy na golemowym koniu okazały się sprzyjać twórczemu myśleniu. Dryfujące w umyśle wizje nowych możliwości drogi żelaznej wirowały z prędkością chomika poważnie skłóconego ze swoim kołowrotkiem. Kolejna synapsa rozjarzyła się w mózgu: pociągi to dopiero początek! Drogi żelazne, zrozumiał nagle, są czymś istniejącym w eterze, płynącym nad całym światem. Idée fixe, jeśli sam sobie daruje swój quirmski.

Machiny były ważne. Warsztaty Dicka Simnela w Kolnóżkach produkowały wiele cudownych rzeczy, starannie umieszczanych w wagonach za nieznającą zmęczenia Żelazną Belką. W wielkiej szopie pojawiły się dwie nowe, które Simnel nazwał Lotnikami; prowadziły regularne rejsy do Sto Lat i z powrotem. Sama Żelazna Belka wróciła do wożenia ciekawskich wokół kompleksu Harry’ego w Ankh-Morpork, z dodatkową pętlą torów ułożoną, by pochwalić się nowym mostem. Niewielka, ale rosnąca liczba hobbystycznych obserwatorów zapisała w swoich notesach liczbę 2, a potem również 3.

Kilka minut po przybyciu Moista do Ankh-Morpork pełen energii Harry porwał go, by pokazać najnowsze osiągnięcie. Uskakując przed snopami iskier, dotarli do szopy z machinami, pilnowanej przez jednego z ochroniarzy Harry’ego, który nawet na swojego pracodawcę spoglądał groźnie. Wydawał się człowiekiem, a przynajmniej humanoidem, a Harry przedstawił go tylko jako Problem. Teraz Problem, patrząc niechętnie na Moista, odsunął się od wrót, tak że razem z Harrym mogli wejść do środka.

Kiedy przechodzili, Moist czuł na karku wzrok Problema.

— Harry, czy Problem ma swoje akta w Straży Miejskiej?

Harry Król przyglądał mu się przez chwilę.

— Oczywiście, że ma akta w straży — powiedział. — Jest pracownikiem ochrony. I jest mi potrzebny. Ludzie kręcili się tutaj, a niektórzy próbowali się włamać, zwłaszcza nocą. Oficjalne siły bezpieczeństwa: straż, golemy i psy, powodują masę papierkowej roboty, podczas gdy Problem rozwiązuje problemy. Nie rób problemów Problemowi, to nie będziesz miał problemów, jak mawiała moja babcia. — Harry parsknął śmiechem. — Nie martw się pan, panie Lipwig — dodał. — Wyraźnie mu nakazałem, żeby pana nie zabijał. Dzisiaj.

Moist przyjął to do wiadomości i obejrzał się, by jeszcze raz popatrzeć na Problema, który specjalnie dla niego zrobił nową groźną minę — przypomnienie, że można zadać człowiekowi och, jakże wiele bólu, nie zabijając go przy tym.

Harry skinął na olbrzyma, który zaczął ściągać wielką derkę osłaniającą coś na środku szopy — a kiedy Problem coś ściągał, stanowczo pozostawało to ściągnięte — i odsłonił machinę o wiele większą niż Żelazna Belka czy dowolny twór Dicka Simnela, jaki Moist dotąd oglądał.

Harry klepnął go w ramię.

— No więc, panie Lipwig, kiedyś pan sobie tak balował i biesiadował z wyższym towarzystwem i każdego kiwał, zabierając mu fortunę, wtedy ja... i oczywiście młody Simnel ciężko tu pracowaliśmy, oj, ciężko. Chłopak kończy teraz w pracowni ostatnie detale, ale ta nowa machina jest prawdziwym szczytem techniki, mówię to całkiem szczerze...

— Moja robota też nie była taka przyjemna... — zaczął oburzony Moist, lecz Harry mu przerwał.

— Tak, wiem, wszyscy się staramy, żeby Vetinari mógł sobie odwiedzić Quirm, chociaż osobiście nie przepadam za homarami. Rozumiem, że chodzi o pomachanie im flagą Ankh-Morpork i takie tam, a gdyby udało nam się dowieźć do miasta naprawdę świeże ryby i inne morskie stworzenia, to znajdziemy się w siodle czy też, jak oni by powiedzieli, na skorupie ślimaka. A Dick twierdzi, że to nowe maleństwo... — Klepnął nową machinę w burtę, jakby była rasowym koniem wyścigowym. — ...Pociągnie większy ładunek i szybciej dotrze na miejsce niż każda inna.

Moist zastanawiał się przez chwilę.

— Wiesz co, Harry? Mogę się założyć, że jak tylko Simnel skończy nowego Lotnika, postara się, by Żelazna Belka pojechała choćby odrobinę szybciej. Nie pozwoli, żeby coś ją wyprzedziło. Nawet gdyby musiał bez przerwy przy niej grzebać, zadba, żeby wciąż była najlepsza. Zresztą mamy ostatnio tylu pracowników, że i tak spędza przy niej prawie cały czas. Jest prototypem ich wszystkich, a on ciągle ten prototyp poprawia.

— Chce chodzić z naszą Emily — oświadczył Harry. — Cóż, mądry z niego chłopak, a ona zawsze będzie wiedziała, gdzie jest.

Dziwna myśl przemknęła Moistowi przez głowę: Ciekawe, co by na to powiedziała Żelazna Belka. I chociaż odrzucił tę myśl jako bzdurną, miał wrażenie, że słyszy leciutki syk.

Harry wciąż podziwiał najnowszą lokomotywę.

— Jestem pewny, że homary będą się łasić jak chiens z deux ogonami, żeby zostać pierwszymi prawdziwymi cudzoziemcami, jacy przejadą tą trasą. A nasza Emily mówiła, że quirmskie określenie drogi żelaznej oznacza też grę karcianą, więc to raczej pańskie spécialité, zgadza się? Proszę pamiętać, żeby zawsze mieć jakiegoś asa w manche.

— Manche?

— Effie mnie uczy mówić po homarzemu. Uważa, że to piękny i romantyczny język.

Moist nie mógł się powstrzymać, by nie przypomnieć, że przez ostatni miesiąc prawie wcale nie widywał swej żony i że przeprowadził ponad pięćdziesiąt skomplikowanych negocjacji, by dotrzeć choćby do granicy z Quirmem.

— Kapitalnie. Więc teraz sam pan widzi, po co to wszystko, prawda? Zresztą Quirm nie jest tak daleki, a kiedy już pan tam dotrzesz, odpoczniesz sobie na słoneczku. Ale wiesz pan co? Zanim znów wyjedziesz, weź sobie dzień wolnego na lieu. Niewielu ludziom to proponuję.

Moist odchrząknął.

— Prawdę mówiąc, Harry, hm... Właściwie to nie dla ciebie pracuję. Zatrudnia mnie miasto.

— To znaczy, że nie mogę cię wywalić?

— Obawiam się, że nie.

Harry zakrztusił się ze śmiechu.

— Nie lubię mieć przy sobie ludzi, których nie mogę wyrzucić z roboty. To wbrew naturze.

\* \* \*

To był długi i ciężki dzień po kilku długich, ciężkich tygodniach i jeszcze dłuższych ciężkich miesiącach. Tego wieczoru Moist był wdzięczny za to, że może wejść do własnego domu, myśląc tęsknie o własnym łóżku z baldachimem, wyposażonym w materac, który nie jest wypchany słomą, i w poduszki — prawdziwe poduszki! Bardzo nieliczne noclegownie spośród tych, w których się zatrzymywał podczas swoich podróży, uznawały poduszki za konieczne czy potrzebne. W tej chwili, metaforycznie podśpiewując, otworzył sobie drzwi, zanim Crossly zdążył się pojawić, i skręcił nie do głównej części budynku, ale w korytarzyk prowadzący do gabinetu Adory Belle. Jego ukochana rozmawiała tam z Ze Zmierzchu Ciemność.

Kompania sekarowa dbała o pełne równouprawnienie w zatrudnieniu, zwłaszcza kiedy chodziło o ludzi, którzy potrafią błyskawicznie wspiąć się na szkieletowe żebra wieży, a na górze usiąść na małym stołeczku i kodować jak demony, nie będąc nimi jednak mimo wyglądu. W tej chwili Adora Belle podejrzliwie przeglądała raporty sekarów, a goblin przykucnął na brzegu jej biurka niczym stwór z koszmaru. Pomachała palcami, dając znak, że nie może sobie pozwolić na utratę koncentracji, potem zrolowała wydruk i wręczyła go goblinowi.

— Wyślij to zaraz, proszę, do wieży dziewięćdziesiąt siedem. Ktoś tam nie koduje precyzyjnie. Może to uczeń. Chcę wiedzieć, jasne?

Goblin porwał zwój w szpony, zeskoczył z biurka jak żaba i zniknął za małymi drzwiczkami przy podłodze. Moist słyszał stukot wzdłuż ściany, kiedy goblin wspinał się po panelach do prywatnej wieży sekarowej na dachu. Zadrżał lekko, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Adora Belle uniosła głowę.

— Jest punktualny, szybki, solidny i koduje dokładniej niż nawet ja, a chce od nas tylko tego, żeby mógł z rodziną mieszkać na dachu. I nie powtarzaj mi teraz historii o traumie z dzieciństwa, kiedy jako mały chłopiec wystraszyłeś się obrazka z goblinem w książeczce, dobrze? Pora dorosnąć, Moist. Gobliny to najlepsze, co przytrafiło się sekarom od czasu, no... od nas. One uwielbiają tę pracę, a co lepsze, dzięki nim już nie mamy plagi myszy i szczurów.

Wstała, wyminęła biurko, podeszła do Moista i pocałowała go mocno.

— Jak się udał ostatni maraton, drogi panie? Dostawałam raporty o twoich wędrówkach, jak się domyślasz.

Moist cofnął się o krok.

— Raporty? Skąd?

Roześmiała się.

— Czym jest wieża sekarowa, jeśli nie ogromną wieżą obserwacyjną? A każdy sekarowiec ma bardzo kosztowną lornetkę Herr Fleissa wykonaną według najlepszej überwaldzkiej technologii. Wieże stoją wszędzie, więc postarałam się, żeby zawsze obserwowało cię jakieś przyjazne oko... no, raczej dużo przyjaznych oczu. W końcu każdy sekarowiec zna twoją twarz, a nawet czubek twojej głowy. Uznałam, że to mój obowiązek jako żony.

— Szpiegowanie własnego męża?! Myślałaś, że zadaję się z innymi kobietami?

— Tego akurat się nie obawiam. Przecież gdybyś się zadawał, kazałabym cię zabić, bez urazy. Ale ty nie, więc ja też nie, czyli wszystko jest w porządku, prawda? Pani Crossly szykuje wspaniałą zapiekankę z piwem i ostrygami. Widzisz? Nie cieszysz się, że dokładnie wiedziałam, kiedy wracasz?

Moist się uśmiechnął, a potem uśmiechnął się szerzej, kiedy uświadomił sobie, czego się właśnie dowiedział.

— Chcesz powiedzieć — zapytał z namysłem — że możesz znaleźć i śledzić każdego?

— O tak, prawdopodobnie, o ile często się przemieszczają. Chłopcy i dziewczyny często obserwują, kiedy mają trochę przestoju. Po prostu to robią, nic w tym złego. Przedwczoraj, gdy kierowałeś się już do domu, byłam w biurze Wielkiego Pnia i miałam przyjemność odebrać raport o tobie podskakującym na siodle golemowego konia... bardzo ponętnie, jak stwierdzili.

Adora Belle przyjrzała się mężowi.

— A wiesz — dodała — kiedy odkrywasz coś wybitnie interesującego i użytecznego, oczy ci się rozpalają jak dekoracja na Strzeżenie Wiedźm. Więc teraz przestań tak migotać i ogarnij się trochę, zanim siądziemy do kolacji.

\* \* \*

W domu Moista i Adory Belle obowiązywała zasada, że wieczorny posiłek, o ile w ogóle możliwy, jest święty. Żadnego jedzenia przy biurkach, żadnego pośpiechu, zawsze świece i srebra, jakby to była szczególna okazja. Zresztą była — tylko wtedy mogli usiąść twarzą w twarz i przynajmniej umiarkowanie być małżeństwem.

Jednak Adora Belle nie potrafiła ukryć irytacji na myśl o tym, że na kolejny długi czas straci męża, który wybierał się do obcego kraju.

— Quirm nie leży aż tak daleko — uspokajał ją Moist. — A kiedy już przekonam do sprawy miejscowych chłopaków, nie będzie tak źle.

Adora Belle odchrząknęła.

— Garçons — poprawiła go. — Jeśli to homary, chłopcy będą się nazywali garçons.

— Jak?

— Garçons. To po quirmsku, ale nie martw się, większość zna morporski. A wiesz czemu? Bo nikomu z nas nie chce się uczyć quirmskiego.

— Nieważne, jak się nazywają. Kiedy już zbudujemy linię kolejową, prawdopodobnie będę mógł częściej wracać do domu. — Przerwał, by włożyć sobie do ust porcję zapiekanki. — A przy okazji, Harry właśnie dostał sekara od króla Lancre. Władca pyta, czy kiedyś poprowadzimy linię aż do jego królestwa, żeby, cytuję, „Lancre mogło zająć należne sobie miejsce na scenie światowej polityki”.

— Nie lekceważ tego kraju — powiedziała Adora Belle. — Mają tam czarownice, które podlatują do wież i naciągają chłopców na kawę... No, przynajmniej jedna tak robi, zwłaszcza kiedy chłopcy są młodzi, a na zmianie nie ma goblinów. Poza tym są tam te wszystkie krasnoludzie kopalnie pod Miedzianką. Na pewno przydałaby się im kolej.

Moist się skrzywił.

— Chłopaki mówią, że nic z tego. Jest za stromo, poza tym most na Lancre nie wytrzyma ciężaru lokomotywy. Przykro mi. Ale możemy chyba przekazać jego wysokości, że poślemy tam mierniczych, kiedy tylko skończymy z linią do Quirmu. — Moist odłożył widelec. — Pierwszy raz od wieków mamy wolny wieczór. Co będziemy robić? Może dobrze byłoby dać służbie wolne do jutra rana?

Adora Belle odpowiedziała z uśmiechem:

— Tak... Co będziemy robić?

\* \* \*

— Jest zwyczajnie mechaniczna — stwierdził Myślak Stibbons przy herbacie w sali klubowej Niewidocznego Uniwersytetu. — Tylko wygląda na magiczną.

— Więc nie powinno się na to pozwalać — oświadczył pierwszy prymus, nabijając na widelczyk kawałek ciasta. — Wyglądanie magicznie to nasza sprawa.

— No cóż — odezwał się Ridcully, starannie go ignorując. — Nie można stawać na drodze postępu, więc lepiej się dosiąść i pojechać razem z nim. Ktoś jeszcze ma ochotę na przejażdżkę pociągiem? Tutaj robi się duszno i nie chciałbym, żeby ludzie myśleli o nas jak o nudziarzach.

— Przecież jesteśmy nudziarzami — zaprotestował wykładowca run współczesnych. — I bardzo mnie ten fakt cieszy.

— Mimo to nadeszła pora, żebyśmy spojrzeli kolei prosto w twarz. Pan Stibbons poprowadzi.

Magowie opuścili tereny uniwersytetu małą karawaną powozów, które wzbudziły spore zamieszanie, kiedy przybyły do terminusa Ankh-Morpork. Stibbons, znając kolegów, już wcześniej wszystko zorganizował, więc przygotowano dla nich specjalny pociąg ze szczególnie miękkimi siedzeniami.

— Oczywiście, panowie, pojedziecie pierwszą klasą — poinformował naczelnik stacji, dobrze przygotowany przez Stibbonsa. — Ale jeśli sobie życzycie, niektórzy mogą jechać w kabinie. — Zawahał się. — Chociaż nie jestem pewien, czy wasze szaty będą bezpieczne.

Nadrektor wybuchnął śmiechem.

— Młody człowieku, szaty magów są nieczułe na ogień. Wielkie nieba, gdyby nie to, palilibyśmy się żywcem codziennie, jeszcze przed drugim śniadaniem.

Stibbons, który kilka razy w ostatnich tygodniach jeździł już Żelazną Belką, a potem prowadził długie rozmowy z Dickiem Simnelem, zrozumiał, jak to wszystko działa. Teraz pewną przyjemność sprawiało mu obserwowanie, jak najlepsze umysły uniwersytetu próbują dojść do ładu z pierwszą kolejową przejażdżką.

Droga była krótka, do Górnydołu i z powrotem, i obejmowała posiłek w połowie drogi, który trwał dłużej niż sama podróż. W drodze powrotnej kierownikowi studiów nieokreślonych pozwolono obsługiwać hamulec bezpieczeństwa ku zazdrości pozostałych magów. Na każdym przystanku występowały pewne elementy machania chorągiewkami, dmuchania w gwizdki i trzaskania drzwiami, żeby magowie spróbowali, jak się to robi. Żelazna Belka jechała pod pełną parą; ognioodporni magowie, kolejno zajmujący miejsce w kabinie, zaglądali do paleniska i aprobowali[[[36]](#footnote-36)](#36_1).

Najedzeni i zmęczeni, w drodze powrotnej rozważali fenomen tej nowej formy lokomocji. Pierwszy prymus myślał, czy znów nie protestować, ale czuł się zbyt pełny.

— To niezwykłe, że ludzie machają do nas, kiedy przejeżdżamy — stwierdził Ridcully. — Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Kto by pomyślał? Maszyneria, do której ludzie się uśmiechają... Co pan tam zapisuje, panie Stibbons?

— Lubię czasem zanotować, jaki pociąg przejeżdża — wyjaśnił zaczerwieniony Stibbons. — Interesuję się nimi. To jakby patrzeć, że obok jedzie przyszłość.

— Więc powinniśmy być tymi, którzy pilnują drzwi — rzekł nadrektor z uśmiechem — że nie wspomnę o uważaniu na szczelinę przy peronie, ponieważ przyszłość nadjeżdża torami szybko. I kto wie, co przybędzie następne.

\* \* \*

Dzień był cudownie słoneczny. Skowronki śpiewały na niebie barwy głębokiego błękitu i wspaniale było żyć... Moist potrzebował świeżego powietrza. Ruszył sprężystym krokiem, by przejść się kawałek wzdłuż torów.

I właśnie tam, w tym perfekcyjnym dniu... niewidoczne dla nikogo prócz samego Moista, na torze, po którym Żelazna Belka zaraz przejedzie, gdy tylko pokona łuk niewielkiego podjazdu prowadzącego już do stacji, znalazły się dwa małe... stworzenia. Króliki, próbował mu podpowiedzieć zdrowy rozsądek, wszędzie ich pełno, nawet tutaj. I na chwilę cały wszechświat zatrzymał się przed jego twarzą, pozostawiając go wirującego powoli we własnym małym światku, skąd wyglądał na ten prawdziwy.

Tam stały główne szopy, hangary machin, tam tłum czekał na przejażdżki, a tam, na torze, leżała przyszłość kolei. W tym jednym perfekcyjnym momencie czas się rozciągnął i Moist był jedynym widzem strasznej nieruchomej sceny. Miał uczucie, że rozgrywa się przed jego oczami niezwykła partia szachów...

I nagle nogi wystartowały spod niego i pognał, popędził, zbyt zdyszany, by krzyczeć, w stronę dwóch dzieciaków, które przykucnęły, przykładając uszy do torów. Śmiały się, bo wibracje były chwilami zabawne, łaskoczące, głośne i...

WŁAŚNIE TUTAJ! WŁAŚNIE TERAZ!

i... pustka...

\* \* \*

Moist się obudził, co można interpretować jako dobry znak. Za pierwszym razem Żelazna Belka była nad nim, a on był martwy, jednak kolejne ostrożne przebudzenie nastąpiło w białym pokoju pachnącym drewnem kamforowym i innymi środkami dezynfekcyjnymi; ostre, uspokajające zapachy stanowiły namacalny dowód, że ma przynajmniej nos, ponieważ nie czuł właściwie niczego więcej.

Po dłuższej chwili ciche dźwięki stały się głośniejsze, rozbrzmiewały bliżej i układały się w słowa; pocieszające, serdeczne słowa, które skrystalizowały się w osobnika w białym fartuchu mówiącego:

— Ma wzloty i upadki, droga pani, ale coraz mniej upadków i obiecującą serię wzlotów. Jego stan stabilizuje się coraz bardziej. Nic nie jest złamane, choć zniszczył porządną parę butów. I muszę powiedzieć, droga pani, że tutaj, w szpitalu, organizują składkę, by kupić mu nowe.

Moist odetchnął głęboko i przebił się z nieświadomości, by dotrzeć do tutaj i teraz — choć tutaj i teraz wszystko go bolało. Dobrą stroną sytuacji było to, że patrzy na niego Adora Belle. Za nią, w białym fartuchu, wyrastał wysoki tęgi mężczyzna z rodzaju takich, co to w młodości występowali w brutalnych sportach i nadal by chcieli, gdyby tylko brzuch mieli mniejszy i sprawniejsze mięśnie.

Adora Belle przyglądała się mężowi z uwagą, jakby sprawdzała, czy wszystkie elementy znajdują się w należnych miejscach. Doktor chwycił go za rękę.

— Ktoś tam w górze musi czuwać nad panem, panie Lipwig. Jak się pan czuje? Jako pański lekarz muszę zaznaczyć, że wskakiwanie przed pociąg na torach nie jest zalecane przez adeptów medycyny, jednakże akty bezmyślnej i idiotycznej brawury z pewnością są i powinny być oklaskiwane. — Spojrzał z góry na Moista. — Nie wie pan, co pan zrobił, prawda? No dobrze, proszę wstać, zobaczymy, jak pan chodzi.

Moist mógł chodzić, ale wolałby nie móc. Cały czuł się tak, jakby coś w niego bardzo mocno uderzyło, ale pielęgniarki pomogły mu się podnieść i ostrożnie poprowadziły do pomieszczenia obok. Okazało się, że siedzą w nim dwie rodziny: były małe dzieci i szlochający rodzice. Fragmenty przeszłości wskoczyły na miejsca w pamięci Moista, większe i bardziej przerażające, gdy znowu poczuł na sobie oddech lokomotywy, która przesunęła się nad nim, leżącym z maluchem pod każdą pachą. Nie, to nie mogło się zdarzyć... prawda?

Ale dudniące głosy zapewniały, że właśnie tak, kobiety próbowały go całować i podnosiły swoje potomstwo, by robiło to samo, gdy równocześnie ich mężowie usiłowali mu uścisnąć rękę.

Oszołomienie ogarnęło go jak dym, a po chwili stanęła przed nim Adora Belle i patrzyła na niego z zabawnym uśmieszkiem, takim, o jakim wiedzą tylko mężowie.

Gdy wreszcie zdołali się uwolnić od szczęśliwych rodziców i nieco lepkich dzieci, Adora Belle wciąż miała na ustach ten lekki uśmieszek.

— Mój drogi, czy nie powiedziałeś kiedyś, że życie bez niebezpieczeństwa nie jest warte życia?

Moist poklepał ją po ręce.

— No wiesz, Igło, ożeniłem się z tobą.

— Nie mogłeś się powstrzymać, prawda? To jak narkotyk. Nie jesteś szczęśliwy, jeśli ktoś nie próbuje się zabić albo nie stajesz się ośrodkiem jakiegoś innego dramatycznego zdarzenia, z którego oczywiście sławny Moist von Lipwig uratuje się w ostatniej chwili. Czy to jakaś choroba? Jakiś syndrom?

Moist przybrał potulny wyraz twarzy, do jakiego zdolni są tylko mężowie i szczeniaczki.

— Chciałabyś, żebym przestał? Przestanę, jeśli powiesz.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Ty draniu — odezwała się w końcu Adora Belle. — Wiesz, że nie mogę. Gdybyś tak zrobił, nie byłbyś Moistem von Lipwigiem.

Otworzył usta, by zaprotestować, ale wtedy drzwi się otworzyły i weszła prasa: William de Worde, wydawca „Pulsu Ankh-Morpork”, oraz tragarz i wszędobylski Otto Chriek, ikonografik.

A że Moist von Lipwig nie mógł przestać być Moistem von Lipwigiem, póki nie umarł, uśmiechnął się do ikonografu.

Przypomniał sam sobie, że to tylko początek. Cała reszta nastąpi już wkrótce... ale to nieważne, wiele już razy tańczył ten taniec, więc zachował swój najlepszy wyraz twarzy skauta.

— Panie Lipwig, jak się zdaje, jest pan bohaterem. Znowu — zaczął de Worde. — Maszynista i palacz twierdzą, że nadbiegł pan szybciej, niż zdążyli zahamować pociąg, chwycił pan te dzieci i odskoczył z nimi w bezpieczne miejsce. Owo miejsce, w tym dokładnie momencie, znajdowało się pod waszą Żelazną Belką. To prawdziwy cud, że się pan tam znalazł.

A zatem taniec się rozpoczął.

— Wcale nie. Oczywiście, staramy się cały czas uważać na gości. Dzieci znajdowały się poza kompleksem i w ścisłym sensie odpowiedzialni byli rodzice, ale i tak natychmiast postawimy barierki wzdłuż tego odcinka linii. Musicie zrozumieć, że ludzie się tutaj zbierają. Wydaje się, że są nieodparcie przyciągani przez nowość, jaką jest szybkość i gorąca para.

— To bardzo niebezpieczna nowość, musi pan przyznać, panie Lipwig.

— No cóż, panie de Worde, wszystko, co stare, kiedyś było nowe, a póki niezbadane, także obce i niebezpieczne. A pewne jest jak to, że po nocy następuje dzień, że potem ta nowość staje się częścią zwykłego krajobrazu. I może mi pan wierzyć, tak też będzie z drogą żelazną.

Moist patrzył, jak dziennikarz skrupulatnie notuje jego słowa, i był gotów, kiedy padło następne pytanie.

— Słyszałem o starych ludziach na całych Równinach Sto, którzy boją się hałasu i prędkości. Pociąg zostawia także dym i popiół... Z pewnością nie jest to bezpieczne dla naszego pięknego miasta?

Moist błysnął zębami w uśmiechu. Znowu się zaczyna, pomyślał.

— To nasze piękne miasto składa się z dymów, popiołów oraz wielu dokuczliwych wyziewów poza tym. Na próbach Żelazna Belka wywarła wielkie wrażenie zdolnością pewnego i szybkiego transportu znacznych ładunków. Nie zapominajmy, że dla niektórych towarów szybkość dostawy jest kluczowa. Choćby pańska azeta: nikt nie chce dostawać najnowszych wieści z opóźnieniem. Paczki pocztowe to kolejny przykład. Już teraz możemy dostarczyć poranne wydanie „Pulsu” na śniadanie do Sto Lat. A co do straszenia osób starszych, wie pan, pewna wiekowa dama powiedziała mi niedawno, że z otwarciem drogi żelaznej powinniśmy zaczekać, aż wszyscy starzy ludzie umrą. Zgodzi się pan chyba, że mogłoby to potrwać bardzo długo.

Moist dostrzegł, że de Worde rozciąga usta w uśmiechu, i wiedział, że osiągnął sukces. Mówił dalej:

— Ludzie często używają argumentu, że starsi czegoś nie zrozumieją, choć w rzeczywistości sami czegoś nie chcą albo nie potrafią zrozumieć. Starsze osoby bywają skłonne do ryzyka i są wręcz z tego dumne.

Tutaj, dla lepszego efektu, spoważniał nagle.

— Niestety, prototypy nie mogą zagwarantować pełnego bezpieczeństwa. Trudno zadbać o bezpieczeństwo tego, o czym nie wiemy jeszcze, jak jest niebezpieczne. Rozumie pan? Jestem absolutnie przekonany, że pewnego dnia pociągi ocalą życie bardzo wielu ludzi. Mogę to zagwarantować.

\* \* \*

Gdy tylko podnieceni przedstawiciele prasy dostali swoje cytaty i porobili obrazki bohatera chwili, Moist poddał się końcowym badaniom u doktora Lawna. Następnie pożegnał się z Adorą Belle i pojechał dorożką do kompleksu. Już na miejscu, bez pukania wpadł do gabinetu Harry’ego Króla.

— Ktoś jeszcze powinien tam dyżurować, Harry! — krzyknął, uderzając pięścią o biurko. — Jeśli masz choć odrobinę rozsądku, ustawisz strażników przy torach wokół kompleksu, żeby mieli oko na ludzi, kiedy jeżdżą pociągi! Tym razem udało mi się wyciągnąć twoje kasztany z ognia! — wrzeszczał. — Ale powiem ci uczciwie, Harry! Wieść o dwóch zabitych maluchach na pierwszych stronach azet zamknęłaby drogi żelazne, zanim na dobre ruszyły! Vetinari by się nie zawahał, możesz mi wierzyć. Wiesz, że nie ufa mechanizmom, a chyba nie straciłby na popularności, gdyby kazał panu Simnelowi schować narzędzia do skrzynki. Byłaby szkoda! Dlatego nie można pozwolić, żeby z powodu tej nieszczęsnej machiny ginęli ludzie!

Moist przerwał. Dyszał ciężko, prawie bez tchu. Sir Harry Król, którego twarz nie drgnęła nawet podczas całej przemowy, teraz poczerwieniał.

W nagłej ciszy Moistowi zdawało się, że słyszy dziwne skwierczenie podobne do głosu Żelaznej Belki, gdy odpoczywa po ciężkim dniu. Można by nazwać go metalicznym mruczeniem, ale zamilkł szybko, pozostawiając wątpliwości, czy w ogóle był.

Harry zmierzył Moista wzrokiem od stóp do głów.

— Podobno rzuciłeś się pod pociąg między tory, trzymając pod pachami dwoje małych dzieci — powiedział z powagą. — To prawda?

— Wiesz, Harry, nie mam bladego pojęcia. Rzeczywiście widziałem te dzieciaki z głowami na torach, jak słuchały brzęczenia szyn, i dokładnie sobie przypominam, że powiedziałem „O szlag!”. A potem coś walnęło mnie z boku i już nic nie pamiętam, aż przebudziłem się na łóżku w szpitalu lady Sybil. Taka jest prawda. Jestem kłamcą i kłamię dla rozrywki, reklamy, dla zyskania przewagi, osobistych korzyści i rozbawienia publiczności, ale teraz cię nie okłamuję.

Po chwili Harry odezwał się chrapliwie:

— Wiesz, że jestem dziadkiem, Lipwig? Mam wnuka i wnuczkę w efekcie starań mojej starszej. I nieczęsto się trzęsę, ale teraz jestem cały roztrzęsiony. — Wstał i łzy błysnęły mu w oczach. — Jest pan właściwym człowiekiem, panie Lipwig, więc niech pan powie, co powinienem teraz zrobić.

Tego Moist nie oczekiwał. Zdołał jednak odbić metaforyczną piłkę.

— Przede wszystkim uważaj, co robisz, Harry. Mechanicy i im podobni dobrze się znają na gorącej stali, wielkich szybkościach i kręcących się kołach. Ale dla większości ludzi taka oszałamiająca prędkość jest jak spłoszony koń. Wielu w tym mieście trafia pod koła, kiedy jakaś szkapa pociągowa nagle poczuje zew owsa i ruszy środkiem ulicy ku nowym pastwiskom. Moja rada jest taka: trzeba zamknąć jazdy Żelazną Belką na tydzień w celu konserwacji. Sprzątnij trasę, usuń z drogi wszystkie ostre przedmioty, postaw jakieś barierki. Niech paru chłopaków w uniformach kręci się przy torach i robi poważne miny. Wiesz, o co mi chodzi. Pokaż, że dbasz o bezpieczeństwo.

Moist znowu usłyszał ciche skwierczenie; zdawało się, że rozbrzmiewa mu w duszy, wypełniając ją pomysłami. W teatrze swego umysłu usiadł w loży z bogami i w napięciu patrzył na scenę własnej wyobraźni, czekając, co jeszcze pokaże.

— Takie wypadki, Harry, mogą się zdarzyć nie tylko w najbliższej okolicy. Musimy uważać na całej trasie. Musimy mieć kogoś, kto zobaczy dzieciaki na torach albo krowy, albo pociąg jadący w niewłaściwym kierunku. — Zobaczył, jak Harry blednie na myśl o wszystkim, co może się wydarzyć. — Ci ludzie muszą mieć dobre pole obserwacji. Jakieś wieże powinny załatwić sprawę, wieże z sekarami, żeby przesyłać sygnały maszynistom... Poproś Dicka. Jego mózg wyrzuca nowe pomysły szybciej, niż ręka zdąży je zapisać.

Zastanowił się.

— I jeszcze drobiazg: zrób coś z tymi brudnymi wagonami, co je ciągnie Żelazna Belka. Nadają się do tych cyrkowych przejażdżek, ale cały tabor roboczy powinien być tak dobry jak te specjalne wagony, których używamy na linii do Sto Lat. — Skwierk... — Tak jest! Bardziej eleganckie wagony dla arystokratów, a... — Nagle do Moista uśmiechnęły się pieniądze. — Mam pomysł. Dla tych, którzy nie należą do klas wyższych, ale chcieliby należeć, można przeznaczyć wagony nie aż tak luksusowe, ale wyraźnie lepsze od najtańszych, może nawet pozbawionych dachu. To da im coś, do czego mogą aspirować, a dla ciebie będzie kolejną maszynką do robienia pieniędzy.

Moist znalazł się nagle w ognisku jednego z najgroźniejszych spojrzeń Harry’ego Króla.

— Niech mnie demony, panie Lipwig, jest pan niebezpiecznym człowiekiem, trudno zaprzeczyć. Zachęca pan ludzi, żeby mieli zachcianki powyżej swojej pozycji. To sprawia, że są podejrzliwi, zalęknieni, a przede wszystkim bardzo nerwowi.

Ku zaskoczeniu Harry’ego Moist niemal wyskoczył w powietrze i zakręcił się z radości.

— Tak! Tak! To najlepszy sposób! Tak robi Vetinari! On wierzy, że ludzie powinni się starać być lepsi pod każdym względem. Teraz to widzę. Wyobraź sobie, jak młody człowiek prowadzi swoją damę i poświęca sześć pensów, żeby dostać lepsze miejsce. I jest dumny jak demony, rozgląda się i myśli: To mi pasuje, nie ma co, mógłbym tak częściej. Potem wraca do pracy i dąży, tak jest, dąży do tego, by stać się lepszym, a dokładniej bogatszym człowiekiem, z korzyścią dla swojego pracodawcy i dla siebie, nie zapominając przy tym o wdzięczności dla właściciela drogi żelaznej, czyli dla twojej osoby, dzięki której miał marzenia przewyższające jego kolejową pozycję. Wszyscy wygrywają, nikt nie przegrywa. Proszę cię, Harry, proszę, pozwól ludziom na aspiracje. Przecież, kto wie, mogli przez cały czas siedzieć w niewłaściwej klasie. Twoja droga żelazna, przyjacielu, pozwoli im na marzenia, a kiedy już masz marzenia, starasz się je zbliżyć do rzeczywistości.

Przez cały ten czas Harry wpatrywał się w Moista, jakby właśnie zobaczył gigantyczną tarantulę.

— Panie Lipwig — rzekł w końcu — jeszcze niedawno leżał pan pod lokomotywą, a pięćdziesiąt ton wagonów przetaczało się przy pańskich uszach, a teraz wyskakuje pan jak diabeł z pudełka, pełen energii, wigoru i pomysłów. Jak pan to robi? I jak mógłbym też się tego nauczyć?

— Nie wiem, po prostu jestem zwykłym sobą. Trzeba zwyczajnie iść naprzód, cokolwiek się zdarzy, i nigdy się nie zatrzymywać. Dla mnie to działa. I pamiętaj: musisz pilnować... my musimy pilnować... żeby nikt się nie wkręcił w mechanizm.

\* \* \*

Siostrzane państwo Quirmu, podobnie jak Ankh-Morpork, składało się z głównego miasta, kilku teoretycznie autonomicznych miast satelickich, współzawodniczących z sobą o awans, oraz sporej liczby skłóconych miasteczek napęczniałych od poczucia własnej ważności. Było też mnóstwo gospodarstw, parafii, farm, winnic, kopalni, zatoczek, zakrętów drogi, które ktoś nazwał na pamiątkę swojego psa, i tak dalej, a potem jeszcze dalej.

Przy granicach hegemonii Ankh-Morpork[[[37]](#footnote-37)](#37_1) było całkiem możliwe, by hipotetyczny farmer na obrzeżu tego wszystkiego, co można nazwać Ankh-Morpork, wychylił się przez własny żywopłot i pogawędził z quirmskim farmerem, bez wątpienia znajdującym się wtedy w Quirmie, absolutnie nie uważając tego za sprawę polityczną. Takie pogawędki dotyczyły zwykle pogody, dostatku lub niedostatku wody oraz bezużyteczności rządu, wszystko jedno którego. Potem z satysfakcją ściskali sobie ręce albo kiwali głowami, po czym jeden wracał do domu, by po tak pracowitym dniu wypić kufelek domowego piwa, a drugi robił to samo, ale z porządnym domowym winem.

Od czasu do czasu syn jednego farmera podchodził do żywopłotu, żeby zobaczyć się z córką drugiego, albo na odwrót, i z tego powodu w nielicznych — ale interesujących — miejscach na granicy pojawili się ludzie mówiący oboma językami. Czegoś takiego rządy naprawdę nie znoszą. I bardzo dobrze.

Formalnie biorąc, Ankh-Morpork i Quirm były serdecznie zaprzyjaźnione po setkach lat konfliktów głównie o kwestie, które okazywały się nieistotne, nieznaczące, nieprawdziwe albo wręcz ewidentnie kłamliwe. Owszem, by podróżować w jedną czy drugą stronę, człowiek potrzebował paszportu, ale odkąd rządy objął lord Vetinari, nikt ich właściwie nie sprawdzał. Za swojej młodości Moist bywał w Quirmie wiele razy, w różnych przebraniach i pod różnymi nazwiskami, a raz nawet, przy niezapomnianej okazji, w różnej płci[[[38]](#footnote-38)](#38_1).

Teraz zadumał się trochę, wspominając tamten tryumf. Było to jedno z najświetniejszych oszustw, a choć miał za sobą wiele innych owocnych eskapad, nie ośmielił się tamtego powtórzyć. Tym razem zakonnice na pewno by go dorwały.

Teraz, kiedy dyliżans do Quirmu dotarł wreszcie do granicy, jedyną przeszkodą był szlaban, teoretycznie obsadzony przez dwóch funkcjonariuszy, po jednym z każdej strony. Jednak ze względu na naturę międzypaństwowych relacji obaj często spali, a jeśli nie, to pilnie uprawiali swoje ogródki po obu stronach granicy. Ktoś mógłby zapytać, jaki w ogóle miało to sens. W końcu przemyt płynął w obie strony, a więc pragmatyczne podejście dryfowało w ramach ducha czasów.

Dzisiaj Moist miał ze sobą listę osób, z którymi powinien się zobaczyć. O tak, zawsze miał taką listę. Wiedział, że Quirm rozpaczliwie potrzebuje drogi żelaznej, jako że musi sprzedać wiele produktów spożywczych. W przeciwnym razie zostanie ze stosami cuchnących ryb. Moist spodziewał się więc przyjemnego tygodnia rozmów z homarami[[[39]](#footnote-39)](#39_1), chwilowo jednak musiał rozmawiać z ludźmi żyjącymi daleko od wybrzeża, którzy swoje spłachetki ziemi uważali za święte. Owszem, chcieli mieć drogę żelazną, ale jeśli miałaby przebiegać przez ich teren, to nie pozostałby im żaden inny, niebędący drogą żelazną.

Podczas negocjacji w Quirmie Moistowi pomagał pełniący obowiązki kapitana funkcjonariusz Haddock ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork, obecnie oddelegowany do straży quirmskiej. W ankhmorporskim stylu opanował tutejszą mowę i przy kuflu bardzo słabego piwa wyjaśnił dylematy stworzone przez quirmską tradycję własności ziemskiej.

— Wszystko bierze się z czegoś, co nazywają le patrimony. To znaczy, że wszystkie dzieci muszą coś dostać, kiedy ich mama i tata odejdą. Wielką farmę trzeba podzielić na dwie, a czasem trzy i więcej, żeby każdy odziedziczył swoją część. Nawet rząd wie, że to głupie, ale nikt w Quirmie nie zwraca uwagi na to, co mówi rząd. Czyli to pan, panie Lipwig, musi ich jakoś przekonać. Obawiam się, że to wszystko.

No cóż, Moist się starał, naprawdę się starał, ale po frustrujących dwóch tygodniach targowania się o każde poletko wielkości chustki do nosa był już gotów zrezygnować i wracać do Ankh-Morpork. Harry’emu się to nie spodoba, myślał; Vetinariemu też nie, ale może zdoła się jakoś wykręcić. Może.

Gdy dotarł do niewielkiej, ale zamożnej posiadłości markiza des Aix en Pains, znanego hodowcy winorośli, nastrój trochę mu się poprawił. Markiz był jednym z ostatnich właścicieli ziemskich na liście Moista. Ożenił się z dziewczyną z Ankh-Morpork i najwyraźniej bardzo mu zależało, żeby swoje świetne trunki dostarczać nabywcom możliwie szybko i bez wstrząsów mających zgubny wpływ na wino. Obecnie transport wozem po pełnym dziur trakcie wymagał, by butelki leżakowały potem miesiącami w ciemnych i chłodnych piwnicach.

Markiz zaprosił Moista na lunch, który nazwał fusion cuisine: pâté bez żadnych avec, jako danie główne homar z purée, a potem znakomity nakrapiany ptaszek — kombinacja potraw, która powinna zapewne przetrwać w annałach gastronomicznej infamii, lecz okazała się całkiem niezła, zwłaszcza popijana zaskakująco dobrymi miejscowymi winami.

Markiz był młody i nowoczesny; odpowiadała mu koncepcja drogi żelaznej nie tylko w handlu winem, ale też jako środka zbliżającego ludzi. Mrugnął do żony, kiedy to mówił, z wyraźną sugestią, że takie zbliżanie leży mu na sercu. Wierzył, że im więcej ludzie wiedzą o sobie nawzajem, tym lepiej się dogadują. Jego poglądy o dziwnej i nieco bukolicznej postawie Quirmian w kwestii dzielenia majątku po śmierci rodziców bardzo Moista zainteresowały.

— Każdy chce sprzedawać wino, seh i hyby do Ankh-Mohpohk, to oczywiste, ale nikt nie chce thacić ziemi. Wszyscy lubimy nasze kawałki Quihmu; to przecież niehuchomość, nie da się ukhaść, można podnieść gahść ziemi i hozetrzeć w palcach... To coś, o co można walczyć. Wiem, że to stahoświeckie, a taka thadycja dophowadza rząd do hozpaczy, lecz jako szczehy syn Quihmu uważam to za całkowicie akceptowalne. Dla pana jednak, przyjacielu, to wielka thudność, albowiem nie sprzedajemy swego dziedzictwa, przynajmniej o ile cena nie jest bahdzo wysoka. A kiedy hozejdą się wieści o dhodze żelaznej, cena będzie whęcz eksthemalnie wysoka. Będziecie musieli, jak mówi moja żona, płacić dans le nez. Myślę więc, przyjacielu, że trzeba panu znaleźć inną thasę stąd do miasta Quihm, jeśli chcecie zakończyć phacę, zanim les poules auront des dents.

Zawahał się na moment.

— Chodźmy do biblioteki. Chcę panu pokazać kilka map.

\* \* \*

Spore, ozdobne pomieszczenie wypełniały głowy licznych wypchanych zwierząt — no, prawdopodobnie wypchanych — oraz zapach zwietrzałego formaldehydu. Moist pochylił się nad dużą mapą, którą markiz wyciągnął z kufra.

Markiz wskazał coś, co wyglądało na pustą jej część.

— Większa część tehenów tutaj jest bez wahtości — powiedział. — Tylko makia i nic więcej. Nie ma co wydobywać phócz ochhy, a i tej jest bardzo malutko. To właściwie pustkowia pohośnięte suchymi krzakami, któhe pothafią człowiekowi buty z nóg zedrzeć. Nic nie skłania ludzi, by tam żyli. Złe ziemie, można powiedzieć, tam mieszkają ukhywające się ophyszki, hozbójnicy, bandyci, niekiedy też przemytnicy, a wszyscy bahdzo paskudni i uzbhojeni po zęby. Jasne, rząd hobi czasem przedstawienie, jak to phóbuje się ich pozbyć. Ale to nie wszystko: są tam gobliny, a one nic nie wiedzą o phawie własności.

— W Ankh-Morpork dogadaliśmy się jakoś z goblinami — wtrącił pospiesznie Moist. — Trzeba znaleźć im do roboty coś, co lubią i w czym są dobre. Potem to tylko kwestia powstrzymywania się od kopania ich. Niekopane potrafią być niezwykle użyteczne, choć niekoniecznie sympatyczne.

— Chciałbym, żebyśmy też pothafili się z nimi dogadać. — Markiz westchnął. — Ale musi pan hozumieć, że to są quihmskie gobliny, a zatem eksthemalnie kłótliwe i upahte, w dodatku często pijane. Na miłość bogów, one nawet hobią własne wino. — Markiz zastanowił się i poprawił: — A haczej jakąś winopodobną substancję.

— To chyba nie takie złe, prawda?

— Dophawdy? One hobią wino ze ślimaków. Z owoców muhów, jak mówicie w Ankh-Morpork. I są po nim eksthemalnie awantuhnicze. Ale nie byłyby takie kłopotliwe, gdyby nie bandyci, którzy polują na nie dla hozhywki.

— Czy bandyci rządzą makią? — spytał Moist.

Markiz się zawahał.

— Nie, to naphawdę ziemia niczyja. Zapewne gdybyśmy pohozmawiali z jakimś phawnikiem, powiedziałby, że jest to tehen dosłownie i w całości znajdujący się w posiadaniu państwa quihmskiego.

— No cóż, panie markizie, wydaje się, że państwo quirmskie gorąco pragnie drogi żelaznej, nawet jeśli właściciele ziemi jej nie pragną. I jeśli byłby pan w stanie zagwarantować mi kwestię prawa własności, z wielką przyjemnością wyświadczę im przysługę.

Markiz skrzywił się i zacmokał.

— Niestety, sphawa nie jest taka phosta. Nie jesteśmy ludźmi thudnymi w kontaktach, ale rząd zwleka, gdy chodzi o pozbycie się bandytów, ponieważ, jak pan sam hozumie, bandyci i rządy mają z sobą tyle wspólnego, że w dowolnym punkcie świata mogliby zamieniać się holami... Uśmiecha się pan, panie Lipwig. Czy coś pana śmieszy?

— Wielu jest tych bandytów?

— Znacząca liczba. Cały ten obszah jest przez nich phaktycznie opanowany. To nieprzyjemni bandyci, którzy z hadością popełnią mohdehstwo, jeśli uznają, że im ujdzie na sucho. Obawiam się, panie Ankh-Morpork, że jeśli szybko chcecie się ich pozbyć, musicie to załatwić sami. Ale widzę, że nadal się pan uśmiecha. Powie pan, co jest takiego śmiesznego? Powszechnie znane tak zwane ankhmohpohskie poczucie humohu nie tłumaczy się łatwo, jak się obawiam.

— Nie warto — zapewnił Moist. — Kiedy rozdawano talenty, Ankh-Morpork dostało umiejętność żartów, Quirmowi zaś musiały wystarczyć znakomita kuchnia i biegłość w sztuce miłosnej. — Milczał przez moment, po czym spytał: — Chciałby się pan zamienić?

Markiza zachichotała nad kieliszkiem wina, uśmiechnęła się do Moista i mrugnęła. Markiz odpowiedział także z uśmiechem, ale poważnie:

— Chyba jednak, monsieur, phefehujemy status quo.

Moist, który prawie, ale nie całkiem totalnie się zbłaźnił, zapytał:

— Sir, czy poza goblinami mieszkają na tym terenie jacyś przyzwoici ludzie?

Markiz pokręcił głową.

— Nie, na pewno nie. Ziemia jest tam sucha jak pieprz.

Moist wyraźnie się zamyślił. Potem wstał, skłonił się i ucałował dłoń markizy.

— Bardzo państwu dziękuję za gościnność, a także pomoc i informacje. Powinienem już państwa opuścić, jeśli mam złapać nocny dyliżans do Ankh-Morpork. Mam jednak dziwne przeczucie, że wkrótce przeważą szczęśliwsze okoliczności. Prawdę mówiąc, czuję, jak unoszą się już w powietrzu.

\* \* \*

W Ankh-Morpork pełno było krasnoludzich barów dużych i małych, odpowiednich dla każdego. Półmrok Brudnego Szczura był szczególnie popularny wśród tych, którzy preferowali lokale tradycyjne oraz wyraźny brak parasolek w swoich drinkach.

— Obalanie wież sekarowych... — mówił ktoś. — Co nam to przyniesie dobrego? Moja babcia mieszka pod taką wieżą i chłopcy pozwalają jej wysyłać sekary za darmo.

— Nie powinieneś jej na to pozwalać — odpowiedział ktoś stojący w cieniu. — Sekary są dla ludzi.

I zaczęła się kłótnia.

— Musisz przyznać, że sekary się czasem przydają. Uratowały statek na morzu, jak słyszałem. No i pomagają utrzymać kontakt z przyjaciółmi.

Głos z ciemnego kąta odezwał się znowu:

— No to nie ruszajcie wież. Są inne sposoby. Widziałem lokomotywy. Nietrudno byłoby przewrócić taką na torach.

— Ach tak? A niby czemu chcesz zrobić coś takiego?

— By pokazać, że nie wolno lekceważyć krasnoludów, a poza tym słyszałem, że krasnoludom nie pozwalają pracować przy drodze żelaznej.

— Tego nie wiedziałem. To jawna dyskryminacja!

— Nie — rzekł ktoś. — Chodzi o to, że ci durnie zrąbują wieże sekarowe. Takie są efekty tych napadów. Nic dziwnego.

— Możliwe, ale na kolei zatrudniają mnóstwo trolli, a nawet gobliny. Poważnie, gobliny! Robactwo... A nas spychają na bok. Dolny król sprzedał duszę przeklętemu Vetinariemu i zanim się kto zorientuje, pociągną linię torów do Überwaldu, a nasze kopalnie zaroją się od śmierdzących goblinów... Chyba że zaczniemy się bronić!

— Zgadza się! Przeklęte gobliny! Wszędzie ich pełno!

Konwersację przerywały odgłosy żłopania i potem czyszczenia stołów.

— Żaden prawdziwy krasnolud i tak by się nie zatrudnił przy drodze żelaznej — stwierdził cichy głos, który na razie się nie przedstawił.

— Nie! Racja! Ja to bym w życiu przy tych pociągach nie pracował! To obrzydliwość! Trzeba ich powstrzymać!

— Kładą teraz tory z Ankh-Morpork do Quirmu. Jeśli im przeszkodzimy, to będzie ważny komunikat — tłumaczył głos z cienia.

Ktoś walnął pięścią o bar.

— Musimy im pokazać, że krasnoludy nie pozwolą sobie dłużej rozkazywać!

— Moglibyśmy rozbić te przeklęte wieże wodne i ukraść węgiel — zaproponował ktoś inny. — W ten sposób nikt nie ucierpi, ale będą musieli iść piechotą.

— To nie dosyć. Odbudują je i będą pracować dalej, jak to zrobili z sekarami. Musimy zrobić coś naprawdę dużego. Coś, czego nie będą mogli zlekceważyć.

Zabrzmiały odgłosy myślenia osobników, którzy nie myślą za wiele.

— Mówisz o zabijaniu ludzi? — zapytał ktoś niepewnie.

— No wiecie, musimy się postawić. A później, kiedy się o nas dowiedzą, będziemy bohaterami.

Wtedy barman, który miał tę grupkę na oku, oznajmił z naciskiem:

— Zamykamy, panowie. Nie macie jakichś dziur, żeby do nich wracać?

I wygonił ich na ulicę.

Twardziec odszedł spokojnie i pewnie. W końcu parę ulic dalej był inny krasnoludzi bar i trucizna nadal mogła się sączyć. Zadziwiające, jak łatwo mógł ludźmi manipulować właściwymi słowami we właściwym momencie. Potem nakręcali się już sami, z takimi frazami jak „to oczywiste” albo „coś planują”, niewielkimi kolcami na drodze do międzygatunkowego niezrozumienia.

\* \* \*

Kiedy tylko Moist wrócił do Ankh-Morpork, mniej więcej w porze śniadania, natychmiast udał się do domu Harry’ego Króla. Dziwnie było zobaczyć go jako... jako po prostu Harry’ego Króla, człowieka rodzinnego. Nosił nawet kraciaste kapcie.

Effie zaczęła popędzać służących, by podali więcej kawy, a Moist złożył meldunek jej mężowi.

— Mamy w Quirmie niejaki problem. Mówiąc bez ogródek, grupa nieprzyjemnych dżentelmenów staje na drodze sukcesu naszej kolei.

Wyjaśnił Harry’emu sytuację z prawami własności i dziedziczeniem, po czym dodał, że skoro rozległe tereny makii nie należą do nikogo, to należą do wszystkich, więc można tam spokojnie kłaść tory. Trzeba tylko rozwiązać drobną kwestię bandytów.

Mina Harry’ego z pewnością rozgrzałaby każde serce, zwłaszcza serce rekina. Moist właściwie nie musiał mówić nic więcej.

Jednak powiedział.

— Bardzo by pomogło, Harry, gdybym mógł tam wrócić którejś nocy, byle niedługo. Zabrałbym kilka twoich golemów i kilku... ludzi z ochrony, twoich wyspecjalizowanych techników, można powiedzieć. Dżentelmenów, którzy potrafią sprawnie rozwiązywać konflikty. Oczywiście, będzie mi potrzebny powóz.

Wyraz twarzy Harry’ego zmieniał się jak w kalejdoskopie.

— Ma pan coś przeciw temu, żebym też pojechał? — zapytał w końcu.

— Harry Królu! — wykrzyknęła Effie. — W twoim wieku nie będziesz już nic robił, tylko siedział w domu!

— Dajże spokój, kochanie, przecież pan tłumaczył, że to bandyci. Zajęcie się nimi to obowiązek uczciwego obywatela. Jestem przecież człowiekiem, który robi interesy, a to jest mój interes i muszę go dopilnować.

— Proszę cię, Harry! Nie zapominaj, jaką osiągnąłeś pozycję!

— Mężczyzna sam buduje swoją pozycję, Księżno. Tu chodzi o biznes. Załatwię tę sprawę i to będzie ostatni raz, zgoda?

— No dobrze... Ale proszę na niego uważać, panie Lipwig. Harry, słuchaj pana Lipwiga i rób, co ci powie, to bardzo rozsądny młody człowiek — tłumaczyła Effie. — Żeby mi tam nie było żadnego alkoholu i, panie Lipwig, niech pan pilnuje, żeby w nocy ciepło się przykrywał, chodzi o jego, no... pęcherz, rozumie pan. Nie jest już taki młody, jak mu się wydaje.

— To fakt, Effie! — ryknął Harry. — Ale teraz jestem gotów na wszystko! Zawiadomię moich chłopaków i golemy, panie Lipwig. Zobaczymy się jutro rano, punkt siódma.

\* \* \*

Moist już w domu wysłuchał opinii Adory Belle.

— To wariacki pomysł, oczywiście. Inaczej byś na niego nie wpadł, zgadza się?

— Prawdę mówiąc, skarbie, ten rajd był pomysłem Harry’ego — skłamał. — On chyba uważa, że to jego ostatnia wielka szarża. Musiał się namęczyć, żeby mnie zmusić do udziału, naprawdę, albo nie nazywam się Moist von Lipwig. Powinnaś zobaczyć wtedy jego minę...

— Owszem, nazywasz się Moist von Lipwig i nie możesz już się doczekać, co? Tak wyglądasz.

— Nie tak całkiem, ale to bezksiężycowa noc i chętnie zobaczę, jak Harry i jego kumple urządzają imprezę. Na pewno okaże się to pouczające. Oczywiście ty nic o tym nie wiesz, zgoda?

— O czym? — Twarz Adory Belle wyrażała całkowite niezrozumienie. — Tylko pamiętaj, Moist, gdyby doszło do walki, postaraj się wrócić w całości.

\* \* \*

Następnego ranka przed domem Harry’ego Króla czekały dwa duże powozy wyładowane jego kumplami. Moist zdziwił się, że Harry zdołał ich zebrać tak szybko; potem jednak pomyślał o wszystkim, co Harry robił w złych czasach, teraz czule wspominanych jako dobre. Właściwie to przecież nic dziwnego, że potrafił w jednej chwili zgromadzić małą armię, by rozstrzygnąć spór o to, do kogo należą ulice.

Wszyscy zachowywali się elegancko, prawie nikt nie pluł i nie przeklinał, ponieważ Księżna stała przy oknie, gotowa pomachać im na pożegnanie.

Przed odjazdem Harry wygłosił krótką przemowę.

— Sprawa jest taka, chłopcy: raczej nie zabijamy, chyba że nas spróbują zabić. To nie są nasze ulice, ale tamci to tak samo bandyci. Można powiedzieć, że dzięki nam świat stanie się lepszy dla porządnych ludzi, takich jak my. Musimy sprzątnąć bałagan, jakżeśmy to zawsze robili.

Moist przyglądał się twarzom współpracowników Harry’ego. Niektórzy mieli złote zęby, inni wcale nie mieli zębów, wszyscy jednak dyskretnie wyglądali na dżentelmenów, którzy wychodzą na świat po zmroku. A gdyby przyjrzeć się im wprawnym okiem, można by dostrzec, że tu i tam się wybrzuszają; któryś miał nawet skrzynkę na narzędzia i wyraz gorliwości na twarzy — najwyraźniej był człowiekiem, który nie uznaje półśrodków.

Harry wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie żadnego alkoholu, przynajmniej dopóki nie ruszą w drogę powrotną. Przez cały dzień podróż przebiegała więc dość spokojnie, a późnym popołudniem dotarli do granicy makii.

Teren przed nimi najwyraźniej nie nadawał się dla powozów, a droga zmieniła się w niewyraźną ścieżkę wśród suchych kolczastych krzaków. Harry nakazał woźnicom zatrzymać się w miejscu, gdzie konie mogły znaleźć trochę trawy i wodę. Swoich współpracowników wysłał na zwiad.

Moist nigdy jeszcze nie podróżował z tak cichymi ludźmi; zdawało się, że absorbują wszelkie dźwięki, kiedy bezgłośnie zeskakiwali z powozów i natychmiast wtapiali się w otoczenie.

Zadowoleni, że ten element mogą zostawić specjalistom, Harry i Moist przygotowali się na oczekiwanie.

\* \* \*

Noc była czarna, kiedy cała grupa przekradła się do granicy obozowiska bandytów. Znajdowali się teraz na groźnym pustkowiu quirmskiej makii, wśród gęstych ciernistych krzewów, które potrafiłyby zedrzeć ciało z kości. Był to prawdziwy ogród piekła, zwłaszcza po ciemku. Widzieli stąd nieregularne płomyki ognisk i słyszeli niewątpliwy odgłos wzmocnionego alkoholem chrapania.

Ci zbóje powinni się wstydzić, uznał Moist. Ani jednego wartownika!

Kiedy jego współpracownicy zajęli strategiczne pozycje dookoła, Harry cichym krokiem przeszedł na środek obozowiska.

— Dzień dobry, panowie! — zawołał. — Jesteśmy z Towarzystwa Ochrony Goblinów i wszyscy macie dwie minuty, żeby się stąd wynieść. Zrozumiano? No to ruszać się!

Jakiś bandyta wytoczył się z namiotu.

— Nie obchodzi nas, coście za jedni — rzucił szyderczo. — I możecie sobie to wepchnąć prosto w tyłek, monsieur.

— Świetnie — ucieszył się Harry. — Lubimy to wpychać, gdzie się da. Do roboty, chłopaki, tylko żeby żaden goblin nie ucierpiał, jasne?

Moist ostrożnie cofnął się o krok i patrzył. Harry zasugerował, że mordowanie ludzi nie znajduje się w dzisiejszej karcie dań, jednak i tak już po kilku minutach większa część bandytów albo leżała na ziemi, albo uciekała. To była wojna gangów, ale jeden gang nie miał żadnego wyczucia strategii. Ludzie Harry’ego byli metodyczni i chirurgicznie precyzyjni oraz bardzo, ale to bardzo profesjonalni; do pracy podchodzili z powagą, wręcz posępnie. Wykonywali swój zawód, starannie go wykonywali. Pochlebiali sobie, że przynajmniej dzisiaj są tymi dobrymi — doświadczenie, zdaniem Moista, praktycznie im nieznane.

Harry rozejrzał się po polu bitwy, by się upewnić, że nie zdarzyło się nic gorszego niż jakaś z rzadka złamana noga.

— Co planujesz z nimi zrobić? — zapytał Moist.

— Przekazać lokalnemu wymiarowi sprawiedliwości, jak wypada uczciwym obywatelom, którymi jesteśmy. Przypuszczam, że to będzie ten pański markiz.

— Dobry pomysł. Proponuję jednak zostawić jednego czy dwóch, żeby bandycka populacja usłyszała, co ich czeka, jeśli zdenerwują uczciwego obywatela.

— Może być — burknął Harry. — Ale najpierw wyślę chłopców na kilka... wycieczek po okolicy. Zobaczymy, czy uda się wykurzyć jeszcze jakichś. Czyny mówią głośniej niż słowa, panie Lipwig.

\* \* \*

Później tej samej nocy w château powitał ich markiz w szlafroku.

— Monsieur Lipwig, mon ami, cóż za niespodziewana hadość widzieć pana znowu tak phędko. I w towarzystwie.

Zanim Moist zdążył się odezwać, głos zabrał Harry.

— Mamy tu przesyłkę złoczyńców, którą chcemy panu przekazać, panie markizie. Domyślam się bowiem, że w tej okolicy to pan jest władzą.

Markiz z satysfakcją przyjrzał się więźniom.

— Widzę, że co najmniej dwóch ma na skhoniach odbite HARRY KRÓL. Czy to możliwe, że mam zaszczyt hozmawiać osobiście z sir Hahhym Khólem? Phoszę się nie dziwić. Moja żona wiele mi mówiła o Khólu Złotej Rzeki, w tym o jego słynnych piehścieniach. Witam serdecznie, monsieur, i mam nadzieję, że połączą nas wspólne intehesy. Czy mogę zaphoponować skhomny poczęstunek?

— Bardzo przepraszam, sir, ale co mamy zrobić z tymi tutaj? — zapytał współpracownik ze skrzynką na narzędzia.

— Wrzućcie ich do oubliette, gdybyście byli tak uprzejmi. Wyłowimy ich stamtąd prędzej czy później.

— A co to jest oubliette, sir? Coś w rodzaju wychodka?

— Tak! — Markiz się zaśmiał. — W tym przypadku myślę, że tak. Garçons od dłuższego czasu mocno nas uwiehali. Ale wydaje się, że ci tutaj nie sphawią więcej kłopotów.

\* \* \*

Kiedy Moist, Harry i wspólnicy o świcie wsiedli do powozów, by rozpocząć długą podróż do domu, wniesiono skrzynki piwa dla zwycięzców.

— Dobra robota, chłopcy! — zawołał Harry, otwierając butelkę. — Zrobiliście wszystko, czego od was oczekiwałem, a nawet więcej. Wiecie, że Harry Król jest człowiekiem hojnym. Z pewnością jeszcze będziemy razem pracować, możecie być pewni.

Rozsiadł się wygodnie, zapalił cygaro i wypuszczając dym, rozmawiał z tym czy innym kumplem o eskapadach, jakie prowadzili dawno temu, kiedy Straż Miejska była jedynie pośmiewiskiem.

\* \* \*

Adora Belle obudziła Moista koło czwartej po południu, przynosząc mu filiżankę herbaty. Kiedy popijał, żona poprawiła mu poduszki.

— No mów, jak wam poszło. W nocy nie obudziły mnie żadne wybuchy, co uważam za zjawisko pozytywne. Mam rację?

— Wiesz, nie była to masakra, ale też nie były to klapsy po pupie, o ile mogę to stwierdzić. Dobrzy faceci wygrali, dla danej wartości dobrego faceta. Wspólnicy Harry’ego Króla są bardzo żwawi jak na takich staruszków, a w dodatku przebiegli.

Położyła mu na kolanach tacę z jedzeniem.

— Podejrzewam, że śniadanie do łóżka nie wzbudza takiego samego dreszczyku emocji u pana Życie Bez Ryzyka Nie Jest Warte Przeżywania?

Moist nabił kiełbaskę na widelec.

— Jak dobrze mnie znasz, Igło. Ale do rzeczy. Podobno w makii żyją liczne gobliny, lecz ludzie w Quirmie nie odkryli jeszcze, jak mogą być przydatne, choć podobno produkują całkiem niezłe wino ze ślimaków. — Skrzywił się. — Będzie ci przeszkadzać, jeśli zabiorę tam z sobą Ze Zmierzchu Ciemność?

Żona wyraźnie się zdumiała.

— Nie sądziłam, że go lubisz.

— Wiesz, człowiek się przyzwyczaja, jak do grzyba. A na miejscu będzie wiele oszołomionych goblinów, więc pewnie chętnie zobaczą przyjazną twarz. — Zawahał się. — Jeśli można ją tak nazwać.

\* \* \*

W ciemności dalekiej od Moista praktycznie w każdym możliwym do wyobrażenia sensie, także metafizycznym, trwały rozważania w jaskini, która była paradoksalnie migotliwa i ciemna, jeśli obserwowana różnymi oczami. Oświetlała ją, o ile można to nazwać oświetleniem, pojedyncza świeca; płomyk jarzył się — jak mówi stare powiedzenie — tylko po to, by pokazać ciemność. Mimo to drżące światełko rozszczepiało się w prawdziwym stosie klejnotów, które — jeśli nawet dodać do siebie wszystkie smętne lśnienia — dawały o wiele mniej światła niż skromna łojowa świeca.

Było to, krótko mówiąc, światło ukryte przed światłem i miało powód, by się ukrywać. Tak samo jak nieszczęsny krasnolud, siedzący teraz niewygodnie na środku jaskini, miał powody, by chcieć być gdzie indziej. Gdzie indziej, myślał, to tylko robocze określenie; gdziekolwiek byłoby z pewnością lepszym miejscem niż to.

Z drugiej strony miał zobowiązanie religijne. Pierwszy raz usłyszał o nim na kolanach ojca, choć możliwe, że matki, ponieważ nigdy nie widział ich wyraźnie, a ich głosy zawsze wydawały się zduszone. Cisza była wśród gragów cnotą tak wielką jak ciemność, a kiedy przypomniał sobie ten niezaprzeczalny fakt, chciał już wyrwać się i uciekać; zatrzymał się po nanosekundzie, ponieważ nie miał gdzie się schować. Tkwił w tym zbyt wysoko[[[40]](#footnote-40)](#40_1). To nigdy nie jest dobre dla krasnoluda, a gragowie dokładnie go poznali.

Mówiło się, że mają wiele sposobów zabijania w ciemności, a nawet że znają sposoby przeskakiwania od ciemności do ciemności tak, że nie sięga ich światło między nimi. Och, tak wiele się o nich mówiło, chociaż zwykle tylko szeptem. A on uczynił wiele zła, na przykład jadł wołowinę, kupił żonie kolorowe kolczyki, a co najgorsze, zaprzyjaźnił się ze Skalnym Gruzem. Skalny Gruz był — zgroza absolutna! — trollem, ale też całkiem porządnym gościem, który często siadał obok, kiedy jechali do pracy, i który — podobnie jak on — kibicował Zjednoczonym z Sióstr Dolly. Zwykle chodzili razem na mecze, a przecież chyba każdy, kto kibicuje twojej drużynie, jest przyjacielem, prawda?

Jednak gdzieś w głębi umysłu przetrwał strach z dzieciństwa, delikatne szepty, zakrzepłe fragmenty dawnych pieśni śpiewanych przy specjalnych okazjach, drobne rytuały uczynione świętymi przez powtarzanie z odpowiednimi ludźmi siedzącymi przy tym samym ogniu w tamtych ciepłych dniach, kiedy był jeszcze za mały, żeby rozumieć, kiedy nie miał mózgu wypchanego tezami, w które zaczynał wątpić, na przykład o niepodawaniu ręki trollowi. A teraz był widziany, teraz go mieli, teraz stali między nim a szansą nowego życia po śmierci. Trzymali klucze do tamtego świata i dla kaprysu mogli skazać go na dryfowanie w ostatecznej ciemności Ginnungagap, gdzie były... stwory, oprawcy, kreatury o nieskończonej inwencji i cierpliwości.

Zmienił pozycję, gdyż zaczynały mu cierpnąć nogi.

— Proszę — powiedział. — Wiem, że zszedłem na błędne szlaki, zboczyłem ze ścieżki prawdy i... i rzeczywiście mogę być niegodny, by nazywać się krasnoludem. Ale jeśli tylko pozwolicie, postaram się to odpokutować. Błagam, zdejmijcie mi łańcuchy, a obiecuję, że uczynię wszystko, co każecie.

Cisza w grocie stała się gęściejsza, cięższa, jakby zbierała się w jedno. Jak długo już tu siedział? Równie dobrze mogły to być lata, jak sekundy. Na tym polegała trudność z ciemnością — obejmowała wszystko i zmieniała w bezkształtną substancję, w której wszystko było skręcone, przypomniane i zaraz zagubione.

— Dobrze — rzekł ktoś. — Zajrzeliśmy w twoją nędzną duszę i mamy zamiar dać ci jeszcze jedną szansę. Pamiętaj jednak, że innych już nie będzie. — Głos złagodniał nieco. — Tak patrzy na ciebie. Teraz możesz zjeść posiłek, który znajdziesz tuż przed sobą, odejść z tego miejsca i być pewnym, że Tak będzie z tobą. Pamiętaj: dla tych, co się odwracają, nie ma odkupienia. A kiedy Tak będzie cię potrzebował, ktoś znowu się z tobą skontaktuje.

\* \* \*

Po rzadkim i zasłużonym wieczorze z żoną rankiem następnego dnia Moist wyruszył w drogę na golemowym koniu. Ze Zmierzchu Ciemność siedział z tyłu za nim.

Kiedy tak galopowali, Moist po raz kolejny doszedł do wniosku, że coś w tej jeździe go niepokoi. Taki koń był niewiarygodnie użyteczny, jeśli człowiek musiał gdzieś dotrzeć szybko, o ile przy tym lubił takie podróże, w których przez większość czasu przekonywał się, że strzemiona niewiele pomagają. Trzymał się, jak mógł, aż dojechał do celu, i to właściwie tyle. Nie musiał kierować — słowna nawigacja wystarczała w zupełności: mówił dokąd, a koń tam jechał. Nie wydawał żadnego dźwięku, nie wymagał wody ani owsa, a nieużywany, zwyczajnie stał cierpliwie.

I wtedy do Moista dotarło, na czym polega problem. Koń tylko dawał i niczego nie brał. Ogólnie biorąc, Moist nie miał wiele do czynienia z koncepcją karmy, ale słyszał o niej i miał wrażenie, że w tej chwili na barki spada mu cała jej tona. Koń dawał, on brał... Przecież to bzdura, tłumaczył sobie. Taka łyżka na przykład... nie oczekuje, by mówić do niej „proszę” i „uprzejmie dziękuję”, prawda? No tak, myślał, ale łyżka to tylko kawałek metalu, a golemowy koń to koń.

Zawahał się, zadumany. I myślał: To dziwne...

Krótko przed granicą dotarli do krańca gotowego toru. On i goblin z ulgą zsunęli się na ziemię, a Moist pod wpływem nagłego impulsu zwrócił się do konia.

— Potrafisz mówić? — zapytał, czując się bardziej niż trochę śmieszny.

Odpowiedź dobiegła raczej z powietrza niż z pyska stwora.

— Tak, jeśli zechcę.

Goblin parsknął, ale Moist zignorował go i pytał dalej:

— Aha, do czegoś dochodzimy. Czy chciałbyś biegać po łąkach, ogólnie brykać na pastwiskach i tak dalej?

Znikąd napłynęły słowa:

— Tak, jeśli sobie życzysz.

— Ale czego ty sam sobie życzysz?

— Nie rozumiem tego terminu.

Moist westchnął.

— Niedaleko stąd mijaliśmy nieduży strumień i jakieś zielone pastwiska. Dla spokoju mojej duszy chciałbym, żebyś tam wrócił, pogalopował po łąkach i generalnie się dobrze bawił.

— Tak, będę się dobrze bawił, jeśli sobie życzysz.

— Wielkie nieba, mówimy tu o twoim wyzwoleniu!

— W tym przypadku rozsiodłaniu, sir.

— Zrób to dla mnie, dobrze? Potarzaj się w kwiatach, trochę rżyj, trochę galopuj i ogólnie się baw. Jeśli nie dla twojej przyjemności, to dla mojego zdrowia psychicznego. Proszę.

Patrzył, jak koń znika na łące.

Za jego plecami zachichotał Ze Zmierzchu Ciemność.

— Ależ pan dziwak, panie Nieco Wilgotny. Uwalnia niewolników i w ogóle. Co na to jego lordowska mość?

Moist wzruszył ramionami.

— Może być zgryźliwy, lecz trochę zgryźliwości nie jest takie złe. Bardzo popiera wolność, Vetinari znaczy, choć niekoniecznie moją.

Moist spojrzał na tory. Z satysfakcją stwierdził, że brygady robocze, kierowane przez młodych ludzi Dicka Simnela, czynią stałe postępy na kolejnych etapach szlaku do Quirmu.

W dalszą podróż Moist i Ze Zmierzchu Ciemność zabrali się drezyną prowadzoną z entuzjazmem przez dwóch młodych robotników kolejowych. Była to zabawna konstrukcja, jej koła toczyły się po świeżo położonych torach, czekających jeszcze na trwałe zamocowanie do podkładów. Przekroczyli granicę, zatrzymując się tylko na chwilę, by dopełnić formalności — które tak naprawdę ograniczały się do skinięcia głową i spytania:

— Nie macie nic przeciw, chłopcy, żebyśmy przejechali?

Na to tamci przestali okopywać zagony w swoich ogródkach i machnęli, by jechać.

Kiedy drezyna dotarła do końca szlaku, zobaczyli staruszka z koniem i wozem. Czekał na nich, tak jak uzgodnili, i zabrał w ostatni etap drogi do château. Wyraźnie nie był zachwycony goblinem w jego czystym i eleganckim pojeździe, nawet jeśli był to tylko zwykły wóz.

Markiz czekał na nich w château i uśmiechnął się promiennie do Moista. Zmarszczył nos na widok jego towarzysza.

— Kto to jest? — zapytał tonem wytwornej damy, która znajduje w zupie połówkę czegoś włochatego.

— To Ze Zmierzchu Ciemność.

Ze Zmierzchu Ciemność zasalutował markizowi sprężyście.

— Ze Zmierzchu Ciemność, panie mar-kiii. Ładny ma pan tu dom. Barrrdzooo ładny. Pan się nie martwi o zapach, przyzwyczaję się jakoś.

Po krępującej chwili ciszy markiz westchnął:

— Mon Dieu...

— Nie bóg, panie mar-kiii — zaprotestował Ze Zmierzchu Ciemność. — Zwykły goblin, choć najlepszy, jaki jest, o tak. Użyteczny, wie pan. — Goblin mówił dalej z wyraźnym sarkazmem. — I nie tylko, panie mar-kiii. Jestem prawdziwy. Jeśli mnie pan skaleczy, czy nie będę krwawił? Ale jak pan spróbuje, to też dziabnę, bez urazy.

Śmiech markiza odbił się echem po okolicy. Nie było żadnych wątpliwości, goblin potrafił przełamywać lody. A nawet rozbijać góry lodowe.

Markiz wyciągnął rękę.

— Enchanté, monsieur Ze Zmierzchu Ciemność. Pije pan wino?

Goblin się zawahał.

— A są w nim ślimaki?

Wspinali się już schodami na taras, kiedy markiz odpowiedział:

— Niestety, nie dołączamy ślimaków. Wiem, że pańscy hodacy lubią ślimakowe wino, ale obawiam się, że nie mogę takiego zaphoponować.

— Mniejsza z tym, wezmę, co dadzą, poproszę. Ale muszę zaznaczyć — to nie są moi rodacy, to są pana rodacy. Ja jestem chłopak z Ankh-Morpork. Widziałem wielkiego konia[[[41]](#footnote-41)](#41_1) i w ogóle.

Opadające nad makią popołudniowe słońce wyglądało przepięknie.

— Wielu macie goblinów w Ankh-Mohpohk, panie Lipwig? — zapytał markiz, nalewając Moistowi chłodnego wina. — Słyszałem oczywiście o słynnym tyglu milohda Vetinahiego. A jednak dociehają tu infohmacje, że wielu ludzi w Ankh-Mohpohk nadal czuje się w tym względzie dość niepewnie i uważa, że kto się zadaje z goblinami, ten jest bhudny. To tyle o uprzedzeniach pańskich hodaków, którzy zhesztą, trzeba to jasno powiedzieć, i tak są haczej bhudasami. Podczas gdy tutaj, w Quihmie, notre logique wskazuje, że jesteśmy czyściejsi. Przecież Quihm jest ojczyzną monsieur Bideta, twóhcy kolejnego apahatu do utrzymywania czystości. A jednak to wy w Ankh-Mohpohk szydzicie z nas, że jesteśmy bhudni.

— Tak, wiem, że to godne ubolewania — zgodził się Moist. — Spotkałem monsieur Bideta, choć niestety nie uścisnąłem mu ręki. Przepraszam, czy coś się stało?

Markiz był wyraźnie zaabsorbowany.

— Ktoś obsehwował nas z tamtego drzewa. I chyba mówiłem za głośno, bo kimkolwiek był, szybko zeskoczył i ukhył się na ziemi. Był mały, ale większy od goblina, zhesztą rzadko się je widuje na drzewach.

Wyczuli podmuch, gdy Ze Zmierzchu Ciemność przeskoczył przez parapet i zniknął w dole. Wrócił niemal tak samo szybko.

— Krasnoludzi łobuz — powiedział. — Wziął nogi za pas. Pluję na niego.

Markiz dolał Moistowi wina.

— Khasnolud? Ma to jakiś związek z panem, panie Lipwig? Szpiegostwo przemysłowe? Można się spodziewać, że khasnoludy zaintehesują się dhogą żelazną. W końcu phacują w metalu i handlują hudą.

— Raczej nie — odparł Moist. — Sekary miały trochę kłopotów parę miesięcy temu, kiedy ekstremistyczne frakcje wśród krasnoludów atakowały wieże, ale sytuacja się chyba uspokoiła. Poza tym niewiele krasnoludów stara się o pracę na kolei. Podejrzewam, że to sprawka gragów. Gragowie nie lubią nikogo, kto się liczy w Ankh-Morpork.

— Ach tak... No a słynny thaktat z Doliny Koom? Myślałem, że te sphawy są załatwione.

— Wszyscy tak myśleli. Ale wie pan, jak to jest, nie można zadowolić wszystkich. No i absolutnie nie można zadowolić gragów, choćby się człowiek bardzo starał.

Odświeżeni Ze Zmierzchu Ciemność i Moist ruszyli w makię szukać mieszkających tam goblinów. Nawet jeśli formalnie nie były właścicielami terenów, przez które miały biec tory, należało się z nimi skonsultować. Jako dzicy lokatorzy ziemi niczyjej, myślał Moist, mają jednak do niej jakieś prawa.

A kiedy zagłębiali się w porośnięty cierniowymi krzewami pejzaż, Moist zastanawiał się nad znaczeniem niedawnego incydentu. Krasnolud obserwował go tutaj, w Quirmie, gdzie normalnie się krasnoludów nie spotyka. A zatem Moist był śledzony, prawdopodobnie przez więcej niż jedną osobę. W okresie swej zmarnowanej młodości oraz — nie precyzując przesadnie — w dużej mierze zmarnowanego wczesnego wieku średniego zdążył się zapoznać z metodologią szpiegowania. Wiedział, że jedna osoba nie potrafi zagwarantować skutecznego śledzenia celu.

Co tu robił ten krasnolud? Skąd się wziął? A co ważniejsze, gdzie się podział?

Z zadumy wyrwał go Ze Zmierzchu Ciemność, który zatrzymał się nagle przy wystającej skale, zdaniem Moista niczym się nieróżniącej od kilku innych, jakie minęli wcześniej. Było gorąco. Bardzo gorąco.

— Czekać tu — powiedział goblin. — Wracam raz-dwa.

W rzeczywistości minęła kolejna upalna godzina i słońce zaczęło już opadać do horyzontu, kiedy Ze Zmierzchu Ciemność wrócił, prowadząc wielką grupę quirmskich goblinów; ich liczba rosła bez przerwy, gdyż kolejne wynurzały się z krzaków.

Jeśli chodzi o wygląd, quirmskie gobliny wyglądały całkiem tak samo jak te zza ankhmorporskiej granicy. Jednakże, w przeciwieństwie do goblinów z Ankh-Morpork, tutejsze ubierały się nieco ekstrawagancko. Miały pewien styl, inaczej niż ich ankhmorporscy pobratymcy, oraz lekki zapach czegoś... prawdopodobnie eau de ślimak[[[42]](#footnote-42)](#42_1). Oczywiście użyte materiały były takie same: kawałki zwierząt czy wręcz same zwierzęta, ptaki, pióra... a wszystko upiększone błyszczącymi kamykami. Robiło to wrażenie, jakby gobliny odkryły taksydermię, jednak nie do końca pojęły jej ważny, nawet kluczowy element usuwania najpierw wszystkich obrzydliwych kawałków. Ale oczywiście potrafiły stworzyć własną haute couture.

Moist przyglądał im się z uśmiechem. Widział, że tu, w Quirmie, gobliny starały się wypadać lepiej — stosowały rozkołysany krok lepszej klasy i miały w oczach pewną zaczepność, spojrzenie mówiące: spadaj.

Mimo to wyglądały jak ludzie ciężko wykuwani na kowadłach losu i zalaminowani naturalną brawurą, która jednak nie całkiem skrywała ich rany.

Moist był zadowolony, że ma po swojej stronie Ze Zmierzchu Ciemność, ponieważ gobliny z tej części makii wyraźnie za ludzkością nie przepadały.

Ze Zmierzchu Ciemność zbliżył się do niego na krzywych nogach.

— Ci ludzie cierpią, bo źle jest. Ludzie zginęli. Młode zginęły. Urny zginęły. Nie ma. Ale trzymają fason, tak jest. Nie mogą już być prawdziwe gobliny. Cierpią, cierpią. Teraz przemówię. — Okazał się goblinim odpowiednikiem samego Moista.

Moist nie znał gobliniego zbyt dobrze, ale też nie musiał wiedzieć, jakie padają słowa, kiedy widział twarze słuchaczy i to, w jaki sposób Ze Zmierzchu Ciemność wymachuje rękami. Trzeba przyznać, że robił dobre przedstawienie. Zapewne przemowa była w stylu: „Nowe życie w Ankh-Morpork, z tyloma szczurami, ile zechcecie, plus do tego wypłata”. Niemal było widać, jak w powietrzu latają idee i obietnice.

Moist był tak pewien, że wie, co się dzieje, że pochylił się i wtrącił:

— Nie zapomnij powiedzieć, że w Ankh-Morpork gobliny są teraz obywatelami i mają prawa.

Z najwyższą satysfakcją zobaczył, że goblin przerywa i ogląda się na niego zdziwiony.

— Skąd pan wie, że mówiłem o Ankh-Morpork, panie Lipwig?

— Znam się na takich występach.

Ze Zmierzchu Ciemność przemawiał dalej, a gobliny przyglądały się Moistowi. W ogólnej klasyfikacji spojrzeń te nie były wrogie czy gniewne, ale raczej... pełne nadziei, w tym ostrożnym stylu ludzi, którzy musieli nauczyć się pesymizmu jako taktyki przetrwania.

Po chwili jeden z goblinów wystąpił i skinął na niego, wyraźnie chcąc mu coś pokazać. Ze Zmierzchu Ciemność także go lekko popychał, więc Moist ruszył z nimi, ostrożnie stawiając kroki w plątaninie trudno widocznych ścieżek wśród cierniowych gąszczy, między cuchnącymi sadzawkami, mijając czasem tarasujące drogę przewrócone głazy. Po chwili zauważył, że coś chrzęści mu pod stopami. Kości, uświadomił sobie — mnóstwo kości, w większości bardzo małych. A w uszach zabrzmiały mu słowa Ze Zmierzchu Ciemność:

— Młode gobliny! Baaardzo smaczne! Dużo dobrego jedzenia. Bandyci tak uważali. Ale trzymamy, panie Lipwig, trzymamy. Się trzymamy.

Zgroza sączyła się lodowato wzdłuż pleców Moista.

— Tamci bandyci głodni — tłumaczył dalej Ze Zmierzchu Ciemność. — Małe gobliny. Łatwo złapać.

— Chcesz powiedzieć, że oni zjadali gobliny?!

Ze Zmierzchu Ciemność wyczuł niedowierzanie i wściekłość w tych słowach.

— Pewno. Łatwe mięso. Bandyci jedli wszystko, co złapali. Szczury, krety, ryjówki. Ptaki, nawet takie śmierdzące jak kruki. Zjadali je. Mniam, mniam. Zostawiali paskudne trujące świństwa. Mięso goblina jak kurczak. Może to nie cud natury, ale goblin nie pożył, kiedy tu byli bandyci. Oni nie chcą dużo, panie Lipwig, i dobrze, bo nie dostaną. Ale jak ja mogą robić każdą robotę na powietrzu. Chcą miejsca do życia, gdzie ich nie zabijają. Tak! I świetnie. I nie trzeba jedzenia w Ankh-Morpork. Wielkie Wahoonie! Wszędzie szczury!

— No dobra, panie Zmierzch. I co dalej?

Goblin rzucił Moistowi cyniczne spojrzenie, co dla goblina jest wyjątkowo łatwe, jako że uczą się cynizmu bardzo wcześnie. I uczą się szybko.

— Dałeś mi pół imienia, panie Wilgoć. Wybaczam, mam litość. Tym razem. Ale proszę, nie rób tak więcej. To ważne. Pół imienia to hańba. Wyzwanie do walki. Wiem, że zawsze w pośpiechu. Bez zrozumienia. Wybaczę. Wybaczę jeden raz... panie Lipwig! To przyjazne ostrzeżenie. Całkiem za darmo.

Jakkolwiek oceniać Moista, dobrze wiedział, jak może podziałać właściwe słowo we właściwej chwili.

— Panie Ze Zmierzchu Ciemność — rzekł — jestem głęboko wdzięczny za pańską wyrozumiałość.

Zaczął padać lepki, drobny deszczyk, ale zdawało się, że gobliny nie zwracają na niego uwagi. Są chyba najbardziej stoiccy ze stoików, uznał Moist, choć w ogonach skrywają żądła. Ciekawe, jacy będą, gdy postanowią — a kiedyś postanowią — już nie przyjmować wszystkich ciosów na swe brudne podbródki.

Ze Zmierzchu Ciemność znowu uśmiechnął się do Moista.

— Hej, pan jest wielki bohater, potężny wojownik, ha... te głupie prostaki naprawdę myślą, że jesteś pan najlepszy, myślą, że słońce świeci z tyłka.

Moist uświadomił sobie, że prezentacja dobrodziejstw Ankh-Morpork i jego pozycji w mieście, jaką przedstawił goblinom Ze Zmierzchu Ciemność, mogła być nieco przesadzona.

— Co powiedziałeś, że tak pomyśleli?

— Goblinom trzeba nadziei, panie Lipwig. Pan nie jest prawdziwym dobrym facetem, ale umiesz udawać jak mało co. Wytłumaczyłem im, że jesteś wielki obywatel Ankh-Morpork i straszny wojownik.

— No tak — mruknął Moist. — Przynajmniej w jednym się nie pomyliłeś. Ale z pewnością wystraszyliśmy bandytów. Gobliny mogą tu zostać, prawda? Znajdą pracę przy torach, kiedy będziemy je tędy prowadzić. Będą zadowolone...

— Bandyci wrócą z czasem. Zawsze są bandyci. Te gobliny nie latają, panie Nasiąknięty. Daleko stąd do linii z Ankh-Morpork. Liczą na pana, żeby ich stąd zabrać. Nie spadłem ze strzeżeniowiedźmowego drzewka. Pan nie ma noża, noc nadchodzi, a jesteśmy ciągle w makii. Gorsze tu rzeczy niż bandyci! Bardzo gorsze! Wszystko złe trafia do makii, a pan ciągle nie ma broni. Jakie rozkazy, ważny człowieku?

Moist się wahał. Miał wyczucie w takich sprawach, był tego pewien. Prawie nigdy jeszcze go nie zawiodło.

— No dobra. Zabierzemy je z sobą. Ale najpierw musisz nas stąd wyprowadzić.

— Nie. To wspaniały von Lipwig wyprowadzi stąd ludzi. Dzielny goblini partner będzie zamykać tyły.

— Poważnie? No dobrze. Tylko ustaw mnie we właściwym kierunku.

\* \* \*

Był tam swego rodzaju szlak i miriady ścieżynek odbiegających we wszystkie strony. Ze Zmierzchu Ciemność dyskretnie kierował od tyłu Moistem i jego nieszczęśliwą, ale pełną nadziei grupą. Goblin stawał się znakomitym pomocnikiem, mimo że bezczelnie uważał Moista za głupka. Ale użytecznego głupka, mimo wszystko.

Wolno zmierzali do tego, co przy sporej dawce dobrej woli można by nazwać właściwym traktem. Moist wiedział, że choć kluczową rolę w wyzwoleniu goblinów odegrał komendant Vimes, to on, Moist, może dać im pracę. Bo przecież nie ma takiego zawodu jak „goblin”, prawda? To by nie miało sensu. A jednak, gdyby istniały profesjonalne gobliny, z pewnością należałby do nich Ze Zmierzchu Ciemność — był tak goblini, że pewnie inne nawet gobliny klepały się wzajemnie po ramionach i mówiły: „Niech mnie... Popatrz na tego goblina! Goblinio wygląda, przyznasz”.

Ale praca popycha sprawy, popycha ludzi, zwiększa ich poczucie własnej wartości, szacunek do samych siebie. Gobliny, poza tym, że były wszechobecne w sekarach, zarabiały też spore pieniądze w przemyśle ceramicznym. Goblinie urny były piękne, niezwykle delikatne i mieniły się kolorami jak skrzydła motyli[[[43]](#footnote-43)](#43_1).

Ze Zmierzchu Ciemność wyrwał Moista z zamyślenia.

— Te biedne herberty za nami myślą, że powinien pan wiedzieć. Krasnoludy o pana pytały, jak ten schowany na drzewie, co go widziałem. Te chciwe dranie wolą się wynieść, jak trzeba. Nie lubią dobrego krzemiennego ostrza. Ale ciągle ich paru zostało. Pewnie czekają, aż wrócimy do torów. Dobre miejsce na zasadzkę.

Moist zwykle bardzo się starał nie angażować w bezpośrednie starcia. Słowa były jego bronią, ale w sytuacjach krańcowych, gdy słowa nie wystarczały, potrafił zadawać solidne ciosy pięściami i stopami. W tej chwili zastanawiał się, czy nie zacząć dyskretnie powłóczyć rzeczonymi stopami, by w razie ataku otaczała go grupa goblinów. One przecież miały kamienną broń, prawda? A on nie, prawda? A ducha walki wysysały z mlekiem matki, o ile ich matki miały mleko[[[44]](#footnote-44)](#44_1).

Szli czujnie przez coraz głębszy mrok, tak cicho, jak tylko potrafili. Nawet goblinie dzieciaki zachowywały się cicho, idąc ku ziemi obiecanej. Minęli okolice château i poszli dalej przez las, w stronę torów. Chwilę później przy łokciu Moista żwir zachrzęścił cicho pod stopami Ze Zmierzchu Ciemność.

— Posłałem naprzód paru szybkich chłopaków. Coś jest nie w porządku przy stacji. Nie mogli podejść blisko, ale mówią, że co najmniej dziesięciu krasnoludów czai się tam w lesie, może więcej. Słychać, jak dzwonią. Starają się ruszać skrycie, ale krasnoludy nie mają bladego pojęcia o skrytości. Dla nich to zawsze młoty i obcęgi. Możemy spróbować ich obejść... Ale dranie mogą próbować nas obejść równocześnie. Najlepiej, moim zdaniem, załatwić straszydła dzisiaj, zgadza się? Nie ma obawy, niektórzy z tych homarów wiedzą, jak walczyć, i są dumni, że pan ich prowadzi... prowadzi, tak?

To nie było pytanie, ale żądanie. Moist był przerażająco świadom, że cała grupa uciekinierów stłoczyła się wokół niego, widział ich mało sympatyczne twarze pełne wyczekiwania i rozmaitych resztek pożywienia. Były wśród nich maluchy, niektóre jeszcze na rękach. Moist wyczuwał nacisk ich nadziei i zdawał sobie sprawę, że niestety jest nieuzasadniona. Nie był przywódcą, jak komendant Vimes. Ale co by zrobił Ze Zmierzchu Ciemność, gdyby Moist zwyczajnie uciekł? Na pewno prześcignąłby wszystkie krasnoludy i zdołał wrócić do château... Tylko czy prześcignąłby goblina?

Zadrżał i zepchnął tę myśl w głąb umysłu. Podeszła do niego drobna goblinia kobieta.

— Idź do bitwy z kubek herbaty! — powiedziała. — Specjalna goblinia herbata! Dobra dla ciebie. Gotowana w owczy pęcherz. Znakomita, kiedy zawsze trzeba uciekać. Ma zioła. Ty pij. Pij zaraz! Nic lepszego od kubek herbaty. Medyczna jest!

Ze Zmierzchu Ciemność wręczył Moistowi dużą goblinią maczugę.

— Wiele, wiele sposobów, żeby dzisiaj zginąć — powiedział z zabójczym humorem. — Wierz starej goblince, to jedna z najlepszych. Wiś! Wiś razem!

Moist zrozumiał końcową ryzykowną sugestię. Było to tradycyjne goblinie pozdrowienie: Wiś razem albo wiś oddzielnie.

Pociągnął solidny łyk zimnej herbaty; miała nieszkodliwy posmak orzechów i soupçon wełny. Spodziewał się, że albo się otruje, albo będzie wymiotował. Tymczasem napój okazał się... przyjemny i całkiem pożywny. Jeśli były w nim ślimaki, jak w winie, to cóż, viva escargot! Choć był przekonany, że tajemniczym składnikiem jest pewnie avec.

Napój działał, bo po kilku chwilach Moist poczuł, że jest gotów na wszystko, pełen energii, a może pełen avec. Dlaczego, na wszystkich bogów, tak się obawiał, skoro nie było nic, czego mógłby się obawiać, wielkie nieba, absolutnie nic!

Ten radosny stan ducha trwał do chwili, kiedy zobaczyli na końcu torów czerwone światła jarzące się niczym latarnie morskie wśród ciemnego lasu. Zostawili za sobą najstarsze gobliny z gałązkami[[[45]](#footnote-45)](#45_1) ukryte wśród poszycia, jak tylko gobliny potrafią się ukrywać. Potem Moist z resztą ruszyli cicho dalej.

Młodzi ludzie z brygady roboczej wznieśli dla siebie osłonięte plandekami przytulne szałasy. Łatwo było je przenosić, a przyjazna twarz mogła tam zawsze liczyć na gorącą herbatę, choć zamieszaną kluczem do śrub, oczywiście. Jeśli w okolicy nie krążyli gajowi, potrawka z królika i dzikie avec także bywało dostępne jako posiłek al fresco.

Rzeczywiście, bulgoczący w żarze ogniska kociołek z potrawką pachniał smaczniej od wszystkich, jakie Moist pamiętał. Spodziewał się, że spotka znów młodych chłopaków, których widział ledwie dziś rano, szykujących się na spoczynek po dniu pracy. Nie spodziewał się, że zobaczy trupy... a właśnie trupy znalazł. W blasku ogniska i bladym świetle latarni widział, że robotnicy mieli wiele narzędzi, których mogliby skutecznie użyć jako broni. Jednakże wyraźnie zostali zaskoczeni. Starcie było straszne i z pewnością je przegrali. Szybki rachunek części ciała wykazał, że było ich dziewięciu. Zostali zamordowani, kiedy jedli kolację przed szałasem.

Ze Zmierzchu Ciemność podbiegł natychmiast i zaczął obwąchiwać ciała.

— Przeklęte krasnoludy tu były, tak, wyczuwam tych paaaskudnych drani! Ale niektórzy dalej tu są — dodał szybko, zniżając głos do szeptu. — Chowają się w lesie... — niuch... — o tam... — niuch... — kilku, jeden ranny.

Paciorkowate oczy goblina migotały, a Moist... Moist nagle miał wrażenie, że stoi w ogniu.

— Proszę — wykrztusił. — Powiedz mi, jak jest po gobliniemu „Do ataku!”?

\* \* \*

Później, o wiele później, Moist pamiętał, że słyszał, jak goblin wymawia przynajmniej początek tego słowa, a potem cały świat wypełnił się czerwoną mgłą i krzykami. Czuł, że ręce i nogi wykonują swoją straszną robotę, zwłaszcza ręce, i słyszał dźwięki, nieprzyjemne dźwięki, trzaski i mlaśnięcia, ale powracały jako oderwane fragmenty wspomnień, tak samo jak krzyki... Małe pakiety pamięci, kołyszące się jak bąbelki w butelce domowego piwa imbirowego, pojawiały się i znikały, nigdy nie pozostając tak długo, by cokolwiek oznaczać. Ale odpływały stopniowo i kiedy odzyskał to, co pozostało z jego zmysłów, leżał oparty plecami o drzewo.

Ognisko robotników rozpalono na nowo i ku oszołomionemu zdumieniu Moista na horyzoncie pojawiły się oznaki świtu — choć przecież byli tutaj ledwie parę minut... Ze Zmierzchu Ciemność siedział na kłodzie drewna i palił fajkę, a od czasu do czasu wydmuchiwał w ciemnoniebieskie niebo kółka z dymu. Była to scena, jaką chciałby uwiecznić malarz, gdyby nie musiał malować jej w różnych odcieniach krwi, z użyciem kilku tubek posoki i trochę tej farby, jaka używana jest do flaków. Wspomnienia Moista z tej nocy od tej chwili były zasłane trupami.

— No, czarny koń z pana, panie Cieknący! — Goblin wyszczerzył zęby. — Kto by pomyślał? Powiem panu: nie będzie pan potem żałował. Walczył pan jak mężczyzna. Prawie jak goblin. Trzech! Liczyłem. No, raczej kawałki liczyłem i tak mi wyszło, ale trzech krasnoludzich szturmowców powalonych jak kręgle! Dwaj nosili świetne mikrokolczugowe zbroje, klasy skrytobójców, warte majątek. Łupy. Proszę, niech pan to weźmie na pamiątkę, pokazać pani Adorze Belle. Dobrze wygląda nad kominkiem.

Goblin rzucił mu coś, co Moist uznał początkowo za kawał drewna, a co okazało się głową krasnoluda wciąż tkwiącą wewnątrz hełmu.

— Bardzo dobrze! Wyrzuć to z siebie! Wypuść, i jeszcze raz. I znowu! Dobrze czyści wnętrzności, bardzo pomaga! Lepiej na zewnątrz niż w środku!

Moist podniósł się chwiejnie i powiedział poprzez wiry mgły:

— Nie mogłem zabić trzech krasnoludów! Nie jestem wojownikiem! Nigdy! Można sobie tym całkiem zniszczyć buty.

— Krasnoludy pewnie by się nie zgodziły. Ja też, zaznaczam, okazałem temu tam nieco gobliniej dezaprobaty, jak by pan powiedział. Zwłaszcza kiedy rzuciłem go na ziemię. Prawie cały czas każdy trzymał się od pana z daleka, na wszelki wypadek. Był pan ciut... bezładny, o taaak. Ale nikt nie doznał szkody.

— Nikt nie doznał szkody? — jęknął Moist. — Właśnie zabiłem trzy krasnoludy! Przyznasz chyba, że można to uznać za niejaką szkodę.

— Była uczciwa walka, panie Nieco Wilgotny. Jeden przeciwko wielu, jak w najlepszych opowieściach. Mówiłem już, większość naszych chłopców właziła na drzewa, żeby przed panem uciec. A nie jest z pana wojownik. Pan powiedział, wszyscy słyszeli.

— To przez ten napój! Na pewno przez to! Wlałeś we mnie jakiś goblini zajzajer! Kto wie, co to ze mną zrobiło!

— Ja? — Ze Zmierzchu Ciemność próbował wyglądać na urażonego. — Ja tylko ratowałem panu życie, żeby znów pan mógł zobaczyć swoją miłą damę, zawsze dobrą dla goblinów. Niech pan wierzy, panie Namokły, że ten napój otworzył tylko to, co już tam było.

— A co tam było, jeśli wolno spytać?

— Wściekłość, panie Kapiący. Spuścił pan coś ze smyczy. Teraz może pan nam pomóc sprzątnąć ten krwawy bałagan i zabrać nas stąd.

Moist spojrzał na to, co pozostało z robotników kolejowych, którzy wykonywali tylko swoją pracę i dla nikogo nie stanowili zagrożenia. Prości ludzie, którzy nie interesowali się polityką, mieli żony i dzieci, a teraz leżeli martwi z powodu zatargu, z którym nie mieli nic wspólnego. Wściekłość wezbrała w nim znowu, niemal uniosła go w powietrze. Nie zasłużyli na to, tak samo jak gobliny, których martwe ciała zauważył tu i tam na polu bitwy.

Ze Zmierzchu Ciemność przyglądał mu się przez chwilę.

— Zadziwiające, czego się uczymy. Że gobliny mogą być ludźmi, a pan, panie Wilgotny, ma serce i płacze z powodu śmierci ludzi, których nie zna. Świat jest pełen cudów. Może jeszcze zobaczę, jak pan śpiewa w chórze.

W szarym świetle poranka Moist patrzył na wyszczerzonego goblina tak paskudnego, jak cokolwiek w tej książeczce z obrazkami, co miało dawać dzieciom wszystkie konieczne koszmary. A jednak ten goblin udzielał mu lekcji moralności...

— Kim jesteś? — zapytał. — Słucham cię od wielu dni. Wyglądasz jak goblin, nie ma wątpliwości, lecz od czasu do czasu mówisz coś takiego, czego bym się po goblinie nie spodziewał. Bez urazy, ale mądrala z ciebie.

Goblin ponownie zapalił fajkę, z którą wydawał się jakby bardziej ludzki.

— Mówi pan, że gobliny nigdy mądre? — rzekł powoli. — Gobliny nigdy mężne? Gobliny nigdy się nie uczą? Ja świetny uczeń. Stałem się wszystkim dla wszystkich ludzi i wszystkich goblinów.

Moist spojrzał na niewielki stosik mikrokolczug. To był prawdziwy skarb: lekkie, mocne, łatwe w noszeniu. I warte fortunę. Leżały teraz w wilgotnej trawie.

Spojrzał goblinowi w oczy.

— To pana, panie Lipwig. Łupy należne zwycięzcy — oświadczył pogodnie Ze Zmierzchu Ciemność.

— Nie. Niech je sobie zabiorą. — Moist wskazał quirmskie gobliny.

— Nie potrzebują. Niech pan zabierze zdobycz. Nie wiadomo, kiedy się przyda.

Moist spojrzał na to, co pozostało z krasnoludzich napastników. Gdzie jest pan Chriek, kiedy jest potrzebny? — pomyślał. A ta myśl wzbudziła kolejną: Niezbędny jest wiarygodny świadek.

Poprosił Ze Zmierzchu Ciemność, żeby sprowadził tu markiza albo kogoś z jego ludzi z château, z ikonografem, jeśli taki mają.

— Musimy dopilnować, żeby ludzie się o tym dowiedzieli.

\* \* \*

Markiz z orszakiem wytrzeszczających oczy służących obejrzał teren, kilka razy krzyknął ze zgrozy, dopilnował wykonania ikonogramów, po czym wrócił do château, obiecując natychmiast przesłać wiadomość sekarem. Wtedy można było zająć się dochowaniem należnych form.

Zamordowanych robotników i gobliny, które padły w bitwie, delikatnie i z szacunkiem umieszczono na drezynie. Kilka goblinów zniknęło w okolicy i powróciło z polnymi kwiatami, by złożyć je na ciałach. Był to jeden z tych drobnych rytuałów, które z wolna zmieniały wizję świata Moista — gobliny wierzące, że polegli spłacili swoje długi wobec losu.

Kiedy smutna ceremonia dobiegła końca, gobliny zajęły miejsca przy dźwigniach drezyny, a pojazd z całą ich grupą, Moistem i ponurym ładunkiem ruszył wolno po torach do granicy. Moist umówił się ze strażnikami granicznymi, że ciała zostaną okryte całunami i złożone w chłodnym miejscu do czasu, gdy ktoś po nie przyjedzie.

Jeden ze strażników był oburzony, że martwe gobliny leżą obok ciał tych, których nazwał „prawdziwymi ludźmi”. W rezultacie Moist odbył z nim dość ostrą rozmowę, po której strażnik stał się człowiekiem o wiele lepiej zorientowanym w świecie, choć trochę krwawiącym z nosa. Wspomnienie tak wielu małych kostek było zbyt świeże, by zostać zapomniane — a może trochę napoju wciąż jeszcze działało w żołądku Moista. Taki to już był dzień.

Obok quirmskiej rogatki Moist zauważył szyld ogłaszający światu, że stoi tu słynny lokal U Grubej Marie. Nie było żadnych wątpliwości, dlaczego właścicielka wymyśliła taką nazwę; jak większość przydrożnych jadłodajni, serwowała gorące posiłki szybko, podróżnym podawała przyzwoitą kawę, i to właściwie tyle. Jej klienci nie słyszeli nawet o wyrafinowanej kuchni, wymagali tylko solidnego tłuszczu i węglowodanów. Marie miała jednakże pewne wątpliwości co do karmienia goblinów.

— Jeśli wpuszczę ich do środka, mogę stracić stałych bywalców.

Raz jeszcze Moist musiał jej przedstawić pewne życiowe fakty. Wyjaśnił, że odmowa obsłużenia goblinów szybko skończy się tym, że nikogo już nie będzie obsługiwać, kiedy wiadomość o tym dotrze do lorda Vetinariego. Lokal Tłustej Marie znajdował się w granicach Ankh-Morpork, a Patrycjusz był surowy.

— Zresztą będą siedzieć na zewnątrz — zakończył Moist — bo nie lubią zamkniętych pomieszczeń, a ja płacę. W porządku?

Należnie skarcona, Tłusta Marie podała każdemu goblinowi niezbyt świeżą rybę, smażone ziemniaki i grzankę, i zdumiała się, jak szybko to zjedli, zwłaszcza grzanki. Trzeba goblinom przyznać, że nie były wybredne.

Po posiłku Moist zapakował gobliny do wagonów towarowych ciągniętych przez lokomotywę obsługującą obóz robotników torowych. Sam odszukał golemowego konia, który wciąż posłusznie tarzał się i galopował po łące, i ruszył w drogę do miasta.

\* \* \*

Harry Król nawet w najlepszym nastroju wydawał się żarzyć, ale kiedy dowiedział się o masakrze, stan jego umysłu można określić jako wulkaniczny — przypominał uśpiony wulkan, który nagle budzi się z hukiem, a spokojne morze natychmiast spływa brudnym pumeksem i zdziwionymi ludźmi w togach. Moist usiłował go uspokoić, lecz to jakby próbował zatkać gejzer — niemożliwe, zwłaszcza z takim typem jak Harry Król.

Potem eksplozja zmieniła się we łzy, niepowstrzymane i lepkie łzy twardego mężczyzny, który nigdy by nie chciał, żeby ktoś widział go płaczącego.

Trochę pomogła informacja, że Moist osobiście usunął z tego świata kilka odpowiedzialnych za zbrodnię krasnoludów. Ale i tak Harry’emu kapało z nosa na bardzo kosztowny krawat, a on sam wzywał pomsty bogów na pozostałych winowajców, z przypisem, że lepiej by bogowie dotarli do nich przed gniewem Harry’ego.

Moist zaproponował, że zawiadomi krewnych zamordowanych robotników, ale Harry oświadczył, że sam się tym zajmie. I natychmiast wyruszył, by wypełnić ten smutny obowiązek. Moist nie miał więc nic więcej do roboty, niż zebrać quirmskie gobliny, które dotarły już do kompleksu i trafiły pod opiekę Billy’ego Ślizga i jego babci.

Kiedy zjawił się w domu przy alei Scoone’a, drzwi otworzyła mu Adora Belle. Moist, jak zawsze, podziwiał jej sang froid, gdy zmierzyła wzrokiem grupę stojących za nim quirmskich goblinów.

— Tak się cieszę, że znów cię widzę, Igło — powiedział. — Przyniosłem ci kilka prezentów. Gobliny zawsze robią wrażenie, jak to mówią.

— Ile ich jest, jak sądzisz? — zainteresowała się.

— Dwieście, może więcej — odparł. — Nie liczyłem dokładnie.

— Niech Ze Zmierzchu Ciemność odprowadzi ich do wieży na Tumpie. W suterenie jest tam dość miejsca, żeby mogły się wyspać.

— Nie gniewasz się?

— Oczywiście, że nie. Sporo naszych najlepszych goblinów wyjechało na urlop do Włości i nie tylko. Brakuje nam rąk do pracy. Dobrze się spisałeś.

\* \* \*

Gdy tylko Moist wyprawił gobliny w drogę, Straż Miejska dokonała metaforycznego zatrzymania. Jak na aresztowanie, to było całkiem uprzejme, choć po starciu z krasnoludami Moist nadal był nieco oszołomiony.

Osobą dokonującą zatrzymania okazała się kapitan Angua; poprosiła, by towarzyszył jej do Yardu — tonem, który nie dawał żadnej szansy na spory.

Kiedy już ulokowali się w pokoju przesłuchań, w irytująco metodycznym stylu odebrała jego zeznanie o masakrze. Ostro stawiała pytania i to ostrze kierowało się w Moista.

— A zatem, panie von Lipwig, zaatakował pan grupę krasnoludzich terrorystów, mając wsparcie pewnej liczby goblinów, tak? Musi pan zatem lubić gobliny?

— Owszem, podobnie jak komendant Vimes, kapitanie — burknął Moist. — A właściwie gdzie jest dzisiaj nasz wesołek?

Warto było zobaczyć grymas pani kapitan; jeśli człowiek patrzył uważnie, widział zarys kłów. Zagranie było ryzykowne, ale Moist musiał przecież dbać o reputację, a drażnienie straży to rozrywka, którą lubił i doceniał; potrafił to robić. Ogólnie byli zbyt sztywni, a kapitan Angua, choćby nie wiem jak się starała, w mundurze wyglądała oszałamiająco, zwłaszcza rozgniewana.

— U Patrycjusza — warknęła. — Atak na kolej to atak na Ankh-Morpork. Jeśli uczestniczyli w nim kopacze, możliwe, że miał związek z atakami na wieże sekarowe. Wszystko to należy zbadać i bardzo by pomogło, gdyby jeden ze sprawców pozostał żywy i zdolny do składania zeznań.

Moist niemal się zakrztusił.

— Kapitanie, kiedy wielu niemiłych ludzi próbuje panią zabić, trudno jest pamiętać, że zachowanie jednego z nich przy życiu byłoby niezłym pomysłem. Człowiek ma na głowie inne sprawy, na przykład jak samemu nie zginąć. Zapewne markiz Aix en Pains przesłał już ikonogramy krasnoludów, które dokonały zbrodni. Markiz to porządny gość, przyjazny i bardzo mu zależy na drodze żelaznej, więc jestem pewien, że dostanie pani swój materiał dowodowy.

I wtedy ogarnęła go chęć na żarty.

— Wiem, że potrafi pani przemieszczać się bardzo szybko, kapitanie. Mogą być jeszcze świeży, jeśli się pani pospieszy.

Tym razem Moist uzyskał więcej niż ponure spojrzenie. Było to spojrzenie sugerujące, że cierpliwość pani kapitan właśnie się kończy. Na szczęście w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i z ponurą miną wkroczył komendant Vimes.

— Ach, pan Lipwig. Zechce pan przejść do mojego gabinetu. Zawsze wiem, kiedy jest pan w budynku. — Skinął wrzącej Angui. — Sam zajmę się panem von Lipwigiem, kapitanie.

Moist nie był pewien, jak bardzo komendant go nie lubi. Vimes był człowiekiem tak prostolinijnym, że mógłby służyć za ołówek, natomiast Moista — mimo sukcesów Urzędu Pocztowego, Królewskiego Banku, a nawet cudownej nowej Mennicy — on i wielu innych wciąż uważało za pokręconego niczym stara łyżka i z pewnością niemającego dobrych zamiarów.

— Napije się pan kawy? — zaproponował Vimes, kiedy weszli do gabinetu. — Dzbanek na dole zawsze jest gorący, a kawa nie zawsze smakuje błotem. — Otworzył drzwi. — Cudo, przynieś nam dwie kawy, jedna czarna. Do mojej możesz wsypać cukiernicę.

Moist był nieco zdezorientowany. Zachowanie Vimesa, jeśli przyjrzeć się z laboratoryjną dokładnością, mogło się znajdować nawet w okolicach przyjaznego — tak jak ziewnięcie aligatora.

Komendant usiadł w swoim fotelu i... tak, uśmiechał się.

Prawda była taka, że między Moistem von Lipwigiem a komendantem Vimesem istniała pewna... delikatnie można ją nazwać różnicą opinii. Sam Vimes nie żył w tym samym świecie co Moist von Lipwig. Czy on w ogóle umie się śmiać? — zastanawiał się czasem Moist. Prawdopodobnie śmieje się, kiedy ktoś spada z urwiska czy coś w tym rodzaju.

W tym momencie, ku jego zaskoczeniu, komendant Vimes odchrząknął i odezwał się wolno, jakby próbował zrobić coś całkiem sobie obcego:

— Panie von Lipwig, mogło się zdarzyć, że w ostatnich latach dawałem do zrozumienia, iż uważam pana za krętacza i oszusta, kogoś nie lepszego od glisty. Jednakże fakt, że rzucił się pan pod pociąg, by ratować dwoje dzieci, jest dla mnie sugestią, że lampart może zmienić swoje cętki. Teoretycznie powinienem pana upomnieć za ten atak na krasnoludzich morderców zaangażowanych w ostatni napad i pouczyć, że takie sprawy należy zostawić Straży Miejskiej. Ale nie jestem głupi, a więc chętnie pochwalę, kiedy pochwała się należy. Kopacze to paskudna banda, robactwo; chętnie zobaczyłbym, jak tańczą do muzyki pana Troopera, żeby zrozumieli, co znaczy sprawiedliwość. Na razie musi mi jednak wystarczyć świadomość, że przynajmniej niektórzy więcej nikogo nie napadną. Więc, mówiąc całkiem prywatnie, czemu stanowczo zaprzeczę, gdyby powtórzył pan to komukolwiek: Brawo.

W tym miejscu Vimes pogroził, tak jest, pogroził mu palcem. I powiedział tonem dzwonu pogrzebowego, o wiele głośniej niż dotychczas:

— Proszę więcej tego nie robić! To była oficjalna reprymenda, rozumie pan, panie Lipwig? A to moja ręka.

Ku zdumieniu Moista komendant wstał, ominął biurko i mocno uścisnął mu dłoń. Moist miał wrażenie, że chwyta go napchana orzechami rękawica bokserska. Nic nie miał złamanego, nie było krwi, a Vimes nawet się nie wysilił, więc musiał to być jego zwykły, codzienny uścisk dłoni. Moist uznał, że komendant jest człowiekiem, który nie uznaje półśrodków.

Komendant spoważniał.

— Na pańskim miejscu, panie von Lipwig, postarałbym się, by moja żona spędzała dużo czasu na uboczu, w wieżach sekarowych. Przynajmniej na razie. Poprosiłbym też Straż Miejską, żeby objęła ochroną mój dom. Ci piekielni kopacze nie cofną się przed niczym i nie chcę pana urazić, ale jestem zdziwiony, że udało się panu załatwić tych drani. — Ściszył głos prawie do szeptu. — Jakie to było uczucie, synu?

Vimes miał w oczach coś takiego, co powiedziało Moistowi, że jeśli w ogóle, to właśnie teraz nadszedł czas na prawdę. Także zniżył głos.

— Szczerze panu powiem, komendancie, że miałem nieoczekiwane wsparcie. Nie uwierzyłby pan...

Zadziwiające, ale Vimes uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— A ja szczerze powiem, że może bym uwierzył. Trochę się znam na brudnej walce w ciemności. Parę lat temu byłem pod Doliną Koom i też miałem wsparcie, ale chyba nie chciałbym wiedzieć, skąd pochodziło. — Westchnął. — Proszę uważać. Gragowie znają pański adres. Lepiej niech pan już idzie do Vetinariego, ale cieszę się, że mogliśmy pogadać.

— Dlaczego pan sądzi, że teraz spotkam się z Vetinarim?

— Ja to wiem, bo właśnie wróciłem z pałacu. Chciał posłać po pana, ale poprosiłem jego lordowską mość, żebym mógł spotkać się z panem pierwszy.

Moist podszedł do drzwi, obejrzał się i rzekł po prostu:

— Dziękuję, komendancie.

\* \* \*

Przy Dolnym Broad-Wayu Moist zatrzymał jednotrollowy trollejbus[[[46]](#footnote-46)](#46_1) i nie był zachwycony, widząc, że do kosza obok wskakuje jakiś krasnolud. Przygotował się na atak, ale krasnolud tylko się uśmiechnął.

— Jakże się cieszę, że pana widzę, panie Lipwig. Będę wdzięczny, jeśli poświęci mi pan chwilę.

— Proszę posłuchać — odparł Moist. — Jestem człowiekiem bardzo zajętym i mam mnóstwo pracy. W tej chwili czekają na mnie w pałacu.

— W pałacu? Pan pozwoli...

Krasnolud rzucił właściwą opłatę trollowi i podał cel podróży w jego własnym języku, ku zdumieniu rzeczonego trolla. Coś takiego! — pomyślał Moist. Ankh-Morpork to prawdziwy tygiel tego świata, choć niekiedy zapycha się różnymi bryłami, które nie chcą się roztopić...

Spojrzał na krasnoluda z góry, co było oczywiście nieuniknione. Wydawał się bardziej, hm... opływowy od tradycyjnego krasnoluda, choć uśmiechał się w sposób konfrontacyjny: nie nieprzyjemnie, ale z pewnym wewnętrznym poświęceniem dla tego uśmiechu. Moist uświadomił sobie, że krasnolud coś mu przypomina... ojej, jak to się nazywało... A tak, żyroskop, którego demonstrację widział w budynku Magii Wysokich Energii na Niewidocznym Uniwersytecie. Krótko mówiąc, choć osobnik ten był krasnoludem, sprawiał wrażenie żyroskopu, czegoś wirującego wokół niewidocznego centrum. Skojarzenie powstało w ciągu kilku sekund i w rezultacie, zamiast nalegać, by niechciany współpasażer wysiadł, Moist zaczął bacznie obserwować niewielką postać.

— Kim pan jest? — zapytał.

— Tylko posłańcem — odparł krasnolud. — Jestem tu, by przekazać panu coś, czego nie wolno panu zlekceważyć. W pewnym świętym miejscu niedaleko Doliny Koom pańskie nazwisko znalazło się na liście osób, które trzeba zlikwidować w trybie przyspieszonym. Jednak niech się pan nadmiernie nie przejmuje, gdyż...

— Znaczy, mówi pan, powinienem się przejmować miernie? Co to ma znaczyć, u licha?

Irytująco poważna twarz krasnoluda, z tą dziwną esencją uśmiechu, zaczynała Moista drażnić.

— No cóż, panie Lipwig, jest pan w kolejce za lordem Vetinarim i komendantem Vimesem. Podobnie zresztą jak wielka liczba krasnoludów uznanych za niekrasnoludzie. W tej chwili trwa mała wojenka; płonie pod ziemią jak porzucone złoże węgla i czeka, by przebić się w nieoczekiwanych miejscach, a wkrótce również w miejscu pana pobytu, panie Lipwig.

— Może uszło to pańskiej uwagi — odparł Moist — ale nie jestem i nigdy nie byłem krasnoludem. Jasne? Nie mam brody i nie potrafię przejść wyprostowany pod stołem. Człowiek, rozumie pan?

Opanowanie krasnoluda pozostało niewzruszone, podobnie jak uśmiech, który teraz rozciągnął się trochę szerzej.

— Może i nie jesteś krasnoludem, przyjacielu, ale uznano cię za wektor, symbol tego, co jest przeciwne prawdziwej krasnoludzkości. Nośnik, jeśli wolisz, a także kluczową postać w mieście, które część krasnoludów chętnie widziałaby spalone do gołej ziemi. Sekary były tylko początkiem. Pańskiej drodze żelaznej nie uda się sprowadzić krasnoludów z jedynie słusznej ścieżki Taka. Komendant i lord Vetinari są otoczeni przez ludzi noszących sporo rozmaitej i użytecznej broni. Ale pan nie, prawda, panie Lipwig? Nie jest pan wojownikiem, jest pan celem, choć przyznaję, że zadziwiająco pomysłowym. Sugeruję, by pan sobie przypomniał, jak Albert Spangler pilnował własnych pleców. I przede wszystkim niech pan unika ciemnych miejsc.

Krasnolud pokręcił głową.

— Został pan ostrzeżony. Jak słyszałem, mówił pan podobno, że życie bez ryzyka nie jest warte przeżywania. Mogę na to powiedzieć jedynie: powodzenia. Tak nie wymaga, żeby pan myślał o nim, ale wymaga, żeby pan myślał. I podejrzewam, że w niedalekiej przyszłości będzie wymagał także pańskich usług. Dzieją się sprawy polityczne, o których pan nie ma pojęcia, ale Tak wie, gdzie pana znaleźć, jeśli będzie mu pan potrzebny.

Krasnolud wyskoczył z kosza i odbiegł, zanim Moist zdążył zareagować.

Jechał dalej, w głowie myśli mu wirowały. Aż do masakry w obozie kolejowym nie robił przecież nic złego! Starał się tylko pomagać. A teraz najwyraźniej został celem, ponieważ reprezentował grzeszny styl życia Ankh-Morpork... co było nie tylko niesprawiedliwe, ale i nieprawdziwe. No, prawdopodobnie nieprawdziwe, a w każdym razie trochę. Zakładał, że gragowie są urażeni, gdyż niedawno zabił kilku spośród nich, nawet jeśli była to uczciwa walka. No, prawdopodobnie uczciwa, a zresztą dostali, co im się należało.

Moist właściwie nigdy w życiu nie zrobił niczego grzesznego[[[47]](#footnote-47)](#47_1), a teraz jego nowe wcielenie, oczyszczone, ciężko pracujące i będące wzorem dla obywateli, znalazło się w stanie zagrożenia.

\* \* \*

Moist wrzał z wściekłości, kiedy zjawił się w Podłużnym Gabinecie.

— Wydaje się, że jestem dla kogoś celem, sir! — zaczął. — I wiedział pan o tym, sir!

Nastało milczenie. Vetinari nawet nie drgnął, dopóki nie złożył azety.

— Zakładam, że gragowie pana znaleźli, tak, panie Lipwig? Sądziłem, że pan wie, iż wraz ze mną, Drumknottem, komendantem Vimesem i wielu innymi znalazł się pan na tym, co nazywane jest chyba listą likwidacyjną, stworzoną przez radykalnych gragów. Na pańskim miejscu bym się nie przejmował. Przecież życie bez ryzyka nie jest warte przeżywania. Prawda, panie Lipwig?

— No tak, owszem — zgodził się Moist — Ale co z Adorą Belle?

— Słuszna uwaga, panie Lipwig. Powiedziałem jej tydzień temu.

— Co? Nic mi nie mówiła!

— Podejrzewam, że chciała pana zaskoczyć. Wie, jak bardzo pan lubi niespodzianki. Cieszy pana takie quantum dreszczyku, jak mi powiedziała.

— Ale wie pan, że nie umiem walczyć — jęknął Moist.

— Naprawdę, panie Lipwig? Mam raporty mówiące coś zupełnie innego. Porywające opowieści o pańskich brawurowych wyczynach i ani słowa o wypoczynkach. Może mi pan wierzyć.

Moist, od dawna studiujący nastroje Patrycjusza, nigdy nie był pewien, o czym myśli Vetinari. Teraz jednak wydawał się wykuty z kamienia jak posąg.

— Panie Lipwig, słyszał pan, co się mówi o krasnoludach?

Moist się zdziwił.

— Że to bardzo mali ludzie?

— Dwa krasnoludy to kłótnia, trzy to wojna, panie Lipwig. Sprzeczają się, sprzeczają i sprzeczają. Sprzeczka jest wbudowana w ich kulturę. Ale gragowie w tych sprzeczkach zwykle się ukrywają i sączą jad. Traktat z Doliny Koom, który pomagałem uzgodnić z dolnym królem i diamentowym królem trolli, przez cały świat został uznany za nową nadzieję na przyszłość. Teraz jednak niektóre starsze krasnoludy znalazły się pod wpływem frakcji gragów, którzy chcą zniszczyć pokój. Różnice zdań to inna sprawa, lecz takich potworności znosić nie można. Diamentowy król trolli i ja naciskamy na dolnego króla i spodziewamy się, że rozwiąże tę sytuację.

Vetinari spojrzał w okno.

— Sprawy zaszły za daleko, panie Lipwig. Dawno temu gragowie byli mężnymi krasnoludami, którzy sprawdzali, czy w sztolniach nie ma metanu; stąd ta ciężka odzież. Dawało im to wysoki status, choć w rzeczywistości byli tylko dzielnymi górnikami. Ekspertami od wydobycia, być może, ale niezbyt wprawnymi w polityce i myśleniu. Na ogół przecież nikt nie negocjuje z kawałem skały. Natomiast z ludźmi negocjuje się bez przerwy. Dolny król wie o tym. Gragowie też wiedzą, ale im się to nie podoba.

Wzruszył ramionami.

— Jestem tyranem i całkiem sprawnym, choć sam to mówię. Rozumiem działania ludzi i działanie świata. Wszystko jest ruchome. Nie ma nic niezmiennego. Wystarczy oddać trochę, wziąć trochę, trochę ponegocjować i nagle równowaga świata znowu zostaje przywrócona. Do tego służy polityka. Niestety, polityka gragów składa się tylko z „Rób, co ci mówimy, bo wiemy lepiej”. Uważam to za dosyć męczące...

— A dla mnie jest męczące, kiedy pańscy ludzie mnie budzą, szturchając mieczem — oświadczył Moist.

— Doprawdy? I to wszystko? — zdziwił się Vetinari. — Powiem im, żeby w przyszłości nie szturchali zbyt mocno. — Uśmiechnął się. — Panie Lipwig, komendant Vimes to porządny człowiek i dużo czasu poświęca na tłumaczenie ludziom, co powinni robić. Tak pracuje straż. Nie jest to dziedzina, gdzie dopuszcza się wolnych strzelców. Pewne sprawy należy załatwiać tak, by było to widziane, bo tylko wtedy załatwione są właściwie. Istnieje poważna różnica między tyranią a dowodzeniem formacją policyjną. Muszą istnieć reguły zrozumiałe dla każdego. Rozumie pan, panie Lipwig?

— Tak, rozumiem. Komendant to terier Vetinariego, a ja...

— A pan, panie Lipwig, jest użyteczny. I jest pan źródłem niespodziewanych odkryć. Na przykład, jak słyszałem, uszczęśliwił pan miasto nowymi goblinami akurat wtedy, kiedy były potrzebne. Poza tym, jak mówił mi Sydney, nasz główny stajenny, jeden z naszych golemowych koni zjawił się tutaj i oznajmił: „Dajcie mi czaprak albo dajcie mi śmierć”. Dotąd wiedzieliśmy, że golemowe konie nie mówią, pan jednak, jak się zdaje, odkrył temu właśnie koniowi rozkosze mowy. Jestem pod wrażeniem.

Lord Vetinari uśmiechnął się szerzej.

— Prawdziwy z pana kłębek radości, panie Lipwig. — Westchnął. — Pomyśleć, że kiedyś przekazałem pana w pracowite ręce pana Troopera... Często pyta, jak się panu wiedzie. On nigdy nie zapomina szyi, którą kiedyś widział. A teraz niech pan już idzie, panie Lipwig. Publiczność na pana czeka.

\* \* \*

Ryk wściekłości i zawodu dolnego króla, gdy dotarła do niego wiadomość o masakrze obozu kolejowego, odbił się echem w królewskich kwaterach i we wszystkich zakamarkach wielkiej jaskini. Nietoperze odpadały od stropu, w piekarniach nie rosło ciasto, a srebro na paradnej broni matowiało.

Rhys Rhysson usiadł ciężko na Kajzerce z Kamienia i machnął cienką bibułką, na której właśnie dostał sekarowy przekaz.

— Krasnoludy pomordowały robotników drogi żelaznej! — krzyknął. — Zwykłych ludzi pracujących w przedsięwzięciu, które będzie przydatne tak dla krasnoludów, jak ludzi. — Król wyglądał, jakby miał ochotę się rozpłakać. Uderzył pięścią w otwartą dłoń. — I to wszystko po wieżach sekarowych — jęknął załamany. — Tę wiadomość dostałem od diamentowego króla trolli. Stara się mnie nie dobijać, ale myślę, że mu mnie żal.

Podniósł głos i krzyknął:

— I to jest król trolli, nasz dawny arcywróg, a teraz mój osobisty przyjaciel! Co pomyśli o wiarygodności krasnoludów? Dzięki śladom zebranym przez straż Ankh-Morpork, w tym naszą Cudo Tyłeczek, znamy imiona idiotów, którzy dokonali zbrodni. I teraz dobrze wiem, kto za tym wszystkim stoi.

Urwał i groźnym wzrokiem zmierzył rosnący wokół tłum.

— Gdzie jest Twardziec? Przyprowadzić go tu natychmiast! Pokażę mu, do czego doprowadziły te jego idiotyczne tyrady! Rozkazuję, by doprowadzić go tutaj, najlepiej w łańcuchach! Wielkie nieba, Tak dał nam traktat z Doliny Koom, a ten durny głupek usiłuje go złamać!

Tłum krasnoludów rósł; król krzyczał coraz głośniej.

— Powtarzam: Chcę go tutaj! Dzisiaj! Teraz! Żadnych tłumaczeń. Żadnych drugich szans. Żadnego odkupienia. Niech wszyscy wiedzą, że król nie pozwoli, by dobrodziejstwa traktatu z Doliny Koom rozsypały się w pył przez jakichś awanturników, którzy wierzą, że przeszłość nadal jest przy nas i że należy do nich! Ja widzę tylko jej martwe odbicie!

Odetchnął.

— Słyszę ostatnio narzekania na gobliny, które pracują przy ludzkich przedsięwzięciach, takich jak nowa droga żelazna czy sekary. Słyszę wiele skarg, że odbierają pracę krasnoludom. Ale dlaczego tak się dzieje? Bo gobliny szybko się uczą, ciężko pracują i są zadowolone, że mogą mieszkać w Ankh-Morpork. A krasnoludy? Mamy frakcje, które nas kompromitują, z każdą spaloną wieżą bardziej. Kto chciałby nam zaufać? Przypomnijcie sobie, czego Tak nas uczy: mamy być tolerancyjni wobec wszelkich form myśli. Powiem wam tyle, że świat zmienia się z każdym pokoleniem i jeśli nie nauczymy się płynąć z falą, roztrzaskamy się o skały.

Stojący obok dolnego króla Nieśmial Nieśmialsson podjął temat:

— Tak nie spodziewał się, że kamień zyska życie, ale gdy to się stało, uśmiechnął się do niego i rzekł: „Wszystkie rzeczy dążą”. — Spoglądał groźnie wokół na tłum krasnoludów. — Raz po raz ktoś stara się skraść ostatni testament Taka w żałosnym wysiłku zabicia nadchodzącej przyszłości już w chwili jej narodzin. A to nie tylko fałsz, to bluźnierstwo! Tak znalazł w swym sercu miejsce, by znosić nawet Nac Mac Feeglów, być może dla ich wartości rozrywkowej, ale zastanawiam się, czy zechce tolerować dłużej nas... Musi teraz patrzeć na nas z żalem i mam nadzieję, że ten żal nie zmieni się w gniew. Z pewnością cierpliwość Taka też ma swoje granice.

Nieśmialsson skłonił się przed dolnym królem.

— Jestem twoim sługą, wasza wysokość. Czego ode mnie zażądasz?

— Nie kłaniaj się przede mną, przyjacielu — odparł król, wciąż czerwony na twarzy. — Myślę raczej, że to ja powinienem ci się pokłonić. Twoje słowa są mądre jak zawsze i będą głoszone w każdej kopalni.

W tym momencie do jaskini wbiegł krasnolud, zbliżył się i szepnął coś do ucha Aerona, lojalnego sekretarza króla, który jeszcze bardziej sposępniał.

— Z żalem muszę poinformować, sire — rzekł — że Twardziec i jego przyjaciele zniknęli.

— Czyli uciekł ten durny awanturnik — syknął król z ledwie powstrzymywaną furią. — Wszystkich skazuję na banicję. Wszystkich! Nie wątpię, że tchórze znajdą sobie jakąś kryjówkę, ale każdy, kto im pomoże, będzie uznany za zdrajcę nie wobec mnie, ale wobec Kajzerki!

\* \* \*

Jakiś czas później, w odosobnieniu swojej garderoby, król krążył niespokojnie, kiedy zjawił się Aeron z najnowszym meldunkiem.

— Złapali kilka płotek, ale główni gracze rzeczywiście uciekli.

Wymienił kilka nazwisk, a twarz Rhysa Rhyssona zbladła niczym marmur. Uspokajającym gestem Aeron położył władcy dłoń na ramieniu.

— Albrecht i wszyscy w jego kopalniach są po naszej stronie, choć wielu innych się waha.

— Waha się? To za mało. Potrzebuję ich pełnego wsparcia.

Sekretarz się uśmiechnął.

— Uzyskasz je, jestem pewien. Trzeba jeszcze znaleźć pewne wrogie elementy, ale dotrzemy do nich już wkrótce. Jednak zachowaj ostrożność, Rhys. Widzę, ile cię to kosztuje, i to niedobrze. A masz jeszcze jedną kartę do rozegrania.

Król pokręcił głową.

— Jeszcze nie, ale może już niedługo. W chwili, jaką wybiorę. Muszę tylko zaczekać na najlepszy moment.

Aeron znów się uśmiechnął, a potem zabrzmiał odgłos pocałunku.

3

Krasnoludziemu wandalowi sprzyjało szczęście. Dokładnie pod nim stał Wóz Jeden, ten nazywany Żelazną Belką. Nie ma co tracić czasu. Był ekspertem, był sprytny, a gragowie dobrze mu zapłacą za zniszczenie choćby jednej paskudnej lokomotywy.

Bezgłośnie zeskoczył z dachu i wylądował za sławną maszyną. Chwila była odpowiednia, by wrzucić klucz między tryby. Wiedział, że są tu strażnicy, ale głupi i powolni, a zresztą dzisiaj wysłano ich gdzie indziej i patrolują daleko stąd. Sprawdził to dokładnie. Teraz więc bezszelestnie zbliżył się do samotnej w ogromnej szopie lokomotywy.

Na bardzo wiele sposobów można zabić powóz parowy, a on wyobraził je sobie wszystkie. W ciemności, gotów w każdej chwili znowu wspiąć się do świetlika w dachu, rozłożył zestaw narzędzi starannie owiniętych skórą, by nie zabrzęczały i nie stuknęły. Potem stanął na stopniu kabiny Żelaznej Belki...

...a lokomotywa w mroku wypluła strumień gorącej pary, która natychmiast zmieniła się w różową mgłę...

Krasnolud czekał, niezdolny do ruchu. Po chwili odezwał się posępny głos:

NIE PANIKUJ, PROSZĘ. JESTEŚ PO PROSTU MARTWY.

Wandal przyjrzał się szkieletowej postaci i zdołał się jakoś opanować.

— Och... Ale nie żałuję tego — zapewnił przybysza. — Wykonywałem dzieło Taka, który teraz z otwartymi ramionami powita mnie w raju!

Jak na kogoś pozbawionego krtani Śmierć całkiem nieźle odchrząknął.

WIESZ, MOŻESZ MIEĆ NADZIEJĘ. ALE BIORĄC POD UWAGĘ, CO PLANOWAŁEŚ, NA TWOIM MIEJSCU SPRÓBOWAŁBYM MIEĆ NADZIEJĘ BARDZIEJ, I MOŻE TEŻ BARDZO SZYBKO, odparł głosem twardym jak granit. TAK ISTOTNIE MOŻE SIĘ OKAZAĆ ŁAGODNY. STARAJ SIĘ, JAK JESZCZE NIGDY SIĘ NIE STARAŁEŚ. ISTOTNIE, TAK MOŻE BYĆ ŁASKAWY ALBO...

Wandal wsłuchiwał się w dźwięk ciszy, dźwięk niczym uderzenie dzwonu, jednak pozbawionego serca. W końcu jednak ta straszliwa cisza skończyła się na...

...NIE.

\* \* \*

Żelazna Belka wydała przenikliwy gwizd, jakby krzyczała wystraszona dama. Przecinał powietrze jak nóż, a kiedy kapral Nobby Nobbs i sierżant Colon, biegnąc niezwykle precyzyjnie[[[48]](#footnote-48)](#48_1), dotarli wreszcie do szopy, obok lokomotywy znaleźli tylko ciepłą wilgoć w kolorze delikatnego różu, zawiniątko z narzędziami i parę kawałków kości.

— Wygląda to, jakby lokomotywa się broniła! — stwierdził Nobby. — To niesamowite. Nadprzyrodzone, można powiedzieć.

Fred Colon zbliżył się o krok.

— Ale ona nie stoi nad przyrodą, tylko spokojnie na tych swoich torach. Patrz, tu leży łom i narzędzia. Nie powiesz chyba, że ona nocami sypia z pogrzebaczem pod ręką, żeby odganiać włamywaczy. Nie jest taka strachliwa. Patrz: gorąca para... Dobrze, że ty i ja przepłoszyliśmy resztę złoczyńców!

— A byli ciężko uzbrojeni! — oświadczył Nobby bardzo stanowczo, by całkowicie wyjaśnić tę kwestię. — Tylko że brakło im ikry, żeby się z nami zmierzyć. Tak było.

Woda kapała z solidnych dźwigarów pod stropem. Colon uniósł głowę.

— Patrz, Nobby, co to jest to takie białe, co się wbiło w dach?

Nobby zerknął z ukosa.

— Ehm... Wygląda jak pół czaszki, jeśli chce pan poznać moje zdanie, sierżancie. I jeszcze paruje.

W oddali zadudniły ciężkie kroki. Po chwili strażnicy golemy dotarli na miejsce i rozstawili się szybko.

Nobby podniósł głos.

— Lepiej im powiedzmy, że inni są już pewnie o dziesięć mil stąd, sierżancie, jeśli sądzić po tym, jak szybko uciekali. Myślę, że stary Vimes da nam wolny dzień za tę nocną robotę.

— Ale pomyśl — rzekł Colon. — Patrolowaliśmy przy tej lokomotywie już mnóstwo razy i nigdy nam się nic nie stało...

— Bo nie próbowaliśmy jej rozwalić, sierżancie. Zgadza się?

— Co? Chcesz powiedzieć, że Żelazna Belka wie, kto jest jej przyjacielem? Dajże spokój, przecież to tylko kupa żelastwa.

W ciszy coś brzęknęło cicho. Colon i Nobby wstrzymali oddechy.

— To wspaniała machina. Spójrz, Nobby, na te piękne gładkie linie...

I znowu chwila ciszy wstrzymanych oddechów... W końcu odezwał się Nobby:

— Golemy już są na miejscu, sierżancie, a nasza zmiana się kończy. Jak tylko wrócimy do Yardu, napiszę pełniutki raport, co mi przypomina, że ma mi pan zwrócić ołówek.

Obaj oddalili się imponująco szybkim spacerowym krokiem, a Żelazna Belka na chwilę została sama. I wtedy zabrzmiał cichutki odgłos brzmiący częściowo jak gwizd, częściowo jak chichot.

\* \* \*

Prędzej czy później wszystko, co wiązało się z koleją, przechodziło przez biurko Moista, a on na ogół szybko przesyłał to dalej. Dzisiaj spoglądał nad papierami na wyraźnie zakłopotanego Dicka Simnela.

— Wytłumacz mi, Dick, co się stało w nocy. Wydaje się, że gragowie planowali coś więcej niż tylko wgniecenie blachy Żelaznej Belki. Może to mieć związek z atakiem na obóz robotników torowych, ale wystąpiły pewne... istotne różnice. Podejrzewam, że można na wiele sposobów wyeliminować lokomotywę, ale straż zjawiła się na miejscu w ciągu paru minut i według nich ona sama zaczęła się bronić i załatwiła jednego z tej bandy. Znam tych strażników od dawna i wiem, że każde starcie prowadzą przeciwko o wiele liczniejszemu wrogowi, przynajmniej tak mówią, jeśli nikogo nie było w pobliżu. Jednak tym razem wydaje się, że mają rację i Żelazna Belka sama odpłaciła napastnikowi, a konkretnie ugotowała go. Ciągle jeszcze zmywają podłogę. Jak sądzisz, jak do tego doszło, Dick? Czy była zaangażowana jakaś magia?

Simnel się zaczerwienił.

— Panie Lipwig, jestem mechanikiem. Nie wierzę w żadną magię, lecz teraz zaczynam się zastanawiać, czy magia wierzy w Żelazną Belkę. Codziennie, kiedy idę do roboty, spotykam tych maniaków notujących numery pociągów, zawsze tam są, teraz nawet pobudowali sobie takie małe szałasiki... Zauważył pan? Czasem sobie myślę, że więcej o niej wiedzą niż ja... I przyglądam się ludziom, którzy ciągle jeszcze przychodzą się przejechać, patrzę na ich twarze i to nie są twarze mechaników, raczej twarze ludzi idących do świątyni, i tak się zastanawiam, co się wyrabia. Nie, nie mam pojęcia, jak Żelazna Belka zabiła tego krasnoluda, co próbował ją zabić i czemu nigdy nic takiego nie zrobiła, kiedy kręcili się przy niej normalni ludzie. Dla mnie wygląda to na myślenie, ale nie wiem, jak ona może myśleć.

Dick był czerwony jak burak i Moistowi zrobiło się żal mechanika, który dotąd żył w świecie, gdzie rzeczy robią to, co im się każe, wszystkie liczby się ładnie sumują, a obliczenia tańczą do rytmu suwaka logarytmicznego, tak jak powinny. Teraz natomiast znalazł się w świecie pojęć, gdzie suwak nie miał już władzy.

Dick spojrzał rozpaczliwie na Moista.

— Czy to możliwe, coby taka machina jak Żelazna Belka miała... duszę?

No nieźle, pomyślał Moist. Chłopak naprawdę ma problem.

— Czasami widzę, jak przesuwasz po niej rękę, kiedy się zatrzyma — powiedział — i mam wrażenie, jakbyś ją głaskał. Zauważyłem, że maszyniści też tak robią. Lotniki mają numery, ale maszyniści nadają im imiona i nawet z nimi rozmawiają, przeklinają niekiedy, jednak mówią do mechanizmu. Zastanawiam się, czy nie zarażają go jakoś życiem. Bo zauważyłem też, że za każdym razem, kiedy ludzie kończą przejażdżki Żelazną Belką, też ją poklepują i pewnie by przysięgli, że nie mają pojęcia, czemu to robią. A co ty o tym myślisz?

— No... Wiem, o co panu chodzi. Za dawnych czasów, kiedy dopiero zaczynałem, gadałem do Żelaznej Belki przez cały czas, często krzyczałem, a niekiedy przeklinałem, zwłaszcza kiedy była oporna. Ona ma w sobie część mnie: dużo krwi, wiadra potu i dużo łez. Straciłem dla niej czubek kciuka, prawie wszystkie paznokcie mam sine... I po prawdzie, kiedy się zastanowić, to i ja mam w sobie trochę niej.

Wydawał się nieco zawstydzony, kiedy to mówił, więc Moist odpowiedział szybko:

— Chyba masz rację, Dick. To taka sytuacja, kiedy musisz przestać kombinować, co, jak i dlaczego, i tylko pamiętać, że cokolwiek się dzieje, wszystko działa. Może przestać działać, gdyby ktoś chciał być za mądry i szukać duszy tego wszystkiego. Są sytuacje, do których suwak logarytmiczny zwyczajnie nie dorasta. Na twoim miejscu dziś rano wypucowałbym ją do połysku i pozwolił, żeby wtedy zobaczyła swoich wyznawców, poczuła ich uwielbienie. Oni pragną czegoś i nie wiem, co to jest, więc korzystaj i nie psuj tego, przesadnie myśląc ani przesadnie się martwiąc. I obiecuję, że nikomu słówkiem nie wspomnę o tej rozmowie.

I nagle poweselał.

— Dick, życie jest piękne — rzekł. — Czy twój suwak pozwolił ci jakoś ułożyć sprawy z panną Emily?

Simnel się zarumienił.

— Tak, trochę rozmawialiśmy, głównie o Żelaznej Belce, a jej mama zaprosiła mnie jutro na herbatę.

— W takim razie sugeruję, żebyś włożył nową koszulę... No wiesz, taką, co nie jest brudna. Wyczyść buty, paznokcie i wszystko inne. Masz już mnóstwo pieniędzy, więc musisz sobie kupić elegancki nowy garnitur. Znam parę miejsc, gdzie dadzą ci dobrą cenę. — Pociągnął nosem. — I może weź kąpiel, bo czemu by nie? Dla panny Emily.

Dick zarumienił się jeszcze mocniej i wyszczerzył zęby.

— Ma pan rację, panie Lipwig. Chciałbym być taki wytworny jak pan.

— To proste, Dick. Musisz tylko być sobą. Tego nikt nie może ci odebrać.

\* \* \*

Moist wyszedł zza biurka, by jeszcze raz obejrzeć miejsce nocnych wydarzeń. Spotkał tam Harry’ego Króla, wymuskanego i z wymuszonym uśmiechem.

Harry wskazał muszkę pod szyją.

— Nienawidzę tego draństwa. Po co to? — burknął niechętnie. — Znowu jakieś przyjęcie wieczorem. Effie je uwielbia. Tłumaczę, że jestem zajęty, że muszę pilnować drogi żelaznej, ale ona wyraźnie postanowiła zrobić ze mnie lepszego człowieka. I jeszcze cała ta historia z nożami i widelcami, to chyba zagadka wymyślona specjalnie po to, żeby prosty gość, taki jak ja, czuł się nieswojo. Przecież cokolwiek człowiek złapie, nie zmieni to smaku jedzenia, nie? Ale Effie mocno mnie ściska za kolano, kiedy się pomylę. Chciała mnie posłać na lekcje elaksancji, niech licho porwie wszystkich bogów, ale tu się postawiłem. Aligancki czy nie, wciąż jestem Harrym Królem i muszę mówić jak Harry Król. Powiedziałem Effie, że nie mam nic przeciwko płaceniu pieniędzy na sierocińce i różne takie; lubię patrzeć, jak buźki dzieciaków się rozjaśniają niczym stokrotki. Nie cierpię tylko popisywania się i bezustannej paplaniny, mogę robić dobre uczynki zza biurka. Effie mówi, że noblyess obliże, ale nie muszę się z tym godzić tylko dlatego, że przychodzi dużo aligantów. To okropne uczucie, kiedy człowiek nie może być sobą, aligancja czy nie.

\* \* \*

Pięćdziesiąt mil w obrotową stronę od Ankh-Morpork rośnie Przny Las, dla niektórych obiekt kpin; przez cały rok rozlegają się tu ptasie trele i niekiedy też stuk siekiery drwala. Są także rodzinne kopalnie, zbyt małe, by zainteresować krasnoludy, ale dostatecznie duże, żeby dawały skromne utrzymanie.

Tego pięknego ranka w rodzinnej kuźni Wesleyów Tygiel Wesley kłócił się z bratem.

— W porządku, jesteś kowal, przyznaję. Ale ta machina wyglądała mi na skomplikowaną, wisz? Niezły z ciebie kowal, Jed, i wielki chłop, tylko jakoś nie widzę, żebyś sam wykuł całą lokomotywę. Trzeba ci trochę nauki, wisz? Widziałeś tych chłopaków z obozowiska? Biegali w tym całym dymie z tymi swoimi suwakami, choć nie wim, po co im one.

Rzeczony Jed, ociekając potem i smrodem, wyprostował się nad kowadłem.

— Słuchajże... To łatwe. Gotujesz wodę, ale mocno gotujesz, to popycha tłoki, a te tłoki kręcą kołami. Nic w tym trudnego, wisz, poza tym, że oliwić trza i smarować. Se kombinuję, że jak ona już ruszy, to zatrzymać ją będzie najtrudniej, wisz...

Tygiel Wesley, uważany przez miejscowych za mózg zespołu, o ile zespół w ogóle miał jakiś mózg, trochę był zdenerwowany.

— Wiem, że w Scrote byłeś Kowalem Roku przez trzy lata z rzędu i dostałeś srebrny puchar, co mama jest z niego taka dumna. Ale nie wim... Se kombinuję, że jest w tym coś więcej. Tajemnice fachu i co tam jeszcze...

Jed zdawał się przez chwilę obcować z duchami, po czym obwieścił:

— Wisz, mam już kocioł prawie skończony. I se kombinuję, że jak weźmiemy się do tego powolutku, to nie ma się o co martwić. Widziałem przecie, jak para leci z imbryka u mamy. To tylko mokre powietrze i tyle.

Wielką pięścią stuknął w kocioł stojący na zaimprowizowanym podeście przy warsztacie.

— Chodź, pomóż mi go wypchnąć na pole i spróbujemy. Zawsze możemy to zgasić, jakby co groźnego robił. Se kombinuję, wisz, że damy radę przechytrzyć jakiś marny kocioł.

Wynieśli wielki zbiornik na zewnątrz, choć prawdę mówiąc, to Jed z dumą dźwigał większą część ciężaru. Brat przyglądał mu się z ekscytacją i pewną obawą. A raczej byłaby to ekscytacja, gdyby wiedział, że takie słowo istnieje. Natomiast co do obawy, to czuł ściekającą po plecach strużkę potu. Zaczął się wycofywać i raz jeszcze spróbował przekonać brata.

— Wisz, Jed, sam już nie wim. Oni robili takie tam pomiary i różne inne, dźwignie mieli i takie tam, a kiedy syczało, to naprawdę syczało.

— Pewno. I kosztowało nas dolara, żeby to wszystko obejrzeć. Nie przejmuj się tak zaworami... Mówiłem już, że mam chyba więcej rozumu niż taki kocioł. Jak zacznie robić kłopoty, to go przekuję na podkowy i tyle. Chodź, rozpalę ogień, wisz, a ty byś pomógł przy miechach.

Kiedy ustawiali kocioł pod drzewami, Tygiel raz jeszcze spróbował wprowadzić do rozmowy nieco zdrowego rozsądku.

— Wisz, to chyba trudne jest, bo byśmy słyszeli, że inni też to robią.

Ku jego przerażeniu zdanie to tylko umocniło brata w decyzji, by okiełznać parę.

— To dlatego, se kombinuję, że nie są tacy sprytni, wisz, jak ja...

Jest coś delikatnie niepokojącego w słowie „kombinuję” użytym w takim znaczeniu i kontekście. Słuchacz nadstawia ucha, bo z wielu trudnych do zrozumienia powodów chciałby może usłyszeć jakieś inne słowo, pewniejsze i mniej przerażające.

I tak się pechowo złożyło, że jakieś dwadzieścia minut później właśnie ucho spłynęło spiralą z opadającej gorącej mgły, przez okaleczone drzewa, które wyglądały, jakby smok na nie zionął, między spadającymi z góry ugotowanymi ptakami...

\* \* \*

Koncepcja drugiej w nocy była Moistowi z natury obca; ta pora zdarzała się tylko innym. Nie miał nic przeciwko wczesnemu al fresco, zwłaszcza w drodze, a już szczególnie w drodze żelaznej, kiedy bardziej przypominało to biwak, a więc było zabawne. Ale żeby o drugiej w nocy dać się budzić we własnym łóżku, to już okropność. Okropność krzycząca o pomstę do nieba, choć Moist nie krzyczał na Harry’ego Króla, który przybył na aleję Scoone’a, jakby ścigało go piekło.

Crossly, kamerdyner, ruszył pospiesznie, by zgodnie z wymogami etykiety zdążyć przed sir Harrym, jednak sir Harry wpadł na schody jak burza. Wymachując sekarową depeszą na każdego, kogo zobaczył, wdarł się do sypialni Moista.

— Ktoś majstrował przy aparaturze parowej w Prznym Lesie! — zagrzmiał. — I udało mu się zabić dwóch ludzi, w tym siebie. I wie pan co? Sekarowcy z wieży w Scrote wypatrzyli ten wybuch, poszli tam i znaleźli miejsce katastrofy. No i zna pan sekarowców! Wieści dotarły już wszędzie, pewnie tak samo jak strzępy tych biedaków. Dwóch ludzi nie żyje, panie Lipwig! Prasa flaki z nas wypruje.

Przez ten czas Moist zdążył włożyć spodnie na właściwą stronę.

— Ale w tej chwili nic nie robimy w Prznym Lesie — wyrzucił z siebie. — Planujemy niewielkie odgałęzienie linii do Scrote, powinna dać niezły dochód, lecz ta sprawa nie ma z nami nic wspólnego. Crossly, podaj sir Harry’emu solidną brandy i miękki fotel.

— Ma coś wspólnego czy nie, Moist, prasa zleci się do nas jak muchy do stosu śmieci.

— Zaufaj mi, Harry — powiedział Moist spokojnie ku irytacji gościa. — Zaufaj mi. Sam zajmę się prasą. To nie nasza robota i nie ma powodu do niepokoju. Podejrzewam, że jak tylko zrobi się widno, wszyscy pognają do Prznego Lasu, więc lepiej będzie, jeśli ruszę tam już teraz, żeby przygotować rozgrywkę.

— To nie jest żadna rozgrywka! — huknął Harry.

— Przykro mi, ale pomaga, jeśli myślę o tym w taki sposób — odparł Moist przez ramię.

I kiedy schodził już po schodach, a wzburzony Harry następował mu na pięty, do domu wróciła Adora Belle. Czasami pracowała w Wielkim Pniu nocami; tłumaczyła Moistowi, że musi przypilnować ludzi, ale wiedział, że w rzeczywistości uwielbia takie spokojne zmiany w czyste noce, kiedy wiadomości migoczą od wzgórza do wzgórza jak świetliki.

To był czar sekarów i nie tylko gobliny go odczuwały. Adora Belle wiedziała i nie przeszkadzało jej, że sekarowcy i sekarowczynie nawiązują kontakty wzdłuż połyskujących cudownie linii świateł. W końcu niejedno małżeństwo zrodziło się w tych nocnych godzinach, w bezmiarze niepodejrzewającego niczego eteru; prędzej czy później mieli przyjść na świat mali sekarowcy.

— Sam wiesz, że potrzebne są specjalne cechy, by zostać sekarowcem, a tym bardziej sekarowczynią — tłumaczyła kiedyś Moistowi. — Dlatego to ważne, by pobierali się i mieli dzieci z tymi cechami we krwi. To nasza przyszłość i niech niebo ma ich w opiece, jeśli partner też nie pracuje w sekarach. Ludzie sekarów to szczególny typ i przyciągają podobnych sobie.

Kiedy Moist przekazał jej wieści o wypadku w Prznym Lesie, zniknęła w swoim gabinecie. Moist słyszał kroki biegnących goblinów, a potem werbel sekara na dachu. Wkrótce potem przysłała na dół kolejnego goblina z tekstem wiadomości:

Przekaz ze Scrote. Stop. To wybuch kotła. Stop. Nie pociąg. Stop. Straszna śmierć dwóch ludzi, ale żadnej lokomotywy jako takiej. Stop.

Ostatnie zdanie sprawiło, że Moist poczuł się tym pewniej. Ścisnął Harry’ego za ramię.

— Nie przejmuj się za bardzo, Harry. Proszę. Wiem, jak ta sprawa się potoczy. Chcę tylko, żebyś ty i Simnel spotkali się ze mną w Prznym Lesie jak najszybciej. Aha, myślę też, że przyda się nam pan Grom.

\* \* \*

Nadszedł czas, by znowu porozmawiać z golemowym koniem. Moist miał trochę oporów, że tak prędko zabiera go w kolejną długą podróż, jednak koń go uspokoił.

— Drogi panie, jestem koniem. Być koniem to moja życiowa pasja, a jazda do Prznego Lasu to drobiazg. Proszę mnie osiodłać i ruszamy.

Moistowi udało się znaleźć wygodne miejsce na grzbiecie wierzchowca. Żaden koń z mięśni i kości nie potrafiłby cwałować z taką prędkością i nie poplątać sobie nóg. Natomiast im jeszcze przed wschodem słońca udało się pokonać pięćdziesiąt mil, i to bez specjalnych urazów ani bólów pachwin.

Natychmiast odszukał najbliższą miejsca wypadku gospodę. Prowadził ją niejaki Edward Praprzodek serwujący najlepsze piwa, portery i ale — tak głosił napis na sporym plakacie za barem, a Moist nie miał zamiaru się sprzeczać.

Oberżysta, ubrany już i pełen energii, zmierzył go wzrokiem.

— Spodziewałem się kogoś takiego — wyznał. — Jesteś pan z miasta, zgadza się? W sprawie wybuchu, zgadza się? Jesteś pan reporterem? Bo od reporterów biorę pieniądze.

— Nie, nie jestem reporterem — zapewnił go Moist. — Jestem z drogi żelaznej. Usłyszałem o wypadku i przyjechałem sprawdzić, co się stało.

Praprzodek raz jeszcze mu się przyjrzał.

— Wiemy wszystko na ten temat. To byli bracia Wesleyowie. Masz mocny żołądek, młody człowieku? Mógłbym zostawić bar i pomóc, ale wtedy musiałbym zbudzić żonę, żeby wzięła poranną zmianę, bo zaraz niedługo przyjdą górnicy na śniadanie.

Moist zrozumiał niewypowiedzianą sugestię i wręczył mu rozsądną kwotę. Wyszli razem i oberżysta poprowadził go do lasu. Była to przyjemna okolica, miejsce, gdzie ludzie chętnie urządzaliby sobie pikniki. Kiedy jednak weszli głębiej, Moist przekonał się, że to, co ich czeka, nie będzie piknikiem.

\* \* \*

Wokół polany w pobliżu gospody drzewa stały pozbawione liści, wszędzie leżały splątane gałęzie, a resztki kuźni tkwiły wbite w pnie. Były też odłamki rozerwanego kotła; niektóre tak mocno zagłębiły się w potężne dęby, że Moist nie zdołał ich wyciągnąć. Mgiełka nad polaną budziła zimne dreszcze na karku.

Odetchnął głęboko.

— Co się stało z ciałami, panie Praprzodek? — zapytał.

— No więc, mój panie, mam je u siebie w piwnicy, bo na dole trzyma chłód. Są w wiadrze. I to nie jest duże wiadro. To byli dwaj bracia, porządne chłopaki. Tygiel był mózgiem, a Jed kowalem. Chociaż w tym wiadrze bym nie umiał powiedzieć, który kawałek jest czyj. Jed się przechwalał, że zbuduje kiedyś machinę kolejową, ale prawdę mówiąc, drogi panie, to chociaż był świetnym kowalem, nie chcę nawet zgadywać, co wiedział o lokomotywach. No ale uważał, że potrafi, a wszyscy kumple go podpuszczali. — Wahał się przez chwilę. — Pierwszy tutaj przybiegłem, wiesz pan. I właściwie była tu tylko mgła. Wcale mi się to nie spodobało. Była lepka, gorąca i miałem ochotę się wyrzygać. To właściwie wszystko. Niewiele można dodać.

Moist uniósł głowę.

— Czy na tamtym drzewie naprawdę powinno być kowadło? — zapytał.

Oberżysta spojrzał na niego, potem na drzewo.

— Masz pan dobre oko. Kowadło zawsze stało na ziemi, z zasady. Ale to był potężny wybuch.

Moist opanował się, jak najlepiej potrafił.

— Bardzo panu dziękuję, panie Praprzodek. Wkrótce zjawi się tłum dziennikarzy, żeby to wszystko zobaczyć. Przykro mi, ale zlatują się jak muchy.

— Nic nie szkodzi. Wiesz pan, dziennikarze piją dwa razy tyle co inni i dwa razy dłużej. Mieliśmy ich tutaj, kiedy zawaliła się kopalnia. Naprawdę lubią trunki. — Pan Praprzodek zatarł ręce w przewidywaniu dobrego interesu.

W rzeczywistości większość dziennikarzy dotarła na miejsce dopiero późnym porankiem. Znacznie ich wyprzedził Otto Chriek z „Pulsu Ankh-Morpork”, który zawsze był pierwszy na arenie zdarzeń[[[49]](#footnote-49)](#49_1).

Co do reszty, mieli różne oczekiwania — lecz każdy się spodziewał, że pozostali mu opowiedzą, co zaszło. Pan Praprzodek zarabiał pieniądze, szykując kanapki z bekonem, a jego żona smażyła jajka i obowiązkowe kromki chleba.

Moist dał do zrozumienia, że choć droga żelazna nie ma żadnego związku z wypadkiem, właściciele przyjadą obejrzeć miejsce katastrofy i chętnie odpowiedzą na pytania. Zanim dotarli Harry Król, Dick Simnel i pan Grom, Moist zauważył, że gospoda wypełnia się stopniowo gośćmi z całych Równin Sto, a pan Praprzodek dyskretnie podnosi ceny piwa.

\* \* \*

Moist dowiedział się już od pani Praprzodek, że przyjaciele pocieszają starą matkę dwóch braci w jej domu, niedaleko gospody. Bardzo się starał, by żadna wzmianka o tym — ani o obecnym miejscu pobytu nieszczęsnych braci Wesleyów — do prasy nie dotarła. Zaskoczył sam siebie, gdy pojął, że to zachowanie rozsądne i humanitarne — niektórzy dziennikarze z pewnością zadawaliby pytania w stylu: „Pani Wesley, co pani czuła, kiedy się pani dowiedziała, że obaj pani synowie się rozgotowali?”.

Kiedy prasa rzuciła się na nowo przybyłych, Moist — jak szachowy arcymistrz — starał się chronić swojego króla, to znaczy Harry’ego Króla, przed najgorszymi pytaniami. Rozgrywał za to szybkiego skoczka, pana Dicka Simnela. Dziennikarze zaatakowali natychmiast.

— Co pan powie ludziom, którzy uważają, że gorąca para wszystkich nas w końcu pozabija? — spytał któryś.

Na co Dick odpowiedział:

— Nie wiem, proszę pana. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto by tak uważał. Para jest bardzo groźna, jeśli człowiek nie wie dokładnie, co robi. Bardzo mi przykro z powodu tych biednych chłopców.

— Słyszałem, że także pańska machina zabiła kogoś przedwczorajszej nocy! — zawołał Hardwick z „Prasy Codziennej Pseudopolis”. — Czy może pan to skomentować, panie Simnel?

Zanim Dick zdążył się odezwać, wtrącił się pan Grom:

— Osoba, o którą chodzi, najwyraźniej próbowała dokonać sabotażu. I chociaż naturalnie żałujemy tego tragicznego wypadku, osoba ta znalazła się w miejscu, w którym być nie powinna, robiąc coś, czego nie powinna robić. Osoba ta ewidentnie przedostała się do hangaru lokomotywy przez świetlik dachowy, co dowodzi, że jej zamiary nie były zgodne z prawem. Niestety, poniosła śmierć wskutek własnych czynów.

— A co z panem Simnelem seniorem? — pytał Hardwick. — Czy on także sam sobie zadał śmierć?

Dick Simnel znowu zabrał głos.

— To tylko dowodzi, że parę trzeba traktować z szacunkiem, i tak, nauczyłem się tego w najtrudniejszy sposób, kiedy zginął mój tato. Właśnie dlatego teraz robię pomiary, testuję i mierzę jeszcze raz. Tu chodzi o staranność. Chodzi o zdobywanie wiedzy. Para ma swoje reguły i nie na darmo nazywamy ją gorącą. W niewłaściwych rękach jest niebezpieczna, ale moje ręce, drogi panie, przez bardzo długi czas budowały kotły i machiny statyczne, żeby tylko sprawdzić, jak daleko można się posunąć. To na ogół znaczyło, że chowam się za kamiennym murem, a kawałki machiny świszczą mi nad głową. Człowiek się uczy na błędach, jak ma szczęście, a ja starałem się robić te błędy, coby zobaczyć, jak można ich unikać. I chociaż może to nie jest czas, coby to mówić, ale trzeba być mądrym, trzeba być sprytnym, trzeba mieć pokorę wobec takiej potęgi. Trzeba myśleć o każdym drobnym szczególe. Trzeba robić notatki i się kształcić, a wtedy i dopiero wtedy para staje się przyjacielem. Jak Żelazna Belka, wszyscy ją widzieliście. Tak, panienko?

Moist poznał Sacharissę Cripslock.

— Bardzo czule się pan wyraża o swojej lokomotywie, panie Simnel, więc muszę spytać: czy ma pan sympatię?

Wśród dziennikarzy rozległy się kpiące śmieszki, ale Simnel nawet nie mrugnął.

— Dziękuję za to pytanie. I tak, jest pewna młoda dama, która patrzy na mnie łaskawie. — Dick spojrzał na kolejny wyciągnięty w górę notes. — Słucham pana?

— Zgryzot, sir, Zgryzot Johnson z „Azety Wielkiej Kapusty”. Czy zamierza pan podzielić się swoją wiedzą z innymi, którzy próbują budować własne machiny? To mogłoby ocalić wielu z nich.

Simnel zerknął na Moista, a Moist zerknął na Harry’ego, który opuścił brew, o czym Moist wiedział, że może uznać za „tak”. Simnel też to wiedział i zauważył sygnał.

— Tak, drogi panie, tak zrobim. Przynajmniej sprawy podstawowe, bezpieczeństwo i tak dalej. Ale to będzie kosztować. Prace badawczo-rozwojowe muszą kosztować. Przyjmę uczniów, pokażę im, co najważniejsze, i ogólnie nauczę pracować bezpiecznie. Prawdę mówiąc, planujem regularne zajęcia. Można to nazwać Akademią Kolejową. — Spoważniał. — Strasznie mi żal tych chłopców, proszę pana, ale trzeba to robić porządnie. Nie ma oszczędzania. Nie ma drogi na skróty.

Dick Simnel znowu wygrał. Prasa nie umiała sobie poradzić ze szczerym człowiekiem. Jego pewność zwyczajnie ich rozbraja, myślał Moist, a możliwe, że zechcą potem stać się lepszymi ludźmi. W Dicku nie było ani odrobiny polityki i to ich zadziwiało.

Simnel patrzył na nich z promiennym uśmiechem.

— A gdyby tak chcieli państwo zajrzeć do zakładów w Ankh-Morpork, w dowolnym czasie, chętnie was oprowadzę. I pokażę wam wszystko.

\* \* \*

Daleko od Moista i daleko od zdrowego rozsądku gragowie odbywali naradę, jeśli można tak ją określić. Sprawy w zewnętrznym świecie zmieniały się tak szybko...

— Przegrywamy. Wiecie o tym? — odezwał się głos w ciemności.

— Nie ma na to rady. To duch czasów. Unosi się w powietrzu — odparł inny, łamiący się głos.

— A czemu mamy się przejmować powietrzem albo dowolnym duchem? Po naszej stronie jest słuszność, niezłomność, jesteśmy królami i sługami ciemności. Nasi ludzie wrócą.

— Ależ oni odchodzą! Palenie wież sekarowych było głupie! Głupie, powiadam! Wszyscy chcą dostawać wiadomości i to powoduje, że wychodzimy na przestępców. A to już nie jest słuszne.

Pewna krasnolud, milcząca w czasie tego jaskiniowego konklawe, myślała o starej djelibeybiańskiej zagadce: jak sprowadzić osła z minaretu. Oczywiście najpierw trzeba go nauczyć nie być osłem. Ale w jakim świecie można by liczyć na coś takiego z gragami? Przyszedł czas, pomyślała, żeby samej sprawdzić, jak wygląda życie na ziemiach króla trolli. Była ostrożna, och, bardzo ostrożna, więc przeżyła. Miała nadzieję, że będzie tym zwierzęciem, któremu udało się zejść z minaretu.

Niestety, ci idioci nadal podburzali naiwne młode krasnoludy do napadów na wieże sekarowe. Ktokolwiek wpadł na ten pomysł, skazał ich na klęskę, bez dyskusji.

Rhys Rhysson ma rację, myślała. Straciliśmy równowagę. Musimy wyrwać się z tej ciemności do światła. Na pewno mnie nie podejrzewają, myślała. Była bardzo gorliwa w poszukiwaniach niewierzących.

Mimo to, kiedy wreszcie pobiegła, noże dosięgły jej, zanim się potknęła. I wtedy już tylko ośmiu zostało w grocie, a ci patrzący w ciemności patrzyli jeszcze uważniej, by zobaczyć, kto będzie następny. Nadejdzie wkrótce czas, kiedy nikt nie ośmieli się drwić z czystej ciemności.

Przerażające było to, że kiedy krasnoludy dokonują schizmy, jest to prawdziwa schizma. Każde odchylenie od normy traktowane jest jak atak na wszystko, co prawdziwie krasnoludzie.

Inni uciekali już i ginęli; kto mógł być pewien, ilu ich jeszcze zostało nie tylko w tej, ale też w innych grotach, aż po Überwald? A kłopot z obłędem polega na tym, że ci obłąkani nie wiedzą, że są obłąkani. Gragowie ostro atakowali każdego, kto się nie dostosował. Nie zdawali sobie chyba sprawy, że to jakby wdeptywali ziemniaki w błoto, by nie rosły.

\* \* \*

Ostatnio gdziekolwiek człowiek spojrzał, działały komitety. Głównie dlatego, że po uzgodnieniu i z błogosławieństwem Patrycjusza inne księstwa, większe miasta i miasta-państwa nie widziały powodu, by bezczynnie czekać na swoją porcję kolejowej magii. Wykorzystując okazję, nowe towarzystwa wchodziły do kolejowego biznesu, zwykle z większymi sukcesami niż bracia Wesleyowie. Drumknott był w swoim żywiole — dokumenty się piętrzyły, akta mnożyły. Zdawało się, że potrafi być wszędzie i zajmować się wszystkim, wspomagany sprawnie przez pana Groma.

Pracowały komitety omawiające standardy przemysłowe, opiekę nad pasażerami i czy frachtowy parowóz jednego towarzystwa może być wpięty w wagony innego, by zakończyć podróż bez rozładunku[[50]](#footnote-50) — oraz rozmaite splątane ustalenia finansowe i prawne, jakie z tego wynikały.

Sam pomysł, że inni biznesmeni zbudują własne drogi żelazne, skłonił Harry’ego, by wezwać pana Groma.

Prawnik wysłuchał skarg Harry’ego.

— To kwestia patentów, sir Harry — powiedział. — Wie pan, tych nużących kwestii, o których mówi pan, że płaci innym, żeby się nimi zajęli. No więc pan Simnel i ja wypełniliśmy wnioski patentowe dla każdej z jego innowacji. Ale jestem pewien, że istnieje więcej niż jeden sposób zbudowania machiny jeżdżącej po torach. Nie można opatentować idei drogi żelaznej jako takiej. Jeśli przespaceruje się pan ulicą Chytrych Rzemieślników, spotka pan kogoś dostatecznie inteligentnego, kto znajdzie sposób, by zbudować jeżdżący po torach pociąg, który nie naruszy żadnych patentów, jakie udało mi się dla pana zdobyć. Idea lokomocji parowej jako takiej jest możliwa do odkrycia dla każdego, bo każdy może zobaczyć, że kiedy woda gotuje się w kociołku, para próbuje unieść jego pokrywkę. Inteligentny młody człowiek przy ogniu dojdzie do wniosku, że jeśli zbuduje większy kocioł, to para uniesie większą pokrywkę. Chociaż, jak się okazało w Prznym Lesie, wkrótce przekona się również, że to nie takie proste. Młodzi ludzie nie są zwykle tacy bystrzy i inteligentni jak Dick Simnel.

— Głupie prostaki — prychnął Harry. — Do pięt nie dorastali naszemu Dickowi i jego chłopakom. Tyle osiągnęli, że swoją starą matkę skazali na dom opieki. — Sir Harry odchrząknął — to było pełne i głośne chrząknięcie.

Nieświadom, że jego klienta na chwilę rozproszyła myśl o biednej kobiecie w Prznym Lesie, samotnej po stracie synów, swej dumy i radości, Grom mówił dalej:

— Weźmy na przykład miernik ciśnienia, tak zwany manometr pana Simnela. Kiedy już się zrozumie zasadę, chytrzy rzemieślnicy, ci wyjątkowo chytrzy, mogą znaleźć sposób uzyskania tych samych rezultatów bez naruszania patentu. Tym się zajmują. Są chytrzy z nazwy i z natury.

Teraz Harry się zainteresował.

— I zanim pan sam wybuchnie, sir Harry — dodał Grom — muszę zapewnić, że wszystko to jest zgodne z prawem.

— Co? Po wszystkim, co zrobiłem, po pieniądzach, jakie w to włożyłem?

Twarz Harry’ego była czerwona jak latarnia. Wyglądał, jakby sam potrzebował któregoś z Dickowych manometrów.

Moist postanowił interweniować.

— Harry, cały sens pociągów polega na tym, że są uniwersalne. Postaw je na torach, a pojadą.

Prawnik kontynuował swym melodyjnym głosem:

— Na pańskim miejscu, sir Harry, pozostawiłbym mi zadanie pilnowania takich spraw jak patenty, licencje i regulacje, podczas gdy pan i pan Simnel będziecie wypełniali świat parą. I proszę pamiętać, sir Harry, najważniejsze jest, że pan był pierwszy. Tego nikt panu nie odbierze. Pan, sir Harry, znalazł się na fali, jak to mówią, na szczycie drabiny. Jest pan założycielem kolei. Higieniczna Droga Żelazna Ankh-Morpork i Równin Sto jest solidna jak bank. — Troll uśmiechnął się i dodał: — Albo nawet jak ja... a jestem diamentem.

\* \* \*

Interesy Higienicznej Drogi Żelaznej rzeczywiście kwitły, a siła robocza się powiększała. Gobliny z quirmskiej makii przekazały przyjaciołom wiadomość o wielkich możliwościach Wielkiego Wahoonie; została przyjęta z entuzjazmem. A kiedy informacja Dicka o powstaniu Akademii Kolejowej trafiła do prasy w efekcie incydentu z Prznego Lasu, codziennie ustawiały się kolejki ludzi czekających, by Dick Simnel wziął ich do terminu. Simnel był twardy dla tych, których przyjmował, tłumaczył, że żelazo powinno wlać się im w dusze. Zdarzało się, że wyrzucał niektórych, kiedy uznał, że nie spełniają wymagań.

Moist wrócił z kolejnej wyprawy, której celem było sprawdzanie postępów na linii do Quirmu. W kompleksie Harry’ego Króla zobaczył uczniów żyjących we własnym mechanicznym świecie. Dave i Wally instruowali ich i pilnowali, żeby kaszkiety wkładali odpowiednio na bakier. Moist przyglądał się im, zatopionym w błogim mechanicznym śnie, i nie mógł nie zauważyć, że otaczają ich gobliny, wyraźnie uważające pilnie, jakby od tego zależało ich życie. Zbierały wszelkie porzucone brudne szmaty, które dla goblinów stanowiły prawdziwe haute couture, powód do dumy w ich norach.

Niedaleko od nich zwariowani obserwatorzy pociągów porównywali zapisane numery.

A tam stał Dick Simnel, także pochłonięty swoją najnowszą konstrukcją.

Moist ruszył ku niemu. Simnel, w usmarowanym kaszkiecie i brudnej koszuli z podwiniętymi do łokci rękawami, przetarł szmatą uśmiechniętą twarz, pozostawiając na niej tłustą plamę smaru.

— Panie Lipwig! Świetnie pana widzieć! Muszę coś panu pokazać! Sprowadziliśmy tę ślicznotkę ze Sto Lat i złożyliśmy tutaj zeszłej nocy! — Krzyczał głośniej niż normalnie. — Kluczowy ekwipunek! Mój wynalazek! Zbudowałem ją i nazywam obrotnicą!

Gdy mechanik podszedł bliżej, Moist miał ochotę zasłonić uszy dłońmi. To dlatego, że całe dnie pracuje przy pociągach, uznał, więc chce być słyszany wśród wszystkich tych gwizdów i stuków; ciekawe, jak on rozmawia z Emily.

Co do obrotnicy, była to okrągła płyta, która się obracała — wielka metalowa platforma z parą biegnących przez środek torów. Napędzała ją wielka korba połączona z mechanizmem zapadkowym. Troll, który nią kręcił, stanowił przykład pełnej koncentracji.

— Brawo, Dick — powiedział Moist. — Prawdziwa rewelacja, ale... na miłość wszystkich ciężko myślących, do czego to ma służyć?

Dick spojrzał na niego, jakby miał do czynienia z niemowlęciem.

— Nie rozumie pan, panie Lipwig? Wjeżdża pan lokomotywą na obrotnicę i... teraz będzie najlepsze... obraca całą platformę i teraz wóz stoi przodem w przeciwnym kierunku. — Simnel zatańczył na okrągłej żelaznej platformie. — Świetnie! — krzyczał. — Śwarnie! Prawie gotowe!

Jego tryumf zaakcentował syk jakby Żelaznej Belki na końcu długiej trasy. Byłoby to właściwe zakończenie eksperymentu, tylko że troll potrzebował czasu, by przestać kręcić korbą i żeby trochę już zielonkawy od wirowania Dick mógł w końcu zejść.

\* \* \*

Zadowolony, że Grom i Drumknott umiejętnie rozstrzygnęli starcie woli z innymi działającymi na Równinach Sto towarzystwami, niewątpliwie z pomocą mrocznych referentów, Moist nie mógł się doczekać powrotu do rodzinnej harmonii. I wtedy został wezwany do pałacu.

Nie zdziwił się, widząc jego lordowską mość wpatrzonego w codzienną krzyżówkę.

— Mają nowego układacza — szepnął Drumknott zza pleców Moista. — Ze smutkiem stwierdzam, że wygląda na lepszego. Jednakże jego lordowska mość robi, co może.

Vetinari uniósł głowę.

— Panie Lipwig... Czy to możliwe, by istniało takie słowo jak „kwestuariusz”?

Moist dokładnie wiedział, co to słowo znaczy, a to z powodu swojej zmarnowanej młodości. Wziął się w metaforyczną garść i powiedział:

— Chyba oznacza kogoś, kto prowadzi interesy dla zysku. Pamiętam, że trafiłem na to słowo kiedyś i bardzo się zdziwiłem, ponieważ moim zdaniem zysk to właśnie to, o co chodzi w interesach.

Patrycjuszowi twarz ani drgnęła. Dopiero po chwili rzekł:

— Faktycznie, panie Lipwig. — Odsunął azetę i wstał. — Słyszałem, że linia do Quirmu jest prawie ukończona. Jeśli Rada Quirmu wciąż zwleka, będę musiał zamienić słówko z panem Jeanem Némardem... Jedno z moich bardzo specjalnych słówek. Muszę przyznać, panie Lipwig, że obserwacja pańskiego udziału w rozwoju drogi żelaznej była głęboko satysfakcjonująca i jestem pewien, że wszyscy jesteśmy pańskimi dłużnikami.

— Och... Czy to znaczy, że mogę wrócić do normalnej pracy i widywać się z żoną częściej niż raz na tydzień mniej więcej?

— Oczywiście, panie Lipwig! Przecież działał pan jako ochotnik. Jednakże moja praca wymaga teraz drogi żelaznej do Überwaldu. Muszę pana spytać, jak szybko będzie mogła przejechać tą trasą lokomotywa. Non stop.

Moist cofnął się trochę.

— Nie da się tego zrobić, sir. Nie non stop. Trzeba brać wodę i węgiel, a do Überwaldu musi być ponad tysiąc mil!

— Dokładnie tysiąc dwieście dwadzieścia pięć mil z Ankh-Morpork do Bzyku. Oczywiście powozem, choć zdaję sobie sprawę, że pociąg będzie musiał jechać inną trasą.

— Rozumiem, sir. Ale non stop...

— Panie Lipwig, jeśli spróbuje mi pan tłumaczyć, że to niemożliwe, szybko znajdzie się pan na dole z kociakami. W końcu to pan jest człowiekiem, który potrafi załatwiać sprawy.

— Skąd ten pośpiech, sir? Chłopcy dobrze pracują, lecz rzadko trafia się dzień, kiedy uda im się położyć więcej niż trzy mile toru, nawet za te pieniądze, jakie Harry Król w nich pakuje. Dodatkowo zdarzają się różne nieprzewidziane przeszkody na trasie, a jeszcze każde miasto na Równinach Sto chce być włączone do sieci. Bardzo daleko sięgamy, sir. Jeśli spróbujemy dalej, to rozerwiemy się w środku.

Vetinari wstał i okrążył biurko.

— Dobrze. Wtedy obie części mogą pracować bardziej efektywnie! Wydaje mi się, panie Lipwig, że nie całkiem pojmuje pan naturę naszej relacji. Proszę pana bardzo grzecznie, by pan coś osiągnął, cały czas pamiętając, że są też inne sposoby proszenia. Do pana należy wykonanie zadania. Jest pan przecież człowiekiem, który może zrobić wszystko, wielkim von Lipwigiem, zgadza się? Radzę panu zatem porzucić wszelkie prace, które nie służą przejechaniu stąd do Überwaldu w najkrótszym możliwym czasie. Wszystko inne może zaczekać i zaczeka. — Uniósł dłoń. — Niech mi pan nie tłumaczy, jakie są problemy, niech mi pan przedstawi rozwiązania. Właściwie to nawet nie chcę, żeby mi je pan przedstawiał, niech pan tylko je realizuje.

— Pozwoli pan, że usiądę, sir? — poprosił Moist.

— Ależ oczywiście, panie Lipwig. Drumknott, przynieś naszemu gościowi coś do picia, chyba się zgrzał.

— Muszę zapytać, sir... Dlaczego trzeba to załatwiać w taki sposób?

Vetinari się uśmiechnął.

— Potrafi pan dochować tajemnicy, panie Lipwig?

— Naturalnie, sir. Wielu już dochowałem.

— Znakomicie. Otóż chodzi o to, że ja też. Nie musi pan tego wiedzieć.

Moist się nie poddawał.

— Wasza lordowska mość, już w tej chwili pociągi są elementem życia wielu ludzi, zwłaszcza tych z Równin, którzy dojeżdżają do pracy. Nie możemy wszystkiego rzucić!

— Panie Lipwig, czy jest coś w słowie „tyran”, czego pan nie rozumie?

— Nie mamy dość robotników, sir! — zawołał zrozpaczony Moist. — Brakuje nam ludzi do obsadzenia odlewni! Brakuje ludzi do wydobywania rudy! Mamy pewnie dostateczne zapasy, żeby dotrzeć do połowy drogi, ale chodzi o robotników.

— Tak — zgodził się Vetinari. — Ludzie to problem, prawda? Niech pan o tym pomyśli, panie Lipwig.

— A co z magami? Mogliby ruszyć swoje tłuste tyłki, żeby pomóc miastu?

— Owszem, panie Lipwig, ale wie pan, że w rezultacie odbije się to na wszystkich. Gorąca para jest naprawdę przyjazna w porównaniu z magią, która wyrwie się spod kontroli. Nie, panie Lipwig, nie będziemy się oglądać na magów. Musi się pan postarać, żeby pociąg do Überwaldu dojechał na czas.

— A kiedy ten czas nastąpi, sir?

— Jak powiedziałem, panie Lipwig, może w każdej chwili. Niedługo.

— W takim razie nie mam szans. To zajmie nam długie miesiące, może rok... albo więcej...

Atmosfera stała się nagle lodowata.

— W takim razie sugeruję, żeby brał się pan do pracy. — Jego lordowska mość wrócił na fotel. — Widzi pan, panie Lipwig, świat żyje między tymi, którzy mówią, że czegoś nie da się zrobić, i tymi, którzy mówią, że się da. Doświadczenie mi podpowiada, że zwykle ci drudzy mówią prawdę. To kwestia myślenia w sposób kreatywny. Niektórzy ludzie mawiają: „Myśl o tym, co nie do pomyślenia”, ale to oczywiście nonsens. Choć w pańskim przypadku, panie Lipwig, sądzę, że ma pan na to dość brawury. Proszę się zastanowić. A teraz niech mi pan nie pozwala się zatrzymywać...

Drzwi zamknęły się za Moistem i cisza otuliła Podłużny Gabinet. Patrycjusz wrócił do krzyżówki. Po chwili zmarszczył brwi, wpisał jakieś hasło i odsunął azetę.

— Drumknott, jak sobie radzi teatrzyk lalkowy Charliego? Zastanawiam się, czy sam Charlie miałby ochotę na krótki urlop. Tylko krótki.

— Oczywiście, sir — odparł Drumknott. — Zobaczę się z nim dziś po południu.

— Tak się powinno działać — pochwalił lord Vetinari.

\* \* \*

Choć jeszcze kręciło mu się w głowie od żądań Vetinariego, Moist wyruszył konno z powrotem do Prznego Lasu z misją.

— Odszukaj tę staruszkę i przekaż jej wyrazy współczucia — przykazał mu Harry. — Powiedz, że bardzo mi zaimponowało to, jak jej synowie próbowali okiełznać parę, i podziwiam ich jako pionierów. Rozejrzyj się i sprawdź, jak sobie radzi. Ostatnio mam wrażenie, że złoto wylewa mi się uszami, więc mógłbym dać jej niewielką rentę, tylko na miłość bogów, nikomu o tym nie wspominaj. Aha, powiedz też, że dopilnuję, by jej chłopcy trafili na pierwsze strony, kiedy powstanie historia kolejnictwa. I że może mnie odwiedzić, kiedy zechce.

Stara chata w lesie była taka, jakiej Moist się spodziewał. Pani Wesley zalała się łzami, kiedy przedstawił jej propozycję Harry’ego. Uparła się, by uważać go za świętego albo anioła. Moist rozumiał, jak działa świat, i przewidywał, że wiadomość o geście sir Harry’ego w ciągu kilku godzin znana będzie wszystkim w lesie, a że wieści rozprzestrzeniają się szybko, pod koniec dnia dotrze też do Ankh-Morpork.

Dobrze wiedział, jakim człowiekiem jest Harry: niesłychanie bystrym, mającym złote serce i sentymentalne łzy. Ten gest doskonale do niego pasował — Harry nie miał tu żadnych ukrytych motywów. Kiedy jednak wiadomość się rozejdzie, trafi do wszystkich azet jako dobroczyńca ubogich, a zatem celebryta.

Nie po raz pierwszy Moist ubolewał nad swoją skłonnością, by widzieć ukryte zamiary we wszystkim, co się zdarzy dobrego czy złego.

\* \* \*

— Ile?

To proste pytanie zabrzmiało jak wypowiedzenie wojny, którym niemal było, gdy Harry zobaczył kosztorys ekspresowej linii do Bzyku.

Moist się nie wystraszył.

— Dick mówi, że żelazo leży wszędzie, Harry, ale trzeba je wykopać, a przerobienie go w stal wymaga pieniędzy — powiedział szybko, zanim Harry zdążył kogoś zrzucić ze schodów.

— Trzeba dodać złota, żeby dostać stal — wtrącił spokojnie Simnel. — Chłopcy z odlewni dali nam dobre warunki, lecz do Überwaldu mamy tysiąc dwieście mil, a na to trzeba bardzo dużo stali.

— Harry — tłumaczył cierpliwie Moist. — Wiem dobrze, że kiedy ty i twoja dama się pobraliście, często dzieliliście zapałki na połowy, żeby starczyły na dłużej. Ale nie jesteś już tym człowiekiem. Możesz sobie na to pozwolić.

Obserwował twarz Harry’ego. Wiedział, że Harry Król przedarł się na szczyty z rynsztoka i był z tego dumny, ale pieniądze zarabiał tanio, ponieważ niewykwalifikowani robotnicy nie wymagają wielkich inwestycji. Dlatego każdą sugestię, że powinien płacić, uważał za dowód, że coś jest nie w porządku ze światem.

Odezwał się Dick Simnel:

— Na pańskim miejscu, sir, sięgnąłbym do skarbonki i kupił tyle stali, ile się da, ale bez hałasu. W przeciwnym razie może nagle podrożeć, jeśli pan rozumie, o czym mówię. Popyt i podaż.

Harry wciąż miał minę, jakby podejrzewał, że chcą go naciągnąć, co było dla niego bazowym stanem ducha. A Moist pomyślał: Właściwie na co Harry wydaje te swoje góry złota?

Brnął więc dalej.

— Zapewniam cię, Harry, że jesteś klientem o dobrej pozycji, więc Bank Królewski na pewno udzieli ci pożyczki, gdybyś jej potrzebował. Chociaż wyznam szczerze, dobrze wiem, że stan twojego konta z nadwyżką wystarczy na położenie torów do księżyca i z powrotem, plus jeszcze flotyllę lokomotyw na dodatek.

— Może pan też sprzedać udziały, sir Harry — zadudnił pan Grom. — To znaczy, że dzieli się pan pewnymi kosztami, choć niestety musi się pan również podzielić zyskiem. To pańska decyzja.

Moist dostrzegł okazję.

— Rozumiesz, Harry, każdy, kto kupi udziały w twojej drodze żelaznej, będzie wściekle zainteresowany sukcesem jego... bo teraz będzie też jego... drogi żelaznej, a więc stanie po twojej stronie. To coś, co trolle nazywają bezmózgiem: kiedy bogacisz się na dymie, to jest twój dym, więc nie narzekasz. Dodatkowo... — Moist nabrał tchu. — Jeśli rozłożysz ryzyko, stać cię będzie także na budowę domków dla robotników kolejowych. Dzięki temu będą zawsze blisko torów, tuż obok, więc będą gotowi...

— Nie musi pan mi tego tłumaczyć, panie Lipwig. Chłopcy, którzy dla mnie pracują przy taśmociągach, też wszyscy mieszkają tuż za progiem. Różnica jest taka, że sami dla siebie budują.

— Te domki nie muszą być pałacami — tłumaczył Moist. — Wystarczy, że będą wygodne, z kawałkiem ogrodu, by dzieciaki mogły się bawić. Wszyscy będą zadowoleni, a ty na tym wygrasz. W końcu kto by nie chciał mieszkać blisko pracy? Ładnie i ciepło, i węgla pod dostatkiem.

Harry Król pewnie przyłożyłby pięścią każdemu, kto by go nazwał filantropem, jednak pod całym swym gderaniem bywał dziwnie miękki. Starzy pracownicy, niezależnie od gatunku, kończyli z emeryturą, co w Ankh-Morpork rzadko się zdarzało. Moist jako szef banku wiedział, że wysokie rachunki za leczenie miały tendencję do znikania, gdy Harry o nich usłyszał. Natomiast na Strzeżenie Wiedźm, burcząc przy tym jak podstarzały troll z bólem głowy, Harry pilnował jednak, by wszyscy pracownicy mieli na stole nazwane mięso, i to do syta[[[51]](#footnote-51)](#51_1).

Tak, Moist znał go dobrze.

— Posłuchaj mnie, Harry. Wiem, że dla człowieka, który sam sobie wszystko zawdzięcza, dopuszczenie innych to przekleństwo dla ducha. Stać cię na to, żeby samemu ponieść całe ryzyko i być potem bogaty jak Kreozot. Ale mam wrażenie, Harry, że już jesteś bogaty jak Kreozot, a zatem jako znany zimny drań sądzę, że nie potrzebujesz drugiej fortuny. Natomiast jako twój bankier chciałbym zaznaczyć, że podzielenie się ryzykiem i zyskami byłoby najbardziej roztropnym i towarzysko akceptowalnym rozwiązaniem.

Przez chwilę widział już, jak Harry formułuje w myślach odpowiedź, że towarzyska akceptowalność może by sobie choć raz ubrudziła ręce uczciwą pracą, zamiast wtrącać się w sprawy uczciwych przedsiębiorców, którzy harują dniami i nocami. Ale dostrzegł też uśmieszek Harry’ego: Harry wiedział, że to rzeczywiście najlepsze rozwiązanie. Lord Vetinari lubił przecież, gdy mieszkańcy Ankh-Morpork uważali, że mają udziały w swoim, tak jest: swoim, mieście.

— Poza tym — dodał, by zamknąć sprawę — Vetinari żąda trasy do Überwaldu, a on jest najwyższym szefem. Kto wie, miasto może się okazać bardzo szczodre w finansowaniu przedsięwzięcia. Pociągi krążą, pieniądze także.

\* \* \*

Ceremonia oficjalnego otwarcia głównej linii do Quirmu odbyła się w terminusie w Ankh-Morpork; niestety, główną rolę odegrał w niej alkohol. Zaprezentowano nową lokomotywę, ochrzczoną Fierté d’Quirm. Butelkę znakomitego szampana rozbili o kocioł markiz des Aix en Pains i jego żona, która była teraz bardzo szczęśliwie — jak to powiadają w Quirmie — enceinte.

Pośród tych obchodów chyba tylko Moist zauważył, jak Dick Simnel opuszcza towarzystwo, by starannie zetrzeć z kotła spieniony szampan, a jego chustka do nosa natychmiast zmienia się w brudną szmatę.

Dick spojrzał na Moista surowo.

— Nie możemy na to pozwalać, panie Lipwig. To może zaszkodzić machinie. A zamierzam na płaskiej makii rozpędzić ją do czterdziestu mil na godzinę, żeby pokazać tym homarom, co potrafimy.

W dziewiczą podróż Moist wyruszył w kabinie razem z palaczem i Simnelem. Makia przesuwała się w tył z przerażającą szybkością, a gobliny machały im z każdego głazu czy starego drzewa. Miał wrażenie, że w którymś momencie zauważył Ze Zmierzchu Ciemność, ale ku jego zdumieniu zuchwały goblin czekał już, gdy zahamowali w miejskim terminusie w Quirmie. Czyżby ten drań znał jakieś sposoby podróży dla ludzi całkiem niedostępne?

Wszyscy pasażerowie świetnie się bawili, z całym mnóstwem avec i dużą ilością słynnej entente cordiale. Podziwiano eleganckie nowe wagony. Dla wielu osób zwieńczeniem wytworności był wytworny dżentelmen zajmujący się toaletami dla dżentelmenów w wagonach pierwszej klasy; bardzo sprawnie podawał ręczniki i tłumaczył działanie szklanego zbiornika, w którym pływała złota rybka — zdawała się tańczyć w strumieniu wody przy spłukiwaniu, jednak jakieś ukryte sito czy coś podobnego chroniło ją od spłynięcia z prądem.

Na Quirmie Centralnym powitała ich parada zapowiadająca kolejną rundę towarzyskich i politycznych, doprawianych alkoholem uroczystości zakończonych wielkim bankietem w szopie lokomotywowni. Kolejne toasty wzniesiono, gdy lokomotywę odwrócono na nowej obrotnicy, by zabrała do domu gości z Ankh-Morpork, gdzie trzeba było wyprowadzać ich z pociągu.

\* \* \*

I tak wkrótce potem, pewnego pięknego letniego wieczoru, Moist i Adora Belle zasiedli do uroczystej kolacji; podano świeże homary dostarczone z Quirmu nowym ekspresem Fruits de Mer. Były dobre i tańsze niż kiedykolwiek dotąd. Danie świetnie smakowało z rukwią piekącą aż do samego żołądka.

Potem czekały na nich świeże truskawki i miękkie łóżko z puszystymi poduszkami, i jakoś cała wcześniejsza bieganina wydała się Moistowi warta wysiłku.

\* \* \*

Wszystko zaczęło się w Górnym Nawisie we Włości. Miejscowi opowiadali, że nocami słyszą hałasy — metaliczne stuki, zgrzyty, niekiedy jęk dręczonego naprężeniami metalu. Wszyscy oczywiście powtarzali: Gobliny, w końcu czego się po nich spodziewać.

Wszystko to zwróciło uwagę starszego funkcjonariusza Feeneya Upshota podlegającego pod komendę w Ankh-Morpork. Feeneyowi podobał się taki układ. Oznaczał, że jeśli ktoś zacznie mu sprawiać kłopoty, prędzej czy później spotka się z komendantem Vimesem albo nawet sierżantem Detrytusem, których pojawienie się parę lat temu wywołało w tej sennej okolicy wielką sensację.

Feeney dosiadł konia i ruszył do Nawisów — nazwanych tak dlatego, że w niezwykle dalekiej przeszłości cała okolica była tu poszarpana, pełna niezgłębionych jaskiń i ostrych, groźnych łańcuchów.

Feeney był porządnym i rozsądnym gliną, a tacy ludzie znajdują sobie przyjaciół — bo nigdy nie wiadomo, kiedy przyjaciele okażą się potrzebni. Zwłaszcza jeśli ktoś jest jedynym gliną — choć w teorii Feeney mógł liczyć na wsparcie funkcjonariusza specjalnego Z Komina Kości. Ktoś musiał pilnować prawa, a prawo dotyczyło każdego; ostatnio prawo zadekretowało, że gobliny są ludźmi, a zatem też podlegają ochronie. W tej okolicy uosobieniem tej ochrony był starszy funkcjonariusz Feeney i jego podwładny. Co zaskakujące, funkcjonariusz specjalny pozwolił przełożonemu zwracać się do siebie „Kostek”, rozsądnie pojmując, że jeśli w takim czy innym starciu ktoś chce wezwać pomocy, woli wykrzyczeć możliwie krótkie słowo[[[52]](#footnote-52)](#52_1).

Feeney odwiedził kiedyś Ankh-Morpork i był dumny, że w Pseudopolis Yard ukończył szkolenie podstawowe prowadzone przez sierżanta Detrytusa. Przekonał się, że Kostek jest trochę bardziej inteligentny niż sławny kapral Nobby Nobbs, więc nie narzekał.

Teraz także się ucieszył, widząc, że goblin czeka na niego przed wejściem do głównej jaskini, gdzie miał swoje biuro — uznawane przez miejscowe gobliny za coś w rodzaju kaplicy.

Kwitnąca obecnie kolonia goblinów żyła w Nawisie Mniejszym. Handlowały delikatnymi urnami, a Feeney wiedział, że tworzenie takich urn to na ogół spokojne zajęcie, niewymagające głośnego stukania. Niewielka grota, służąca Kostkowi za biuro, znajdowała się przy samym wejściu. A z obszernej jaskini za nią dobiegały dźwięki, które z całą pewnością nie miały nic wspólnego z urnami. To był metal, ciężki metal... No ale — w tym miejscu Feeney trochę się zająknął, przynajmniej myślowo — gobliny są wolne, a jeśli ktoś ma ochotę stukać w metal w odosobnieniu własnej jaskini, niech sobie stuka.

To był całkiem nowy świat i jeśli człowiek nie nauczył się w nim żyć, łatwo mógł się przewrócić.

Feeney był człowiekiem grzecznym i na tyle bystrym, by nauczyć się trochę gobliniego, co naprawdę pomagało. Świeciło słońce, a jazda do Nawisów była przyjemna. Na wzgórku nad jaskinią ustawiono obsługiwaną przez gobliny wieżę sekarową. Kiedy już przekazał dokumenty i wydał polecenia, usiadł, by spokojnie pogadać z kolegą gliniarzem. Poruszył temat tego gobliniego stukania i walenia w kontekście zakłócania spokoju. Ponieważ bardzo niewielu ludzi mieszkało wokół goblinich osad, starszy funkcjonariusz Feeney przypisywał te skargi dawnej niechęci do goblinów robiących cokolwiek i w dowolnym miejscu. Poradził jednak, że warto przenieść to, co robią, nieco dalej w głąb jaskiń.

— Nie ma zmartwienia, szefie, wiś — odparł skrzypiącym głosem Kostek. — Nie będziemy się kłócić. Żaden problem.

— Dobrze wiedzieć, Kostek. Ale co to za zgrzytania i stukania?

— Wiesz, szefie, że dużo goblinów chodzi do Ankh-Morpork i pracuje dla sir Harry Króla, magnesu śmieci. Pracują przy drodze żelaznej. Wiesz, jak to jessst, tak? Co miesiąc wracają z wypłatą. Nigdy jeszcze nie mieli wypłaty. Czasami przychodzą z wykresami i... I pomysłami, i chem matami. — Kostek przyglądał się przełożonemu z lekkim niepokojem.

— Kradną... pomysły? — szepnął Feeney.

Zapadła cisza i zrozumiał, że popełnił faux pas, ale Kostek roześmiał się tylko.

— Nie, szefie. Poprawiają. Lubimy sir Harry, to baaardzo dobry zatrudniacz, ale chcemy zbudować własną goblinią drogę żelazną. Żeby szybko wędrować i łatwo, bez problemu. A najlepszy sposób, żeby zbudować drogę żelazną, to nie budować. Kopać. Kopać pod ziemią. Podziemna goblinia kolej, tak? Przewiezie wszystkie gobliny ze wszystkich grot. Dużo jest grot w trzewiach świata. Nie ma zamieszania. Gobliny wszędzie potrzebne. Jak miła pani Adora Belle by sobie radziła, gdyby nie gobliny w sekarach? Można nam wierzyć... no, przynajmniej tak, jak my wierzymy śmierdzącym ludziom. Cudowna kolej pod ziemią. Wąski rozstaw, oczywiście. Widzisz? Znamy nawet język. Nie ma tu deszczu i śniegu, nie straszymy osłów, nie przeszkadzamy staruszkom. Wiś! Nareszcie własny goblini świat pod światem wielkich ludzi. My gobliny teraz na scenie. Nie ma odwrotu.

Feeney zastanawiał się nad tym w drodze do domu. Nie był filozofem i nie wiedział nawet, że ktoś taki istnieje, ale w głowie wciąż dobijały mu się echem słowa gobliniego policjanta. Co się stanie, myślał, jeśli gobliny dowiedzą się wszystkiego o ludziach i zaczną wszystko robić po człowieczemu, bo uznają, że tak jest lepiej niż po gobliniemu? Ile trzeba czasu, by całkiem przestały być goblinami, by zostawiły za sobą wszystko, co goblinie, nawet swoje urny? Urny były śliczne, sam kupił kilka dla mamy. Gobliny przykładały się do nich i urny lśniły nawet nocą, ale co się stanie potem? Czy gobliny przestaną się interesować urnami albo czy ludzie opanują poważną, cenną, trudną, niemal magiczną sztukę ich wytwarzania? A może gobliny staną się... no, tak jakby innym rodzajem ludzi? I co by było lepsze?

Potem pomyślał, że może policjant nie powinien się nad tym zastanawiać, w końcu nie popełniono żadnego przestępstwa, nic złego się nie stało... A jednak się stało, w pewien subtelny sposób. Coś było wykradane ze świata, choć nikt tego nie dostrzegał ani o to nie dbał.

Wkrótce dał sobie spokój, bo dotarł już prawie do domu, a mama obiecała mu Man Psiak Ssak Po z marchewką, choć to nie była niedziela.

\* \* \*

Budowa najdłuższej drogi żelaznej, jaką oglądał Dysk, okazała się codzienną harówką, a także harówką conocną. Kolejne tygodnie coraz dalej odciągały Moista od miasta. Coraz rzadziej bywał w domu, by się rozkoszować owocami swej pracy[[[53]](#footnote-53)](#53_1).

Wzdłuż całej tysiącmilowej trasy wyrastały nowe warsztaty kolejowe, a w każdym trwała bezustanna krzątanina; wagony przybywały i odjeżdżały o dowolnej godzinie dnia i nocy. Towarzystwo zadbało o należyte zaopatrzenie siły roboczej, gdyż — jak wyjaśnił Harry Król w „Pulsie Ankh-Morpork” — robotnicy kolejowi po całym dniu ciężkiej pracy potrzebowali solidnych posiłków i spokojnego snu w ciepłym i wygodnym łóżku. Po pewnym czasie jednak nie miało już znaczenia, czy łóżko jest ciepłe i wygodne, ponieważ człowiek zasypiał, gdy tylko rzucił się na nie zaraz po tym, jak poprzedni lokator, wymachując menażką, odchodził na swoją zmianę.

Chodziło głównie o szybkość, a czasem o męskość, czy jak tam nazywano tę cechę wśród trolli, goblinów i golemów, oraz naturalnie wśród twardych, żelaznych ludzi z gór, tak często walczących między sobą o nic.

Tam, gdzie nowa linia biegła wzdłuż brzegu Ankh, zwężającej się coraz bardziej w drodze do źródeł w Ramtopach, w dół i w górę rzeki pływały barki niosące drewno na podkłady, rudę żelaza, węgiel i inne materiały. Piece hutnicze pracowały po nocach, odlewając szyny; jeśli człowiek miał szczęście i znalazł się w odpowiednim miejscu dostatecznie chroniony, mógł zobaczyć, jak otwierają paszcze i wypluwają lśniącą płynną stal, żywą i tańczącą niczym stwór z podziemnego świata. Jeśli miał pecha i stanął za blisko, prawdopodobnie kończył we wspomnianym podziemnym świecie, stojąc przed wybranym przez siebie bóstwem.

A wszystko to napędzały pieniądze, pieniądze, pieniądze. Entuzjastyczni inwestorzy zamieniali złoto na stal i węgiel w nadziei, że stal i węgiel zamienią się w więcej złota.

Robotnicy stawiali składy na węgiel wzdłuż całych torów, a Moist zdał sobie sprawę z faktu, że na drodze żelaznej te wszystkie parowozy, wagony i tak dalej to tylko widoczna część całości, żelazny koń, którego trzeba karmić i poić. A tym zajmowali się ludzie praktycznie koloru węgla, dostrzegani przez chwilę, kiedy przejeżdżał pociąg, i zapominani zaraz potem. Wiedział — ponieważ uczestniczył we wszystkich naradach i słuchał — że kierowanie drogą żelazną to masa niewielkich łamigłówek, a jeśli się je otworzy, prezentują patrzącemu nową sekwencję pełną ograniczeń i list rzeczy, które trzeba rozwiązać, zanim może się zdarzyć cokolwiek innego. Krótko mówiąc, kolej była komplikacją na kołach. Zadziwiające, że suwak logarytmiczny pana Simnela nie rozgrzewał się do czerwoności jak paleniska, przy których pracował.

W Kolnóżkach warsztaty wypuszczały kolejne machiny — niewielkie ciągniki turkoczące tam i z powrotem po wciąż rosnącym kompleksie i łączące razem wagony i parowozy; nocne pociągi, powolne i ciężkie, odbierające wagony od hodowców rukwi i innych, którzy chcieli przed świtem dostarczyć swoje produkty do miasta; nowego Lotnika model II, który miał dach nad kabiną (wreszcie kabiną nie tylko z nazwy) i piękne zielone barwy. Wszystkie dostawały własne imiona, takie jak „Duch Scrote” czy „Król Pseudopolis”[[[54]](#footnote-54)](#54_1).

Gwizd pary nie przeszkadzał już, ale stał się jednym z typowych odgłosów Ankh-Morpork, takim jak wybuchy w Gildii Alchemików. Pewien starszy człowiek powiedział żonie:

— Nie trzeba zegara, jeśli się zna dźwięk ekspresu o siódmej do Quirmu.

Zdawało się, że zaledwie tygodnie minęły od chwili, gdy Żelazna Belka pierwszy raz przejechała wolno dookoła kompleksu Harry’ego Króla. Teraz, nim minął rok, tory rozgałęziały się na całych Równinach Sto, we wszystkich kierunkach łącząc z sobą miasta i wioski.

A w pobliżu tych miasteczek i wiosek zaczynały wyrastać ładne nowe domki robotników kolejowych. Domy z łazienkami! Z gorącą bieżącą wodą! Owszem, wygódki nadal stały na zewnątrz, mimo to kanalizacja była dobrze utrzymana[[[55]](#footnote-55)](#55_1). Trzeba Harry’emu przyznać, że jeśli już coś robił, robił to jak należy, a tym bardziej jeśli w pobliżu była Effie[[[56]](#footnote-56)](#56_1).

Można by odnieść wrażenie, że pojawiło się wolne miejsce i teraz było intensywnie wypełniane. Nadszedł czas machin parowych i machiny parowe się pojawiły niczym krople deszczu spadające dokładnie do swojej kałuży. Moist, Dick, Harry i Vetinari, i cała reszta, byli tylko odpryskami wśród ulewy.

\* \* \*

Pewnego dnia w terminusie Ankh-Morpork, kiedy Moist znowu wyruszał na Równiny Sto, do jego wagonu wsiadła starsza dama, przedstawiła się jako pani Georgina Bradshaw i usiadła, oburącz ściskając kosztowną z wyglądu torbę. Moist wstał, by zaproponować jej miejsce w kierunku jazdy, jak najwyraźniej wymagała pociągowa etykieta.

— Drogi panie, proszę się mną nie przejmować. Ale dziękuję. Potrafię rozpoznać dżentelmena, kiedy go spotkam.

— Moist von Lipwig do usług, szanowna pani.

— Och... Jest pan... tym... panem Lipwigiem? Panem Lipwigiem kolejarzem? Wiele o panu słyszałam.

— Tak, przypuszczam, że to rzeczywiście ja. Kiedy nie ma innych pretendentów.

— Czy to nie fascynujące? — mówiła dalej pani Bradshaw. — Nigdy jeszcze nie jechałam pociągiem. Podjęłam środki ostrożności i zabrałam kilka pigułek na wypadek, gdybym poczuła mdłości. Czy panu się to kiedyś zdarzyło?

— Nie, droga pani. Raczej lubię rytm jazdy pociągiem. Ale niech pani powie, gdzie pani dostała te cenne pigułki?

— Pewien dżentelmen, niejaki profesor Dibbler, sprzedaje panaceum na dolegliwości kolejowe. Był bardzo przekonujący.

Moist nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Szanowna pani, obawiam się, że pan Dibbler jest w najlepszym razie czarującym nicponiem. I jestem całkiem pewien, że to panaceum to jedynie kosztowny cukier z kilkoma dodatkowymi substancjami. Dibbler stanowi niestety awangardę handlarzy patentowanymi środkami medycznymi, którzy nadszarpują moją cierpliwość.

Zaśmiała się.

— Dobrze powiedziane, mój panie. Uznam zatem, że te dwa i pół pensa po prostu wyrzuciłam w błoto.

— Wolno spytać, jakie sprawy skłoniły panią do podróży?

— Właściwie żadne. Pomyślałam sobie: przecież żyje się tylko raz. Mama opowiadała mi, że kiedy byłam mała, biegałam za powozami, żeby sprawdzić, dokąd jadą. Teraz, kiedy odszedł mój mąż Archibald, uznałam, że czas chyba wyruszyć i zobaczyć świat... Wie pan, te dalekie miejsca z dziwnie brzmiącymi nazwami... jak Dwukoszul, Przny Las czy Scrote. Można sobie wyobrazić, że w jakimś dalekim miejscu o nazwie Dwukoszul dzieją się wszelkiego rodzaju egzotyczne zdarzenia. Tyle jest okolic, których nie widziałam... Mam cały świat do poznania, zanim będzie za późno. Prowadzę dziennik podróżny, więc kiedy wrócę, będę mogła przeżywać wszystko od nowa.

Coś przeskoczyło w głowie Moista.

— Wolno spytać, pani Bradshaw, czy ma pani ładny charakter pisma?

Spojrzała na niego z góry.

— W samej rzeczy, panie Lipwig. Kiedyś pisałam pięknym pochyłym pismem dokumenty dla mojego drogiego zmarłego Archibalda. Był prawnikiem, a oni wymagają doskonałości w piśmie i w użyciu języka. Pan Slant zawsze był bardzo... drobiazgowy w tym względzie, a nikt nie potrafił docenić rozsądnego użycia latacjańskiego lepiej niż mój kochany Archibald. Muszę też dodać, że kształciłam się w Quirmskiej Pensji dla Młodych Panien, gdzie kładli wielki nacisk na naukę obcych języków, chociaż przyznaję, że ostatnio morporski stał się nową lingua quirma. — Pociągnęła nosem. — No a pracując z moim mężem, wiele się dowiedziałam o ludziach i ich naturze.

— Pani Bradshaw, gdyby miała pani pojechać wszędzie tam, gdzie docierają pociągi, i napisać o tych wszystkich miejscach, może zechciałaby pani przesłać mi kopię swych notatek? Mogą się przydać innym śmiałym pasażerom. Ludzie dowiedzieliby się, czego się spodziewać w Prznym Lesie czy Dwukoszulu, zanim zapłacą za bilet choćby pensa. Już teraz wielu mieszkańców z Ankh-Morpork wyjeżdża do Quirmu tylko z powodu słońca. To nasza najbardziej obciążona linia! Na pewno rozważą też inne kierunki, jeśli lepiej poznają miejsca, które pani odwiedzi. Może mogłaby pani załączyć również notki o dostępnych noclegach, a także interesujących punktach po drodze? — dodał, rozgrzany swoją wizją. — Wszystko, co pani sama chciałaby zobaczyć i co panią zainteresuje. Gdziekolwiek trafi pani w swoich podróżach, może pani zaadresować rękopis do Moista von Lipwiga i oddać naczelnikowi stacji. On dopilnuje, by tekst dotarł do mnie.

Pomyślał o ilości złota rosnącej w kufrach Harry’ego Króla i dodał:

— Jestem pewien, że uda się zaaranżować pewne honorarium...

Pani Bradshaw usiadła wygodnie i zaczęła wyglądać przez okno. Moist wyjął notes i napisał liścik do Harry’ego Króla:

Proszę, zgódź się, żeby pani Georgina Bradshaw podróżowała, gdzie zechce, nawet małymi bocznymi liniami, których jeszcze w pełni nie otworzyliśmy. Uczęszczała do jednej z najlepszych szkół dla dziewcząt, o jakich słyszałem, zna języki i robi zapiski na temat wszystkich naszych stacji, co może się przydać. Instynkt mi podpowiada, że świetnie się sprawdzi. Mam przeczucie, że będzie skrupulatna albo dowcipna, albo jedno i drugie. Do tego wdowa, która nosiła taki złoty pierścionek z brylantem, jadąc przez Ankh-Morpork, i nadal go nosi, kiedy wyjeżdża, na pewno nie jest głupia. Wyraża się nie gorzej od lady Sybil — to efekt Quirmskiej Pensji dla Młodych Panien. Znakomita szkoła. Kogoś takiego szukaliśmy! Chcemy, żeby ludzie w pociągu poszerzali swoje horyzonty, oczywiście, ale czemu nie w jednodniowych wycieczkach? Sam wiesz, że są w Ankh-Morpork tacy, którzy nigdy nie byli nawet w Sto Lat. Podróż wzbogaca umysł, a także towarzystwo kolejowe.

\* \* \*

Próbka wybitnego dzieła przybyła na perfumowanym papierze tydzień później.

Górna Pleśniawka na Równinach Sto oferuje cudowne kąpiele w zasolonych wodach z przyjemnie ciepłego źródła, a właściciel i jego żona robią higieniczne masaże tym, którzy chcą skorzystać z tego dobrodziejstwa. Damy i dżentelmeni osobno, ma się rozumieć; nie widziałam tu nic, co można by uznać za niezdrowe albo co mogłoby urazić najdelikatniejszą nawet wrażliwość.

Hotel Continental w pobliżu oferuje noclegi dla trolli, ludzi, krasnoludów i goblinów. W chwili obecnej dostępne jest pięćdziesiąt pokoi. Tych, którzy chcieliby zwiedzić okolicę, pewnie zainteresuje Święta Łąka Wybitego Kolana, która warta jest zobaczenia ze względu na zadziwiające echa. W niewielkiej odległości znaleźć można kaplicę Anoi, bogini patronującej osobom mającym kłopot z przedmiotami, które utknęły w szufladach.

Przyjemna wycieczka weekendowa dla zmęczonych miejskim gwarem, ze znakomitymi posiłkami. Bardzo polecam.

Moist zanotował sobie, że kiedy następnym razem wróci do Ankh-Morpork, powinien się spotkać z panem Kozabergerem. Znał się na ludziach i zgadywał, że wydawca będzie gotów rękę sobie odgryźć, byle zdobyć udział w kolejowej magii.

\* \* \*

Gdy następnym razem znalazł się w mieście, priorytetem stała się linia do Überwaldu. Harry, wyraźnie zaniepokojony, krążył po dużym pokoju, gdzie zwykle z Dickiem Simnelem pochylali się nad mapami, raportami i schematami.

— Posłuchaj mnie, Moist, ale tylko między nami i tymi czterema ścianami: mam dreszcze. Zdjęliśmy brygady z innych linii, coraz więcej i więcej pracy wkładamy w tę trasę do Überwaldu. To mordercze przedsięwzięcie. Lepiej bym się czuł, stojąc po kolana w gównie, gdzie się zresztą wszyscy znajdziemy, jeśli nam się nie uda. Możesz mi wierzyć.

— Tak — przyznał Moist. — Ale musisz pamiętać, że osiągnięcie Überwaldu oznacza dotarcie do całej masy innych miejsc po drodze, a wszystkie chcą mieć drogę żelazną i pomogą nam pokryć koszty. Problem stanowią tunele i mosty, ale na szczęście to są stare technologie. Nie brakuje murarzy, którzy mogą dla nas postawić solidne mosty, a co do tuneli, trolle błagają niemal, żeby pozwolić im je robić, jeśli tylko będą mogły w pobliżu wykopać sobie domy.

Harry burknął coś pod nosem.

— Dobre u trolli jest to — dodał Moist — że ściągają z sobą całą rodzinę, nawet dzieci. Taki mają zwyczaj. A jeśli który nie zna się na skałach, to nie jest prawdziwym trollem. Parę dni temu jeden mnie zapytał, czy mógłby zostać mierniczym, a ja już otwierałem usta, żeby powiedzieć „nie”, kiedy pomyślałem sobie: A właściwie dlaczego? Wydawał się całkiem bystry; trochę powolny, owszem, ale bystry. Więc poprosiłem naszych chłopców, żeby trochę go pouczyli. Przy pracy, jak to mówią.

— Dasz mu taki specjalny skalny blok logarytmiczny Simnela? — uśmiechnął się Harry.

— Czemu nie? — Moist parsknął śmiechem. — Może warto. Nie ma powodów, by mierniczy nie mógł być tak silny, żeby podnieść górę i sprawdzić, co jest pod spodem.

Wykorzystał poprawę nastrojów, żeby skierować uwagę Harry’ego ku przyjemniejszym tematom: poprosił, by wprowadzić go w ostatnie wydarzenia.

Codziennie rano biurko Harry’ego Króla zasypywały listy od ludzi, którzy nie życzyli sobie pociągów, życzyli sobie niektórych pociągów albo z całą powagą żądali pociągów natychmiast. Poza tym docierały wszelkie inne pomocne uwagi i sugestie. Niejaki Snori Snorisson napisał skargę, bo tak wielu innych ludzi umówiło się na spotkanie pod stacyjnym zegarem, że jego przyjaciel stracił cztery godziny, by go znaleźć; czy kolej nie powinna zadbać o drabiny do użytku niższych obywateli? Wymagano pomocy dla pasażerów z ciężkim bagażem, dla osób starszych i nieumarłych... Przy całej tej niebezpiecznej maszynerii czy nie powinni tam pracować strażnicy — nie ci ze Straży Miejskiej, oczywiście, ale ktoś rozsądny — by pilnowali pociągów i pasażerów? A to oznaczało mundury, czapki, chorągiewki, gwizdki i inny ekwipunek.

Całe to zamieszanie było zapewne powodem, że wydawca „Pulsu Ankh-Morpork” postanowił zatrudnić korespondenta kolejowego. Pan Raymond Shuttle był bezczelnym i zadeklarowanym kolejowym hobbystą oraz maniakalnym obserwatorem lokomotyw. Trudno byłoby nie rozpoznać błysku w jego oku.

Harry przyznał, że jest zachwycony, widząc, jak entuzjaści wydają swoje dolary na kolejowe pamiątki. Takie na przykład jak nakręcane modele lokomotyw, produkowane na licencji przez tych demonicznie chytrych rzemieślników zarabiających fortuny na kolejowym biznesie[[[57]](#footnote-57)](#57_1). A chytrzejsi rzemieślnicy, wciąż poszukujący nowych możliwości zarobku, bezustannie tworzyli dodatki do tych zabawek: mała szopa i cztery maleńkie figurki, by czekały na pociąg... Budka sygnalizacyjna z machającym goblinem... Nawet miniaturowa obrotnica, całkiem jak prawdziwa... I tak to szło. Dzieciak mający czułych rodziców mógł zdobyć własną Żelazną Belkę na owalnym torze z prostymi i łukami, a nawet miniaturowych robotników kolejowych, łącznie z miniaturowym Harrym Królem[[[58]](#footnote-58)](#58_1).

I po raz kolejny Moist zadumał się nad potęgą marzenia.

\* \* \*

A potem znowu poszedł do wypełnionego smarem świata kompleksu, by obejrzeć testowane przez chłopców najnowsze machiny i sprawdzić, co pomysłowy Dick Simnel wymyślił od ich ostatniego spotkania.

Jednego był pewien — chociaż Dick Simnel bez przerwy przynosił schematy i plany nowych lokomotyw, codziennie widziało się go, jak pracuje przy Żelaznej Belce. Prawdopodobnie dlatego właśnie przy każdej wizycie wyglądała trochę inaczej: tu inny kocioł, tam inne koła, gdzie indziej inna farba i prawdopodobnie mnóstwo wewnętrznych części, których Moist nie widział.

Żelazna Belka była dumą i radością Dicka, jego pierwszą parowozową miłością — choć Moist pilnował się, by nigdy nie powiedzieć tego głośno. Była też pierwszym obiektem do testowania wszelkich innowacji. Żadna lokomotywa nie błyszczała jak Żelazna Belka. Żadna lokomotywa nie dostawała nowych ulepszeń przed Żelazną Belką. Rzeczywiście, była prototypem wszystkiego, co pojawiało się na kolei. A Dick Simnel był jej chętnym i oddanym sługą.

I kiedy Moist się zastanawiał, gdzie najpierw szukać Simnela, nadbiegła Emily w ślicznej białej sukience, tanecznym krokiem zmierzając w stronę szopy tej świętej machiny, jakby całkiem nieświadoma wszechobecnego tam brudu i tłustego smaru. No ale przecież musiała dorastać w pobliżu tej drugiej działalności wuja, a w porównaniu z nią kolej była pachnącym rozkosznie ogrodem.

A więc Emily szła, podskakując radośnie, a w szopie czekała Żelazna Belka. Nagle Moist poczuł lodowatą strużkę potu na plecach i wibrację naprężonych ścięgien. Zobaczył Simnela, którego twarz dziwnie poszarzała pod warstwą smaru i sadzy. Był gotów na wszystko, gdy Emily poklepała machinę i powiedziała:

— Witaj, Żelazna Belko! Jak się dzisiaj czujemy, ślicznotko?

I kiedy Moist wciąż wytrzeszczał oczy, Emily wyjęła chusteczkę i zaczęła pracowicie wycierać do połysku mosiężną tabliczkę z imieniem lokomotywy. Cały czas mówiła i opowiadała machinie, jak wspaniale dziś wygląda.

Dick odwrócił się do Moista i powiedział bardzo cicho:

— Nie zrobiłaby tego, wie pan. Nie Żelazna Belka.

— To dobrze — odparł Moist. — I teraz masz dwie damy, szczęściarzu.

A w głowie zabrzmiał mu wewnętrzny głos: Przecież właściwie prawie się tego spodziewałeś... nieprawdaż, panie Lipwig? Och, człowieku małej wiary.

A potem usłyszał, jak wzdycha para.

\* \* \*

Kolejne dwie godziny spędził przy swoim biurku w kompleksie Harry’ego, czując się tak, jakby był lokomotywą pędzącą po torach i widział umykający w tył rozmyty krajobraz. Od czasu do czasu goniec przynosił mu następny stos papierów z jakiejś części domeny Harry’ego, więc późnym popołudniem zaczął powoli zsuwać się w drzemkę, na początku całkiem przyjemną: wyobraził sobie siebie w bladoróżowej mgle i to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Bardzo wolno, po trochu Moist von Lipwig zaczął się rozplatać, ale kiedy zsuwał się już w nieświadomość, Ze Zmierzchu Ciemność zeskoczył przed nim z wieczornego lśnienia — choć z czego zeskoczył, tego Moist nie zdołał odgadnąć.

— Musisz iść spać, panie Lipwig! Palić świecę z dwóch końców znaczy człowiek z jajkiem na twarzy i poparzonym tyłkiem. Kiedy pan Lipwig ostatnio jadł? Nie przekąska, solidne jedzenie? Mam trochę suszonych grzybów, jeśli głodny. Nie? Trzeba wyrobionego smaku... Więcej zostanie dla mnie, ale musisz spać, choćby tyle. Pan Lipwig nie może zrobić wszystkiego. Jeśli nie może jeść, to nie może niczego zrobić. Robić pieniądze jest dobrze, ale w całunie nie ma kieszeni. Trzeba odpocząć, panie Kolejowy! A to pomoże świetnie, żadnych oszustw.

Goblin wręczył Moistowi małą butelkę, której brudna etykieta informowała, że wewnątrz znajduje się TRUTKA NA SZCZURY.

— Etykieta wielkie kłamstwo, panie Lipwig. Butelka wyczyszczona, szczury zjedzone, tak jest, potem nalany specjalny wywar goblinów dla zmęczonych osób. Gwarancja żadnych robaków, daje odświeżający sen i poczuje się pan o wiele lepiej, jeśli się rano obudzi. Gwarantowane. Czysta radość. Nie ma nic lepszego.

Dzień był długi, a od żaru palenisk Moist czuł się wysuszony jak same paleniska, więc co tam, pociągnął solidny łyk.

— Brawo, panie Lipwig! — zawołał goblin. — Od tego włosy się panu skręcą... wszędzie.

\* \* \*

Później, kiedy Moist zakończył dyskusję z tańczącymi muchomorami oraz panem Juhaczem, który bardzo zabawnie potrafił zjeść własną twarz, chyba stopy Moista samodzielnie odszukały jego łóżko i poczłapały jak para starych osłów. Po drodze skorzystał z uprzejmości sierżanta Colona i kaprala Nobby’ego Nobbsa, którzy najwyraźniej spotkali go tuż przed jego domem, jak z przejęciem tłumaczył coś własnym kolanom. I według Nobby’ego pilnie słuchał, co mają do powiedzenia.

\* \* \*

Obudził się na podłodze swojej sypialni. Ktoś przykrył go kocami, a nawet opatulił troskliwie.

Moist chwycił się za głowę. O nie, pomyślał; znowu wypiłem jakąś goblinią miksturę!

Jego obawy się rozwiały, gdy zauważył, że czuje się absolutnie świetnie, i nie tylko świetnie, ale tak pełen energii, że na świecie prawdopodobnie od rana panował kryzys energetyczny. Wyszedł na balkon, by odetchnąć świeżym powietrzem. Śpiewały ptaki, a niebo miało piękny odcień błękitu.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i weszła Adora Belle.

— Wiem, że nasze małżeństwo jest odrobinę niekonwencjonalne — powiedziała. — Każde z nas ma swoją pracę, bardzo wymagającą i w ogóle, ale nie dopełniłabym obowiązku żony, gdybym nie spytała, czy zadawałeś się z szybkimi i swobodnymi kobietami? Nie naciskam. Odpowiedz, kiedy będziesz gotów.

W głowie mu się kręciło od czystej radości życia, nie wspominając o całej tej energii.

— Jedną chwilę, bo chciałbym coś wyjaśnić — odparł żartobliwie. — Powiedz, chodzi ci o swobodne kobiety czy o szybkie kobiety? Czy istnieje jakiś poradnik, jak je poznawać? Czy jedna z tych cech przekreśla drugą?

— Moiście von Lipwig, jesteś pijany jak bela. Możesz w ogóle chodzić?

Zamiast odpowiedzi Moist skoczył i stuknął w powietrzu obcasami.

— Szybka czy swobodna, dziewczyno? A czemu nie jedno i drugie?

Adora Belle pociągnęła go do wspólnej sypialni.

— No cóż, mój mężu — powiedziała, zamykając drzwi. — W takim razie przekonajmy się.

\* \* \*

Nad Schmaltzbergiem rozpętała się burza, ale to zdarzało się często. Grom przetoczył się nad górami niczym kości bogów. A w odosobnieniu swego gabinetu dolny król omawiał sytuację z Aeronem, który wydawał się weselszy niż zwykle.

— Chyba wszystko się uspokaja — stwierdził Rhys. — Dyskutują i dyskutują, a potem ktoś sobie przypomina, że musi załatwić coś ważnego w sprawie szczurzych farm albo że były jakieś problemy z jego kopalnią złota, woda ją zalewa czy stemple się gną i tak dalej, i tym podobnie, sprawy, jakich nie można zostawić podwładnym, a potem sytuacja się uspokaja.

— Wiem, że się martwisz — rzekł Aeron. — Ale myślę... nie: wierzę, że masz więcej przyjaciół, niż w ogóle uważasz za możliwe. Nawet gobliny wiedzą, że byłeś jednym z pierwszych, którzy podpisali apel o emancypację goblinów. A one, czy nam się to podoba, czy nie, stają się przyszłością, Rhys. Ataki na wieże sekarowe rozzłościły tradycyjnych krasnoludów. Sekary są potrzebne, bo wszyscy chcą dostawać wiadomości. I wszędzie ludzie są wściekli. Przecież, powiadają, gobliny i trolle pilnują własnych spraw, więc czemu nie krasnoludy?

— Nadal nie wiadomo, gdzie się podział Twardziec? — zapytał król. — Minęły już miesiące. Żadnych więcej zniszczonych wież ani idiotów próbujących atakować kolej? Czy mam wierzyć, że wygasł w nim płomień podżegania?

Aeron podał królowi kawę.

— Wydaje mi się, że lord Vetinari powiedział: Nigdy niczego nie rób, dopóki nie usłyszysz wrzasków. Jednakże Twardziec nie należy do takich, co wracają z hełmem w dłoni, żeby przepraszać. Ma za dużo dumy. O połowę za dużo.

Po chwili milczenia, kiedy Rhys rozważał dostępne możliwości, Aeron podjął:

— Więc przyjmiesz to zaproszenie na szczyt w Quirmie? W obecnych okolicznościach, Rhys, wydaje mi się, że twoja obecność tam jest ważna. I powinna być widziana.

— Oczywiście. W tym roku obradom przewodniczy diamentowy król, a ja muszę naprawiać ścieżki. On pomaga, nie mam ochoty sprawdzać jego cierpliwości. Zawsze był sprzymierzeńcem pełnym zrozumienia.

— A ta inna... sprawa?

— Inna sprawa jest zadowalająca. — Król się zastanowił. — Tak, powinniśmy ruszyć do Quirmu. Ale sądzę, że rozumnie będzie zostawić tu wszystko w rękach Albrechtsona, żeby zajął się, czym należy.

\* \* \*

Moist sam nie bardzo wiedział, jak do tego doszło, bo przecież dość rzadko bywał w samym kompleksie, a jednak najwyraźniej stał się symbolem, panem Koleją. Gdy ktokolwiek chciał się czegoś dowiedzieć, pytał jego. Jeśli ktoś zgubił dziecko w kolejce do Żelaznej Belki, wzywano pana Lipwiga. I gdy ktokolwiek wpadał na jakiś pomysł związany z koleją, pomysł trafiał do pana Lipwiga. Po jakimś czasie Moist miał wrażenie, że nie ma już znaczenia, która to godzina, a nawet gorzej — gdzie właściwie się znajduje. Wezwania nie miały końca.

Był prawie pewien, że sypia dość często, niekiedy we własnym domu, jeśli było to możliwe. Jeśli nie, kładł materac i koc w zawsze ciepłych odlewniach, wciąż wyrastających wzdłuż trasy überwaldzkiej. Gdy wszystko inne zawiodło, zwijał się pod plandekami dowolnej brygady roboczej, która działała w pobliżu, jedząc wraz z nimi to, co akurat bulgotało w kociołku. Jeśli miał szczęście, był to bażant, niekiedy cietrzew, a jeśli szczęście nie sprzyjało, żywił się tym, co udało się znaleźć: najczęściej kapustą, brukwią i zwykle jakimś białkiem, ale takim, którego człowiek wolał nie oglądać w świetle dnia. Trzeba jednak przyznać, że brygady kolejowe — w tym ich wysunięte jednostki, zbliżające się już do Slake — składały się z ludzi pomysłowych, dobrze znających tradycyjną sztukę zakładania wnyków i potrafiących regularnie napełniać garnek.

Slake było jednym z miasteczek, które — zdaniem Moista — umieszcza się na mapach, bo trochę krępująca jest mapa z pustymi białymi plamami. Zajmowano się tam trochę górnictwem, leśnictwem i rybołówstwem, ale po jakimś czasie można było dojść do wniosku, że ludzie zamieszkujący Slake i okolice to tacy, którzy nie chcą, by inni o nich wiedzieli. Kiedy natomiast człowiek spacerował po Slake, miał pewność, że jest obserwowany. Zanotował w pamięci, że to miejsce, którego lepiej unikać, chyba że ktoś lubi grę na banjo i marną kuchnię. Miasteczko miało jednak burmistrza, a na mapie wyznaczono tutaj skład węgla i wody.

Moist nie nosił już modnych garniturów ani butów na zamówienie, które wraz z zestawem urzędowych kapeluszy były w mieście jego wizytówką. Nie pasowały do stylu robotników kolejowych — teraz ubierał się w brudną koszulę, kamizelkę i szorstkie spodnie. Pokochał ciężkie buty i kaszkiet, który chyba należał do kompletu; dzięki nim człowiek czuł się zabezpieczony z obu końców. Te buty... och, te buty... Choćby troll spadł człowiekowi na głowę i go zabił, te buty wciąż by żyły i kopały. Były podkute i przypominały małe fortece. Nic nie mogło się przebić przez buty robotnika drogi żelaznej.

Wiadomości docierały do Moista wszędzie, dostarczane przez pociągi, goblinich kurierów albo sekary, gdyż niewiele już pozostało miejsc, gdzie wieże sekarowe nie znalazły sobie jakiejś niszy w krajobrazie.

W godzinach przedświtu pewnego ranka pod Małym Bąblem, miasteczkiem na Równinach Sto, ulewny deszcz szumiał wokół prymitywnych szałasów. Moist odsunął derkę, uchylił drewniane drzwi i zobaczył oblicze Ze Zmierzchu Ciemność, którego nie można by nazwać przemoczonym, gdyż bardzo niewiele na nim w ogóle nadawało się do przemakania[[[59]](#footnote-59)](#59_1). I kiedy tylko goblin wszedł do szałasu, cała woda, jaką miał na sobie, zwyczajnie zniknęła.

Moist odruchowo uniósł głowę, by zerknąć na światła lokalnej wieży sekarowej, która właśnie wtedy błysnęła znajomym kodem: nadeszła wiadomość od Adory Belle. Jej kod rozpoznawał tak dobrze jak własny.

— Szybko — powiedział do goblina. — Biegnij na tę wieżę i przynieś mi sekara, już!

W mroku zabrzmiał głos Ze Zmierzchu Ciemność:

— Czy słyszałem magiczne słówko, panie Nieco Wilgotny?

Moist sam był trochę sobą zaskoczony — chociaż goblin miał zapach, który prawie że dało się zobaczyć, to przecież jeszcze nie powód, by zapominać o dobrych manierach.

— Proszę, panie Ze Zmierzchu Ciemność. Będę bardzo wdzięczny.

Mały goblin wybiegł na deszcz i potruchtał do wieży. Wtedy dopiero Moist dokończył swych ablucji, zebrał bagaże — zakładał, że cokolwiek wyczyta w tej wiadomości, na pewno będzie musiał wyruszyć gdzie indziej — i poszedł do miejsca, gdzie nieczuły na pogodę czekał golemowy koń. Moist chciał się upewnić, że konia nie trzeba zbudzić, ponieważ mimo usiłowań nie potrafił o nim myśleć inaczej niż o żywym stworzeniu. Owszem, jazda na nim groziła hemoroidami, nieważne jak wiele koców ułożył między sobą a jego grzbietem. I choć koń potrafił już mówić, Moistowi brakowało tej krzątaniny, tych drobnych rytuałów, które definiują prawdziwe jeździectwo. Wiedział, że jest coś takiego jak worki z obrokiem, dociskanie popręgów i podawanie wody — ich brak odbierał mu spokój ducha. Budził dreszcz. W padającym deszczu Moist czuł się tak, jakby istniał w dwóch różnych światach.

I kiedy się zastanawiał, czy powinien dać koniowi jakieś imię, co pewnie by mu poprawiło samopoczucie, wrócił pan Ze Zmierzchu Ciemność, ściskając wilgotną i rozmazaną różową sekarową bibułkę z tekstem wiadomości.

Vetinari chce cię widzieć natychmiast. Stop. PS Czy jest szansa, żebyś przywiózł do domu trochę tej gobliniej mikstury. Stop. PPS Gdybyś przejeżdżał koło piekarni, kup dwa bochenki krojonego. Stop. Twoja kochająca żona. Stop.

I pomyślał: czy to nie miło, kiedy za człowiekiem tęsknią?

\* \* \*

Nie więcej niż kilka godzin męczącej jazdy w deszczu później otworzyły się przed nim drzwi do przedpokoju przy Podłużnym Gabinecie. Za nimi stał Drumknott, dumnie prezentujący bardzo elegancki kaszkiet maszynisty; wycierał brudne od smaru ręce w równie brudną od smaru nieodłączną szmatę maszynisty.

— Jego lordowska mość zaraz pana przyjmie, panie Lipwig. Ostatnio miał pan wiele zajęć, prawda?

Moist zauważył, że sekretarz jest opalony pod warstwą brudu i sadzy, a kaszkiet wygląda — niech bogowie chronią! — zawadiacko, które to określenie nigdy jeszcze nie miało zastosowania do Drumknotta.

— Dużo czasu spędza pan na drodze żelaznej, panie Drumknott? — zapytał. — Chyba to panu służy.

— O tak, proszę pana! Jego lordowska mość pozwala mi na parę przejazdów pociągiem w godzinach przedpołudniowych, kiedy skończy już krzyżówkę. W końcu dzisiaj wszystko co ważne ma związek z pociągami, a on był łaskaw powiedzieć, że pozwalam mu być na bieżąco.

W tej samej chwili zza drzwi dobiegł ostry gwizd i Drumknott je otworzył, ukazując lorda Vetinariego, który — ku zdumieniu Moista — łapał małą lokomotywkę, która już miała zjechać z gładkiego blatu biurka. Znajome proste i łukowate elementy torów leżały na blacie, otoczone przez zabawkowe ludziki: strażnicy, maszyniści, pasażerowie, korpulentny kontroler z grubym cygarem i rozmaici mechanicy z malutkimi i kunsztownymi suwakami logarytmicznymi. Tyran chwycił spadającą machinę w rękawicę, a woda i olej kapały na kosztowne hebanowe deski podłogi.

— Zadziwiające, panie Lipwig, przyzna pan — rzekł wesoło zza chmury dymu. — Chociaż szkoda, że mogą jeździć tylko po torach. Nie wyobrażam sobie świata, w którym każdy miałby własną lokomotywę parową. Obrzydliwość.

Jego lordowska mość wyciągnął rękę, by sekretarz wytarł ją nie całkiem brudną szmatą.

— Pan Lipwig już przyszedł, Drumknott — powiedział. — A wiem, że nie możesz się doczekać, by wrócić do swojej cudownej drogi żelaznej.

Drumknott — ten sam Drumknott, który uważał, że najlepsze rzeczy w życiu przechowywane są w brązowych tekturowych teczkach — ruszył po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, by jak najszybciej wsiąść do kabiny, uruchomić machinę, zagwizdać, wdychać dym i sadze — i stać się tą najwspanialszą ze wszystkich istot, maszynistą kolejowym.

— Niech mi pan coś wytłumaczy, panie Lipwig — zaczął Vetinari, kiedy za sekretarzem zamknęły się drzwi. — Przyszło mi do głowy, że kamienie na drodze mogą łatwo zepchnąć lokomotywę z torów.

— Poza Ankh-Morpork montujemy na nich osłony, rodzaj pługa z przodu. Niech wasza lordowska mość pamięta też, że rozpędzona lokomotywa ma znaczny ciężar, a ponadto sygnaliści i dróżnicy obserwują szlak.

— Czyli jak dotąd nie było przypadków umyślnego sabotażu?

— Nie, od ataku na Żelazną Belkę parę miesięcy temu — zapewnił Moist. — Chyba że liczyć chłopców, którzy kładą na torach pensy, żeby pociąg je rozpłaszczył. To raczej taka zabawa, zresztą miedź łatwo się wygina. Ostatnio zapanował spokój, nie sądzisz, panie? Mam na myśli gragów, którzy napadali na wieże sekarowe i ogólnie sprawiali kłopoty. Wydaje się, że zrezygnowali.

Vetinari się skrzywił.

— Może pan mieć rację. Dolny król chyba też tak uważa, a komendant Vimes informuje, że jego agenci w Überwaldzie nie donoszą o żadnych niepokojach. Inne źródła też to potwierdzają. Jednak... obawiam się, że ekstremiści są jak wieloletnie chwasty. Mogą zniknąć na jakiś czas, ale nie rezygnują. Podejrzewam, że zeszli głębiej pod ziemię i czekają na odpowiedni moment.

— A jakiż to moment, sir?

— Wie pan, panie Lipwig, zastanawiam się nad tym każdej nocy. Pewną satysfakcję czerpię z faktu, że era lokomotyw zaczęła się ostrożnie, w sposób przemyślany i z naukową perspektywą, a nie od przypadkowego majstrowania. Zachęcanie do pełnej swobody zwiększa tylko zagrożenie takimi wypadkami jak w Prznym Lesie. A zatem... — Vetinari spojrzał wprost na Moista. — Niech pan powie, jak się posuwa linia do Überwaldu?

— Robimy szybkie postępy, sir, choć są opóźnienia... niestety. Spodziewaliśmy się, że złoty gwóźdź wbijemy w połowie przyszłego miesiąca. Ale jest jeszcze dużo pracy. Ciągniemy tory pod ziemią, omijając Gderki. Drążymy tunele możliwie szybko, ale po drodze znajdują się formacje jaskiń. — Są też mosty, pomyślał. Nie powiedziałeś mu o mostach. — Oczywiście, kiedy już dotrzemy do Überwaldu, ruszymy dalej, do Genoi.

— To nie wystarczy, panie Lipwig. Stanowczo za wolno. Musicie przyspieszyć. Stawką może być równowaga świata.

— Ehm... Z całym szacunkiem, panie, ale dlaczego?

Vetinari zmarszczył brwi.

— Panie Lipwig, wydałem panu polecenie. Jak pan je wykona, to już pańska sprawa, ale musi je pan wykonać!

\* \* \*

Nastroju Moista nie poprawiło odkrycie, że jego golemowemu koniowi straż założyła blokadę — widział niedaleko uśmiechniętego drwiąco strażnika. Koń popatrzył na niego zakłopotany.

— Przykro mi z powodu tej niedogodności, sir, ale muszę przestrzegać prawa.

Moist wrzał z wściekłości.

— Jako golemowy koń jesteś tak silny jak inne golemy?

— O tak, sir.

— Doskonale. W takim razie wyrwij się z tej blokady.

Klamra trzasnęła i pękła. Moist wskoczył na grzbiet konia, a strażnik rzucił się biegiem w ich stronę.

— To była własność publiczna! — krzyknął.

— Wyślij rachunek sir Harry’emu Królowi, jeśli się odważysz! — zawołał Moist przez ramię. — Powiedz, że to od Moista von Lipwiga!

Obejrzał się jeszcze, kiedy koń galopował już Dolnym Broad-Wayem i ku swej radości zobaczył, jak strażnik zbiera odłamki żółtej blokady.

— Nikt nie powstrzyma postępu Higienicznej Drogi Żelaznej! — krzyknął na cały głos.

\* \* \*

Zawsze lubił przemieszczać się szybko — w końcu przy jego wcześniejszych zajęciach szybkość była kluczowa. Dotarł więc do kompleksu Harry’ego Króla na koniu zdyszanym niczym niebiański biegacz[[[60]](#footnote-60)](#60_1). Gdy zeskoczył i wyłącznie dla efektu uwiązał wierzchowca, zapytał:

— Czemu tak sapiesz? Golemy nie sapią! Przecież nie oddychasz!

— Przepraszam, sir, ale chciał pan, żebym był bardziej końskim koniem, więc się staram. Parsk-parsk, ihaha.

Moist wybuchnął śmiechem.

— Całkiem nieźle, Łysek... Nie, Łysek nie... Jak ci się podoba Błysk?

— Nigdy dotąd nie miałem imienia — odparł koń w zadumie. — Zawsze byłem tylko koniem. Ale to przyjemne uczucie wiedzieć, kim się jest. Zastanawiam się, jak sobie bez tego radziłem przez ostatnie dziewięćset trzy lata. Dziękuję, panie Lipwig.

\* \* \*

Moist dotarł do gabinetu Harry’ego i upewnił się, że rozmawiają prywatnie i w cztery oczy. Kiedy skończył mówić, Harry przyglądał mu się przez całą wieczność, nim odpowiedział:

— Wie pan przecież, że ledwie zaczęli wzmacniać pierwszy most na linii überwaldzkiej. Pociąg nie może jechać w powietrzu!

— Tak, Harry, wiem. Bogowie świadkiem, że bez przerwy rozmawiam z mierniczymi i inspektorami. Ale tylko przęsła mostów wymagają pracy. Podpory wytrzymały próbę czasu.

I kiedy Harry nabrał już tchu, by zaprotestować, Moist wyjaśnił mu, co planuje, jeśli ludzie Simnela nie zdążą na to, co obmyślił Vetinari.

Harry potrzebował czasu, żeby zrozumieć plan, ale kiedy wysłuchał go do końca, zezłościł się.

— Łamiesz wszystkie reguły, mój chłopcze — stwierdził. — A z Vetinarim możesz to zrobić tylko raz. Tego jestem pewien.

Moist potrzebował całej swej przebiegłości i całej samokontroli, stojąc twarzą w twarz z rozgniewanym Harrym Królem. Nie cofnął się jednak.

— Harry, przez cały okres mojej pracy dla lorda Vetinariego nauczyłem się dobrze rozumieć słowa „wiarygodna negacja”.

— Tak? A niby co to znaczy, mądralo?

— To znaczy, że jego lordowska mość woli mieć skromne pojęcie o tym, co robię. Na pewno nie udziela mi ścisłych instrukcji, a zatem wiele muszę zgadywać, co zawsze dobrze mi wychodziło. Przede mną mnóstwo pracy, sir Harry... Czy powinienem raczej powiedzieć: lordzie Harry, a nawet baronie Król z Ankh-Morpork? Możesz sam sobie uzupełnić resztę. Jeśli dobrze pamiętam, to kiedy Vetinari mianuje cię pierwszym baronem kolejowym, będziesz miał prawo do korony z sześcioma srebrnymi pałkami w herbie. Szlachectwo? To głupstwo. W ciągu jednej nocy możesz zostać baronem! Domyślam się, że człowiek z sześcioma pałkami zrobi wielkie wrażenie na lady Król.

Harry parsknął.

— To by zaskoczyło moją panią! — Rozważył opisywaną przez Moista wizję przyszłości. — Prawdę mówiąc, myślę, że będzie się pysznić jak... jak Księżna! — Otrzeźwiał nieco. — Wierz mi, zawsze sądziłem, że to ja jestem Królem Gówna, ale jeśli chodzi o gówno prawdę, daleko mnie przewyższasz. Może byś mi jednak powiedział, w jakie kłopoty zamierzasz nas obu wpakować? Baron, niech mnie demony... No dobra, mój chłopcze, jak się do tego weźmiemy, skoro już takie z nas dranie?

\* \* \*

Nawet przy dodatkowych naciskach Patrycjusza, mimo wszystkich ludzi, trolli i goblinów, jakich Harry zdołał zatrudnić, budowa drogi żelaznej wymagała czasu. „Nie od razu Tsort zbudowano”, powtarzali jak mantrę, kiedy ktoś się niecierpliwił. A jednak, dzień po dniu, długa linia nowych torów na trasie do Überwaldu wolno zbliżała się do celu.

Ale inną sprawą jest zbudowanie drogi żelaznej, a inną — utrzymanie jej. Tory miały tam leżeć niezależnie od pogody i wiatru, a w wielu przypadkach także daleko od cywilizacji. Moist co tydzień zaglądał do raportów skarg, awarii i problemów różnych, instynktownie zaczynając zawsze od „różnych”, czasem zabawnych: pijany troll, harpie zakładające gniazdo w składzie węgla, rodząca kobieta[[[61]](#footnote-61)](#61_1). Poza tym zdarzały się oczywiście osunięcia, które zupełnie wywracały plany robót. Ludzie nie chcieli też zrozumieć, że zostawienie na przejeździe wielkiego wozu pełnego świń uniemożliwia wszelki ruch na tym torze. Co do ludzi wierzących, że jeśli wyciągną rękę przed nadjeżdżającym pociągiem, on zatrzyma się dla nich natychmiast, to owszem, było to możliwe, ale ślizgająca się lokomotywa zmuszała potem do wypełniania dużej liczby rozmaitych formularzy.

Moist aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że od czasu dziewiczej podróży ze Sto Lat wszyscy wydawcy prasy na Równinach Sto czekali na pierwszą prawdziwą katastrofę kolejową, najlepiej obejmującą co najmniej jeden przerażający zgon.

I doczekali się, choć nie na linii Higienicznego Towarzystwa Drogi Żelaznej. Pierwsza ofiara zginęła na prowincji Quirmu, gdzie trzech przedsiębiorczych obywateli — monsieur Lavasse, producent wina, monsieur Croque, wytwórca serów, oraz monsieur Lestripe, sprzedawca ozdobnych wieńców cebulowych — zainwestowali we własną jednotorową linię pomiędzy ich winnicami i farmami. Poprosili Dicka Simnela o fachową poradę, w szczególności jak unikać zderzenia czołowego dwóch lokomotyw na pojedynczym torze. Tę zagadkę Dick rozwiązał z klasyczną simnelowską prostotą, montując sygnalizatory, w których nie dało się zmienić sygnału bez specjalnego mosiężnego klucza, zawsze w posiadaniu tego maszynisty, który akurat miał prawo pierwszeństwa.

Wśród prasowych tytułów: SYSTEM SIMNELA ZAWODZI albo CZY ŻYCIE PASAŻERÓW JEST ZAGROŻONE?, Moist i Dick zostali wezwani do Quirmu, by zbadać sprawę. Odkryli tam straszną prawdę: urzędnik średniego szczebla w Château Lavasse chciał przyspieszyć transport, dorobił więc klucz bezpieczeństwa i wyjaśnił maszynistom i sygnalistom, że mają po prostu być rozsądni. Zaufanie, że sobie poradzą, przez jakiś czas wydawało się uzasadnione, aż pewnego dnia sygnalista Hugo był zajęty i zapomniał o istotnym dla bezpieczeństwa kroku. I nagle dwa pociągi pomknęły naprzeciw siebie po tym samym torze, a obaj maszyniści wierzyli, że mają pierwszeństwo. Spotkały się w połowie drogi. Jeden maszynista zginął, drugiego poważnie poparzyły spływające sery, które roztopiły się, kiedy wpadły do kabiny; nastąpiły znaczne zawirowania foie gras.

A urzędnik, który uznał za stosowne zamówienie drugiego klucza, wyjaśnił:

— No bo pomyślałem, że oszczędzimy na czasie, więc tylko...

Według artykułu Raymonda Shuttle’a następnego dnia w „Pulsie”:

Bardzo mi przykro z powodu tego dżentelmena, który zginął, i tego, który został ranny — zapewnił mnie pan Lipwig. — Jestem pewien, że fondue nigdy już nie będzie dla nas takie samo. Jednakże, jak wyraźnie stwierdził pan Simnel, choć łatwo jest radzić sobie z głupotą, to głupota przerażająca jest trudna do zwalczenia. Zastanawiam się, jak wiele strasznych zbrodni zostało popełnionych przez ludzi o dobrych zamiarach, mówiących: Bo ja tylko...

Ograniczywszy zakres szkód, Simnel i Moist ruszyli z powrotem do Ankh-Morpork. Kiedy pociąg z nadbrzeżnego odgałęzienia linii opuścił skaliste tereny, tak dogodne dla słynnych quirmskich win, wjechał w granice wilgotnego świata Niderbłoni[[[62]](#footnote-62)](#62_1). Simnel spał, a Moist, obserwując przesuwające się za oknem mokradła, rozważał liczne czekające go wyzwania. Odczuwał przy tym pewną ulgę, że pociąg nie zatrzymał się ani razu, dopóki nie dotarł do miasteczka Brudnygzak, znanego z eksportu słynnych koni wyścigowych. Bardzo dobrze, uznał; z miasteczka na Niderbłonia prowadziła ścieżka długa i kręta, a jeśli ktoś nie mógł jej znaleźć, to znaczy, że nie powinien tam trafić.

\* \* \*

Krople deszczu padały gęsto na terminus w Sto Lat, woda lała się z dachu, a ludzie kręcili się wszędzie, szukając schronienia przed ulewą. Niewielka kawiarenka Marjorie Painsworth była sucha, dodatkową atrakcję tego ponurego wieczoru stanowiła promocja ciepłych bułeczek. Lokal był niczym oaza spokoju dla młodej trollowej damy, która niepewnie zamieszała płynną siarkę w filiżance. Patrzyła, jak ludzie wchodzą i wychodzą; zaskoczył ją jakiś krasnoludzi dżentelmen, który wskazał krzesło obok niej.

— Przepraszam bardzo, czy to miejsce jest wolne?

Skrzyp nie miała wiele do czynienia z krasnoludami, to jasne, ale odkąd załatwiono całą tę sprawę z Doliną Koom, z pewnością nie musiała unikać rozmów z nimi. Tym bardziej że ten akurat był bardzo dobrze ubrany i wyglądał... po ludzku: krasnolud ankhmorporski, jak je nazywano. Uśmiechnęła się więc.

— Ależ proszę siadać, drogi panie. Pogoda jest mocno niełaskawa jak na tę porę roku.

Krasnolud skłonił się i usiadł.

— Proszę wybaczyć, że nagabuję, lecz jestem zachwycony użyciem przez panią słowa „niełaskawa”. Samo jego brzmienie kreśli obraz wrogiego świata. Nie nazbyt wrogiego, raczej szarego niż czarnego, jednak... Och, gdzież moje maniery... Pozwoli pani, że się przedstawię: Gapio Docson do usług, madame. Niech mi będzie wolno zauważyć, że doskonale mówi pani po krasnoludzku.

Skrzyp rozejrzała się wokół. Ludzie wciąż wchodzili tu, kryjąc się przed deszczem, i wychodzili, gdy nadjeżdżały ich pociągi. Sto Lat było węzłem kolejowym i niemal cały ruch tędy przechodził. Nadstawiając ucha na informację o swoim połączeniu, odpowiedziała:

— Muszę przyznać, że i pan doskonale włada trollowym. Wolno spytać, gdzie drogi pana prowadziły?

Krasnolud uśmiechnął się znowu.

— Jestem bibliotekarzem w Klatchu, ale niedawno musiałem pochować ojca w Miedziance.

Skrzyp stłumiła śmiech.

— Proszę wybaczyć. Bardzo mi przykro z powodu pańskiego ojca, lecz to zadziwiający przypadek! Ja także jestem bibliotekarką w służbie diamentowego króla trolli!

— Och, Diamentowa Biblioteka... Niestety, chwilowo dla nas niedostępna, nawet według traktatu z Doliny Koom. Wiele bym oddał, by ją zobaczyć...

Para bibliotekarzy zamówiła kolejne napoje i rozmawiali o książkach; na zewnątrz rozlegały się gwizdki i pociąg za pociągiem odjeżdżał ze stacji. Skrzyp opowiedziała Gapiowi, że jej mąż nie lubi książek i uważa, że mamrotanie powinno trollom wystarczać jak za dawnych czasów. Krasnolud wspomniał o żonie, która nawet po zawarciu traktatu z Doliny Koom wciąż uważa trolle za rodzaj zwierząt. I tak rozmawiali i rozmawiali o znaczeniach słów i o miłości do słów. Marjorie rozpoznawała te objawy, więc dolewała kawy i płynnej siarki, czasem z dodatkiem ciepłego skalnego ciasta.

Oczywiście, to nie była jej sprawa, myślała, nie powinno jej obchodzić, jak sobie ludzie układają życie, i na pewno nie podsłuchiwała, w każdym razie nie bardzo. Ale nie mogła nie dosłyszeć, jak krasnolud mówi:

— Zaproponowano mi ostatnio pracę na uniwersytecie w Miedziczole i powiedzieli nawet, że mogę przyjechać z asystentem...

Marjorie nie zdziwiła się, kiedy spojrzała po dłuższej chwili i zobaczyła dwie puste filiżanki i pusty stolik — takie sytuacje musiały się zdarzać na kolei. Kolej poszerzała horyzonty, wewnątrz i na zewnątrz; ludzie wyruszali na poszukiwanie siebie, a znajdowali kogoś innego.

\* \* \*

Jak na przewroty, przewrót w Schmaltzbergu toczył się wolno, sączył przez tunele i kopalnie jak melasa, tak samo lepki. Koneser przewrotów łatwo rozpoznałby tę formę: dwóch osobników spotykało się, by przekonać trzeciego, że tak powinno się postąpić, bo wszyscy tak postąpią, a przecież nie warto zostawać po przegrywającej stronie, prawda? Zawsze znaleźli się tacy, co mieli wątpliwości, ale fala wzbierała coraz bardziej. Podziemny Schmaltzberg pod wieloma względami przypominał ul, a rój właśnie postanawiał, że potrzebuje nowej królowej.

Twardziec i wygnani gragowie tkwili oczywiście w samym centrum tych zdarzeń. Powrócili w tryumfie[[[63]](#footnote-63)](#63_1) i teraz zachowywali się, jakby byli prawowitymi właścicielami wszystkiego...

„Nikt nie musi ucierpieć”, powtarzali. I zdarzało się, że ludzie mruczeli: „Przecież to w naszym własnym interesie”; słyszało się też inne charakterystyczne frazy, takie jak „Trzeba nam świeżej krwi” oraz „Musimy zachować nasze święte tradycje”. A jeśli ktoś był wyczulony na nastroje, dostrzegał, jak krasnoludy, całkiem rozsądne krasnoludy, uważające się za krasnoludy o nieposzlakowanej reputacji i uczciwości, powoli łamały zobowiązania lojalności, jakie wcześniej przyjęły z całkowitą powagą. To dlatego, że cały ul brzęczał i nie chciały być tymi, które zostaną użądlone.

Kluczowe hasła brzmiały: „przywracanie porządku” i „powrót do zasad prawdziwego krasnoludztwa”.

Mimo to zawsze trafi się ktoś, kto nie chce brzęczeć z całym rojem. W tym przypadku był to Albrecht Albrechtson; wokół niego skupiły się krasnoludy, które sprzeciwiały się zmianie władzy i pozostawały lojalne wobec Rhysa Rhyssona, cokolwiek by się działo. Atmosfera w korytarzach gęstniała i wszyscy się zastanawiali nad niewypowiedzianym pytaniem: kto użądli pierwszy?

Albrecht Albrechtson położył dłoń na Kajzerce z Kamienia.

— Bracia krasnoludy, złożyłem przysięgę i wy też złożyliście — rzekł. — Jak się dowiedzieliśmy już na kolanach matek, Ginnungagap czeka wszystkich morderców i krzywoprzysięzców. — Jego uśmiech przypominał raczej grymas. — Ale może źle zrozumiałem.

— Okoliczności się zmieniły — odparł Twardziec. — Król zbyt przyjaźnie traktuje trolle i ludzi, a w dodatku, na bogów, podpisał deklarację, że gobliny, tak jest, gobliny będą traktowane nie gorzej od krasnoludów! Nie wiem jak wy, ale ja nie uważam, żeby goblin był mi równy!

Cisza niemal dzwoniła.

— A traktat z Doliny Koom? — szepnął chrapliwie Albrecht. — Porozumienie, które miało utrzymać pokój za naszych czasów? Wszyscy jesteśmy jego stroną. Jak łatwo w tych dniach potrafimy łamać nasze przysięgi?

— Nie podpisywałem — stwierdził Twardziec.

— Nie, ty nie — zgodził się Albrechtson. — Podpisał Rhys Rhysson w imieniu wszystkich krasnoludów.

— Nie w moim. I nie uwierzyłem w tę scenkę z dwoma królami w jaskini. Wiesz, jacy są ludzie. Kogoś takiego jak Vetinari stać by było, żeby ich tam umieścić.

Tym razem cisza dudniła. Wszyscy przeszli obok tej niezwykłej, lśniącej sceny w Dolinie Koom, gdzie w jaskini powietrze było tak chłodne, a dwóch królów weszło do historii w stanie intencjonalnego pata. Może niektórzy z obecnych zastanawiali się teraz, co zrobiliby martwi władcy, gdyby zakłócono ich pokój.

Tę ciszę przerwał Twardziec.

— Potrzebujemy stabilizacji — stwierdził. — Nie musimy walczyć, nikt nie dozna krzywdy. Mogę ci to przysiąc.

— Bardzo przepraszam — rzekł Albrecht. — Czy w taki sam sposób, w jaki przysięgałeś królowi, zdrajco?

Brzęknęła dobywana broń, dźwięk odbił się echem w jaskini, a potem zapadła donośna cisza niechęci, by być tym, kto zada pierwszy cios. To był pat, wymagający chyba Patrycjusza, by znalazł wyjście.

— Nie dam się sprowokować idiotycznym zniewagom — oświadczył Twardziec. — Musimy stanąć wobec świata, jaki jest. Musimy zagwarantować, że stanie się światem, jakiego chcemy, w którym krasnoludy zajmują należne sobie miejsce u stołu. Czasy się zmieniają. Potrzebujemy kogoś, kto jest gotów bronić naszych interesów. Wszyscy ciągle mówią o zmieniającym się świecie. Chcę dopilnować, by zmieniał się z korzyścią dla krasnoludów.

Podszedł do Albrechta i wyciągnął rękę.

— Kiedyś myślałeś tak jak ja, przyjacielu. Czy teraz dołączysz do mnie?

Dookoła rozszedł się syk wstrzymywanych oddechów. Albrecht zawahał się.

— Możesz sobie tę rękę wsadzić między skoki.

Milczenie. Zakłócane tylko przez krasnoludy, pytające siebie nawzajem:

— Co to niby ma znaczyć?

A krasnoludy bardziej bywałe w świecie, które miewały kontakty z ludźmi, przychodziły z pomocą, tłumacząc:

— To tak jakby powiedzieć: „Wsadź ją tam, gdzie słońce nie dochodzi”.

Co z kolei u krasnoludów, które nie znały ludzkich zachowań, wywołało kolejne wątpliwości:

— Chodzi o tę kotlinkę niedaleko Kromki, dość miłą?

Aż w końcu ktoś oznajmił:

— Jak rozumiem, chodzi o to, żeby sobie tę rękę w tyłek wsadził.

— Naprawdę?

— Chcę zaproponować głosowanie — rzekł Twardziec. — Wszyscy, którzy nie popierają mnie ani właściwego rozwiązania spraw krasnoludzich, jak były rozwiązywane od niepamiętnych czasów, niech podniosą ręce i pokażą twarze.

Albrechtson natychmiast usiadł na Kajzerce z Kamienia.

— No cóż — rzucił Twardziec. — Jeśli będziesz siedział za długo, przyjacielu, dostaniesz hemoroidów.

Rozległy się śmiechy, ale niespokojne. W dodatku, co dość nietypowe, krasnoludy najpierw pomyślały. Tak, gobliny zyskiwały na znaczeniu, tak samo jak trolle i ludzie, a na planszy świata krasnoludy z pewnością musiały dochować pewnych sojuszy. Co z tego, że król się zmieni? Kiedy wróci, zastanie fait accompli, a świat zajmie się własnymi problemami. Polityka zmienia się bezustannie, przez cały czas... Niewidoczny, niesłyszalny problem polegał na tym, że jeśli teraz wybuchną walki krasnoludów z krasnoludami, rozleją się daleko, a wtedy gdzie się wszyscy znajdą?

\* \* \*

W najwyższej komnacie zamku nad najgłębszym wąwozem Überwaldu lady Margolottę obudził dyżurny Igor, a ona nie była z tego zadowolona.

Odsunęła wieko trumny.

— O co chodzi? Jeszcze navet nie zmierzch.

— Trudne rzeczy stsię dzieją, jastśnie pani. Stsłyszałem, że w Schmaltzbergu naststąpił przewrót i Twardzietz przejął władzę.

Igor patrzył uważnie na swoją panią, która zamyśliła się nagle. Odstąpił o krok na wypadek wybuchu, ale ku jego zdumieniu lady Margolotta zachowała spokój.

— Ten mały szczur? — zapytała tylko. — Czasami czarna vstążka jest boleśnie testovana. Jak daleko rozeszły się vieści?

— Prawie wcale, pani. Stsekary nie działają na rozkaz Twardźtza.

— Jego rozkazy? — Głos Margolotty stał się słodki jak syrop, co zaniepokoiło Igora. Gdyby jedwab mógł mówić, tak właśnie by to brzmiało. — Dopravdy? Zobaczymy. O tak, zobaczymy.

Lady Margolotta wyszła na balkon i skoczyła do wąwozu. Nabierała prędkości, aż poszybowała w stronę pierwszej wieży sekarowej poza Überwaldem. Wylądowała miękko na niedużym pokładzie, tak blisko kierownika, że o mało nie stracił zarostu. Ale znał zasady. Lady Margolotta była czarnowstążkowcem i zwykle bardzo użyteczną sąsiadką.

— Och, to ty, Arturze — powiedziała. — Jak tvoja żona? Vybacz, że cię vystraszyłam.

— Dolores czuje się świetnie, pani — odparł Artur nieco nerwowo. — Miło, że pani pyta.

— A dzieci?

— Dobrze sobie radzą, dziękuję. I bardzo jesteśmy wdzięczni, pani, za pomoc z opłatami szkolnymi.

— Nie ma za co. Czy tvoje sekary pracują?

— O tak, pani, ale coś chyba się stało na linii. Mamy tu całą masę opóźnionych przekazów i nie wiemy, co się dzieje. Wygląda, jakby bojownicy gragów wrócili do starych sztuczek.

— Tak, Arturze, viem. Czy zechcesz vysłać sekara do lorda Vetinariego z kopią do diamentovego króla trolli? A także do głóvnego biura sekaróv v Quirmie, do przekazania Rhysovi Rhyssonovi. Moje zwykłe kody, oczyviście, i priorytet jeden.

Czekała, stukając stopą o podłogę, gdy Artur uruchomił, co trzeba. Z ulgą się przekonała, że skończył.

— Dziękuję ci, Arturze. Czy byłbyś tak dobry, żeby dostarczyć mi vszelkie nadchodzące viadomości jak najszybciej, za pośrednictvem któregoś z tvoich goblinich kurieróv? Bardzo dziękuję. Ach, coś jeszcze... Tvój syn ma urodziny, pravda?

— Tak, jutro.

Ciężka złota moneta upadła mu na dłoń.

— Poviedz mu, żeby nie vydał vszystkiego od razu — dodał jeszcze cichnący głos i nagle lady Margolotty już nie było.

Artur przyjrzał się złotej monecie nieufnie. No tak, to właśnie arystokracja. Opłaca się być blisko z arystokracją. Lady bardzo im pomogła, kiedy córka nagle zachorowała. Owszem, jest wampirem, ale nie jest złą osobą... I był bardzo, tak bardzo zadowolony, że mógł się jej na coś przydać.

\* \* \*

Długo trwało, zanim Moist wrócił do domu, lecz warto było czekać. A po miłym wieczorze z Adorą Belle co może być lepszego niż budzenie o trzeciej w nocy przez kogoś z pałacowej gwardii? Oczywiście, pomyślał, odpowiedź brzmi: wszystko.

Crossly był tak wściekły, że gwardziści cofali się przed nim za próg.

— To nie do zniesienia — usłyszał Moist jego głos. — Co się stało z habeas corpus?

— A co z habeas corpus? — zapytał najstarszy stopniem gwardzista.

Moist westchnął i wciągnął spodnie. Ostatnio trzymał jedną parę pod ręką na takie właśnie okazje. Ale miał już dosyć. Dlatego, wsunąwszy buty i zapinając koszulę, praktycznie zjechał po schodach do miejsca, gdzie uśmiechnięci gwardziści odpychali wciąż protestującego Crossly’ego.

Zdawał sobie sprawę, że Adora Belle w najbardziej kłującym nastroju wygląda nad balustradą.

Do demona z tym, pomyślał nagle. I kiedy gwardziści weszli do holu, podszedł do nich z godnością.

— Gdzie macie nakaz? — zapytał.

— Co? Nie potrzebujemy nakazu.

— W takim razie powinniście bardzo dokładnie przemyśleć, dla własnego dobra, przeproszenie mojej żony za obudzenie jej o tej porze. Jest bardzo... niezadowolona, kiedy ktoś przerywa jej sen.

W tej właśnie chwili Adora Belle wychyliła się przez balustradę.

— Mam tu doskonałą kuszę — oznajmiła. — Jedną z najlepszych, od Burleigha i Wręcemocnego. Mogę z niej wystrzelić tylko raz, panowie, więc którego intruza mam trafić? Bo w tej chwili wyglądacie mi właśnie na intruzów, w dodatku grubiańskich. Jakieś uprzejme „Czy zechce nam pan towarzyszyć, sir?” załatwiłoby sprawę. — Uniosła naładowaną kuszę. — Moist! Czy to ta z bardzo czułym spustem? Zawsze mi się mylą.

Moist uniósł ręce.

— Tak to się potoczy. Może wam się wydawać, że po waszej stronie jest Vetinari, jest majestat urzędu Patrycjusza i co tam jeszcze. Z drugiej strony ona może strzelić do któregokolwiek z was, jeśli będzie miała ochotę, i całkiem możliwe, że chybi i trafi we mnie. Podejrzewam, że Moist von Lipwig jest dla Patrycjusza ważniejszy niż banda takich herbertów jak wy.

— Wynoście się, panowie! — zawołała Adora Belle ze swojej pozycji. — Mój mąż na pewno zjawi się u jego lordowskiej mości w porze śniadania. Zawsze lepiej ważne sprawy załatwiać z pełnym żołądkiem.

Moist przyjrzał się gwardzistom.

— Panowie, nie mam zamiaru pakować was w kłopoty ani pozwolić żonie, żeby przedziurawiła jednego czy dwóch z was. Dlatego myślę, że wybiorę się na poranny spacer do pałacu. Jeśli przypadkiem wybieracie się w tę samą stronę, nie przeszkadza mi to. Chociaż wolelibyście pewnie szybki spacer, bo moja żona będzie nas obserwować z okna na piętrze, a rzeczywiście trzyma teraz właśnie tę kapryśną kuszę.

I kiedy wyszedł za żwawymi nagle gwardzistami, brzęczącymi o siebie nawzajem w pośpiechu, Moist ze zdumieniem zobaczył, jak nienagannie ubrany Crossly zaciska tryumfalnie pięść.

— Brawo, sir — szepnął. — Nawet butów nie wycierają przed wejściem.

A stateczne zwykle oblicze kamerdynera wydawało się dzikie i gniewne.

\* \* \*

Już w pałacu Moist zastał Vetinariego pogrążonego w rozmowie z komendantem Vimesem, prezentującym typową dla siebie kamienną twarz. Zwykły spokój Podłużnego Gabinetu zastąpił cichy gwar zaaferowanych urzędników przybywających z wiadomościami, które przekazywali Drumknottowi.

— Ach, pan Lipwig — rzekł Vetinari. — Cieszę się, że mógł nam pan poświęcić chwilę kosztem pańskich porannych ćwiczeń.

— Pańscy gwardziści nie potrafią biegać. Powinien pan coś z tym zrobić, sir, a skoro już o tym mowa, warto też nauczyć ich dobrych manier.

Patrycjusz uniósł brew.

— Zrozumiałem, że sprzeciwia się pan szturchaniu, panie Lipwig. Czy wystąpiło jakieś poszturchiwanie?

— Nie, sir, ale...

— Miło mi to słyszeć — zapewnił jego lordowska mość. — Możemy więc przejść do rzeczy? Jak podejrzewałem, apologeci gragów i inni malkontenci wśród krasnoludów tylko się przyczaili i podejrzewam, że skandaliczne przedsięwzięcia nadal rozwijają się w ciemności niczym grzyby. Otrzymaliśmy wiadomość, że w Schmaltzbergu miał miejsce przewrót pałacowy, dopiero trzeci w historii krasnoludów. Niestety, dolny król znalazł się, jak to mówią, na pozycji odsuniętej w Quirmie, gdzie uczestniczył w szczycie z diamentowym królem trolli. Rhys Rhysson to sprawny negocjator, jak wszyscy wiemy z traktatu z Doliny Koom; potem przez wiele lat utrzymywał razem liczne frakcje krasnoludziej koalicji głównych inżynierów górniczych. Sprawnie też posługuje się toporem, jak sądzę, ale szybko musi się znaleźć w Überwaldzie wraz ze swymi najbliższymi doradcami. Inaczej ten... nieszczęśliwy obrót wydarzeń może się pod ziemią rozprzestrzenić na inne kopalnie.

Patrycjusz spojrzał na Moista.

— Po rozważeniu wszystkich możliwości wydaje się, że droga żelazna do Überwaldu, obecnie w trakcie budowy, zagwarantuje najszybszy, najwygodniejszy i najbezpieczniejszy przejazd dolnego króla, jego orszaku i doradców wojennych. Czas, jak to mówią, jest tu kluczowy. Pan, panie Lipwig, natychmiast uda się do Quirmu i dopilnuje organizacji transportu. Komendant Vimes dostarczy panu strażników jako eskorty i osobiście do pana dołączy, kiedy będzie pan wracał przez Ankh-Morpork. Z posiłkami, jeśli uzna je za konieczne. Niech pan pamięta, panie Lipwig, że to jest pańska Dolina Koom na kołach.

— Kiedy pan będzie w Quirmie — dodał Vimes — niech pan poszuka krasnoluda Nieśmiala Nieśmialssona. Bardzo pożyteczny i stanowczo po stronie dolnego króla.

— Ale linia nie jest jeszcze ukończona, sir! — jęknął Moist.

— Panie Lipwig, wie pan przecież, że nie jest pańskim zadaniem tłumaczenie mi, jakie są problemy. Pańskim zadaniem jest przedstawianie mi rozwiązań. Mam nadzieję, że się rozumiemy. Jestem pewien, że Harry Król odstąpi nam jedną ze swoich szybkich lokomotyw, może któregoś z Lotników?

— Ale wasza lordowska mość, Harry może nam odstąpić i dziesięć lokomotyw. Problem tkwi w torach...

— Panie Lipwig, chcę... nie, rozkazuję panu dokonać cudów z użyciem wszelkich niezbędnych środków — oznajmił Vetinari. — Czy wyraziłem się ściśle? Jestem pewien, że jeśli trzeba, mogę ścisnąć mocniej.

Moist zasalutował.

— Tak jest, sir! — zawołał bez śladu sarkazmu w głosie. — Działamy od dzisiaj. Cuda to nasza specjalność!

— Niech pan się postara zdążyć na wczoraj, panie Lipwig — dodał lakonicznie Vetinari.

A Moist wiedział, że to wszystko, czego może się spodziewać w tej rozmowie.

\* \* \*

Drumknott nie próżnował. Pałacowi gwardziści jeszcze wyciągali Moista z łóżka, gdy posłano gońców do domów Harry’ego Króla i Dicka Simnela. I kiedy Moist dotarł do kompleksu, przekonał się, że trwa tam krzątanina bardziej jeszcze intensywna niż w środku dnia.

W szarym brzasku powitali go Harry i Dick. Wyglądali, jakby się o coś kłócili i Simnel sprawiał wrażenie dość nieszczęśliwego.

— Chodzi o efekt, Dick — tłumaczył Harry. — Owszem, Żelazna Belka jest wspaniała, to jasne, ale uważam, że Lotnik jest bardziej elegancki i odpowiedni dla monarchii.

— Wybacz, Harry — odparł Simnel. — Myślę, że ryzyko się zwiększy, jeśli to nie Żelazna Belka pociągnie wagony. Nie pytaj dlaczego, bo nie potrafię tego wytłumaczyć nawet z moim suwakiem, ale właśnie jej potrzebujemy. Powiem też, że pucowałem ją, polerowałem, to smarowałem, tamto sprawdzałem, i teraz nadaje się dla każdego króla albo i królowej, jeśli już o tym mowa. Jasne, Lotniki są niezłe i faktycznie eleganckie, ale powtórzę: moja Żelazna Belka w trudnych sytuacjach jest najlepsza.

Argumenty w umyśle Moista goniły się wkoło. Vetinari chciał zachować tajemnicę, a to będzie od miesięcy pierwszy wyjazd Żelaznej Belki poza kompleks. Wszyscy zauważą... Ale chcemy puścić pociąg poza rozkładem, więc zauważą i tak. Jeśli pojedzie Lotnik, regularni pasażerowie zechcą wiedzieć, czemu nie wolno im wsiadać. W dodatku będzie tam uzbrojona eskorta ze straży, co już z daleka zwróci na nas uwagę. Poza tym, jeśli jedziemy pociągiem specjalnym, to i lokomotywa powinna być specjalna...

— Wiesz co, Harry? — odezwał się. — Myślę, że Dick ma rację. Ta lokomotywa ma coś w sobie...

I wtedy od strony stojącej niedaleko Żelaznej Belki rozległ się wyraźny świst pary. Nawet Harry to zauważył.

— Kocioł pod parą, panowie — oznajmił Dick. — Proszę wsiadać, wszyscy, którzy jadą do Quirmu. Przykro mi, panie Lipwig, ale na polecenie jego lordowskiej mości mamy wysłać tylko wagony towarowe, żeby niby nie zwracać uwagi. I prawdę mówiąc, to chyba jedyny sposób, żeby zmieścić w pociągu niektórych funkcjonariuszy straży. Muszę nad tym popracować, zanim wrócicie. Niech się pan nie przejmuje — dodał szybko, widząc pełen zgrozy wzrok Moista. — W drodze powrotnej wagony będą pasażerskie.

— Mam nadzieję, że są pełne — mruknął Harry. — Nie stać nas na marnowanie przejazdu, kiedy towar czeka.

— Pierwszy jest aktualnie pełen sierżanta Detrytusa — wyjaśnił Simnel i rzeczywiście, przez uchylone wrota Moist dostrzegał sylwetkę skulonego przy ścianie wagonu trolla. — Ale tak, całą resztę załadowaliśmy po brzegi.

Moist drzemał przez całą drogę do Quirmu, ukołysany ruchem Żelaznej Belki. Był przekonany, że jazda jest płynna, o wiele bardziej płynna niż którymś z tych nowych Lotników. Pewna myśl nie dawała mu spokoju, choć wszyscy powtarzali, że to bzdura: Lotniki wyglądały jak maszyny, podczas gdy Żelazna Belka jak... ktoś. Jak osoba... Hobbyści obserwatorzy chyba też tak uważali. Całkiem jakby to ona sama była koleją.

\* \* \*

Do château, jaki w Quirmie oddano do dyspozycji dolnego króla na czas trwania tego bardzo ważnego szczytu, najlepiej pasowały słowa „bezsensowny przepych”. W głównej bramie powitał Moista krasnolud elegancko ubrany, choć zauważalnie nienoszący typowej broni.

— Nieśmial Nieśmialsson, panie Lipwig. Znam pańską twarz. Często pojawia się w azetach.

Kiedy szli pospiesznie dalej, Nieśmial dodał:

— Pozwoli pan, że... jak to mówią... uzupełnię dane. Król jest wściekły. Wściekły na buntowników i wściekły na siebie, że nie zrobił dosyć w odpowiednim czasie. I podejrzewam, że wściekły też na mnie. A ja... no cóż, ja patrzę w niebo i mówię do Taka: „Nie złość się, ale kiedy tworzyłeś krasnoludy, miałeś chyba ciężki dzień i nie znalazłeś niczego w pudełku subtelności”. Wydaje mi się, że chętniej walczymy i się kłócimy, niż żyjemy.

W château czekał oddział ciężkozbrojnych krasnoludów — to znaczy uzbrojonych ciężej niż normalny krasnolud, który często sam jeden wygląda na cały oddział. Obrzucili Moista regulaminowym groźnym wzrokiem wszystkich gwardzistów — takim, który sugeruje, że obiekt jest czymś mniej niż pyłkiem na pyłku na ich butach, więc niech lepiej uważa. Nieśmial nie zwrócił na nich uwagi i poprowadził Moista do głównej hali, gdzie trwała nerwowa krzątanina.

Pojawiła się kwestia osobistego spotkania z dolnym królem. Sprawa była delikatna, jednak Moist nie miał zamiaru pozwalać, żeby pomiatali nim różni dworzanie czy gwardziści. Wiedział, że Rhys Rhysson jest rozsądnym i potężnym krasnoludem, raczej skromnym i takim, który mierzy się z faktami twarzą w twarz, wiedząc, że tylko tak można przetrwać.

Czekał więc, aż Nieśmialsson załatwi kwestie protokolarne, i zastanawiał się, ilu z tego błyszczącego towarzystwa w hali rzeczywiście stoi po stronie króla. Podejrzenia unosiły się w powietrzu jak delikatny pył i osiadały na wszystkich ramionach. Wybuchła przecież potajemna wewnętrzna wojna krasnoludów. O wiele łatwiej jest walczyć z trollami — trolla zawsze można rozpoznać jako możliwego nieprzyjaciela, ale kto mógł odgadnąć, gdzie w tym rozgadanym tłumie kryją się zdrajcy?

Jeden z gwardzistów usiłował pozbawić Moista jego bezcennych wytrychów i ustąpił dopiero wtedy, gdy Moist odebrał mu je, używając bardzo niedyplomatycznego języka oraz sprytnego oszustwa. Prawdę mówiąc, od lat już nie korzystał z tych wytrychów, gdyż słowa pozwalały mu dostać się wszędzie skuteczniej od kawałków pogiętego metalu. Mimo to zirytował się i miał już powiedzieć coś niepolitycznego, gdy Nieśmialsson chwycił go za ramię i odprowadził na spotkanie z królem.

\* \* \*

Królewskie apartamenty, co dziwne, znajdowały się na szczycie budynku. W normalnych kwaterach krasnoludów im niżej kto mieszkał, tym był ważniejszy. Moist podejrzewał zatem, że umieszczenie króla na najwyższym piętrze mogło być podstępem, by zmylić wrogów myślących w sposób tradycyjny.

Królowie nie podróżują dyskretnie ani z małym bagażem. Wszędzie po drodze krasnoludzcy lokaje i zamkowi służący pakowali rzeczy, a nawet ładowali je do skrzyń z niejaką paniką, jak gdyby miał przybyć komornik.

Ale w końcu Moist i Nieśmialsson trafili do niewielkiego pomieszczenia, gdzie dolny król z wewnętrznym kręgiem doradców planował swój kontrprzewrót. Co chwila ktoś wchodził, by wręczyć królowi sekarową depeszę.

Rhys Rhysson okazał się niższy i szczuplejszy, niż Moist się spodziewał; w ciasnym pokoju stał otoczony przez generałów i paru krasnoludów z typowego cyrku, jaki zawsze musi podążać za monarchą. Moist zyskał niechętne spojrzenia niektórych, zirytowanych najściem ludzkiego intruza.

Nieśmialsson skłonił się przed władcą i przedstawił gościa.

— To pan Moist von Lipwig, wasza wysokość. Wysłannik lorda Vetinariego.

— I zabójca kilku zdradzieckich kopaczy — dodał król. — A także dyrektor banku. — Roześmiał się. — Życie bankowca jest pewnie niebezpieczne, panie Lipwig?

Moist przyłączył się do tej próby poprawienia nastroju.

— Nawet nie masz pojęcia jak bardzo, sire. Ale najważniejsze, co wasza wysokość powinien o mnie wiedzieć, to że byłem kiedyś oszustem i kanciarzem, i to bardzo sprytnym. Kto lepiej od kanciarza mógłby pokierować Królewskim Bankiem Ankh-Morpork i mennicą? Mam skłonności do oszustw i wiele oszukańczych umiejętności, a że patrzę na wszystko okiem oszusta, metaforycznie mówiąc, dostrzegam możliwości i problemy. Sprzyja mi szczęście i mam talent do znajdywania przyjaciół.

— Chyba nie wśród kopaczy, co?

— Miałem szczęście i przeżyłem. Przeżyłem, a jeśli wolno mi to stwierdzić, chciałbym także, by przeżył dolny król ze swym dworem.

No dobrze, pomyślał, to było ostre zagranie, ale konieczne. Całe to uzbrojenie, które przeszkadzało we wszystkim, razem z całą bieganiną musiało prędzej czy później doprowadzić do wypadku.

— Jak pan wie, panie Lipwig, pewne nieoczekiwane, ale ważne sprawy wymagają pilnie mojej obecności w Überwaldzie. Muszę tam dotrzeć z jak największą prędkością. Z sekarów, które dziś rano otrzymałem od lorda Vetinariego, zrozumiałem, że ma pan plan, by mnie tam dostarczyć. Jestem ciekaw, co ten plan przewiduje.

Nastąpiły zwykłe pomruki i spojrzenia, ale Moist nie miał zamiaru dać się zastraszyć bandzie niskich ludzi, którzy uważają się za bardzo ważnych. Nigdy nie lubił protokołu — przeszkadzał tylko, a często skrywał rzeczy przykre i niebezpieczne.

— Obawiam się, sire, że nie mogę tutaj ujawnić propozycji lorda Vetinariego. Zbyt wiele jest osób w tym pomieszczeniu, ktoś może być zdrajcą.

Podniósł się gniewny gwar. Moist zachował obojętną, nieruchomą twarz, dopóki wszystkie protesty nie zostały wyprotestowane.

— Nie przybyłem tu, by być miłym, i chcę wyjaśnić, że podczas tej misji jestem lojalny wobec ciebie i tylko ciebie, sire. Poza tym oto panem Nieśmialssonem nie znam nikogo z obecnych. Twoi przeciwnicy, panie, z pewnością są dostatecznie inteligentni, by umieścić w pałacu śpiocha, który przekaże im wszystkie informacje.

Wiedział, że posuwa się za daleko, ale krasnoludzia ochrona nie zrobiła na nim dobrego wrażenia. Byli zbyt sztywni... Wszystko robili z pompą i na pokaz.

— Panie Lipwig, jestem królem i z pewnością żyję jeszcze dzięki tym, których znam i którym mogę zaufać. Ale doceniam pańską przezorność w tej kwestii. — Król zwrócił się do krasnoluda u swego boku. — Aeron, zadbaj o prywatność.

Krasnolud nazwany Aeronem, który wydał się Moistowi zaufanym asystentem, krasnoludzim odpowiednikiem Drumknotta, wyprosił z pokoju niepotrzebne osoby, pozostawiając tylko siebie, Nieśmialssona i kilku innych, najwyraźniej starszych krasnoludów.

— Dziękuję — rzekł król. — Panie Lipwig, ufam wszystkim obecnym w tym niedużym pokoju. Ufam i tobie, chłopcze, bo wiem, że jesteś panem von Lipwigiem, i znam twoją reputację. Potrafisz przetrwać. Może jesteś zabawką bogów, a może najlepszym chwalącym piętę, jaki żyje na tym świecie. Ale udaje ci się to wszystko, więc mam nadzieję, że i mnie się uda. Bo nie tylko nasze życie zależy od tego, czy dotrę do Überwaldu i do Kamiennej Kajzerki, zanim ci dranie zniszczą wszystko, o co się staraliśmy. — Uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że nie wywieram zbytniego nacisku?

— Wasza wysokość, nacisk jest tam, gdzie zaczniemy — odparł Moist.

\* \* \*

Hałaśliwy bankiet trwał w najlepsze, z obfitym żłopaniem i krasnoludzimi pieśniami, gdy po kilku godzinach dolny król i jego oficerowie dyskretnie opuścili château drzwiami dla służby. Wiele karoc podjeżdżało i odjeżdżało od rana, więc odjazd jeszcze kilku nie zwrócił niczyjej uwagi.

— Tagwen Tagwensson świetnie sobie radzi, grając dzisiaj króla — zauważył Rhys, kiedy ich powóz ruszył po długiej żwirowej alei. — A pieśń ma ponad sto zwrotek. Mogą tak ciągnąć całymi dniami.

Kiedy dotarli do terminusa w Quirmie, zobaczyli przed sobą wielką postać sierżanta Detrytusa ze Straży Miejskiej Ankh-Morpork. Sierżant pilnował Żelaznej Belki, trzymając w rękach swojego piecmakera, który dysponował czymś, co można określić jako hurtową skuteczność.

Oczy dolnego króla rozbłysły, kiedy poznał sierżanta.

— Detrytus! — zawołał. — Skoro ty jesteś w pociągu, nie potrzebuję innej ochrony.

Powiedział to żartobliwie, ale Moist pomyślał, że może mieć rację.

— Dobrze cię widzieć, królu! — zahuczał Detrytus. Rozejrzał się uważnie. — Są jacy gragowie? Jak tak, niech się ustawią.

Za plecami króla zawsze obecny Aeron starał się sprawnie zapakować do wagonów ludzi i broń. Otworzył drzwi i pospiesznie pchnął Rhysa do eleganckiego wnętrza.

Nieśmialsson postukał Detrytusa w kolano.

— Istotnie jestem gragiem, sierżancie, i właśnie się ustawiłem zgodnie z poleceniem. Co teraz?

Detrytus poskrobał się po głowie.

— Ale pan jest w porządku, panie Nieśmialsson. Nasz komendant zna pana, i jego pani też.

— Aha. Czyli ustawiam się, żeby wsiąść do pociągu, tak? — upewnił się krasnolud. — Miło mi znowu pana spotkać, sierżancie, ale proszę pamiętać, są gragowie i gragowie.

Po czym wsiadł do wagonu.

Kiedy cały orszak był już bezpiecznie wewnątrz, Moist popatrzył jeszcze, jak Detrytus wciska się do wagonu hamulcowego, który zgrzytnął i głośno zaskrzypiał, ale najwyraźniej wytrzymał. Moist dał więc sygnał do odjazdu i wskoczył do środka.

Pociąg ruszył ze zwykłym szarpnięciem sprzęgów i zaczęła się długa podróż do Ankh-Morpork. Moist uświadomił sobie, że nie jest wcale potrzebny. W wagonach dolny król, jego gwardziści i doradcy siedzieli ciasno przy sobie i rozmawiali bardzo cicho, snując plany na przyszłość. W kabinie lokomotywy maszynista myślał tylko o tym, by dowieźć królewski ładunek do miejsca przeznaczenia; zatonął w świecie koncentracji. Można było zauważyć, że skupienie osiada na nim jak śnieg: słuchał kół, słuchał szyn, uważał na światła, sprawdzał mierniki i prowadził machinę tak skutecznie, że może dotarliby do celu nawet bez Żelaznej Belki, napędzani wyłącznie siłą woli. Palacz wyraźnie dał do zrozumienia, że nie potrzebuje pomocy. Moist zatem nie miał nic do roboty, mógł tylko spać... i się martwić.

Jeśli król był celem, a gragowie dowiedzą się, że jest w pociągu, wtedy i pociąg z pewnością stanie się celem. Chociaż gdyby do tego doszło, Moist miał nadzieję, że tamci napotkają pewne przeszkody.

Osobiście uważał, że ataki nastąpią później, na pustkowiach, na długiej trasie do Überwaldu. Mimo wszystko, co mówił Vetinariemu, wiedział, że łatwo jest zrzucić lokomotywę z torów. Zawsze skrupulatny Simnel zdradził mu, że przeprowadził próbę przy niskiej prędkości i na tyłach kompleksu, w miejscu dla Żelaznej Belki niewidocznym. Efekty były imponujące. Raz zrzucona machina wymagała połączonych wysiłków kilku trolli i golemów, wielu godzin pracy i chytrego systemu wielokrążków, żeby postawić ją z powrotem na tory. Gdyby coś takiego przytrafiło się lokomotywie pędzącej z pełną szybkością... I to, pomyślał Moist, mówi człowiek, który kieruje się tylko suwakiem logarytmicznym, sinusem i cosinusem, nie wspominając nawet o tangensie. Moist nigdy nie podał w wątpliwość stwierdzeń Dicka na temat jego suwaka; chłopak potrafił skłonić liczby do tańca i Moist jeszcze nie widział, żeby się w czymś pomylił. To było... było jak magia, tyle że bez magów i całego bałaganu.

Dick odkrył też, że można mieć dziewczynę... intrygująca myśl. Powszechnie było wiadomo, że on i siostrzenica Harry’ego, jak to mówią, chodzili ze sobą. Pewnej nocy Dick przewiózł nawet Emily dookoła kompleksu w świetle gwiazd, a to przecież musiało coś znaczyć, prawda? Powiedział też Moistowi — głosem człowieka, który odkrył niezwykły i atrakcyjny, nieznany dotąd świat — że Emily doskonale sobie radzi z paleniskiem i nawet nie brudzi sukienki.

— Myślę sobie, że Żelazna Belka ją lubi. Nigdy się nie brudzi ani nic... Jak ja schodzę, zawsze wyglądam jak śmieciarz, ale kiedy pojechaliśmy razem, ona wyglądała jak jakaś balerina albo co...

Jednak w tej chwili Moist miał inne problemy. Ten najważniejszy ze wszystkich pociągów wiózł swój bezcenny ładunek, a cały plan opierał się na całkiem prostych rzeczach wykonanych właściwie, w precyzyjnie dobranym czasie i dokładnie tak jak trzeba. Byli ludzie, którzy mieli zadbać, by w bunkrach na trasie czekał węgiel; Moist znał się już na zużyciu wody i wiedział, kto dopilnuje, żeby ta woda znalazła się w miejscu i czasie, kiedy będzie potrzebna. Ale jak zadbać o to, by ktoś, kto miał o to zadbać, rzeczywiście to zrobił? Ktoś powinien za to odpowiadać!

Wszystkie te zadania wydawały się Moistowi ogromną piramidą, w której każdy kamień musiał trafić na swoje miejsce, zanim zakręciło się koło. W pewien sposób go to przerażało. Przez większą część swego życia był właściwie samotny, a co do banku i mennicy, to Vetinari miał rację: rzeczywiście posiadał talent znajdowania właściwych ludzi, którzy lubili swoją pracę i wykonywali ją dobrze, a ponieważ wszystko im przekazywał, sam mógł po prostu być Moistem von Lipwigiem, katalizatorem świata. Teraz jednak zaczynał rozumieć napady lęku, rozumieć ludzi, którzy zamykają drzwi na klucz, a potem w połowie drogi do bramy zawracają, by sprawdzić, czy zamknęli, otwierają je i zamykają znów, by mieć pewność, a potem ruszają alejką przez ogród i zaraz znowu wykonują tę przerażającą procedurę.

W takich sytuacjach trzeba tylko mieć nadzieję i zakładać, że wielu rozsądnych ludzi wykonało w rozsądny sposób wiele rozsądnych działań. I sprawdzać je często, by mieć pewność, że wszystko jest jak należy. Czyli takie zamartwianie się jest niemądre, prawda?

Tylko że to nigdy nie jest argument. Niepokój siadał na ramieniu jak goblin i szeptał do ucha. I nagle zmartwiony osobnik w obcym świecie nieufności wkraczał w dziedzinę koszmarów. W tej chwili Moist von Lipwig martwił się — naprawdę bardzo się martwił. Czego nie dopatrzył? Czego nie przewidział? Słyszał turkoczące koła i wiedział, że podróż zajmie cztery dni, nie licząc awarii, załamań pogody, burz w górach, które mogą być bardzo gwałtowne... Nie wspominając nawet o jakichś obłąkanych krasnoludach, które koniecznie chcą popsuć imprezę.

Trzeba zaznaczyć, że wszystko to było wewnętrznym monologiem. Więcej, był to osobisty wewnętrzny monolog wewnętrznego monologu. Po zewnętrznej stronie skóry Moista panowała absolutna, kamienna pewność: nic nie może się nie udać. Przecież sprawami technicznymi zajmuje się Dick, a to geniusz. Nie w taki sam sposób, w jaki Leonard z Quirmu był geniuszem, ale — uznał lojalnie Moist — w pokrzepiającym, solidnym, simnelowskim stylu. Leonard pewnie w połowie drogi zacząłby myśleć o czymś całkiem innym, na przykład jak użyć kapusty jako paliwa albo jak wykorzystać popioły z paleniska, by hodować lepszą kapustę, albo zacząłby tworzyć arcydzieło malarstwa, portret nimfy odzianej w kapustę i węgiel... Za to Dick mocno nosił kaszkiet na głowie.

Vimes także pojedzie. Jakaś część Moista — ta, która nadal uważała, że gliniarzy należy unikać nawet w najlepszym przebraniu — czuła dreszcze, kiedy komendant patrzył mu w oczy czy dowolny inny element anatomii. Jednak cała reszta była wdzięczna, że dyżurny klasowy Vimes będzie po jego stronie, gdyby zjawili się gragowie...

Prawdę mówiąc, Moist pełen był niewielkich monologów goniących się wkoło, ale w końcu, ponieważ były to jego monologi, postanowiły znów zebrać się razem jako jeden pełny Moist von Lipwig, a zatem trzymać fason i przebić się niezależnie od wszystkiego.

Wszystko pójdzie re-we-la-cyj-nie, zapewniał sam siebie. Czy kiedyś nie poszło? Jestem przecież Moistem von Lipwigiem szczęściarzem!

A w samym środku hipotetyczny goblin niepewności skręcił się w odrobinę drżącej papki. Moist życzył mu szczęścia i pożegnał go z uśmiechem.

\* \* \*

Ogromna rezydencja Harry’ego Króla była dobrze chroniona i doskonale się nadawała na prywatną kolację, podczas której dolny król mógł się spotkać z Vetinarim, gdy trwały przygotowania do kolejnego, dłuższego etapu podróży do Überwaldu. Powszechnie uważano, że... „wykonawcy” Harry’ego mieli w bójce przewagę nad przeciętnym żołnierzem czy policjantem, ponieważ tamtych nauczono przestrzegania reguł, natomiast większość chłopców Harry’ego nie wiedziała nawet, jak się to słowo pisze. Dowolny intruz na tyle głupi, by dać się przyłapać w krzakach na rozległym terenie rezydencji, w ciemności i w deszczu, zostałby błyskawicznie przycięty.

Choć kolacja miała być prywatna i nieoficjalna, Effie Król podeszła do niej z całą powagą. Zaczęła swoje przygotowania od bólu głowy, potem przeszła do roztrzęsienia, a dalej płynnie do organizacji przedsięwzięcia o militarnej precyzji i rozmachu. Po drodze zastraszała kucharzy i gorączkowo sprawdzała na przykład, jakiej łyżki używa się do jakiej zupy.

Wreszcie zjawił się dolny król. Effie przyklęknęła przed nim, gdy wszedł do jej wyłożonej dębowymi panelami jadalni. W tej chwili czuła się, jakby trafiła do bardzo wystawnego i wytwornego raju.

— Jak minęła podróż, sire? Bezpiecznie i wygodnie?

Dolny król zastanowił się przez moment.

— Eufemia, prawda? — upewnił się.

Effie spłonęła rumieńcem.

— Tak, wasza wysokość, ale dla waszej wysokości po prostu Effie.

Król znowu się uśmiechnął.

— Bardzo dobrze. A ja jestem dla ciebie po prostu „waszą wysokością”, lady Król.

Effie wydawała się nieco zagubiona, dopóki dolny król nie wyciągnął do niej ręki.

— Tak naprawdę może się pani do mnie zwracać, jak pani zechce. Próbowałem tylko zażartować. To stary krasnoludzi żart, jak i ja jestem w tej chwili starym śmiesznym krasnoludem, uciekinierem próbującym unikać groźniejszych uciekinierów i polegającym na pomocy innych, takich jak pani szlachetny mąż i jego przyjaciele.

Moist także się uśmiechnął, widząc, że Effie wreszcie zrozumiała królewskie poczucie humoru.

Dolny król spojrzał na pozostałych gości. Z uśmiechem skinął głową komendantowi Vimesowi i lady Sybil, uścisnął dłoń Adorze Belle, która — jak stwierdził z dumą Moist — gdy nie nosiła roboczego ubrania, wyglądała oszałamiająco. Na ten wieczór kupiła najbardziej atrakcyjną, a więc i najdroższą suknię — szarą, naturalnie, ale jakby z połyskiem, więc wyglądała niemal odświętnie. To była szarość w balowym nastroju. Moist w żaden sposób nie mógłby protestować, bo Adora Belle zarabiała więcej od niego.

— A lord Vetinari...? — zapytał dolny król. — Nie będzie nam towarzyszył? I pan Simnel, techniczny geniusz stojący za tą zadziwiającą drogą żelazną?

Harry rozejrzał się akurat w chwili, gdy Vetinari wynurzył się z cienia w głębi pokoju[[[64]](#footnote-64)](#64_1) i podszedł do króla.

— Witam waszą wysokość w Ankh-Morpork. Pan Simnel dogląda końcowych przygotowań lokomotywy, która na czas dostarczy cię z powrotem do domu i na tron. Zapewniam, że niczego nie pozostawiliśmy przypadkowi.

— Ach, lord Vetinari... Nie zauważyłem pana, proszę o wybaczenie — odparł Rhys. A Moist niemal zakrztusił się drinkiem, gdy krasnolud mówił dalej: — Ale rozumiem, że nadal pozostały do ułożenia fragmenty torów i niedokończone mosty. — Przerwał na chwilę. — Dość blisko miejsca przeznaczenia, o ile się orientuję.

Atmosfera ochłodziła się wyraźnie. Moist spojrzał na twarze Harry’ego i Vetinariego, i interweniował — w końcu po to właśnie tu był.

— Proszę wybaczyć, wasza wysokość, ale pan Simnel opracował koncepcję zwaną „loggystiką”, której sens daje się ująć w prostej frazie „najpierw to co pierwsze”. Oczywiście, sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, które rzeczy są pierwsze. W tej chwili, ponieważ waszą wysokość jeszcze wiele dni jazdy dzieli od Überwaldu, brygady robocze mają czas na ukończenie ostatnich kilku sekcji. Wasza wysokość dotrze na miejsce w wyznaczonym czasie. Gwarantuję to własnym życiem.

Milczenie zmroziło gości, a Moist odliczał w duchu, czekając na nieunikniony komentarz uśmiechniętego Patrycjusza.

— To wielka satysfakcja, panie Lipwig. I złożył pan tę obietnicę przy nas wszystkich. Dobre zagranie! Przecież wszyscy obecni tu dobrzy ludzie mają znakomitą pamięć.

Po tej uwadze pierwsza odezwała się Adora Belle.

— O tak, to typowe dla mojego męża. Jestem jednak pewna, że wszystko uda mu się w ostatniej minucie. Jak zawsze. A gdyby udało mu się to osiągnąć w chwili, gdy dosiada białego wierzchowca, byłby szczęśliwy jak szczypiorek wiosną.

Król zaśmiał się nieco dziwnie.

— Miejmy zatem nadzieję, że nie czekają nas przykre niespodzianki.

— Wasza wysokość, pan Lipwig zawsze osiąga swoje cele, mogę cię zapewnić — rzekł lord Vetinari swym najbardziej gładkim głosem. — Uważam to za zdumiewające i oczywiście irytujące, ale jak dotąd zawsze mu się udawało. Zresztą dlatego właśnie wszystkie kończyny nadal ma na należnych im miejscach.

Wszyscy obecni zaśmiali się nerwowo, z wyjątkiem Vetinariego, który po prostu się zaśmiał. Król krasnoludów popatrzył na Moista, jakby zobaczył go w nowym świetle.

— Czy to prawda, panie Lipwig? — zapytał.

Moist zmusił swoją twarz do przybrania wyrazu tak kamiennego, że mogłaby zacząć porastać mchem.

— Tak, wasza wysokość, wszystko, co powinno być umocowane, nadal jest. Dobrze mówię, Adoro Belle?

Nie odpowiedziała. Rzuciła mu tylko spojrzenie żony, która znosi drobne wybryki męża, lecz potem wystawia mu za nie rachunek w buduarze.

Po chwili Effie Król uśmiechnęła się promiennie i powiedziała tonem, jakiego według niej używają ludzie wytworni:

— Może zajmiemy miejsca do kolacji, panie i panowie? Wszystkie łyżki leżą na należnych im miejscach, zapewniam.

\* \* \*

Rozmowa przy stole, z szacunku dla Effie i gumowych uszu służby, była... miła, a dotyczyła głównie nowej drogi żelaznej i cudów, jakie można dzięki niej osiągnąć. Wspomniano o ciekawym fakcie, że ludzie bogaci kupują teraz nadmorskie domy w Quirmie, gdyż tak łatwo można do nich dotrzeć. Nawet stacyjne platformy nazywano z quirmska peronami.

Inny wątek ostrożnych konwersacji dotyczył tego, jak smaczne są teraz ryby i inne owoce morza, skoro nie muszą po drodze tak długo piec się na słońcu — mogło się to łączyć z ułożoną na półmisku górą krewetek, małży i niezidentyfikowanych stworów z mackami, ukształtowaną tak, by przypominała zaginioną cytadelę Leshpu. Konstrukcji tej Effie z dumą powierzyła centralne miejsce na stole.

Podobne tematy przewijały się w różnych wersjach, aż kolacja niemal dobiegła końca i służący opuścili pokój. Wtedy Vimes rzucił Rhysowi dyskretne spojrzenie i także wyszedł. Wrócił po kilku minutach, skinął dolnemu królowi i ponownie zajął miejsce przy stole.

— Panie i panowie, przygotowania do naszego wyjazdu są zakończone — oznajmił. — Kiedy wypowiadam te słowa, dolny król odjeżdża ekspresowym dyliżansem do Überwaldu.

Było coś w jego głosie, co skłoniło Moista do zastanowienia, jako że dolny król w tej chwili najwyraźniej siedział przy stole i pałaszował bardzo kosztowne lody. Choć rzeczywiście, z zewnątrz dobiegł turkot kół dyliżansu, który zatrzymał się na chwilę i zaraz odjechał otoczony przez dobrze uzbrojoną eskortę.

Przy stole król dwornie oblizał łyżeczkę i zachichotał.

— To powinno zająć łajdaków na jakiś czas. — Zwrócił się do Vimesa. — Dziękuję za pańską pomoc w tym przedsięwzięciu, komendancie.

— Nie ma o czym mówić — mruknął Vimes. — To dobry pomysł. Harry i ja trochę go udoskonaliliśmy.

— Więc kto jest w tym dyliżansie, komendancie? — zapytał Moist.

— W dyliżansie? Noc jest bardzo ciemna, a król nosi płaszcz, więc praktycznie nie da się tego odgadnąć. Ale przyzwyczajone do ciemności oko mogłoby rozpoznać sierżant Cudo Tyłeczek w towarzystwie najbardziej zaufanych krasnoludzich funkcjonariuszy. Ktokolwiek spróbuje zaatakować ten dyliżans i jego zawartość, przekona się, że jego życie stało się ciężkie, a może wręcz zmarł.

Król odchrząknął.

— Pamiętam sierżant Tyłeczek z czasów, kiedy osiem lat temu spotkaliśmy się przy Kajzerce. O tak, dobrze ją pamiętam.

— Zgłosiła się na ochotnika do tej misji, sire — zapewnił Vimes.

— Nie wątpię. — Król westchnął. — Cóż, nikt z nas nie wie, co kryje przyszłość. Ale jeśli nadal będę miał Kajzerkę z Kamienia pod siedzeniem, kiedy to wszystko już się skończy, sierżant Tyłeczek i jej koledzy mogą domagać się ode mnie każdej przysługi. Królewska wdzięczność musi być coś warta, zgodzi się pan chyba, panie dyżurny klasowy Vimesie?

Vimes uśmiechnął się lekko, słysząc ten stary żart.

— Mam nadzieję, że na nią zasłuży, bo jest jednym z moich najlepszych funkcjonariuszy.

— Na jak wiele takich Cudo Tyłeczek może pan sobie pozwolić? — Król sposępniał. — Nienawidzę, kiedy ktoś ginie, zwłaszcza po to, żebym ja nie zginął. Ale do rzeczy. Jeśli mam dostać się do Überwaldu możliwie szybko, to chyba powinniśmy niedługo ruszać?

— Wkrótce, wasza wysokość — zgodził się Vimes. — Ruch pociągów między Ankh-Morpork i Sto Lat trwa przez całą noc. W tej chwili to głównie towarowe, z produktami spożywczymi na rynek i paczkami z Urzędu Pocztowego, ale ludzie cały czas kręcą się po terminusie. Nikt nie zdoła śledzić ich wszystkich. Zorganizowaliśmy wszystko tak, by był pan, sire, kolejnym anonimowym pasażerem na peronie i wyglądał jak zwykły pasażer trzeciej klasy. Chociaż gdyby zaszła potrzeba, okaże się, że ty i twoi towarzysze noszą nietypowo wielką ilość śmiercionośnej broni. Broni, wasza wysokość, obejmującej też kły. W tej sprawie straż nie pozwoli się wyprzedzić. Jeśli już gó... ekskrement uderzy w jakmutam, praktycznie w każdym miejscu, gdzie się udasz, będziemy mieć ludzi, którzy na ciebie uważają. A teraz wasza wysokość i pan Lipwig zechcą pójść za mną do bocznego pokoju, o tam. Postaramy się, żeby w rezultacie nikt z was nie wyglądał jak któryś z was.

Komendant odwrócił się do Harry’ego.

— Harry, czy na pewno możesz zagwarantować dyskrecję wszystkich swoich ludzi, nawet tych w kuchni?

Harry wyraźnie chciał zasalutować.

— Tak, komendancie. Niektórzy z nich to dranie... sam pan wie... ale to mój typ drani.

— O tak — rzucił dolny król. — Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju drani. Są tak bardzo... przydatni...

\* \* \*

Moist sporo wiedział o sztuce maskowania, chociaż nigdy nie przywiązywał wagi do charakteryzacji. Problem, jak stać się kimś innym, to kwestia subtelna. Prawdopodobnie rozumiana jedynie przez pomarszczonych staruszków w bardzo wysokich górach wokół Oi Dong, którzy posiedli sekrety znanego wszechświata, wśród nich ten, jak jednym kopnięciem usunąć kręgosłup przeciwnika z jego ciała. Oni z pewnością wiedzieli, że prawdziwy kamuflaż pochodzi z wnętrza. Naturalnie, dopuszczalna była też czasem zmiana odzieży. Moist jednak zwykle po prostu myślał, jakim typem osoby chciałby się wydawać, i wszystko się ogniskowało. Sztuczny nos był stanowczo wykluczony — to oczywiste, że nos stworzony po to, by człowiek wyglądał w nim jak ktoś obcy, też będzie na twarzy wyglądał obco. Po co miał ryzykować, skoro jego naturalne rysy były tak nieciekawe, że nikt nawet nie pamiętał kształtu jego twarzy? Udawanie kobiety powodowało pewne naturalne problemy, jednak udało mu się to kilka razy za dawnych złych czasów, które teraz, w retrospekcji, wydawały się takie dobre. Stracił już rachubę, iloma kapłanami był w życiu. Jeśli istniało coś takiego jak odkupienie, dla Moista musieliby otworzyć cały gąsior tej substancji. Nie, lepiej browar.

\* \* \*

Na stacji grupa króla się rozdzieliła. Rhysowi, udającemu teraz dość zdezorientowanego krasnoluda w starszym wieku, towarzyszyło w pewnej odległości trzech innych podejrzanych osobników. Pozostali ustawili się w niewielkich i niewinnych z wyglądu grupkach wzdłuż peronu.

Nieśmial Nieśmialsson mężnie zgłosił się na ochotnika jako kolejny członek eskorty, jednak i Moist, i komendant Vimes uznali, że w swym rodzinnym Ankh-Morpork jest zbyt rozpoznawalny. Zasugerowali, że jego szczególne umiejętności można lepiej wykorzystać gdzie indziej. Jednak mroczni referenci byli wyszkoleni przez Vetinariego, który — jak niedawno wykazał — może stać niezauważony w pomieszczeniu pełnym ludzi: miał znakomitą technikę. Byli też inni, prawdopodobnie także nad nimi. Cokolwiek by się działo, komendant Vimes nie zamierzał dopuścić, by dolnego króla zabito podczas jego służby.

Moist wzdychał i żałośnie, choć nie nazbyt żałośnie, powłóczył nogą, idąc na tył pociągu. Znalazł tam dyżurnego ruchu ze stacji, kłócącego się z jakimś dobrze ubranym mężczyzną, który stanowczo usiadł w wagonie trzeciej klasy, między sennymi robotnikami o brudnych rękach i z torbami narzędzi a kominiarzami wiozącymi swoje nieodmiennie nieszczelne worki sadzy. Moist całym sercem wspierał prostych ludzi, zwłaszcza takich, którzy w życiu mogli sobie pozwolić przynajmniej na jedną kostkę mydła i w miarę możliwości nie spluwali bez przerwy, chrząkając przy tym i wyrzucając wielkie grudy śliny i flegmy. A ten elegant, cuchnący i ociekający najlepszą brandy, zatrzymywał pociąg, gdy dyżurny stał bezsilny, wykolejony pełnym wyższości tonem.

Moist zatem objął intruza ramieniem i natychmiast przeszedł do roli potwornie irytującego pijaka — kompletnej, łącznie z wybuchami czkawki; to pewne zagranie, zawsze gwarantujące oczekiwane skutki. Z ust tryskały mu krople śliny i buchał paskudny fetor; usiłował prowadzić rozmowę, a każde jej słowo było pocięte, udręczone i śmiertelnie nadużywane. I przez cały czas pochylał się do tamtego irytująco, pluł i się zapluwał. Po niecałej minucie typ szybko pobiegł do jedynego wagonu pierwszej klasy z przodu pociągu. To był życiowy rekord Moista, który — wciąż w swej zaplutej i cuchnącej wersji — zatoczył się na ławkę. Chwilę później usłyszał gwizd i pociąg ruszył, trochę bez przekonania, jak zwykle pociągi, zanim lokomotywa się pozbiera i nabierze energii. Był z siebie bardzo dumny, a zużył dopiero połowę najlepszych sztucznych wymiocin z trwałym odorem, prosto ze sklepu Boffo.

\* \* \*

Noc była chłodna jak na podróż. Król siedział gdzieś w pociągu, ale pora nie była właściwa, by zdradzać zainteresowanie jego osobą. Obszarpane ubranie Moista wyglądało... no, odpowiednio; wszyscy w wagonie, słysząc świszczący pod nimi wiatr, opatulali się, jak mogli, i usiłowali przestać istnieć do chwili, gdy pociąg dotrze do celu. Gdzieś tam, myślał, powinno się postawić pomnik Effie, która najwyraźniej wymusiła na mężu, by wagony niższej klasy były przynajmniej wodoszczelne[[[65]](#footnote-65)](#65_1).

\* \* \*

Przywódca kopaczy, obserwujący jeden z głównych traktów wyjazdowych z Ankh-Morpork, uśmiechnął się ponuro, gdy w pole widzenia wjechał powóz noszący insygnia dolnego króla. Ulewa smagała dach, konie galopowały w stronę Osi, a przywódca kopaczy uśmiechał się do kropli deszczu. Jakże łatwe miał zadanie... Dał sygnał czekającym krasnoludom, którzy już chwytali za uprzęże i uzdy. Powóz zatrzymał się gwałtownie.

Przywódca kopniakiem wyłamał drzwi.

— Wyprowadźcie króla, a nikomu nie stanie się krzywda — rozkazał.

Przez chwilę wewnątrz trwała cisza. Potem ktoś odpowiedział:

— Nie mamy żadnego króla oprócz Harry’ego Króla i to nie nam stanie się krzywda. Możecie nas uznać za Towarzystwo Ochrony Monarchów, a sir Harry Król nie lubi, kiedy jego przyjaciele mają kłopoty. To wy, przyjacielu, sprawiacie kłopoty, na szczęście nie aż takie jak my. Dalej, chłopcy!

Walka była szybka i metodyczna. Po chwili powóz ruszył dalej, a zwycięzcy śpiewali i popijali wśród burzy. Woda na kamieniach bruku zabarwiła się czerwienią.

Tymczasem, kilka mil dalej, inna grupa kopaczy przeżyła zadziwiająco podobne spotkanie z zadziwiająco podobnym powozem. Okazało się, że wśród innych przerażających elementów mieści we wnętrzu bardzo gwałtownego i bardzo kobiecego krasnoluda w hełmie strażnika...

\* \* \*

Pociąg zatrzymał się na stacji węzłowej w Sto Lat i Moist patrzył, jak zawiadowca pomaga wysiąść brudnemu i żałośnie staremu krasnoludowi. Dolny król miał wyraźnie talent aktorski. Moist zauważył, że jeden z równie obdartych towarzyszy w nieszczęściu lituje się nad starcem i podaje mu kawałek krasnoludziego chleba, przedtem toporem rozbijając bochenek na połowy. Ze zgrozą zobaczył, że król, śliniąc się, dziękuje ofiarodawcy.

Zbliżył się.

— Doskonale — szepnął. — Jak wasza wysokość uzyskał ten smród? Wydaje się, że żyje własnym życiem.

Król przytknął palec do ust.

— To nie ja. Rozchodził się od człowieka przede mną. Chyba od lat się nie kąpał. Ale pamiętaj, król musi czasem znosić rzeczy gorsze od smrodu.

\* \* \*

Musieli jakoś spędzić kilka godzin pozostałe do odjazdu ekspresu do Zemphis, jak dotąd najdalszego w stronę Osi punktu obsługiwanego przez Higieniczną Drogę Żelazną. Priorytetem było więc usunięcie króla poza zasięg wzroku przypadkowych pasażerów — nawet w przebraniu stanowił zagrożenie.

Pozostawiając Simnela i Vimesa, by pilnowali stacji, Moist i dolny król, kulejąc, wyszli na zewnątrz. Moist rozejrzał się za ludźmi, o których wiedział, że tu są, ponieważ ich nie widział. I nagle jeden z nich znalazł się tuż przed nimi, tak blisko, że niemal się dotykali. Zdawało się, że wystrzelił nagle spod ziemi.

— Godfrey, panie Lipwig — przedstawił się. — Z mrocznych referentów. Lord Vetinari polecił zorganizować dla pana i pańskiej grupy bezpieczną kryjówkę. Pan Simnel zaproponował dom swojej matki, całkiem niedaleko stąd. Spotkaliśmy się z panią Simnel i okazała się monarchistką do szpiku kości. Z dowolnym monarchą. Jest też bardzo rozsądna. Nie ma powodów do niepokoju. Referent Mavis twierdzi, że staruszka jest bystra i rozumie sytuację. Dobrze gotuje i przygotowała czystą pościel.

Moist zerknął na ociekającego wodą króla.

— To brzmi jak dar Taka w taką noc jak dzisiaj — stwierdził z uśmiechem krasnolud.

Kiedy szli przez mokre i puste ulice do domu pani Simnel, Moist był cały czas świadom, że mają eskortę, ponieważ tak mówiły mu włoski na karku. Po chwili dotarli do przytulnego domku w pobliżu centrum miasta, domku tego rodzaju — określanego zwykle mianem „małych pałacyków” — jaki dobry syn mógłby kupić dla swojej owdowiałej matki, żeby nie musiała daleko chodzić po zakupy.

Dyskretne stukanie do drzwi spowodowało szuranie wewnątrz, a potem dama, która mogła być jedynie matką pana Simnela, stanęła w progu i cicho zaprosiła ich do środka. Kiedy już stanęli w jej niedużym, ale nieskazitelnie czystym pokoju, zatrzymała się i spojrzała z góry na dolnego króla.

I dygnęła.

— Bardzo pani dziękuję, droga pani Simnel — rzekł król, który najwyraźniej wiele razy znajdował się w takiej sytuacji. — Nie musi pani tego robić, nie jest to potrzebne ze strony matki genialnego mechanika.

A pani Simnel zarumieniła się z matczynej dumy.

— Tak jest, wasza wysokość. Dobry chłopak z naszego Dicka. Wiesz, panie, że kiedy był jeszcze całkiem młody, zrobił mi ikonograf, sam złapał chochlika i oswoił go masłem. Naprawdę kochają masło te chochliki. I zawsze mi pomaga, szczera prawda.

Referent Godfrey na cichych stopach sprawdził szybko resztę domu. Pani Simnel tymczasem zwróciła się do Moista.

— Pana też znam — oświadczyła. — Pan jest panem Lipwigiem. Wczoraj widziałam w azecie pański obrazek, Dick też na nim był. Stara matka ma z czego być dumna, ot co. Oczywiście, sama jej nie kupuję, wielebny Humor przychodzi i mi czyta tę azetę, bo tam jest taki drobny druk i w ogóle. Ostatnio mało co wychodzę, ale mój chłopak zarabia tyle, że każe mi codziennie dostarczać świeże jedzenie pociągiem. Pilnuje, żeby starej matce niczego nie brakowało. Przedwczoraj dostałam homara w worku z lodem. Musiałam się wybrać do takiej aliganckiej restauracji, żeby sprawdzić, jak go ugotować. Ale śwarnie wyszedł i smakował, a tyle na nim było, że starczyło dla pani Pankweather, która nie może chodzić i mało co może jeść, ale szkoda, żeście nie widzieli, jak się ucieszyła, kiedy zobaczyła talerz pełen homara. No, taka prawda. Nie każda starsza pani ma porządnego i mocnego chłopaka, który o nią zadba.

Pani Simnel spoważniała nagle.

— Ale przysyła mi pieniądze co tydzień, regularnie. I tyle, że po prawdzie nie mam co z nimi robić, więc trochę oddaję biednym. Pan jesteś jego przyjacielem, prawda, panie Lipwig?

— Tak, pani Simnel — potwierdził Moist. — Nie wyobraża sobie pani, jak bardzo.

Wszedł referent Godfrey.

— Wracamy teraz na stację rozrządową, żeby pomóc panu Vimesowi i innym funkcjonariuszom, którzy pojadą z nami trasą do Überwaldu. Referenci Columbine i Silkworm pozostaną na zewnątrz i będą was eskortować na stację, żeby złapać pociąg do Zemphis.

I zniknął.

Pani Simnel przyjrzała się przemoczonemu królowi i odezwała się tonem odruchowo nieoficjalnym:

— Wyglądasz mi na wygłodzonego, kochaniutki. Wiem, że już późno, lecz mam w garnku trochę groszkowego puddingu. Nie za wiele, ale podtrzyma cię jakoś i doda sił, kiedy będzie trzeba.

Jak się okazało, groszkowy pudding pani Simnel był królową groszkowych puddingów. I chociaż ledwie kilka godzin temu jedli kolację u Harry’ego, Moist zauważył, że król niemal wsysa ciepłe danie.

Kiedy skończyli, pani Simnel przykryła garnek pokrywką.

— Muszę zostawić trochę dla mojego chłopaka. Chociaż on lubi raczej na zimno.

Następnie usadowili króla w fotelu, żeby się zdrzemnął. Tymczasem pani Simnel zaczęła sprzątać ze stołu, a Moist się rozejrzał. Na ścianach zauważył starannie ułożone obrazki uśmiechniętych noworodków, a może wiele razy uwiecznionego ikonografem jednego noworodka, ponieważ, pomyślał, w tym wieku każdy noworodek wygląda jak... no, jak noworodek i tylko matki potrafią rozszyfrować, który jest którym. Zadziwiające...

— Słowo daję, pani Simnel, piękne dzieciaki — stwierdził, kiedy wróciła życzyć mu dobrej nocy. — Wszystkie pani?

Roześmiała się.

— Ależ skąd, nie! Nasz Dick to jedynak, ale uczyłam się na akuszerkę, zanim poznałam mojego zmarłego męża. I wie pan, jak to jest, dobra byłam w tym akuszerstwie, zwłaszcza kiedy źle się układało.

Spojrzała na Moista surowo.

— Na pewno pan wie, o czym mówię, panie Lipwig? Straciłam tylko jedno, bo nie mogli mnie znaleźć, aż nie było już za późno. W każdym razie od tego czasu mnie wzywają i wie pan, jak to jest, syn powtarza, że już nie muszę tego robić, ale jak się ma reputację, to ona się trzyma. Szczególnie jak młoda dziewczyna jest przerażona.

Miała minę kogoś znużonego i zniechęconego, ale w toni jej oczu błysnęła płetwa dumy.

Król odwrócił się w fotelu, chrapiąc głośno. Pani Simnel poprawiła poduszki, żeby mu było wygodniej. I nagle znieruchomiała na moment, jakby coś zwróciło jej uwagę. Rzuciła szybkie i zaskakująco ostre spojrzenie Moistowi, a potem jeszcze raz poklepała poduszkę i wyprostowała się z uśmiechem. Chwila minęła. Umysł Moista był trochę ociężały ze zmęczenia, a naturalna umiejętność odczytywania drobnych sygnałów, jaka przy tak wielu okazjach ocaliła mu życie, opuściła go już wiele godzin temu. Jednak musiał zapytać.

— Pani Simnel... Coś się stało?

Odpowiedziała natychmiast.

— Nie, chłopcze. Tak tylko sobie myślałam, jakie to dziwne, że ktoś taki mały i, no... zarośnięty, może być... królem. Ale to pewnie z winy przebrania. Na pewno będzie wyglądał świetnie w koronie i z błyskotkami. A teraz trzeba ci do łóżka, chłopcze.

Choć zmęczony, Moist rozpoznał taktyczny unik i nie ustąpił.

— Pani Simnel, czy jest coś, o czym pani nie...

— A skąd, nic takiego, w każdym razie nie ma żadnego powodu do zmartwienia.

Myśli Moista zawirowały, lecz zaraz spłoszył je odgłos otwieranych z rozmachem frontowych drzwi, a z progu powitał matkę Dick Simnel. Woda ściekała mu z płaszcza. Niósł tyle pakunków i pudełek, że musiał je odłożyć w małym przedsionku, gdzie lśniący zegar podawał godzinę, dzień tygodnia i całkiem możliwe, że także aktualną fazę księżyca; przede wszystkim jednak mówił światu, że pani Simnel dostaje najlepsze rzeczy, jakie Dick może jej kupić.

Pani Simnel natychmiast rzuciła mu się w ramiona, roztrącając pakunki. Uwolnił się ze śmiechem.

Po chwili, usadowiony w ciepłej kuchni, zajadał zakrzepły pudding, a jego matka odpakowywała niektóre pudełka.

— Śwarne jedzenie, mamo. Potrafi zdmuchnąć trochę złego ze świata.

Moist nagle sobie uświadomił, że jest śmiertelnie zmęczony.

— Przygotowałam panu łóżko, panie Lipwig. Dla króla także, ale wygląda, że mu wygodnie tam, gdzie jest. Nie chcę go teraz budzić. Zostaniesz na noc, Dick?

— Przepraszam, mamo, ale nie. Mam mnóstwo roboty. Wszyscy pracujemy na podwójnych zmianach.

Pani Simnel z dumą spojrzała na Moista.

— To właśnie mój chłopak. Ciężko pracuje z tym swoim łaskotliwym kijkiem.

— To suwak logarytmiczny, mamo. — Simnel uśmiechnął się do Moista.

— Niech mu — zgodziła się dumna rodzicielka. — Robi karierę w świecie, kiedy tak pracuje dla Harry’ego Króla.

Podeszła, by pocałować Dicka, ale on podniósł ją w górę, pocałował w powietrzu i odstawił trochę bardziej mokrą i ubrudzoną.

— Och, mamo, tak mówisz, jakbym był jakim świętym, a jestem zwykłym człowiekiem pracy z brudnymi rękami. W każdym razie muszę już uciekać.

Idąc do drzwi, zerknął na śpiącego króla.

— Wszystko z nim w porządku, mamo?

Moist bardzo uważnie obserwował twarz pani Simnel.

— Śwarnie, mój chłopcze — odparła. — Musi tylko się wyspać, aż szkoda będzie go budzić.

Dick zerknął szybko na Moista, kiedy to powiedziała, i zdawało się, że coś go zastanowiło. Potem jednak wzruszył ramionami jak człowiek, który uznał, że się pomylił. Wręczył Moistowi paczkę z czystymi ubraniami dla niego i króla, a potem znów pocałował matkę.

— Przypilnuj, mamo, żeby wyszli wcześnie, bo muszą zdążyć na ekspres do Zemphis.

Rzeczywiście przypilnowała, nakarmiwszy ich wcześniej owsianką — gorącą i słodką, właśnie taką, jakiej Adora Belle absolutnie nie lubiła. Moist czuł, jak śniadanie lepi się do kości, gdy odświeżeni drzemką razem z królem opuścili bezpieczny port jej domku. Nad Sto Lat wschodziło już słońce.

\* \* \*

W jaskini gdzieś w pobliżu nieco posępnej, niedocenianej metropolii Slake gragowie dyskutowali o groźbie drogi żelaznej. Znaleźli rzemieślnika, który lubił pracę z żelazem, a że był krasnoludem z Ankh-Morpork, mógł im wszystko wytłumaczyć.

Siedząc nerwowo w słabo oświetlonej jaskini, rzemieślnik starał się wyglądać, jakby był po stronie gragów, gdy w rzeczywistości był po stronie pieniędzy. Tłumaczył, że lokomotywy są ciężkie, więc próbę zrzucenia ich z torów najlepiej przeprowadzić w głębokich wąwozach albo pod górami. Sugerował też rozwiązanie alternatywne: pozbawić machiny możliwości zaspokojenia ich podstawowych potrzeb — paliwa i wody — i wtedy zaatakować, kiedy będą całkiem bezbronne i nieruchome. Zupełnie przypadkiem wszedł w posiadanie mapy ukazującej położenie wszystkich magazynów węgla, wież ciśnień i żurawi wodnych, które obecnie wytwarzał.

— Przypuśćmy zatem, że weźmiemy na cel zatrzymanie konkretnego pociągu... Ilu ludzi nam trzeba, żeby obalić te... wodne żurawie? — wyszeptał chrapliwie w ciemności anonimowy grag.

— Do tego potrzeba was wielu — odparł usłużny krasnolud. — Przeciwnicy są chyba dość inteligentni, by przewidzieć, że skupicie wysiłki na zatrzymaniu machin. Dlatego bunkry i żurawie będą dobrze strzeżone. Oczywiście — dodał — wysoko w górach macie nad nimi przewagę.

Rzemieślnik zrobił optymistyczną minę, choć trudno byłoby ją zobaczyć w mrocznej jaskini.

— To właściwie wszystko, panowie — powiedział. — Nie jest to specjalnie trudne, ale gdybym był jednak potrzebny, wiecie, gdzie mnie szukać.

Prawdę mówiąc, w tej jaskini dostawał dreszczy i chciał stąd wyjść jak najszybciej. Usłyszał głos przywódcy gragów.

— Dobrze się spisałeś, przyjacielu. Proszę, weź to złoto jako symbol naszej wdzięczności, i tak, wiemy, gdzie cię znaleźć, tak samo jak wszystkich członków twojej rodziny.

Rzemieślnik zajrzał do ciężkiego skórzanego worka i był zachwycony.

— To bardzo łaskawe z waszej strony, szanowni panowie. Mam nadzieję, że kiedyś w przyszłości znów będę mógł wam pomóc.

I odszedł uszczęśliwiony tak wysokim honorarium za tak niewiele prawdziwej pracy. Gragowie niczego nie wiedzieli! Czuł się, jakby zabierał pieniądze dzieciom, ale uśmiechnął się i pożegnał, i ukryty w ciemności kopacz poderżnął mu gardło, zanim jeszcze opuścił wilgotną grotę. No ale kto oddawałby złoto krasnoludowi z Ankh-Morpork? Dla gragów oni wszyscy byli niewiernymi.

\* \* \*

Kiedy wraz z królem pospiesznie zmierzali z domu pani Simnel na stację, Moist zdawał sobie sprawę z obecności mrocznych referentów, którzy — niewidzialni — towarzyszyli im dyskretnie i pilnowali ze wszystkich stron.

Wczorajsze przebrania zniknęły. Szybkie mycie i czesanie zmieniły króla w krasnoludziego biznesmena, podczas gdy Moist był brudniejszy i wyglądał jak idący do pracy mechanik.

Zawiadowca zapowiedział głośno:

— Pociąg ekspresowy Altiplano przygotowuje się do odjazdu z toru przy peronie pierwszym. Przystanki w Wielkiej Kapuście, dla gości Świata Kapusty, i w Zemphis, dla oglądających Wodospady Zemphis. Wagony sypialne znajdują się na początku składu. Proszę wsiadać, panie i panowie.

— Wiesz, co robić, sire — szepnął królowi Moist.

Król pokazał swój bilet kontrolerowi.

— Klasa średnia w środkowej części składu — poinformował kontroler gburowato.

Moist odszedł jak najszybciej, nie oglądając się — oglądanie się sygnalizuje nerwowość. Powinien się opierać tylko na instynkcie. Wszyscy wiedzą, co mają robić.

Musiał skręcić, by zejść z drogi skrzynkom kur. I pomyślał: Dlaczego zawsze muszą to być skrzynki z kurami? Po odgłosach sądząc, wcale nie chciały tu być, a jednak zdawało się, że są wszędzie. Obok przeszła matka z dzieckiem. Jakiś goblin pomachał, zapewne żonie, choć z goblinami trudno mieć pewność. Moist zerknął na kontrolera i przez chwilę rozkoszował się ciszą, nim pociąg zbudził się do życia.

Wsiadł do wagonu hamulcowego. Pierwszą spotkaną tam osobą okazał się Detrytus, bez odznaki, a zatem będący po prostu... no, trollem. Wydawał się trochę nieswój. Za nim siedział komendant Vimes w mundurze kontrolera i najwyraźniej świetnie się bawił, jeśli Moist poprawnie zinterpretował jego grymas.

Vimes pomachał mu różową bibułką sekarowej depeszy.

— Co za idioci! Próbowali tych swoich zagrań jeszcze na ziemi Ankh-Morpork. Biedaczyska... Myśleli pewnie, że nas przechytrzyli, ale Cudo i jej chłopcy szybko sobie z nimi poradzili. Ludzie sir Harry’ego także, sądząc po tych wieściach. A teraz obie grupy zmierzają na Tanty, gdzie mroczni referenci zajmą ich licznymi poważnymi dyskusjami. Miejmy tylko nadzieję, że wieści nie dotarły jeszcze do dowództwa gragów.

Czekała ich długa droga do Zemphis. Potem mieli ruszyć nowym torem, po jakim nie jechał jeszcze żaden pociąg pasażerski. Będzie czas, by się martwić, kiedy już dotrą na miejsce, uznał Moist. Na razie kluczowe jest przebranie; on sam musi być mechanikiem, prawdziwym szczęściarzem, który może sobie jeździć najnowszym Lotnikiem model II i jeszcze mu za to płacą.

4

Moist spacerował wzdłuż wagonów i przyglądał się pasażerom. Wśród normalnej zbieraniny ankhmorporczyków i innych ludzi z Równin Sto i okolic, jakich można się spodziewać na trasie do Zemphis, zauważył też kilku krasnoludów podróżujących samotnie albo grupkami. Niektórych poznał jako należących do świty dolnego króla; inni byli — o ile mógł to ocenić — krasnoludami z Ankh-Morpork. Trzeba jednak pamiętać, że istniały różne typy ankhmorporskich krasnoludów: jedni byli szczęśliwi, że są obywatelami metropolii; inni zrzędzili i narzekali na swój status, jakby nie dostrzegając, że w Ankh-Morpork nikt nie zwraca uwagi, czym kto jest — no, chyba że jest bogaty, a wtedy natychmiast znajduje się w centrum zainteresowania.

Byli też osobnicy, którzy trochę za bardzo się starali, by wyglądać na nieszkodliwych i przypadkowych pasażerów. Tacy zawsze się wyróżniają i Moist często się zastanawiał, czy wiedzą, jak bardzo są widoczni dla doświadczonego oka podejrzliwego drania. Niepokoili się i rozpaczliwie próbowali nie wyglądać na niespokojnych. Jednak nonszalancję, prawdziwą nonszalancję bardzo trudno jest podrobić. Jeśli człowiek nie ma do tego talentu, całe jego zachowanie krzyczy: Amator!

Moist w szczególności zwrócił uwagę na pewnego młodego krasnoluda. Wrócił więc chwilę później i zajął miejsce naprzeciwko niego. I kiedy tak siedział, kołysząc się w rytmie turkotu kół pociągu, wyczuł pewien dysonans — nie strach właściwie, ale raczej puls strachu, ściśnięty tak mocno, że niemal wibrował.

W odosobnieniu umysłu Moista przesuwała się sekarowa taśma podejrzeń.

Do tej pory był sprytny: nie gapił się, wręcz starał się wyglądać jak osobnik, który nie stara się nie gapić, z profesjonalną nonszalancją. Ale krasnolud naprzeciwko wyraźnie się pocił. Prędzej czy później coś musiało pęknąć.

— Och, wiem, kim pan jest! — oświadczył nagle Moist cicho. — Jest pan jednym z tych hobbystycznych obserwatorów, co uważają na pociągi. Zgadłem? Nigdy nie zapominam takich maniaków.

— O tak, jestem bardzo pilnym obserwatorem, drogi panie — odparł krasnolud spokojnie, choć pot ściekał mu po brodzie, a oczy krzyczały: Ratunku!

— Doskonale. Czyli wie pan, jaka jest maksymalna prędkość Lotnika, prawda? Nie?

Prawie nikt w pociągu nie uniósł głowy, kiedy przepytywał krasnoluda z subtelnością kowalskiego młota; zaskakująca[[[66]](#footnote-66)](#66_1) reguła kolejowej etykiety nakazywała, by zachowania i rozmowy innych pasażerów pozostawały ich sprawą prywatną, jakkolwiek byliby natrętni. Krasnolud wyraźnie podskoczył na ławce, kiedy Moist go zaczepił, a teraz ciągle miał poszarzałą twarz i ciągle się pocił, więc Moist ciągnął dalej, jak przyjaciel, który chce pożyczyć pieniądze.

— Jak mówiłem, nigdy nie zapominam maniaków. Ruszył pan w długą drogę do Zemphis, tak?

— Tak. — Krasnolud kiwnął głową.

— Widział pan, którą dostaliśmy machinę? Wie pan co? Słyszę, że grzechocze jakiś czop. Czuje pan? A może to całkiem nowa, prosto z produkcji?

— Eee... tak... Chyba tak... — wymamrotał nieszczęsny krasnolud.

Moist rozejrzał się, rozważając następne posunięcie. Aha, tam siedział następny krasnolud i dyskretnie się przyglądał, jak Moist się przygląda tej namiastce hobbysty. Myśląc szybko, znowu powrócił do spoconego krasnoluda przed sobą.

— Zaraz, przecież już cię gdzieś widziałem, prawda? Stałeś przy bramie kompleksu, z małym notesikiem? Wszyscy mamy notesiki, kolego, ale mój jest w bagażu, o tam. Najczyściejszy z ciebie maniak, jakiego widziałem. Prawdziwi obserwatorzy pociągów zawsze są upaprani błotem i smarem. To taka ich odznaka honorowa, mieć smar na ubraniu. Ale ty, mój panie, nic nie wiesz o pociągach i obserwacji pociągów. Zgadza się?

Zauważył, że drugi krasnolud wstaje i nonszalancko rusza do sąsiedniego wagonu.

— Ty! Zaczekaj! — warknął Moist do pierwszego krasnoluda, po czym pobiegł i skoczył na odchodzącego. Słyszał strzępy głośnych konwersacji innych pasażerów, wyrwanych wreszcie z ich starannego braku zainteresowania. Przetoczył się, poderwał i ciężko kopnął krasnoluda swymi robotniczymi butami, tymi z czubkami okutymi żelazem — co było wyraźną sugestią, że zaatakowany powinien leżeć na podłodze i zwijać się z bólu, nawet jeśli nosił kolczugę.

Moist wyciągnął rękę i szarpnął za ledwie widoczny nad głową sznur alarmowy[[[67]](#footnote-67)](#67_1). A kiedy pociąg zahamował ze zgrzytem, krzyknął do pasażerów:

— Nikt nie wychodzi z pociągu, chyba że umie latać! Wkrótce będziemy mieli towarzystwo, panie i panowie. Wnukom kiedyś będziecie o tym opowiadać.

Posiłki nadchodziły już z obu stron: z jednej mroczni referenci, z drugiej Straż Miejska... przy czym tę konkretną część straży stanowił komendant Vimes, który szybko ocenił sytuację.

— Nie ma powodów do niepokoju, panie i panowie. Ten dżentelmen nie wykupił biletu na podróż, a takie zachowanie bardzo mocno denerwuje personel kolejowy...

\* \* \*

Jakiś czas później w wagonie służbowym młody nerwowy krasnolud i jego posępny opiekun rozmawiali — co zadziwiające — z Kamienną Gębą, który siedział przy biurku i słuchał w skupieniu.

— Panowie, dzieje się tu coś niedobrego — oświadczył.

Podniósł ciężkie, czworograniaste ostrze. Taka broń przeznaczona była dla profesjonalistów, ale profesjonalistów bez godności. Młody krasnolud stał przytrzymywany przez dwóch policjantów, a komendant mówił spokojnie, uśmiechając się jak rekin.

— To, drogi panie, jest coś, co skrytobójcy nazywają rundelem, i muszę zaznaczyć, że nawet zawodowi zabójcy go nie używają. Uważają, że jest okrutny i pozbawiony finezji. Szczerze mówiąc, zgadzam się z tym. I tak się zastanawiam, mój panie, czemu nosisz coś takiego w pociągu.

Vimes zwrócił się do drugiego krasnoluda, obecnie przykutego do sierżanta Detrytusa.

— A pan? Jaka jest w tym pańska rola? Znajdujemy się w pociągu jadącym przez pustkowia, wszystko może się zdarzyć. I wie pan co? Wszystko może się zdarzyć całkiem prędko, jeśli nie dostanę odpowiedzi na kilka pytań.

Obejrzał się na tęgiego funkcjonariusza.

— Fred, ty z Nobbym zakujcie młodszego i zaciągnijcie go tam, gdzie nikt mu nie przeszkodzi w rozmyślaniach. Ja tymczasem wrócę do pogawędki ze starszym. Podejrzewam, że wkrótce zechce mówić do mnie czystym głosem, z namysłem, ale wylewnie, niczego nie ukrywając. A panu... — tu zwrócił się do Moista — ...sugeruję, by wrócił pan na miejsce. Pogadamy później.

\* \* \*

Nie mając nic lepszego do roboty, Moist wrócił do patrolowania wagonów. Czekała go jeszcze długa, bardzo długa droga do Zemphis, a na niektórych odcinkach widoki były tak monotonne, że powinno się dla nich wymyślić nowe określenie. By jakoś zabić czas, zawędrował nawet do słynnych przedziałów sypialnych pierwszej klasy. Effie najwyraźniej miała swój udział w ich projektowaniu — całe ankhmorporskie rodziny, łącznie z ciotkami i wujami, babciami i dziadkami, wszystkimi dziećmi i może nawet osiołkiem, mogłyby dobrze się wyspać w jednej tylko z tych wspaniałych sypialni połączonych z salonikami.

A kiedy po długiej przechadzce korytarzami wrócił do wagonu hamulcowego i zastukał w nie tak całkiem sekretny sposób, otworzył mu strażnik Nobby Nobbs, który — choć formalnie był istotą ludzką i miał potwierdzający to certyfikat — tak bardzo przypominał goblina, że miał nawet goblinią dziewczynę. Adora Belle spotykała się z nią wiele razy i twierdziła, że Blask Tęczy wręcz rzuca się na Nobby’ego.

— Witam, panie Lipwig. Szkoda, że pana nie było, kiedy pan Vimes przesłuchiwał tego starszego podejrzanego. Podwinął rękaw i krasnolud jakby obłędu dostał, znaczy, prawdziwego obłędu. Zobaczył ten znak, wie pan, co komendant go ma na przegubie, i normalnie wziął i, jak by to... dostał obłędu. W życiu nie widziałem, żeby ktoś był taki przerażony, a Vimes nawet go nie tknął. Załamał się, panie Lipwig, tylko tak mogę to nazwać. Załamał się. Znaczy, też mi się zdarzało, że mnie o różne rzeczy wypytywał, wie pan, takie, co to je znalazłem na ulicy i szedłem oddać właścicielowi. Nic ważnego. Ale ten krasnolud... jakby się rozpuścił. Rozpuścił! Pewnie pan nie zna Załatwione Duncana, no bo pan nie jest w straży... Biedak przyznaje się do wszystkiego, żeby tylko dostać coś do picia, miejsce do spania w celi, może też pogadać z kimś i zjeść kanapkę. Ale ta ozdoba trawnikowa była jeszcze gorsza.

Moist się rozejrzał.

— Gdzie jest teraz?

— Tam. — Nobby wskazał przeciwny koniec wagonu hamulcowego. — A tego młodego pan Vimes razem z Fredem stąd zabrali. Wie pan, panie Lipwig, miał pan naprawdę świetny pomysł.

Moist się zawahał.

— Musisz mi podpowiedzieć, Nobby. Miałem wiele świetnych pomysłów.

— Oczywiście. Chodzi o sortowanie poczty w pociągu.

No jasne, pomyślał Moist. I to działa.

Ale Nobby mówił dalej:

— No więc w tym składzie jest taki specjalny wagon. Ma półki, szufladki i wszystko.

W wagonie pocztowym Moist zobaczył komendanta i jego nowego niskiego przyjaciela obok Freda Colona. Vimes rozmawiał z młodym krasnoludem całkiem swobodnie, a gdy zauważył Moista, dał mu dyskretny znak, że może słuchać, ale nie powinien zakłócać delikatnego procesu konwersacji. Nie było żadnych śladów walki ani przemocy, a na tacy z drucianej siatki stały dwie filiżanki kawy. Komendant tonem tak ciepłym, jakby matka mówiła do małego dziecka, rozgrywał sytuację tak, że Moist von Lipwig — oszust, kłamca, naciągacz, kanciarz i hochsztapler, król przebiegłości ociekającej jadem jak atakująca kobra — mógłby się zawstydzić.

— Och, ci gragowie... Mówiłeś, że który to był? Podpowiedz...

— Nie pamiętam.

— I co oni zrobili? To chyba niemożliwe. Och, to ten twój kolega, którego mamy w sąsiednim wagonie, tak?

— No, możliwe, że to on. Tak.

Moist miał ochotę zaklaskać, ale przedstawienie — jeśli nim było — trwało dalej. Komendant — ze lśniącym mu na ręku dziwacznym czerwonym wężem — mruczał tak ciepło i delikatnie, że w porównaniu z tym nawet miła konwersacja na herbatce u babci kojarzyłaby się raczej z napadem rabunkowym i grabieżą. Rozmowę zakończył westchnieniem i dodał z cudownie szczerym cierpieniem:

— Oczywiście, gdyby to ode mnie zależało... ale rozumiesz, odpowiadam przed Vetinarim i przed dolnym królem. Mógłbym wstawić się za tobą, chłopcze, i powiedzieć, jak nam pomogłeś... Tak, chyba tak zrobię. Jestem ci wdzięczny za pomoc i zapewniam... — Lśniący wąż poruszył się, tak jak sam komendant. — Zapewniam, młody człowieku, że jakikolwiek los cię czeka, nic się nie stanie twojej rodzinie. Ale nie wydaje mi się, żebym przekonał innych do twojej niewinności, jeśli kiedyś znowu cię złapiemy albo jeśli się okaże, że mnie okłamałeś. A teraz, jeśli pozwolisz, muszę znowu pogadać z twoim kolegą.

Moist był zachwycony tym „jeśli pozwolisz”. Całkiem jakby ten nieszczęsny dureń miał wybór.

Mroczni referenci wyprowadzili młodego krasnoluda i wrócili z tym drugim. Staranne, metodyczne przesłuchanie trwało dalej, choć prowadzone mocniejszym głosem, ponieważ krasnolud był o wiele starszy. Słowa Vimesa niosły też mocniejsze groźby, ale mimo to komendant tak jakby sugerował, że naprawdę będzie lepiej, jeśli siedzący przed nim opowie wszystko, co wie o gragach, kopaczach, no i oczywiście o swoich kolegach spiskowcach, którzy dali się podpuścić, i to właśnie oni będą schwytani i rzuceni przed oblicze sprawiedliwości dolnego króla.

— Pan, drogi panie, zostanie osądzony przez dolnego króla, ale, jak powiedziałem, wstawię się za panem. Na następnej stacji wyślę sekara, o ile pańscy byli koledzy nie spalili wieży.

Krasnolud drgnął. Moist z trudem powstrzymał się od oklasków.

— Fred — rzucił komendant. — Poproś, żeby sprowadzili tu wspólnika tego dżentelmena. Będą mogli nacieszyć się swoim towarzystwem przez resztę podróży.

Po chwili oba krasnoludy znalazły się w wagonie pocztowym, czujnie obserwowane przez mrocznych referentów.

— No tak... — podjął Vimes tym samym uprzejmym tonem. — Przykro mi z powodu tych kajdan, ale nie chcemy przecież, żebyście uciekli, prawda? I obaj musicie pamiętać... zwłaszcza pan, w pańskim wieku... że mogłoby być o wiele gorzej. Obawiam się, niestety, że wciąż jeszcze może, ale wspomniałem już, że się za wami wstawię. Zadbamy o was, dopóki nie zorganizujemy wam zejścia pod strażą do jaskini dolnego króla. Jeśli cokolwiek wam się przypomni, mówcie śmiało, a ja zobaczę, co da się zrobić. Ale zgodzicie się z pewnością, że na razie dla bezpieczeństwa wszystkich stron, zwłaszcza waszego, lepiej będzie, jeśli zostaniecie w tym zamkniętym wagonie, gdzie nikt nie może zrobić wam krzywdy. Dopilnuję, żebyście regularnie dostawali posiłki i napoje.

Zwrócił się do Moista.

— Poproszę na słówko, ale na zewnątrz.

W wagonie hamulcowym komendant wyciągnął skądś cygaro i zapalił je z wyraźnym lekceważeniem kolejowego regulaminu. Usiadł na ławce.

— Dziwną ma pan minę, panie Lipwig. Proszę mówić...

— No więc, komendancie, bardzo mi pan zaimponował, wycinając im taki numer. Myślą, że jest pan ich przyjacielem, że chce im pan pomóc.

W odpowiedzi Vimes wypuścił kłąb dymu.

— Oczywiście, że jestem ich przyjacielem — zapewnił z całkowitą powagą. — I na razie nim pozostanę. Pan jest łajdakiem, ja nie. Oczywiście, mógłbym sprawić, żeby ich życie stało się nie do wytrzymania, albo i gorzej. Ten starszy, którego tak zręcznie pan zapoznał z kolejowym butem, jest mózgiem zespołu. Ten młody to ktoś, kogo nazywają frajerem. Idiota, po brzegi wypełniony kłamstwami, ekscytującymi kłamstwami, przekonany, że wykonuje dzieło Taka. Nawet pociągów obserwować nie umie.

Vimes poklepał się po kieszeni.

— Teraz mam nazwiska — oznajmił. — Jakież to nazwiska, naprawdę cudowne. A kiedy ich właścicielom wyjaśnimy pewne życiowe fakty, dostaniemy kolejne nazwiska i zobaczymy, jak króliczki uciekają. Praca policjanta to nie tylko wyłamywanie drzwi, wie pan; chodzi o to, żeby dotrzeć do samych fundamentów, a kiedy już człowiek znajdzie te fundamenty, może stamtąd spojrzeć aż na sam szczyt. I dla tego szczytu się tu znalazłem! Wkrótce będziemy brać węgiel i wodę w miejscowości Żurawieś, powinna tam być wieża sekarowa. — Uśmiechnął się. — Ciekawe, co jego lordowska mość powie na moją śliczną listę. Myślę, że zostawi w tyle zgryźliwość, przejdzie przez ironię i jednym tchem osiągnie sardoniczność.

Znowu klepnął kieszeń.

— Znam niektórych, znam dobrze. Wszyscy to szanowane krasnoludy, jedną ręką niezłomnie broniący dolnego króla, a drugą załatwiający interesy z gragami. Bardzo panu dziękuję, panie Lipwig; przydałby się pan w wydziale zapobiegania przestępczości. Ale poznał pan tych dwóch, bo zna pan siebie, zgadza się? To bardzo wygodne. Też tak mam. Znak musi zawsze pana uważać za przyjaciela, ale pan musi być jak zasmucony, ale kochający ojciec. Znak jest osłoną przed straszliwą ciemnością na zewnątrz.

Komendant się obejrzał.

— Nobby, kto ma służbę na stacji w Wielkiej Kapuście?

— Sierżant Willard, panie Vimes.

— Da sobie radę. — Vimes zwrócił się znowu do Moista. — To stary gliniarz. Podstawi więźniarkę i szybciutko ich dostarczy do jego lordowskiej mości. Są skuci, więc nie sprawią kłopotów. Wie pan, trochę mi żal tych gragów, kopaczy czy jak tam się nazywają. Ich sposób działania polega na tym, że znajdują jakiegoś niewinnego krasnoluda z odpowiednimi kontaktami, a potem dają mu do zrozumienia, że jeśli nie będzie posłuszny i nie zrobi, co mu każą, cała jego rodzina może zwyczajnie zniknąć w Szczelinie. — Uśmiechnął się. — Jeśli się zastanowić, ja robię to samo, ale w porównaniu z nimi jestem pluszowym misiem. No i stoję po właściwej stronie.

Wstał i pomachał rękami, by poprawić krążenie.

— Teraz chyba powinienem porozmawiać z królem na temat moich interesujących odkryć. Ale niech się pan nie martwi, wstawię się za nimi. A pan niech uważa na ludzi, ma pan prawdziwy talent.

\* \* \*

Powietrze przesycało teraz wagony zapachami Równin Sto, które były raczej jednym zapachem, mianowicie kapuścianym lub kapustopodobnym, i był to zapach smutny. Ociekał bezradnością i melancholią, chociaż same kapusty były znakomite, zwłaszcza ich nowe odmiany.

Miasteczko Wielka Kapusta było teoretycznie ostatnim miejscem, jakie chciałby odwiedzić rozsądny człowiek. Jednak latem cieszyło się sporą popularnością dzięki atrakcjom lunaparku Kapuściany Świat i Instytutu Badań Kapusty, którego studenci pierwsi wystrzelili na wysokość tysiąca łokci kapustę napędzaną jedynie jej własnymi sokami. Nikt nie spytał, czemu uznali to za ważne, ale taka już jest nauka. I studenci, naturalnie.

Kiedy tylko pociąg zatrzymał się przy peronie drugim na stacji w Wielkiej Kapuście, przy wagonie hamulcowym stanęło kilku strażników. Moist przyglądał się, jak Vimes przekazuje im schwytanych, dla których był wciąż niezmiernie uprzejmy. Pod strażą odprowadzono ich do więźniarki.

Kiedy odjechała, Vimes spojrzał na Moista.

— Mamy nazwiska i adresy ich rodzin — powiedział. — Dostaną ochronę, dniem i nocą, dopóki ta sprawa się nie zakończy. Wiem, że Vetinari będzie narzekał i złościł się o koszty, ale kiedy tego nie robi?

Pociąg ruszył z Wielkiej Kapusty zgodnie z rozkładem, pozostawiając za horyzontem wielką chmurę brudnego smogu nad Ankh-Morpork. Moist cały czas miał wrażenie, że jadą lekko pod górę, co było przynajmniej częściowo prawdą. Wszystko układało się, jak powinno, a ludzie siadali wygodnie, szykując się do długiej jazdy. Teoretycznie wiedział, że należy się martwić, kiedy coś idzie nie tak, jak trzeba, ale instynkt mu podpowiadał, żeby się martwić, kiedy wszystko wygląda za dobrze, by było prawdziwe. Dlatego w tej chwili nad jego głową ponownie formował się cumulonimbus niepokoju; kowadło bogów czekało tylko, żeby na niego upaść. Co przeoczył? O czym zapomniał? Nie, na pewno wszystko będzie dobrze.

Przed nimi czekał most, jak zwykle pilnowany przez trolla. Rodziny kolejowych trolli traktowały mosty jak swoje, choć nowe i błyszczące. Owszem, tunel był dla trolla niczym przyjemny spacer po parku, ale most, taki własny most... zwłaszcza taki z osobną toaletą, o co zadbał Harry Król, i miejscem, by wychować dzieci...

Trolle, myślał Moist. Kto by pomyślał, że tak zadbają o mosty? Ostatnio Effie ogłosiła konkurs na najlepiej utrzymany most na wszystkich liniach drogi żelaznej, przewidując dla zwycięzcy nie mniej niż dwadzieścia kóz.

\* \* \*

Podróżować koleją to patrzeć, jak zmienia się świat, jak z prędkością pociągu przesuwają się drzewa, domy, farmy, łąki, strumienie i miasteczka, o jakich przed powstaniem drogi żelaznej Moist nigdy nie słyszał, a i teraz ledwie je pamiętał. Jak choćby tamto — na tablicy wymalowano nazwę Dużo Dochodzi. Ale kto tam mieszka i co robi?

Intrygowały go domki robotników kolejowych. Widząc, że pasażerowie wysiadają często na przystankach, gdzie pociąg brał wodę i węgiel, żony robotników wykazywały taką orientację w świecie komercji, jaką pewnie zachwyciłby się Vetinari. Najczęściej proponowały herbatę z maślanymi bułeczkami, domowe zapiekanki, gorącą i znakomitą kawę, a przy jednej pamiętnej okazji także małego prosiaczka.

Ale nawet to bladło wobec przedsięwzięcia, które zobaczył w zeszłym miesiącu w głębi lądu, niedaleko Dwukoszula, który Ankh-Morpork uważało za miejsce leżące nigdzie. Dwie pracowite damy wywiesiły wielki napis „Robimy na drutach nocne koszule dla śpiących w pociągu!”. Damy, pracując pilnie, gdy ich mężowie sprawdzali tory, zebrały niewielką fortunę dzięki pasażerom, którzy — podobnie jak Moist — śmiali się i sięgali po gotówkę. Spodobało mu się odkrycie, że kto zdoła klienta rozśmieszyć, praktycznie ma już pieniądze w kieszeni.

Zbliżyła się kolejna tablica. Moist zmrużył oczy, by przeczytać nazwę i — szszu! — przekonał się, że są w Mnisim Deverilu, a raczej byli, ponieważ szybkość pociągu odsunęła go w przeszłość, i — szszu! — minęli — szszu! — Górny Filcwist zapewne. Ale pociąg przemknął tylko obok i Moist czekał niecierpliwie na tablicę Dolnego Filcwistu, jednak popędzili dalej, a niepoznane miasteczka wpadły w otchłań zapomnienia. Dziwne miejsca o dziwnych nazwach, żyjące w ulotnej chwili tryumfalnego przejazdu pociągu.

Z głośnym stukotem minął ich pociąg jadący w przeciwnym kierunku. Ale skąd wyruszył? I dokąd zmierzał? Moist dał spokój tym rozmyślaniom. Zbyt wiele podróży koleją może zrobić z człowieka filozofa, chociaż — przyznał w duchu — nie za dobrego.

Kolejny przystanek po wodę i węgiel wypadł w Siedmiu Guzach. Nazwa nic dla Moista nie znaczyła i nawet Vimes pokręcił głową. Było to jedno z tych miejsc, gdzie ludzie wysiadają z pociągu i znikają na pustkowiu. Prawdopodobnie tylko poborcy podatkowi i Urząd Pocztowy wiedzieli, kto tu mieszka. Jednak sądząc z wyglądu Siedmiu Guzów, poborcy podatkowi woleliby się pochorować, niż tu trafić, być może listonosz także, gdyby miał do przekazania złe wieści, na przykład wezwania podatkowe.

Mimo to do mieszkańców Siedmiu Guzów dołączyli niedawno czterej robotnicy kolejowi ze swymi domkami i rodzinami, wszyscy wygodnie umieszczeni w pobliżu torów.

Moist porozmawiał chwilę z człowiekiem obsługującym żuraw wodny.

— Nie ma pan kłopotów ze snem, kiedy przez cały czas tak blisko jeżdżą pociągi?

— Miło, że pan się troszczy, drogi panie, ale nie, żadnych. Jasne, chwilę trwało, zanim się żeśmy zaaklimatyzowali... — Obsługujący żuraw zachichotał jak człowiek, który po raz pierwszy używa obcego słowa i trochę go ono śmieszy. — Żona śpi jak dziecko i tylko raz się obudziła, kiedy w zeszłym tygodniu Lotnik nie mógł dojechać. Przysięga, że zaniepokoiła ją cisza w niewłaściwym momencie.

\* \* \*

Zdawało się, że Vimes nigdy nie opuszcza wagonu hamulcowego. Z rzadka tylko wybierał się na spacer wzdłuż pociągu, by porozmawiać z dolnym królem i jego ochroną. Do wagonu hamulcowego regularnie dostarczano bibułki sekarowych depesz. Oczywiście, zawsze też były tam gobliny, ale nie tylko tam. Moist spotykał je wszędzie: dokręcały śruby, oliwiły, smarowały i ogólnie stukały i majstrowały. Moist spytał kiedyś o to Simnela i dowiedział się, że smarują wszystko, co trzeba nasmarować, stukają we wszystko, w co trzeba postukać, i nie pozwalają, żeby cokolwiek się rozchwiało.

Oczywiście, nadal miały swój zapach, ale kiedy już się człowiek przyzwyczaił — jak bardzo dawno temu Adora Belle — przestawał zwracać uwagę. Załatwiały też drobne zakupy, kiedy pociąg zatrzymywał się w jakichś zapadłych wioskach, i zbierały od pasażerów sekarowe depesze z pytaniami o wszystko, co mogło dotyczyć podróży, żeby je nadać.

Dobre stare sekary, jak je nazywali ludzie... Kiedyś narzekali, że wieże szpecą krajobraz, ale teraz często sekarem pytali, jaka jest pogoda u celu podróży. Drobne udogodnienie, choć niekoniecznie niezbędne... Mimo to, kiedy człowiek tracił dostęp do sekarów, uważał się za obywatela drugiej kategorii. Igła często mu opowiadała, jak to klienci wściekają się z powodu rachunków za sekary, jego zdaniem wcale nie takich wysokich, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale w ludzkich umysłach tworzył się swego rodzaju mechanizm zapadkowy: oto pojawiało się coś nowego, a zaraz potem było już normą. Jeszcze wczoraj człowiek w ogóle o czymś nie myślał, a od dzisiaj nie wiedział, jak sobie bez tego poradzić. Tak działała technika. Była niewolnikiem ludzi, ale w pewnym sensie mogło też być na odwrót.

\* \* \*

Po ekscytującym spotkaniu z wodnym żurawiem Moist nie miał nic do roboty. Z przyzwyczajenia, kiedy nie miał nic do roboty, szedł do wagonu hamulcowego.

Detrytus spał na stosie skrzynek, chrapiąc głośno, otoczony przez zwykłe rupiecie. Zdawało się, że wszyscy podróżujący, którzy nie są pasażerami, traktują wagon hamulcowy jak dom. Może powodem był ekspres do kawy. Był też Ze Zmierzchu Ciemność, który parzył bardzo specjalną kawę. Moist wahał się przez chwilę, gdy goblin wręczył mu parujący kubek.

— Już wiem. Jesteś szamanem, prawda?

Goblin się wyszczerzył.

— Nie tak, pan Lipwig. Ty nie zgadujesz. Możesz mnie nazywać szamegog. Niestety, dysonans, ale nie można mieć wszystkiego.

Moist zajrzał do kubka z kawą.

— Pachnie znakomicie. Ale co po niej będę robił?

Szamegog zastanawiał się chwilę.

— Sprawi, że ty przytomny i rozbudzony. Może włosy wyrosną na piersi. Lekka skłonność, żeby częściej siusiać. — Po czym rzucił mu spojrzenie z ukosa, do jakiego tylko goblin jest zdolny. — Gwarantuję, że nie zrobi cię zabójcą krasnoludów.

Kawa naprawdę była świetna, Moist musiał to przyznać.

Wyjrzał przez okno. Może to tylko wyobraźnia, ale miał wrażenie, że Las Skund staje się tym czarniejszy, im bardziej się do niego zbliżają. Las był jeszcze gorszy niż makia. Moist pamiętał, że drzewa stały w nim ramię w ramię, a jeśli ktoś uważał, że drzewa nie mają ramion, to nie był w tym lesie. Las Skund należał do miejsc, gdzie magia jeszcze nie wygasła. Niektóre dawne strachy i fantazje wciąż krążyły w powietrzu. Nikt się tam nie wybierał, jeśli nie musiał — no, może czasem jakiś drwal dla zakładu. Mroczny Las Skund spoglądał ponad równiną i czekał na swój czas. Nie należało tam chodzić, jeśli człowiek nie chciał, by jakiś mag spadł mu na głowę. Gdyby krajobraz mógł warczeć, byłby to właśnie Las Skund.

Moist skorzystał z okazji, by obejrzeć instrumenty w wagonie hamulcowym. Dwóch kolejarzy pełniło tu dyżury na zmianę przez całą drogę. I chociaż nie dało się stąd prowadzić pociągu, można go było zatrzymać — fakt wart zapamiętania.

Zapadał zmierzch i chrapanie Detrytusa przycichło — od warkotów walczących na śmierć i życie borsuków do niskiego grzechotu budzącego rezonans całego wagonu. Fascynujący był widok unoszącej się i opadającej kamiennej piersi. Nie po raz pierwszy Moist się zdumiał: Oni są z kamienia, a my widzimy, że kamień żyje. I znowu jego myśli pobiegły ku Żelaznej Belce, a wtedy, ku swemu zdumieniu, nagle przestał się martwić: konie, trolle, golemy, machiny parowe... no i co w tym złego?

Rozejrzał się. Jeśli nie liczyć śpiącego Detrytusa, wagon hamulcowy był wyjątkowo całkiem pusty. Pozostali podróżni szykowali się do nocy gdzie indziej, zajęci własnymi sprawami; komendant Vimes patrolował wagony.

Moist działał szybko, niezdolny dłużej uciszać małego diabełka w głowie. W końcu, tłumaczył sobie, i tak długo na to czekał, a następna okazja może się nie trafić. Było jeszcze dość widno. Otworzył drzwi do wagonu; chwytając się bocznej ściany, wysunął się na zewnątrz i kopnięciem zamknął drzwi. A potem wspiął się na dach.

Na górze stanął na nogi i odrzuciwszy na wiatr ostrożność, przeskakiwał z wagonu na wagon, tańcząc wzdłuż pociągu do rytmu turkotu kół. Starał się wyczuwać lokomotywę, aż wydało mu się, że ją rozumie. Była błogosławieństwem, darem. Była czymś, o co można zabiegać, ale podejrzewał, że nigdy nie pozwoli na zbytnią poufałość. I pomyślał oczarowany: Pary nie można traktować zbyt lekko.

Raz usłyszał z dołu głośne „Ej”, ale takie „Ej” nie były dla niego niczym dziwnym. Pochylił się.

— Moist von Lipwig — powiedział. — Przeprowadzam pewne doświadczenie.

Słyszał, jak głos od „Ej” burczy niechętnie, i pozwolił mu burczeć, ponieważ marzył o czymś takim od chwili, kiedy zobaczył nowe Lotniki.

Zarumieniony i podekscytowany jazdą, zeskoczył znowu do wagonu hamulcowego, nadal pustego poza uśpionym Detrytusem. Przygładził włosy, starł z twarzy plamy sadzy i z szerokim uśmiechem wyszedł z wagonu.

\* \* \*

Wzdłuż całego pociągu gasły już światła, gdy komendant Vimes wrócił z ostatniego patrolu i sięgnął po kawę.

— Król i jego rada wojenna układają plany — powiedział. — Najnowsze raporty sekarowe oraz to, co słyszę od... powiedzmy, od obserwatorów naziemnych, sugerują, że prace torowe posuwają się naprzód w rozsądnym tempie.

Zerknął dyskretnie na Moista.

— Już niedługo, panie Lipwig, przekonamy się, ile jest warte pańskie słowo. Aha, jeszcze coś. Mam tu depeszę od pańskiej kochającej żony. Choć wieści o przewrocie w Schmaltzbergu rozprzestrzeniają się coraz dalej, niewiele było ataków na wieże poza Überwaldem.

— To dobra wiadomość — przyznał zaskoczony Moist.

Ale Vimes zmarszczył czoło.

— Niech pan się za bardzo nie cieszy — mruknął. — Założę się, że nie brak takich, którzy chętnie by obalili wieżę sekara, nawet gdyby na szczycie zobaczyli Taka. Widzi pan, na tym polega cały problem — jeśli ktoś za długo miał na języku nienawiść, teraz nie potrafi już jej wypluć.

\* \* \*

Moist na samym początku dopilnował, żeby dostać dla siebie przedział sypialny. Jednak, w przeciwieństwie do tych z wagonu pierwszej klasy, jego przedział był bardziej użytkowy i korzystanie z niego wydawało się ćwiczeniem odpowiednim dla ludzi lubiących łamigłówki, obrotowe kostki i podobne zabawy. Było tu rozkładane łóżko, które otworzyło się i walnęło go w głowę, i mała umywalka, do której jako tako mieściła się szczoteczka do zębów. Znalazł jednak gąbkę, a że był człowiekiem dość sprawnym, wykorzystał ją jak najlepiej i kiedy skończył, może nie był czysty, ale też nie brudniejszy niż wcześniej.

Bogowie, był zmęczony i to, co go napędzało, wymagało odpoczynku. Ale umysł jest własnym najgorszym wrogiem i im bardziej Moist próbował dać się uśpić rytmicznemu stukaniu kół pociągu, tym bardziej jego irytujące myśli rozprzestrzeniały się niczym chmura.

Jak dotąd mieli szczęście: tylko dwóch szpiegów gragów, w dodatku marnych szpiegów, ale prędzej czy później szczur wyrwie się z worka i gragowie się dowiedzą, że Rhys jest na pokładzie. Nadzieje Simnela opierały się na tym, że do tego czasu będą już korzystać z Żelaznej Belki. Ale czy to naprawdę tak wiele zmieni? Niewielki eksperyment Simnela, nadający się raczej do wożenia dzieci wokół kompleksu...

Kiedy lokomotywa Simnela pojawiła się po raz pierwszy, myślał Moist, była całkiem mała i wątpiłem, czy zdoła dojechać choćby do Sto Lat. A teraz wydaje się potężna... Simnel stale ją udoskonala, cały czas przy niej majstruje, jakby mogło się zdarzyć coś strasznego, gdyby straciła tytuł królowej żelaznych dróg. Żelazna Belka nigdy nie śpi — zawsze słychać to ciche syczenie, cichy brzęk metalu. Metaliczny szept, niezależnie od tego, czy pracuje, czy nie.

Moist zastanowił się, kto przedarł się do kompleksu, żeby ją uszkodzić, i kto skończył martwy, martwy, martwy... Gorąca para z lokomotywy, która nie była pod parą. Ziemia, ogień, wiatr i deszcz, wszystkie połączone w jeden żywioł prędkości.

I Moist powoli zaczął się wyłączać, choć jakaś część jego umysłu wciąż wsłuchiwała się w rytm torów, nasłuchiwała przez sen, jak żeglarz słucha odgłosów morza.

\* \* \*

Moist spał, a pociąg mknął przez noc niczym bardzo powolny meteor. Wspinali się już na góry Carrack i praktycznie jedynym światłem widocznym, kiedy chmura przesłoniła księżyc, była czołowa lampa lokomotywy i blask paleniska, kiedy ktoś odsuwał klapę i dorzucał węgiel.

Palacze Higienicznej Drogi Żelaznej tworzyli osobną kastę; małomówni, wiecznie posępni, rozmawiali chyba tylko z maszynistami. W nieformalnej hierarchii kolei maszyniści znajdowali się oczywiście na szczycie; potem byli palacze, a po palaczach rewidenci i manewrowi — istoty niższe, ale użyteczne. Czasami wydawało się nawet, że palacze uważali się za najważniejszy element drogi żelaznej, strażników jej duszy, można powiedzieć. Poza służbą trzymali się razem, palili swoje paskudne fajki i z nikim innym nie gadali. Ale dokładanie węgla przez cały dzień budowało żelazne mięśnie, więc palacze byli silni i sprawni. Czasami między kolejnymi zmianami toczyli sparingowe starcia łopatami, a koledzy oklaskiwali walczących.

Jeden z palaczy stał się swego rodzaju legendą — tak przynajmniej twierdzili pozostali. Moist jeszcze na niego nie trafił. Palacz Blake, kiedy się rozgniewał, był podobno chodzącą śmiercią. Inni też dzielnie walczyli, ale żaden z nich nie zdołał nawet dotknąć Blake’a. Łopata palacza, niewłaściwie użyta, była ilustracją tezy Vimesa, że wykorzystane odpowiednio narzędzie pracy może przyprawić strażnika o solidny ból głowy.

Niekiedy palacze śmiali się i tańczyli, walcząc na swoje łopaty, niekiedy się upijali — ale nigdy wtedy, kiedy mieli służbę w kabinie. Nikt nie musiał im tego tłumaczyć.

Dzisiaj, osłonięty przed dmuchającym na zewnątrz zimnym wiatrem, palacz Jim zwrócił się do maszynisty.

— Masz tu swoją kawę, Mick. Może byś co zjadł?

Mick przytaknął, nie odrywając wzroku od torów przed sobą. Palacz Jim ostrożnie sięgnął po łopatę i korzystając z żaru paleniska, na jej tylnej stronie usmażył dwa jajka.

\* \* \*

Pospiesznie budowane domki stały w pobliżu żurawi wodnych i bunkrów węglowych, tak by robotnicy kolejowi mogli uważać na cenne zapasy wody i węgla. Domki były niewielkie, co powodowało pewne trudności, kiedy mieszkali tam również dziadkowie i dzieci. Ale i tak wszyscy twierdzili, że są dwa razy wygodniejsze od tych w wielkim mieście, no i człowiek mieszka na świeżym powietrzu między lokomotywami.

Tej nocy pani Plumridge, matka Jacka Plumridge’a, robotnika torowego, uświadomiła sobie, że jej nocnik już się niemal przelewa, i skarciła samą siebie za to, że nie opróżniła go przed zmrokiem. Nie ufała w tych sprawach lśniącej porcelanie. Przez całe życie wychodziła do wyznaczonego, odosobnionego zakątka ogrodu, starając się pamiętać, na którą z grządek należy tym razem wylać zawartość. Dlatego miała zajęte naczyniem ręce, kiedy jakiś krasnolud wyskoczył nagle z okrzykiem „Śmierć drodze żelaznej!” i próbował czymś w nią rzucić.

W reakcji pani Plumridge machnęła nocnikiem z siłą zaskakującą u takiej staruszki, choć zdaniem syna matka była zbudowana z tekowego drewna. Nocnik był bardzo duży i niestety bardzo pełny, krzyk obudził wszystkich sąsiadów... I kiedy niegodziwy kopacz odzyskał przytomność, był już związany i zmierzał do Ankh-Morpork, by tam stanąć przed sądem.

Pracownicy kolei i ich babcie są ludźmi praktycznymi, przyziemnymi wręcz, można powiedzieć, więc kopaczowi nie pozwolili nawet się umyć, co w tych okolicznościach było czymś strasznym.

\* \* \*

Rankiem Moist się obudził głodny. Z radością odkrył, że w wagonie jadalnym czeka śniadanie — całodzienne śniadanie, jak się okazało.

Wagon jadalny był prawie pusty — tylko Nieśmial Nieśmialsson i dolny król rozmawiali przy stoliku niczym dwaj biznesmeni próbujący zrobić wspólny interes. Częstowali się przy tym z tacy z owocami.

Król skinął Moistowi na powitanie.

— Do tej pory prawie nie oglądaliśmy pociągu, panie Lipwig — powiedział. — Odkąd wsiedliśmy, cały czas układamy plany z Nieśmialssonem i innymi. Może się pan przysiądzie?

Moist zajął miejsce. Nieśmialsson zwrócił się do niego jak do sojusznika.

— Próbuję przekonać Rhysa, żeby nam zdradził, co zamierza.

Król uśmiechnął się tylko.

— Zamierzam zdobyć Schmaltzberg razem z tobą, przyjacielu Nieśmialssonie, i dokonać tego przy najmniejszej możliwej liczbie ofiar. Uwierzcie, choć to irytująca myśl, że jestem królem także moich wrogów, nie tylko przyjaciół. Istnieje pewne noblesse oblige, rozumiecie. Zły to król, co zabija własnych poddanych. Wolę raczej zobaczyć ich pohańbionych niż martwych.

— Naprawdę? — zdziwił się Nieśmialsson. — Mimo tego, co zrobili? Mimo tego, do czego doprowadzili? Kiedy wyszukiwali młode krasnoludy i pakowali im do głowy różne ekscytujące i idiotyczne objawienia...

— Znam ich nazwiska — odparł król. — Nazwiska przywódców, nazwiska pochlebców. O tak, nadejdzie dzień zapłaty. Ale nie autodafe.

— Obawiam się, że już ostatnim razem okazałeś im zbyt wiele zrozumienia, sire — stwierdził Nieśmialsson, starannie dobierając słowa. — Przykro to mówić, lecz dochodzę do wniosku, że jeśli cały czas będziesz nadstawiał drugi policzek, oni nie przestaną bić cię po twarzy. Uważam, że nie ma innego wyjścia, trzeba wkroczyć całą siłą, wyciąć co chore i zakończyć tę sprawę. Tym razem nie powinno się pukać uprzejmie i pytać: „Czy mógłbym odebrać swoją Kajzerkę z Kamienia?”.

Król zaskoczył Moista, gdy odparł:

— Chociaż słowo „polityka” budzi w nas niesmak, jej najbardziej pożytecznym aspektem jest powstrzymanie rozlewu krwi. Jednak krew się poleje. Ale generacje odchodzą, ludzie się zmieniają, rzeczy wcześniej nie do pomyślenia nagle stają się zwyczajnymi, niezbędnymi nawet. Tak jak staje się droga żelazna. A przy okazji, panie Lipwig, jak postępy w budowie torów? Jak działa ta pańska loggystika?

— Kontentująco, sire. To taki używany przez mechaników termin, oznaczający: całkiem zadowalająco.

Król rzucił Moistowi spojrzenie. Jak na kategorię spojrzeń, nie było nawet specjalnie ponure — jednak było spojrzeniem królewskim, a wzrok króla pozostawał zagadkowy i badawczy.

— Zobaczymy, mój chłopcze. Zobaczymy.

Po śniadaniu nie było nic więcej do zrobienia, niż patrzeć, jak górski pejzaż przesuwa się za oknami niczym na zapętlonej taśmie: drzewa, skały, więcej drzew, większe skały, znów drzewa, coś, co pewnie było polaną, gdzie pracowali drwale, przelotna ciemność, kiedy dotarli do skały tak wielkiej, że wymagała tunelu, i tak dalej... Moist myślał: Za tymi drzewami, skałami i urwiskami są gospodarstwa, są wioski, o których nic nie wiemy, więc kiedyś trzeba się będzie zatrzymać tutaj... tutaj... i tutaj. A potem, pewnego dnia, jakiś dzieciak z osady przy tych ostatnich skałach złapie pociąg i wysiądzie w Ankh-Morpork pełen nadziei — bo dlaczego nie? Stacja po stacji, zmieniamy świat.

I pozwolił sobie na delikatne poczucie dumy.

\* \* \*

Poza Wodospadami[[[68]](#footnote-68)](#68_1) jedynym ciekawym miejscem w Zemphis było Zmniejszone Opactwo. W tej chwili zmieniło się już w ruinę, a mnisi dawno stąd odeszli. Służyło raczej za suk, medynę, gwarny bazar, który Moistowi przypominał ankhmorporskie Mroki w wolny dzień. Nic tu nie było nieruchome, a cisza wydawała się rzadkim dobrodziejstwem. Każdy był kupcem i wydawało się, że wcześniej czy później każdy może zostać kupiony albo sprzedany. Albo zniknąć, jeśli to konieczne.

Ze wszystkich traktów handlowych w Zemphis wyróżniał się Szlak Agletowy, którym przybywały całe karawany wielbłądów, by dostarczyć mieszkańcom Równin małe sztywne elementy na końce sznurowadeł, bez których cywilizowane życie stałoby się nieznośne, a nawet niebezpieczne. Były tu przyprawy z Klatchu[[[69]](#footnote-69)](#69_1), dopływające powolnymi statkami materiały z Kontynentu Przeciwwagi, inne tajemnicze smakołyki, a także, niestety, wiele środków pozwalających człowiekowi stać się bardzo szczęśliwym przez krótki czas i martwym jak kamień zaraz potem.

Obok legalnych towarów, sprzedawanych na straganach od frontu, niewątpliwie handlowano też kontrabandą, gdyż wielu kupców korzystało z na wpół bezprawnego systemu Zemphis. Klatki z nieudomowionymi chochlikami czekały na zapleczu sklepów handlarzy pozbawionych skrupułów, a po zmroku często jakiś wielbłąd wyjeżdżał albo docierał do miasta obładowany beczkami surowej melasy.

I chociaż ludzie rozsądni, chcący zachować swoją własność, a nawet życie, słuchają rad i omijają Zemphis z daleka, nie brakuje lekkomyślnych turystów odwiedzających miasto w drodze do Pap Scylli — pasma poszarpanych szczytów oferujących bogaty zestaw szlaków do przejścia głową w dół nad szczelinami albo wisząc za nogę ponad spienioną wodą, działającą jak matka wszystkich młynków. Szczytów było osiem, ostrych i bezlitosnych, a gdyby istniał przewodnik po zasadzkach świata, Papy Scylli znalazłyby się na pierwszych lokatach.

Podziwiając je z ławek dogodnie ustawionych przez rajców Zemphis w punkcie obserwacyjnym dla ludzi szukających pięknych widoków, Moist uświadomił sobie, że już wkrótce pociąg będzie musiał tamtędy przejechać. Na mapie nie wyglądały groźnie, ale z bliska budziły szacunek. Scylla musiała być z nich dumna, osiem razy z rzędu.

Mgła spowijała zielone tereny u stóp stromych zboczy Pap. Region sprawiał wrażenie nieprzejezdnego dla pociągu, jednak simnelowscy chłopcy z suwakami znaleźli odpowiednią trasę. Położono tory i Moist wiedział, że od tygodnia kręcą się tam trolle, pilnując szlaku.

I właśnie wtedy usłyszał krzyk komendanta Vimesa:

— Lipwig! Padnij!

Padł na ziemię, a to, co zobaczył Vimes, przeleciało nad nim ze świstem. I kiedy próbował wstać, komendant znów go powalił, pocisk zatoczył pętlę do kolejnego cięcia i wreszcie upadł im do stóp.

— No proszę — mruknął Vimes. — Naprawdę paskudne typy z tych kopaczy, choć trzeba podziwiać ich robotę.

— To byli oni? — zapytał Moist wciąż z poziomu gruntu, jakby to jeszcze miało znaczenie.

— Prawdopodobnie, choć w tych górach i inni sprawiają problemy. Musi pan wiedzieć, że gdzie są turyści, są też ludzie pożądający ich dolarów. Proszę nie dotykać!

Moist cofnął rękę.

— To bumerang — wyjaśnił Vimes. — Takie lub podobne spotyka się właściwie na całym świecie. Trzeba machnąć nim odpowiednio, a potem nagle wbija się przeciwnikowi w plecy. Podobno w Czteriksach żyje gość, który rzuca tak precyzyjnie, że bumerang kupuje mu poranną gazetę i z nią wraca.

Moist obrzucił komendanta pełnym niedowierzania wzrokiem.

— W każdym razie tak mówią, ale zna pan chłopaków z Czteriksów, lubią trochę koloryzować. — Vimes podniósł bumerang, bardzo ostrożnie i przez chustkę. Powąchał go i się skrzywił. — To świństwo, którym upaćkali go gragowie, pewnie by pana nie zabiło, chociaż przez dzień czy dwa by pan tego żałował. O ile by pan miał szczęście. Będę musiał porozmawiać z Vetinarim o tych okolicach. Mają tu coś w rodzaju rządu, ale ochrona porządku nadaje się raczej dla przedszkola. Nie są zepsuci, tylko źle zorganizowani. Na bogów, mógłbym tu nawet przysłać Nobby’ego, a poziom sił porządkowych podniósłby się pod niebiosa.

— Przecież wpływy Vetinariego nie sięgają aż tutaj... A i pan znalazł się poza swoją jurysdykcją, prawda?

Ku zaskoczeniu Moista Vimes roześmiał się głośno.

— Trudno mi mówić w imieniu Vetinariego, ale wiemy przecież, że ma swoje... sposoby i środki. Myślę, że zgadza się na istnienie tego miejsca, żeby nie wyrosło takie w Ankh-Morpork. Co do mojej jurysdykcji, to wcale bym się nie zdziwił, gdyby spora liczba tutejszych chętnie zobaczyła na ulicach rządy prawa i porządku. Wtedy, cóż, moim obowiązkiem byłoby udzielić im pomocy. Ale nie dzisiaj.

Poklepał Moista po plecach.

— Panie Lipwig, z pewnością zdarzały się panu w życiu sytuacje, kiedy dostrzegał pan cudowną okazję, by coś ukraść, ale z różnych powodów pan rezygnował? No więc czuję się teraz tak samo. To miejsce to ściek. Kto wie, jakie straszne rzeczy dzieją się za zamkniętymi drzwiami. — Wzruszył ramionami. — Ale nie można wykopać wszystkich drzwi na świecie. Mamy ważniejsze sprawy.

Moist zaakceptował to niewesołe wyjaśnienie.

Po bezowocnym poszukiwaniu napastnika ruszyli z powrotem na stację. I kiedy schodzili z punktu obserwacyjnego, usłyszeli gwizd lokomotywy. Bardzo daleko, główną linią z Równin Sto, wspinała się ku Zemphis smuga migotliwego światła z obłokiem pary.

Vimes spojrzał zdziwiony na Moista.

— Co to jest, do demona? Był dziś w rozkładzie drugi pociąg czy jak?

— Wie pan, Dick mówił, że szykuje Żelazną Belkę na główny przejazd. Zanim ruszyliśmy, wyglądało na to, że jego ulubiona lokomotywa zaliczy pełny remont. To pewnie ona.

Jak się okazało, chodziło nie tylko o remont. Kiedy Moist pokazał Dickowi mikrokolczugi, jakie zdobył w bitwie z krasnoludami w obozie kolejowym w Quirmie, młody mechanik uśmiechnął się tylko.

— Ano, wiem, co to za sekret — powiedział. — Jest taki metal, mocniejszy od żelaza, daje się kuć i waży o połowę mniej. I nigdy nie rdzewieje. Rudę spotyka się rzadko, ale jest podstawą nowego stopu, jaki stworzyłem. Nazywam go sorortanem; pan Grom mi mówił, że to znaczy „siostra żelaza”. Jest mocniejszy nawet od stali! Bardzo dziękuję. To niezwykła zdobycz i wiem, jak można ją wykorzystać.

Patrzyli, jak zadziwiająca lokomotywa pokonuje stromy odcinek przed Zemphis — i czyni to z zadziwiającą łatwością. Lotnik, którym przyjechali, zgrzytał i rzęził na stromiźnie, a nowy pociąg zdawał się w ogóle jej nie zauważać.

Vimes poskrobał się po głowie.

— To naprawdę Żelazna Belka? — upewnił się. — Kiedy ją ostatnio widziałem, dostarczała dziecięcej zabawy dorosłym. Więc jeśli to ona... — wskazał lśniące zjawisko — ...to mocno urosła.

— Tak, to Żelazna Belka — potwierdził Moist. — Dick cały czas przy niej majstruje, przy każdej okazji zmienia coś i poprawia. Lecz po wszystkim nadal jest Żelazną Belką. Zawsze będzie Żelazną Belką.

— Ale tak błyszczy, że łatwo ją będzie wypatrzyć. Na parę mil wszyscy zobaczą, że nadjeżdża! Nie ma szans, żeby wyruszyć dyskretnie.

— Wiem — zgodził się Moist. — Skoro na całe mile słychać, że nadjeżdża, Dick uznał, że to żadna różnica. I tak wszyscy będą o nas wiedzieli.

Choć ta srebrzysta skorupa może wiele zmienić pod innymi względami, pomyślał.

\* \* \*

— Jeśli wolno, ah grag nun[[[70]](#footnote-70)](#70_1), zgubiliśmy dwóch agentów w jednym z pociągów — poinformował akolita. — Niestety, wszelki kontakt z nimi się urwał.

Dowódca gragów uniósł głowę.

— Aha — mruknął. — A gdzie byli, kiedy ostatni raz przesłali wiadomość?

— Obstawiali regularne połączenie ze Sto Lat do Zemphis. Ale nie zameldowali się w Wielkiej Kapuście ani wcześniej, kiedy pociąg mijał Żurawieś.

— Jesteś pewien?

Akolita aż podskoczył.

— Panie, tkwimy w ciemności, ale myślę...

— W takim razie daj znać wszystkim, że nie szukamy już na innych trasach. Nasza... przesyłka z pewnością jest w pociągu do Zemphis. A stamtąd... Papy czekają i nie biorą jeńców! Oni sami, przyjacielu, wchodzą w nasze ręce. A stworzenia żyjące w Papach będą nam sprzymierzeńcami. Chodzi o drogę żelazną, a więc celem naszych agentów winno być zatrzymanie tych przeklętych kół. Uważajcie wszelako na mosty. Nasz wróg wspiera strasznych kamiennych ludzi, którzy tak lubią ich strzec. Z pewnością można też sprawić, by zawaliły się tunele... Nieszczęsna technologia sama niesie nasiona własnej klęski.

— Tak, grag nun. Wiemy, że lokomotywa często musi się zatrzymywać, by załadować węgiel i wodę. Wystarczy ją ich pozbawić, a stanie się tylko bryłą żelaza. A więc składy węgla, tak, i zbiorniki wody... Oczywiście, będą tam strażnicy, ale skoro tkwią w miejscu, łatwo ich będzie pokonać.

Główny grag wrócił do studiowania słów Taka z komentarzami graga Combergniota.

— Daj mi znać, kiedy czyn się dokona — polecił jeszcze.

\* \* \*

W terminusie Zemphis oglądana z bliska Żelazna Belka okazała się zjawiskiem jeszcze bardziej spektakularnym. Dick Simnel wyglądał elegancko i uśmiechał się z dumą, prezentując błyszczącą lokomotywę oraz wszystkie zegary i wskaźniki w kabinie. Szczerze mówiąc, zdumiewał sam Dick — w ubraniu bez plam smaru był niczym lew bez grzywy.

Obok Cuda Tyłeczek i innych członków Straży Miejskiej Ankh-Morpork, których wezwał komendant Vimes, Moist ze zdziwieniem zobaczył szczerą i pogodną twarz funkcjonariusza Bluejohna, największego trolla w służbie. Bluejohn, którego nawet Detrytus określał jako „duże chłopisko”, był z natury łagodny jak zefirek i muchy by nie skrzywdził — przynajmniej nie umyślnie, choć gdyby zechciał, potrafiłby gołymi rękami rozerwać lwa na strzępy. Jego widok na miejscu dowolnych zamieszek stanowił zaproszenie, by raczej wystartować w maratonie w przeciwnym kierunku, niż spotkać się z tym ruchomym megalitem. Bluejohn mieszkał w specjalnie wzmocnionym domu w Suninku, małym miasteczku położonym nierozsądnie tuż pod Ankh-Morpork. Ludzie mawiali, że odgłos kroków Bluejohna idącego do pracy jest lepszy od wszystkich budzików.

Vimes przeszedł wzdłuż peronu, by powitać nowo przybyłych.

Cudo wydawała się mieć nastrój tak cudowny, jak sugerowało jej imię — była ucieszona, jak byłaby dowolna przynęta, która wyszła ze starcia zasadniczo bez szwanku, jeśli nie liczyć niedużej szramy, ale tę trzeba przecież mieć, bo inaczej nikt by nie uwierzył.

Simnel tymczasem zakończył prezentację kabiny.

— Zgodnie z rozkładem powinniśmy już ruszać — powiedział do Moista. Świsnęła para. — Wszyscy wsiadać! — zawołał.

Trudno było uniknąć zwracania uwagi, gdy królewski orszak zebrał się przed jednym z opancerzonych wagonów za Żelazną Belką. Maszyna sama w sobie stanowiła ciekawy spektakl, a pasażerowie wydawali się niezwykli nawet jak na Zemphis. Były wśród nich krasnoludy: dolny król z ochroną, jego sekretarz Aeron i Nieśmial Nieśmialsson; były podejrzanie głębokie cienie sugerujące nieustanną obecność mrocznych referentów. Było też kilku funkcjonariuszy straży o różnych specjalnościach[[[71]](#footnote-71)](#71_1) oraz gobliny, które wcisnęły się do wagonu hamulcowego z tyłu składu. Tuż przed nim wpięto otwartą platformę dla funkcjonariusza Bluejohna oraz na ekwipunek i bagaż zbyt duże, by się zmieściły w wagonie.

Żelazną Belkę znowu okryły kłęby pary. Vimes z mechanikami obeszli jeszcze raz cały pociąg, by dokonać ostatecznej kontroli. Potem zabrzmiał gwizdek i Żelazna Belka wykonała szybki taniec, jak zawsze przed nabraniem prędkości.

Wreszcie, z pasażerami wyglądającymi przez wszystkie okna, ekspresowy pociąg specjalny do Überwaldu zaczął pokazywać, do czego jest zdolny.

\* \* \*

Historia opowiadana o Papach Scylli w najbliższej okolicy mówiła, że powstały, kiedy rozpadła się jedna ogromna góra, pozostawiając zdradziecką sieć poszarpanych jaskiń — niektóre zawsze pełne przelewającej się wody — a nad nimi osiem potężnych szczytów, które zdawały się zawieszone w wilgotnym powietrzu i otoczone tęczami. Po incydencie z bumerangiem Moist nie był szczególnie zainteresowany oglądaniem Pap z bliska, ale grupa mierniczych Simnela przeszła samą siebie. Tory kolejowe wiły się między urwiskami i pociąg wspinał się majestatycznie wyżej i wyżej, pozostawiając daleko w dole miasto Zemphis i falowanie gorącego powietrza nad równiną.

W połowie drogi do mroku przełęczy między dwoma najwyższymi szczytami pociąg wynurzył się z szerokiego naturalnego tunelu w kolejny kalejdoskop tęcz, które rozpraszały uwagę, nawet jeśli nikt nie zrzucał niczego z góry.

Bez ostrzeżenia wielki głaz spadł przed lokomotywą, przetoczył się przez tory i roztrzaskał po drugiej stronie wąwozu. Kolejny trzask dobiegł z tyłu. Pociąg zadygotał przerażająco i jechał dalej.

Moist zobaczył krasnoludy ustawione na poszarpanych urwiskach, strącające na pociąg głazy. Usłyszał Vimesa, jak przeklina gdzieś w wagonie i wydaje rozkazy, ale huk zagłuszył jego słowa, gdy jeszcze większe głazy posypały się na lokomotywę. Żelazna Belka sunęła naprzód powoli, jak starsza pani wchodząca do morza i sprawdzająca temperaturę wody.

To już koniec, pomyślał. Jeśli nawet tory pozostaną nieuszkodzone, żaden normalny parowóz nie wytrzyma tego bombardowania. Ale po chwili uświadomił sobie, że mimo wciąż padających skał Żelazna Belka jedzie dalej, powoli i metodycznie.

Nie mógł się powstrzymać.

— Odbijają się! — krzyknął do wszystkich, którzy słuchali. — To sorortan; wytrzymuje uderzenia i odbija je!

Tymczasem funkcjonariusz Bluejohn stanął na kołyszącej się lekko platformie z tyłu lokomotywy, wykrzyczał trollową groźbę i porwał jednego z napastników z jego nierozsądnie bliskiego torów stanowiska. Po chwili dołączył do niego Detrytus i atakujący szybko się przekonali, że celowanie kamieniami w trolle to bezsensowna praca. Obaj strażnicy byli dosłownie w swoim żywiole: chwytali głazy i odrzucali je z jeszcze większą siłą.

Wyglądając przez wybite okno, Moist zobaczył, jak z pociągu zeskakuje gromada goblinów, i z początku pomyślał: No tak, można było przewidzieć, że uciekną.

Ale to było myślenie z książeczek dla dzieci. Kiedy spojrzał uważnie, lepiej rozumiejąc, co się dzieje, zobaczył, że gobliny wspinają się do kopaczy na zboczach i atakują, nurkując między liczne warstwy ich odzieży. Kopacze aż nazbyt szybko się przekonywali, że sytuacja, kiedy w bitwie rozzłoszczony goblin sięga walczącemu do bielizny, nie służy utrzymaniu koncentracji.

Ze Zmierzchu Ciemność pojawił się nagle przy łokciu Moista. Na głowie kręcił mu się hełm, o wiele dla niego za duży. Wsunął dłoń pod brudny worek, który nazywał kurtką, i przybrał dumną pozę.

— Wspaniali są, prawda? Zawsze idą do gonad.

Rozlegały się krzyki, niekiedy dość piskliwe, gdy kopacze tracili oparcie i spadali albo pod pociąg, albo do wody, wciąż walcząc z szybkimi goblinami.

Gdy sunąca nieustępliwie Żelazna Belka wjechała w kolejny łuk, znalazła się w polu widzenia Moista. Przeraził się, widząc, że dwóch kopaczy zdołało stanąć na tendrze. Jednak czarny od węgla palacz mężnie bronił im dostępu do kabiny, z zabójczą skutecznością używając łopaty. Wśród chaosu walczących ciał Moist zauważył, że palacz kopnięciem strąca na bok jednego z napastników. Po chwili potężne uderzenie łopatą rozwiązało sprawę drugiego i palacz zniknął za stosem węgla. Jego sprawność budziła lekki niepokój; może to legendarny palacz Blake, pomyślał Moist.

Odskoczył od okna, gdy obok przeleciał kolejny kawał skały.

Wreszcie bombardowanie ustało i Moist ruszył wzdłuż pociągu. Znalazł dolnego króla razem z Nieśmialssonem i resztą grupy w jednym z opancerzonych wagonów. Na królewskiej brodzie zauważył ślady krwi.

— Wrogowie albo zginęli, albo uciekają — stwierdził Rhys. — Rannych weźmiemy pod klucz. Nie wątpię, że nasz dzielny komendant wkrótce będzie rozmawiał z nimi jak najlepszy przyjaciel. Ma do tego talent.

\* \* \*

Jakiś czas później Moist zajrzał do wagonu hamulcowego, gdzie komendant Vimes toczył pogawędkę z gragami i ich towarzyszami podróży. Mówił cichym, pełnym szczerego zrozumienia tonem.

— Naprawdę rozumiem wasze położenie. To przykre, zwłaszcza że ci, którzy to wszystko zaczęli, najpewniej bezpiecznie znikną w ciemności.

Po raz kolejny Moist był pod wrażeniem. Głos siwiejącego komendanta wręcz ociekał miodem.

— Oczywiście, jako przyjacielowi możecie podać mi pewne nazwiska. Lubię kolekcjonować nazwiska. Śpiewają do mnie.

A Moist pomyślał: Dostali miód, a teraz nadlatuje żądło.

Komendant z uśmiechem opiekuńczego wuja notował nazwiska, gdy równocześnie w różnych kątach wagonu opatrywano, bandażowano i karmiono rannych.

I tak, poobijana, ale tryumfująca, Żelazna Belka, gwiżdżąc głośno, przyspieszała wolno po torze z Pap Scylli do Überwaldu. Gobliny kręciły się wszędzie: mocowały panele, sprzątały, smarowały, prostowały, czyściły i niemal przebudowywały ją w ruchu. Moist zauważył, że w żadnym momencie gorąca para Żelaznej Belki nie zmieniła ich w różową mgiełkę. Królowa lokomotyw ceniła swoich dworzan.

\* \* \*

Kiedy opadło podniecenie, Moist stracił poczucie czasu, ale to, co uważał za podwieczorek, zostało nagle przerwane zgrzytem hamulców, a potem szarpnięciem, wskutek czego cała zastawa znalazła się na podłodze. Maszynista naparł na dźwignię hamulca bezpieczeństwa, czym jednak osiągnął tylko jeszcze głośniejszy zgrzyt metalu o metal. A potem pociąg zatrzymał się gwałtownie, przewracając wszystko, co jeszcze stało. Z tyłu składu dobiegł głos Bluejohna:

— Tak se myślałem, że trzeba pociągnąć. Przepraszam, jak nie.

Moist pobiegł do platformy trolla.

— Zatrzymałeś pociąg całkiem sam — powiedział i czekał. Zwykle trzeba było czekać, kiedy się rozmawiało z Bluejohnem.

W końcu troll poukładał sobie słowa tak, jak uważał za właściwe.

— Przepraszam, panie Lipwig, jakżem coś potłukł. Może mi pan potrącić z pensji.

— To nie będzie konieczne — uspokoił go Moist.

Wychylił się i spojrzał na tory przed pociągiem. Simnel zeskoczył z lokomotywy, by sprawdzić, co się stało.

— To kupa dzieciaków! — zawołał.

Moist zeskoczył na pobocze i pobiegł ku niemu.

— Zostaw to mnie, Dick. Sam to załatwię — powiedział, kiedy dotarł do kabiny.

W zapadającym zmierzchu zauważył na torach kilkoro dzieci, które najwyraźniej zatrzymały pociąg, machając na niego fartuszkami. Najstarsze z dzieci, dobrze ubrana dziewczynka, niemal płakała.

— Ziemia się osunęła, proszę pana — oznajmiła.

— Gdzie?

— Za następnym zakrętem, proszę pana — szepnęła.

Rzeczywiście, kiedy Moist przeszedł kawałek torami i spojrzał w mrok, zobaczył stos belek i kamieni otoczony innymi odpadkami. Coś zaczęło mu świtać. Starannie ułożył twarz w minę groźną jak chmura gradowa.

— Jak ci na imię, panienko? — zapytał.

— Edith — odparła z uśmiechem słodkim, ale trochę sztucznym. Moist widział, że nie jest przyzwyczajona do przestępczego życia.

Skinął, by podeszła bliżej.

— Wybacz, Edith, że jestem podejrzliwy, lecz coś mi się tak wydaje, że twój czarujący plan polegał na tym, by grupa odważnych młodych ludzi uratowała pociąg przed wykolejeniem i została bohaterami. Mam rację?

Dziewczynka i jej młodsi wspólnicy mieli żałosne miny, ale zimny drań w Moiście kazał mu dodać:

— To bardzo pomysłowy plan, ale gdyby lord Vetinari się o tym dowiedział, trafiłabyś do kociaków.

Dziewczynka uśmiechnęła się znowu.

— Lubię kotki.

— Tak przypuszczam, ale nie sądzę, by spodobał ci się Cedryk, który im towarzyszy... Wprawdzie podziwiam pomysłowość twojego planu, ale mogli ucierpieć ludzie. — Podniósł głos. — Potrafisz sobie wyobrazić katastrofę kolejową? Zgrzyt torów, krzyki, eksplozję kotła, która kosi całą okolicę? A do tego wszystkiego doprowadziłabyś ty, mała dziewczynka, i twoi mali przyjaciele. Zabiłabyś cały pociąg.

Musiał przerwać, gdyż dziewczynka wyglądała jak sama śmierć. Jeśli instynkt go nie mylił, pewnie trzęsły się jej nogi, a szlochała nie dla efektu. Była naprawdę wstrząśnięta.

Moist ściszył głos.

— Tak, zobaczyłaś to wszystko w głowie, a kiedy znowu o czymś takim pomyślisz, będziesz pamiętać, że o mało co nie zabiłaś wielu ludzi.

— Bardzo przepraszam — wyszeptała Edith. — To się więcej nie zdarzy.

— Na szczęście nie zdarzyło się wcale — odparł Moist. — Jednak chciałbym, żebyś dopilnowała, by się to nie powtórzyło ani tutaj, ani nigdzie indziej. Czy wyrażam się jasno?

— Tak, proszę pana — wykrztusiła zapłakana i wystraszona, a Moist rozpoznał prawdziwą skruchę.

— Załatwię sprawę z maszynistą, a na twoim miejscu wziąłbym ołówek i wszystkie takie sprytne pomysły zamienił w książkę. Te historie grozy za pensa to prawdziwy przebój w stacyjnych księgarniach. Słyszałem, że można na nich nieźle zarobić, no i na pewno w ten sposób nie spotkasz się z Cedrykiem. Aha, i nie machajcie na ludzi fartuszkami, w ciemności mogą to całkiem źle zrozumieć. A teraz... gdzie mieszkasz, panienko? Nie widziałem tu żadnych osiedli, wszędzie lasy.

Dygnęła. Naprawdę dygnęła.

— Mieszkamy w kolejowych domkach, proszę pana. — Otarła zaczerwienione oczy. — Kawałek stąd, przy żurawiu wodnym i bunkrze z węglem.

— Zastanę twojego ojca w domu?

Znowu zbladła, ale odpowiedziała dzielnie:

— Tak, proszę pana, pewnie tak.

— W takim razie, dopóki dżentelmeni z pociągu nie sprzątną całego bałaganu, chciałbym z nim porozmawiać.

Edith niepewnie zaprowadziła go... tak jest, do kolejowych domków, i przedstawiła krzepkiemu, sympatycznemu człowiekowi, który siedział przy stole i pochłaniał chleb i ser, trzymając w ręku mały kufel piwa.

— To mój tato.

Mężczyzna odłożył kawał sera.

— Nie mogę podać ręki, drogi panie, bo ten ser trzymałem, a poza tym cały jestem upaprany smarem. Nesmith jestem.

— Panie Nesmith, może dzieci poszłyby się pobawić, kiedy będziemy rozmawiać...

Edith i pozostali malcy zniknęli z prędkością dźwięku.

— Na pewno pan słyszał zgrzyt hamulców — zaczął Moist.

— Pewnie, drogi panie. Nasz Jake i Humphrey poszli sprawdzić, co się dzieje, bo ja akurat wróciłem do domu po długiej szychcie.

— No cóż, panie Nesmith, chcę pogratulować panu czystych i dobrze wychowanych dzieci. Z przykrością jednak muszę dodać, że niewiele brakowało, by rozbiły nowy ekspres do Überwaldu.

Nesmith poszarzał na twarzy, myśląc o przyszłości bez pracy, bez emerytury, za to prawdopodobnie z wyrokiem na koncie. Brudne łzy pociekły mu po policzkach.

— Ktoś jest ranny? — zapytał. — Bo jeśli tak, to skóry im wygarbuję.

— Trochę rozbitej zastawy i trochę roboty, żeby oczyścić tory, zanim da się odjechać.

Szeroka okrągła twarz wykrzywiła się groźnie.

— Pomogę, drogi panie, oczywiście pomogę, ale bachorom skórę wygarbuję jak nic, przekona się pan.

— Nie, nie wygarbuje pan, panie Nesmith. Gdyby tak, dopilnuję, żeby pan za to zapłacił. Owszem, mogli spowodować straszną katastrofę, ale najważniejsze, że nie spowodowali. Chcieli wyjść na bohaterów, o ile zrozumiałem, a przecież trudno do dzieci mieć o to pretensje. Jednakże droga żelazna to nie plac zabaw. Rozumie pan, panie Nesmith? Będąc na pańskim miejscu, wyciągnąłbym jakiś łom i poszedł sprzątać tory, nieważne, czy jest pan akurat po zmianie. Aha, i niech pan docenia swoją najstarszą córkę, kiedyś może pan być wdzięczny losowi za jej wyobraźnię.

\* \* \*

Ohulan Cutash czekało. Moist pamiętał, że to całkiem przyjemne targowe miasteczko zamieszkane przez typowych farmerów i drwali. Mieli tu również trochę górnictwa; krasnoludy i ludzie często pracowali w tych samych kopalniach, a nawet w tych samych tunelach. Było dostatecznie duże, by mieć burmistrza, i dostatecznie rozsądne, by mieć bardzo dobrą gospodę o nazwie Sekret Kwartetu. Najwyraźniej nie dotarły tu jeszcze echa ostatnich konfliktów.

Tuż po północy pociąg zatrzymał się na peronie. Moist zupełnie się nie spodziewał orkiestry dętej, chorągiewek, tańca Morris i festynu. Najwyraźniej zorganizowano to wszystko dla uczczenia pierwszego prawdziwego pociągu, który dotarł do nowo zbudowanej stacji. Obchody trwały już kilka godzin.

Gdy tylko Żelazna Belka stanęła z finałowym sykiem, wystąpił pan Skiller, właściciel Sekretu Kwartetu, który okazał się także burmistrzem. Wszystkim pasażerom zaoferował gościnę w miasteczku. Chociaż, oczywiście, to wcale nie było miasteczko, nie dla swojego burmistrza — to była prawdziwa metropolia, niewiele tylko ustępująca Ankh-Morpork. Niewielka część umysłu Moista założyła się sama z sobą, że padną słowa o powrocie na mapę.

I rzeczywiście, gdy tylko Moist zszedł na peron, uważając rzecz jasna na szczelinę, burmistrz — mężczyzna tęgi i rumiany, jak wypada prawdziwemu burmistrzowi — oznajmił:

— To wydarzenie na powrót umieści Ohulan Cutash na mapie Dysku, nie ma wątpliwości. Szykujemy już teren pod o wiele większą gospodę z toaletami. — Spojrzał z powagą na Moista. — W dzisiejszych czasach trzeba mieć toalety, wie pan. Sami zapłaciliśmy za wieżę sekarową. Bardzo jesteśmy tu nowocześni.

Moist spojrzał na wybrukowany rynek leżący niedaleko stacji. Pewnie lepiej by wszystko wyglądało, gdyby nie był środek nocy, ale burmistrz nie przejmował się i z satysfakcją wskazywał stojącym na peronie pasażerom położenie wszystkich cudów, które będą mogli zobaczyć, kiedy wstanie dzień.

Moistowi serce pękało z bólu, kiedy musiał odpowiedzieć:

— Obawiam się, że bardzo szybko musimy ruszać dalej. Wie pan, rozkład jazdy...

Widział już, jak żuraw wodny dolewa wody, słyszał grzechot ładowanego węgla. Nic jednak nie mogło powstrzymać nieokiełznanej gościnności burmistrza.

— Ale przygotowaliśmy burmistrzowski bankiet...

— Hm... Przepraszam na chwilę, panie burmistrzu.

Zamienił z Simnelem kilka słów na temat kolejnego etapu podróży, a potem z Vimesem, który pokiwał głową.

— To rozsądne. Z przyjemnością zjem coś z talerza, który nie dzwoni o blat. Nie ma nic złego w schlebianiu obywatelskiej dumie. Burmistrz to porządny gość i mają tu tak jakby straż. Dwóch strażników, całkiem niezłych w tych okolicznościach, a wiem to, bo sam ich szkoliłem.

Moist wrócił do komitetu powitalnego i objął ramieniem entuzjastycznego burmistrza.

— Drogi panie, znajdziemy trochę czasu na skromny bankiet, zanim pchnie nas dalej straszliwy nacisk nieubłaganego rozkładu jazdy...

Zostawili Simnela na stacji, gdzie z innymi mechanikami czekał na przybycie rezerwowej lokomotywy, Lotnika, który wyjechał z Zemphis kilka godzin po Żelaznej Belce. Król i Aeron pozostali w pociągu, bezpiecznie pilnowani w opancerzonym wagonie, zajęci papierami i planami działania na czas po przyjeździe do Überwaldu. Reszta zespołu podążyła za burmistrzem przez rynek do jego gospody.

Miasteczko się starało. Naprawdę się starało. Jakaś część pewności burmistrza, że świat kręci się wokół nich, a przynajmniej by się kręcił, gdyby kiedyś tu dotarł, przesączyła się do umysłów jego podatników. Teraz rzucili się do podgrzewania wszystkich wspaniałych dań, które planowali serwować kilka godzin wcześniej. Ale nie mieli żalu, zwłaszcza kiedy Moist opowiedział o starciu w Papach Scylli. Może trochę je podkoloryzował, ale przecież po to są kolory, prawda? Jego wersja przekonała wszystkich, nawet tych, którzy byli wtedy w pociągu. W pewnym momencie Ze Zmierzchu Ciemność powstał i się ukłonił.

Moist nie mógł się powstrzymać. Wskazał goblina.

— Ze Zmierzchu Ciemność i jego dzielni koledzy walczyli ramię w ramię z komendantem Vimesem, demonstrując wielką odwagę.

Tu spojrzał na komendanta, który dmuchnął dymem z cygara.

— Świetnie walczyli, co do goblina — potwierdził.

— Och, lubimy tu gobliny — stwierdził burmistrz. — Obsługują naszą wieżę sekarową. I wiecie, ta plaga ślimaków na grządkach zielonej jarej całkiem zniknęła, odkąd się wprowadziły.

Wzniesiono kolejny toast za sekary i za gobliny przy okazji. A kiedy wszyscy wrócili do Żelaznej Belki, zastali ją obsypaną płatkami kwiatów przez miejscowe dziewice[[[72]](#footnote-72)](#72_1). Lotnik przyjechał i wyruszył dalej jakiś czas temu, a jego załogę wzmocniła Cudo Tyłeczek — po raz kolejny jako przynęta — i inni sprawni w walce funkcjonariusze. W tej chwili lokomotywa pędziła już torami do Slake, jako pilot i zwiadowca dla Żelaznej Belki.

Kiedy sama Żelazna Belka odjechała z Ohulan Cutash, większość pasażerów ułożyła się do snu. Moist wypożyczył swój przedział sypialny dwóm rannym w bitwie, więc teraz biwakował w wagonie hamulcowym, który stał się ostatnio czymś w rodzaju ośrodka dowodzenia pociągu — całkiem wygodnym, jeśli człowiek padał na twarz ze zmęczenia, a Detrytus nie chrapał. Przez całe życie Moist nauczył się zasypiać właściwie w dowolnych okolicznościach. Zawsze zresztą spał, nadstawiając przy tym przynajmniej połowę ucha. I teraz rozkoszował się znajomymi odgłosami podróży, a kołysanie wagonu koiło go aż do chwili, kiedy gdzieś w trasie został wyrwany do rzeczywistości przez zgrzyt kół i przerażający pisk udręczonych hamulców.

Na zewnątrz wciąż było ciemno, gdy zaspany wytoczył się na platformę. Pobiegł przez pociąg, aż dotarł do opancerzonego wagonu króla.

Zastał tylko krasnoluda z eskorty.

— Król poszedł do kabiny maszynisty — oświadczył strażnik. Wydawał się trochę zawstydzony. — Próbowałem go przekonać, żeby pozwolił mi iść z sobą, ale co można poradzić? To przecież król.

— Nie przejmuj się — pocieszył go Moist. — Zostań na stanowisku. Ja sprawdzę, co się dzieje.

Znał procedury dla takich sytuacji, ale gdzie jest król? Na tym polega problem z monarchami: choćby byli porządni i rozsądni, uważali często, że zasady bezpieczeństwa obowiązują tylko innych.

Szukając gorączkowo, Moist zeskoczył w końcu na tory i pobiegł do lokomotywy, gdzie w kabinie znalazł króla rozmawiającego z Dickiem Simnelem i wolno pokrywającego się smugami sadzy. Przed nimi na szlaku widać było blade płomienie, a Simnel patrzył na nie z ponurą miną.

— Dobrze się złożyło, że król tu przyszedł, bo ten Lotnik przed nami wypadł z torów. My też byśmy wypadli, gdyby nie on. Widzi po ciemku.

— Aha, jest pan komendant — ucieszył się król na widok Vimesa, który przybiegł pospiesznie. — Jeśli już w ogóle jakiś człowiek ma pojęcie, co potrafi oko przyzwyczajone do ciemności, to z pewnością pan. Przed nami jest długa prosta, a Dick nie widział tego wypadku, za to ja go zobaczyłem, choć w ostatniej chwili. Ale przecież mogą tam być jacyś ranni.

Po czym król ruszył biegiem w stronę płomieni, stosując tradycyjną krasnoludzią strategię szturmu na przeciwnika z całym uzbrojeniem, jakim da się wymachiwać. Vimes doścignął go jednak i powalił na ziemię. Niemal natychmiast huk eksplozji zakołysał drzewami i odbił się echem od gór — to wybuchł kocioł Lotnika. Przed nimi unosiła się teraz jedynie ciepła mgła, z rzadka słychać było brzęki stygnącego metalu.

Vimes postawił króla na nogi.

— Proszę mi wybaczyć to lèse-majesté, choć jego królewska mość wie zapewne, że w przeszłości Vimesowie posuwali się o wiele dalej. Jego królewska mość powinien słuchać. Kiedy tylko nastąpi atak, cała załoga Lotnika miała jak najszybciej uciekać, ale wcześniej koniecznie zablokować na sztywno zawór bezpieczeństwa na kotle.

— No tak, panie dyżurny klasowy, w sytuacji zagrożenia łatwo wracamy do starych przyzwyczajeń. Przepraszam, że sprawiłem kłopot.

— Ci dranie odebrali lekcję — wysapał Dick Simnel, kiedy ich dogonił. — Dwa razy się zastanowią, zanim znowu spróbują napaść na mój parowóz!

Załogę Lotnika znaleźli w niewielkim rowie, do którego wskoczyła, szukając osłony. Rów był kiedyś siedliskiem żab i niestety nim pozostał. Grupa strażników wynurzyła się z tego płytkiego mokradła, a jedyną szkodą, jakiej doznali, były podarte mundury i gruba warstwa błota, którego część podskakiwała. Ale Cudo Tyłeczek była wesoła jak zawsze.

Zdawało się, że w pobliżu nie ma żadnych gragów, choć kiedy Moist się za nimi rozglądał, z drzewa spadła ręka wciąż ściskająca maczugę w żelaznym chwycie. A tu i tam, gdyby poszukać — na co nikt nie miał ochoty, ale szukali mimo to — dało się odkryć pewne oznaki, że gragowie, kopacze i wielu innych mieszkańców mrocznego podziemnego świata opuściło go w tym miejscu, by spocząć w pokoju i — wskutek wybuchu kotła — także w kawałkach.

Z mroku wyłonił się Detrytus.

— Jeden czy dwóch onych jeszcze tam było — oznajmił. — Już nie.

I stuknął pięścią o swój napierśnik, aż zabrzęczało.

— Nic wam się nie stało, chłopcy? — upewnił się Simnel, zwracając się do swoich mechaników. — Szkoda Lotnika. To boli, kiedy zabiją lokomotywę, a poza tym nie mamy teraz ani rozpoznania, ani machiny zastępczej. Na razie musimy oczyścić tory, szczątki zabierzemy w drodze powrotnej, trafią do nowego Lotnika. Całkiem nam sprawnie idzie ich budowanie. Ale jak znajdziecie choć kawałek mikrokolczugi, takiej jak ta... — wskazał rękę ściskającą broń — ...przynieście od razu. Wet za wet. Będzie kolejnym trofeum dla Żelaznej Belki.

\* \* \*

W szarym brzasku trolle szybko oczyściły tor. Moist zauważył nagle w cieniu jakieś stworzenie i usłyszał smutny głos w okolicach swojej stopy:

— Proszę, nie róbcie nam krzywdy! Mieszkamy tutaj, jesteśmy gnomami, szyjemy buty. To nasza praca. Robimy węgiel drzewny i inne produkty na sprzedaż, ozdoby z drewna, piękne drewniane meble i staramy się nikomu nie wchodzić w drogę. Ale krasnoludy znowu maszerują i myślimy, że wracają złe czasy. I się boimy.

Zabrzmiało westchnienie.

— Musicie wiedzieć, że mali ludzie są ostatnimi, o których się pamięta, kiedy wielkie plemiona idą na wojnę. Nazywam się Trzask i mówię w imieniu tych, którzy chowają się w tych górach, bo umiemy się chować. To sztuka, którą doskonaliliśmy przez lata. Czy możemy jakoś pomóc?

— Gnomy! — zawołał król u boku Moista. — Od wieków o nich nie słyszałem. Dawno temu było ich wielu...

A Moist pomyślał: Tak, to właśnie mali ludzie, którzy zostają zdeptani i porzuceni... jak gobliny. I jeśli znajdą takich reprezentantów jak sprytny Ze Zmierzchu Ciemność albo jak Łzy Grzybów z jej cudowną harfą, to staną się znanymi gnomami. Jednak twarz Trzaska sugerowała, że młyny losu przemieliły gnomy na drobno; mali ludzie chętnie odeszli w zapomnienie, a teraz osuwali się w otchłań smętnej niepamięci.

Zauważył, że król przygląda się rzecznikowi gnomów.

— Wiedzieliśmy, że żyjecie gdzieś w tych lasach — rzekł Rhys. — Co mogę dla was zrobić?

— Możesz nas zostawić, panie. Twoja nieobecność to coś, czego nam trzeba. Żeby dać nam spokój. Żebyśmy mogli żyć po swojemu, a nawet... — głos gnoma zabrzmiał ostrzej — ...żebyśmy w ogóle mogli żyć.

Król cofnął się wzdłuż torów, zatrzymał i położył dłoń na Żelaznej Belce, wciąż bulgoczącej i syczącej parą. Przemówił takim tonem, jakby składał przysięgę, którą być może rzeczywiście składał:

— Wiedziałem o was od dzieciństwa. Chłopcze, możecie żyć w tych lasach, jak wam się podoba. Sam pierwszy stanę do obrony waszych praw.

Obejrzał się.

— Musimy jechać dalej. Wciąż jeszcze wiele mil dzieli nas od Überwaldu.

Dick, dotąd zajęty nerwową dyskusją z Wallym przy tendrze, skrzywił się niechętnie.

— Bardzo mi przykro, wasza wysokość, ale mamy kłopot. Był tu skład wody i węgla, lecz gragowie go rozbili. Zniszczyli wodny żuraw i wylali wodę ze zbiornika. Węgiel jeszcze mamy, ale wody ledwie nam wystarczy i nie wiem, czy dotrzemy do następnego składu. Lokomotywa nie pojedzie bez wody. Musimy napełnić zbiornik. — Zastanowił się. — A właściwie to co się stało z obsługą? O ile pamiętam plany, powinni tu już być robotnicy i czekać na nas w pogotowiu.

Trzask odchrząknął.

— Słyszeliśmy hałasy... Odgłosy walki...

Moist spojrzał znacząco na komendanta.

— Detrytus! — rzucił Vimes. — Dasz radę ich znaleźć?

Strażnik zasalutował, aż brzęknął hełm.

— Ja i Bluejohn pójdziemy szukać. Dobrze nam idzie szukanie ludzi. To trollowa sprawa. Znajdziemy ich. Martwych albo żywych.

Oba trolle zagłębiły się w gęstwinę, a Moist poczuł się trochę niepewnie, widząc, że oto oddala się znacząca część ich siły ognia. Komendant był posępny.

Mały gnom pociągnął Moista za nogawkę.

— Z wodą możemy pomóc — oświadczył. — Za wzgórzem mamy dobre źródło, są nas setki, to niedaleko i robimy znakomite wiadra, więc myślę, że napełnimy wasz zbiornik w godzinę.

I napełnili.

Trzask wyjął spod kurtki gwizdek, dmuchnął w niego i natychmiast pojawiło się około setki replik małego gnoma. Nie podeszli, nie spadli z nieba, nie wyskoczyli spod ziemi — po prostu się pojawili, każdy z dwoma wiadrami. Było jasne, że choć mali wzrostem, są jednak silni. Kiedy biegali szybko do tendra i z powrotem, Simnel pilnie przyglądał się ich wielkim i ciężkim butom.

— Ehm... Przepraszam, panie gnomie, sami szyjecie te buty? Nie żartuję sobie... ale to największe buty, jakie widziałem na takim małym ludku... Bo wiecie, po całym tym sprawdzaniu torów, deptaniu żaru i w ogóle nasze buty szybko się niszczą. Znaczy, popatrzcie tylko na te. Noszone w każdą pogodę. Mówiliście, że jesteście szewcami. Umiecie pracować w metalu? Naprawdę by się nam przydali tacy, co to potrafią uszyć mocne buty dla robotników kolejowych. Bym się cieszył, jakbyście mogli. Buty dla chłopaków z permanentnego duktu powinny być też permanentne.

Trzask się rozpromienił.

— Gdyby tylko ktoś możliwie szybko nam przysłał specyfikację, przekażemy próbkę. A dla pańskiej informacji, drogi panie, to wcale nie jesteśmy małym ludkiem. W środku jesteśmy wielcy.

Rozmowę przerwał Detrytus, który wynurzył się z zarośli niczym istota z zarania czasu. Za nim szedł Bluejohn w swej roli ciężkiego uzbrojenia. Po chwili delikatnie ułożył na ziemi dwa ciała i pogięty wodny żuraw.

Rhys Rhysson zaklął, gdy zobaczył ciała, a młody Simnel zaszlochał. Ale dzień już wstał i czas mijał, więc po szybkiej naradzie z komendantem Vimesem i dolnym królem podjęto decyzję, by ruszać. Moist i Dick Simnel pożegnali się z gnomami.

— Proszę, pilnujcie tego miejsca i pochowajcie tych dżentelmenów. Pod kamieniem — poprosił Simnel, wciąż mający czerwone oczy. — A gdyby się dało, możecie coś zrobić z żurawiem?

Trzask znów się rozjaśnił.

— To tylko metal. Czy nie wspomniałem, że jesteśmy też druciarzami? Oczywiście, że go naprawimy.

— No to świetnie — uznał Moist. — Ty i twoi ludzie pracujecie teraz dla drogi żelaznej, a to znaczy, że pracujecie dla Harry’ego Króla. A sir Harry nie lubi, żeby coś złego trafiało się jego pracownikom. Bardzo nie lubi. W przyszłości częściej będziecie widywać pociągi i podejrzewam, że znajdziecie też więcej zajęć. Wyślę sekara do sir Harry’ego w kwestii honorarium.

— A co to jest honorarium? — zdziwił się mały druciarz.

— Przekonacie się — odparł Moist.

Gdy Żelazna Belka ruszyła w drogę do Slake, gnomy stanęły szeregiem wzdłuż torów i machały malutkimi chusteczkami jeszcze długo po zniknięciu pociągu.

\* \* \*

Łowiąc popołudniową porą karpie w Jeziorze Przewieszonym, pan Geoffrey Indygo delikatnie się zdumiał, kiedy woda w jeziorze po prostu zniknęła przy pewnej dozie bulgotania. Pozostawiła ledwie żywe ryby, zaskoczone żaby i dość atrakcyjną nimfę, bardzo rozzłoszczoną, która syknęła na niego gniewnie, jakby to była jego wina. Ale jako autor znanego dzieła Z muchami w każdą pogodę, pan Indygo zachował spokój i zanotował zdarzenie w pamięci, by opowiedzieć o nim na następnym spotkaniu Koła Wędkarstwa Przewieszonego.

Kiedy starannie zbierał i czyścił sprzęt, usłyszał chlupot i zdumiał się po raz drugi, bo dziura w krajobrazie znowu wypełniała się wodą. Przyglądał się zdziwiony, a nimfa syknęła na niego po raz drugi, przez co poczuł się niesprawiedliwie skrzywdzony. W drodze do domu, chlupocząc nieco, zastanawiał się, czy ktokolwiek mu uwierzy.

W domu opowiedział o dziwnych zdarzeniach. Żona parsknęła drwiąco.

— Nie powinieneś zabierać tej flaszki brandy, Geoffrey.

— Wcale nie zabrałem — zaprotestował. — Stoi w kredensie, tam gdzie zawsze!

— W takim razie lepiej nikomu nie mów — uznała. — Ludzie wezmą cię za jakiegoś dziwaka, a tego przecież nie chcemy.

Geoffrey, najmniej dziwaczny osobnik na świecie — może z wyjątkiem tych chwil, kiedy opowiadał o rybach — postanowił więc nikomu o tym nie wspominać. Nie chciał przecież stać się pośmiewiskiem...

\* \* \*

Moist zaczynał się niepokoić o Dicka Simnela i jego przepracowany zespół. Sypiali krótko, w śpiworach, zwinięci na ławkach w wagonie, jadali wprawdzie, ale marnie, wciąż ponaglani przez swoje zegarki i pragnienie, by utrzymać pociąg w ruchu. Spotkani poza kabiną lokomotywy, rozmawiali o przekładniach, kołach i regulacji. Jednak dla Moista było jasne, że są wyczerpani po długich dniach spędzonych w kabinie.

Zaczepił Dicka Simnela.

— Możemy sobie chyba pozwolić na zmniejszenie tempa — powiedział. — Ty i twoi chłopcy powinniście odpocząć. O ile mi wiadomo, nawet trochę wyprzedzamy rozkład.

W oczach Dicka dostrzegł nie szaleństwo, ale coś innego, bardziej subtelnego. Był pewien, że to nie ma nazwy. Przypominało głód, łaknienie wszystkiego co nowe, a nade wszystko chęć pokazania, że można coś doprowadzić do doskonałości i na tym poziomie utrzymać. U goblinów coś takiego było chyba cechą endemiczną i nie szkodziło specjalnie. Ale u ludzi najwyraźniej działało inaczej.

— Zaczną ci padać, jeśli trochę nie przyhamują — tłumaczył Dickowi. — Wy wszyscy wolicie raczej popracować, niż się przespać! Słowo daję, sprawiacie czasem wrażenie zmechanizowanych, całkiem jak Żelazna Belka, a tak być nie powinno! Musicie trochę... poluzować, trochę się położyć, zanim was położą, a raczej złożą na wieki.

Ku zdumieniu Moista Dick rzucił się na niego jak lew. Niemal słyszał jego groźny ryk...

— A niby kim pan jest, żeby takie rzeczy gadać, panie Lipwig? Co żeś pan zrobił, zbudował, nad czym się męczył? Bo widzę, że żadnego paznokcia pan nie masz połamanego! Umiesz pan gadać aligancko, ale co żeś pan stworzył? Kim pan jest?

— Ja, Dick? Kiedy tak sobie o tym myślę, to jestem smarem, dzięki któremu kręcą się koła, zmieniają się opinie i świat sunie naprzód. Albo można powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju kucharza, ale w specjalnej kuchni. To trochę jak twój suwak: we właściwym momencie przesuwasz coś odpowiednio i uzyskujesz reakcję, jakiej chciałeś. Krótko mówiąc, sprawiam, by rzeczy się działy, i dotyczy to również twojej drogi żelaznej.

Młody człowiek zachwiał się i Moist przemówił łagodniejszym tonem.

— I teraz do mojej pracy należy wytłumaczenie ci, że musisz odpocząć. Tracisz parę, Dick. Popatrz, kawał drogi już za nami, jest dzień, minęliśmy góry, a przed nami odcinek, który chyba można spokojnie pokonać z minimalną załogą. Będziecie potrzebni sprawni i przytomni, żeby nas przeciągnąć przez przełęcz. Więc naprawdę się prześpij.

Simnel zamrugał, jakby wcześniej w ogóle Moista nie widział.

— Tak, ma pan rację — przyznał.

Moist zauważył, że słowa brzmią trochę bełkotliwie, więc przytrzymał młodego człowieka w trakcie upadania, zaciągnął go do wagonu sypialnego i ułożył na posłaniu. Zauważył, że Dick nie tyle zapadł w sen, ile raczej wsunął się w niego...

Zostawił Dicka i poszedł do wagonu hamulcowego, gdzie Vimes popijał kawę i porządkował papiery dotyczące schwytanych kopaczy, którzy szybko zaczynali śpiewać jak kanarki.

— Mogę panu chwilę zająć, komendancie?

— Jakiś problem, panie Lipwig?

— Chłopcy pracują bez przerwy. Oni chyba myślą, że prawdziwy mężczyzna to ten, co nigdy nie śpi.

— Muszę tego uczyć młodych funkcjonariuszy. Żeby cenili nocny odpoczynek. Żeby próbowali się zdrzemnąć, kiedy to tylko możliwe...

— Bardzo słusznie. Więc niech mi pan pomoże z tymi facetami. Cały czas liczą coś na suwakach i cały czas się martwią, bo już trochę za długo udaje im się wygrywać ze światem.

— Na to wygląda. — Vimes wstał.

Razem poszli wolno wzdłuż pociągu, zmuszając mechaników, by przynajmniej ułożyli się na posłaniach, bo jak nie, spadnie na nich gniew sir Harry’ego. W kilku przypadkach Moist sugerował, by Ze Zmierzchu Ciemność podał im którąś ze swych nieszkodliwych mikstur. Nie wszystkim oczywiście, na wypadek nieprzewidzianych sytuacji. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się sprawny mechanik.

\* \* \*

Albrecht Albrechtson w swojej celi miał dużo czasu, by przeanalizować taktykę Twardźca. Twardziec był niedojrzałym młodzikiem[[[73]](#footnote-73)](#73_1), ale dał się już poznać jako chytry manipulator, walczący o awans niezależnie od skutków i wszelkimi dostępnymi środkami. Wkręcał się wszędzie niczym robak w jabłku — zdaniem Albrechta w całym tym zdaniu kluczowe było słowo „robak”.

Niewola u Twardźca była stanem irytującym. Ale jedzenie podawali niezłe, napoje także, nawet jeśli małe piwo było mniejsze, niżby sobie życzył. Pozwolili mu nawet na książki, oprócz tych, które Twardziec uznał za „niekrasnoludzie” — podobna terminologia mówiła wszystko o tym aroganckim parweniuszu mającym jeszcze mleko pod hełmem, który niewątpliwie marzył, by dostać w chciwe łapska cały Schmaltzberg, łącznie z „niekrasnoludzimi” kopalniami tłuszczu i wszystkim.

W swoim niedużym lochu Albrechtson musiał znosić wykłady egoistycznej filozofii Twardźca i jego poglądów na rolę dolnego króla. Co za bezczelność! Pouczać jego, wybitnego znawcę tematu! Ale nie warto było się złościć, jeszcze nie. Gniew to broń, którą trzeba cenić, trzeba szykować w ciszy, by wykorzystać w chwili, kiedy przyniesie najlepsze rezultaty.

Tę myśl zakłócił odgłos kroków na kamiennych schodach. Pompatyczny dureń znowu tu schodził, żeby go skłonić do zmiany zdania.

Oczywiście, Twardziec zacznie, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy spotykają się, żeby razem przekąsić szczura. Ale w miarę jak mówił, Albrecht dostrzegał w głębi rozplatające się zwoje całkiem niezłego umysłu. Twardziec wystąpił przecież przeciwko suwerenowi, a to nie jest łatwa decyzja. Z pewnością zdawał sobie sprawę z kar dla tych, którzy stają zbrojnie przeciw dolnemu królowi. Mimo wszystko musiała się w nim ukrywać spora inteligencja, która przydałaby się krasnoludzkości, zresztą może jeszcze się przydać, nawet jeśli w tej chwili Twardziec pirytów od złota nie odróżnia. To żaden sekret, że i w najbardziej zrównoważonym umyśle czasem... no, coś czasem przeważa.

Klucz zgrzytnął w zamku. Wszedł Twardziec, a wyraz jego twarzy poważnie wystraszył dawnego mentora. Trzeba pewnej dojrzałości, by to wyczuć, ale łatwo poznać po oczach, czy człowiek gnany jest jakąś ideą. Mają takie wilgotne, lepkie spojrzenie... Jak u Twardźca.

Mimo to Albrechtson odłożył pióro.

— Jestem wdzięczny, że mnie odwiedziłeś — powiedział spokojnie. — Jak rozumiem, dolny król wkrótce tu wróci dzięki drodze żelaznej. Czy to nie miłe?

Kropelka śliny pojawiła się w kąciku ust Twardźca.

— Nie możesz tego wiedzieć! — warknął.

Albrechtson usiadł wygodniej.

— Prawdopodobnie nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz, młody krasnoludzie — stwierdził serdecznym tonem. — Ale nie nauczyłem cię wszystkiego, co sam wiem. Pewne umiejętności zachowałem dla siebie.

— W takim razie muszą obejmować zgadywanie. To ja mam klucz do wszelkich informacji w Schmaltzbergu. Nie pozostała tu żadna wieża sekarowa.

— Istotnie, tak słyszałem.

— Rhys Rhysson zdradził wszystko, co krasnoludzie. I dla naszego dobra muszę przejąć Kaiserstein, Kajzerkę z Kamienia. Popiera mnie większość.

Albrechtson bawił się piórem.

— Może nie chcą oglądać takiego wyrazu twojego oblicza, Twardźcu. Jesteś poruszony, a pewność, z jaką wygłaszasz swoje wyroki, ściągnie na ciebie wyrok, kiedy tylko król stanie w Schmaltzbergu. Chociaż... Rhys Rhysson może okazać ci miłosierdzie.

— Przewidywałem, że powiesz coś takiego, ale czyn się dokonał.

Albrechtson był zdumiony.

— Naprawdę przejąłeś Kajzerkę?

Przez chwilę Twardziec wydawał się zdezorientowany.

— Nie w ścisłym sensie... Wszystko czeka na miejscu. Trzeba mi tylko zrobić ostatni krok, a Rhys Rhysson może wyjechać na emeryturę w jakieś spokojne miejsce. Może wrócić do Llamedos.

— Więc zrób to zaraz. Przecież nic cię nie może powstrzymać, prawda? Tylko że dolny król jest wybierany. Czy jesteś całkiem pewien? Czy wiesz, ilu twoich zwolenników jest ci szczerze oddanych? Bo ja mam absolutną pewność, że wielu z nich wcale nie jest. Naturalnie, płaszczą się przed tobą i wiele obiecują, ale kiedy pociąg znajdzie się bliżej, kiedy usłyszymy gwizd zmiany, myślę, że nagle przypomną sobie o innych ważnych zajęciach i będą dokładnie pamiętać, jak to nigdy nie rozmawiali z tobą o Kajzerce. To już się dzieje, ale ty o tym nie wiesz.

Prawdę mówiąc, było to dość okrutne.

— Sugeruję, byś nie zapominał, że to ty jesteś tu zamknięty — rzekł Twardziec. — A ja mam jedyny klucz.

— Istotnie. I z nas dwóch to ty się pocisz. Byłbyś zdziwiony, jak wiele wiem. Ile wież sekarowych wyrosło znowu, jak grzyby... I co mówią krasnoludy w Ankh-Morpork. Chciałbyś wiedzieć? Mówią: Dlaczego nie mamy Kajzerki z Kamienia tutaj, w Ankh-Morpork? Przecież żyje tu więcej krasnoludów niż w Schmaltzbergu.

— Zgodziłbyś się przechowywać Kajzerkę w tym nędznym mieście?

— Oczywiście, że nie. Ale też nie chcę zobaczyć na niej ciebie. Twoi gragowie tracą zwolenników. Nie tylko z powodu sekarów i nie tylko z powodu Ankh-Morpork, ale dlatego, że dorastają nowe pokolenia i myślą: O co tu w ogóle chodzi? Jak nasi rodzice mogli być tacy głupi? Nie zdołasz powstrzymać tych ludzi, tak jak nie powstrzymasz pociągu.

Albrechtsonowi zrobiło się teraz niemal żal Twardźca. Wiele lat można żyć, negując realia, ale taka negacja jest niczym wąż — w pewnym momencie zwija się i kąsa.

— Powinieneś pogodzić się z faktami, Albrechcie Albrechtsonie. Byłbyś zdumiony, wiedząc, jakie mam poparcie. Krasnoludy muszą pozostać krasnoludami, a nie nędznymi kopiami ludzi. Podążać za Rhysem Rhyssonem to stać się d ‘riza, półkrasnoludem, albo i mniej.

— Nie. To myślenie tobie podobnych czyni krasnoludy małymi, zapatrzonymi w siebie, wierzącymi, że bluźnierstwem jest każda, choćby drobna zmiana w tym, co się uznaje za krasnoludzie. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy tacy idioci jak ty zakazywali nawet rozmawiać z ludźmi. A teraz musisz zrozumieć, że tu nie chodzi o krasnoluda, o człowieka, o trolla. Chodzi o ludzi i w tym miejscu lord Vetinari wygrywa partię. W Ankh-Morpork możesz być, kim tylko chcesz; niektórzy się śmieją, inni klaszczą, ale większość po prostu cudownie nie zwraca uwagi. Rozumiesz to? Krasnoludy zakosztowały już swobody, a ona uderza do głowy.

Niewiele brakowało, by Twardziec splunął ze złością.

— I kto to mówi? Ty, znany kiedyś jako jeden z największych tradycjonalistów we wszystkich kopalniach?

— Wciąż taki jestem. Bo większość tych tradycji służyła naszemu bezpieczeństwu w taki sam sposób, jak gragowie, którzy w swej ciężkiej odzieży doprowadzali do wybuchów metanu, żebyśmy nie palili się żywcem. To reguły kopalni. Poznawali je w trudzie i zagrożeniu. Tradycje mają swoje przyczyny; działają. Ale nie wiedzieć czemu, ty i tobie podobni nie chcą zrozumieć, że poza jaskiniami świat jest inny. Oczywiście, przestrzegam specjalnych dni, do każdych drzwi pukam dwa razy i jestem posłuszny przykazaniom Taka. Dlaczego? Bo te tradycje trzymają nas razem, tak jak wieże sekarowe, zanim twoi wierni kopacze zaczęli je palić. Płonące słowa konające na niebie... Czy takie ma być dziedzictwo krasnoludów?

Urwał. Twardziec zbladł i zdawało się, że drży. Ale po chwili oczy mu błysnęły dawnym płomieniem.

— Nie dasz się przekonać, Albrechcie, i ja też nie — warknął. — Pociąg czy nie pociąg. Zresztą to nieważne, bo i tak nigdy tutaj nie dotrze. Świat nie jest jeszcze gotów na lokomocję.

— Oczywiście — zgodził się Albrecht. — Ale nie był też gotów na sekary, a teraz krzyczy, kiedy ktoś niszczy wieże. I wierzę, że ta lokomocja jeszcze z nami nie skończyła.

Odpowiedzią było trzaśnięcie drzwi i zgrzyt przekręcanego klucza. Głupiec zamknął Albrechta na noc właśnie tam, gdzie więzień chciał się znaleźć.

Byli strażnicy, zdawał sobie z tego sprawę, ale jak wszędzie wszyscy strażnicy, lubili zdrzemnąć się na służbie albo wyjść gdzieś, żeby w spokoju wypalić fajkę. Zresztą bardzo niewielu zbliżało się do tego konkretnego lochu, bo woleli nie narażać się komuś takiemu jak Albrecht. Nawet jeśli ktoś wierzył, że stoi po właściwej stronie, nigdy nie miał pewności, kto zwycięży. A w tych okolicznościach mniejsze rybki mogły trafić na patelnię...

Po chwili Albrecht sięgnął po łyżeczkę, którą jadł posiłek, i delikatnie poskrobał skalny pył na podłodze. To poskutkowało pojawieniem się goblina, który w mroku uśmiechnął się szeroko.

— Proszę, szefie, depesze sekarowe od komendanta Vimesa. Butelka oliwy do lampy. Aha, i pasta do zębów, coś prosił. Kazali powtórzyć, że pociąg jedzie jakby nic i na pewno dotrze zgodnie z rozkładem.

To było jak terapia: słyszeć o niepowstrzymanym ruchu słynnej Żelaznej Belki, dzień po dniu...

Aromat goblina, myślał Albrecht, wydawał się wręcz metafizyczny. Po początkowym szoku człowiek zaczynał się zastanawiać, czy zapach nie pojawia się jakoś od razu w głowie, nie tylko poprzez nozdrza. Zresztą nie był aż taki straszny, przypominał trochę stare spiżarnie i piołun.

Odebrał przesyłki i przejrzał depesze z szybkością krasnoluda, który nauczył się szybko przyswajać słowo pisane. Potem z zaciekawieniem porozmawiał z goblinem, przedstawicielem gatunku, który wcześniej lekceważył i uznawał w najlepszym razie za stratę miejsca, w gorszym za utrapienie. Wydawało się jednak, że gobliny mają więcej rozsądku niż większość krasnoludów, a już na pewno więcej niż ten dureń Twardziec. Zadziwiające, jak swobodnie poruszały się w ciemnościach Schmaltzbergu, jak potrafiły skorzystać z każdej szczurzej nory, zanim skorzystały ze szczura.

Goblin czekał cierpliwie, aż Albrecht przygotuje własne wiadomości, by przesłać je do lokomotywy. A potem stary krasnolud zrobił coś jeszcze, co go zaskoczyło.

— Jak masz na imię, młody goblinie? — zapytał. — Przyjmij moje przeprosiny za to, że nie zapytałem wcześniej. I wybacz staremu krasnoludowi, który nie nadąża za nowymi czasami.

Goblin wyglądał na oszołomionego.

— Jasne, szefie, żadna sprawa. Jestem Turkot Kół. Koledzy z kolei mówią na mnie krótko Turek. Moich rodziców bardzo to denerwuje.

Albrecht wyciągnął rękę. Turkot Kół cofnął się gwałtownie, ale potem zbliżył niepewnie.

— Miło cię poznać, Turkocie Kół — powiedział krasnolud. — Masz rodzinę?

— Tak, wasza czcigodność. Moją matką jest Ze Szczęścia Serce, ojciec to Z Niebios Kraniec, a Z Wody Żuraw to mój młodszy brat. — Po chwili goblin dodał jeszcze: — Właściwie to może pan już puścić moją rękę.

— A tak. Przypuszczam, że moje imię powinno brzmieć W Moment Ogłupiały. Życzę szczęścia tobie i twoim najbliższym. Wiesz, w pewnym sensie ci zazdroszczę. Skończyłem już dzisiejsze zajęcia i proszę, żebyś zabrał wszystkie moje papiery i ukrył gdzieś, gdzie żaden krasnolud nie zajrzy.

— Czyścimy toalety, szefie. Znam dużo miejsc, co nikt nie odwiedza. Jutro ta sama pora?

Dopełniwszy uścisku dłoni, goblin zniknął w dziurze, do której nawet szczurowi trudno by było się wcisnąć. A kiedy ucichły odgłosy jego przejścia, Albrecht pomyślał: Wcześniej nigdy bym tego nie zrobił. Ależ byłem głupcem...

\* \* \*

Pannę Gwendolinę Avery ze Schmarmu zbudziło w środku nocy stukanie i brzęczenie licznych buteleczek odmładzających olejków na szafce. Po chwili uświadomiła sobie, że to cały dom się trzęsie od rytmicznego dudnienia.

Kiedy następnego ranka dramatycznym tonem opisała cały epizod swojej przyjaciółce Daphne, powiedziała, że brzmiało to jak kroki bardzo wielu przechodzących mężczyzn. Przypisała to kieliszkowi wiśniówki wypitemu przed snem. Daphne, pamiętając o smętnym statusie starej panny swej koleżanki, przypisała to raczej marzeniom.

\* \* \*

Okolice Slake pokrywała w połowie tundra, w połowie pustynie, w większości chłostane wiatrem. Krótko mówiąc, był to pejzaż skamielin, gdzie prawie nic nie rosło oprócz kurzanów[[[74]](#footnote-74)](#74_1) i z rzadka sosen, których nasiona są podobno lekiem na melancholię.

Była tu woda, owszem, ale głównie pod ziemią, a poszukiwacze złóż i kolekcjonerzy skał podobno wydobywali ją wiadrami z głębokich grot.

Odrobinę łatwiejsze było znalezienie wody na wyżej położonych terenach, po osiowej stronie tundry, gdzie z lodowca Wiecznowiatru wypływały lodowate strumyki umożliwiające hodowlę kóz. A więc kozy rodzina Knuta hodowała, doiła i doglądała od wieków. A kiedy kozy skubały to, co na tych terenach uchodziło za trawę, Knut zasypiał i śnił o nieściganiu kóz po praktycznie jałowej okolicy. Z początku mu się to podobało, ale teraz był starszy i coś mu mówiło, że istnieją w życiu zajęcia ciekawsze niż przyglądanie się, jak kozy jedzą obiad: raz, dwa, niekiedy trzy razy. Czasami robiły zabawne miny i czasami się śmiał. Ale jakaś wewnętrzna tęsknota przekonywała, że kozy to nie wszystko.

Pewnie dlatego, kiedy przeciągły gwizd zabrzmiał nad tundrą, pobiegł szybko, by sprawdzić, co wydaje ten cudowny dźwięk. Zobaczył błyszczącą w świetle poranka smugę wijącą się przez równinę w jego stronę. Zastanowił się, czy to zjawisko ma coś wspólnego z dziwnymi sztabami metalu, kilka tygodni temu położonymi w tundrze przez brygady robotników. Przynosił im wiadomości i sprzedawał ser swojej matki, ale nie mógł zrozumieć, co właściwie robią. Kozy jednak bez przeszkód przekraczały metalowe pasma, więc przestał się zastanawiać. O ile zapamiętał słowa tamtych ludzi, chodziło o jakąś cudowną machinę, która w chmurze pary mogła przejechać dookoła świata. I teraz chciałby wiedzieć więcej o tej pędzącej przez tundrę śpiewającej bestii, od czasu do czasu plującej ogniem.

Zostawiając kozy, zbiegł po zboczu do miejsc, gdzie powietrze było cieplejsze. W końcu wyśledził źródło hałasu w jakiejś wielkiej szopie. Akurat do niej dotarł, kiedy bestia, niosąca we wnętrzu ludzi, wyrwała się z niej przez wrota i pognała po metalowych torach. Spoglądał za nią, póki nie zniknęła. Później ludzie z miasta wyjaśnili mu, że było to coś, co nazywają lokomotywą. Tęsknota w sercu zrodziła się na nowo i stopniowo zaczęła narastać. Tak, rzeczywiście istniały rzeczy ciekawsze od kóz.

\* \* \*

Przez długie popołudnie i wieczór Moist pilnie uważał na wszelkie nieprzewidziane przypadki, gdy Simnel i jego ludzie spali jak zabici, nieobecni dla świata. On z kolei przespał mocno całą noc, a rankiem drzemał jeszcze, kołysany ruchem pociągu, który pędził od Slake doliną rzeki Smarl. Śnił o moście nad wąwozem na przełęczy Wilinus, która nigdy nie była przyjemnym terenem spacerowym i teraz zbliżała się nieuchronnie jak wezwanie podatkowe.

Wszystko mogło się zdarzyć, zanim wjadą w to zatrzęsienie osuwających się skał, spadających skał, a także skał pełnych bandytów wszelkich specjalności. By znaleźć jakieś odpowiednie do okoliczności porównanie: było to jak bieganie przez praszczęta, czy też ścieżkę zdrowia, jak to ironicznie nazywano, ale bez butów i po kamieniach — a na tej wysokości nawet kamienie miały swoje narowy.

Pociąg gnał przez rozległy pejzaż. Wiele pustej przestrzeni, zgadza się, ale niewiele miast i miasteczek, najwyżej z rzadka jakaś osada. Żelazna Belka pochłaniała tę przestrzeń niczym tygrys, atakowała horyzont, jakby stanowił dla niej obrazę. Zatrzymywała się tylko wtedy, gdy było wiadomo, że dostępne są węgiel i woda. Tego nigdy nie miała za dużo.

Mniej więcej w połowie dnia łańcuchy górskie Überwaldu zbliżyły się wyraźnie, było chłodniej, a tempo Żelaznej Belki spadło nieco, kiedy wspinała się na podnóża gór w stronę szczytów.

Czasem samotni pasterze kóz stawali przy torach. A wśród gapiów patrzących na cudowną machinę coraz liczniej pojawiały się dirndle. W każdym mijanym miasteczku ludzie czekali z chorągiewkami i przede wszystkim orkiestrami, które rzęziły i dudniły, a tłumy wiwatowały. I kiedy przejeżdżali powoli i ostrożnie, musieli uważać na małych chłopców, którzy biegli obok torów, ścigając swe marzenia. Był to widok naprawdę godny jodłowania.

Moist zauważył, że Simnel wyraźnie się czymś niepokoi, skorzystał więc z jednej z rzadkich u niego chwil poza kabiną, by porozmawiać na osobności.

— Dick, Żelazna Belka to najlepsza lokomotywa, jaką zbudowałeś, prawda?

Simnel wytarł ręce w szmatę, która widziała już zbyt wiele usmarowanych rąk.

— To na pewno, panie Lipwig, wszyscy to wiemy, ale nie o Żelazną Belkę się martwię. Chodzi mi o ten most nad wąwozem. Zrobilim wszystko, co można, ale trzeba nam czasu. Ten most w żaden sposób nie utrzyma ciężaru pociągu i w ogóle...

— No tak... Masz tę loggystikę, znasz się na obciążeniach, naprężeniach i całym tym biznesie z suwakiem, i on ci mówi jedno. A ja ci teraz mówię, że jeśli ten most nadal nie będzie bezpieczny, kiedy do niego dojedziemy, proponuję, żeby Żelazna Belka przefrunęła nad wąwozem z tobą i ze mną w kabinie. Możesz to nazwać sztuczką, możesz nawet oszustwem, ale przelecimy.

Mechanik wyglądał jak człowiek, który ma odgadnąć, pod którym naparstkiem kryje się groszek, i jest głęboko przekonany, że to nigdy, nigdy nie będzie ten, który wybierze.

— Panie Lipwig, czy mówi pan teraz o magii? Jestem mechanikiem, wie pan. Nie uznaję magii.

Głos Moista zabrzmiał gładko i słodko jak melasa.

— Szczerze ci powiem, Simnel, że nie masz racji. Przecież wierzysz w światło słońca, choć nie wiesz, jak słońce to robi. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, czy też dostatecznie blisko niego, to czy kiedyś się zastanawiałeś, na czym stoi Żółw?

Dick nie miał się gdzie cofnąć.

— To co innego. Z nim jest po prostu tak, jak być powinno.

— Wybacz, przyjacielu, ale nie wiesz tego. Mimo to wieczorem kładziesz się do łóżka całkiem szczęśliwy w przekonaniu, że świat wciąż będzie istniał, kiedy się rankiem zbudzisz.

Raz jeszcze Dick spróbował zrozumieć, o co rozmówcy chodzi, ale wciąż z miną człowieka absolutnie pewnego, że którykolwiek by naparstek wybrał, nie będzie to ten właściwy. To był pewnik w wielkim schemacie rzeczy.

— Mówi pan o magach, panie Lipwig?

— No... o magii. Wszystko jest magią, jeśli nie wiemy, jak działa. Twój suwak logarytmiczny jest dla większości ludzi jak czarodziejska różdżka. Ja też znam pewne odmiany magii. I teraz pytam: Czy kiedykolwiek cię zawiodłem w czasie naszej pracy dla Harry’ego Króla?

— Ależ skąd, panie Lipwig. — Simnel był niemal urażony. — Moja babcia powiedziałaby, że jest pan tak pełen energii, że aż musuje.

Moist rzeczywiście musował.

— No więc widzisz, Dick. Ja ci wierzę, kiedy twierdzisz, że liczby na suwaku mówią ci różne mądrości. W zamian proszę o nieco zaufania. Nie, proszę cię, nie używaj do tego suwaka. To nie jest odpowiednie narzędzie. Wiem o czymś... Nie tak całkiem magicznym, ale bardzo wytrzymałym. Przy tym, co mam na myśli, kiedy dotrzemy do mostu, sam uznasz, że lecimy w powietrzu.

Simnel wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz.

— Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć?

— Mógłbym — przyznał Moist. — Ale lord Vetinari by mnie powiesił.

— Eee... Nie możemy się na to zgodzić, panie Lipwig! — zawołał Simnel.

Moist objął go ramieniem.

— Dick, potrafisz czynić cuda — rzekł. — Ale ja zamierzam dać światu taki spektakl, jakiego bardzo długo nie zapomni.

— Nie rozumiem tego, panie Lipwig. Jestem tylko mechanikiem.

— Nie „tylko” mechanikiem, Dick. Aż mechanikiem, najlepszym na świecie.

I chociaż Simnel docenił tę opinię, zapytał jednak:

— Ale jak? Po prostu nie starczy czasu, brakuje też ludzi. Harry Król wysłał tu wszystkich swoich robotników z miasta i Równin Sto, więc naprawdę nie wiem, skąd pan chce ściągnąć posiłki.

— Muszę być jak Żelazna Belka. Po prostu gwizdnę.

Simnel zaśmiał się nerwowo.

— Ostry z pana gość, panie Lipwig.

— I dobrze — stwierdził Moist z przekonaniem, którego tak naprawdę nie odczuwał. — Powinniśmy być gotowi o zmierzchu.

Właśnie wtedy Żelazna Belka wypuściła trochę pary i Moist zastanowił się, czy to dobra wróżba, czy zła. Jakaś wróżba na pewno, uznał, i to musiało wystarczyć.

\* \* \*

Po południu, aby rozproszyć dręczące go obawy, postanowił zmierzyć się z czymś, co nie dawało mu spokoju, odkąd wyjechali ze Sto Lat. W tym celu musiał porozmawiać z Aeronem.

Królewski sekretarz był szczupłym krasnoludem, niemal zwinnym i szybkim, a stanowczo wszędobylskim. Długa broda powiewała za nim jak proporzec, kiedy biegał w sprawach króla. Nosił miecz, który nie był tradycyjną bronią krasnoludów, i dobrze się sprawił podczas ataku na pociąg w Papach Scylli.

Starannie dobierając właściwy moment, Moist osaczył Aerona w miejscu, gdzie mogli porozmawiać w spokoju.

— Panie sekretarzu — zaczął. — Muszę zapytać, czy wszystko z dolnym królem jest takie, jak się wydaje.

Aeron zmrużył oczy, sięgnął do rękojeści miecza.

— Oczywiście. To śmieszne pytanie. W dodatku prowokacyjne!

Moist uspokajająco uniósł dłoń.

— Przecież pan wie, że jestem po waszej stronie. Pytam z powodu czegoś, co zobaczyłem w domu pani Simnel.

Aeron był trochę zaskoczony.

— Uważam, że strona, po której pan stoi, jest pańska. A cokolwiek wydaje się panu, że widział, to na pewno nie pańska sprawa.

— Ależ moja, przyjacielu — zapewnił Moist. — Za moje grzechy bogowie dali mi nos, żebym wyczuwał, kiedy metaforyczne nieczystości mają trafić w metaforyczny wiatrak. I wolę być przygotowany.

Aeron znieruchomiał.

— Pańska przenikliwość przynosi panu zaszczyt — oświadczył, nie patrząc na Moista. — Pańskie milczenie tym większy.

— Niech pan da spokój. Coś się tutaj dzieje i nie wiem co. Proszę mnie nie zmuszać, żebym wyciągał własne wnioski. Mam bardzo mocny hak do wyciągania.

Lecz Aeron wyraźnie nie miał nic więcej do powiedzenia. Na końcu wagonu pojawili się dwaj mechanicy, co dało mu pretekst, by bez zwłoki przerwać rozmowę. Odszedł korytarzem. Pozostawił Moista, w którym każdy nerw aż wibrował podejrzliwością.

\* \* \*

Mniej więcej godzinę później stukanie do drzwi wagonu hamulcowego zapowiedziało przybycie królewskiego sekretarza. Tym razem uśmiechał się dziwnie.

— Król postanowił udzielić panu audiencji, panie Lipwig — oznajmił. — A to, jak pan pewnie zdaje sobie sprawę, oznacza: natychmiast.

Kiedy wszedł Moist, król siedział nad papierami przy małym stoliku. Wskazał gościowi krzesło.

— Panie Lipwig — rzekł. — Jak rozumiem, w następstwie naszej wizyty u matki pana Simnela znalazł się pan pod wrażeniem, że być może... coś ukrywam. Mam rację, chłopcze? — Król przyglądał się Moistowi surowo, jakby go wyzywał, by zdradził, co myśli.

— No rzeczywiście, ma ona sporo... kobiecej intuicji...

Moist zawiesił głos i obserwował pilnie.

Król westchnął i zerknął na Aerona, który stał na straży przy drzwiach. Skinął głową i wrócił do Moista.

— Panie Lipwig, z pewnością zdaje pan sobie sprawę z faktu, że płeć krasnoludów jest często pilnie strzeżoną tajemnicą. Był czas, kiedy nawet pytanie o płeć było czymś niedopuszczalnym. Jestem dolnym królem krasnoludów, ale jeśli posunę się do tego, co nazwałbym linią końcową, jestem też kobietą.

No i tyle. To było to, co drażniło go od chwili, kiedy pani Simnel w Sto Lat spróbowała wygodnie usadowić króla — nie, królową — na fotelu.

Moist odchrząknął.

— Cóż, nikt nie jest doskonały, wasza królewska mość. I prawdę mówiąc, wydaje mi się, że wiedziałem o tym od pewnego czasu. Dobrze potrafię łączyć pogłoski, podejrzenia i instynkt, by uzyskać poprawny rezultat. To dlatego, że jestem draniem. Sądzę, że lord Vetinari ostrzegł waszą wysokość przede mną. Można chyba powiedzieć, że jestem draniem Vetinariego.

— Tak jakby go potrzebował...

— Dranie trochę inaczej patrzą na ludzi, żeby dobrze ocenić ich możliwości. Patrzą, jak ludzie chodzą, jak mówią, jak siedzą... Zwracają uwagę na drobne szczegóły niedopowiedziane i w niewłaściwych miejscach...

Królowa milczała przez chwilę.

— Prawdziwym draniem? — spytała.

— Tak, pani. Powiedziałbym, że jednym z najlepszych, może nawet najlepszym. Chociaż ostatnio należy chyba uznać, że zostałem udomowiony i chodzę przy nodze, co oznacza, że jestem również draniem godnym zaufania.

— Przy nodze Vetinariego? Biedny chłopiec.

Królowa wyglądała teraz, jakby nagle spłynął z niej niepokój.

— Musi pan wiedzieć, panie Lipwig, że bardzo niewiele osób poznało tę tajemnicę i wszystkim mogę ufać. Taką osobą jest lady Margolotta. Następna to oczywiście Vetinari. Zawsze mi się wydawało, że postawa krasnoludów wobec płci nas zatruwa. Krasnoludy, jak się powszechnie uważa, muszą być odbierane jako męskie... A co o nas mówi fakt, że nie jesteśmy zdolni spojrzeć w twarz własnym matkom? Żyjemy w głupim kłamstwie i prowadzimy głupią grę, a ja nie chcę, by ten stan rzeczy się utrzymywał. Jestem w istocie dolną królową, panie Lipwig. Ale tym razem naprawdę będę wdzięczna za milczenie.

Miała całkiem niewinną minę — jak góra, która rok po roku nie robi nic groźnego, najwyżej trochę dymi, aż pewnego dnia sprawia, że cała cywilizacja staje się instalacją artystyczną.

— Pani Simnel to miła kobieta — mówiła dalej królowa. — Chociaż może nie tak dyskretna, jak się jej wydaje. Oczywiście wiem, że na panu mogę polegać. Potraktuje pan tę tajemnicę jak własną. Jestem przekonana, że w przeciwnym wypadku lord Vetinari bardzo by się zirytował.

Moist wypolerował do połysku swój najlepszy uśmiech.

— Jak już wspomniałem, pani, jestem urodzonym draniem. Dlatego nauczyłem się być bardzo, ale to bardzo dyskretny, żeby nie nadstawiać karku ludziom mającym inne niż ja poglądy na drani. Co do pani Simnel, to przecież wiedziała wszystko o tajemnicy machiny parowej, a jednak nikomu tego nie zdradziła.

Królowa pogładziła brodę.

— Dla dumnej matki musiała to być ciężka próba... No dobrze, panie draniu. Zaufam wam obojgu. A teraz widzę, że Aeron robi się niespokojny, więc lepiej wrócę do pracy.

Posłała sekretarzowi spojrzenie — Moist mógłby przysiąc, że żartobliwe.

Jego drugą naturą było obserwowanie i bardzo uważne słuchanie zwłaszcza tego, czego nie powiedziano. I teraz wiedział, że poznał kolejną tajemnicę, nieujawniony jeszcze sekret: królowa i jej sekretarz bez wątpienia byli kochankami. Może trzeba być żonatym, by coś takiego zauważyć, ale ich mowa ciała mówiła to wyraźnie.

Znaczące chrząknięcie Aerona wyrwało go z zamyślenia. Sekretarz trzymał dla niego otwarte drzwi: wyraźny sygnał, że audiencja skończona. I kiedy Moist go mijał, Aeron rzucił cicho:

— Dziękuję, panie Lipwig... W imieniu nas obojga.

Zanim Moist ruszył do wagonu hamulcowego, zatrzymał się na chwilę, by te rewelacje jakoś ułożyły mu się w myślach. Król będący królową przyćmiewał wszystko. Pewnie, wszyscy wiedzieli, że krasnoludzkie kobiety wyglądają całkiem podobnie do mężczyzn, mają brody i w ogóle, nawet Cudo Tyłeczek — ankhmorporski krasnolud w czystej postaci, w dodatku zatwardziała feministka, chociaż konsekwentnie uważała, że poza brodami krasnoludzkie kobiety wcale nie są takie jak mężczyźni. A że ostatnio awansowała w straży, jej upór w sprawie spódniczek z kolczugi i subtelnie zmienionych napierśników specjalnie nie raził. Ale królowa...? Co się stanie, jeśli królowa to ogłosi? To przecież alea iacta est, nie ma co. I nie będzie już odwrotu.

Aeron zniknął w opancerzonym wagonie królowej, a Moist stał nieruchomo, wsłuchując się w turkot pociągu. Przyszłość, myślał, będzie... będzie niezwykle interesująca.

\* \* \*

Wieczna mgła wypełniała zawrotną głębię wąwozu. Ciemne wirujące cienie powstawały tam w gasnącym świetle dnia, kiedy zbliżali się do ostatniego mostu przed przełęczą Wilinus. Sama mgła wydawała się żywa; poruszała się i zwijała, budząc u patrzących uczucie, że zawiśli nad krawędzią świata.

Drugi koniec mostu był ledwie widoczny, kiedy Simnel stanął nad wąwozem pogrążony w poważnej dyskusji z głównym mechanikiem odpowiedzialnym za roboty mostowe. Plama ciemności we mgle niedaleko Moista okazała się uśmiechniętym komendantem Vimesem.

— Rozchwiany most, ciężki pociąg, przerażający upadek ku pewnej śmierci w dole, pilny termin i żadnego planu awaryjnego? Chyba jest pan w swoim żywiole, panie Lipwig. Specjaliści twierdzą podobno, że to niemożliwe. Naprawdę zamierza pan na jeden rzut kostką postawić dolnego króla i przyszły spokój w tym regionie?

— Nie przejechałbym po tym nawet za emeryturę — oświadczył za ich plecami mechanik.

Kiedy do grupy dołączyli Rhys i Aeron, zgrzytania i stęknięcia prastarej konstrukcji mostu zabrzmiały głośniej; zdawało się, że jakiś demon wyzywa ich, by postawili na szalę swój los. Bardziej przyziemni z mechaników mówiliby pewnie o naturalnych naprężeniach i przesunięciach wywołanych wieczornym spadkiem temperatury, ale trudno było zignorować złowieszczą atmosferę tego miejsca — wydawało się wręcz... upiorne.

Żelazna Belka prychnęła parą, sapiąc jak pies gotów do biegu, gdy tylko spuszczą go ze smyczy. Moist odetchnął głęboko, wsunął palce do kieszeni kurtki i uśmiechnął się z pewnością, która rozkwitła w nim ledwie sekundę wcześniej, gdy usłyszał subtelny odgłos, na który czekał.

— Drodzy przyjaciele! Mało komu znana jest zadziwiająca zwartość i wytrzymałość tutejszych mgieł. Pozwólcie, że zademonstruję.

Zstąpił poza krawędź urwiska obok torów i stał tam z mgłą wirującą mu wokół kostek. Usłyszał zduszone okrzyki za plecami, odwrócił się i rzucił współpodróżnym szeroki uśmiech; potem dyskretnie odetchnął z ulgą i przeszedł na to, co można by określić jako twardy grunt.

— Widzicie? Chcielibyście, żebym przebiegł na drugą stronę i z powrotem, póki trwa ten mistyczny fenomen, a wierzę, że jeszcze trochę potrwa? Czy może przejedziemy wszyscy, skoro czas jest sprzyjający?

— Pozwoli pan, że sam sprawdzę? — odezwał się Vimes.

Z dyskretnym błyskiem w oczach Moist powiedział:

— Ależ naturalnie, komendancie.

Vimes zanurzył się w skręcone kłęby mgły, zapalając przy tym cygaro.

— Całkiem jakbym stał na chodniku — stwierdził. — Zadziwiające. Sugeruję, żeby dodał pan pary, panie Simnel! Mam pewne wątpliwości, jak długo ten, jak pan go nazwał, mistyczny fenomen się utrzyma. Dlatego uważam, panowie, że naszą dewizą powinna teraz być chyżość.

Simnel oparł się naturalnemu instynktowi naukowca, by dokładniej zbadać niezwykłe zjawisko. Obejrzał się nerwowo.

— Ano tak. Wszyscy wsiadać! — zawołał. A po chwili dodał: — Szybko... proszę.

Moist podszedł do niego.

— Czy teraz wierzysz, Dick? — zapytał.

— Tak, panie Lipwig.

— Ale czy naprawdę wierzysz?

— Pewnie, panie Lipwig. Wierzę w suwak logarytmiczny, w cosinusa i tangensa, a nawet kiedy równania kwadratowe próbują mnie wykiwać, też wierzę. Żelazna Belka to moja maszyna, sam ją zbudowałem, każdy nit starannie wykułem własną ręką. I tak sobie myślę, że gdybym mógł tory przykręcić do nieba, Żelazna Belka zawiozłaby nas na księżyc.

Moist gwizdnął i usłyszał sygnał z dołu.

— Naprzód poproszę, panie Simnel! — zawołał.

Natychmiast rozległo się znajome sapanie pociągu, który nie może się doczekać, by ruszyć pełną parą. Moist uwielbiał ten moment, kiedy powoli spiętrzała się energia, aż zahuczał grom, przejmując panowanie nad światem, a oni ruszyli przez złowrogą mgłę na most.

Z kabiny mało co było widać, ale Moist dostrzegł, jak blednie twarz Dicka Simnela, gdy narastają wibracje i kołysania. Mimo spektakularnej demonstracji Dick i jego ludzie byli wystraszeni, i nawet sam Moist zaczął wątpić, czy most wytrzyma obciążenie. Ale wibracje ustały nagle i wszystkich ogarnęło niezwykłe uczucie lekkości, bo Żelazna Belka oderwała się od torów i pofrunęła.

Mgła pod nimi zwijała się w jeszcze dziwniejsze formy, w rozkręcone przejazdem wagonów spiralne wiry, aż po kilku pełnych napięcia minutach koła zadźwięczały o tory i Żelazna Belka zgodziła się zamienić lot na rozsądny dukt permanentny. Dick szarpnął linkę i gwizdnął przeciągle, a lokomotywa potoczyła się dalej, jak gdyby nie stało się nic nienaturalnego, mistycznego czy wręcz upiornego.

\* \* \*

Dopiero kiedy Moist miał chwilę dla siebie, po wszystkich gratulacjach i poklepywaniach, dotarł do niego ogrom dokonanego czynu: cały pociąg pod parą, pełen pasażerów! I król lecący w powietrzu!

Znów oblał się potem, gdy następna myśl przypomniała: Tak wiele mogło się nie udać... Rzeczywiście mogło i zaczął się obawiać, czy historia nie odbije się, cofnie i postara, by istotnie się nie udało. Cały był zlany zimnym potem, ale przecież nie byłby Moistem, gdyby w takich sytuacjach nie potrafił się opanować. Byle tylko Vetinari nigdy się o tym nie dowiedział...

\* \* \*

Myśl o Vetinarim prześladowała go jeszcze wieczorem, kiedy w końcu ułożył się do snu w wagonie hamulcowym. I kiedy ruch pociągu ukołysał go do zasłużonej drzemki, przed oczyma jego duszy pojawił się Patrycjusz. Moist otrząsnął się na wspomnienie ich niedawnego spotkania. Vetinari siedział przy biurku i czytał raporty na temat czegoś, co podejrzanie przypominało sekarowe depesze innych ludzi[[[75]](#footnote-75)](#75_1). Zmarszczył brwi na widok Moista.

— Jak tam, panie Lipwig? — zapytał. — Czy przypadkiem pociąg do Überwaldu jest już gotów do wyjazdu?

Moist przybrał wyraz twarzy, który nie zmyliłby nawet dziecka, ale który naturalnie był elementem gry.

— Jeszcze niezupełnie, panie, ale perspektywy z godziny na godzinę prezentują się lepiej.

— Rozwlekły opis. Bardzo rozwlekły. Przejdźmy do konkretów, jeśli w ogóle takie istnieją, zgoda? Bo państwowe sprawy czekają na załatwienie.

— Otóż, panie, z pewnością sobie przypominasz, że mamy w granicach miasta zakopaną pewną liczbę pradawnych golemów. Przysiągłeś, że będą wykorzystane jedynie w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa miasta. W tej chwili myślę, że przydałoby mi się kilkadziesiąt, sir, oczywiście jeśli wyrazisz zgodę.

— Panie Lipwig, nadużywa pan mojej cierpliwości. Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że i pan, i pańska żona dysponujecie narzędziami, które pozwolą wam wkroczyć do tajemnego skarbca i przekazać golemom instrukcje. Mimo to stanowczo zakazuję takich działań. Zakładam, że pańska prośba ma jakiś związek z drogą żelazną?

— Tak, panie. Drobny problem na torze do sukcesu, można powiedzieć.

— Chciałbym, żeby to było całkiem jasne, panie Lipwig. Jeśli odkryję jakiekolwiek dowody na to, że wyprowadził pan miejskie golemy z miejsca ich ukrycia, a co więcej, że zabrał je pan poza granice miasta, będzie pan rzucony kotkom. Zrozumiał pan?

Oblicze Vetinariego było obojętne i nieprzeniknione, nieruchome jak morze smoły. Moist skłonił się pokornie.

— Zapewniam, panie, że takie dowody nie będą znalezione.

Słowa „Jeśli odkryję” unosiły się w powietrzu niczym dyskretne zaproszenie.

\* \* \*

Znów nieprzyjemnie przytomny, wciąż mając w uszach echo głosu Vetinariego, Moist wyjął z kieszeni bibułkę sekarowego przekazu od Adory Belle, w którym informowała go o postępach golemów. Porwał depeszę na drobne kawałki i wyrzucił przez najbliższe okno. Patrzył, jak znikają, rozwiewane podmuchem cudownego pociągu.

Za jego plecami ktoś chrząknął znacząco i z mroku wagonu hamulcowego wynurzył się uśmiechnięty lekko Vimes.

— Wiarygodna negacja, tak, panie Lipwig? Ale i tak brawo. A tak między nami... te golemy, które nigdy nie będą użyte... Jak pan myśli, co teraz robią?

Moist otwierał już usta, by wyprzeć się wszelkiej wiedzy o jakichkolwiek golemach, ale zrezygnował. Coś we wzroku Vimesa prowokowało go, by tylko spróbować...

— Sądzę, że kopią drogę z powrotem do domu — odparł. — Pewnie idzie im łatwiej, skoro wcześniej przebiły tunel aż tutaj.

Daleko za pociągiem rozchwiany most spadał w głębinę kawałek po kawałku, jakby w dziwacznym mechanicznym balecie. Sporo czasu minie, zanim znowu da się go używać, pomyślał Moist. Ale przewieźliśmy Rhysa aż tutaj i teraz możemy rzucić wszystkie siły, żeby ten przeklęty most zbudować, jak należy.

\* \* \*

Kilka godzin później, gdy golemy akurat drążyły tunel pod jego tawerną, Grosszügig Stein, Herr Muckenfuss zauważył, że podłoga tańczy, a wszystkie kieliszki i kufle dygoczą. Choć był otyły, z wielką determinacją chwytał spadające naczynia aż do chwili, kiedy powietrze osiadło jakby i w tawernie zapanowała niesamowita cisza.

Spojrzał na Herr Bummela, swego jedynego klienta, który wpatrywał się w pianę nalanego z nowej beczki Starego Bliku, którą właśnie testowali.

A potem szepnął zachwycony:

— Chyba napiję się tego samego jeszcze raz...

\* \* \*

Bzyk zbliżył się i horyzont przesłoniły góry — potężne sylwetki na tle nocnego nieba, strome zbocza, na które padał niekiedy blask księżyca. Komendant Vimes zwołał naradę wojenną w wagonie hamulcowym. Po doświadczeniach ataku w Papach Scylli i po zniszczeniu Lotnika starannie teraz planowali obronę pociągu i króla.

— Rozejrzyjcie się wszyscy; zobaczycie wąwozy i drzewa. Gdybym był gragiem, pewnie uznałbym następny odcinek trasy za ostatnią okazję wykolejenia Żelaznej Belki.

Vimes z poważną miną przedstawił swoje propozycje, a Rhys z aprobatą kiwał głową; z rzadka tylko dodawał jakieś poprawki.

— Musimy także przygotować się na ataki z góry — mówił komendant. — Przekonaliśmy się, że dzięki temu nowemu stopowi Dicka Żelazna Belka jest dobrze chroniona, ale może dojść do walki na dachach wagonów. Widzę, że się pan uśmiecha, panie Lipwig. A zatem, mądralo, jeśli do tego dojdzie, zapraszam do nas. Podejmie pan grę? Na górze będzie pewnie bardzo niebezpiecznie.

Wewnętrzny Moist poklepał sam siebie po ramieniu, wspominając swoją nielegalną przygodę na dachach Lotnika. Mógł tańczyć na pociągu, skakać i wirować, ponieważ poznał już styl i rytm każdej jego części.

— Marzyłem o czymś takim, komendancie, odkąd zobaczyłem pierwszą lokomotywę — oświadczył.

— Tak — mruknął Vimes. — Tego się właśnie obawiam. Dlatego muszę uprzedzić, że działamy jako zespół albo kończymy jako indywidualne zwłoki. — Wskazał drzewa wyrastające wysoko po obu stronach głębokiej przecinki, którą biegły tory. — Mamy tu wściekle mało miejsca. Drzewa to tylko sztywne zielsko, pamiętajcie o tym.

— Na pewno damy sobie radę — uspokoił go Moist. — A może wyprowadzić też na dach Detrytusa?

— Nie. Jest dobry na ziemi, lecz brakuje mu zwinności. Zresztą gdyby stanął na dachu, szybko by go zmienił w podłogę. Wszyscy już wiecie, co robić. Pamiętajcie, jesteśmy w tym pociągu, żeby dostarczyć króla do domu. Pilnujcie go! Nie przejmujcie się nami na dachu.

Kiedy Moist znów mógł na osobności zamienić kilka słów z Vimesem, spytał:

— Znam rytmy pociągu, ale nie jestem wojownikiem, komendancie. Czemu mnie pan wybrał?

— Ponieważ, panie Lipwig, chętnie by pan zapłacił królewski okup, by tylko móc powiedzieć, że walczył na dachu pociągu. Znam pana; w walce wręcz jest pan prawdziwym sukinsynem, gorszym niż Nobby, choć on często gryzie w kolana. Widziałem trupy gragów po incydencie pod obozem w Quirmie. Umie pan walczyć, choćby tylko ze strachu. Ale mają rację ci, co mówią, że często tchórz walczy najlepiej ze wszystkich.

\* \* \*

Kiedy niebo pojaśniało bladością przedświtu, nastrój w pociągu się zmienił. Cała załoga wiedziała, że z pełną szybkością wjeżdżają na nieprzyjazne terytorium. Na każdej grani w górach Überwaldu migotały kołyszące się światełka Igorów, wyraźnie widoczne w mrokach wąwozów, a zielone błyskawice niczym widma przelatywały od gargulca do gargulca.

Moist zwykle starał się unikać tych okolic. Owszem, w Ankh-Morpork też spotykało się czasem jakiegoś wilkołaka czy zombi, ale w Überwaldzie były czymś zwyczajnym. To ich teren i ich reguły — obejmujące też czarnowstążkowców, dziwacznych typów, którzy ślubowali opierać się pokusie picia ludzkiej krwi... Ale i tak byli dziwaczni. Może nawet bardziej, bo pili wyłącznie kakao i przy każdej możliwej okazji organizowali marsze z transparentami i bębnami. Oczywiście lepsze to, niż dać się wyprowadzić na rozstaje i przebić kołkiem... znowu. Wszędzie znać było rękę lady Margolotty, a Moist wiedział, że gdzie działa jej ręka, tam sięga też ręka lorda Vetinariego.

Ale teraz w powietrzu unosiła się groźba. Co prawda groźba specjalnie Moistowi nie przeszkadzała, to raczej myśl o umieraniu zdominowała jego wyobraźnię... lecz jego mały wewnętrzny demon pokrzykiwał: „Hahaha! Pamiętaj, że życie bez ryzyka nie jest warte przeżywania!”. Mężnie stawał do walki, by dowieść tej tezy, choć prawdę mówiąc, wolałby teraz stać na plaży w Quirmie, może jedząc te ich naprawdę świetne lody w wafelku, który tak miło chrupie w zębach, a do tego jeszcze polewa truskawkowa i posypka...

Tymczasem stał pośrodku wagonu hamulcowego i starał się, by ciało wczuło się w ruch pociągu. Kołysał się wraz z wagonem, próbując utrzymać się w pionie. Bo przecież jeśli ma dojść do starcia, lepiej, by nogi wiedziały, co je czeka. Vimes zdziwił się trochę jego zachowaniem, a kiedy Moist spróbował mu wytłumaczyć, komendant parsknął pogardliwie.

— Osobiście, panie Lipwig, staram się możliwie szybko unieszkodliwić tych, którzy chcą to zrobić ze mną. To całkiem prosta metoda. Nie jest przesadnie wyrafinowana, ale pomaga mi zachować życie... to plus świadomość, że praktycznie każdy ma krocze, a każda stopa ma but.

Niemal z ulgą przyjęli odgłos odbijających się od metalu kamieni — jakby to był gong na rozpoczęcie spektaklu.

Pociąg sunął przecinką, z której dawniej korzystały wozy; Żelazna Belka niemal dotykała skalnych ścian, między którymi poruszała się o połowę wolniej niż normalnie. Wagon hamulcowy znalazł się w stanie oblężenia; dopiero później Moist się dowiedział, że gragowie zeskakiwali do pociągu z obu stron przecinki.

Kilku pechowców wylądowało na platformie Bluejohna. I chociaż największy funkcjonariusz straży miał serce małego kotka, dwóch gragów odłupujących z niego kawałki wyraźnie sprawiło, że stał się bardziej zgryźliwy. W rezultacie kotek walczył teraz jak lew. Rzucał trollowe przekleństwa, które naprawdę jarzyły się w powietrzu czerwienią, nim ucichły.

Starając się panować nad nerwami, Moist chwycił łom i otworzył klapę na dach wagonu, ku krótkotrwałemu zdumieniu graga usiłującego wedrzeć się do wnętrza. Poczucie tryumfu, jakie mogło krasnoluda ogarnąć, nie trwało długo, gdyż zabójczy żelazny pręt z satysfakcjonującym głuchym stuknięciem trafił go w szczękę.

Moist nie zdziwił się, słysząc, że komendant Vimes wspina się za nim. Po chwili, otoczony przez zaskoczonych gragów, Vimes zdarł koszulę. Moist zauważył, jak do niektórych z atakujących krasnoludów dociera nagle, że ich przyszłość znalazła się w rękach legendarnego dyżurnego klasowego, który ściera słowa z tablicy. Odsłonięta blizna na przegubie komendanta zdawała się pulsować w półmroku. Gragowie przyglądali się jej przez chwilę, co okazało się pierwszym z ich licznych błędów, Vimes bowiem — jak to mówią w Ankh-Morpork — rzucił się na nich bibliotekarzem.

Szarżując w stronę końca wagonu, komendant odepchnął nieuważnego graga, który wylądował na innym; wyglądali jak para w balecie, kiedy okręcili się wokół siebie i spadli na tory. Tymczasem do akcji włączyły się gobliny, czyniąc życie gragów nieco bardziej interesującym — dzięki odkryciu, że goblin pod pancerzem stanowczo nie pomaga w walce.

Klapa i przylegający panel zostały wyrwane z dachu wagonu, a walczący z wyjątkowo zażartym krasnoludem[[[76]](#footnote-76)](#76_1) Moist zauważył, że Detrytus wysuwa przez otwór swą wielką kuszę.

— Piecmaker! — wykrzyknął troll, co dla wszystkich posiadających odrobinę rozsądku było sygnałem, by natychmiast poszukać dobrej osłony.

Bełty Piecmakera były z twardego drewna, a zatem straszliwie groźne. A jeśli Detrytus był w dobrej formie, wystrzeliwał je z taką prędkością, że w locie stawały w ogniu i drewno rozpadało się w powietrzu na tysiące przerażająco szybkich drzazg.

Kiedy huk ucichł, zabrzmiał krzyk Detrytusa:

— Hej, panie Lipwig! Nasz wagon jedzie w tył! Żwirojady wiedziały, gdzie wyczepić!

Moist obejrzał się i ze zgrozą odkrył, że Żelazna Belka szybko się oddala od porzuconego wagonu. Na platformie w dole Bluejohn trzymał po gragu w każdej ręce. Zabrzmiał wrzask, kiedy stuknął ich głowami o siebie, a potem odrzucił obu w ciemność między torami.

— Jedziemy do tyłu, Bluejohn! — krzyknął Moist. — Pociągnij nas naprzód, co?

Szarpnęło, kiedy Bluejohn praktycznie w miejscu zatrzymał wagon hamulcowy, możliwe, że stopami. Moist zeskoczył na dygoczącą platformę.

— Dobra robota, panie Bluejohn! A teraz proszę uruchomić tę maszynę, co ją dla pana zrobili chłopcy pana Simnela.

— Tak jest, panie Lipwig — opowiedział Bluejohn swym dziwnie dziecinnym głosem. — Tak zrobiem, a potem mogem holować cały wagon też.

Vimes zeskoczył z dachu, gdzie utrudniał życie kilku gragom — choć teraz znaleźli się na samym dnie.

— Co się dzieje, u demona?! — zawołał. — Dlaczego stoimy i gdzie jest reszta pociągu?

— Ci dranie nas wyczepili! — wyjaśnił Moist. — Ale to nie problem. Platforma Bluejohna ma napęd nożny... na sytuacje awaryjne.

Rzeczywiście, kiedy zakręciły się pedały drezyny, wagon hamulcowy przyspieszył i pomknął jak strzała za znikającą Żelazną Belką.

Wielka twarz Bluejohna lśniła, kiedy pedałował jak... no, jak Bluejohn, ponieważ nikt inny nie potrafiłby sprawić, by platforma frunęła nad torami. Koła turkotały, zgrzytały i jęczały, a wielkie stopy trolla błyskawicznie przesuwały się w górę i w dół. Wewnętrzny demon Moista von Lipwiga szepnął do siebie: „Niewielka machina z pedałami, żeby szybko się przemieszczać? Warto o tym pamiętać”.

Gwizd Żelaznej Belki odbijał się echem od ścian wąwozu.

— Bliżej do pociągu, funkcjonariuszu! — krzyknął Vimes.

Trolle w zasadzie się nie pocą. Zamiast tego różowieją trochę.

— Tracem trochę parę, komendancie — stęknął Bluejohn. — Ale zrobię, co można.

Platforma, wciąż ciągnąca za sobą wagon hamulcowy, łącznie z nieprzytomnymi gragami, uderzyła w ostatni wagon. Zanim zdążyła się odbić, Bluejohn wychylił się i chwycił w każdą dłoń po buforze. Vimes jak demon rzucił się naprzód i po szerokim grzbiecie trolla wbiegł do oblężonego wagonu. Moist pędził za nim. Wszędzie było pełno gragów i kopaczy, wciąż usiłujących się przebić do opancerzonego wagonu z przodu.

Wtedy chodziło już tylko o to, by odróżnić przyjaciół od wrogów, a że przyjaciół było o wielu mniej, szukanie wrogów przychodziło łatwo.

— Za mną, chłopcy! I żadnych rozmów z tymi matkosynami! — krzyknął Vimes, wzywając pozostałych jeszcze w wagonie hamulcowym. — Wiecie, z kim walczymy, i wiecie, co robić! Załatwcie ich, zanim oni was załatwią, i nie dopuszczajcie żadnego w pobliże króla! Ja wracam na górę!

Na rozkołysanym dachu opancerzonego wagonu Vimes szybko zaczął eliminować przeciwników, ze ścian wąwozu zjeżdżających na linach prosto na jadący pociąg. Na nieszczęście dla atakujących problem ze zjazdem na linie polega na tym, że bardzo łatwo jest przewidzieć miejsce lądowania, i to jest właśnie to miejsce, gdzie atakujący dostaje potężny cios łomem.

Przyzwyczajeni do kołysania pociągu Moist i Vimes potrafili utrzymać równowagę. Natomiast krasnoludy, mimo niskiego środka ciężkości, zwyczajnie sobie nie radziły na rozkołysanych, podskakujących wagonach, więc dawały się strącać w dół jak kręgle. Moistowi było ich trochę żal. Idioci walczący dla sprawy, w dodatku była to taka idiotyczna sprawa...

Kiedy patrzył, jak Vimes odpiera atak dwóch gragów, z ciemności padł cios, który powalił go na plecy i odebrał oddech. Spojrzał w górę, prosto w twarz szaleństwa, tej jego szczególnej, wykrzywionej idealizmem odmiany. Szaleństwa, które napawa się zwycięstwem — co jednak okazało się złym rozwiązaniem. Bo kiedy grag w końcu zamachnął się toporem, przerażony Moist zdążył przetoczyć się na bok, a ciężkie ostrze rozłupało drewno w miejscu, gdzie przed chwilą miał głowę. Grag uniósł topór ponownie i Moist pomyślał: No tak, to już teraz... życie bez zagrożeń nie jest warte przeżywania... Może następne będzie jeszcze lepsze.

Wtedy zobaczył wlot tunelu. Mrugnął, jak tylko Moist von Lipwig potrafi mrugnąć, i powiedział:

— Żegnam...

Strzeliły iskry i dopiero po chwili uświadomił sobie, co zaszło, czy też raczej pechowo nie zaszło: tunel był zbyt przestronny. Grag nie został skrócony, na co Moist liczył, a topór przejechał po stropie, generując imponującą strugę iskier. Iskry dawały dość światła, więc leżący na plecach Moist kopnął potężnie w górę i trafił, mając jedynie nadzieję, że ten akurat krasnolud nie jest kobietą. Sprzyjało mu szczęście, które tym samym nie sprzyjało gragowi, który upuścił topór, chwycił się za krocze i bez dalszych ceremonii spadł z wagonu na tor.

Kiedy pociąg wynurzył się z tunelu, zahamował ze zgrzytem. Moist wstał niepewnie, zsunął się na platformę i poszedł sprawdzić, co się stało z resztą oddziału. Z ulgą odkrył, że załoga wagonu hamulcowego nie odniosła poważniejszych szkód. Dotyczyło to Ze Zmierzchu Ciemności z grupą goblinów, Freda Colona, Nobby’ego Nobbsa, Cuda Tyłeczek, Detrytusa i Bluejohna, który wciąż ściskał bufory ostatniego wagonu, nie pozwalając pociągowi odjechać. Moist znalazł także kilku oszołomionych mechaników, którzy w chwili ataku usiłowali trochę się zdrzemnąć, ale najwyraźniej zrobili, co mogli. Nie zauważył w bitwie Nobby’ego ani Colona, choć uznał, że nie zdziwi się, słysząc, jak dzielnie się spisali i jak mężnie walczyli, aż szkoda, że wszyscy inni byli zbyt zajęci, by to zobaczyć. Zauważył jednak kilku jęczących na podłodze gragów, więc skłonny był przyznać, że nie mając innego wyjścia, Nobby i Colon potrafią walczyć jak tygrysy, w dodatku wyposażone w paskudną broń ulicy, gdzie można użyć wszystkiego, a gdziekolwiek się tego użyje, zwykle okazuje się to bardzo, ale to bardzo bolesne. Zwłaszcza Colon był mistrzem nieczystej walki. W niektórych jękach i stęknięciach Moist rozpoznawał znajomą ankhmorporską kołysankę.

Nigdy nie uważał się za przywódcę, więc w takich okolicznościach szukał kogoś, kto poradzi sobie lepiej. Tym razem funkcja ta przypadła Fredowi Colonowi, znanemu ze swego wspaniale dźwięcznego głosu, który nadawał jego twarzy lekko brązowofioletowy odcień, kiedy używany był z mocą, jakiej nawet Żelazna Belka mogłaby pozazdrościć.

Gragów, którzy jeszcze żyli, a przynajmniej nie byli zdecydowanie martwi, związano i przeniesiono do wagonu hamulcowego. Moist podejrzewał, że komendant Vimes pogawędzi z nimi wkrótce o tym i owym, o nazwiskach i miejscach, o kto i kiedy, i o ich fatalnych manierach.

Ślicznie.

Z opancerzonego wagonu wychylił się Aeron.

— Król jest bezpieczny! Dziękuję wszystkim! Żelazna Belka trochę ucierpiała, ale gragów, którzy przedarli się do kabiny, palacz Blake zapoznał bliżej z paleniskiem!

Moist drgnął. Wiele razy znalazł się blisko paleniska, kiedy palacz otwierał klapę. Człowieka czekała wtedy natychmiastowa opalenizna albo też natychmiastowa płomienna śmierć, gdyby w krytycznym momencie stanął w niewłaściwym miejscu.

Dalsza podróż, po sprzęgnięciu wagonów, przebiegała w poważnym nastroju. Ocalali napastnicy czekali na rozmowę ze straszliwym dyżurnym klasowym, który podobno mógł sprawić, by krasnolud i jego rodzina nigdy nie istnieli. Mógł zetrzeć ich ze świata jak kredowy pył z tablicy.

\* \* \*

Wkrótce potem Żelazna Belka delikatnie pocałowała bufory na koźle oporowym w Bzyku, a pierwszą osobą, która zeszła na pospiesznie ustawioną platformę peronu, był Rhys Rhysson. Powitał go okazały i niezwykle podniecony mężczyzna, którego zachowanie mówiło wyraźnie: burgmeister. Pocił się obficie — grubi ludzie często pocą się jak lokomotywy. Przyklęknął przed królem, co było godnym podziwu wyczynem, a to z powodu jego kształtu, który w pewnym przybliżeniu można określić jako kulisty.

— Witamy w domu, sire — rzekł zdyszany. — Ludzcy mieszkańcy Bzyku zawsze utrzymywali dobre stosunki z twoimi rodakami i mam szczerą nadzieję, że ten przyjazny układ będzie trwał nadal.

Słowa padały z dużą prędkością i Moist rozpoznał w tej wypowiedzi prawdziwą treść: Proszę, nie rób nam krzywdy, panie, jesteśmy raczej porządnymi ludźmi i zawsze uznawaliśmy twoje prawo do Kajzerki z Kamienia. Niedopowiedziany załącznik brzmiał: Proszę, nie róbcie nam krzywdy, ale przede wszystkim nie utrudniajcie nam handlu. Prosimy. Bardzo prosimy.

Rhys uścisnął wyciągniętą, dość wilgotną dłoń.

— Bardzo mi przykro z powodu trudności wywołanych przez nasze niedawne konflikty, Humphrey.

Gest ten wywołał uśmiech burgmeistera.

— Och, wasza wysokość, nie było tak źle. Trochę zamieszania, kiedy zaczęliście... to znaczy kiedy ci inni zaczęli niszczyć wieże sekarowe i tak dalej. Ale wasza wysokość wie, jak to jest, trochę jak rodzinna awantura u sąsiadów, kiedy człowiek rozumie, że to nie jego sprawa, więc tylko czeka z herbatą, wyrazami współczucia, może też z maścią i bandażami. A kiedy następnym razem spotyka tych sąsiadów, nie przygląda się zbyt uważnie, pilnuje swoich interesów i na drugi dzień znowu są przyjaciółmi. Poza tym jaśnie pani się zaangażowała i kilka razy interweniowała pokazowo... No, w każdym razie odzyskaliśmy sekary. Nasza lady Margolotta jest surowa, ale sprawiedliwa i wręcz niezwykle szybka.

Spocony Humphrey wiedział, że mówi o najbardziej wpływowym wampirze na świecie, wyglądającym przy tym jak starsza pani, której wystarczy stuknąć laską o podłogę, by wszyscy zaczęli słuchać z szacunkiem.

— Oczywiście, wszystkie rodziny miewają lepsze i gorsze chwile — ciągnął. — Różne drobne sprzeczki, które tak łatwo wybuchają i tak szybko się o nich zapomina.

Za plecami burgmeistera wysiadali z pociągu; Żelazna Belka syczała czasem albo prychała, jak często lokomotywy, kiedy chcą dać znać, że jeszcze nie całkiem zamarły. Moist słyszał, jak Vimes odbiera raport kapitan Sally von Humpeding, jedynego wampira w straży, oddelegowanej czasowo do Bzyku.

Po chwili oboje podeszli do króla.

— Sally mówi, że wprawdzie cała komunikacja ze Schmaltzbergiem została odcięta, jednak otrzymywała meldunki o braku zgody wśród spiskowców — oznajmił Vimes. Obejrzał się na Sally, szukając potwierdzenia.

— Tak jest — powiedziała. — Nasze źródła sugerują, że grag znany jako Twardziec...

Przerwało jej wściekłe sapnięcie króla i brzęk toporów jego towarzyszy.

— Znowu on! — warknął Rhys.

— Tak. On i kilku innych, których próbowaliśmy zlokalizować po masakrze w Quirmie. W każdym razie wydaje się, że Twardziec i jego zwolennicy tracą poparcie. Nie wszystko udało im się osiągnąć. Wybuchają niepokoje...

— Dobrze — rzekł Rhys. — Możemy to wykorzystać.

— Co z Albrechtsonem? — spytał Aeron.

— No cóż... — Sally uśmiechnęła się, demonstrując sugestię kłów, jako że było to najodpowiedniejsze miejsce na świecie, by trochę je przewietrzyć. — Cały i zdrowy. I lojalny wobec ciebie, sire.

Sprytny goblini posłaniec przecisnął się sprawnie przez tłum i wręczył wiadomość Sally, która ją szybko przeczytała.

— To przekaz od Albrechtsona. Przeciwnicy już chyba wiedzą, że przybyłeś, sire. Albrechtson chciałby cię zawiadomić, że jest dobrze traktowany i dzięki goblinom mógł śledzić postępy w podróży Żelaznej Belki.

Rhys zwrócił do Simnela i Moista.

— Dziękuję wam i sir Harry’emu za bezpieczną podróż. Żelaznej Belce też, naturalnie. W odpowiednim czasie przekonacie się o mojej wdzięczności. Chętnie też porozmawiam z wami dłużej. Ale teraz przepraszam, mam królestwo do odzyskania.

Przemówił do oddziału krasnoludów stojących w szeregu na peronie i uzbrojonych po zęby.

— Niech wszyscy wiedzą, że dolny król przybył i zajmie swe miejsce na Kajzerce z Kamienia. Każdy, kto chciałby odmówić mu tej drobnej przyjemności, powinien być gotów, by swe logiczne i dobrze umotywowane argumenty poprzeć bronią. To proste. Wiadomość tę dostarczy do Schmaltzbergu Nieśmial Nieśmialsson, powszechnie szanowany i wykształcony krasnolud, którego znają wszyscy, w towarzystwie mojego zaufanego sekretarza Aerona. Dołączy do nich komendant Vimes, dyżurny klasowy i niegdyś ambasador, by dopilnować uczciwości działań obu stron. Przypominam, że utrudnianie misji królewskim posłańcom uważane jest za zdradę stanu. I wiedzcie, że w tej sprawie nie będę łaskawy. Zbuntowane krasnoludy dostaną to, na co zasłużyły.

Ciszę zakłócił Vimes, głośno zapalając cygaro.

— Niech oni idą pierwsi — powiedział. — Dojdę do nich za minutę czy dwie.

Moist oczywiście nie był w Dolinie Koom, ale teraz się zastanawiał, czy za chwilę zobaczy widmo jej drugiej inkarnacji — tyle że teraz będą to krasnoludy przeciw krasnoludom. Chciał krzyknąć „To jakiś obłęd!”, kiedy uświadomił sobie, że powiedział to głośno.

— Ma pan rację, panie Lipwig — odparł król, zaskakując go trochę. — To przekracza granice rozsądku, prawda? Ale prędzej czy później nadchodzi czas, kiedy trzeba notować nazwiska i rozbijać czaszki. Przykro mi, to przeciwny koniec widma niż pogawędka, lecz tak właśnie się dzieje, kiedy kończy się władza rozumu.

— Ale wszyscy jesteście krasnoludami! Co możecie w ten sposób osiągnąć? — jęknął Moist, który przez resztę życia miał pamiętać ton królewskiego głosu.

— Jutro. To właśnie możemy osiągnąć, panie Lipwig: jutro...

\* \* \*

Przybycie posłańców wzbudziło gwar w licznych grotach Schmaltzbergu, który był prawdziwym jądrem galaktyki, jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju wrzawę oraz młyny mielące plotki i pogłoski, obracające się szybciej niż młyny boże. Plotki płynęły niczym rtęć. Fenomen można by porównać do krasnoludzich sekarów, gdyby nie fakt, że sekary nie zmieniały wiadomości dla kaprysu. Moist schodził za Rhysem i głównym oddziałem krasnoludów w labirynt jaskiń. Miriady dźwięków dopływały z dołu przez tunele i korytarze, i mieszały się w rodzaj słyszalnej zawiesiny czy może mgły. Skwierczała w uszach. Przerażały odgłosy chaosu i walki.

Po chwili zaczęły się przebijać pojedyncze dźwięki. Podniesione głosy, krzyki, szczęk broni przerywany niekiedy krzykami i krasnoludzimi przekleństwami, o których wiadomo, że żyją własnym życiem. Kawałek dalej spotkali Aerona; czekał na nich, a krew ściekała mu z ostrza miecza. Zauważył spojrzenie Moista i wzruszył ramionami.

— To był grag. Walczył twardo i nie chciał się poddać, gdyż wolał śmierć od hańby. Więc wyświadczyłem mu przysługę.

Ostatnie zdanie wymówił z takim naciskiem, jakiego Moist już dawno nie słyszał.

Aeron stanął przed Rhysem.

— Wystąpiły pewnie różnice opinii, wasza królewska mość — zameldował.

Wskazał kilku krasnoludów opatrywanych w czymś, co byłoby pewnie zaimprowizowanym szpitalem polowym, gdyby znajdowali się w polu. Miecze, młoty i topory dźwięczały w dole, a król maszerował wciąż naprzód. Wreszcie dotarli do tego, co musiało być główną halą, największą jaskinią ze wszystkich.

Moist zatrzymał się u wejścia, usiłując ogarnąć wzrokiem ten podziemny ogrom oświetlony przez gigantyczne kandelabry pełne cieknących świec i wielkie kadzie wijących się vurmów[[[77]](#footnote-77)](#77_1) w rogach. Światła tu nie brakuje, pomyślał, ale to dziwne światło, które w jakiś sposób pokonuje oczy. Człowiek mógł widzieć, ale tym, co widział, była ciemność.

— To już nie jest wojna — stwierdził Vimes, który nieoczekiwanie znalazł się obok. — Niewiele ofiar oprócz gragów. Tak zwykle wyglądają bitwy krasnoludów z krasnoludami: wściekle dużo wrzasków, oskarżeń i przekleństw. Całkiem jak koty, ale tacy już są. Całkiem niegłupi. Okazują brawurę i pobrzękują szablami, czy toporami raczej, ale tak naprawdę nikt nie chce za bardzo ucierpieć. Walczą z nadzieją na niewielką ranę, która potem dobrze wygląda. Na coś, co można pokazywać wnukom. Ale tak ogólnie konflikty krasnoludów z krasnoludami zwykle szybko wygasają.

Wypuścił kłąb dymu z cygara.

— Oczywiście, gdyby krasnoludy walczyły z trollami, cała ta hala spływałaby krwią. Właściwie przypomina to oberże w Ankh-Morpork w sobotnie noce; wszyscy są gadatliwi, pełni odwagi i piwa, zwłaszcza piwa. A później tylko stękają, dopóki nie zobaczą światła.

Rzeczywiście, Moist widział wokół krasnoludy w niewielkich grupach, niektóre w bandażach, w pozycjach sugerujących, że wojna, nawet jeśli się nie skończyła, została odłożona na bok, żeby odetchnąć chwilę i może coś wypić, a raczej — zgodnie z tradycją — wyżłopać. Młodsze krasnoludy roznosiły wśród rannych i kontuzjowanych dzbany z napitkiem. Wojownicy jeden po drugim wstawali, podawali rękę sąsiadom i przechodzili chwiejnie do sąsiednich grup, gdzie zapewne siadali, gadali i wymyślali opowieści o prawie trafieniach i chytrych unikach, i podobne alkoholowe przechwałki. Do Schmaltzbergu znowu spływała powoli krasnoludzia normalność.

— Trochę już narąbani — stwierdził Vimes. — Ale w głębi serc nie tacy źli, tyle że zbyt chętnie słuchają różnych podżegaczy. — Westchnął. — Może tym razem czegoś się nauczą. Ale prędzej już Nobby Nobbs zostanie wielkim bohaterem.

I to już wszystko? — zastanawiał się Moist. Po całej tej adrenalinie jazdy pociągiem, po zasadzkach, atakach... po moście... nieprzespanych nocach... na każdym zakręcie spodziewając się świstu kosy i odkrycia, że tym razem szczęście przestało mu sprzyjać? A potem Rhys wygłasza piękne przemówienie, zwyczajnie wkracza i przejmuje królestwo z powrotem?

— Sądziłem, że będą się mocniej bronić — powiedział. — Wie pan, jakaś wspaniała bitwa, która przejdzie do legendy...

— To bardzo głupie słowa, panie Lipwig. W takich sytuacjach nie ma nic wspaniałego. Ginęli ludzie... Niekoniecznie dobrzy ludzie i niezbyt wielu, ale i tak... Twarz, jaką prezentuje się w bitwie, powinna być pełna powagi, aż do czasu, kiedy prawdziwy świat wskoczy znowu na swoje miejsce.

Moist poczuł, że ogarnia go zakłopotanie.

— Komendancie, czuję się zawstydzony. Szczerze.

Twarz Vimesa znalazła się tuż przed jego twarzą i komendant wykrzyknął:

— Naprawdę?! Okazuje się, że nie tylko droga żelazna wjechała na nowe tereny!

Tym razem żadna riposta nie przyszła Moistowi do głowy. Odwrócił się i poszedł sprawdzić, co się dzieje z Rhysem i jego grupą.

\* \* \*

Rhys Rhysson wpadł do jaskini biegiem. Skierował się prosto do jej centrum, gdzie spoczywała Kajzerka z Kamienia. Tam się rozejrzał.

— Gdzie Twardziec? — zapytał. — Rozkazuję, by go tutaj przyprowadzić: jego i tylu jego zwolenników, ilu jeszcze zostało. Choć nie wątpię, że większość uciekła. Nie brakuje tu wyjść.

— Mam tego łajdaka tutaj, sire! — wykrzyknął w tłumie Nieśmial Nieśmialsson.

Wszczął się typowy dla krasnoludów gwar, a potem głośne chóralne westchnienie, kiedy Twardziec stanął przed królem. Moist nie potrafił odszyfrować wyrazu jego twarzy. Zawsze jednak dobrze wyczuwał nastrój i widział, że Twardziec dotarł już gdzieś poza granice szaleństwa, podczas gdy Rhys sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego jak zawsze. Moist skłonny byłby się założyć, że dolny król niczego się nie obawia. Dostrzegał w jego zachowaniu coś, co sugerowało absolutną pewność, że tego dnia zwycięstwo należy do niego (czy raczej do niej, gdy już pozwolił, by ta myśl przesączyła się do jego świadomości).

Siedząc na uświęconej Kajzerce, mając przed sobą Twardźca, Rhys przemówił:

— Po podpisaniu traktatu z Doliny Koom potraktowałem cię łagodnie. A jednak nadal uważałeś za słuszne, by próbować odebrać mi królestwo. Zachęcałeś tych, którzy stosowali tortury, by tylko postawić na swoim. Co pomyślą o mnie poddani, jeśli zechcę okazać ci łaskę? Jesteś mądry i wiele krasnoludów bardzo cię ceni, jednak wykorzystałeś tę mądrość, by podważać moją władzę, by skłaniać krasnoludy do działań, przez które wszystkim innym wydaliśmy się okrutnymi i głupimi zbrodniarzami. Co masz do powiedzenia mnie i swoim rodakom?

Twardziec milczał.

— Bardzo dobrze — rzekł król. — Żadnej odpowiedzi. A więc nie zostawiasz mi wyboru. Za dawnych czasów egzekucję kogoś takiego król krasnoludów uznałby za całkiem normalną.

Zadźwięczał metal i król wstał, ściskając w ręku topór. Po twarzy graga przemknął wyraz zgrozy.

— Och, rozumiem — powiedział Rhys. — Ale może, skoro jestem... no wiesz... modernizatorem, jak zawsze powtarzałeś z pogardą, rozwiążę twoją sprawę tak, jak wypada modernizatorom. Zatem staniesz przed sądem. A ja dopilnuję, by wśród sędziów przysięgłych znaleźli się krewni torturowanych przez gragów i ocalali goście z wesela w Llamedos, i wszyscy inni, którym twoje istnienie na tym świecie niepotrzebnie utrudniło życie. Może będą miłosierni. Uznam ich wyrok.

Twardziec milczał.

— Zabierzcie go stąd — polecił król. — W łańcuchach, ale żywego, choćby miał być tylko przypomnieniem dla mnie, że królowanie nie jest łatwym zajęciem.

Odprowadzono Twardźca, budząc tym powszechny entuzjazm. Rhys zwrócił się do zgromadzonych.

— Proponuję teraz, żeby ktoś sprowadził tu mojego przyjaciela Albrechta Albrechtsona, który, ku naszemu wstydowi, został zakuty i wrzucony do lochu. Ludzie delegowani, by go wypuścić, powinni chyba szybko wręczyć mu flaszkę brandy i, jeśli sytuacja pozwoli, uciec jak najprędzej. Albrecht ma dość ostre poczucie humoru.

Rhys znowu usiadł na Kajzerce z Kamienia i rzekł głosem, który wzbudził echa w całej jaskini:

— Zwykle w takiej chwili król mówił: „Bracia krasnoludy!”... — Wszyscy słuchali pilnie. — Ale ja dzisiaj powiem raczej: Krasnoludzkie panie i panowie! Przybyłem tu nie tylko po to, by odebrać swoją Kajzerkę z Kamienia, która przez wieki widziała tak wiele siedzących na niej ważnych pośladków. Zastanawiam się, ile z tych pośladków było damskich.

Wszyscy nabrali tchu tak gwałtownie, że zdawało się, iż wyssali całe powietrze w grocie.

— Wysłuchajcie mnie! Powszechnie wiadomo, że płeć krasnoluda jest jego sekretem, chyba że postanowi inaczej. Pamiętam, że kilka lat temu w Ankh-Morpork odbył się pokaz mody wyłącznie dla krasnoludów. Byłem tam incognito i rozpoznałem kilku z was, być może kupujących stroje, których moglibyście potem używać w zaciszu własnych domostw. Shwatta zarobiła wtedy dużo pieniędzy i dzisiaj madame Sharn zamierza otworzyć tu nowy sklep. Tutaj, w Schmaltzbergu! Czy ta myśl kogoś przeraża? W dzisiejszych czasach? Nie sądzę. Więc teraz, przyjaciele, robię tylko tyle, że prezentuję wam coś bardzo ważnego: prawdę! No wiecie... to coś, co pozostaje, kiedy już wypalą się wszystkie kłamstwa. A zatem mówię wam: postanowiłem, że nie będę dłużej waszym królem!

Mocniej zaszumiały wstrzymywane oddechy, trwały w ciszy bezgłośne spekulacje, a wszystkie oczy skierowały się na króla. Magię przełamał — a być może wzmocnił — trzask zapałki komendanta Vimesa. Grube cygaro rozjarzyło się jak latarnia.

Vimes z uśmiechem skinął królowi głową i w tej właśnie chwili Moist zrozumiał, że komendant prawdopodobnie wiedział od zawsze, a przynajmniej od tej swojej sławnej przygody, kiedy był ambasadorem podczas elekcji Rhysa na dolnego króla.

Nastąpiło lekkie zamieszanie i tłum się rozstąpił, by przepuścić szacownego Albrechta Albrechtsona. Starzec stanął obok króla, który powitał go ciepło tradycyjnym krasnoludzim stuknięciem hełmów[[[78]](#footnote-78)](#78_1).

— Witaj, stary przyjacielu! Przykro mi, że podczas mojej nieobecności doznałeś... niewygód. Odpowiedzialni zapłacą za to — zapowiedział władca głośno, patrząc groźnie na zebranych. A ciszej, już tylko do Albrechta, dodał: — Przybyłeś w odpowiednim momencie. Właśnie wygłaszam oświadczenie.

— Słyszałem — odparł Albrecht. — Co ty wyprawiasz? Przecież nie musisz rezygnować. Wygrałeś!

Dolny król parsknął śmiechem.

— Rezygnować? Nie wydaje mi się, chłopie. Zobaczysz.

Rhys znowu się zwrócił do tłumu. Nabrał tchu.

— Może wiadomość ta zadziwi wielu moich poddanych, ale jestem kobietą, jak wasze matki. A zatem prawdziwie waszą królową!

I znowu nastąpiło słynne krasnoludzie wstrzymanie oddechu. Nawet Albrechtson wydawał się zaskoczony. Moist zerknął na Aerona i zauważył, że okryta rękawicą dłoń krasnoluda spoczywa — jakże lekko — na rękojeści miecza. Nieśmialsson stał tuż za Albrechtsonem i obserwował go uważnie. Obok Moista Vimes ostrożnie odłożył cygaro na skalny występ i napiął mięśnie.

Może być bardzo ciekawie, pomyślał Moist.

— A jeśli sądzicie, że królowa nie jest tak dobrym władcą jak król, to czy uważacie też, że wasza matka była gorsza od ojca? — Królowa się roześmiała. — U wielu z was widzę zakłopotanie. To dobrze. Ważne w zakłopotaniu jest to, że prędzej czy później mija, ale pamiętamy, że było.

Nastąpiła zauważalna zmiana nastroju. Królowa mówiła dalej:

— Przekonałam się, że w gorącej piersi tkwi prawda, której nie da się zaprzeczyć, choć my, krasnoludy, chętnie zaprzeczamy wszystkiemu i budujemy własne małe światy wewnątrz tego wielkiego. Można by zapytać, przed czym staramy się uciec... chyba przed samymi sobą. Jesteśmy krasnoludami, tak jest, ale możemy żyć lepiej niż nasi krasnoludzcy przodkowie w swoich mrocznych jaskiniach.

Królowa rozejrzała się uważnie.

— I co? Czy żaden krasnolud nie jest dość męski, by rzucić mi wyzwanie?

Kilka par oczu zwróciło się ku Albrechtsonowi, który zamyślił się, ale nie poruszył. Nieśmialsson za to wyraźnie się rozluźnił.

Nagle królowa wyciągnęła przed siebie rękę i wskazała kogoś palcem.

— Butt Rudołamacz! Zawsze cię uważałam za krasnoluda zrównoważonego, z mocno przykręconą głową, choć możliwe, że w stronę przeciwną niż gwint.

Moist wyczuł euforię tych, których nie wskazał palec, jak również cierpienie Butta Rudołamacza. I zastanawiał się: Czy głos królowej się zmienił, czy zawsze tak brzmiał? Nie groziła przecież, ale groźba unosiła się w powietrzu, niemal widzialna. Władczyni miała ich w ręku — i ściskała.

Wskazany palcem krasnolud cofnął się o krok.

— Gdzie są teraz twoi gragowie, Butcie Rudołamaczu?

Rzeczony Butt stał się uosobieniem paniki.

— To nie moi gragowie, moja królowo!

Być może przyczyną takiego zachowania był gruby plik papierów, jaki wręczył władczyni Aeron. Królowa polizała palec i przerzuciła kilka kartek.

— Naprawdę? Może więc zostałam wprowadzona w błąd. — Spojrzała na pozostałe krasnoludy. — Zastanawiam się, czy co do was wszystkich zostałam wprowadzona w błąd.

Zebrani obserwowali przewracane strony, starając się nie wyciągać szyi, by sprawdzić, czy ich nazwisko jest na liście. Wyglądali śmiesznie. Królowa trzymała ich w garści.

— To dziwne, przyznacie, że kiedy domek z kart się rozpada, porywa za sobą także inne karty... Jeśli ktoś ma ochotę rzucić mi wyzwanie, niech wystąpi teraz.

Zabrzmiały pomruki, szmery, gdy krasnoludy zwracały się do innych krasnoludów, potem tradycyjny krasnoludzi gwar — i cisza, gdy przemówił Albrechtson.

— Moja królowo — rzekł i gwar podniósł się znowu. To była niespodzianka: wielki obrońca tego, co krasnoludzie, przeprowadzał wyraźnie remanent swoich przemyśleń. — Moja królowo, szczęśliwie żyjemy, a więc powinniśmy się uczyć. Zawsze uważałem się za kogoś wykształconego, prawdziwego badacza dróg Taka. Jednak minione dni pokazały, że i ja mam lekcje do opanowania. W niedużej celi zmieniły się moje opinie i zrozumiałem prawdziwe znaczenie pokory. Jestem wręcz gotów przyznać, że ważnych lekcji udzielił mi pewien goblin, wielokrotnie ode mnie młodszy, którego z dumą nazywam swoim przyjacielem.

Moist zauważył, że stary krasnolud ma łzy w oczach.

Albrechtson zawahał się, a potem krzyknął:

— Niech Tak chroni królową! I stanę do walki z każdym, kto mówi inaczej!

A Moist pomyślał: Niech to szlag! Znowu się zacznie!

Jednak żaden krasnolud nie wystąpił, by podjąć wyzwanie Albrechtsona. Niezliczone twarze w hali wydawały się nieco oszołomione, jakby nagle ktoś oznajmił, że po prawdzie złoto wcale nie jest aż tak interesujące...

Królowa z gracją podziękowała przyjacielowi, po czym wyprostowała się dumnie.

— Dobrze wiem, że wielu z was finansowało gragów i ich świtę. Znam nazwiska, o tak, wiele nazwisk tych, którzy potrafiliby zabić dla fałszywej idei. W odpowiednim czasie nie będzie dla nich odkupienia. Byliśmy łaskawi po zamieszaniu w Dolinie Koom, a to były szalone dni. Ale jeśli gragowie i ich przyjaciele sądzą, że mogą mi odebrać Kajzerkę z Kamienia, to jeszcze się przekonają, kim jestem. A jestem waszą królową. Wszyscy słyszeliście o królowej Ynci z Lancre, prawda? Uważam ją za wzór do naśladowania, lecz w tej chwili zależy mi na pokoju. Pokoju dla świata, a szczególnie dla mnie i mojego dziecka.

Wśród huraganu szeptów, jaki wybuchł po tych słowach, jeden krasnolud stanął nagle przy królowej. To był Aeron — dobył miecza nie przeciwko komuś konkretnemu, ale jednak gotów bronić żony i nienarodzonego dziecka.

W ogólnym gwarze królowa odezwała się znowu.

— Czy jest tu ktoś, kto wątpi, że jestem prawowitą królową? Wydaje się, że nasi przodkowie uważali swe matki za gorsze. Jak powiedziałam, wkrótce zostanę matką. Więc który z was, panowie, zechce spróbować odebrać mi Kajzerkę?

Moist popatrzył wokoło. Nikt się nie zgłaszał. Królowa wyglądała, jakby niebezpiecznie było jej dotknąć, a nawet nie miała broni. Nie było chętnych, by zaryzykować gem, set i miecz.

— Bardzo dobrze — zakończyła dolna królowa krasnoludów. — Wyprawimy ucztę dla wszystkich, którzy przybędą z dobrą wolą, i oczywiście będzie żłopania pod dostatkiem. — Uśmiechnęła się. — Obejmuje to również koktajle dla tych, którzy je lubią — dodała. — Wierzcie mi, świat stanął na głowie, i tak być powinno. Chwała Takowi! Chwała Żelaznej Belce i wszystkim, którzy ją budowali, karmili i czyścili...

\* \* \*

— Twardziec był w beznadziejnej sytuacji — powiedział Albrecht później, podczas bankietu. — Ludzie wymykali się, by uciec przed nieuniknionym. Miałaś rację, pani. Zapomnieliśmy, co to znaczy być prawdziwym krasnoludem, ale nagle prześladowania dotknęły zwykłych ludzi! Zbyt wiele pojawiło się zagrożeń dla przyzwoitych krasnoludów. Odpływali jak małe kropelki rtęci i łączyli się razem, aż w końcu został tylko piasek. Plany Twardźca zbudowane były na piasku.

Vimes rozejrzał się ze swego honorowego miejsca przy niskim stole.

— Spójrzcie na nich — powiedział. — Ich świat naprawdę się wywrócił. Będą marudzić, ale kim bylibyście wy, krasnoludy, bez marudzenia?

— Mocniej powinniśmy rozliczyć winnych — burknął Albrecht.

— Naprawdę? — spytała królowa. — Nie chcę zaczynać nowego życia od rozlewu krwi. Sprawiedliwość się dokona. Wszyscy wiedzą, kim byli główni gracze, zawsze wiedzieliśmy. Mamy ich nazwiska, mamy zeznania. Dla krasnoludów świat jest mały i nie ma się gdzie ukryć, zresztą dzieło jest niemal ukończone. Głębinowi gragowie, którzy za tym stali, stracili swych najlepszych żołnierzy podczas ataków na Żelazną Belkę w jej wędrówce przez kraj. Cóż to była za wyprawa! I cudowne odkrycie loggystiki. Droga żelazna to przyszłość, która pozwala ludziom się spotykać. Pomyślcie o tym. Ludzie zbiegają się, żeby zobaczyć jadący pociąg. Dlaczego? Bo on zmierza ku przyszłości albo nadjeżdża z przeszłości. Osobiście bardzo mi zależy na przyszłości i chciałabym, by krasnoludy miały w niej swój udział. O ile nie jest za późno.

— Cóż, pani, masz teraz okazję — powiedział z uśmiechem Vimes. — Jak mi wyjaśnił młody Simnel, most na Wilinus potrzebuje kilku miesięcy. Trzeba go naprawić i wzmocnić, by mógł unieść ciężar pociągu z pełnym ładunkiem. To znaczy, że Żelazna Belka i wagony muszą pozostać tutaj, dopóki nie odbudujemy linii.

Vimes spojrzał wzdłuż stołu, na Moista pogrążonego w gorącej dyskusji z Nieśmialssonem.

— Pan von Lipwig z radością udzieli porady w kwestii... zastosowań komercyjnych.

Rhys uśmiechnęła się lekko.

— Znam reputację pana Lipwiga, a jego hm... umiejętności wywarły na mnie wrażenie. Sądzę jednak, że lepiej będzie wezwać naszego prawnika, pana Groma, który zadba o to, by wszystko działo się uczciwie i sprawiedliwie.

— Bardzo rozsądnie — rzekł ze śmiechem Vimes.

— Z pewnością prace kolejowe będą wymagały robotników? — zainteresowała się królowa. — Zwłaszcza tych młodych, którzy niekoniecznie pragną zostawać w kopalniach, ale chcieliby znaleźć solidne zajęcie, gdzie nie braknie im metalu do wykuwania. Nadal przecież jesteśmy krasnoludami.

Później królowa przeszła między swymi być może lojalnymi poddanymi. Była to wspaniała parada, z niewielkimi zawirowaniami kolczug i starannie trefionych bród wśród pewnych grup krasnoludów, podbiegających nieśmiało, by zapewnić ją o swej wierności. Jak uznał potem Vimes, przynajmniej tego dnia zwyciężyła bez oporu — tym bardziej że liczne krasnoludy, z którymi rozmawiała, otwarcie deklarowały się jako kobiety, które od dawna czekały na taki moment.

\* \* \*

Tego wieczoru, zanim opuścili Bzyk, Moist zawędrował aż na tory, z roztargnieniem myśląc o niedawnych wydarzeniach. Świat zobaczył kabinę Żelaznej Belki, królowa odzyskała koronę, a w opinii komendanta Vimesa najgorsi gragowie byli martwi albo za kratami.

Na prowizorycznej stacji Żelaznej Belki pilnowali Fred Colon i Nobby Nobbs, w tej chwili śpiący smacznie. Za to Żelazna Belka nie spała, choć kocioł ledwie się grzał po całym dniu wożenia miejscowych tam i z powrotem po pojedynczym torze.

Moist ostrożnie zbliżył się do kabiny.

— Czym jesteś, Żelazna Belko? — zapytał szeptem.

Przez chwilę trwała cisza, a potem zamigotały dryfujące w powietrzu nad lokomotywą smużki pary. Jakiś głos tchnął słowa w jego umyśle, głos delikatny, ciepły i jakby wilgotny.

— Och, panie Lipwig, przecież mówią, że jest pan sprytny... Jestem sobą. Jestem Żelazną Belką. Ale wystarczy, by ludzie uwierzyli, a przestaję być machiną stworzoną przez bystrych mechaników. Jestem ideą, czymś zbudowanym z niczego, czego czas nadszedł. Niektórzy nazywają mnie nawet boginią.

Przez umysł Moista przemknęła wizja tradycyjnej bogini: w przejrzystej nocnej koszuli, z jedną czy dwiema urnami. Ale rozwiała się, gdy głos przemówił ostrzejszym tonem:

— Czyż nie jestem piękna? I zapewniam, że moje dzieci będą jeszcze wspanialsze! Gładsze, piękniejsze, potężniejsze... Już teraz pan Simnel je dla mnie buduje. Z czasem stanę się wszechobecna, stanę się elementem krajobrazu nobilitowanego moim przejazdem. Codziennie odbieram wyrazy czci mówiące, że jestem ucieleśnieniem mocy, że ci, którzy mi się sprzeciwiają i chcą ugasić mój ogień, poniosą klęskę, i to szybko. To ja, panie Lipwig, będę rządziła na torach, na linii tam i z powrotem.

W półmroku Moist zauważył zbliżającą się do Żelaznej Belki chudą sylwetkę — Dick Simnel zamknął ten czy inny syczący mechanizm i głos, ten cudowny głos, umilkł.

— Ach, śwarnie wygląda, nie ma co. Przyszedł pan jeszcze raz na nią popatrzyć, zanim ruszymy z powrotem do miasta? Nie dziwię się. Wszyscy chcą ją obejrzeć i nie będę pana oszukiwał, panie Lipwig, serce mi pęka, że muszę ją zostawić, choć wiele tu ma do zrobienia. Żelazna Belka to świetna dziewucha, okazało się. Ona była mocą i została poskromiona, tak jest! Okiełznana przez sinusa i cosinusa, i nawet tangens miał tu swój skromny udział! Ale przede wszystkim okiełznał ją mój suwak!

Uśmiechnął się do Moista.

— Ludzie patrzą na Żelazną Belkę i są zadziwieni, co można osiągnąć matematyką! I niech się pan nie boi, że poparzy pana gorącą parą, bo nie. Postarałem się, żeby nie. Zawsze będzie moją ulubioną machiną, panie Lipwig, królową ich wszystkich. Ona żyje. Kto by zaprzeczył?

Moist spostrzegł, że otaczają ich gobliny siedzące szerokim kręgiem niczym wyznawcy w kaplicy.

— Moc, panie Lipwig — powtórzył Dick. — Moc pod kontrolą.

Moistowi rzadko brakowało słów, ale w tej chwili mógł tylko powiedzieć:

— Życzę powodzenia, panie Simnel. Powodzenia.

A potem, z miejsca maszynisty, Dick rzucił swój czar, otworzyła się klapa paleniska i w kabinie zatańczyły czerwone cienie. Świsnęło i szarpnęło, gdy Żelazna Belka dmuchnęła parą przed jeszcze jedną rundą. Gobliny pisnęły z radości i wspięły się na nią z obu stron. Rozległo się pierwsze sapnięcie, potem drugie, a potem kocioł sapnięć się przelał i Żelazna Belka wyrwała się z okowów tarcia i grawitacji, by pofrunąć po torze.

Dick Simnel zapalił fajkę od gorącego węgielka.

— Ano, śwarnie — stwierdził, zwracając się do nocy.

\* \* \*

Gdy kilka dni później Drumknott wszedł do Podłużnego Gabinetu, powitała go znajoma cisza zakłócana tylko skrzypieniem ołówka, kiedy chudy człowiek przy biurku wpisał słowo w dzisiejszej krzyżówce.

Drumknott odchrząknął.

— Tak?

Twarz Patrycjusza była nieprzystępna. Brew uniosła się znacząco — gest znany i budzący lęk u wielu rozmówców.

Drumknott się uśmiechnął.

— Szczere gratulacje. Perfekcyjnie opanował pan tę minę... Ach, to zmarszczone czoło! Zawsze świetnie panu wychodziło! Powiem szczerze, gdyby on sam stanął teraz obok, nie wiedziałbym, kto jest kim.

I nagle twarz Patrycjusza zniknęła, pozostawiając wyraźnie zakłopotanego klauna Charliego w ubraniu Patrycjusza.

— To nie było takie trudne, panie Drumknott. Dawał mi pan dyskretne znaki i w ogóle...

— Pańskie wykonanie było doskonałe. Wcielał się pan w jego lordowską mość przez dwa tygodnie i nie popełnił żadnego błędu! Ale do rzeczy. Uzgodniona kwota trafi jutro na pańskie specjalne konto w Banku Królewskim. — Drumknott znów się uśmiechnął i dodał tonem dobrego wujka: — A jak się czuje pańska żona, Charlie?

— Och, Henrietta... Znakomicie, panie Drumknott, miło, że pan pyta.

— A pański maluch? Rupert, prawda? Pewnie już skończył szkołę...

Charlie roześmiał się niepewnie.

— Nie taki mały, proszę pana. Rośnie jak na drożdżach i chce zostać maszynistą.

— No cóż, Charlie, ma pan już dość pieniędzy, żeby posłać go do terminu gdziekolwiek w mieście, a córce dać wiano godne królowej. Wciąż mieszkacie w tym samym domu? Wspaniale!

— Tak, proszę pana, i dzięki panu mamy o wiele lepsze sypialnie dla dzieci. Oszczędzamy teraz na mieszkanie babci, kiedy będzie nas stać na babcię. Henrietta jest bardzo szczęśliwa, że ostatnio tak dobrze zarabiam, i mogła sobie nawet pozwolić na czesanie u pana Fornacyta, jak eleganckie damy. Szaleje z radości. — Skrzywił się. — Nie zarabiam tyle na teatrze kukiełkowym i klaunowaniu.

Drumknott wciąż miał promienną minę.

— Jestem pewien, że jego lordowska mość ucieszy się na wieść, że pańska rodzina jest taka szczęśliwa... i żywa. Oby trwało to jak najdłużej. Zasugeruję mu, że może awansować pana do, powiedzmy, wyższych celów. A teraz, ponieważ jego lordowska mość zjawi się tutaj w ciągu godziny, pozwoli pan, że wyprowadzę go tylnym wyjściem. Nie chcielibyśmy przecież zobaczyć w jednym miejscu dwóch Vetinarich, prawda?

Charlie zbladł jak ściana.

— Och, nie, drogi panie, bardzo byśmy nie chcieli.

— No i nie zobaczymy — uspokoił go Drumknott. — Proszę iść, zamknę za panem drzwi.

Gdy Charlie zniknął, szczęśliwy, ale w pośpiechu, Drumknott zastanowił się chwilę i zwrócił do mrocznego referenta Ishmaela.

— Jego lordowska mość zechce wiedzieć, czy sprawdziliśmy położenie salonu tego pana Fornacyta i szkoły, do której uczęszczają dzieci naszego przyjaciela. To ta sama co w zeszłym roku?

— Ta sama — odparł referent. — Sprawdziłem przedwczoraj.

— Bardzo dobrze. Jak mówi jego lordowska mość: Jeśli podejmie się dostateczne środki ostrożności, to środki ostrożności nie będą już potrzebne. Chodzi o pewność, że w kwestii swojej przyszłości Charlie nie stanie się nazbyt... kreatywny.

\* \* \*

Widok frontowych drzwi własnego domu nigdy nie sprawiał Moistowi większej radości, niż kiedy żona otwierała je przed nim, mówiąc:

— Ach, to ty. Nie zginąłeś? To dobrze. Jak poszło?

— Całkiem nieźle. Golemy były niesamowite. Szkoda, że musieliśmy zostawić Żelazną Belkę, dopóki nie naprawimy mostu. Chociaż pracuje przy nim tyle golemów i robotników Harry’ego, że pewnie niedługo Vetinari będzie mógł tam przejechać własnym pociągiem specjalnym, jeśli zechce.

— Aby zagwarantować rozwój, hm... serdecznych stosunków między Ankh-Morpork i Überwaldem, jak sądzę — stwierdziła z uśmiechem Adora Belle.

Za jej plecami pojawił się Ze Zmierzchu Ciemność.

— Już teraz überwaldzkie gobliny dają sobie imiona kolejowe. Śmiesznie one mówią, ale bystre i mądre, jak wszystkie gobliny.

— Tak — zgodziła się Adora Belle. — Co mi przypomina... Kiedy was nie było, dostawałam raporty od sekarowców na drodze do Włości. Donoszą o pewnych nietypowych zjawiskach. Dziwne łoskoty, para unosząca się z kretowisk... takie rzeczy. Nie wiesz pewnie nic na ten temat, co?

Ze Zmierzchu Ciemność ułożył swe rysy twarzy w najlepsze przybliżenie niewinności, do jakiego zdolny był goblin.

— Nie mam pojęcie, pani Adora. Parujące kretowiska? Może krowy jedzą zła trawa. Peeewno, dużo goblinów się interesuje parą. Niektórzy nawet próbują własnej machiny parowej. Edukacyjnie. Mądre gobliny.

Wyraźnie była to rozmowa na jakiś inny dzień. Moist z radosnym westchnieniem skierował się do puszystych poduszek.

— Odpocznę, a jutro trochę się zajmę bankiem. Na pewno jakieś papiery czekają na mój podpis. Przyjemnie będzie przez jakiś czas wykonywać proste zajęcia.

— Ile to potrwa? — prychnęła Adora Belle.

Moist się zawahał.

— Może ze dwa tygodnie? Na pewno zebrała się masa papierów.

— Owszem, ale ty ich nie załatwiasz. Dobrze wiesz, że pan Bent wszystkiego pilnuje. Ty masz tylko przejść się po banku i pogadać przyjaźnie z ludźmi.

— Ale nikt nie próbuje mnie przy tym zabić, Igło.

— Miejmy nadzieję — mruknęła Adora Belle.

\* \* \*

— To była wspaniała przygoda, Sam — stwierdziła lady Sybil przy śniadaniu. — Słyszałam, że królowa zmieniła imię na Blodwen. Po llamedosjańsku znaczy to „piękny kwiat”. To miłe, prawda? Muszę do niej napisać.

— Na pewno się ucieszy — przyznał Vimes.

Umiejętność żony, by utrzymywać kontakty ze wszystkimi, których kiedykolwiek spotkała, była powszechnie znana i niekiedy bardzo użyteczna, zwłaszcza w działaniach politycznych.

Komendant spojrzał na swoje musli.

— A wiesz, ten Lipwig nie jest taki zły, jak myślałem. Zachowuje się jak zimny drań, ale kiedy przyjdzie co do czego, bywa bardzo pomocny. Oczywiście, nigdy mu tego nie powiem.

Przesunął na talerzu zdrowy błonnik, z żalem wspominając jajka smażone przez palaczy.

— Lubi być w centrum uwagi — dodał.

— Niektórzy mężczyźni już tak mają, kochanie. — Lady Sybil milczała przez chwilę. — Sam, wiem, że będziesz miał teraz sporo pracy, bo musisz nadrobić zaległości, ale mogę cię o coś prosić?

— O co tylko zechcesz, skarbie.

— Kiedy już ruszy linia do Überwaldu, chciałabym odwiedzić królową, a przede wszystkim chciałabym pojechać pociągiem na wakacje. Wiesz przecież, że młody Sam szaleje na punkcie kolei. Swój pierwszy notes zapełnił już prawie w całości.

— Ale ty też wiesz, że jeśli pojadę na wakacje, zawsze trafię na jakieś przestępstwo — przypomniał Vimes.

Lady Sybil dokończyła jajko na miękko.

— To świetnie, skarbie. Na pewno ci się spodoba.

\* \* \*

Harry Król nie był zaskoczony, kiedy następnego dnia w biurze pojawił się Drumknott.

— Jego lordowska mość nakazuje — oznajmił sekretarz Patrycjusza — by pan i lady Król odwiedzili go za godzinę.

Co niezwykłe, mrugnął porozumiewawczo do Harry’ego. Effie, kiedy przekazał jej zaproszenie, była — jak to określiła — całkiem roztrzęsiona.

— W pałacu za godzinę? Jak kobieta może dobrze wyglądać, jeśli ma tylko godzinę?

— Daj spokój, Księżno — odparł Harry. — Wyglądasz świetnie jak zawsze i codziennie stajesz się młodsza.

— Pochlebca z ciebie, Harry.

Ale Harry nie ustępował.

— Powóz już czeka, czyściutki jak gwizdek, a jego lordowska mość uważa, że punktualność jest grzecznością królów. Nawiasem mówiąc, ciebie to też dotyczy, Emily. Twój chłopak by nie chciał, żebyś się spóźniła, to bardzo... niekolejowo.

Harry nie zdradził żonie, czego ma się spodziewać — wolał jej zrobić niespodziankę. Dlatego przeżyła jeszcze jedno roztrzęsienie, ponieważ przybyli wszyscy wielcy i mądrzy w Ankh-Morpork — a prawdopodobnie także niektórzy głupi i wredni — by zobaczyć, jak Harry Król zostaje lordem: Lordem Królem Permanentnego Duktu. I podczas wspaniałej ceremonii wkrótce potem małżonka lorda Harry’ego rzeczywiście stała się księżną. Dick Simnel otrzymał tytuł szlachecki i został mistrzem mechaniki, z nominacji samego Głównego Inżyniera Górniczego, a teraz stał dumnie, trzymając za rękę rozpromienioną Emily. Komendant Vimes, olśniewający w galowych pantalonach i wyraźnie wściekły z ich powodu, obciążony już wszelkimi tytułami, jakie jego lordowska mość zechciał mu przyznać, i tak dostał medal. Medal był wybity w sorortanie i przedstawiał Żelazną Belkę. Taki sam otrzymali wszyscy strażnicy jadący pociągiem i cała załoga, łącznie z goblinami.

\* \* \*

Jeszcze później miała miejsce nieunikniona rozmowa w Podłużnym Gabinecie. Przy bocznym stoliku siedział Drumknott i notował.

— Jak rozumiem, panie Lipwig — rzekł Patrycjusz — podczas podróży miały miejsce pewne zadziwiające zdarzenia.

Moist zachował spokój, choć na szyi poczuł już ucisk wyimaginowanej pętli.

— Mgła stała się dogodnie zwarta — mówił dalej Patrycjusz. — Pociąg jakoby przefrunął nad wąwozem, a wciąż dostaję informacje o podziemnych fenomenach między nami a Bzykiem. Nadrektor zapewnił mnie, że w żadnym z tych zjawisk nie była zaangażowana magia. Pamięta pan zapewne, panie Lipwig, że wyraźnie zakazałem używania w tym kolejowym przedsięwzięciu zakopanych golemów i gdybym natrafił na dowody ich wykorzystania, pan by trafił do kotków.

Podszedł do kominka, na którym dogasał już ogień, i szturchnął go pogrzebaczem — aż nazbyt znacząco w opinii Moista.

— Przepraszam, panie, ale czy trafiłeś na dowody?

Vetinari obejrzał się na sekretarza.

— Znaleźliśmy jakieś dowody, Drumknott?

Drumknott spojrzał na Moista.

— Nie, sir, nie znaleźliśmy.

— A więc nie ma o czym mówić — uznał Vetinari. — Zresztą dziwne i niewyjaśnione zjawiska występują tu niemal co tydzień.

Drumknott odchrząknął.

— Istotnie, sir. Na przykład w zeszłym tygodniu mieliśmy grad pianin nad Targiem Rybnym. W Ankh-Morpork to normalne.

— Rzeczywiście, dziwne zjawiska to u nas nic dziwnego. Niektóre można pewnie uznać za fenomeny pozbawione przyczyny i znaczenia.

Vetinari wyglądał tak łaskawie, jak to tylko możliwe, kiedy trzyma się w ręku rozpalony do czerwoności pogrzebacz i kiedy jest się Vetinarim.

— Nawiasem mówiąc, panie Lipwig, pańska waleczność podczas ataku na pociąg była doprawdy zadziwiająca! Oczywiście, potrzebował pan niewielkiego wsparcia.

Moist przyjrzał się czarnej sylwetce Patrycjusza na tle płomieni, a w jego umyśle zadźwięczały wskakujące na miejsca elementy łamigłówki.

— To pan! Pan był palaczem Blakiem! Ale to niemożliwe!

— Doprawdy? — zdziwił się Patrycjusz. — Równie niemożliwe co pociąg jadący w powietrzu? Nie wierzy pan, że potrafiłbym dorzucać węgla do paleniska? Czymże jest taka praca przy rządzeniu Ankh-Morpork z tysiącami jego codziennych problemów? Zapewniam, że jestem człowiekiem o licznych talentach, i miejmy nadzieję, że niektórych nigdy pan nie pozna. W tej sytuacji palacz Blake jest niczym dziecko w ramionach matki.

— Ale walka na łopaty?

— Jak łatwo panu zaimponować, panie Lipwig. Pamięta pan z pewnością, że kształciłem się w Gildii Skrytobójców. W tej sytuacji mojego poprzednika w kabinie, Johna Zabójcę Wagstaffa, można nazwać słodkim kociakiem. Przyjemnie było spędzić kilka dni jako pan Blake. Cenię wszystkie drobne umiejętności, które opanowałem. Wspaniałe narzędzie taka łopata. Co do innych palaczy, chyba się z nimi zaprzyjaźniłem. Tak, istotnie, zrodziło się między nami pewne koleżeństwo. Krótko mówiąc, to tylko parę dni urlopu od ważkich spraw miasta. Przyznam też, że może znowu wyruszę gdzieś w kabinie, jeśli najdzie mnie ochota.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego, panie Lipwig? Pan o to pyta? Człowiek, który tańczył na dachach pociągu, który sam szuka kłopotów, o ile są to kłopoty kojarzone z brawurą i przygodą? Chociaż w pańskim przypadku doradzałbym na jakiś czas brak brawury. Zdarza się niekiedy, że pan z okresu młodości, ten sam, którego zostawił pan za sobą wiele lat temu, powraca, klepie pana w ramię i mówi: „To jest moment, kiedy cywilizacja nie ma znaczenia, kiedy przestają obowiązywać reguły. Oddałeś już światu wszystko, co miałeś do oddania, więc nadszedł czas tylko dla ciebie, czas, by postawić wszystko na jedną kartę, w ostatnim »hurra!«. Hurra!”.

Vetinari z rozmachu uderzył pogrzebaczem w kominek, aż poleciały iskry. Przyjrzał się im i odwrócił do Moista.

— A jeśli pan, panie Lipwig, powtórzy to komukolwiek, pan Trooper na pewno się ucieszy, kiedy znów pana zobaczy. Rozumiemy się? To doskonale.

Tak jakby ktokolwiek mu uwierzył, gdyby puścił parę... Nawet samemu Moistowi trudno było uwierzyć w to, co usłyszał z ust Patrycjusza. Ale kiedy analizował te słowa, przypomniał sobie pochwałę własnej waleczności, a to wzbudziło w nim poczucie krzywdy.

— Wasza lordowska mość dał wszystkim kolejowe medale, nawet Nobby’emu Nobbsowi. Czy nic nie masz dla mnie, panie?

— Ależ mam, panie Lipwig — zapewnił Vetinari. — Coś wspaniałego: bezcenny dar zachowania życia.

Później, kiedy się nad tym zastanawiał, Moist uznał, że to niezły układ. Przecież tańczył na pędzącym pociągu! To było życie, nie ma co!

\* \* \*

Kilka tygodni później Drumknott namówił Vetinariego, by poszedł z nim na tyły pałacu, gdzie wylewała deszczówkę dżungla rynien, a kilka niedopasowanych szop, pralni i wiat służyło kluczowym funkcjom, bez których nowoczesny pałac nie mógłby działać[[[79]](#footnote-79)](#79_1).

Czekał tam na nich młody goblin, dość nerwowy. Trzymał coś, co wyglądało na dwa koła umocowane prawie do niczego. Koła wirowały.

Drumknott zakaszlał.

— Proszę pokazać jego lordowskiej mości pański nowy wynalazek, panie Z Koła Szprycha.

Vetinari patrzył nieruchomo, jak goblin przerzuca nad swoim dziełem nogę i jak napędza je pedałami, jeżdżąc na dwóch kołach między praczkami. Kobiety podnosiły ręce, wykrzykując coś w rodzaju:

— Ojej! Co będzie następne?

A najstarsza z nich powiedziała:

— Myślę sobie, że na siedzeniu za sobą mógłbyś wozić jakąś młodą damę.

— Chciałbyś mieć coś takiego, Drumknott — domyślił się lord Vetinari. — Prawda?

— No więc, sir, to właściwie nie jest mechanizm — odparł Drumknott. — Robi tyle, że wzmacnia działanie kończyn i proszę spojrzeć: żadnej pary. Tylko trochę potu.

— Interesujące — przyznał Vetinari. — Człowiek jest sam dla siebie napędem.

Goblin zatrzymał się wreszcie przed Vetinarim i zerknął badawczo na Drumknotta. Sekretarz czekał cierpliwie na decyzję swego pracodawcy.

W końcu Patrycjusz się uśmiechnął.

— Godny uwagi... welocyped, panie Z Koła Szprycha. Wydaje mi się, że Leonard z Quirmu miał podobny pomysł, a obecnie żyjemy w świecie ruchu. Nie widzę problemu. Okazuje się, że każdy człowiek może być własnym koniem. Gratuluję. I proponuję, młody goblinie, by pokazać ten prototyp komendantowi Vimesowi. Konstrukcja podwajająca szybkość ruchu może być wyjątkowo przydatna spieszącemu się strażnikowi, zwłaszcza takiemu, który spieszy się niedostatecznie. Panie Drumknott, niech pan przygotuje notkę do komendanta, a ja podpiszę. Myślę, że niektórym przyda się trochę ćwiczeń. A na pańskim miejscu, drogi panie... — zwrócił się do goblina — ...umówiłbym się z pewnym trollowym prawnikiem, niejakim panem Gromem, i go posłuchał. Świat się zmienia i potrzebuje czasem pasterzy, nie tylko rzeźników. W tym przypadku jestem pasterzem. Pańskie dzieło zostało dostrzeżone. Wszystko, co można teraz powiedzieć, to: Co będzie następne? Jaka jeszcze niewielka rzecz zmieni świat, ponieważ mali majsterkowicze ciągle przy nim majstrują?

PODZIĘKOWANIA

Przy pisaniu Pary w ruch korzystałem z pomocy dżentelmenów w kombinezonach, obsługujących wycieczkową linię Watercress Line w Hampshire, którzy pokazali mi... właściwie pokazali mi wszystko, łącznie z warsztatami, z kabiną i paleniskiem lokomotywy, oraz — cud nad cudami — nastawnią, prawdziwym arcydziełem z mahoniu i mosiądzu. Mistrzostwo!

Oczywiście, moja wdzięczność należy się Robowi za to, że utrzymał całe to przedsięwzięcie na torach, oraz mojej redaktorce, Philippie Dickinson, która wspomagała mnie radą i naleśnikami, a przede wszystkim cierpliwością.

1. Zdarzały się rozmaite sprośne uwagi w tej kwestii, jednak wydawało się — na nieszczęście miejscowych jeszcze niezamężnych dziewcząt — że Żelazny Wariat Simnel i jego ludzie znaleźli coś bardziej interesującego od kobiet i najwyraźniej było to zrobione ze stali. [↑](#footnote-ref-1)
2. Poprawnie wymawia się Bezik. [↑](#footnote-ref-2)
3. Oznacza dosł. „główny inżynier górniczy”. [↑](#footnote-ref-3)
4. Człowiek powiedziałby „irytuje” albo wręcz „wkurza”, ale krasnoludy preferują szczury. [↑](#footnote-ref-4)
5. Skauting dla trolli, krasnoludów i ludzi pojawił się wkrótce po podpisaniu traktatu z Doliny Koom, zgodnie z sugestią lorda Vetinariego i po to, by młode osobniki trzech gatunków dominujących mogły się spotkać i być może zaprzyjaźnić. Naturalnie młode osobniki dowolnych gatunków, kiedy znajdą się we własnym towarzystwie, zamiast zwracać się przeciwko sobie wzajemnie, natychmiast jednoczą siły przeciwko wspólnemu wrogowi, to znaczy rodzicom, nauczycielom i rozmaitym autorytetom, którzy są taaacy staroświeccy... Zadziwiające, lecz do tej chwili wszystko się udawało — no ale to przecież było Ankh-Morpork; nikt się nie przejmował, jakiego kto jest kształtu, choć mogło go mocno interesować, ile kto ma pieniędzy. [↑](#footnote-ref-5)
6. A poza tym, jako pochodzący z dynastii McSweeneyów, także przerażająco kosztowny, choć — jak pomyślał Harry — te porcelanowe szczątki na podłodze nie wyglądały na aż tak kosztowne. [↑](#footnote-ref-6)
7. Termin ten określa — technicznie biorąc — psie odchody, bardzo cenione przez garbarzy. [↑](#footnote-ref-7)
8. Chyba że golem. W ciężkich czasach, gdy kierowanie rodzinną firmą sekarową uzurpowali sobie biznesmeni, Adora Belle poświęcała energię emancypacji golemów. Nadal była zaangażowana w Powiernictwo Golemów, choć szybkie tempo zmian w Ankh-Morpork — co z satysfakcją zauważyła — sprawiło, że teraz golemy chętnie wierzyły same sobie. [↑](#footnote-ref-8)
9. Adora Belle sama zdawała sobie sprawę z faktu, że jest kreatywnie fatalną kucharką — głównie dlatego, że uważała gotowanie za kompletną stratę czasu dla kobiety mającej choć odrobinę rozumu. Ponieważ Moist prezentował podobną postawę w odniesieniu do pracy fizycznej, taki układ odpowiadał wszystkim zainteresowanym. [↑](#footnote-ref-9)
10. To było jego jedyne imię. [↑](#footnote-ref-10)
11. Osobne łazienki są oczywiście kluczem każdego szczęśliwego małżeństwa. [↑](#footnote-ref-11)
12. „Igłą” dla jej kochającego męża. Brat nazywał ją Zabójcą, ale nie miał na myśli nic złego. [↑](#footnote-ref-12)
13. Oficjalna, techniczna nazwa stada goblinów. [↑](#footnote-ref-13)
14. Cudownie ubarwione dębowe drewno z Prznego Lasu było niezwykle cenione w stolarce dla klas wyższych. [↑](#footnote-ref-14)
15. Lokal znany bywalcom jako Lepki Łeb. [↑](#footnote-ref-15)
16. Jeśli można tak nazwać kogoś, kto codziennie dostaje masę papierów do podpisu, musi uczestniczyć w zbyt wielu naradach nad naradami i odpowiadać na zupełnie bzdurną korespondencję. [↑](#footnote-ref-16)
17. Czarny krystaliczny związek powszechnie używany przez kobiety trolli jako krem odmładzający. Dick Simnel odkrył po dokładnych badaniach, że stanowi znakomity smar. [↑](#footnote-ref-17)
18. Prawdziwym prezesem jest formalnie Pan Maruda, pies. [↑](#footnote-ref-18)
19. Określenie to oznacza, że budowniczy spekuluje, jak daleko może się znaleźć i z jakimi pieniędzmi, zanim nabywcy odkryją, że fundamenty miały tylko wyrwać im fundusze, zbiornik na szambo jest głęboki raptem na stopę i ma tendencję do wypluwania zawartości, natomiast cegły wiele zawdzięczają najbardziej organicznemu i uniwersalnemu materiałowi budowlanemu, jakim jest krowi nawóz. Cały interes zaczyna się zwykle od parceli i planu, przy czym niekoniecznie chodzi tu o plan architektoniczny. Powstawały całe podmiejskie osiedla o takich zwodniczych nazwach jak Słowicza Dolina czy Słonecznikowy Ogród, które nigdy nie słyszały słowika ani nie widziały kwitnącego słonecznika. Mimo to trafiały na rynek za pośrednictwem agencji Praktycznie Nieruchomości — GSP Dibbler i Wspólnicy, robiącej ostatnio znakomite interesy. [↑](#footnote-ref-19)
20. Oi Dong nie jest tak całkiem różny od Shangri-La. [↑](#footnote-ref-20)
21. Ozdoba trawnikowa. [↑](#footnote-ref-21)
22. Nie należy ich mylić z legendarnymi Nugatowymi Rycerzami, znanymi w krasnoludziej mitologii jako przodkowie, którzy u zarania świata stworzyli kopalnie melasy i inne podziemne słodycze. [↑](#footnote-ref-22)
23. Zastosowanie brzęczącej monety wymaga, by osoba jej żądająca pocierała palec wskazujący o kciuk bardzo znacząco, rozumie pan, o co mi chodzi, szefie... [↑](#footnote-ref-23)
24. Kiedy Moist usłyszał jego imię, zaraz sprawdził w słowniku. Z ulgą się przekonał, że fornacyt to rzadki minerał, wodorotlenek ołowiowo-chromianowo-arsenianowy. Troll miał piękny niebieskawozielony kolor. [↑](#footnote-ref-24)
25. Człowiek by powiedział: „wsadzili tam, gdzie słońce nie dochodzi”. [↑](#footnote-ref-25)
26. Słowo „higieniczna” wywołało pewną dyskusję i Moist przegrał. Higieniczna, jak uznali wszyscy inni, nadawało projektowi pewien ton, rodzaj je ne sais quoi. Pani Król powiedziała to osobiście, a kto by chciał się spierać z Księżną? [↑](#footnote-ref-26)
27. W oczach swego małżonka zawsze była Księżną — to pieszczotliwe określenie zarezerwował wyłącznie dla niej. [↑](#footnote-ref-27)
28. Budząca przerażenie kocia tortura została właściwie wymyślona przez Moista i zrobiła wrażenie na Vetinarim. W pałacowych lochach stała wielka żelazna dziewica, rzadko używana. We współczesnych czasach kocia tortura sprawiała, że złoczyńca dobrze się zastanowił, nim zrobił coś, za co mógłby znowu trafić do lochu. Mechanizmem i kociakami opiekował się Cedryk — nie za mądry, ale wdzięczny za comiesięczną wypłatę; w dodatku bardzo lubił koty, od których roiło się na ulicach Ankh-Morpork. Kocięta w wielkiej liczbie trafiały do żelaznej dziewicy razem ze złoczyńcą, który mógł tylko siedzieć. U dołu zamontowano klapkę dostatecznie dużą, by wsunąć tamtędy sporą miseczkę z mlekiem. Kiedy jakiś kociak czuł się nieszczęśliwy i dało się to zauważyć, Cedryk otwierał dziewicę i wymierzał ofierze cios pałką; siła i liczba uderzeń zależała od poziomu zdenerwowania wspomnianego kota. Niektórzy idioci uważali to za śmieszne, ale system działał i po pewnej liczbie uderzeń goście twierdzili, że są zdumieni atmosferą ogólnej szczęśliwości we wnętrzu żelaznej dziewicy, skąd dobiegało mruczenie tak głośne, że odbijało się echem w całych lochach. [↑](#footnote-ref-28)
29. Dyscyplina, w której ręce przesuwają się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, a równocześnie walczący zwija sobie przestrzeń za plecami. [↑](#footnote-ref-29)
30. Mistrzostwo Cała w przygotowywaniu blokujących arterie dań zyskało mu wielu przyjaciół w interesujących miejscach. Zamiana kotletów na kontakty okazała się dobrą praktyką biznesową. [↑](#footnote-ref-30)
31. Niepokój ten dzieliło z nim wielu dziennikarzy, którzy obawiali się, że ubłocą sobie nowe buty, a na polach stratują ich koniki polne. [↑](#footnote-ref-31)
32. Protektorka Ośmiu Protektoratów i Cesarzowa Długiego, Wąskiego Dyskusyjnego Skrawka Lądu na Oś od Sto Kerrig. [↑](#footnote-ref-32)
33. W rzeczywistości przygotowano dwie poczekalnie, jedną dla mężczyzn i rodzin, drugą dla samotnych dam. Effie bardzo stanowczo nalegała, by wszelkie aspekty drogi żelaznej były czyste, przyzwoite, higieniczne właśnie — coś, co mocno leżało jej na sercu. [↑](#footnote-ref-33)
34. Podpis pod obrazkiem, jak się potem okazało, brzmiał: „Nie ma kolejek na kolei”. Wydaje się, że toalety zrobiły wrażenie na panu de Worde i jego żonie. [↑](#footnote-ref-34)
35. A kiedy troll coś oznajmia, jest to naprawdę oznajmione. [↑](#footnote-ref-35)
36. Nawet profesor Rincewind, który większą część drogi pokonał schowany pod siedzeniem głęboko przekonany, że lokomocja to właśnie coś takiego, co na ogół prowadzi do pewnej śmierci. Przyznał jednak, że pociągi mogą być użyteczne, gdyby ktoś chciał się dokądś dostać, a co ważniejsze, skądś szybko się wydostać. [↑](#footnote-ref-36)
37. Która, co należy zauważyć, obejmowała też trochę pustkowi, jak zwykle w wypadku miast-państw. [↑](#footnote-ref-37)
38. Dozorcy nie mogli zrozumieć, jak zdołał uciec, dopóki nie uświadomili sobie, że pranie do nich nie wraca. [↑](#footnote-ref-38)
39. Wiedział, że nie powinien tu używać tego kolokwialnego określenia, ale w końcu mieszkańcy Quirmu nazywali mieszkańców Ankh-Morpork pośladami, na ogół żartobliwie. Na ogół. [↑](#footnote-ref-39)
40. Dla ludzi tkwiłby w tym za głęboko. O wiele za głęboko. [↑](#footnote-ref-40)
41. Obywatel Ankh-Morpork nigdy nie zaakceptuje idei, że mogą istnieć inne miasta, które nie ustępują jego miastu. Pomysł, że coś takiego może się zdarzyć, traktują z żartobliwym lekceważeniem. Samo powiedzenie pochodzi od sytuacji, kiedy obywatelowi Ankh-Morpork pokazano konny posąg w Pseudopolis. Stanął przed zwierzęciem i powiedział: „Może i wielki, ale nie nas z Morpork robić w takie konie”. Incydent stał się źródłem popularnej barowej piosenki. [↑](#footnote-ref-41)
42. Która zamiast maskować wszechobecny zapach goblinów, dodawała mu jedynie specyficznej ostrości. [↑](#footnote-ref-42)
43. Urny ungguańskie, jak je nazywano, pełniły ważną religijną rolę w społeczeństwie goblinów. W Ankh-Morpork pomysłowe gobliny tworzyły na sprzedaż kopie urn ungguańskich. Kopie wyglądały całkiem jak prawdziwe, opowiadała Adora Belle; choć usunięto z nich magię, pozostawiono cudowne lśnienia. Pomagało jednak, jeśli człowiek nie myślał o tym, co w tych urnach przechowywano tradycyjnie. [↑](#footnote-ref-43)
44. Nie warto było zgadywać, co mogą mieć poza tym. Na samą myśl Moistowi żołądek podchodził do gardła. [↑](#footnote-ref-44)
45. Wszystkie młode gobliny uznawane są za gałązki. [↑](#footnote-ref-45)
46. Który składa się z trolla z wygodnymi koszami po obu stronach, mogącymi pomieścić do czterech osób. [↑](#footnote-ref-46)
47. Tyle że niekiedy wybierał się z kilkoma klientami do Klubu Różowego Kociaka, gdzie dobrze się bawił, a w każdym razie tak się wydawało, i wtykał pieniądze za podwiązki wijących się młodych kobiet. Trudno to uznać za wielkie zło, zwłaszcza wobec wcześnie nadchodzącego wieku średniego. Było to raczej smutne, choć niezwykle przyjemne w danej chwili. No i stanowiłoby wyrok śmierci, gdyby Adora Belle kiedyś się dowiedziała. [↑](#footnote-ref-47)
48. Colon i Nobby bardzo długo już wykonywali swój niebezpieczny zawód i wiedzieli, jak nie zostać martwym. Konkretnie: należy przybywać na miejsce, kiedy złoczyńcy już uciekli. [↑](#footnote-ref-48)
49. Niegrzecznie byłoby go pytać, w jaki sposób tak szybko dociera na miejsce. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że jest wampirem, ale był gorliwym czarnowstążkowcem, więc nawet jeśli komuś się wydawało, że coś o nim wie, nie wspominał o tym. [↑](#footnote-ref-49)
50. To rozwiązanie okazało się fatalne dla Kapuścianego Towarzystwa Transportowego, które postanowiło budować swoje machiny i kłaść tory w rozstawie równym szerokości konnych wozów przewożących kapustę. [↑](#footnote-ref-50)
51. A mimo to Harry nadal był „tytanem”, które to żartobliwe określenie oznaczało kogoś z głębokimi kieszeniami i krótkimi palcami. Wynikało to z jego skłonności, by na wyrzucanie pieniędzy patrzeć tak jak na chirurgię kanałową wykonywaną przez trolla dentystę. [↑](#footnote-ref-51)
52. Był to niezwykły przywilej. Dla goblina imię jest zawsze imieniem, nietykalną i niepodzielną częścią jego samego. [↑](#footnote-ref-52)
53. Czy nawet owocami morza swej pracy. [↑](#footnote-ref-53)
54. Moist podejrzewał, że Vetinari miał coś wspólnego z pochodzeniem tej nazwy, jako że Pseudopolis nigdy nie miało króla i było dotknięte przekleństwem demokracji — przypadłością, której Patrycjusz nie znosił. [↑](#footnote-ref-54)
55. Na Równinach Sto i w innych miejscach trzeba było czasu, by ludzie na wsiach oswoili się z myślą o wewnętrznym... przybytku. Wygódka w ogrodzie, na świeżym powietrzu, uważana była za o wiele bardziej higieniczną, a jeśli człowiek uważał, to hodowane przez niego pomidory udawały się nadzwyczajnie. [↑](#footnote-ref-55)
56. Na linii quirmskiej musiał ją powstrzymywać przed wprowadzaniem bidetów. [↑](#footnote-ref-56)
57. Byłyby to nawet większe fortuny, gdyby Grom nie zagwarantował skrupulatnie, że Higieniczne Towarzystwo Drogi Żelaznej zabierze swoją działkę. [↑](#footnote-ref-57)
58. Harry był zachwycony; starał się zachować zwykłą nonszalancję, ale kiedy usłyszał propozycję, by stał się elementem zabawkowej kolei, uśmiechnął się od ucha do ucha. Co prawda Effie narzekała potem, że zrobili go zbyt grubego. [↑](#footnote-ref-58)
59. Gobliny, zwłaszcza płci męskiej, robiły wrażenie, jakby były całe zbudowane ze ścięgien powiązanych innymi ścięgnami. Oczywiście, protestował umysł, gdzieś tam muszą przecież być mięśnie, ale pewnie musiały się przeciskać, żeby znaleźć trochę miejsca między tymi wszystkimi ścięgnami. [↑](#footnote-ref-59)
60. Powszechnie wiadomo, że można się wspiąć na Cori Celesti. Wielu wysportowanych śmiałków próbowało zdobyć wierzchołek i większości się to nie udało. Historia notuje jednak przypadek grupy wiekowych dżentelmenów z artretyzmem i krzywymi nogami, którzy dokonali tego wyczynu; wprawdzie później zginęli śmiercią bohaterów, ale przecież o to im właśnie chodziło. Innym ambitnym i znanym, a często i zlanym potem wspinaczom udało się wejść przynajmniej kawałek po tak zwanej Ścieżce Świateł, która — co należy podkreślić — nie sprzyja nikomu, kto nie jest prawdziwym herosem. Mimo to wielu wciąż usiłuje wedrzeć się na Cori Celesti, a przynajmniej połamać sobie kości, próbując. [↑](#footnote-ref-60)
61. Panna Daisy Snapes była oficjalnie pierwszą osobą urodzoną w jadącym pociągu, dzięki akuszerce, która zaprowadziła matkę do wagonu hamulcowego. Młoda Daisy przyszła na świat przy prędkości trzydziestu mil na godzinę, a rozradowani rodzice nazwali ją Lokomocja Snapes. Kiedy Moist się o tym dowiedział, ofiarował jej i rodzicom darmowy roczny bilet na wszystkie linie kolejowe, a także sugestię, że Lokomocja lepiej się sprawdzi jako drugie imię. [↑](#footnote-ref-61)
62. Bagna w tej części świata cieszą się sławą z powodu licznych gatunków żyjących tam ptaków oraz niesławą z powodu swej bezustannej i szybkiej zmienności. Trudno tam znaleźć twardy grunt. Ludzcy mieszkańcy żyją na wielkich tratwach służących im za schronienia i ogrody. Starsze pokolenia mają płaskie stopy, które starają się uzyskać także u potomków, ponieważ błona pławna dowodzi, że posiadacz jest na bagnach wielkim myśliwym. Nie mają żadnych znanych wrogów, prawdopodobnie dlatego, że nikt nie chce wkraczać na te tereny. Chętnie pomagają zbłąkanym wędrowcom i destylują wiele cennych substancji medycznych z bagiennej flory i fauny, w tym wijącego melona i wierutnej muchołówki. Jad tej ostatniej używany jest przy wytrawianiu delikatnych rysunków w metalu, jednak pozyskiwanie go wymaga wielkiej ostrożności, jako że muchołówka pluje nim na odległość kilkunastu stóp.

    Najwyraźniej Niderbłonia były kiedyś polem intensywnych działań magicznych, a ich przyszłość dla farmakopei świata badana jest przez profesora Rincewinda z Niewidocznego Uniwersytetu. W krótkim komunikacie ów profesor poinformował, że sok wyciśnięty z drobnych żółtych kwiatków wywołuje u pacjenta pewność trwającą do piętnastu minut. Czego ta pewność dotyczy, trudno dokładnie określić, ale wydaje się, że przez ten krótki czas pacjent jest absolutnie pewien wszystkiego. Dalsze badania pozwoliły stwierdzić, że soki pływającego hiacyntu niosą absolutną niepewność na mniej więcej pół godziny. Filozofowie są bardzo zainteresowani możliwym wykorzystaniem tych mikstur, trwają też poszukiwania rośliny, która łączy cechy obu powyższych; byłaby niezwykle użyteczna dla teologów. [↑](#footnote-ref-62)
63. Przynajmniej w myślach, choć trzeba zaznaczyć, że byli zbyt ostrożni, by podjąć próbę obalenia dolnego króla, dopóki nie wyjechał daleko, aż do Quirmu. [↑](#footnote-ref-63)
64. Przynajmniej Moist założył, że stamtąd właśnie wyszedł. Vetinari był jednym z najlepszych adeptów maskowania, jakich wypuściła Gildia Skrytobójców, więc równie dobrze mógł mu wystarczyć po prostu mroczny nastrój albo niejasny stan umysłu. [↑](#footnote-ref-64)
65. Jedyne wagony otwarte na kaprysy pogody przeznaczone były dla pasażerów wyjątkowo wielkich (głównie trolle), którzy nie mieścili się w żadnych innych, a to dlatego, że zasadniczo przewożono nimi węgiel. Nikomu to nie przeszkadzało — trolle były nieczułe na deszcz, który zresztą pomagał im hodować na ciele lepsze gatunki mchu, a węgiel w podróży mógł też posłużyć za przekąskę. [↑](#footnote-ref-65)
66. W takim sensie, że sprzeciwiała się wszystkim instynktom urodzonego ankhmorporczyka. [↑](#footnote-ref-66)
67. Kilka miesięcy wcześniej pan Reg Shoe, podróżując pustym poza nim wagonem, przyciął sobie palce, kiedy okno uniosło się niespodziewanie i szybko. I zanim pociąg dotarł do stacji, stracił czubek jednego z nich. Pan Shoe, jako zombi, choć oburzony, doznał jedynie niewygody. Jednak Effie nalegała i Simnel zaprojektował sznur alarmowy, cienki i biegnący wzdłuż całego składu, z umocowanymi na obu końcach dzwonkami. Gdyby zdarzyły się jakieś kłopoty, pasażer mógł szarpnąć za sznur, a wtedy zaalarmowany dzwonkiem maszynista albo kontroler uruchamiał hamulce. [↑](#footnote-ref-67)
68. Moist widział już kiedyś Wodospady i były właśnie tym: wodospadami. Całkiem ładnymi wodospadami jak na standardy wodospadów, ale kiedy ludzie przyglądali im się przez kilka minut, zawsze ktoś powiedział: „Można się tu gdzieś napić kawy?”. [↑](#footnote-ref-68)
69. Jeśli człowiek wie, gdzie ich szukać, to warto pamiętać, że legendarne klatchiańskie wędrowne trufle bagienne, choć i smakiem, i wyglądem przypominają klatchiańską bagienną ropuchę, są niezwykle wręcz rzadkie, a zatem stanowią poszukiwany smakołyk. [↑](#footnote-ref-69)
70. Krasnoludzi. W wolnym tłumaczeniu: panie mój. [↑](#footnote-ref-70)
71. Trudno do nich zaliczyć kaprala Nobby’ego Nobbsa albo sierżanta Colona, którzy właściwie nie mieli żadnej specjalności, ale — o czym Moist wiedział — bywali wyjątkowo użyteczni i dlatego Vimes ich znosił. [↑](#footnote-ref-71)
72. Przynajmniej twierdziły, że są dziewicami. W każdym razie płatki były prawdziwe. [↑](#footnote-ref-72)
73. O krasnoludzie nikt nie mówi „młodzik”, dopóki nie skończy pięćdziesiątki. [↑](#footnote-ref-73)
74. Kurzany są jak burzany, tylko mniej atletyczne. To mówi właściwie wszystko, co trzeba wiedzieć o Slake. [↑](#footnote-ref-74)
75. Chociaż nikt nigdy nie oskarżył o to lorda Vetinariego. Inaczej mówiąc, nigdy takiego kogoś nie znaleziono. [↑](#footnote-ref-75)
76. Moist walczył dość chaotycznie, ponieważ uważał, że jeśli on nie wie, co zrobi za chwilę, przeciwnik tym bardziej nie wie. To przecież była bijatyka, walka w zwarciu — a takich nikt nie kontroluje. Równie dobrze można by próbować pokierować huraganem. [↑](#footnote-ref-76)
77. Vurmy są trochę podobne do świetlików, ale z odorem, który oświetla. Spotyka się je głęboko pod ziemią, gdzie żywią się wyziewami wszelkich stworzeń, jakie mogą się tam pojawić. Są użyteczne dla badaczy grobów i im podobnych, którzy z kolei często stają się użyteczni dla vurmów, zwłaszcza gdy sami przechodzą w stan grobowy. [↑](#footnote-ref-77)
78. To element krasnoludziej etykiety, praktycznie niemożliwy do opanowania przez obcych. Tradycyjne stuknięcie hełmów jest odrobinę mniej energiczne od manewru, który na mniej cywilizowanych ulicach Ankh-Morpork nazywany jest „Fałszonogim Całusem”, ale też nie może być tak delikatny, by sugerować, że stukający albo stukany jest maminsynkiem. [↑](#footnote-ref-78)
79. Tak wygląda większość pałaców. Lepiej nie zaglądać im na tyły. [↑](#footnote-ref-79)